



CATHY
KELLY

Sekrety z przeszłości

Kelly Cathy

Sekrety z przeszłości

Faye, Maggie, Christie. Trzy kobiety, trzy historie, trzy tajemnice. I dręczące pytanie: czy skrywane w przeszłości sekrety mają szansę nie wydostać się na światło dzienne? Czy też prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw? Trzy bohaterki muszą się zmierzyć z demonami przeszłości i tylko od nich samych zależy, czy ich bliscy zaakceptują prawdę.

Samotna matka, Faye, przeżyje szok, gdy dowie się, że jej ukochana jedynaczka porzuciła szkołę, by wyjechać do Ameryki ze swoim chłopakiem, marzącym o karierze muzycznej. Pragnąc uchronić ją przed błędami, jakie sama kiedyś popełniła, zmuszona będzie wyznać prawdę o swej burzliwej młodości. Ale czy córka nie odwróci się wtedy od niej na dobre?

Jej sąsiadka Maggie po latach wraca do rodzinnego domu, by zaopiekować się chorą matką. Zmuszona będzie zmierzyć się z kryjącą się w przeszłości prawdą, która dręczy ją do dziś dnia i nie pozwala normalnie żyć.

Jest jeszcze Christie, kobieta, która potrafi zajrzeć w głąb duszy innych ludzi i w ten sposób pomóc w rozwiązaniu ich problemów. Gdyby tylko umiała pomóc sobie... Niestety, sekret, który skrywa przeszłość Christie, stanowi realne zagrożenie dla jej idealnego z pozoru małżeństwa. A może jednak uda się wszystko naprawić?

Dla tych trzech kobiet nadszedł czas mierzenia się z sekretami z przeszłości, podejmowania trudnych decyzji i radzenia sobie z ich konsekwencjami. Czy wyjdą z tego zwycięsko? Czy uda im się zachować swe długo budowane szczęście?



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jeśli można by powiedzieć o ulicy, że wygląda na przyjazną, gościnną, to właśnie Summer Street miała wyciągnięte zapraszająco ramiona i nastawiony czajnik z wodą na herbatę.

Christie Devlin od dokładnie trzydziestu lat mieszkała w połowie tej ulicy w niewielkim, lecz ślicznym domku z czerwonej cegły, błyszczącym niczym klejnot w naszyjniku z ładnych, kolorowych kamyków.

Summer Street biegła łukiem przez blisko kilometr od skrzyżowania, przy którym znajdowała się kawiarnia, a naprzeciwko niej dom, kiedyś w odcieniu lodów truskawkowych, teraz zaś w kolorze przydymionego różu, znajdowała się kawiarnia.

W chwili gdy Christie ujrzała to pełne wdzięku zakole ulicy, gdzie klony pochylały się nad chodnikiem niczym opiekuńcze cioteczki, zrozumiała jedno: to było miejsce, gdzie ona i James mogli wychowywać swoje dzieci.

Te trzydzieści lat minęło jak jeden dzień, pomyślała Christie w piękny poranek pod koniec kwietnia, krzątając się po domu: sprzątała, odkurzała, zamiatała i ścierała.

Dzisiaj słońce sączyło się przez okna, dom wypełniało spokojne zadowolenie, a Christie nie musiała iść do pracy. Bardzo lubiła pracę nauczycielki plastyki w liceum Świętej Urszuli, ale niedawno zredukowała nieco ilość swych zajęć i teraz mogła się cieszyć dodatkowym czasem wolnym.

Jej psy, Tilly i Rocket, jamniki miniatutki, które w swych poprzednich wcieleniach na pewno były monarchiniami,

na chłodnych płytkach w kuchni odsypiały poranny spacer. W tle cicho grało radio, a stary ekspres do kawy wydawał z siebie agonalne odgłosy świadczące o tym, że kawa jest już prawie gotowa. W świetle Christie wszystko powinno być jak należy.

I było - z wyjątkiem dręczącego uczucia niepokoju. Błąkało się ono w jej podświadomości, odkąd o szóstej obudziły ją ptasie trele, wpadające do sypialni przez otwarte okno.

- Wszystkiego najlepszego - wymruczał sennym głosem James, kiedy kwadrans później zadzwonił budzik. Przekreślił się na łóżku, by ją przytulić, i natrafił na wciśniętą pomiędzy nich Tilly. Psy miały swoje miejsca do spania na sztruksowych poduchach na podłodze, ale Tilly wprost uwielbiała wygodne zagłębienie w kołdrze pomiędzy swym panem a panią. James uniósł oburzonego psa i przełożył go na drugą stronę, po czym przysunął się do Christie. - Dziś mija równo trzydzieści lat, odkąd się tu wprowadziliśmy. A ja wciąż nie wykończyłem podłogi na poddaszu.

Christie, rozbudzona i ogarnięta przemożnym uczuciem, że coś jest nie tak, musiała się uśmiechnąć. Wszystko było takie normalne. Na pewno coś jej się tylko przywidziało.

- Spodziewam się, że w weekend dokończysz tę podłogę

- oświadczyła tonem, który był w stanie uciszyć nawet najbardziej niesforną klasę u Świętej Urszuli. Nie znaczy to wcale, by miała jakieś problemy wychowawcze. Jej umiłowanie sztuki było niezwykle i tak bezgraniczne, że przechodziło na większość uczniów.

- Proszę, nie, pani Devlin - błagał po sztubacku James.

- Nie mam na to siły. A poza tym psy ciągle mi zjadają pracę domową.

Sapiąc, Tilly wdrapała się na niego i bezczelnie próbowała ponownie umościć się na swym wygodnym legowisku pomiędzy państwem.

- W tym domu pies z całą pewnością mógłby zjeść pracę domową - dodał James.

Christie podniosła ciepłe, aksamitne ciało Tilly i przytuliła do siebie, mruczając łagodnie.

- Uważam, że kochasz te psy bardziej niż resztę rodziny

- przekomarzał się.

- Oczywiście, że tak - zripostowała żartobliwie. Kiedy James myślał, że nikt go nie widzi, rozmawiał czule z Tilly i Rocket. Jej mąż był wysoki, męski, a serce miał gołębnie.

- Dzieci dorastają i nie chcą, by je przytulać, ale psy to wieczne szczenięta - dodała, łaskocząc lekko Tilly. - No i spójrzmy prawdzie w oczy, ty nie biegasz mi wokół nóg, piszcząc z radości, kiedy wracam do domu z pracy, no nie?

- Nie miałem pojęcia, że tego właśnie pragniesz. - Zaszczekał na próbę. - Jeśli tak zrobię, to czy będziesz mi szeptać do ucha słodkie głupstwa?

Christie przyjrzała się mężowi. Na głowie nie miał już blond strzechy. Przerzedzające się włosy przyprószone były siwizną, zaś jego twarz pokrywała siateczka drobnych zmarszczek, tak samo zresztą, jak i jej, ale James nadal sprawiał, że Christie uśmiechała się w duchu.

- Całkiem możliwe - odparła.

Z podłogi dobiegło skomlenie Rocket, która także miała ochotę wziąć udział w tej zabawie.

James wstał z łóżka i posadził ją obok jej pani. Rocket zabrała się natychmiast za lizanie Christie po twarzy.

- Mam nadzieję, że w przyszłym życiu powrócę tutaj jako jeden z twoich psów - oświadczył, kierując się do łazienki, by wziąć prysznic.

Christie zadrżała.

- Nawet tak nie mów - rzekła, ale drzwi zdążyły się już zamknąć.

Trzydzieści lat w tym domu. Jak to możliwe, że taki szmat czasu minął tak szybko?

- Bardzo mi się podoba - oświadczyła Jamesowi tamtego dnia, gdy stała w ciąży z ich drugim dzieckiem, Shane'em, po raz pierwszy przed posesją numer trzydzieści cztery, domem, na który było ich stać wyłącznie dlatego, że wymagał on - jak określił to przezabawnie pośrednik nieruchomości

- „tyciego remontu”.

- Jesteś pewna, że nie wolisz tej rudery w stylu Tudorów siedem ulic dalej? - zapytał James, mocno trzymając rączkę małego Ethana. W poważnym wieku trzech lat i dziewięciu miesięcy Ethan miał dwa ulubione zajęcia: skakanie na łóżku jak na trampolinie i wymykanie się rodzicom, by zboczyć na ścieżkę ryzyka.

Christie spojrzała na męża i uniosła ciemną brew.

Jeśli chodzi o tamtą rudere, to ogród od frontu wylany był smołobetonem, zaś za domem biegały dwa groźnie wyglądające psy, które nie zareagowały, gdy Christie instynktownie wyciągnęła rękę. W jednym z okien na piętrze widniała złowieszcza dziura wielkości cegły, a kiedy James od niechcienia zapytał pośrednika, dlaczego nie ma tu wieżyczki z wyglądającą na zewnątrz lufą kałasznikowa, Christie z trudem udało się powstrzymać od śmiechu.

- Nazwij mnie staroświecką - rzekła do męża - ale jakoś wolę Summer Street i ten dom.

Pomimo oczywistych zniszczeń cegły domu numer trzydzieści cztery zdawały się emanować ciepłem, a okno z wykuszu nad łukowatym gankiem było w nienaruszonym stanie.

Z miejsca, w którym stali, widzieli kawiarnię na Summer Street z markizą w biało-niebieskie paski. Ustawione na chodniku białe krzesła i trzy małe stoliki przykryte niebieskimi obrusami w kwiatki wyglądały tak, jakby je przeniesiono z jakiegoś balkonu w Sorrento.

Po stronie kawiarni wyrastały domy w zabudowie szeregowej; dalej wciśnięte były dwa wąskie wolno stojące domy; osiem niewielkich domków kolejowych, których klasyczne

drewniane szyldy były subtelnie rzeźbione; następnie szereg domów z czerwonej cegły, w tym ten, który im się spodobał; pięć bungalowów z lat trzydziestych i na końcu kilka budynków jednopiętrowych. Po drugiej stronie Summer Street znajdowały się kolejne domy, niektóre w zabudowie szeregowej, inne wolno stojące, a także niewielki park: dwa starannie utrzymane akry z okoloną drzewami muszlą koncertową, starym pawilonem kolejowym i małą fontanną, którą upodobały sobie gołębie.

Rosnące wzdłuż ulicy klony otoczone były barwnymi roślinkami i nawet drzwi tych różnorodnych budynków pomalowano na jaskrawe kolory: błękitny, szkarłatny, miodowo-bursztynowy.

Christie zawsze będzie pamiętać reakcję Jamesa, kiedy powiedziała, że bardzo podoba jej się ten dom. Objął ją ramieniem i przytulił mocno.

- W takim razie musimy go kupić - rzeki. Nawet nie zajrzeli do środka.

Kiedy Christie opowiadała potem zdumionym znajomym, że postanowili kupić dom przy Summer Street 34, nie przekraczając nawet jego progu, wyjaśniała, że to się po prostu wie, gdy jest się we właściwym miejscu. Domy to przecież coś więcej niż tylko ściany.

- Raczej nie trafi się źle w przypadku porządnie postawionych domów z cegły - oświadczył przemądrzale brat Jamesa, zde gustowany tą całą gadką o uczuciach.

I rzeczywiście dom posiadał przepiękne proporcje, nawet jeśli najlepsze czasy miał już za sobą, niczym nobliwa dama, która znalazła się w trudnej sytuacji życiowej, a mimo to polerowała co rano schody, choć ledwie ją było stać na mleko do herbaty.

Ale James i Christie mieli świadomość, że na podjęcie przez nich decyzji wpłynęło coś więcej niż właściwe proporcje

czy zapraszające, pomalowane na miedziany kolor drzwi wejściowe. Christie po prostu wiedziała, że jest to dom dla nich, a James zdążył się już nauczyć ufać przeczuciom żony.

Kiedy miesiąc później ona, James i Ethan wprowadzili się, byli dumnymi właścicielami rozpadającej się rudery, która miała cztery sypialnie, jedną łazienkę, nic, co przypominałoby zdatną do użytku kuchnię i rezerwat motyli w miejsce ogrodu.

W tamtym czasie nie było trzypiętrowego apartamentowca na końcu ulicy ani nieżycziwego polowania na miejsca parkingowe, jako że większość rodzin posiadała tylko jeden samochód. Ale wtedy nie było także w parku kolorowego placu zabaw, gdzie małe dzieci piszczwały zarówno z radości, jak i wściekłości, zależnie od przebiegu kłótni o to, kto będzie teraz korzystał ze zjeżdżalni.

Christie zabierała kiedyś do tego parku Ethana i Shane'a. Teraz chadzała tam razem z Rocket i Tilly. Jej dwie śliczne wnuczki, Sasha i Fifi, jeździły kiedyś po parku w swych wózkach, a Sasha, która teraz miała dwa i pół roku, uwielbiała biec w stronę fontanny, jakby zaraz miała do niej wskoczyć. Zupełnie jak jej tatuś, myślała czule Christie.

Ethan zawsze miał w sobie tyle energii. Od zaczerpnięcia swego pierwszego oddechu rzucał się na życie bez opamiętania. I uwielbiał Summer Street.

- Lepiej wyciągnijmy kosiarkę - stwierdził James pierwszego dnia, gdy Ethan pobiegł do ogrodu, piejąc z radości, zaś jego jasna głowa prawie zniknęła w wysokiej, dzikiej trawie. Na podjeździe stała furgonetka, którą wynajęli, żeby przewieźć swoje rzeczy. Wkrótce miało się zjawić kilkoro przyjaciół, by pomóc przenieść to wszystko do środka. Ale w tamtej chwili byli sami. - Wygląda tam jak w dżungli.

- Tutaj także wygląda jak w dżungli - powiedziała cierpko Christie, podnosząc głowę i przyglądając się narożnikowi kuchni, gdzie pośród łuszczącego się tynku w kolorze kocich

wymiocin widać było czarny kawałek ściany. - Proszę, powiedz mi, że kiedy wcześniej wszystko oglądaliśmy, na ścianach nie było aż tak dużo pleśni. Zamiast architekta powinniśmy byli nająć do oględzin domu ludzi od chorób zakaźnych.

- Myślisz, że zostaniemy pożarci w łózkach przez trującego domowego grzyba?

Christie uśmiechnęła się czule do męża, po którym ich syn odziedziczył zarówno jasne włosy, jak i pogodne usposobienie. Oczy Jamesa błyszczały dumą szczęśliwego posiadacza domu, pomimo trującego grzyba.

- Całkiem możliwe. No a teraz pobiegiesz na ratunek Ethanowi czy to ja mam ruszyć mój pięciomiesięczny brzuchal i iść go poszukać?

Wysoka i normalnie szczupła, w ciąży z Ethanem miała niezbyt duży brzuch wielkości piłki do koszykówki, którego z tyłu w ogóle nie było widać. Jednakże tym razem jej szczupła figura pozostawała odległym wspomnieniem i Christie czuła się jak gigantyczny, naznaczony rozstępami pudding, wielki bez względu na kąt patrzenia.

Jej siostra Ana uważała, że to zespół drugiego dziecka, kiedy wszystkie mięśnie wysiadają. Christie jednak wiedziała, że jej niewytłumaczalna ochota na wielkie miski smażonych bananów z lodami nie pozostawała w tej kwestii bez winy.

- Pójdę go ocalić, o Potężna Pani - odparł James, kładąc rękę na jej okrągłym brzuchu. - Nie chcę, byś się za bardzo zmęczyła i nie miała siły, by wieczorem ochrzcić ze mną ten dom. - Uśmiechnął się sugestywnie.

Christie wybuchnęła śmiechem. Towarzyszące ciąży wyczerpanie oznaczało, że zanim wybiła dziewiąta, ona najczęściej smacznie już spała i nie była jej w stanie obudzić nawet cała kadź afrodyzjaków. Ale ustąpiła, widząc nadzieję malującą się na twarzy męża.

- Najpierw masaż pleców - zażądała. Christie nie wiedziała dlaczego, ale plecy były jej strefą erogenną. Gdy czu-

ła na nich sprawne dłonie Jamesa, zawsze zaczynała mieć ochotę na amory. - Umowa stoi.

Plusem mieszkania w takiej ruderze było to, iż Christie nie musiała się przejmować, że Ethan rysuje kredkami po ścianach, choć był nieustraszonym alpinistą, więc niejednokrotnie musiała ratować go i ściągać z różnego typu mebli kupionych z drugiej ręki. Tylko na takie było ich stać. Niestety wyglądało na to, iż nieprędko uda im się pozbyć z domu wilgoci i zjeść posiłek tak, by na talerze nie spadały kawałki sufitu.

Teraz, całe wieki później, Ethan miał trzydzieści trzy lata, Shane prawie trzydzieści, a Christie już dwa razy została babcią.

Długie ciemne włosy, które przed laty nosiła związane w luźny kucyk, teraz miały długość do brody i lekko kręciły się, a ich chłodna srebrzystość podkreślała ciepło oliwkowej cery i ciemne łukowate brwi.

Nadal używała z umiarem eyelinera, który czynił jej oczy magicznie skośnymi, zamieniła jednak dawny eyeliner w kamieniu na nowoczesny w pisaku. Lubiła otaczać się nowymi rzeczami, wyznając przekonanie, że zbyt wiele oglądanie się na przeszłość sprawia, iż człowiek się starzeje.

Kuchnia także nie wyglądała na swój wiek. Obecnie przeżywała trzecie wcielenie. Na początku urządzona była stylowo, ale kolorowo, następnie rządziła w niej staroświecka sosna, a teraz cała była w nowoczesnym klonie. Wiele godzin ciężkiej pracy przekształciło ogród w raj dla leniwych pszczół, które w pełni lata przelatowały od jednego krzaczka lawendy do drugiego.

Teraz, pod koniec kwietnia, stara odmiana francuskich róż, które pod okiem Christie pięły się nad pergolą, wydała swój pierwszy plon w postaci staroświeckich białych kwiat-

ków o piżmowym zapachu. Jej ogród był tak osłonięty, że róże kwitły przynajmniej miesiąc wcześniej niż u innych i czuła teraz ich zapach przez otwarte okno, gdy stała, zmywając po śniadaniu.

Zeskrobując oporne okruchy tostów przyklejone do białego talerza, Christie próbowała wytłumaczyć sobie to nie dające jej spokoju uczucie zaniepokojenia.

Rocznice przynoszą ze sobą dawne wspomnienia - o to z pewnością chodziło.

Christie była bardzo szczęśliwa przez tych trzydzieści minionych lat. W jej życiu mężatki był tylko jeden moment, kiedy wszystko prawie się rozpadło, lecz - tak jakby łapiąc upadający kieliszek, nim zdąży osiągnąć podłogi - Christie udało się zapobiec katastrofie. Z tamtych czasów pozostała niewielka rysa, ale nie widział jej nikt prócz niej samej. Przecież nie to ją teraz dręczyło, prawda?

Nie, powiedziała sobie stanowczo, odstawiając czysty talerz na suszarkę. To wszystko należało do przeszłości.

Wiedziała, że jest szczęściarą. James był równie dobrym mężem jak wtedy, gdy za niego wychodziła. Właściwie to nawet lepszym. Z wiekiem zbliżyli się do siebie zamiast oddalić, tak jak tyle innych par. Christie znała wielu ludzi w swoim wieku, którzy pozostawali małżeństwem, choć łączyły ich tylko wzajemne urazy i stare ślubne fotografie. Psioczyli na siebie i sprzeczali się, a świadkowie tego czuli się skrępowani. Po co tak robić, zastanawiała się Christie.

Nie lepiej być szczęśliwym w pojedynkę, zamiast czynić życie swoje i partnera pasmem udręki? Była przekonana, że gdyby ona i James przestali się rozumieć, Boże uchowaj, potrafiliby to zakończyć z godnością i żyć dalej własnym życiem.

- Założę się, że nie - stwierdziła kiedyś żartobliwie jej siostra Ana pod koniec długiego wieczoru na niewielkim tarasie w ogrodzie, kiedy w kieliszkach nie było już wina, a roz-

mowa zesłała na tory gdybania. - Nie byłoby w tym ani krzty-ny godności. Założę się, że pewnej nocy zadźgałabyś Jamesa sekatorem, zakopała go pod rabarbarem i cieszyła się, gdyby się okazało, że zbiory są udane!

- Ach, Ana - rzekł James, udając, że czuje się dotknięty. - Christie nigdy by tego nie zrobiła. - Dla lepszego efektu uczynił pauzę, rozglądając się po ogrodzie, który jego żona tak uwielbiała. - To bez potrzebuje nawozu, nie rabarbar. Tam właśnie by mnie zakopała.

- Oboje nie macie racji - oświadczyła wesoło Christie, wyciągając rękę, by poklepać dłoń swego szwagra, Ricka. - Mam zamiar pochować Jamesa właśnie tutaj, pod tarasem, a potem Rick i ja uciekniemy razem w stronę zachodzącego słońca.

- O ile tylko ja dostanę ten dom - rzekła Ana, wstając z krzesła - wy dwoje możecie sobie robić, co tylko chcecie.

Christie wiedziała, że to piękny dom. Jeden z najładniejszych na Summer Street. Dzięki artystycznym zdolnościom Christie był równie piękny w środku, jak na zewnątrz.

- Szkoda, że tata nie może go widzieć - powiedziała z żalem Ana, gdy siostry uściśniły się na pożegnanie na korytarzu, gdzie Christie powiesiła czarno-białe zdjęcia rodziny obok sześciu akwrel z irysami. Tego typu obrazki malowała w celach zarobkowych na początku spłacania hipoteki za dom przy Summer Street.

- W ogóle by mu się nie podobał ten dom - zaśmiała się lekko Christie. - Powiedziałby, że jest zbyt pretensjonalny.

- A wcale nie - zaprotestowała Ana. Miała pięćdziesiąt cztery lata i była młodsza od siostry o sześć lat. - Byłby nim zachwycony, choć w niczym nie przypomina naszego domu w Kilshandrze.

Kilshandra była miejscem, w którym dorastały - małe miasteczko na wschodnim wybrzeżu, które nigdy nie było celem podróży, a jedynie miejscowością, przez którą samochody przejeżdżały w drodze dokądś indziej.

- To prawda - mruknęła Christie. Fakt, że w niczym nie był podobny do jej dawnego domu, był jedną z jego największych zalet.

Na myśl o przeszłości ponownie poczuła ukłucie niepokoju. Zirytowała się. Nie miała ochoty o niej myśleć. Wynocha z mojej głowy. Uświadomiła sobie, że wypowiedziała te słowa na głos. Spłoszone psy podniosły głowy.

Gdy naczynia były już pozmywane, naląła sobie filiżankę kawy, by zabrać ją do ogrodu. W myślach układała listę spraw do załatwienia na dzisiaj. Musiała zrobić zakupy, zapłacić rachunki, wysłać kilka listów, zadzwonić do mnóstwa osób... i wtedy poczuła, jak przez jej ciało przetacza się fala obcego, a jednocześnie znanego niepokoju. Niczym burzowa chmura na błękitnym niebie, zwiastująca hałaśliwą ulewę. Tym razem nie było to delikatne ukłucie niepokoju, lecz prawdziwe ostrzeżenie.

Christie upuściła filiżankę na ziemię. Rocket i Tilly zapiszczały i zaczęły biegać wokół nóg swej pani. Ich brązowe ślepka pełne były niepokoju. To nie my, to nie my.

Christie automatycznie odegnała je od potłuczonej porcelany.

- Pokaleczycie sobie łapki - powiedziała łagodnie i zaprowadziła je do kuchni. Ze zmiotką w ręku wyszła ponownie na dwór i zaczęła sprzątać.

Przez całe życie Christie potrafiła widzieć rzeczy, których nie widzieli inni ludzie. To był dziwny dar: nigdy nie pojawiał się na żądanie i nigdy nie służył do rozwiązywania własnych problemów. Prawda przychodziła do niej wtedy, gdy się najmniej tego spodziewała, i mówiła jej, co się dzieje w duszy innej osoby.

Gdy była mała, sądziła, że wszyscy tak mają. Ale w jej bardzo religijnym domu nie było nikogo, kogo mogłaby o to zapytać. Coś mówiło jej ostrzegawczo, że innym ludziom to się może nie spodobać. Kiedy źle się działo, jej ojciec modlił się do nieżyjących od wieków świętych, ignorując ich, gdy

wszystko było dobrze, ale przeciwny był temu, że miejscowe dziewczęta dają sobie przepowiadać przyszłość i z całego serca nienawidziły cygańskiego daru wróżenia. Jej matka nigdy nie ośmieliła się mieć własnego zdania, nim nie skonsultowała go z mężem. Opinie, których nie akceptował ojciec, powodowały w domu gniew i wściekłość. Tak więc Christie nauczyła się, by być cichym, czujnym dzieckiem. Zresztą sześciu starszych braci i młodsza siostra wystarczająco hałasowali, tak że nikt nie zwrócił na nią uwagi. A kiedy dorosła i zdała sobie sprawę z tego, że jej dar nie jest czymś przeciętnym, cieszyła się, że zachowała go w tajemnicy.

Jak miałyby wyznać, że wiedziała, iż stodoła McGovernów się spali, i że to sam pan McGovern ją podpalił, by wyłudzić pieniądze z ubezpieczenia?

Pierwszy raz napomknęła o swoim darze, kiedy miała dziewiętnaście lat, a jej najlepsza przyjaciółka, Sarah, uważała, że Ted, przystojniak ze śmiejącymi się oczami i ostrymi rysami twarzy przypominającymi Steve'a McCjueena, to mężczyzna dla niej.

- Kocha mnie, chce się ze mną ożenić - oświadczyła Sarah z pasją charakterystyczną dla jej wieku i zakochania.

- Mam przeczucie, że nie jest z tobą tak do końca uczciwy. Jest w nim coś dwulicowego - powiedziała jej Christie. Pojawiło się w niej przeczucie, że Ted nie kocha Sarah i że komuś jeszcze składa obietnice.

- Nie wierzę - odparła gniewnie Sarah.

Christie nie mogła nie zauważyć gniewu przyjaciółki: wiele prawdy było w powiedzeniu o strzelaniu do posłańca.

Okazało się, że Ted rzeczywiście spotyka się z inną dziewczyną: taką, której rodzina ma pieniądze, nie tak jak Sarah albo Christie, których codziennością były donaszone ubrania i życie od wypłaty do wypłaty.

- Skąd wiedziałas? - zapytała Sarah cierpiąca z powodu złamanego serca.

- Jakoś tak dotarło to do mnie - odparła Christie. Tylko w taki sposób była w stanie to wytłumaczyć.

Im dana osoba była jej bliższa, tym bardziej wszystko było mętne. Dla siebie nigdy niczego nie widziała. Zresztą pewnie i dobrze, że tak właśnie było. Tyle że dzisiaj po raz pierwszy miała koszmarne przeczucie, że to zbliżające się nieszczęście ma związek z nią.

Christie stała w swej ładnej kuchni, z której sufitu zwisały pęczki ziół i gdzie zawsze czuła się szczęśliwa. Teraz jednak ogarnęła ją panika. Jej rodzina. Ma się im przytrafić coś strasznego i ona musiała temu zapobiec. Jednakże nigdy wcześniej nie czuła czegoś takiego. Nigdy nie potrafiła przewidzieć, że coś złego przydarzy się jej synom lub Jamesowi.

Gdy Shane miał trzynaście lat i złamał obojczyk podczas upadku z drzewa, Christie tego dnia była na szkolnej wycieczce w galerii, wykładając dwudziestce uczniów tajniki talentu Jacka B. Yeatsa.

Kiedy doprowadzonej prawie do szaleństwa sekretarce ze Świętej Urszuli wreszcie udało się z nią skontaktować, Christie przeklinała swą niemożność widzenia tego, co naprawdę ważne. Jak mogła nie przewidzieć bólu własnego syna? Jaki pożytek był z jej daru, jeśli sprawdzał się tylko w przypadku obcych ludzi??

Dziesięć minut później Christie zdążyła już wykonać telefony do obu synów. Powiedziała im, że o nich myśli i że w swoim horoskopie wyczytała, że będzie mieć pechowy dzień i pomyślała, że może się to rozciągać i na nich, więc żeby nie przechodzili pod żadnymi drabinami.

Wreszcie Christie zadzwoniła do Jamesa, z którym się pożegnała przez zaledwie dwiema godzinami, gdy wychodził z domu, by udać się na dworzec, a stamtąd do Cork na spotkanie biznesowe.

- Wszystko w porządku, Christie? - zapytał ostrożnie.

- Tak - odparła, nie chcąc przelewać na niego swego strachu. - Lekko się wystraszyłam, to wszystko. Zanosi się na burzę. - Co nie było prawdą; niebo było równie błękitne i przejrzyste jak owalny szafir w jej staroświeckim pierścionku zaręczynowym. - Kocham cię, James - dodała, co było stuprocentową prawdą. I wtedy sygnał jego telefonu zrobił się słabszy, aż połączenie zostało przerwane, Christie zaś nie opuszczało uczucie przerażenia.

Na poczcie głosowej męża nagrała wiadomość: „Wszystko w porządku. Idę teraz na zakupy, zadzwoń do mnie później i powiedz, czy uda ci się zdążyć na wcześniejszy pociąg. Kocham cię. Pa!”.

James pracował dla rządowej agencji do spraw ochrony środowiska. Przez wiele lat wspinał się po szczeblach kariery i teraz zajmował dość wysokie stanowisko. Dużo podróżował po kraju i Christie martwiła się, że te niekończące się podróże stają się dla niego zbyt męczące. Ale James, wciąż pełen energii i pragnący mieć pewność, że wszystko jest wykonywane jak należy, bardzo lubił swoją pracę.

O dziesiątej Christie szła wzdłuż Summer Street z torbami na zakupy w jednej ręce, starając się wyrzucić z myśli strach. Trzy razy w tygodniu, kiedy pracowała w szkole, po wyjściu na chodnik skręcała w lewo. Dzisiaj skręciła w prawo w kierunku kawiarni.

To była przyjemna pora dnia, kiedy panował niewielki ruch. Zestresowani poranni kierowcy siedzieli już w swoich biurach, a Summer Street ponownie należała do jej mieszkańców. Wielu dawnych sąsiadów Christie zdążyło się wyprowadzić, ale było jeszcze kilka rodzin mieszkających na Summer Street niemal równie długo jak Devlinowie.

Na przykład Maguireowie, Dennis i Una. Posiadali zawsze rozklekotane samochody i nie zważali na oburzenie ich obecnej sąsiadki, która najwyraźniej uważała, iż samochód z taką ilością wgnieceń w karoserii nie powinien parkować

obok jej lśniącego bmw. Maguire'owie mieli jedną córkę, Maggie. Christie pamiętała, że dobre było z niej dziecko: wysoka, nieśmiała, zawsze grzeczna, skrywająca swoją urodę za ciężką grzywą marchewkowych loków, jakby potrzebowała schronienia przed światem. Nie uczęszczała na zajęcia plastyczne prowadzone przez Christie, ale podobnie jak wiele dziewcząt na Summer Street podkochiwała się w Shanie. To przez połączenie jego potarganych, jasnych włosów i lekko bezczelnego uśmiechu. Był o kilka miesięcy starszy od Maggie - to niesamowite, że obojgu wkrótce stuknie trzydziestka - i pozostawał obojętny na jej nastoletnie uczucie.

- Powiedz jej chociaż „cześć” - nakazała mu Christie zirytowana tym, że Shane nie rozumie, iż dla tej nieśmiałej dziewczyny ważne jest chociaż kilka słów z ust idola.

- E tam, mam, jeszcze sobie pomyśli, że ją lubię. Zejdź na ziemię, co?

- Co to ma znaczyć? - zapytała ostro jego matka. - Zejdź na ziemię? Jestem na ziemi. Mówię, żebyś okazał nieco uprzejmości, Shane. To nic cię nie kosztuje, prawda? - Jej głos przybrał na sile.

- Okej - mruknął, gdy zrozumiał, że matka wsiadła na swój ulubiony temat o tym, jak to dobroć i uprzejmość napędzają twą duszę szczęściem. To był generalnie fajny pomysł, ale nie sprawdzał się w przypadku dziewczyn. - Powiem „cześć”, dobrze?

-1 bądź miły.

- Mam się także oświadczyć?

Maggie mieszkała teraz w Galway i Christie nie widziała jej już całe wieki.

Ale dorosła Maggie spełniła tę wczesną obietnicę, jaką kiedyś dostrzegła w niej Christie. Wyglądała naprawdę oszałamiająco, włosy jej ściemniały i były teraz kasztanowe, miała idealnie owalną twarz z błyszczącymi błękitnymi oczami, ekspresyjnymi ustami i półprzejrzystą cerą rudzielca. Nie spra-

wiała jednak wrażenia świadomej swej urody. Christie wyczuwała, że Maggie Maguire nadal ukrywa swe prawdziwe ja.

- Dobrze jej się wiedzie - mówiła Una Maguire za każdym razem, gdy Christie pytała ją o córkę. Przed laty Una także miała rude włosy, ale teraz były wyblakłe i przetykane siwizną. - Maggie spotyka się ze wspaniałym mężczyzną. Jest wykładowcą na uczelni, a ona pracuje teraz w dziale bibliotecznym. Są dla siebie stworzeni. Od trzech lat mieszkają razem i mają piękne mieszkanie tuż przy Eyre Square. Nie zanoszą się na ślub, ale w dzisiejszych czasach młodzi ludzie nie zwracają sobie tym głowy.

- To prawda - przyznała lekko Christie, która wyczuwała bez trudu, że Una z całego serca pragnie, by jej jedyna córka miała męża i dzieci.

Rozstały się. Christie była pewna, że Una nie ma pojęcia o tym, co dojrzała w jej duszy.

Dowiedziawszy się o swym dziwnym darze, Christie przekonała się, że najczęściej ludzie nie chcą, by znało się ich najgłębiej skrywane, najmroczniejsze sekrety. O ile więc nie pytano jej o to, zachowywała swe spostrzeżenia dla siebie.

Dziesięć metrów dalej Amber Reid trzasnęła furtką przy domu numer trzydzieści dwa, a jej długie płowozłote włosy podskakiwały w sposób zdradzający, iż dopiero co zostały umyte. Amber miała siedemnaście lat, chodziła do ostatniej klasy u Świętej Urszuli i była bez wątplenia jedną z gwiazd na zajęciach Christie.

Amber ołówkiem potrafiła narysować każdego i wszystko, choć szczególne zdolności przejawiała do malowania farbami olejnymi widoczków, dzikich, ponurych miejsc z dziwnymi domami, nie przypominających tych, które budował człowiek. Amber wyróżniała się nawet w dużej grupie, ponieważ była tak pełna życia.

Miała niemodną obecnie figurę Wenus z miękkimi krągłościami i niewielką, okrągłą twarz - tak naprawdę piękne

miała jedynie magnetycznie grafitowe oczy z bursztynową otoczką na tęczówce. Nie należała do grupy szkolnych piękności, tyczkowatych dziewcząt z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi. Jednakże żywość Amber i kryjąca się w jej oczach inteligencja zapewniały jej urok, z jakim równać się mogło niewiele nastoletnich królowych piękności. A Christie jako artystka widziała seksapil tej dziewczyny, nieuchwytny czar, którego fotograf może i by nie uchwycił, ale malarz owszem.

Christie wiedziała, że jeśli tylko liceum imienia Świętej Urszuli nie zostało rankiem ewakuowane z jakiegoś dziwnego powodu, Amber powinna siedzieć teraz w szkole. A jednak była tutaj, idąc w butach na boleśnie wysokim obcasie i kolorowej powiewającej spódnicy, opływającej biodra - w przeciwieństwie do szarej spódnicy stanowiącej część szkolnego mundurka, mającej niekorzystny fason w kształcie litery A. Amber trzymała przy uchu telefon komórkowy i Christie nie mogła nie usłyszeć jej słów.

- Właśnie wychodzę. Ktoś zauważył, że mnie nie ma? MacVitie nie zdenerwowała się nieobecnością swej najlepszej uczennicy?

Pani MacVitie to nauczycielka matematyki i Christie wątpiła, by Amber, u której wyraźnie występowała dominacja lewej półkuli i była beznadziejna z tego przedmiotu, uważała za swą najlepszą uczennicę. Ulubioną może i owszem, ponieważ trudno się było oprzeć Amber, która zawsze uważała na zajęciach i była grzeczną, pilną uczennicą. Ale nie najlepszą.

Na pewno rozmawiała z Ellą O'Brien, z którą była dosłownie zrośnięta, i Ella musiała powiedzieć jej, że nie, detektywi ze Świętej Urszuli nie zostali postawieni w stan gotowości.

- Cudnie. Gdyby ktoś pytał, to wydaje ci się, że wczoraj źle się czułam i że widocznie pogorszyło mi się. Powiedz, że puszczam pawia za pawiem. To prawda - zaśmiała się Amber. - Rzygam przecież szkołą, no nie?

Christie zastanawiała się, czy Faye, matka Amber, wie, co wyczynia jej córka.

Faye Reid była samotną matką, wdową, cichą osobą, która pojawiała się na wszystkich wywiadówkach i żywo brała udział w życiu córki. Choć mieszkały na tej samej ulicy, Christie nieczęsto widywała Faye. Chodziła ze spuszczoną głową, zawsze się spiesząc, ubrana w nietwarzowe i niemodne garsonki, lecz pomimo nich sprawiała wrażenie władczej. Był niesamowity kontrast pomiędzy delikatną urodą Amber a jej matką. Nie trzeba było posiadać intuicji Christie, by widzieć, że życie Faye składa się z poświęceń.

- Należy do najbardziej utalentowanych uczniów, jakich miałam - powiedziała jej Christie przed dwoma laty, krótko po tym, jak Amber pojawiła się na jej zajęciach. - Każda akademia sztuk pięknych na świecie przyjęłaby ją z pocałowaniem ręki.

Twarz Faye rozpromieniła się. Christie jeszcze nigdy nie widziała, by uśmiech tak bardzo kogoś zmieniał. W porównaniu ze swoją córką Faye była wyzywająco nieładna, miała nadwagę, a nie seksowne krągłości Amber, i brązowe włosy upięte w ciasny kok, który mógł ująć na sucho jedynie komuś z kośćmi policzkowymi supermodelki. Faye Reid ich nie miała. Ale kiedy się uśmiechnęła, nagle ujawnił się urok, jakim dysponowała jej córka, i Christie przyłapała się na zastanawianiu, dlaczego kobieta taka jak Faye, która miała najwyżej czterdzieści lat, prowadzi takie ciche życie. Nigdy nie widziano, by do drzwi jej domu klucz wkładał jakiś mężczyzna.

Christie próbowała zobaczyć coś więcej... ale było tak, jakby Faye Reid nagle zamknęła się w sobie i Christie nie widziała niczego oprócz stojącej przed sobą kobiety.

- Dziękuję, pani Devlin - rzekła Faye. - Ja też tak uważam, ale tak bardzo ją kocham i sądziłam, że jestem po prostu zaślepią. Każdy rodzic jest przekonany, że jego dziecko to następny Mozart albo Picasso, prawda?

- Nie każdy - odparła ponuro Christie, myśląc o różnych rodzicach, których poznała na przestrzeni lat, a którzy w ogóle nie wierzyli w swoje dzieci.

Wyglądało na to, że tą uwagą uderzyła we właściwą strunę Faye; uśmiech zniknął. Zastąpiła go jej zwykła, poważna mina.

- Tak, ma pani rację - powiedziała Faye, kiwając głową. - Zawsze się znajdują tacy, którzy nie doceniają własnych dzieci. A potem trzeba dwudziestu lat psychoterapii, by to wyleczyć.

Idąca z przodu Amber rzuciła do telefonu pogodnie „no to paaa”. Christie wiedziała, że prawidłową reakcją nauczycielską w tej sytuacji byłoby dogonienie jej i zapytanie, co robi poza szkołą. Ale nagle Amber zaczęła biec, pomimo wysokich obcasów, i znalazła się daleko, nim Christie zdążyła zareagować.

Wzruszyła ramionami. Amber była dobrą uczennicą, a nie notoryczną wagarowniczką. Ona i Ella nigdy nie należały do tych bardziej rozhukanych grup i obie przeżyły okres dojrzewania bez jakichś zauważalnych ataków buntu.

Może być też tak, że istnieje naprawdę dobry powód jej dzisiejszej nieobecności. A Christie z doświadczenia wiedziała, że wiele można się nauczyć zarówno w szkole, jak i poza jej murami.

W czasach młodości ona też nie zawsze stosowała się ściśle do przepisów.

Christie ponownie cofnęła się myślami do przeszłości i miejsc, w których dane jej było mieszkać. Dom w Kilshandrze, ze ścianami tak przenikniętymi goryczą i smutkiem, że nie mogła się doczekać, kiedy będzie wystarczająco dorosła, by się wyprowadzić. Kawalerka przy Dunville Avenue, gdzie nawiązała tak wiele przyjaźni i przekonała się, że nie musi ukrywać swego daru. I Summer Street, gdzie w jej życiu przytrafiło się to co najlepsze.

Pamiętała, jak wyglądała ta młoda Christie, kiedy wprowadziła się na Summer Street - długie ciemne włosy ściągnięte w węzeł, szczupła, zawsze w dżinsach i T-shirtach - i pamiętała, jaką szczęściarą była, mając dobrego męża, wystarczająco pieniędzy, by nie popaść w długi, jedno śliczne, zdrowe dziecko i drugie w drodze. Tak, to lata spędzone na Summer Street były tymi, które chciała pamiętać.

Ale były inne czasy, o których chciałaby zapomnieć.

To dziwne uczucie ponownie się w niej rozgościło i pomimo że poranek był ciepły, Christie zadrżała.

ROZDZIAŁ DRUGI

Amber Reid tak bardzo skupiła się na tym, by zdążyć na autobus, że nie zauważyła idącej za nią pani Devlin. Stało się tak, mimo iż miała zamiar uważać na każdego, kto mógłby naskarżyć jej matce, że chodzi sobie w środku dnia bez szkolnego mundurka.

- Wybieramy się na wycieczkę - planowała powiedzieć Amber, gdyby rzeczywiście zaszła taka potrzeba, choć uczniowie ostatniej klasy u Świętej Urszuli nie mieli czasu na żadne wycieczki z powodu zbliżających się egzaminów państwowych. A nawet gdyby mieli, jakaż wycieczka wymagałaby najlepszych butów na wysokim obcasie - sandałków z Oxfamu odświeżonych brązową farbą - bluzeczki na ramiączkach ze srebrnego jedwabiu i zwiewnej spódnicy, a do tego wszystkiego srebrnego naszyjnika z wisiosem z tygrysięgo oka, który niedawno znalazła na dnie najniższej szuflady matki? Ten wisior pozostawał dla niej tajemnicą. Nigdy nie widziała, by mama go nosiła. Faye ubierała się w nudne garsonki i z uporem nie podkreślała w swym wyglądzie tego co najlepsze, bez względu na to co mówiła Amber. Ten wisior był zupełnie nie w jej stylu i Amber zastanawiała się, skąd matka ma coś takiego. Nie chciała pytać, ponieważ mama poczułaby się urażona, że myszkowała w jej rzeczach. Ale to naprawdę dziwne, że trzymała go w ukryciu, gdy dotychczas dzieliły się wszystkim.

Cóż, widać jednak nie wszystkim. Dzisiejszy dzień był sekretem, którym nie mogła podzielić się z mamą. Nie pierwszy

raz coś ukrywała. Przed nią. Mama była taka uczciwa i opiekuńcza, że podczas tych rzadkich okazji, kiedy Amber zrobiła coś, co wykraczało poza surowy kod moralny jej matki, musiała trochę zmyślać. Ale aktualny sekret był zdecydowanie największy.

Ella zadzwoniła w chwili, gdy Amber zdążyła zatrzaskać za sobą drzwi.

- Zadzwoń później i powiedz mi, jak poszło, dobrze? - poprosiła.

- Obiecuję.

- Szkoda, że to nie ja jestem na wagarach - marudziła Ella. - Za dziesięć minut mam historię, a nie dokończyłam tego cholernego wypracowania o wojnie secesyjnej.

- Przykro mi, ja swoje zrobiłam i mogłam ci przecież pożyczyć - powiedziała Amber. Uwielbiała historię i bez wysiłku przelewała myśli na papier. Choć pozostawało zagadką, jak udało jej się napisać zeszłego wieczoru to wypracowanie, jako że na myśl o dniu dzisiejszym ogarniało ją radosne podniecenie.

Po pożegnaniu z Ellą puściła się biegiem, by jak najszybciej minąć Summer Street Cafe, na wypadek gdyby siedzieli w niej jacyś sąsiedzi.

Minutę później dotarła na przystanek przy Jasmine Row. Akurat zdążyła na autobus linii czterdzieści dziewięć, który miał ją zabrać do miasta i Karla.

Karl. Wyszeptała jego imię, patrząc z rozmarzeniem przez szybę autobusu. Karl i Amber. Amber i Karl.

Brzmiało to tak, jakby byli sobie przeznaczeni.

Przeznaczenie nie było czymś, w co Amber jakoś szczególnie wierzyła. Aż do teraz. Zaledwie miesiąc przed osiemnastymi urodzinami i zniechęconymi egzaminami poczuła, że jest odpowiedzialna za własne życie.

Tak więc w tamten pamiętny piątek tylko jednym uchem słuchała, jak Ella czyta na głos ich horoskopy. Horoskopy to

fajna sprawa, ale nie bardzo można na nich polegać. Mama uparcie twierdziła, że Amber sama odpowiada za siebie i że życia nie powinno się układać w oparciu o słowa jakiegoś astrologa i tego, co wymyślił na dany dzień.

Mama wyrażała przekonanie, że Amber nigdy nie powinna podążać za tłumem ani robić czegoś tylko z powodu czyjejś opinii albo dlatego, że „wszyscy inni tak robią”. Tak właśnie postępowała Amber aż do teraz.

- Dla Byków jak zawsze nic ciekawego - mruknęła Ella, czytając szybko swój. - Przemyśl możliwości wyboru, ale nie pozwól, by osłabił twój entuzjazm. Co to oznacza? Dlaczego w horoskopach nigdy nie ma ani słowa o tym, co nas czeka na klasówce z matmy? To dopiero byłoby prawdziwe przepowiadanie przyszłości.

Jadły drugie śniadanie na dachu sali gimnastycznej - w miejscu surowo zabronionym, ale obecnie najbardziej modnym wśród szóstych klas - czyniąc plany na weekend i zastanawiając się, jak pogodzić uczenie się do egzaminów z przynajmniej jedną wyprawą do centrum handlowego, by poprzetrzucać na wieszakach ciuchy, na które ich nie stać. Ella upierała się, że sama nauka doprowadziłaby człowieka do obłędu.

- Twój jest lepszy. Samotne Bliźnięta znajdą miłość i namiętność. Spodziewaj się, że w ten weekend będzie iskrzyć.

- Iskrzyć na dyskotecę w klubie piłkarskim? - Amber wybuchnęła śmiechem, rozbawiona absurdalnością tej myśli. To była ta sama wielka grupa ludzi, których znała od zawsze, a przecież nie ogarnia cię ekscytacja na widok chłopaków, których dojrzewanie można było obserwować. Gdzie w tym wszystkim aura tajemniczości?

- Patrick?

- Zbyt miły. Chciałby, żebyście idąc ze razem, trzymali sobie nawzajem ręce w kieszeniach dżinsów i omawiali szczegóły przyjęcia zaręczynowego. Ohyda.

- Greg jest niezły.

- Kiedyś mówił na mnie Pyza. Nie ma mowy. Wystrzelenie w górę o osiem centymetrów w ciągu

ostatniego roku oznaczało, że Amber z pulchnej dziewczynki przekształciła się w ponętą, obdarzoną krągłościami kobietę. Właśnie to oraz miodowe pasemka w ciemnobrązowych włosach oznaczało, że wszyscy chłopcy, którzy do tej pory traktowali ją jak bystrą młodszą siostrę, nagle prostowali się i zaczęli inaczej na nią patrzeć.

Ta nowo odkryta władza nad facetami potrafiła uderzyć do głowy i Amber znajdowała się na etapie delikatnego jej testowania. Jednakże w tym celu miała ochotę wybrać się w jakieś bardziej ekscytujące miejsce niż dyskoteka klubu piłkarskiego. Gdzieś poza Summer Street, dyskoteką wspomnianego klubu i Świętą Urszulą istniało Życie przez duże Ż: pulsujące, podniecające, czekające na nią.

- Wybredna się robisz - stwierdziła Ella. - Rok temu Greg ci się podobał.

- To było rok temu.

- Powinam zrobić sobie więcej pasemek? - zapytała Ella, przesuwając ręką po długich jasnych włosach, które w szóstej klasie były niemal obowiązkowe. - Twoje wyglądają super, ale moje wyblakły i są teraz żółtawe.

- Używaj specjalnego szamponu dla blondynek - poradziła Amber.

- Jest drogi jak cholera. Założę się, że mama ci go kupuje. Moja by tego nie zrobiła.

Ella gotowała się z oburzenia. Ponieważ były tylko we dwie, mama Amber kupowała wszystko, co tylko chciała jej córka, gdy tymczasem nie było o tym mowy u Elli, która miała trzech starszych braci na utrzymaniu rodziców.

- Dam ci trochę mojego szamponu - zaproponowała Amber. Wiedziała, że ma szczęście, i zawsze dzieliła się z Ellą.

Na tym właśnie polegała przyjaźń. - No dobra, to co z jutrzejszym wieczorem? - W grafitowych oczach pojawił się błysk. - Błagam, tylko nie dyskoteka klubu piłkarskiego.

- No cóż... - zaczęła Ella. - Mogłybyśmy spróbować czegoś innego...

- ...czegoś niegrzecznego - Amber przeszedł przyjemny dreszcz. - Spróbujmy dostać się do klubu dla dorosłych. Przecież za kilka miesięcy skończymy szkołę i będziemy jedynymi osobami z naszej klasy, które nigdy nie zrobiły niczego interesującego, Ella. Wszyscy inni byli już w klubach, do których niby nie mają wstępu, z wyjątkiem nas, ponieważ my to te rozsądne. Mam dość bycia rozsądną.

Bycie rozsądną było fajne, kiedy się miało trzynaście lat i wszyscy nauczyciele za tobą przepadali, ale już nie tak bardzo, kiedy się zbliżało do osiemnastki. Wyglądało na to, że teraz najlepiej bawią się dziewczyny, które nigdy nie odrabiały pracy domowej, a na egzaminach nie uzyskiwały wysokich ocen. Nie wydawało się to sprawiedliwe.

- Ja też - rzekła bez tchu Ella. - I właśnie przyszło mi do głowy, jak możemy to zrobić.

Oczy Amber rozbłysły. -Jak?

To uczucie niezadowolenia dojrzewało właściwie już od kilku tygodni. Wykończone uczeniem się do egzaminów i żyjące w dusznej atmosferze szkoły, miały potrzebę zrobienia po raz pierwszy czegoś szalonego i buntowniczego, jednakże ich możliwości były ograniczone.

Większość kieszonkowego szła na ciuchy i karty doładowujące komórki, więc zostawało im mało pieniędzy na jakieś szaleństwa. Niektóre starsze dziewczyny szpanowały paleniem, upierając się, że to dzięki fajkom są szczupłe, ale papierosy były zbyt drogie, by mogły kupować je częściej niż raz na jakiś czas. Alkohol był łatwo dostępny, podobnie hasz i ecstasy, ale matka Amber miała nos niczym pies policyjny

na lotnisku i zawsze potrafiła wyczuć używki, więc powrót do domu na gazie albo po dragach zupełnie nie wchodził w rachubę. Faye wpadłaby w szal i dała jej szlaban na cały miesiąc, nie wspominając o tym, że zachowanie córki bardzo by ją zraniło, przez co z kolei Amber poczułaby się fatalnie z tym, że zawiodła ukochaną mamę.

I to właśnie stanowiło sedno sprawy: ich rodzina składała się tylko z dwóch osób. Dwóch osób, które darzyły się wielkim uczuciem, dwóch osób, które razem wszystko przeszły, które ochraniały się nawzajem przed światem. Czasami jednak było to także ciężarem.

Ella miała przynajmniej trzech braci, którzy mogli z nią dzielić sprostanie oczekiwaniom rodziców. Amber musiała sama dźwigać ciężar nadziei i marzeń swej mamy. A w przeciwieństwie do rodziców Bili, którzy zdawali się rozumieć, iż ich dzieci wreszcie rozwiną skrzydła i wyfruną z gniazda, Faye Reid wydawało się chyba, że ona i Amber już zawsze będą razem.

- Jaki jest plan? - zapytała teraz Amber. - Dokąd idziemy? No bo na pewno nie gdzieś tutaj. W pobliżu nie ma nic oprócz nudnych pubów.

- Właśnie. Zapomnij więc o tym. - Ella uśmiechnęła się z podekscytowaniem. - Jutro wieczorem Marco jedzie do miasta do klubu i gdybyśmy zabrały się z nim, mogłybyśmy wejść do środka bez pokazywania dowodów.

Marco był średnim bratem Bili i obie wiedziały, że to dla nich najlepszy towarzysz nielegalnej wyprawy. Jej najstarszemu bratu nawet do głowy by nie przyszło, by zabrać dwie uczennice do nocnego klubu w mieście, zaś najmłodszy był zbyt uczciwy, by pójść na coś takiego. Ale dwudziestotrzyletniego Marco, który miał swoją własną późnowieczorną audycję w niewielkiej rozgłośni radiowej i bywał we wszystkich najmodniejszych miejscach, powinno się udać namówić, by zabrał je ze sobą.

- Dokąd? - zapytała Amber.

- Highway Seven.

- Tam wpuszczają od dwudziestu jeden lat.

Sprawa przedstawiała się beznadziejnie. Bramkarze byli na bieżąco z najlepiej podrobionymi dowodami. A Amber i Ella nie miały nawet takich. Wszystkie najlepsze kluby były zamknięte dla osób, które miały mniej niż dwadzieścia jeden lat. Nie uda im się nawet przekroczyć progu.

- Tak, ale jutro wieczorem jest tam występ, gra jakiś nowy zespół, który Marco chce przesłuchać pod kątem tej swojej audycji - wyjaśniła Ella. - Będzie na liście gości i wejdzie do klubu tylnymi drzwiami, więc bramkarz wpuści go bez zbędnych ceregieli, a jeśli będziemy mu towarzyszyć...

- ...wejdziemy jak gdyby nigdy nic - zaśmiała się radośnie Amber. - Ale z ciebie zmyślna bestia, Ello Shanahan. No ale jak przekonamy Marca, by nas tam zabrał?

- Przekupstwem i podstępem. - Widać, że Ella miała już wszystko obmyślane. - Urobimy go dziś po szkole.

Marco był bardzo podobny do Elli: ciemne oczy, jasna cera i takie same ciemne włosy, jakie miała ona, nim odkryła rozjaśniacz. Niefrasobliwy aż do przesady, nie miał wielkiej ochoty zabierać ze sobą do klubu swej młodszej siostry i jej koleżanki.

- Wybijcie to sobie z głowy - oświadczył.

- Mama wściekłaby się, gdyby się dowiedziała, że zrobiłeś w domu wielką imprezę w Boże Narodzenie, podczas gdy wszyscy byliśmy w Kerry - powiedziała niewinnie Ella. - Wtedy gdy sąsiedzi wezwali policję. Jeśli się dowie, będziesz miał totalnie przechłapanie. Wiesz, jaka jest czuła na punkcie nieprzeszkadzania sąsiadom...

- Skąd się o tym dowiedziałaś? - zapytał ostro Marco, po czym walnął się ręką w czoło i jęknął. - Wcale nie wiedziałaś, no nie? Po prostu strzeliłaś.

- Och, Marco, wiedziałyśmy o imprezie - odezwała się z irytacją Amber. - Strzelałyśmy jedynie z policją. Pod łóżkiem Elli znalazłyśmy czyjś płaszcz, kilka pustych puszek po heinekenie i kondom.

Marco zbladł.

- To przecież nie Ella zostawiła tam puszki. My nie pijemy piwa. Wolimy wino albo wódkę - dodała, mając nadzieję, że zabrzmi to światowo.

- Nie możecie iść gdzieś z własnymi znajomymi? - zapytał błagalnym tonem Marco, nie komentując uwagi o winie i wódce. Wydawało się, jakby dopiero w zeszłym tygodniu jego siostra i jej przyjaciółka szłochały rozdierająco podczas pogrzebów świnek morskich w ogrodzie i zdobywały odznaki skautowskie.

- Potraktuj to jako pracę na rzecz społeczności lokalnej za wcześniejsze złe uczynki - zaproponowała Amber. - Nie sprawimy ci żadnego kłopotu. Kiedy już wejdziemy do klubu, będziesz mógł o nas zapomnieć. Same się sobą zajmujemy.

- Jasne, macie już prawie osiemnaście lat i wszystko wiecie, no nie? - powiedział z przekąsem.

- Mam niebieski pas w karate - oświadczyła Amber, przyjmując postawę karate, a przynajmniej miała nadzieję, że tak jest, jako że już od kilku lat nie zajrzała do dojo. Upieranie się matki przy zajęciach z samoobrony było fajne, kiedy się miało dziesięć lat, ale później przestało ją bawić.

Marco westchnął.

- Walka wręcz nie jest rozwiązaniem wszystkich życiowych sytuacji. Ci najbardziej niebezpieczni faceci w klubie najpewniej nie poproszą cię o to, byś się z nimi siłowała na rękę, Amber. Rozumiecie? - Popatrzył na obie dziewczyny tak surowo, jak tylko potrafił. - Nie chcę się znaleźć w sytuacji, kiedy będę zmuszony wrócić do domu o drugiej nad ranem i powiedzieć mamie i tacie, że was zgubiłem. I co gorsza, powiedzieć tego twojej matce, Amber. Rozdarłaby mnie na strzępy.

W obecności matki Amber Marco zawsze czuł się trochę nieswojo. Było coś stalowego w spojrzeniu pani Reid, jakby go ostrzegała, że już ona dobrze wie, co z niego za ziółko.

- Nie jesteśmy dziećmi - warknęła Amber. - Idziemy. To nie twój problem. Ty masz nas tylko wprowadzić.

- Będziecie w takim razie musiały pilnować swoich drinków - westchnął Marco, wiedząc, że został pokonany. - Są faceci, którzy wrzucają wam do szklanki pigułkę gwałtu i no cóż... nie znacie nawet połowy tego wszystkiego.

- Jesteś superbratem. - Ella uściskała go.

- To jednorazowy wypad - oświadczył stanowczo Marco. - Okej? I macie być grzeczne.

- Oczywiście - rzekła Amber, która w żadnym wypadku nie miała zamiaru być grzeczna. To mogła sobie zostawić na klub piłkarski.

Prawdziwie trudną częścią planu było okłamanie matki, dokąd ona i Ella wybierają się tego wieczoru. Postanowiły, że z powodu mega czujności Faye po rzekomym pójściu na dyskotekę spędzą noc u Bili. Rodzice przyjaciółki, którzy zdążyli już to wszystko przeżyć, mieli zdecydowanie bardziej liberalne podejście.

- Mama sprawdzi, czy wróciłyśmy do domu, ale jeśli położę na łóżkach poduszki, będzie myślała, że tak właśnie się stało - powiedziała Ella.

Amber pomyślała o tym, że jej mama nigdy nie szła spać, dopóki ona nie wróciła do domu. Ileż nocy spędziły, siedząc na łóżku Amber po jej powrocie, kiedy opowiadała mamie o swoich triumfach i porażkach?

Następnie odgoniła od siebie poczucie winy. Musiała kłamać tylko dlatego, że mama jest nadopiekuńcza. Nie była już przecież dzieckiem. Nie chciała ranić uczuć mamy, ale musiała wkroczyć w kolejny etap życia i mama z kolei musiała to zrozumieć, prawda?

Wejście do Highway Seven odbyło się dokładnie w taki sposób, jak to wcześniej przewidziała Ella, choć Amber poczuła, że jej oddech uspokaja się dopiero wtedy, gdy znalazły się

wewnątrz klubu, z dala od surowego spojrzenia bramkarza. Pomimo pozorów nonszalancji denerwowała się. Ona i Ella może i opalały się na zakazanym dachu sali gimnastycznej i zdarzało im się wypalić potajemnie kilka papierosów, ale pod innymi względami były porządnymi dziewczynami, które zawsze odrabiają pracę domową. Dzisiejszego wieczoru wkraczały na nowe terytorium, co było zarazem ekscytujące i przerażające.

Wnętrze klubu było ciemne, nastrojowe i wibrowało od basów. Klub pełen był ludzi, zapachu perfum i czegoś słodkiego. Amber wiedziała, że to marihuana, jako że nawet klub piłkarski nie był aż tak do końca niewinny.

- No to co teraz chcecie robić? - zapytał Marco, zastanawiając się, jak dał się w to wszystko wrobić. Na szczęście obie dziewczyny wyglądały na wystarczająco dorosłe, ale przecież i tak była to jego młodsza siostra i jej przyjaciółka. Dręczyły go złe przeczucia.

- Nie martw się o nas - odparła nonszalancko Amber.

- Tak, możesz iść do swoich kumpli. Damy sobie radę

- dodała Ella, przyjmując beztroski ton przyjaciółki.

Marco wzruszył ramionami, ale widać było, że mu ulżyło.

- Skoro jesteście pewne...

- Jesteśmy. - Dziewczyny zgodnie pokiwały głowami. Amber rozglądała się niespiesznie, poruszając się delikatnie w rytm muzyki. Ella wzięła z niej przykład.

Marco nie był dla nich godnym przeciwnikiem. Dał się nabrać.

- Wyślijcie esemesa, jeśli będziecie mnie potrzebować

- powiedział, odwrócił się i dał się połknąć tłumowi.

Gdy dziewczyny zostały same, chwyciły się za ręce i zapiszczały, porzucając pozory nonszalancji. Nikt ich nie słyszał przy tej dudniącej muzyce.

- Udało się - piszczały, po czym wykonały krótki taniec wojenny.

- Toalety - wykrztusiła Amber, ciągnąc za rękę Ellę.

Gdy już się tam znalazły, powróciły do udawania dorosłych. Amber obrysowała sobie powieki ciemną kredką, po czym ją roztarła, tak jak to widziała w gazecie. Efekt okazał się niesamowity: jej piękne oczy wydawały się jeszcze większe i bardziej hipnotyzujące.

- Naprawdę wyglądasz na dwadzieścia jeden lat - westchnęła Ella, przerywając nakładanie kolejnej warstwy lepkiego błyszczyku.

Kobieta, myjąca ręce przy sąsiedniej umywalce obrzuciła je badawczym spojrzeniem.

- Dzięki - rzekła Amber. - Tak naprawdę mam trzydzieści dwa, ale mój chirurg plastyczny potrafi zdziałać cuda.

Kobieta wyszła pospiesznie, one zaś ponownie zaniósł się śmiechem, odurzone własną śmiałością.

Miały tylko tyle pieniędzy, by zamówić sobie po jednym drinku, który będzie im musiał wystarczyć na całą noc. Stały przy barze, sącząc je powoli, starając się wyglądać tak, jakby setki razy miały okazję odwiedzać to miejsce i były tym wszystkim znudzone.

Na zewnątrz udając spokój, Amber tak naprawdę była oczarowana i przyglądała się wszystkim, zazdroszcząc im tego, jak zdawali się tutaj pasować.

W kącie odgrodzonym aksamitnym sznurem siedziało kilkunastu ludzi, pijąc szampana. Wszyscy byli atrakcyjni, świetnie się bawili i czuli się jak u siebie w domu. Prym wiodła szczupła brunetka w spranych, wyszywanych cekinami džinsach. Mówiła i śmiała się, gdy tymczasem pozostali przyglądali jej się z wyraźną fascynacją. W tej jednej sekundzie Amber zapragnęła być taka, jak ona: w centrum uwagi, a nie obserwowująca zazdrośnie z ubocza.

Wtedy jeden z facetów zobaczył, że im się przygląda. Miał ciemne, ostrzyżone krótko włosy i kilkudniowy zarost. Jego spojrzenie było tak intensywne, że Amber z zakłopotaniem

odwróciła wzrok. Cholera, że też się dała przyłapać na przyglądaniu się wygłodniałym wzrokiem niczym jakaś uczennica.

Z całych sił starała się kierować spojrzenie gdzie indziej, ale tak naprawdę pragnęła ponownie patrzeć na tego chłopaka i chłonąć go. Jeszcze nigdy nie doświadczyła takiej więzi, takiego nagłego połączenia z drugim człowiekiem, uczucia, że go zna.

Ale kogo ona oszukiwała? Patrzył na nią najpewniej tylko dlatego, że było oczywiste, iż ona i Ella nie pasują do tego klubu. Wcześniej sądziła, że wyglądają wystarczająco dorośle, ale może jednak wcale tak nie było i teraz ten koleś zastanawiał się, co robi tutaj taki dzieciak.

- Nikt nas nie zagaduje - jęknęła obok niej Ella.

- Jest jeszcze wcześniej - odparła Amber z większym entuzjazmem, niż rzeczywiście czuła. Być może Marco miał rację i powinny spędzać teraz czas z własnymi znajomymi. Ale klub piłkarski wydawałby się taki banalny po tym. Po nim.

- Zgubiłaś się? - odezwał się niski głos.

Amber obróciła się na pięcie. Obok niej stał mężczyzna z ciemnymi krótkimi włosami, wwiercając w nią spojrzenie intensywnie niebieskich oczu. Każdy nerw w jej ciele podskoczył czujnie, choć starała się zachować opanowanie.

- Zgubiłam? Nie. - Wzruszyła ramionami, rozpaczliwie starając się naśladować wyluzowane zachowanie tej brunetki z sekcji dla VIP-ów.

- Nie szukałaś nikogo? - zapytał. Jego głos był aksamitny i głęboki, głos mężczyzny, nie chłopca.

Amber pokręciła głową.

- Myślałem, że szukasz mnie - dodał - i że mnie znalazłaś.

Amber wpatrywała się w niego, koncentrując się na oddychaniu.

Z zagadywaniem do tej pory było tak, że chłopak pytał ją, do której chodzi klasy. To podejście było szaleńczo od-

mienne. Amber poczuła, jak jej kręgosłup wydłuża się - jakiś nowy instynkt kazał jej wyprostować się, a jednocześnie lekko przysunąć do rozmówcy.

- Nie szukałam ciebie - powiedziała nonszalanckim tonem. Jak ona to robiła? Nigdy dotąd nie mówiła w taki sposób, niczym jakaś bohaterka z filmu. - Obserwowałam wszystkich. Jestem artystką: lubię przyglądać się ludziom.

- A potem ich rysujesz?

To niesamowite, ale nie zorientował się, że ona zmyśla. Podniesiona na duchu Amber opuściła powieki, posyłając mu zmysłowe spojrzenie, które wielokrotnie ćwiczyła w swoim pokoju przed rządkiem wytartych misiów z dzieciństwa.

- Jeśli spodoba mi się ich wygląd, to możliwe, że ich narysuję - odparła spokojnie.

- Aja? Podoba ci się mój wygląd? - zapytał.

Było głośno, więc przysunął się, aż znajdowali się bardzo blisko siebie i pomimo panującego w klubie półmroku widziała, że jego twarz przypomina piękny, renesansowy posąg: prosty, dumny nos, mocno zarysowane kości policzkowe, gładkie czoło i usta tak delikatne, że do ich właściwego wyrzeźbienia artysta potrzebowałby wielu miesięcy. Krótko obcięte brązowe włosy i cienka bawełniana koszula opinająca jego szczupłe ciało zabierały go z powrotem do współczesności, niemniej jednak wyglądał jak książęta przedstawiani w historii sztuki, których Amber zawsze podziwiała.

- Bardzo podoba mi się twój wygląd - odparła bez tchu, nie dbając już o to, czy jest nonszalancka.

A on uśmiechnął się do niej, prezentując jeden uroczy dołeczek i idealne białe zęby. Amber zapomniała o wszystkim innym na świecie z wyjątkiem tego oszałamiającego mężczyzny. Pragnęła go dotknąć, pocałować i czuć bez końca, jak ją obejmuje i przyciska do niej swe ciało. Pomyślała, że to właśnie jest miłość od pierwszego wejrzenia.

Miał na imię Karl i grał w zespole. Przedstawiła go Elli, a on zabrał je ze sobą do sektora dla VIP-ów.

Gdy mijały aksamitny sznur, Ella uścisnęła radośnie dłoń Amber, ale ona była zbyt pochłonięta Karlem, by odczytać wiadomość przyjaciółki, która brzmiała: „Wow! Popatrz tylko, gdzie się znalazłyśmy!”.

W grupie znajdowało się kilku członków zespołu Karla, który jeszcze nie miał podpisanego żadnego kontraktu. Pozostali, ci, którzy zagarnęli resztę strefy dla VIP-ów, to zespół, który właśnie wydał album; ten, którego przyszedł posłuchać Marco.

- Kebaby, oczywiście, że o was słyszałam! Mój brat przyszedł tutaj, by was posłuchać na żywo. Opowiedzcie mi, jak to jest być w trasie i w ogóle? - zapytała zafascynowana Ella, przyjmując od kogoś kieliszek z szampanem.

Gdy Ella słuchała opowieści o życiu w trasie, do Amber docierało piąte przez dziesiąte. Świadoma była jedynie siedzącego obok Karla, który przerzucił rękę przez oparcie jej krzesła, a nogę trzymał bardzo blisko jej nogi.

Nie chciała słuchać o nikim innym, tylko o Karlu.

- Czym się zajmujesz w zespole?

- To ja jestem zespołem. - Karl wzruszył ramionami, jakby to było coś oczywistego. - Piszę piosenki, śpiewam, gram na gitarze prowadzącej. Zespół to ja.

- Ty także jesteś artystą. - Uśmiechnęła się i ujęła jego dłoń, przesuwając po niej delikatnymi palcami. - Mogłabym cię namalować.

- Mogłbym napisać o tobie piosenkę - powiedział Karl, dotykając drugą dłonią jej twarzy.

Ich twarze dzieliły teraz zaledwie centymetry. Spojrzenie Karla wędrowało po jej płowych włosach, muskało delikatnie jej twarz, aż dotarło do piersi, wyraźnie zarysowanych pod obcisłym T-shirtem, który pożyczyła od Elli.

- Jesteś taka seksowna - wyszeptał.

Jego spojrzenie zawędrowało niżej, omiotło jej talię i krągłość bioder, a potem przesunęło się wzdłuż odzianych w dżinsy nóg. Choć raz Amber nie zawracała sobie głowy unoszeniem jednego uda, tak by noga wyglądała na szczuplejszą. Nie ulegało wątpliwości, że Karlowi podoba się taka, jaka jest, a to uderzało jej do głowy bardziej niż jakikolwiek alkohol.

- Załatwcie sobie pokój! - zawołał ktoś do nich i wszyscy zaczęli się śmiać.

Amber i Karl nie słyszeli żartów ani uporczywego dudnienia muzyki klubowej: zamknięci byli we własnym rytmie, błękitne oczy w pociągłej twarzy wpatrywały się gorąco w szaro-bursztynowe w lekko zaokrąglonej twarzy, a czerwone plamy na jej policzkach nie miały nic wspólnego z makijażem.

Poruszali się w tym samym czasie, ramiona Karla otoczyły talię Amber, jej dłonie uniosły się, by przez cienki materiał koszuli poczuć gorąco jego ciała. Nim palce miały szansę upajać się zarysem mięśni jego pleców, ich usta spotkały się i zaczęły się całować. Nie przypominało to żadnego z wcześniejszych pocałunków Amber: język Karla z wyćwiczoną swobodą wsunął się do jej ust, wyrzucając wspomnienia wszystkich dotychczasowych zaślinionych francuskich pocałunków. Rozpływali się razem, on dłońmi obejmował jej twarz, ona przeczesywała palcami jego włosy. Żar ciał palił im ubrania. I długo potem, kiedy Amber była znowu w stanie myśleć, uświadomiła sobie, że na tym właśnie polega miłość.

Gdy poranny autobus wjeżdżał powoli do miasta, wystrojona Amber siedziała na górnym piętrze i myślała o tym, jak wiele się zmieniło w ciągu minionych dwóch tygodni. Wtedy była dzieckiem, a teraz jest dorosła.

Jest osobą dorosłą w dorosłym związku. Albo przynajmniej niedługo będzie w poważnym, dorosłym związku. Dzisiaj spotykała się z Karlem, by zabrać go do domu, który przez cały dzień będą mieć dla siebie. W niewielkim mieszka-

niu, jakie dzielił z pięcioma innymi muzykami, nie było czegoś takiego jak prywatność. W jej pokoju na Summer Street będą mieć tyle prywatności, ile im się tylko zamarzy. Amber pomyślała przelotnie o tym, jak wyjaśniłaby wszystko matce, gdyby ta wróciła wcześniej z pracy. Już sobie wyobrażała przerażenie na twarzy Faye i jak bardzo by ją bolało to, że została okłamana. Ale Amber odrzuciła od siebie tę myśl. Później będzie się tym martwić. Każdy miał przecież jakieś tajemnice, no nie?

ROZDZIAŁ TRZECI

Od sześciu miesięcy Faye Reid dwa razy w tygodniu wcześniej robiła sobie przerwę na lunch i udawała się na półtorakilometrowy spacer do kompleksu basenowego. Spacerowanie dziarskim krokiem wzdłuż przeszklonych budynków dzielnicy portowej działało na nią uspokajająco. Idąc chodnikiem, z dala od niekończących się telefonów i hałasu pełnej ruchu agencji pośrednictwa pracy, w której pracowała i w której zawsze wrzało jak w ulu, słuchała muzyki, obserwowała, jak mewy dają nura w stronę rzeki, i relaksowała się.

Dzisiaj w przenośnym odtwarzaczu CD miała Billie Holiday. Dźwięczny głos Billie opowiadał o mężczyznach, którzy odeszli, i Faye pomyślała, jak to cudownie, że bez względu na to, który raz słuchała Billie, zawsze brzmiało to tak, jakby ten facet dopiero co odszedł, jakby słyszeć było j jeszcze trzask zamykających się za nim drzwi.

Muzyka bardzo przemawiała do Faye. Dźwięk najbardziej działał jej na wyobraźnię i kilka pierwszych taktów granej w radiu piosenki potrafiło przenieść ją natychmiast tam, gdzie się znajdowała, gdy usłyszała ją po raz pierwszy. Sama śpiewała lekko zachrypłym głosem - niewielu ludzi miało okazję to słyszeć - i potrafiła odtworzyć melodię po zaledwie jednym jej wysłuchaniu. Kiedy była w wieku Amber, śpiewała na okrągło, teraz jednak czyniła to bardzo rzadko.

Ponieważ muzyka potrafiła być także przekleństwem. Nadal istniało kilka piosenek, których nie była w stanie słu-

chać, piosenek, które łamałyby jej serce z powodu niesionych ze sobą wspomnień.

Billie Holiday na szczęście nie należała do tej kategorii, mimo że jej piosenki pełne były bólu.

- Są śliczne i tak dalej, ale takie jakieś depresyjne, mam - stwierdziła Amber w zeszły weekend, mając na myśli upodobanie matki do niezmiernie melancholijnego jazzu.

- Niektóre owszem - przyznała Faye, starając się spojrzeć na nie z punktu widzenia swej córki. Była wyjątkowo ciepła sobota jak na kwiecień i całe popołudnie spędziły w ogrodzie. Amber bardzo chciała choć trochę opalić twarz.

Dzięki żelaznej dyscyplinie, jaką Faye narzucała każdej części swego życia, prace domowe w gospodarstwie pań Reid zawsze były wykonywane na czas. Jeśli jednak chodziło o ogrodnictwo, to Faye nie odróżniała chwastu od kwiatka. Zdarzało jej się żałować, że nie jest choć trochę podobna do Christie Devlin, która przed domem wyczarowała przepiękny ogród z wyłącznie białymi kwiatami. Faye nigdy nie miała okazji widzieć jej ogrodu za domem i tak naprawdę to nigdy nie była w domu Devlinów, jako że słabo się znały, choć od dziesięciu lat mieszkały kilka domów od siebie, ale gotowa była się założyć, że jest równie piękny, z delikatnymi różami i płożącymi się kwiatami, które rozkwitały pod magicznymi dłońmi Christie.

W tę akurat sobotę Faye - ubrana w znoszony, za duży T-shirt i pomarańczową hipisowską spódnicę, która nie wyglądała korzystnie na jej zaokrąglonej figurze - robiła co w jej mocy, by powrywać wszystkie chwasty, jakie była w stanie zidentyfikować. Dla niej wszystko wyglądało jak chwasty. No bo przecież to coś, co wyglądem dziwnie przypominało marihuanę, to nie był kwiat? Choć odkąd w zeszłym roku posiadała kilka opakowań kwiatów polnych, miała większy problem z rozróżnieniem tego wszystkiego. To dopiero byłaby świetna reklama mądrego, samotnego rodzicielstwa: plantacja haszu w ogrodzie Faye Reid.

Uśmiechnęła się szeroko. Gdyby nawet w jej ogrodzie rosło coś nielegalnego, nikt nie podałby w wątpliwość uczciwości arcykonserwatywnej pani Reid, wzoru robiącej karierę zawodową wdowy z także stanowiącą wzór nastoletnią córką. Faye bardzo ciężko pracowała, by wśród sąsiadów zasłużyć na taką opinię. Przekonała się, że samotna kobieta wychowująca dziecko musi się zachowywać bez zarzutu. Nikt nigdy by jej nie oskarżył o próbę odbicia męża albo o pozwalanie swej córce na szaleństwa.

- Podobają mi się piosenki takie jak *Respect* - kontynuowała Amber. Leżała na brzuchu na kocu rozłożonym na trawie. Przed sobą miała otworzony szkolny podręcznik.

- Nie te smutne, w których wszystkie kobiety lamentują, bo nie udało im się za pierwszym razem i już nigdy żaden facet nie spojrzy na nie.

Faye przerwała na chwilę pielenie.

- Musisz pamiętać, Amber, że te stare jazzowe i rhythm-andbluesowe piosenki pochodzą z epoki, kiedy życie było inne, a kobiety nie miały takich samych możliwości, jakie my mamy dzisiaj - rzekła, wycierając ręce w spódnicę, by spiąć ponownie jasnobrązowe włosy. Faye szczególnie zawracała sobie głowę włosami: sięgały ramion, były falujące i od wielu lat niefarbowane, myła je, ciasno spinała i traktowała odżywką, gdy miała czas, co nie zdarzało się zbyt często.

- Nie miały wtedy antykoncepcji ani nadziei na równe płace czy równe prawa. Dlatego też teraz mogą ci się wydawać smutne, ale tak naprawdę były odważne. Uważam, że były feministkami swoich czasów, ponieważ śpiewały wtedy, gdy inni nie uważali tego za odpowiednie zajęcie dla kobiety. Nie miały tego, co my dzisiaj. Wtedy nie wynaleziono jeszcze *girl power*.

- Tak, wiem, ale dlaczego te wszystkie kobiety siedzą tylko i czekają, aż ich kochaś się pojawi? - zapytała z zaciekawieniem Amber, porzucając podręcznik z prędkością wskazującą

na to, że wcale nie była aż tak pochłonięta powtarzaniem równań matematycznych. - W tych piosenkach i starych filmach to kobiety zawsze czekają. Jeśli facet cię nie szanuje, będzie tobą pomiatał. One czekają, by to on wszystko naprawił. To takie pasywne. Nie potrzeba *girlpower*, by to dostrzec.

- Ty i Ella musicie przestać czytać kąciki porad w tych babskich gazetach - jęknęła Faye, ale uśmiechała się. - Sądziłam, że zamierzasz studiować sztukę, nie psychoterapię.

- Bardzo śmieszne. Chodzi mi tylko o to, że niektórzy ludzie pragną zostać uratowani, a szanse na to są nikłe.

Na twarzy Amber malowała się determinacja. Uniosła brodę, pokazując tym samym, że życie będzie musiało się toczyć na jej warunkach, a nie odwrotnie. Faye poczuła w sercu znajomy uścisk matczynego niepokoju. Amber pełna była energii i nadziei, pomimo uważnego studiowania w czasopismach kącików porad.

A co, gdyby pewnego dnia pomimo wysiłków Faye, mających na celu chronienie swej córki, ktoś lub coś zniszczyło tę energię i nadzieję?

- Moja mała sufrażystka. Amber wyglądała na zadowoloną.

- Lubię tak o sobie myśleć - rzekła. - Tyle że ja jestem jej bardziej nowoczesną odmianą. Nie trzeba przykuwać się do ogrodzenia. Cieszę się, że dzisiaj jest inaczej.

Faye nic nie powiedziała. Niełatwo było powiedzieć siedemnastolatce z całym życiem przed nią, że cierpienie i poczucie straty obecne były w każdym stuleciu, bez względu na prawa kobiet. Przysiadła na piętach, zmęczona pieleniem. Gdyby tylko mogła machnąć różdżką i wyczarować śliczny ogród: wtedy by się nim zajmowała. Ale stworzenie go od podstaw to zupełnie inna sprawa.

Jej dom należał do najmniejszych na Summer Street i był pierwszym z ośmiu domków kolejowych ustawionych w szeregu niczym ilustracja w wiktoriańskiej książce. Miały

pomalowane na kolorowo drzwi - ich były niebieskie - rzeźbione szyldy i idealnie kwadratowe okna, takie, jakie namalowałoby dziecko.

Większość tych domków posiadała z tyłu przybudówkę. Przybudówka Faye powiększyła kuchnię, zapewniła Amber pokój w kształcie litery T na poddaszu i zmniejszyła i tak niewielki ogród do rozmiarów pudełka po butach. Składał się na niego mały trawnik, klomby po obu stronach i rozklekotana szopa.

- Nie wyobrażam sobie babci czekającej na to, by mężczyzna naprawił to, co jest nie tak - dodała Amber. - A jej młodość przypadała przecież na inne czasy. To właśnie ona zaprowadza samochód do naprawy, nie Stan. Babcia to dopiero prawdziwy wzór do naśladowania. Opowiadam o niej wszystkim dziewczynom w szkole i uważają, że jest niesamowita. Ciebie także uważają za niesamowitą, mamo, ponieważ nikomu nie pozwalasz, by ci wciskał kit.

- Nie - rzekła Faye, zastanawiając się, czy to będzie jej jedyne epitafium. *Tutaj spoczywa Faye Reid, która nigdy nie pozwalała sobie wciskać kitu.* Kiedy była młodsza, miała nadzieję, że nie tak zostanie zapamiętana, ale teraz najzupełniej jej to odpowiadało. Kiedy była w wieku Amber, pragnęła, aby postrzegano ją jako ekscytującą i olśniewającą, tajemniczą kobietę kochaną przez wielu mężczyzn. Z perspektywy czasu nastoletnie marzenia były naprawdę zabawne, nieprawdaż? Gotowa się była założyć, że Amber nie przyszłoby do głowy, iż jej matka mogła myśleć coś takiego. Przed przyjściem na świat Amber Faye była zupełnie inną osobą niż rozważną, zaniedbaną matką, którą później się stała.

- Babcia też nie - ciągnęła Amber. - A nie o każdym w jej wieku można tak powiedzieć. Babcia Elli od czasu operacji serca każe wszystkim obchodzić się ze sobą jak ze śmierdzącym jajkiem. Ella boi się, że babcia w końcu z nimi zamieszka. Mówi, że aby to wytrzymać, wszyscy będą musieli brać prochy. Cieszę się, że moja babcia taka nie jest.

Owdowiała matka Faye, Josie, kilka lat temu ponownie wyszła za mąż za wdowca, który rozumiał, że jego nowa żona za bardzo przywykła do niezależności podczas tych dwunastu lat, gdy była sama, by ponownie chodzić na pasku mężczyzny. Stan, emerytowany nauczyciel z nieskończonymi pokładami cierpliwości, to spokojny wiaterek w porównaniu z gejzerem energii, jakim była Josie. Udzielała się w Meals on Wheels, organizacji charytatywnej rozwożącej starszym ludziom posiłki po domach, Stan zaś pomagał jej.

- Twoja babcia długo była sama, więc nauczyła się troszczyć o siebie - rzekła w zamyśleniu Faye.

- Tak jak ty.

- Właśnie, tak jak ja.

- Tak sobie myślałam - powiedziała Amber, wymachując nogami - o tym, że tata nie żyje i dziadek nie żyje, a teraz babcia jest żoną Staną i, no cóż... Gdy się idzie do nieba, jak oni to rozwiązują, kiedy się miało więcej niż jednego męża? Chodzi mi o to, że jeśli umrze Stan, a potem umrze babcia, to z kim ona będzie mieszkać w niebie, z dziadkiem czy Stanem? To przecież problem, no nie? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy na religii. Mówiono nam tylko, że wszyscy będziemy szczęśliwi. Ale jak?

- Twoja babcia prawdopodobnie jeszcze nie planuje przenosić się na łono Abrahama - odparła zaskoczona Faye.

- Wiem. Nie mogę znieść myśli, że miałoby jej tutaj nie być. - Amber zadrżała. Była bardzo zżyta z babcią. - Ale jak to działa? Na przykład ty poznajesz kogoś, a tata gdzieś tam w górze czeka na ciebie. On nadal ma dwadzieścia kilka lat, a potem zjawiasz się ty i jesteś już starszą panią, ale masz jeszcze jednego męża, który także czeka, ponieważ kobiety żyją dłużej od mężczyzn, więc on trafia tam pierwszy. Rozumiesz, o co mi chodzi? Już lepsza wydaje się reinkarnacja - dodała

- ponieważ wtedy nie znajdziecie się wszyscy w niebie w tym samym czasie. To ma więcej sensu.

Faye czuła ściskanie w brzuchu, tak jak zawsze gdy Amber mówiła o swym ojcu. Dawno nieżyjącym i ukochanym tacie, który teraz był jedynie fotografią w ramce, mglistą postacią, która nigdy nie uczyniła niczego złego, nigdy nie krzyczała ani nie kazała posprzątać swego pokoju. Nigdy nie powiedział „nie” telefonowi komórkowemu ani nie sprzeciwił się kupnu spódniczki mini, która miała wymiary paska. Nieżyjący nie mogli uczynić niczego niewłaściwego.

- Mam jednak nadzieję, że tata czeka na ciebie w niebie. To fajne. Lubię o tym myśleć - uśmiechnęła się Amber.

- Chodzi mi o was, naprawdę. Żebyście znowu mogli być razem, tak jak w *Titanicu*. Mimo że ta kobieta w filmie na końcu była naprawdę stara, to kiedy dołączyła do nich wszystkich na statku, była znowu młoda i wyglądała jak Kate Winslet. Co było nawet sprytnie pomyślane, no nie? Czy to znaczy, że do nieba trafia się w swojej najlepszej wersji, na przykład w wieku dwudziestu jeden lat, nawet jeśli w chwili śmierci było się bardzo, ale to bardzo starym? Wydaje mi się, że to trochę za wygodne.

Faye wydała w duchu westchnienie ulgi z powodu tej szybkiej zmiany tematu. To oznaczało, że nie musiała omawiać kwestii ojca Amber, czekającego na nią cierpliwie w niebie. Nie znaczy to wcale, że by czekał. Cierpliwość nigdy nie należała do jego przymiotów.

Działo się tak, ponieważ skłamałaby, mówiąc, że on już tam jest, a teraz, gdy Amber była starsza, kłamstwo przychodziło z coraz większym trudem. Dorośli bez przerwy okłamywali dzieci - były to małe, białe kłamstwa dla ich własnego dobra. Ale czas przekształcił białe kłamstwo Faye w olbrzymie i czarne, i teraz nie miała już ochoty go powtarzać.

- Myślę, że cały problem z niebem tkwi w tym, że nikt tak naprawdę nie wie nic na jego temat - rzekła, próbując się

wykręcić. - Masz w nie wierzyć, choć nie masz pewności, jak wygląda. - Tak jak zawsze wierzyłaś mnie, pomyślała zawstydzona. - Mogłabyś zapytać o to Staną. Studiował teologię.

- Chodzi o to, że istnieje tylko jedna osoba, która jest dla ciebie stworzona, twoja bratnia dusza, ta, która na ciebie czeka, no nie? - zapytała Amber. - Ale jeśli ta osoba umrze, to jak można spotkać następną bratnią duszę? Przecież istnieje tylko jedna osoba, która sprawia, że czujesz się spełniony, z którą nie możesz się doczekać, by się spotkać i porozmawiać, prawda? Czyż nie tak jest? A przynajmniej tak mówią - dodała pospiesznie Amber. Ponownie pochyliła głowę nad książką.

Minęło kilka minut i Faye apatycznie wyrwała kilka roślin wyglądających na chwasty, myśląc intensywnie o wizji, jaką miała jej córka: że jej tata czeka radośnie w niebie, aż zjawi się Faye. Amber nigdy nie musiała poznać prawdy, no nie?

- Ella powiedziała raz coś naprawdę szalonego, mamó - przerwała ciszę Amber. - Powiedziała, że może trzeba udawać, że nie jest się niezależną i że to właśnie lubią mężczyźni. Co za bzdety, nie? Dlaczego powinno się udawać? Powiedziałam jej: Ella, trzeba być sobą. - Amber brzmiała poważnie, niczym dawno zamężna matrona tłumacząca wszystko nastoletniej pannie młodej.

- To nie jest w stylu Elli. - Faye znała najlepszą przyjaciółkę swej córki tak, jakby była jej własnym dzieckiem. Podobnie jak Amber była bystra, słodka, odpowiedzialna i nigdy nie przysparzała żadnych kłopotów. - Co ją naszło?

- Nowa dziewczyna Giovanniego, oto co - odparła Amber. - Dannii. Z dwoma „i” i małymi serduszkami zamiast kropek nad nimi. Te serca są bardzo ważne. Miesza w głowie Elli i twierdzi, że powodem, dla którego ona i ja nie mamy chłopaków, jest to, że jesteśmy zbyt mądre i niezależne, a faceci tego nie lubią. - Amber wydała z siebie pełne lekceważenia prychnięcie.

Giovanni był najmłodszym bratem Elli i Faye nasłuchiwała się o tej nowej dziewczynie wystarczająco, by w jej głowie odzywał się cicho dzwonek alarmowy. Giovanni studiował na drugim roku w college'u, był przystojny jak cała w polowie włoska rodzina Elli i Faye wiedziała, że Amber durzy się w nim trochę, pomimo że twierdzi, iż jest nudny. Pojawienie się stałej dziewczyny niewątpliwie odegrało rolę katalizatora, by Amber to sobie uświadomiła. Faye nie miałyby nic przeciwko, gdyby pierwszym poważnym chłopakiem jej córki był ktoś taki jak Giovanni: ktoś, kogo dobrze znała i akceptowała.

- Dannii całkiem nieźle wygląda - przyznała niechętnie Amber - ale jest niczym wrzód na tyłku i non stop kręci się po domu Elli i wygaduje te bzdury. Studiuje zarządzanie, no nie, a kiedy jest z Giovannim, to zachowuje się tak, jakby zupełnie pozbawiona była rozumu. Nie dostaniesz się na zarządzanie, jeśli jesteś kretynem, więc nie wiem, kogo ona oszukuje. Cóż - dodała ponuro - wygląda na to, że Giovanni się na to nabiera. Palant. Dannii powiedziała Elli, że Giovanni to naprawdę ostry facet. Nie można mówić czegoś takiego młodszej siostrze swego chłopaka! Twój brat jest taki seksowny. Fuj. To odrażające. Nie znoszę jej. W ogóle nie ma o niczym pojęcia.

Faye nie odzywała się przez chwilę, czując przemożną ulgę, że rozmowa na temat ojca Amber definitywnie dobiegła końca. Przyjrzała się swojej dotychczasowej pracy. Było pewne, że razem z chwastami wyrwała kilka kwiatów. Jak to jest, że tak uważnie sadzone kwiaty można tak łatwo wyrwać, gdy tymczasem pozbycie się niechcianych chwastów wymaga użycia siły?

- Jeśli zgrywasz przy facecie głupią, chodzi z tobą tylko z powodu tego, jak wyglądasz - rzekła wreszcie Faye.

- Tak właśnie i ja powiedziałam - oświadczyła Amber. - Och, podejrzewam, że Ella tylko głośno myślała. Zresztą

ona i tak nie potrafiłaby grać idiotki. Znosi się na to, że zda egzaminy najlepiej ze wszystkich. - Wspomniawszy o egzaminach, ponownie spojrzała ze znużeniem na podręcznik do matematyki. - To nie jest miłość. Miłość to coś innego. Jeśli jakiegoś faceta interesuje tylko to, jak dziewczyna wygląda, to nie takiego kogoś się chce, prawda?

To było na wpół pytanie, na wpół stwierdzenie.

- Ja też tak uważam - rzekła zdecydowanie Faye. To był bezpieczny grunt: przez całe życie powtarzała Amber, by się ceniła. - Jeśli nie kocha cię taką, jaką jesteś, w takim razie nie jest dla ciebie odpowiedni. Czy ty i Ella poznałyście jakichś fajnych chłopaków? - zapytała lekkim tonem. Bardzo by chciała zapytać, czy podoba jej się Giovanni.

- Nie - odparła pospiesznie Amber.

Gdyby jej matka nie była pochłonięta odczuwaniem ulgi z powodu zmiany tematu, może i zauważyłaby, jak szybko odpowiedziała jej Amber. Tak się jednak nie stało. Wyrywała chwasty i nie dostrzegła na policzkach córki lekkiego rumieńca.

- Nie można powiedzieć, by Summer Street pękała w szwach od fajnych chłopaków w moim wieku. - Amber powachlowała się podręcznikiem, tak jakby to słońce było odpowiedzialne za jej czerwone policzki. - Na ulicy Elli panuje taka sama posucha. Okolica pełna jest głupków i mężczyzn w średnim wieku z oponkami od piwa, które próbują wciągać, gdy ich mijamy.

Brutalne słowa, ale prawdziwe, pomyślała Faye, zduszając śmiech. Nastoletnia uroda Amber i Elli czyniła z nich olśniewający duet: płowe włosy Amber i te niesamowite oczy kontrastujące z włoską urodą Elli. Choć nigdy by w to nie uwierzyły, były oszałamiające - dość przerażająca perspektywa, jeśli się było matką jednej z nich. Ale Amber była taka rozsądna. Faye dobrze ją wyszkoliła. Jak nie popełniać błędów; jak nie dać się zwieść innym ludziom. Tyle tylko że

nigdy nie wyjaśniła córce, skąd jej matka wie, że te lekcje są takie ważne.

- Ludzie spod czterdziestki dwójki sprzedali dom - powiedziała pogodnie, zmieniając temat. - Kto wie, może kupił go przystojny duet „ojciec - syn”.

- Wątpię. Ale wiesz co, masz rację, mogłabyś się spotykać z ojcem. Byłoby super! - rozpromieniła się Amber. - Mogłabyś wracać do domu i opowiadać mi o tym. A ja śmiałabym się i ostrzegała cię, byś na pierwszej randce nie pozwoliła mu na więcej niż pocałunek!

Faye złapała przez pomyłkę za pokrzywę i syknęła z bólu.

- Au!. To nie było mądre - mruknęła nieprzekonująco.

- To poważny temat, mamó - oświadczyła Amber. By pokazać jej, jak bardzo poważny, usiadła ze skrzyżowanymi nogami i popatrzyła z powagą na matkę. - Wiem, jak wiele dla mnie poświęciłaś, ale teraz jestem już dorosła i możesz odzyskać własne życie. Pójdę na studia. Musisz mieć coś własnego.

Ta krótka przemowa brzmiała tak, jakby Amber pracowała nad nią od dłuższego czasu i Faye niemal ponownie chwyciła za pokrzywę, by fizyczny ból zagłuszył to nagłe klucie w sercu. To ona miała delikatnie popychać Amber ku światu, a nie odwrotnie.

Siedemnastolatki miały, być zbyt pochłonięte własnymi problemami, by dostrzegać problemy matki. Skoro Amber nakłaniała ją do prowadzenia życia towarzyskiego, musiał być z niej beznadziejny przypadek. Cóż, matka Faye uważała tak samo.

- Daj spokój, Faye, nie daj się pogrzebać. Ty jeszcze żyjesz - powiedziała kiedyś Josie i to zapoczątkowało największą kłótnię między nimi od czasów sprzed narodzin Amber.

- Daj mi spokój i pozwól żyć po swojemu! Nie wiesz, czego ja chcę - oświadczyła z wściekłością Faye.

Nigdy nie zapomniała słów swej matki. Josie w ogóle tego nie rozumiała. Jej życie z Amber nie było pogrzebaniem się, to było spokojne i pełne zadowolenia życie, w które nie wtrącał się żaden mężczyzna.

- Mówię tylko, żebyś to przemyślała - kontynuowała Amber. - Ja wyjadę i będę się o ciebie martwić, mamó. Nie będzie mnie tutaj stale, tak jak do tej pory, a ty będziesz musiała się czymś zająć. I nie mam na myśli brania nadgodzin - dodała surowo. - Chodzi mi o zabawę. Wychodzenie z domu. Umawianie się na randki. Grace z wielką chęcią umówiłaby cię na randkę w ciemno podczas którejś z tych swoich kolacji, wiesz, że tak jest. Poznałabyś pewnie kilku facetów, których od razu byś znieubiła, ale nigdy nie wiadomo, może znalazłabyś i miłość.

Koniec kazania. Wróciła do podręcznika, Faye zaś poczuła, że ich role uległy odwróceniu. To ona wysłuchiwała od córki kazania na temat życia.

Od tamtego sobotniego popołudnia w głowie Faye nieustannie siedziały słowa Amber.

Wchodząc po wiodących do kompleksu basenowego schodkach, Faye zastanawiała się, czy to było normalne nastoletnie gadanie: zacznij żyć, mamó, ponieważ ja mam taki zamiar i nie chcę się martwić o ciebie. Czy też chodziło o coś jeszcze?

Faye udała się do damskiej przebieralni, wyłączyła muzykę i szybko przebrała się w prosty, granatowy strój kąpielowy. Wszystko robiła szybko i sprawnie.

- Ekonomicznie i precyzyjnie - tak określiła to Grace, co w jej ustach stanowiło rzeczywiście pochwałę, jako że Grace, przełożona Faye w Agencji Little Island, doprowadziła wydajność do formy sztuki.

Ekonomicznie i precyzyjnie czy na granicy obsesji, zastanawiała się czasami, kiedy przeprowadzała w swym gabinecie

rozmowy kwalifikacyjne i widziała, jak kandydaci przyglądają się jej nieskazitelnemu biurku, ze wszystkimi przedmiotami ułożonymi pod odpowiednim kątem względem siebie. Zagracone biurko było oznaką zagraconego umysłu, a Faye nigdy nie miała na to czasu.

Ale czy układanie spinaczy tak, by wszystkie leżały wzdłuż w pudełeczku w szufladzie, świadczyło już o obsesji?

Zamknęła czarną garsonkę w szafce i nałożyła czepek. Nigdy nie przyglądała się sobie w lustrze jak niektóre kobiety w przebieralni, niespokojnie sprawdzające, czy nie wyglądają okropnie w opinającej ciało lycrze albo podziwiające uzyskaną dzięki pływaniu sylwetkę.

W wieku czterdziestu lat, ważąc jakieś dziesięć kilo więcej niż powinna, Faye nie należała do fanek luster. One kłamały. Można było mieć paskudne wnętrza, a mimo to wyglądać pięknie.

Wyszła z przebieralni, weszła na chwilę pod chłodny prysznic, po czym wślizgnęła się do basenu na jeden ze środkowych torów i zaczęła pływać.

Nie zanosiło się na to, by selekcjonerzy pływania powołali ją w najbliższym czasie do udziału w olimpiadzie, ale w ciągu sześciu miesięcy udało jej się osiągnąć to, że za każdym razem przepływała szesnaście długości i wiedziała, że robi to coraz szybciej, pomimo niedociągnięć jej kraula. Czuła także, że jej mięśnie się wzmocniły, choć nie to było głównym powodem zjawiania się na basenie.

W pływaniu najbardziej kochała samotność, jaka panowała na basenie. Nawet jeśli tory były pełne ludzi i woda potęgowała każdy dźwięk, to kiedy miała opuszczoną głowę, a jej ciało przecinało wodę, czuła absolutny spokój.

To był czas dla niej, czas tylko dla Faye.

Sześć miesięcy temu, kiedy zapłaciła wpisowe na kompleks basenowy, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od

siedemnastu lat pozwoliła sobie na coś, co nie przynosiło bezpośrednich korzyści Amber. Nawet używany przez nią odtwarzacz CD należał kiedyś do Amber, która porzuciła go, gdy wreszcie udało jej się zaoszczędzić trochę pieniędzy i kupić iPoda.

Pieniądze, które wydała na opłatę członkowską, mogła spożytkować na coś innego. Amber będą potrzebne zupełnie nowe przybory malarskie na studia i z pewnością będzie też jeździć za granicę do różnych galerii. Nigdy nie było wystarczająco dużo pieniędzy na wszystkie te rzeczy, które według Faye powinna mieć Amber.

Ale ten basen ją do siebie przywołał.

- Szkoda, że ja nie pływam - mówiła Grace, jej szefowa, w te dni, kiedy Faye wychodziła na przerwę na lunch.

Grace i jej mąż Neil razem prowadzili agencję pośrednictwa pracy. Grace z regularną częstotliwością powtarzała, że nie poradziłaby sobie bez Faye, natomiast Neil, który tak naprawdę bardzo mało pracował, był święcie przekonany, że sukces firmy zawdzięcza tylko i wyłącznie sobie.

- Pływanie wydaje się takie proste, płyniesz, płyniesz, a kilogramów ubywa - stwierdziła Grace.

Faye uśmiechnęła się szeroko, wiedząc, że Grace podobał się pomysł ćwiczeń i wyników, jakie one zapewniały, ale nie była zbyt chętna, by rzeczywiście się za nie zabrać.

- Jest lepsze od biegania, nie sądzisz? - kontynuowała Grace. - Nawet lubię biegać, ale mam słabe kostki. Pływanie to mogłoby być to.

- Znudziłoby ci się po tygodniu - odparła Faye. Grace była uzależniona od pogaduszek i robiła się niespokojna, jeśli w ciągu dnia wypełnionego telefonami służbowymi nie zadzwoniły do niej przynajmniej cztery koleżanki. - W pływaniu nie ma nic towarzyskiego. Wkładasz głowę pod wodę i posuwasz się naprzód. Nikogo nie słyszysz i widzisz tylko to, co znajduje się tuż przed tobą.

Często myślała, że to jest jak modlitwa, choć nie powiedziała tego Grace, która gotowa by pomyśleć, że jej podwładna nadużywa jakichś leków. Ale tak właśnie Faye to postrzegała - gdy przemieszczasz się mozolnie w wodzie, istniejesz tylko ty i Bóg, nikt inny.

- Naprawdę? Nie ma ratowników ze *Słonecznego patrolu*?

- Ja bynajmniej żadnego nie widziałam - odparła sucho Faye.

- A zresztą komu potrzebny ratownik ze *Słonecznego patrolu* - powiedziała Grace.

Faye wiedziała, że to jej sposób na zmianę tematu rozmowy, choć była szczęśliwą mężatką, Grace fantazjowała o umiejętnym byczku, któryby nosił ją na rękach. Faye natomiast, która prawie całe ostatnie siedemnaście lat spędziła w pojedynkę, nauczyła się w ogóle nie dostrzegać mężczyzn.

Jeśli chodzi o kwestię mężczyzn, to całą sobą zgadzała się *i*. Billie Holiday: sprawiali zbyt wiele kłopotów. Miała okazję przekonać się o tym na własnej skórze.

W porze lunchu w agencji Little Island często panował ruch, jako że właśnie wtedy pracownicy innych firm mieli okazję wymknąć się z pracy, zjawić się w Little Island, opowiedzieć smutną historię swego obecnego zatrudnienia i przedyskutować możliwości przeniesienia się w inne miejsce, gdzie wreszcie ich zdolności zostałyby docenione.

Dzisiaj jednak, gdy Faye wróciła z basenu - z wilgotnymi włosami i przyjemnie zmęczona - recepcja była pusta z wyjątkiem siedzącej za biurkiem Jane.

- Cześć, Faye - powiedziała pogodnie Jane i wzięła do ręki kilka różowych fiszek. - Mam dla ciebie kilka wiadomości.

Biuro było bardzo nowoczesne i zaprojektowane w taki sposób, by wzbudzać podziw. Na każdym robiła wrażenie

przeszklona winda, czarne podłogi z marmuru i olbrzymi obraz z nurtu sztuki współczesnej, który zdominował recepcję. Faye uważała, że ten obraz wygląda tak, jakby był dziełem dwóch zakochanych wielorybów, które pokryto granatową emulsją i pozwolono im tarzać się przez jakiś czas na wielkim płótnie. Ale jako matka uzdolnionej plastycznie nastolatki wiedziała, że autor raczej nie taki efekt pragnął wywrzeć.

- Ludzie boją się sztuki współczesnej - oświadczyła z satysfakcją Grace, kiedy obraz zawisł na ścianie recepcji.

- Potrafi działać onieśmielająco - przyznała Faye. - Ale jeśli mam być szczerą, to ten akurat obraz jest trochę nudny.

- Może i masz rację - westchnęła Grace - ale pokazuje, jak daleko zaszliśmy. Pamiętaj, że przebyliśmy naprawdę długą drogę od biura tej spelunki, w którym zaczynaliśmy.

Faye pamiętała. Dziesięć lat temu była spłukana po serii posad bez perspektyw i desperacko próbowała znaleźć pracę, w której nie musiałaby stać do późna w nocy za barem. Bardzo była wdzięczna Grace za to, że dała jej szansę w raczkującej agencji pośrednictwa pracy i dbała o to, by jej przełożona nigdy tego nie żałowała. Nikt w Little Island nie pracował ciężiej niż Faye. Ją i Grace połączyła zawodowa przyjaźń, która z każdym rokiem stawała się silniejsza.

- Była barmanka i była królowa bankowości, kto by pomyślał, że nam się uda? - mawiała z uśmiechem Faye. Niewielu osobom pozwalała zbliżyć się do siebie. Grace należała do tego wąskiego grona. No i co z tego, że była towarzyską trzpiotką, miała za męża wstrętnego Neila i witając się, całowała powietrze zamiast policzków - Grace była przynajmniej prawdziwa. Prawdziwa, życzliwa, szczerą. Faye jej ufała, co zapewniało jej miejsce w bardzo niewielkim i ekskluzywnym klubie.

- Powinnaś rzec „była administratorka z branży napojów” - zbesztiała ją Grace. - A poza tym to ty powinnaś być zarządzać tym barem. Gdybyś miała opiekę do dziecka i taką możliwość, na pewno byś to robiła.

Grace знаła historię Faye i wiedziała o tym, że pracowała na posadach bez perspektyw, by sama mogła opiekować się Amber. Znała większość sekretów Faye, jednakże nie wszystkie.

Faye zabrała swoje wiadomości, minęła to, co nazywano teraz Flipper Does Dallas*, i udała się na górę do swego gabinetu, by przygotować się na popołudniowe zebranie.

O trzeciej w poniedziałki i środy odbywały się zebrania personelu agencji Little Island. Grace twierdziła, że dzięki nim wszyscy są na bieżąco, jeśli chodzi o to, co dzieje się w całej firmie.

Robili tak od dziewięciu lat i był to naprawdę świetny pomysł, jako że każdy pracownik czuł się zarówno osobiście zaangażowany w działalność firmy, jak i przez nią doceniany.

- Jesteśmy tyle tylko warci, ile nasze ostatnie zlecenie - przypominała Grace podczas zebrań, na których zawsze głośno było od rozmów do chwili, gdy na stół wjeżdżały babeczki z jabłkami i cynamonem. - To tutaj przychodzą nam do głowy pomysły, w jaki sposób ulepszyć to, co robimy.

Wszyscy pracownicy żywili przekonanie, że pomysłodawczynią tych zebrań jest Grace. Bądź co bądź to ona przed założeniem tej agencji była pracującą w sektorze bankowym szycią i mogła napisać książkę o tym, jak w życiu przeć do przodu.

Kevin, który kierował księgowością, żartował sobie, że mogła ona nosić tytuł *Kto zabrał mój pilniczek do paznokci?* Paznokcie Grace były naprawdę piękne: dziesięć błyszczących beżowych szponów, które wystukiwały capstrzyk na stole w sali konferencyjnej, gdy była poirytowana.

Stuk, stuk, stuk.

Prawda była taka, że to Faye przedstawiła pomysł zebrań personelu krótko po tym, jak rozpoczęła pracę w agencji.

* Aluzja do musicalu *Daisy Does Dallas*.

Grace uważała, że tego dnia gdy Faye wkroczyła do jej życia, musiały czuwać nad nią jej dobre duchy. Grace może i była przedsiębiorcza i posiadała odpowiednie kwalifikacje, ale to Faye sprawiała, że ta agencja funkcjonowała.

Po południu dziewiętnastu pracowników rozsiadło się wokół stołu konferencyjnego i zabrało za omawianie bieżących spraw.

Dzisiejsze zebranie poświęcone było tym kilku trudnym przypadkom, gdzie posady i osoby poszukujące pracy nijak do siebie nie pasowały. Agencja Little Island posiadała systematycznie rozrastającą się listę klientów i tylko trzy firmy, które stwarzały takie problemy; ludzi, dla których żaden kandydat nie był wystarczająco dobry i którzy zmieniali pracowników szybciej niż Imelda Marcos pastę do butów. Prym wśród trudnych klientów, zwanych VIP-ami, co w agencji stanowiło skrót od Very Ignorant People*, wiódł Terence Brooks.

Rozsądniej było przekazywać telefon od niego ze słowami: „To pan Brooks, jeden z naszych vipowskich klientów” i ryzykować to, że zostanie się usłyszonym, niż powiedzieć: „Dzwoni ten upierdliwy skunks z Brooks FX Stockbroking i ja z nim nie mam zamiaru rozmawiać, więc lepiej ty się tym zajmij”.

Terence Brooks, dyrektor zarządzający wyżej wspomnianej spółki, po raz kolejny szukał dla siebie asystentki. To było trzecie podejście w ciągu sześciu miesięcy, jako że poprzednie dwie asystentki postanowiły z dnia na dzień porzucić swoją posadę.

Little Island zajmowało się także dostarczaniem pracowników tymczasowych i nie dalej jak dziś rano Faye rozmawiała przez telefon z obecną podwładną pana Brooksa, która oświadczyła, że przemęczy się jeszcze miesiąc, „gdyż pieniądze są naprawdę dobre, Faye, ale potem zmywam się stamtąd. Ten facet to świnia. Nie, cofam. To nie fair wobec świń”.

* Very Ignorant People - ang. - bardzo prymitywni ludzie.

- Nie mamy w naszych aktach żadnej asystentki, która by mu dogodziła. - Philippa, odpowiedzialna za pana Brooksa, przejrzała ze znużeniem dokumenty. - Po zesłotygodniowych rozmowach znalazłyśmy dwie wspaniałe kandydatki, ale jemu nie spodobała się żadna z nich. Nie wiem, czego on chce.

- Ja wiem. Chce sobowtóra Charlize Theron, który potrafi pisać na maszynie, posługiwać się Excelem i nie ma nic przeciwko temu, by odbierać mu rzeczy z pralni i wysłuchiwać jego sprośnych żartów - stwierdziła Faye.

- Gdyby ktoś taki rzeczywiście istniał, z całą pewnością nie miałby ochoty pracować dla grubego, łysiejącego dyrektora, który zmienia sekretarki szybciej, niż ja zdążę wypalić paczkę silk cutów - oświadczyła zdecydowanie Philippa. Nie znosiła Terence'a Brooksa. Jedyłą osobą, która jakoś z nim sobie radziła, była Faye. Z nieznanых przyczyn udawało się jej powściągać jego najgorsze cechy i spojrzeniem potrafiła go zmusić do posłuszeństwa. Philippa żałowała, że nie umie wwiercać w mężczyzn równie stalowego spojrzenia, jak Faye. Tyle że to stalowe spojrzenie chyba także odstraszało mężczyzn, gdyż przez te wszystkie lata, odkąd Philippa ją znała, Faye zawsze była solo.

- To prestiżowy klient - rzekła delikatnie Faye. - Zarabiamy mnóstwo pieniędzy na Brooks FX i posiadanie tej firmy jako klienta świetnie wygląda w naszych prospektach. Terence to łyżka dziegciu w beczce miodu, ale rozsądek nakazuje z nim współpracować.

Pośrednictwo pracy było delikatną branżą. Znalezienie odpowiedniej osoby na odpowiednie stanowisko w zasadzie nie wydawało się trudne, ale o czym przekonała się Faye w ciągu dziesięciu lat pracy w agencji Grace, w praktyce potrafiło być niemożliwe. Odpowiednia osoba na odpowiednim stanowisku mogła nagle odkryć, że jej przełożony (słodki w dniu rozmowy kwalifikacyjnej) to tyran, który do toalety pozwala

iść tylko dwa razy w ciągu dnia, zabrania stawiania na biurku gorących napojów na wypadek, gdyby kawa miała się wylać na klawiaturę, i uważa, że wypłacając pracownicy pensję, jest właścicielem jej ciała i duszy.

- Odpowiednia asystentka dla Terence'a Brooksa istnieje - powiedziała Faye. - I myją znajdziemy.

- Tylko wtedy, kiedy ktoś stworzy asystentkę robota - mruknęła Philippa. - Taka nie będzie się skarżyć, jeśli będzie się ją szczypać w tyłek.

- On szczypał kogoś w tyłek? - To była ważna informacja dla Faye. Trudni klienci to jedno, ale molestowanie seksualne to zupełnie inna sprawa.

- No cóż... - Philippa wierciła się na krześle. Te słowa wymknęły jej się po prostu. Druga asystentka, którą podesłali Terence'owi, zadzwoniła do niej cała we łzach.

Na twarzy Faye malowało się zacięcie.

- Mów. Ze szczegółami.

Philippa opowiedziała wszystko i poczuła satysfakcję, widząc stalowe spojrzenie Faye.

- Porozmawiasz z nim? - zapytała ostrożnie Grace, także dostrzegając to spojrzenie.

- Porozmawiam.

Zgromadzone wokół stołu kobiety uśmiechnęły się do siebie szeroko. Pan Brooks jak nic dostanie po nosie. Wiele dałyby za to, by mogły być przy tym obecne. Jednakże Faye słynęła z dyskrecji.

Po zebraniu Faye naląła sobie jeszcze jedną kawę i zamknęła drzwi do swego azylu.

Bardzo lubiła swoją pracę. Pośrednictwo pracy idealnie jej odpowiadało, gdyż polegało na przydzieleniu odpowiedniej osobie odpowiedniej posady, a kobiecie, która ręczniki w komodzie lubiła mieć równiuteńko poukładane, rzeczywiście przynosiło to dużo satysfakcji. Ludzie to nie ręczniki, ale życie mogłoby być prostsze, gdyby tak rzeczywiście było.

Prawdziwych umiejętności wymagało przeprowadzanie rozmów kwalifikacyjnych z potencjalnymi pracownikami i ustalenie, czy dana praca i firma okażą się dla nich odpowiednie. Nie posiadając żadnego fachowego przeszkolenia, Faye okazała się stworzona do tej pracy.

- Jest tak, jakbyś po zadaniu tylko dwudziestu pytań dokładnie wiedziała, co to za osoba - stwierdziła kiedyś z podziwem Grace.

- Tak, ale trzeba wiedzieć, jakich dwadzieścia pytań należy zadać - odparła Faye. Była słusznie dumna ze swej umiejętności i jednocześnie trochę ją to bawiło. Nieco osobliwe było to, że w pracy odnosiła sukcesy dzięki temu, iż potrafiła zajrzeć ludziom w głąb ich duszy, gdy tymczasem największe problemy w jej życiu prywatnym wzięły się stąd, że nie była w stanie tego zrobić. - Łatwo jest rozgryźć kogoś, z kim nie łączą cię żadne więzi - dodała. - Można widzieć kogoś pierwszy raz w życiu i dość szybko ocenić, czy ten ktoś jest pracowity, łatwy we współżyciu, niespokojny, czy nadaje się do pracy zespołowej i tak dalej.

Obecnie zajmowali się rekrutacją jedynie personelu biurowego, a na tym rynku panowała zacięta rywalizacja, ale połączenie talentu Faye i smykalki do biznesu Grace oznaczało, że notowania agencji nie słabły. Nie było jednak mowy o rezygnacji z trudnych klientów: potrzebowali każdego możliwego klienta. Ale koniec z tym i Terence Brooks miał się zaraz o tym przekonać. Pośrednictwo pracy to hermetyczna branża, w której wszyscy się znają. Faye zadzwoniła do kilku dawnych kolegów, pracujących obecnie w innych agencjach, i zapytała, jakie plotki krążą na temat Terence'a Brooksa. Piętnaście minut później odłożyła słuchawkę znacznie mądrzejsza.

Myślała przez chwilę intensywnie, po czym wystukała numer do Brooks FX. Została od razu połączona z panem Hioksem, najpewniej dlatego, iż sądził, że ma ona wie-

ści na temat odpowiedniej asystentki z wymaganą aparycją Miss World.

- No i co? - warknął do słuchawki. - Znaleźliście kogoś?

- Nie jestem pewna, czy Little Island to agencja pośrednictwa pracy odpowiednia dla pana - zaczęła spokojnie Faye.

- Co takiego? - Wiedziała, że zaskoczyła go tym. Niewiele agencji mogło sobie pozwolić na rezygnowanie z klienta.

- Jak panu wiadomo, współpracujemy z Davidsonem i Marshałem McGregorem - wymieniła dwie największe spółki maklerskie w kraju, z których każda była w stanie kupić i sprzedać Brooks FX za to tylko, co spoczywało w ich niewielkich kasetach na pieniądze. - I mamy doskonałe relacje z obiema tymi spółkami, pan jednak zdaje się mieć dość szczególne wymagania, panie Brooks.

- Jestem wymagający, to wszystko - odwarknął. - Przysyłacie mi kretyнки. I jeszcze nazywacie się agencją pośrednictwa pracy...

- Pan jest więcej niż wymagający - przerwała mu Faye, czując, jak pulsuje w niej zimna wściekłość. Planowała zrobić to w sposób oficjalny, ale teraz było jasne, że w przypadku pana Brooksa potrzebne jest podejście nieszablonowe. - Ujmę to w ten sposób, panie Brooks. Gdybyśmy oferowali masaż, jestem przekonana, że byłby pan klientem obrażającym naszych terapeutów proszeniem o masaż ze „szczęśliwym zakończeniem”.

- Że co? - wyrzucił z siebie, a Faye uśmiechnęła się szeroko. Szczęśliwe zakończenie oznaczało masaż łącznie z usługami seksualnymi, dostępny jedynie w dzielnicach czerwonych latarni. - Jak pani śmie...?

Najprawdopodobniej jeszcze nikt nigdy nie rozmawiał z Terence'em Brooksem w taki sposób. Już ona знаła takich typków: osoby znęcające się nad słabszymi. I co ważniejsze, teraz znała nawet mniej mile fakty z jego życia.

- Mamy także na względzie naszą reputację, panie Brooks - kontynuowała Faye z lodowatą nutą w głosie. - A od personelu, który posyłał do pana, dowiedzieliśmy się takich rzeczy, że żadne z nas nie chciałoby ich teraz słuchać. Widzi pan, posyłamy pracowników tymczasowych także do agencji zajmującej się równouprawnieniem oraz do kilku czołowych kancelarii prawnych w tym mieście i nie możemy sobie pozwolić na choćby cień skandalu, wiążący się z pana firmą.

- Co pani sugeruje?! - ryknął.

- Współpracujemy także z kancelarią Stanleys - ciągnęła Faye. - To jeden z naszych najlepszych klientów, a ponadto zajmuje się obsługą prawną naszej agencji, więc jeśli przytrafiłyby się jakieś, powiedzmy, nieprzyjemności, udalibyśmy się oczywiście do nich.

Tym razem po drugiej stronie słychać było gwałtowny wdech.

Tak się akurat złożyło, że Stanleys to kancelaria prawna, w której starszym wspólnikiem był teść Terence'a Brooksa. Faye sugerowała między wierszami, że pan Stanley z zapartym tchem wysłuchałby historii o upodobaniu zięcia do obmacywania swych asystentek.

- Co pan na to, byśmy udawali, że ta rozmowa nie miała miejsca, panie Brooks - kontynuowała Faye - my natomiast powrócimy do szukania dla pana asystentki. Jednakże jeśli uda mi się ją znaleźć, pozostanę z nią w stałym kontakcie i zapewniam pana, że spodziewam się, iż każda osoba przysłana przez Little Island będzie traktowana z najwyższym szacunkiem. Jestem przekonana, iż zgadza się pan ze mną, że sprawy o dręczenie i molestowanie seksualne potrafią być nieprzyjemne i czasochłonne?

- O, tak - warknął Terence Brooks, ale słychać było, że uszła z niego wola walki. - Będę z panią w kontakcie, pani Ueid - mruknął i rozłączył się.

Faye z ulgą oparła się na krześle. Wiedziała, że to co zrobiła, było nieetyczne, i że Grace dostałaby zawału, gdyby się o tym dowiedziała, ale czasami niezbędne było nieszablonowe podejście i tym razem na szczęście zadziałało. W kwestiach służbowych nigdy nie miała problemu z myśleniem wykraczającym poza utarte ramy. A bycie twardą stanowiło teraz jej drugą naturę.

Niektórzy uważali, że to bezwzględność, ale tak naprawdę to po prostu instynkt samozachowawczy. Próbowwała zaszcześcić to poczucie w Amber.

- Jesteś odpowiedzialna za siebie - powtarzała jej jak mantrę. - Nie jest mądrze dawać się prowadzić innym ludziom albo robić coś, na co nie masz ochoty, tylko po to, by nie odstawać od reszty. Masz prawo robić to, co chcesz, być tym, kim chcesz i dokonywać własnych wyborów. Wiara w siebie i we własne siły to jedna z najważniejszych rzeczy w życiu.

- Mama Elli mówi, by zachowywała się jak mała dama, nie włóczyła po parku z niegrzeczными chłopcami i że jeśli nieznajomy będzie próbował wciągnąć ją do samochodu, to trzeba krzyczeć - relacjonowała Amber, gdy była młodsza, a jej przyjaciółki uważały, że mantra Faye „bądź swoim własnym szefem” jest super. - Ale Ella uważa, że twoje zasady są lepsze. Powiedziałam jej, że jesteś feministką, ponieważ nigdy nie pozwalasz, by ktoś wszedł ci na głowę. I że jest tak dlatego, że tata nie żyje. Musiałaś być twardsza, gdyż zostałyśmy same.

Faye godzinę poświęciła na papierkową robotę, po czym zajęła się odpisywaniem na e-maile, aż w końcu rozboleły ją oczy od wpatrywania się w ekran komputera. Przyniosła sobie jeszcze jedną kawę, zamknęła drzwi, zrzuciła buty i na kilka minut położyła się na sofie. Była dzisiaj zmęczona. Powód nadal ją martwił. O trzeciej w nocy obudziła ją Amber, która mówiła głośno przez sen, powtarzając stanowczo: „Nie, nie zrobię tego!”.

Faye stała w drzwiach pokoju córki na wypadek, gdyby to nocne mówienie miało przerodzić się w koszmary senne,

tak się jednak nie stało. Amber jeszcze kilka razy mruknęła „nie”, po czym przekręciła się na drugi bok i zapadła z powrotem w milczący sen.

Kiedy była mała, zdarzało się, że w nocy dręczyły ją koszmary i Faye, która nie mogła znieść myśli, że jej córeczka leży samotna i przerażona w swoim łóżku, zabierała odzianą w różową piżamę dziewczynkę do swego pokoju.

Faye wiedziała, że spanie razem z dzieckiem, kiedy jest się osamotnioną, spragnioną uczucia samotną matką, jest wbrew wszystkim książkowym radom. Potrzebowała jednak ukojenia, płynącego z obecności jej małej córeczki, równie mocno, jak Amber potrzebowała jej. Słodycz tego małego ciała, pełne energii nóżki, nadal po dziecięcemu tłusciutkie, dawały Faye siłę. Niezależnie od tego jak trudne mogło być życie, ona poradzi sobie z nim dla Amber. Jej córka zasługiwała na to co najlepsze i Faye jej to zapewni, bez względu na wszystko.

- Mama - mruzczała wtedy Amber swym sepleniącym, dziecięcym głosem, po czym zapadała w głęboki sen, biorąc w posiadanie połowę łóżka, rozkładając się w poprzek.

- Mamo, jak się tutaj znalazłam? - mówiła ze zdumieniem następnego ranka, zachwycona tym, że obudziła się w łóżku matki. A Faye przytulała ją wtedy mocno i razem chichotały i łaskotały się nawzajem. O koszmarze nie wspomiano ani słowem.

Teraz Amber ich nie miewała, jedynie rąż na jakiś czas przytrafiała jej się niespokojna noc, kiedy miała zbyt wiele na głowie, jak na przykład egzaminy albo ubiegłoroczny szkolny koncert, kiedy odpowiedzialna była za malowanie scenografii i siadała na łóżku, mrużąc o tym, że potrzeba więcej niebieskiej farby na niebo.

Sącząc kawę, Faye uznała, że jej córce najpewniej daje się we znaki olbrzymi egzaminacyjny stres. Bądź co bądź zostało już tylko kilka tygodni.

Wiedziałyby przecież, gdyby coś innego trapiło Amber, prawda?

Tyle że ostatnio zaczynała myśleć, że łatwiej zrozumieć zupełnie obce osoby szukające idealnej pracy, niż odkryć, co się dzieje w głowie własnej córki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pięćset kilometrów dalej Maggie Maguire nie miała pojęcia, co kazało jej tego popołudnia udać się do domu, zamiast iść na zajęcia fitness. Karma? Fatum? Przeznaczenie kiwające leniwie palcem?

Nieoczekiwane wcześniejsze wyjście z pracy oznaczało, iż przed wieczornymi zajęciami pilatesu, na które chodziła tradycyjnie w środy, miała rzadką okazję powłóczenia się po sklepach w Galway. Jednak jakaś nieznana siła kazała Maggie przejść obok Extreme Fitness, ominąć szerokim łukiem kuszące cygańskie butiki i udać się do mieszkania, które dzieliła z Greyem. Skromne mieszkanie na trzecim piętrze było jej dumą i radością, zwłaszcza od czasu gdy poszła na całość i pomalowała płytki w maleńkiej łazience na hipnotyzujący błękit Oceanu Indyjskiego.

- Nie można malować płytek - oświadczył Grey, opierając się o drzwi łazienki, bosy i w dżinsach, gdy tymczasem Maggie siedziała na podłodze i czytała instrukcje na puszcze.

Grey miał tego rodzaju posturę, która sprzyjała opieraniu się: długie, długie nogi, szczupły tors i elegancję, która sprawiała, że kobiety przypatrywały mu się, podziwiając zaczesane do tyłu gęste włosy, patrycjuszowską twarz o wyrazistych rysach i inteligentne oczy, które były tego samego koloru, co jego imię*.

* Grey - ang. szary.

- Można. Tutaj jest tak napisane.

Maggie czytała instrukcje przez okulary bez oprawek, marszcząc przy tym nos. Rudawobrązowe włosy spięła dużą spinką, jednakże pojedyncze, niesfornie pasma i tak otaczały jej piegowatą twarz. Choćby do ułożenia włosów użyła cementu, rude kosmyki i tak uciekałyby, by kręcić się wokół jej twarzy.

Grey mówił, że uwielbia jej włosy: były niesfornie, dzikie, piękne i nieprzewidywalne. Tak jak i ona.

Po pięciu wspólnie spędzonych latach Maggie wierzyła mu mimo tego, że jego ostatnie trzy dziewczyny przed nią były blondynkami w stylu Park Avenue z lśniącymi włosami, eleganckimi ubraniami, stanikami push-up i kolekcją butów uporządkowaną za pomocą wykonanych polaroidem zdjęć. Kolekcja butów Maggie uporządkowana była według ich wieku: stare kowbojki z tyłu szafy, nowe z przodu. Jej ubrania były bardziej funkcjonalne niż eleganckie, na czele ze spranymi lewisami. Będąc właścicielką chłopięco szczupłej figury, nie miała wystarczająco dużych piersi, by wcisnąć je do pu-sh-upu. I nikt patrząc na jej jasną, piegowatą cerę i błyszczące oczy w kolorze kobaltowego błękitu, w których widać było dokładnie, co w tej chwili myśli, nie byłby sobie w stanie wyobrazić, by Maggie cechowała choć odrobina wyniosłości typowej dla księżniczki z Park Avenue.

Niestety, bardzo by chciała być taką kobietą: chłodną i z zawsze ułożonymi włosami. Nie potrafiła dostrzec tego, że jej rude loki i oczy należące do pradawnej celtyckiej walecznej królowej były o wiele rzadziej spotykane i znacznie cenniejsze niż kosztowny w utrzymaniu wizerunek olśniewającej blondynki.

- A to ostatni skrawek beżu w tym mieszkaniu. Musi zniknąć - dodała wtedy, otwierając puszkę z farbą i czyniąc wdech, jakby mógł z niej wyfrunąć słony zapach morskiego powietrza, a wraz z nim wspomnienia z egzotycznej plaży.

Kupili to mieszkanie przed dwoma laty, a poprzednim właścicielom podobał się beż, beż i jeszcze raz beż. Maggie stwierdziła, że przypomina to mieszkanie w puszcze z zupą grzybową. Ona dorastała w nieco ekscentrycznym domu na Summer Street, gdzie jej sypialnia pomalowana była na kolor błękitny, zaś na ciemnogrnatowym suficie widniały

gwiazdy. Tata przechodził fazę planetarium i gwiazdy rozmieszczone były we właściwych miejscach. Wielka Niedźwiedzica i Mała Niedźwiedzica nie miały prawa znajdować się nie tam, gdzie powinny, gdy odpowiedzialny za nie był Dennis Maguire.

Łazienka w mieszkaniu w Galway była ostatnim pomieszczeniem, które Maggie skrupulatnie przemałowała. Teraz prym wiodły tu pogodny błękit i biel, niczym w niewielkiej nadmorskiej restauracji z ich ostatnich wakacji, cudownego tygodnia na Szeszelach. Od kilku miesięcy wakacje w ogóle nie wchodziły w grę, jako że byli splukani, ale Maggie przepełniało niemal fizyczne pragnienie poczucia piekącego słońca na skórze i piasku pod stopami.

Potrzebny nam urlop, pomyślała, wychodząc z windy na ich piętrze. Słońce, piasek i żadnych rozmów z poirytowanymi studentami, kiedy się dowiadawali, że jakurat ta książka, której potrzebowali do napisania naprędce wypracowania na temat praktyk pogrzebowych Greków i Rzymian, została już wypożyczona.

Grey wykładał nauki polityczne, Maggie zaś była jedną z sześciu bibliotekarek w ogromnej i nowoczesnej bibliotece Coolidge College. Uwielbiała swoją pracę, gdyż pozwalała jej błądzić myślami po wielu tematach, od medycyny do literatury. Minusem było to, że przed egzaminami poziom stresu studentów wzrastał i ludzie, którzy przez sześć miesięcy zajmowali się opracowywaniem idealnego przepisu na Long Island Ice Tea, który rozgrzałby imprezę, nagle zaczęli wymagać materiałów ze swych kursów. I to na Maggie

skrupiał się ich gniew, kiedy rzeczony materiały zdążyły już zostać wypożyczone przez kogoś innego.

- No, ale ja potrzebuję tego dzisiaj - oświadczyła nie dalej jak dziś rano ładna brunetka, przeczesując szczupłymi palcami włosy, dzięki czemu wyglądała jeszcze lepiej. Maggie zastanawiała się przez chwilę, jakich kosmetyków do włosów używa ta dziewczyna, ale nie zapytała jej o to.

Zamiast tego rzekła:

- Naprawdę mi przykro, ale nie jestem w stanie pani pomóc. Mamy tylko dwa egzemplarze i obydwa są już zarezerwowane na każdy dzień w przyszłym tygodniu. W przypadku niektórych podręczników trzeba wcześniej dokonywać rezerwacji.

- Wielkie dzięki - warknęła sarkastycznie dziewczyna. - Muszę przyznać, że naprawdę mi pani pomogła.

Po czym odmaszerowała rozeźlona.

- Nie da się wszystkim dogodzić - powiedziała ze współczuciem Shona, która z nią pracowała. - No ale w końcu nie wygląda ona najgorzej, więc zawsze może się przespać ze swoim profesorem, jeśli kiepsko jej pójdzie na egzaminie.

- Shona! To takie seksistowskie. Wydawało mi się, że czytasz *Kobiecego eunucha*?

- Przeczytałam i bardzo mi się podobało, ale teraz zabrałam się za nową Jackie Collins. Wiem, że Germaine Greer nie pochwaliłaby tego, ale przespałabym się z moim profesorem, gdybym dzięki temu mogła mieć lepszą ocenę - odparła Shona z nutką nostalgii w głosie. - Wprost emanował seksem, więc nie byłoby to jakimś szczególnie ciężkim doświadczeniem. - Shona miała dyplom z literatury amerykańskiej. - Kiedy mówił o *Jądrze ciemności*, kryjącym się w każdym z nas, przysięgam, że czułam, jak dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa aż do majtek.

Tak naprawdę Shona była szczęśliwą mężatką, ale także niepoprawną flirciarą i trzepotała rzęsami na widok każdego

przystojnego faceta, pomimo wielu nużących rozmów z kierowniczką biblioteki na temat właściwego zachowania w miejscu pracy. Jej motto brzmiało: „Tylko dlatego, że już zjadłam, nie oznacza, że nie mogę sobie popatrzeć na menu”.

Na szczęście jej mąż, Paul, za którym szalała i którego nigdy by nie zdradziła, był tym wszystkim jedynie rozbawiony.

- Profesorowie nie uprawiają seksu ze studentkami, chyba że w chorej wyobraźni ludzi twojego pokroju - odparowała Maggie. - Poza tym ona jest na trzecim roku historii. Widziałaś profesora Wolfowitza? Błyskotliwy, owszem. Podniecający w żadnym wypadku. Jest zupełnie łysy z wyjątkiem jednej brwi. Za każdym razem gdy go widzę, mam ochotę wyrwać kilka włosków ze środka i dać mu dwie brwi zamiast jednej.

- Maggie, Maggie - westchnęła Shona. - Ta brew jest nieistotna. Robienie kariery przez łóżko nie ma absolutnie nic wspólnego z wyglądem osoby, która ma władzę. Może i nosisz zdarte kowbojki i zgrywasz twardzielkę, ale w głębi duszy jesteś Słabo Kapującą Barbie. W twoim ciele nie ma ani odrobiny wyrachowania, z wyjątkiem oczywiście chwil, kiedy wkłada je w ciebie napalony doktor Grey Stardey. - Shona zaśmiała się głośno z własnego żartu.

Maggie jęknęła. Zdażyła się już przyzwyczaić do Shony. Zostały przyjaciółkami od razu pierwszego dnia w bibliotece, gdzie odkryła, że drugą specjalizacją jej nowej przyjaciółki było Przekomarzanie się: ukończone z wyróżnieniem. Teraz Maggie przechyliła się i pacnęła linijką ramię Shony.

- Smarkula.

- Słabo Kapująca Barbie.

- Zdzira.

- Och, dziękuję ci - odparła Shona, udając, że się tym pyszni. Zaszokowanie jej było czymś niemożliwym. - Shona 0'Zdzira, podoba mi się. No dobra, zamieniłabyś się ze inną godzinami? Wiem, że dzisiaj jesteś tu do szóstej, ale ja

zostanę, a ty wyjdiesz wcześniej, jeśli zgodzisz się zostać jutro po południu za mnie. Mogłabyś spędzić dodatkową godzinę na doskonaleniu swego ciała w Extreme Fatness* - kusiała ją.

Shona jeden jedyny raz udała się razem z Maggie do klubu fitness i w ogóle jej się nie spodobało, stąd ta nowa nazwa.

- Wychodzicie gdzieś z Paulem? - zapytała Maggie.

- Będę służyć ramieniem do wypłakania się - poinformowała ją Shona.
- Ross rozstał się z Johannem. - Ross był fryzjerem, który zajmował mieszkanie pod Shoną i Paulem, a że Shona uwielbiała towarzystwo gejów, Paul miał okazję oglądać w spokoju mecze piłki nożnej w telewizji, gdy tymczasem ona i Ross siedzieli piętro niżej, oglądając po raz kolejny stare odcinki *Willa & Grace* i radośnie plotkując. - Jest niepokieszony, mimo że przez cały ten czas gdy ze sobą chodzili, skarżył się na to, jak mało wrażliwy jest Johann i że nie lubi Nurejewa. - Nurejew był ukochanym zwierzątkiem Rossa, królikiem, który był rozpuszczony jak dziadowski bicz i miał swoją własną torbę od Vuittona do transportu królików, a także purpurową obrożę z aksamitu z diamentami tworzącymi jego imię. Mieszkał w luksusie w kuchni Rossa urządzonej w stylu Phillippe'a Starcka i był nauczony korzystania z kociej kuwety. - Jednakże ktoś jest najbardziej cudowny wtedy, gdy cię porzuci, no nie? Robimy imprezę, by pomóc mu to przeboleć.

- W środę?

- Dzień zgryzoty, skarbie, jak by powiedział stary Wiking. Pasuje jak każdy inny.

- Kto się opiekuje Nurejewem?

- Zostawimy mu włączone Discovery. Uwielbia te wszystkie programy o surykatkach.

* Fatness - ang. tusza.

Maggie nadal śmiała się, wyobrażając sobie chmurnego królika z nosem przyklejonym do telewizora, kiedy podeszła do drzwi mieszkania i wyjęła klucze.

Zasuwa była otworzona. Pomyślała z uśmiechem, że widocznie Grey wrócił wcześniej do domu. To dobrze, bo będą mogli spędzić razem rozkosznie długi wieczór. Świetna robota, Maguire, pomyślała, wchodząc do mieszkania. Czasem dziewczyna powinna wiedzieć, kiedy opuścić zajęcia z rozciągania na macie, by móc porozciągać się na łóżku. I pomimo całej swej intelektualnej otoczki Grey znał takie ruchy miednicy, jakich instruktorka pilatesu nigdy nie uczyła. Choć właściwie to Grey miał być teraz na zebraniu - może zostało odwołane?

- Nie powinienem wrócić zbyt późno, kochanie - powiedział jej wcześniej przez telefon. - Ty idziesz wieczorem na fitness, więc w drodze do domu kupię na wynos jakieś tajskie jedzenie.'

Grey był zwolennikiem dzielenia się obowiązkami w kuchni, choć preferował kupowanie czegoś na wynos niż ślęczenie nad kuchenką i mieszanie w garnkach.

Do uszu Maggie dobiegły jakieś przyciszone odgłosy. Pochodziły z sypialni. Pomyślała, że Grey pewnie ogląda telewizję. Po drodze rzuciła torebkę na podłogę, zakiet na sofę, przecięła niewielki salon, przeszła korytarzem i pchnęła drzwi do sypialni.

Drzwi nie zdążyły się jeszcze otworzyć do końca, kiedy Maggie zamarła na progu.

Grey leżał na łóżku nagi, a na nim siedziała kobieta, także naga.

Włosy kobiety wisiały niczym aksamitna zasłona, erotycznie częściowo zasłaniając ciało modelki bielizny ze szczupłą talią i sterczącymi, idealnymi piersiami w rozmiarze C.

Trzy buzie otworzyły się ze zdumieniem. Maggie kręciła głową, starając się przetrwać to, co widzą jej oczy. To było niczym jakaś sprytna ilustracja w gabinecie psychoanalityka, dziwaczna, zagmatwana scenka naszkicowana po to, byś kwestionował wszystko, co znasz: co jest nie tak z tym obrazkiem?

No cóż, panie doktorze, to nasze łóżko z naszą kołdrą zrzuconą na podłogę i mój stolik w takim stanie, w jakim zostawiłam go rano, z leżącą na nim otwartą książką. I jest tam też zdjęcie przedstawiające mnie i Greya przed katedrą w Barcelonie, ale w łóżku znajduje się jakaś obca jasnowłosa dziewczyna z niewiarygodnym ciałem wygiętym w łuk nad moim chłopakiem, który ma, no cóż, erekcję. I naprawdę nie istnieje żadne inne wyjaśnienie tego wszystkiego z wyjątkiem oczywistego.

- Maggie, tak bardzo mi przykro, w żadnym wypadku nie miałaś tego zobaczyć, za nic bym cię nie skrzywdził - powiedział szybko Grey, wydostając się spod blondynki tak szybko, że aż pisnęła.

Maggie nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Patrzyła jedynie z niedowierzaniem.

Uważano, że politycy znakomicie sobie radzą z wyplątywaniem się z kłopotliwych sytuacji. Być może Grey oprócz analizy struktur światowych potęg i globalizacji nauczał także tego. A może gorącym nowym przedmiotem była gimnastyka nago ze studentkami.

Żółć podeszła Maggie do gardła. Odwróciła się bez słowa i pobięła do maleńkiej łazienki, z której odmalowania była taka dumna. Studentka. Ta dziewczyna musiała być jedną ze studentek Greya. Możliwe, że przyszła wcześniej do uczelnianej biblioteki i przyjrzała się z wyrachowaniem siedzącej za biurkiem Maggie, konstatając z zadowoleniem, że jej rywalka jest starsza. Być może zastanawiając się, co Grey widzi w trzydziestoletniej Maggie z plątaniną niesfornych włosów, gdy tymczasem może mieć dwudziestojedynolatkę z jedwabi-

ście gładkimi włosami jak z reklamy szamponu, boską figurą i brzoskwińską, emanującą młodością cerą.

Studentki zawsze durzyły się w Greyu. Razem żartowali sobie z tego, ponieważ pomimo opowieści Shony wydawało się to takie zabawne. Greya lata świetlne dzieliły od wizerunku staroświeckiego wykładowcy z wełnistymi włosami, kiepsko dopasowanymi marynarkami i skarpetkami nie do pary. Kiedy poznali się przed pięciu laty, Maggie stawiała pierwsze kroki w Galway, i trudno jej było uwierzyć w to, że Grey ma doktorat z nauk politycznych. Na przyjęciu uczelnianym z okazji rozpoczęcia nowego semestru wyróżniał się pośród statecznie ubranych profesorów. Miał na sobie dżinsy, a wokół szyi dwa wąskie rzemyki, do których doczepiony był kawałek obsydianu, błyszczący jak jego mgliste szare oczy. Maggie miała już okazję słyszeć o doktorze Greyu Stanleyu, błyskotliwym myślicielu, który opierał się próbom różnych liderów politycznych namawiających go, by służył radą ich partiom, i który był autorem wielu poczytnych artykułów na temat stanu państwa. Nikt ani słowem nie wspominał o tym, jak niezmiernie jest przystojny.

- Hej, Ruda - odezwał się wtedy, dotykając długimi palcami jej rudobrazowych włosów. - Mogę ci przynieść kieliszek octu pełniącego tutaj funkcję wina?

Maggie, wyjątkowa chłopczyca, której długie do ramion włosy były jednym z niewielu ustępstw na rzecz kobiecości, w normalnych okolicznościach zabiłaby wzrokiem każdego obcego faceta, który ośmielił się ją dotknąć. Ale ten mężczyzna, towarzyszące mu gorąco i męskość sprawiły, że miała kłopot *i*, oddychaniem, nie mówiąc o posyłaniu morderczych spojrzeń. Wypuściła z płuc powietrze, nagle ciesząc się z tego, że założyła czarną bluzeczkę na ramiączkach z dekoltem opuszczającym się nisko na jej małe piersi. Materiał wyraźnie kontrastował z jej mlecznobiałą skórą, typową dla rudzielców. Czasami żartowała, że jest tak biała, że niemal niebieska.

Grey wpatrywał się w nią w taki sposób, jakby mleczna biel nakrapiana maleńkimi piegami była jego ulubionym kolorem. Przyjęcie w pełnej przeciągów auli campusu pełne było fascynujących, bystrych ludzi z IQ wychodzącym poza skalę, a on wybrał ją. Nawet teraz, nieważne ile razy Shona mówiła jej, że jest piękna i że Grey Stanley to szczęściarz, skoro mają, Maggie kręciła głową. Wiedziała, że jest dokładnie na odwrót.

- Maggie...

Gdy zatrzasnęła za sobą drzwi do łazienki i przekręciła klucz, usłyszała pełen niepokoju głos Greya. Praktycznie w ogóle już nie nazywał jej Rudą. Ruda była dziewczyną, w której się zakochał, zadziornym, niezależnym rudzielcem nie potrzebującym nikogo w swoim życiu, bez łaski. Tak bardzo się różniła od księżniczek z Park Avenue, że musiała mu się wydać wyzwaniem, któremu nie był w stanie się oprzeć. Ale pięć lat bycia w związku chirurgicznie usunęło jej niezależność i teraz uświadomiła sobie, że stała się taka, jak tygrys w zoo: rozleniwiony niewolą i nie będący w stanie przeżyć na wolności.

Pochyliła się nad muszlą klozetową i do gardła podeszły jej resztki kurczaka z lunchu. Wymiotowała, aż nie zostało w niej nic oprócz poczucia straty i strachu.

Ponownie była dawną Maggie, tą, która nie nauczyła się jeszcze skrywać lęku pod maską zadziorności. Głupią Maggie, której nigdy nawet do głowy nie przyszło, że Grey mógłby ją zdradzić. Tak jak Głupiej Maggie sprzed wielu lat. Szokiem było dla niej to, że znowu tak się czuła. A taka była pewna, że zostawiła to wszystko za sobą. Powróciło wspomnienie lat spędzonych w Świętej Urszuli, kiedy jej życie było jednym długim pasmem prześladowań. Przeżyła cztery lata piekła i naznaczyło ją to na zawsze. Teraz znalazła się tam ponownie - zataczająca się z szoku, ogarnięta mdłościami ze strachu.

Kiedy już nie była w stanie wymiotować, osunęła się na podłogę. Stwierdziła, że z tej dziwacznej pozycji łazienka wygląda całkiem nieźle. Kolory były ładne i wszystkie płyt-

ki zostały tak starannie pomalowane. Nawet Grey tak powiedział.

- Marnujesz się w uczelnianej bibliotece - zaśmiał się w dniu, gdy skończyła malowanie. - Powinnaś mieć własną firmę dekoratorską. Królowa Farb: specjalizująca się w beznadziejnych przypadkach. Twój tata mógłby być konsultantem.

Grey widział i podziwiał sufit-planetarium w jej dawnym pokoju w domu na Summer Street. - Śliczny - stwierdził i dodał żartobliwie, że jej rodzice są uroczo ekscentryczni, choć na pozór wydają się konserwatywni.

Rodzice Greya byli prawnikami, obecnie rozwiedzionymi. Dorastał w otoczeniu pieniędzy, antyków i gospoś. Nie była w stanie wyobrazić sobie, by jego noszący spinki przy mankietach ojciec uczynił coś równie prozaicznego, jak wymalowanie gwiazd na suficie dla swego syna. Albo jego matki, która jasne włosy miała obcięte na pazia i dwa razy w tygodniu chodziła do fryzjera, tłumaczącej bez tchu, że właśnie zarobiła siedemdziesiąt pięć dolarów na obligacjach, i planującej, co zrobi z tymi pieniędzmi.

- Moi rodzice nie są ekscentryczni - rzekła wtedy do Greya. - Są po prostu pełni entuzjazmu, interesują się różnymi rzeczami...

- Wiem, kochanie. - Miał skruszoną minę. - Przepadam za twoimi rodzicami. Są wspaniali.

Dotarło do niej, że Grey miał rację. Jej rodzice nie byli światowi ani przebiegli. Byli nieskończenie naiwni i niewinni i wychowali ją na swoje podobieństwo. Na osobę ślepo ufającą.

Oparła głowę na kolanach, starając się o niczym nie myśleć. Otumanić mózg. Skoncentrować się na płonącej świeczce. Czyż nie na tym polegała ta sztuczka?

Jakieś dźwięki rozbrzmiały na korytarzu, przyciszone glosy, odgłos zamykanych drzwi wejściowych. Odezwał się Grey. Głos miał niski i niespokojny:

- Maggie, wyjdź, proszę. Powinniśmy porozmawiać, kochanie.

Nie odpowiedziała. Nie próbował otworzyć drzwi, ale cieszyła się, że zamknęła je na klucz. Zupełnie nie miała pojęcia, co by mu powiedziała, gdyby go zobaczyła. Przez jakiś czas panowała cisza.

Wrócił po półgodzinie i tym razem jego głos był twardszy. Mówił bardziej jak wykładowca niż skruszony chłopak.

- Wychodzę, by przynieść nam jakieś tajskie jedzenie. Nie możesz tu siedzieć przez cały wieczór.

- Mogę! - wrzasnęła Maggie z niezwykłą jak na siebie złością. Jak on śmie jej mówić co może, a czego nie może robić.

- Możesz tu spędzić cały wieczór - rzekł cierpliwie Grey tonem, którego używał podczas wyjaśniania trudnych pojęć głupim ludziom na przyjęciach - jeśli tego właśnie pragniesz, ale powinnaś wyjść i coś zjeść. Niedługo wrócę.

Ponowny trzask drzwi wejściowych.

Być może wyszedł zadzwonić do swej ponętnej studentki? Powiedzieć, że Maggie się z tego otrząśnie i wtedy wszystko wróci do normy.

- Będziemy musieli chodzić do ciebie zamiast do mnie.

Jednakże Greyowi mogłoby się to aż tak bardzo nie podobać, gdyby musiał bzykać swoją kochankę w jakimś paskudnym, studenckim pokoju. Lubił gładką świeżość czystej pościeli, prysznic z biczami wodnymi i drewniane podłogi, po których można chodzić bosy, nie zastanawiając się, ilu ludzi wcześniej chodziło po nich, zostawiając po sobie płatki suchego naskórka. Przed poznaniem Greya Maggie zupełnie obcy był świat prześcieradeł z egipskiej bawełny o gęstym splocie. Dla niej istniały tylko dwa rodzaje prześcieradeł: z gumką i zwykłe.

Maggie przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Nic. Przekręciła klucz w drzwiach, otworzyła je, wyszła i rozej-

rzała się po mieszkaniu, myśląc, że nie wygląda ono już jak dom jej marzeń, a jedynie szablonowe mieszkanie próbujące emanować luksusem i innością, ale i tak wyglądające dokładnie tak, jak u sąsiadów.

Wszystko co się tu znajdowało, udało jej się zdobyć przy ograniczonych możliwościach finansowych, od kupionej na przecenie lawy w stylu afrykańskim do powłoczek na poduszki z marokańskiego jedwabiu, które kupiła na straganie i które z czasem zrobiły się pierzaste od powyciąganych nitek. Pomimo prestiżu towarzyszącego byciu wybitnie błyskotliwym doktorem na uczelni, na którego wykładach sale zawsze były pełne, Grey nie zarabiał dużo.

Za pracę w bibliotece płacono jeszcze mniej. Ale Maggie przyzwyczajona była do tego, że nie ma pieniędzy. Tak właśnie dorastała. Wiązanie końca z końcem, dawanie sobie rady: to były słowa, które towarzyszyły jej dzieciństwu. Jej rodzinny dom był pełen szczęścia pomimo braku pieniędzy i błyszczących, nowych rzeczy, które miała część jej koleżanek. Pieniądze nie były dla niej ważne. Miłość, poczucie bezpieczeństwa i szczęście-owszem. Tak bardzo się starała uczynić ich mieszkanie pięknym, duszą ich miłości. Jakąż się to okazało stratą czasu.

Wciąż odrętwiała opadła na niską kanapę i zastanowiła się, co powinna teraz zrobić. Wynieść się stąd? Czy może poczekać na Greya i wykrzyknąć mu, że skoro to on ją zdradził, powinien się wyprowadzić.

W Życiowym Poradniku Maggie nic nie było napisane na ten temat.

Powiedziałby jej, żeby nie była głupia. Niemalże słyszała, jak to mówi wyważonym tonem, który czynił każdy wysuwany przez niego argument przekonującym.

- No naprawdę, Maggie, posłuchaj siebie. Pochopne działanie jest kompletnie pozbawione sensu. Pomyśl o tym, nic poddawaj się jakiejś prymitywnej, emocjonalnej reakcji. To był jedynie seks.

Jedynie seks. Ktoś najpewniej napisał na ten temat całą pracę: jak „jedynie seks” dawał się czasem uzasadnić. Jeśli partner, o którym mowa, wyjechał; jeśli potencjalna uczestniczka bzykania była wyjątkowo atrakcyjna; jeśli nikt by się nigdy nie dowiedział.

Nawet mając otwarte oczy, Maggie wciąż widziała Greya i tę blondynkę na jej łóżku, wyobrażała sobie wszystko: jęki rozkoszy blondynki zbliżającej się do orgazmu; słowa Greya: „Och, skarbie, och, skarbie, tak jest dobrze”. Słowa, które mruczał do Maggie, jej słowa. Ale już nigdy nie byłyby znowu prawdziwie jej.

Choć w żołądku nie zostało już nic, Maggie poczuła, że znowu zbiera jej się na wymioty. Nie, nie zaczeka na niego, by wysłuchać jego wyjaśnień. Podniosła torebkę z miejsca, gdzie tak radośnie zostawiła ją, jak jej się wydawało, całe życie temu, po czym wybiegła z mieszkania. Jeśli się znajdzie gdzieś indziej, w miejscu gdzie każda ozdoba nie będzie jej przypominać Greya, może i uda jej się zastanowić nad tym, co dalej robić. Ulicą jechał autobus, autobus na plażę Salthill. Bez chwili wahania podbiegła na przystanek i wsiadła do pojazdu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na Summer Street słońce przesunęło się po popołudniowym niebie. Ogród Christie Devlin skąpany był w złotej poświacie, która rozświetlała aksamitne róże i przekształcała pomalowane na kremowo treliaze w lśniące białe. Takie właśnie popołudnia kochała Christie.

James zadzwonił, by powiedzieć, że zdążył na wcześniejszy pociąg i że powinien wrócić do domu przed siódmą zamiast o dziewiątej. Listonosz zjawił się po południu z naręczem katalogów, które Christie lubiła przeglądać wieczorami, wybierając przydatne rzeczy, które kupiłaby, gdyby ją było na nie stać. Psy zbyt wymęczone gorącem, by głośno domagać się kolejnego spaceru, z zadowoleniem wylegiwały się w cieniu kuchennych drzwi. Spały słodko, a ich łapki co jakiś czas podrygiwały.

Siedząc na niewielkim tarasie ze szklanką mrożonej herbaty, Christie powinna sprawdzać wypracowania z historii sztuki na jutro rano, ale nie była w stanie się skoncentrować.

Upał, wspaniałość ogrodu, wcześniejszy powrót Jamesa do domu, nic nie miało znaczenia. Nic z wyjątkiem strachu, który skrywał się w niej, ciężąc niczym kamień i mówiąc, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

W swej kuchni dwanaście domów dalej Una Maguire stała na krześle, szukając w szafce wiszącej obok lodówki zapasowej

puszki proszku do pieczenia. Na kiermasz kościelny postanowiła upiec biszkopt królowej Wiktorii, a w starej puszcze została już tylko resztką proszku.

- Dennis, znowu myszkowałeś w moich szafkach? - zawołała wesoło do męża. To był żart. Ich córka, Maggie, doskonale wiedziała, że Dennis Maguire ledwo potrafi otworzyć kuchenne szafki, a jego jedynym obowiązkiem jest zmywanie naczyń i ich wycieranie. Nigdy nie odkładał na miejsce naczyń, które wytarł. Zajmowała się tym Una. Przez wiele lat była to praca Maggie w linii produkcyjnej zmywania i wycierania, ale ona już od dawna żyła własnym życiem, a obowiązek ten ponownie spadł na Unę.

- Nawet ich nie tknąłem - odkrzyknął Dennis z salonu, gdzie dokonywał ostatnich poprawek przy modelu samolotu Spitfire, którego sklejenie zajęło mu dwa tygodnie. Wszystkie szczegóły zgadzały się: Dennis sprawdził to w *Przewodniku po samolotach*.

- Nie wierzę ci - przekomarzała się Una, sięgając ponad paczką kaszy manny, gdyż była pewna, że dostrzegła błysk czerwonego metalu puszki z proszkiem do pieczenia. Z zaskakującą szybkością krzesło przechyliło się, Una straciła grunt pod nogami i upadła na podłogę, całym ciałem na lewą nogę.

Natychmiast poczuła ogromny ból. Okrutnie przeszywający, jakby wsuwało się w nią ostrze noża.

- Dennis - jęknęła, wiedząc, że to coś poważnego. - Dennis, chodź tutaj szybko.

W zaciszu swego pokoju na Summer Street 18 Amber Reid leżała w ramionach swego chłopaka. Słyszała wycie ambulansu jadącego ulicą do domu Maguire'ów, nie czuła jednak potrzeby wyjrzenia przez okno i sprawdzenia, co się dzieje. Świat nie istniał poza granicami jej łóżka, wciąż ciepłego po ich kochaniu się.

- O czym myślisz? - zapytała Karla.

Nie była w stanie się powstrzymać, mimo że każda gazeta, którą zdarzyło jej się czytać, twierdziła, że tego rodzaju pytanie to Kiepski Pomysł. Nie uważała się za osobę namolną, ule w tym intymnym momencie po kochaniu się było coś takiego, co sprawiało, że chciała wiedzieć. Przed chwilą fizycznie stanowiła część Karla. Pragnęła być także w jego głowie, już zawsze stanowić część niego.

- O niczym. Może tylko, jaka jesteś piękna.

Karl poruszył się, kładąc nogę na jej nogach, unieruchamiając ją.

Gdy poczuła w podbrzuszu kolejną falę gorąca, Amber uświadomiła sobie, że nie ma nic bardziej erotycznego od dotykających się nagich ciał. A już leżenie po najbardziej niesamowitym kochaniu się było niemal nie do opisanania.

Przebiegła zaciekawionymi palcami po jego rozbudowanej klatce piersiowej, wyczuwając zarys mięśni i wrażliwe brodawki, tak bardzo różne od jej.

Widowała już wcześniej męskie ciała, ale nigdy zupełnie nagie, z wyjątkiem obrazów lub rzeźb wykonanych z najlepszego marmuru carrara. A marmur różnił się od ciepłego, żywego piękna ciała mężczyzny obok niej, w niej. Ponownie ogarnęło ją pożądanie. Dlaczego nikt jej nie powiedział, że kochanie się może być właśnie takie? Podczas tych wszystkich pogadanek na temat ciąży, AIDS i emocjonalnej gotowości nikt nie wspomniał o tym, jak bardzo jest to wszystko uzależniające.

- Powinniśmy wstać - odezwał się Karl. - Jest po szóstej. Twoja matka wróci niedługo do domu.

O wpół do siódmej, tak wcześniej powiedziała Amber. Jej matka żyła według ścisłego harmonogramu. Szósta trzydzieści w domu, przebrana z biurowych ubrań o szóstej trzydzieści pięć, obiad na stole - oczywiście przygotowany wieczór wcześniej - o siódmej.

Amber kiedyś bardzo lubiła poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała im ich wieczorna rutyna. Dzięki niej dom zdawał się być schronieniem. Niezależnie od tego co działo się na świecie, o siódmej jej matka stawiała na stole obiad. Ale ostatnio Amber przyłapała się na zwierzaniu Elli, że kiedy wyprowadzi się z domu, już nigdy w życiu nie będzie mieć tak ściśle napiętego planu, jak jej mama. Życie polegało na tym, aby być wolnym duchem, a nie niewolnikiem zegarka czy kuchennych produktów do szorowania. Nie mogło też upływać na wysłuchiwanie częstokroć powtarzanego zdania, że „porządne wykształcenie wszędzie cię zaprowadzi, Amber”.

W chwili obecnej wykształcenie wydawało się nagle takie nudne. Postrzeganie życia przez jej matkę było duszące i nie było od niego ucieczki. I mama nie znosiłaby Karla, który był wolnym duchem, nie znosiłaby go za to wtargnięcie do ich ściśle uporządkowanego życia. Już nie będą one dwie. Teraz będzie inna dwójka, postanowiła stanowczo Amber: ona i Karl.

Prześlizgnęła się, aż udało jej się usiąść okrakiem na Karlu. Jej długie płowe włosy wisiały nad jego lekko opalonymi ramionami.

- Nie musimy wstawać - rzekła, uśmiechając się. - Mamy jeszcze mnóstwo czasu. - Tak wiele mogli zrobić podczas tych cennych dwudziestu minut. - A jeśli mama wróci do domu wcześniej, zawsze możesz wyskoczyć przez okno i zsunąć się po dachu kuchni.

Jej matka nadal spłacała kredyt zaciągnięty w spółdzielczej kasie pożyczkowej na dobudowanie kuchni - był to fakt, przez który jej twarz często przybierała zatroskany wyraz.

Pieniądze: to była kolejna kwestia, którą Amber już nigdy więcej nie chciała się przejmować, zaraz za domowymi harmonogramami i egzaminami. Karl zostanie sławnym muzykiem i będą mieć mnóstwo pieniędzy. Wystarczająco, by

splacić długi jej matki, wystarczająco, by kupić wszystko, co chciała Amber.

Choć raz chciałyby poczuć dreszczyk towarzyszący zakupom bez potrzeby patrzenia na metki z cenami. Ależ byłoby super wydawać pieniądze i nie martwić się ani nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia, no nie?

- Sąsiedzi wezwą gliny, kiedy zobaczą, że jakiś obcy koleś wyskakuje z twego okna na dach kuchni, a potem na ziemię.

- Karl objął dłońmi jej talię i rozsunął palce.

Amber była dumna ze swej szczupłej talii. Po mamie odziedziczyła sylwetkę w kształcie klepsydry, choć dzięki Bogu nie odziedziczyła jej absolutnego braku zainteresowania tym, by dobrze wyglądać. Jej matka prędeż by umarła, niż włożyła na siebie ubrania, które nosiła Amber: skrawki delikatnego materiału, które ledwie zakrywały jej piersi, dzinsy biodrówki odsłaniające więcej niż odrobinę nagiej skóry. Mama po prostu nigdy nie zwracała sobie czymś takim głowy.

Amber wygięła plecy w łuk, gdy palce Karla przesunęły się wyżej. Nie chciała, by odchodził. Mieli mnóstwo czasu.

- Wszyscy są w pracy albo gotują obiad dla swoich dzieci

- powiedziała, współczując tym, którzy wykonują tak nudne zajęcia. - Nikt cię nie zobaczy.

Na tej ulicy była tylko jedna osoba, która mogła wiedzieć, że Amber zadzwoniła do szkoły z informacją, że jest chora, i która mogła się zastanawiać, co w jej domu robią jacyś obcy faceci. Tą osobą była pani Devlin.

Amber lubiła Christie Devlin pomimo tego, że była stara i dlatego też powinna być cała w zmarszczkach, nudna i nie pamiętająca, jak to jest być żywym. Choć Christie miała siwe włosy, potrafiła spojrzeć na Amber w sposób, który mówił, że wie, co się dzieje w głowie dziewczyny. Przerażające. Amber zastanawiała się, czy patrząc na nią, Christie wiedziałaby, że właśnie uprawiała najbardziej niesamowity seks w życiu.

Seks, podczas którego utraciła dziewictwo. Prawie to zrobiła osiemnaście miesięcy temu ze słodkim, ale głupkowskim Liamem, kolegą najmłodszego brata Elli. W porę kazała mu przestać. Ręka Liama zagłębiała się w jej dżinsach i dotarło do niej, że właśnie ma uprawiać seks z facetem tylko dlatego, by się przekonać, jak to jest, a nie dlatego, że umarłaby natychmiast, gdyby tego nie zrobiła.

Podczas jednej z pogadanek na temat seksu jej matka powiedziała kiedyś, że kobieta w każdym momencie ma prawo powiedzieć „nie”.

- Co to znaczy, że jednak nie chcesz? - zapytał ostro Liam, który wyraźnie nie zgadzał się z matką Amber w kwestii stosunku przerywanego.

- To znaczy, że nie - odparła Amber. - Nie znaczy nie. Chwytasz?

I choć od tamtej pory Liam nie odezwał się do niej ani słowem - nieszczęśliwie wielkie zmartwienie - cieszyła się z tego, że mu odmówiła. Co by to było, gdyby musiała żyć ze świadomością, że straciła dziewictwo ze zwykłym chłopakiem pokroju Liama, gdy tymczasem mogła posiadać wspomnienie mężczyzny takiego jak Karl Evans?

To był seks z mężczyzną światowym, dwudziestopięcioletnim mężczyzną z przyszłością. On był jej przyszłością. Miała zamiar podróżować razem z nim po świecie i odkrywać życie przez duże Ż. Za trzy tygodnie skończy osiemnaście lat, tuż przed egzaminami. Wtedy będzie mogła robić to, co tylko będzie chciała. Nikt jej nie powstrzyma.

- Pojedziesz więc z nami? - zapytał, wracając do tematu, na który rozmawiali wcześniej, zanim wylądowali w łóżku. - Jeśli mamy pracować z producentem w Nowym Jorku, nie będzie nas co najmniej sześć miesięcy. Bardzo bym nie chciał być z dala od ciebie. Nie zniósłbym tego.

- Ja też nie chciałabym być daleko od ciebie - odparła Amber, gładząc badawczymi palcami jego skórę.

To była miłość. W jej żyłach pulsowało czyste zadowolenie. Karl tak bardzo za nią szalał, że chciał, by poleciała razem z jego zespołem do Ameryki, by mogli nagrać album.

Powiedział, że jej potrzebuje. Odkąd się poznali, pisał piosenki niczym ktoś opętany.

- Jesteś moją muzą - oświadczył jej.

A Amber, której przez całe życie mówiono, jak bardzo jest utalentowana i wyjątkowa, uwierzyła mu. Ona i Karl: teraz to oni tworzyli parę.

Gdy karetka zabierała Unę Maguire i jej rozgorączkowanego męża Dennisa do szpitala, Amber wpatrywała się w swego kochanka błyszczącymi oczami i wyobrażała sobie te wszystkie cudowne chwile, jakie ich czekają. Jej matka wścieknie się, kiedy się dowie, że Amber jednak nie ma zamiaru studiować sztuki, ale Amber jest już przecież dorosła, nieprawdaż? Może robić to, co chce. W tym z całą pewnością tkwił sens tych wszystkich lat wypełnionych rozmowami w stylu „jesteś w stanie robić to, co chcesz”. Amber zrobi to, co będzie chciała, i choć nie znosi ranić swej mamy, Faye będzie się musiała jakoś z tym pogodzić.

Faye wcześniej wyszła z pracy, by wpaść do mini marketu w pobliżu domu i kupić kilka drobiazgów. Skończył im się ryż basi nati, a wczoraj wieczorem wyjęła do rozmrożenia domową wegetariańską kormę*.

Zwykły ryż nie nadawał się, musiał być basmati.

Przed pójściem do kasy zatrzymała się na chwilę przy stojakach z gazetami i czasopismami. Uwielbiała magazyny dekoracji wnętrz, ale wszystkie były takie drogie, że niezbyt często sobie na nie pozwalała. Jednakże dzisiejszego wieczoru była zmęczona, a dom wydawał się taki pusty, kiedy Amber

- Danie kuchni indyjskiej, rodzaj curry na bazie jogurtu i przypraw.

siedziała na górze przy biurku, ślęcząc nad arkuszami egzaminacyjnymi z ubiegłych lat. Faye należała się jakaś przyjemność. Gdy wreszcie wybrała magazyn z dodatkiem poświęconym sypialniom, spojrzała niżej i jej spojrzenie przyciągnął artykuł na pierwszej stronie lokalnej bezpłatnej gazety.

Umowa dewelopera z radą miejską: 25 apartamentów w parku przy Summer Street.

Wzięła gazetę ze stojaka i udała się do kasy.

- Musieli coś przekręcić. To niemożliwe, by pisali o tym parku naprzeciwko mojego domu? - powiedziała do kasjerki, nie Gretchen, ale kobiety, która pracowała tutaj tak długo, jak Faye mieszkała w pobliżu.

- Właśnie o tym - odparła kobieta, skanując zakupy. - Szkoda niszczyć ten uroczy, mały park. Nie wiem, jak im coś takiego uchodzi na sucho. Nie zostanie tutaj ani skrawek zieleni, jeśli deweloperom uda się dopiąć swego.

- Ale on jest maleńki - zaprotestowała Faye. - I przecież nikt nie może kupić sobie parku?

Za nią zaczęła się tworzyć kolejka, a Faye za bardzo się spieszyła, by się zatrzymać i przeczytać cały artykuł, położyła więc gazetę na wierzch torby z zakupami i wyszła. W samochodzie przeczytała go szybko z rosnącym przerażeniem.

Pawilon w parku zaczął się walić i rada miejska postanowiła go sprzedać razem z połową akra ziemi deweloperowi w zamian za to, że ten stworzy inny park i dom kultury na kawałku nieużytku niecałe dwa kilometry dalej.

„Nie dzielimy parku” - upierał się rzecznik rady miejskiej. „Park zostaje. Pawilon nigdy nie był częścią tego parku. Tak jedynie zakładano. Mamy prawo go sprzedać, ponieważ nie stać nas na jego remont, a poza tym przedstawia sobą niebezpieczeństwo. Summer Street nadal będzie mieć swój park”.

Z wyjątkiem tego, że o połowę mniejszy, a słońce zasłaniać będzie paskudny, wielki apartamentowiec, pomyślała z wściekłością Faye.

Pojechała zagniewana do domu. Amber będzie równie zirytowana, gdy się o tym dowie. Bardzo lubiła ten mały park.

Do diaska, dlaczego wszystko musi się cały czas zmieniać?

Wieczorni spacerowicze nadciągali tłumnie, gdy Maggie opuściła plażę w Salthill i wsiadła do autobusu jadącego do miasta. Autobus był tylko w połowie pełny i usiadła kilka rzędów za grupą uczennic, nadal odzianych w szkolne mundurki.

Jednym uchem słuchając ich paplaniny, wyglądała apatycznie przez okno. Nie doszła do żadnych wniosków, ponieważ nie była w stanie myśleć o Greyu. Jej rozum odmawiał współpracy, podążając własnymi ścieżkami. Jutro wieczorem musiała pracować do późna w zastępstwie Shony. Skończyła im się kawa? Czy ona i Grey powinni obejrzeć nowy film wytwórni Pixar? Wszystko było lepsze od myślenia o tym, co się właśnie wydarzyło.

W czeluściach jej torby odezwał się telefon komórkowy. Kierowana autopilotem Maggie wyjęła go, zobaczyła, że dzwoni ojciec i wcisnęła „odbierz”.

- Tata - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to pogodnie. Nie było tak, że jej calutki świat dopiero co runął, o nie. Wszystko było dobrze. Czyż nie na tym właśnie polegała komunikacja z rodzicami? - Co słyhać, tato?

- Witaj, skarbie, chodzi o twoją mamę. Dłoń Maggie pofrunęła do jej piersi.

- Jest w szpitalu, złamała nogę.

Maggie odetchnęła, nie zdając sobie wcześniej sprawy 7. tego, że wstrzymuje oddech.

- Myślałam, że zaraz mi powiesz coś strasznego - wyszeptała, z ulgą opierając czoło na jednej ręce.

- Bo to jest straszne - kontynuował. - Twoja matka nalegała, żeby zrobiono jej badanie gęstości kości i okazuje się, że ma osteoporozę. Lekarz mówi, że nie wie, dlaczego do tej pory niczego sobie nie złamała.

- Jej ojciec musiał na chwilę

przerwać, by przełknąć ślinę. - Nie wiem, co robić, Maggie. Wiesz, że twoja mama daje sobie ze wszystkim radę i w ogóle, ale to akurat kiepsko znosi. Ciągłe powtarza, że dobrze się czuje, ale płakała. Twoja matka płakała.

W jego głosie pobrzmiwał szok. Una Maguire we wszystkim widziała dobrą stronę i nauczyła swą córkę, że łatwiej jest się uśmiechać, niż marszczyć brwi. Mama nigdy nie płakała, jedynie podczas oglądania filmów, gdzie krzywdzono dziecko albo ginął pies.

- Maggie, wiem, że nie powinienem cię o to prosić, ale czy mogłabyś przyjechać do domu na kilka dni...?

Maggie widziała oczami wyobraźni, jak jej ojciec stoi posłusznie przed drzwiami szpitala, nie korzystając z komórki w środku zgodnie z wiszącymi na ścianach instrukcjami, mimo że nikt inny ich nie przestrzegał.

Tata ze swymi szeroko otwartymi oczami, kilkoma pozostałymi pasmami włosów i rozbijającą nieumiejętnością radzenia sobie z codziennym życiem do tego stopnia, że Maggie uważała, iż powinien nosić przytwierdzoną do pleców tablicę nauki jazdy. Tata, który nigdy nie widział, by jej mama płakała.

- Jutro przyjadę do domu - powiedziała. - Nic się nie martw.

To wszystko rozwiązywało.

Uciekasz, odezwał się głos w jej głowie: głos, który zaskakująco przypominał Shonę, kiedy bawiła się w doktora Phila. Shona uwielbiała doktora Phila i uważała, że zasady ulubionego telewizyjnego doktora Ameryki można stosować w każdej życiowej sytuacji.

Zadaj sobie pytanie, czy to co robisz, jest właściwe. Czy przyjaciółce będącej w podobnej sytuacji poradziłabyś to, co sama teraz robisz? Czy ucieczka rozwiązuje twój problem? Doktor Phil zadawał same właściwe pytania, więc Shona także.

Nie, nie i jeszcze raz nie. Maggie znała odpowiedzi. Ale doktor Phil nie miał okazji czerpać z Życiowego Poradnika Maggie Maguire.

Nie wypychaj swojego stanika, by miseczki A wyglądały na B. Chłopcy nie zbliżą się na tyle, by to zauważyć, natomiast złośliwe dziewczyny ze szkoły - owszem. Nikt nie chce być chusteczkowym Cyckiem Maguire przez cały miesiąc i Maggie przekonała się o tym na własnej skórze.

Faceci, którzy mówią rzeczy w rodzaju: „Nigdy nie znalazłem nikogo takiego jak ty” może i nie kłamią, ale najpewniej nie chodzi im o to, co ty masz na myśli.

Maggie mogła teraz dodać do Poradnika nową radę:

Kiedy masz wątpliwości, załóż buty do biegania. Nie poprawi to sytuacji, ale przynajmniej nie będziesz musiała codziennie patrzeć w oczy swej porażce. A jeśli tego nie widzisz, to przecież jej nie ma, prawda?

W modnej niewielkiej kafejce internetowej w pobliżu swego mieszkania zamówiła latte i zalogowała się do sieci. Szukając lotów do Dublina, znalazła samolot, który odlatywał jutro po południu, dając jej czas na spakowanie się, a także wynegocjowanie w bibliotece awaryjnego urlopu. Kiedy zarezerwowała lot, wiedziała, że zostało jej jeszcze do wykonania jedno poważne zadanie: pójście do domu i pożegnanie się z Greyem.

Do widzenia, Grey, wyjeżdżam i sprzedajemy to mieszkanie, od teraz będziesz więc musiał gdzie indziej przyprowadzać swoją gówniarę.

Nie, zbyt zgorzkniałe.

Żegnaj, Grey, na jakiś czas jadę do domu do Dublina, by pomyśleć. Ty oszukańczy skurwysynu. Też zbyt zgorzkniałe.

Może powinna pozostać przy *Do widzenia, Grey*. Kiedy wróciła do mieszkania, w salonie zastała Greya i resztki tajskiej kolacji. Maggie nie czuła się ani trochę głodna.

Słowa „Ty kłamliwy, oszukańczy draniu” kręciły się w jej głowie z prędkością wirującej pralki.

- Cześć - odezwała się. Widzicie, nic zgorzkniałego.

- Kochanie. - Grey zerwał się z sofy i podszedł, by dotknąć Maggie, ale powstrzymało go jej lodowate spojrzenie. Dzielił ich ponad metr. Stali, wpatrując się w siebie, a na twarzach obojga malował się smutek.

- Tak bardzo mi przykro - odezwał się Grey i słychać było, że mówi to szczerze.

Naprawdę było mu przykro. Ale dlatego, że uprawiał seks z olśniewającą jasnowłosą studentką, czy dlatego, że został przyłapany? Drań.

- Kocham cię. Może w to nie wierzysz, ale naprawdę cię kocham.

- W takim razie czemu to zrobiłeś? - zapytała Maggie.

Wcześniej nie miała zamiaru o nic go pytać, planowała powiedzieć mu po prostu, że na jakiś czas wyjeżdża do domu. Ale to pytanie wydostało się z jej ust, nim była w stanie je powstrzymać.

Musiała przyznać Greyowi, że nie uciekł spojrzeniem w bok.

- Nie wiem - odparł posępnie. - Pojawiła się, mogłem ją mieć... fatalnie to brzmi, ale i tak cię kocham, Maggie. Jesteś inna, wyjątkowa.

Pralka nadal wirowała w jej głowie - „Kłamliwy, oszukańczy drań” - gdy tymczasem Maggie próbowała znaleźć sens słów Greya. Jej serce zostało złamane, a to był jego plaster samoprzylepny?

- Pojawiła się? Czy to twoje jedyne wytłumaczenie, Grey? Ze się, do cholery, pojawiła? Skoro jestem taka wyjątkowa, to dlaczego w ogóle miałbyś ochotę kochać się z inną bez względu na to, czy pojawiła się czy nie? Gdybym była taka wyjątkowa, to nawet nie spojrzalbyś na inną kobietę, nie mówiąc już o pieprzeniu się z nią w naszym łóżku. W NASZYM ŁÓŻKU!

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Maggie nie miała w zwyczaju podnosić głosu.

- To nie było kochanie się, a jedynie seks. To nie jest to, co mamy ty i ja. To co mamy, jest...

- Tylko nie mów, że wyjątkowe - warknęła. Wyglądało na to, że skutkiem ubocznym niewierności jest pozbawianie ludzi ich zdolności lingwistycznych. Nawet Greya. Nigdy dotąd nie było takiej sytuacji, by nie mógł znaleźć właściwych słów.

- Nie wyjaśniam ci tego we właściwy sposób - zaczął.

- Ależ tak, i nadal nie ma to sensu. To siebie uważasz za osobę logiczną, a ja to fujara, która zapomina hasła w bankomacie i nie potrafi ustawić własnej komórki. - Maggie wiedziała, że coraz bardziej podnosi głos, ale nic nie była w stanie na to poradzić. Jeśli Grey miał problemy z artykulacją, u niej działała ona na sto dziesięć procent. - Jak więc możliwe, że przedstawiłeś tak nielogiczne wyjaśnienie? Skoro jestem taka inna i wyjątkowa, to nie powinieneś mieć ochoty na seks albo miłość z nikim poza mną. To proste. *Q.e.d** Sądziłam, że właśnie to mam zagwarantowane, kiedy razem zamieszkaliśmy: wierność, monogamię, żadnych trójkątów. Czy przegapiłam jakąś pogadankę, podczas której oświadczyłeś, że będziemy sypiać z innymi ludźmi? Czy też po prostu kłamałeś jak z nut, kiedy mówiłeś, że to właśnie ja jestem typem kobiety, jakiej pragniesz, i że nie jest nią kształtna blondynka, taka jak wszystkie twoje poprzednie dziewczyny?

- Nie kłamałem i naprawdę wierzę w wierność - odparł bezradnie Grey.

Przysiadł na skraju fotela, przeczesując palcami włosy. Miał takie długie, delikatne palce, jak u pianisty, palce, które potrafiły wydobyć z Maggie natychmiastową reakcję. Nadal był przystojny i atrakcyjny, z seksownie potarganymi włosami-

' *Quod erat demonstrandum* - co było do udowodnienia

mi, jakby tak bardzo zatopił się w swoich książkach, że zapomniał o ich uczesaniu. Maggie, którą przez cały czas otaczały książki, zawsze uważała to połączenie intelektu i piękna za absolutnie zniewalające. Doskonale rozumiała, dlaczego Pani Brzoskwiniowa Cera miała ochotę się z nim przespać. Grey był przystojny, inteligentny i wpływowy w swoim środowisku

- wszystko w jednym pakiecie.

Nie był tylko wierny.

- Kocham cię, Grey, nie patrzę na innych mężczyzn - powiedziała. - Nie myślę o nikim innym oprócz ciebie, niemal nie dostrzegam nikogo poza tobą. Gdyby pojawił się ktoś inny, gdyby pojawił się Brad Pitt i George Clooney, i Wesley Snipes, i ktokolwiek, kto przychodzi ci do głowy, to wiesz co?

- Uczyniła pauzę. - I tak powiedziałabym „nie”.

- Wiem, przepraszam, strasznie cię przepraszam.

Długimi palcami pianisty ponownie przeczesał włosy i przez ułamek sekundy Maggie myślała o jego dłoniach przeczesujących w ferworze namiętności włosy tej dziewczyny, zakręcających je i pociągających delikatnie, tak jak to czynił z Maggie.

- Uwielbiam twoje włosy - mruzczał, gdy leżeli razem nago. Maggie prawie w ogóle ich teraz nie obcinała. Greyowi podobało się, gdy leżały rozrzucone na poduszce, gdy pochylał się nad nią, po czym ujmował w dłonie jej twarz i całował ją. Uważał, że jest kobieca i seksowna. Maggie nigdy się taka nie czuła, zanim nie pojawił się on i nie sprawił, że też zaczęła tak uważać. A teraz jej to wszystko odebrał.

Kiedy jej matka czy Shona albo inni mówili, że jest piękna, nie wierzyła im. Kochali ją, byli dla niej po prostu mili. Ale kiedy mówił to Grey, wierzyła. Uczynił ją piękną, ponieważ promieniała dzięki temu, że z nim jest.

Fakt, że miał na nią taki wpływ, czynił ją teraz bezradną. Powrót do typu kobiety, jakie miał przed nią, czyniło tę zdradę podwójną - blondynka z krągłościami, których Mag-

gie mieć nigdy nie będzie. Czuła się tak zraniona, że jego także pragnęła zranić.

- Kłamiesz. Nie jest ci przykro, żałujesz jedynie, że wcześniej wróciłam do domu i wszystko zniszczyłam. Pieprzyłeś się z nią. W naszym łóżku - oświadczyła powoli. - To nie jest miłość i szacunek, Grey. - Uczyniła pauzę. - Były jakieś inne?

Przez jego twarz przemknął dziwny wyraz, poczucie winy, które zniknęło tak szybko, że dostrzegłby je tylko ktoś, kto kochał jego twarz i znał każdą minę. Ale Maggie była tą osobą. Dostrzegła.

- Nie - powiedział. Nie uwierzyła mu.

Fotel zdawał się zapraszać ją gościnnie. Opadła na niego i przyciągnęła kolana do klatki piersiowej. Był to gest, który mówił: „Trzymaj się z dala”.

Wcześniej były inne, co do tego miała pewność i nie była na tyle silna, by o nich usłyszeć. Jej matka była chora, płakała i nie dawała sobie rady. Ojciec prosił ją o pomoc. Świat Maggie stanął na głowie.

- Powiedz mi tylko, co jest takiego trudnego w wierności? - wyszeptowała, bojąc się, że zna odpowiedź.

To musiała być jej wina. Stanowiło to potwierdzenie tego, o czym przez cały czas wiedziała. Zawsze uważała się za szczęściarę, skoro ma Greya, i zadziwiało ją to, że on z nią jest.

Ktoś taki jak Grey byłby w stanie zachować wierność wobec innych, wobec jednej z tych lodowatych blondynek, ule nie wobec niej. Z jedną z tych kobiet, nadającą się na żonę dla mężczyzny z rysującą się przyszłością w polityce, ożeniłby się. Maggie najwyraźniej nie była dla niego właściwą kandydatką na żonę. Ona była jedynie luźnym eksperymentem pomiędzy blondynkami w typie Carolyn Besette Kennedy, kobietami trofeami. Nie była warta tego, by wyrzec się dla niej innych kobiet. Na tym właśnie to wszystko polegało.

Demony niepokoju i zwątpienia w siebie, z którymi dorastała, powróciły do jej myśli, wyjąc głośno, jakby nigdy nie odeszły.

- Przepraszam, Maggie, potrzebowałem odskoczni, otwartej furki. Przysięgam, że to już się nigdy nie powtórzy...

- Popatrzył na nią, ale Maggie pogrążona była we własnych myślach, przypominając sobie lata, kiedy żyła w stanie permanentnego ściskania w żołądku.

Niedzielne wieczory były najgorsze, kiedy weekend chylił się ku końcowi i wisiało nad nią widmo poniedziałku, poniedziałku z Sandrą Brody i jej szyderczą bandą, której życiową misją było zniszczenie Maggie Maguire. Maggie nigdy im niczego nie zrobiła, najwyżej spojrzała na Sandrę, ale to nie miało żadnego znaczenia. Obrały sobie Maggie na kozła ofiarnego. Jej karą były codzienne tortury werbalne. Nienawiść do samej siebie - ponieważ to musiała być jej wina, prawda?

- była taka sama jak ta, którą odczuwała w tej chwili.

- Przepraszam, Maggie - powtórzył Grey. - Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Za nic w świecie bym cię nie skrzywdził.

- Naprawdę? - zapytała, śmiejąc się gorzko.

Dlaczego on w ogóle udawał? Wolałaby, gdyby powiedział jej prawdę: że kochał ją, ale po prostu nie dość mocno. Nie była wystarczająco dobra.

- Jesteś inna, Maggie - zaczął Grey i przysiadł w jej nogach, odciągając obie jej ręce od kolan, próbując sprawić, by go objęła. - Kocham cię, nigdy nie miałem zamiaru cię skrzywdzić. Jest mi tak bardzo, bardzo przykro. Nie możesz mi wybaczyć?

Strząsnęła z siebie jego dłonie, ale Grey położył swą ciemną głowę na jej fotelu, błagając, badając. Tak łatwo byłoby wyciągnąć rękę i go dotknąć, sprawić, by wszystko minęło i zacząć od nowa. Wyjechać na wakacje, sprzedać mieszkanie, przeprowadzić się w jakieś inne miejsce, uczynić wszystko, by zapomnieć o tym, co się stało. Maggie poczuła, jak jej

palce zatrzymują się zaledwie centymetry od miękkości jego włosów.

Małżeństwo - to byłby najlepszy plaster na tę ranę. Znak, że byli razem pomimo tego wszystkiego. Jej mama bardzo by chciała, by Maggie wyszła za mąż. Biedna mama, zawsze miała nadzieję na bajkowe zakończenie dla swej córeczki. Ale Grey nigdy nie poruszał z nią tematu małżeństwa. Być może tego także nie była godna.

Dłoń Maggie znieruchomiała w drodze do jego włosów. Była w stanie wybaczyć Greyowi, była w stanie wybaczyć mu niemal wszystko. Ale potem to się stanie ponownie. Inne kobiety, które będą pracować na uczelni i litować nad nią, rozumiejąc, że księcia pokroju Greya nie zadowolą tylko jedna kobieta - ona. To była cena, jaką kobieta taka jak Maggie musiała płacić za bycie z mężczyzną takim jak Grey. Dlaczego wcześniej nie dotarło do niej, że to handel i że istnieje jakaś cena?

Zabrała rękę. Nie była w stanie zapłacić tej ceny.

Nagle jej buty do biegania wydały się bardzo zapraszające. Nawet dom rodzinny, Summer Street, gdzie jej życie nigdy nie należało do bajkowych, było lepsze niż to.

To było miejsce jej znane, gdzie mogła lizać rany. Shona i doktor Phil najpewniej nie mieli racji, jeśli chodzi o ucieczkę. W chwili obecnej pozostanie było trudnym rozwiązaniem, a ucieczka tym prostym.

Kiedy Christie usłyszała odgłos wkładanego do zamka klucza Jamesa, zdążyła wcześniej ugotować pyszny gulasz.

Gulasz ku czci jej kochanej słowackiej przyjaciółki, Lenki, która kiedyś stwierdziła:

- Mężczyznę można zabić albo uleczyć w kuchni.

To miało miejsce niemal czterdzieści lat temu, kiedy umiejętności kulinarne Christie nie wykraczały poza ugotowanie owsianki i jajek.

- Gotowanie to dusza domowego ogniska, miejsca, gdzie kobieta jest królową - oświadczyła Lenka z chropawym słowackim akcentem, dzięki któremu brzmiałaby fascynująco nawet wtedy, gdyby czytała na głos książkę telefoniczną.

Lenka mieszkała pod Christie w domu na Garville Avenue, który stanowił istną kolonię kawalerek.

- W takim razie wyląduję na ławie oskarżonych za zabójstwo - odparła pogodnie Christie.

Wtedy miała jeszcze ciemne włosy i kiedy razem z Lenką chodziły niecały kilometr do Ranelagh, by zrobić zakupy, ludzie często brali te dwie kobiety z błyszczącymi ciemnymi oczami, szczupłymi taliami i połyskującymi lokami za siostry.

- Powinnaś się nauczyć gotować - rzekła Lenka, która potrafiła przygotować naprędce najdelikatniejszą potrawkę z garści warzyw, odrobiny ziół i kiepskiego kawałka mięsa. - Jak to możliwe, że do tej pory się tego nie nauczyłaś? W moim kraju kobiety uczą się troszczyć same o siebie. Potrafię hodować warzywa, kurczaki, zabijać kurczaki, bach! - Zacisnęła obie dłonie wokół wyimaginowanej szyi. - Ot, tak. Jeśli jesteś głodna, to szybko się uczysz.

- Moja matka gotowała dla nas wszystkich, dla ojca, sześciu braci i siostry - odpowiedziała Christie. Trudniej było wytłumaczyć rozkład sił w jej rodzinie, który oznaczał, że gotowanie było jedyną dziedziną, w której matka dzierżyła władzę. Przez cały czas chodząc na pasku ojca Christie, Maura jedynie przy kuchence mogła poczuć smak władzy. Skoro w kuchni możliwe było zabicie lub wyleczenie mężczyzny, Christie zastanawiała się, jak jej matce udało się zwalczyć pokusę zabicia swego apodyktycznego męża.

James tylko raz miał okazję spotkać Lenkę, ale od lat czerpał korzyści z jej wiedzy kulinarnej. Teraz Christie wiedziała, że jedzenie wiąże się z miłością. Karmienie swej rodziny, serwowanie jej członkom rosółu podczas choroby i szarlotki, by usunąć z ust gorzkość, kiedy usychali z miłości: w taki

właśnie sposób można było ich leczyć. Z kuchni w jej domu emanowały miłość i działanie lecznicze. Życie Christie w niczym nie przypominało życia jej biednej matki i nie miała potrzeby, by zabijać.

- Witaj, Christie. - James objął ją i mocno przytulił. Pachniał pociągiem, zakurzonymi ulicami i palonymi przez innych papierosami. Wyglądał, jak zresztą często ostatnimi czasy, na zmęczonego i jakby potrzebował naprawdę długiego snu.

- Ciężki dzień? - Christie wzięła od niego teczkę i marynarkę, zwalczając w sobie chęć zagonienia go do sypialni, położenia do łóżka i dopilnowania, by pozostał w nim tak długo, aż z jego twarzy zniknie to wyczerpanie.

- Nie, w porządku - odparł, zdejmując buty i zamieniając je na stare skórzane klapki, które trzymał na drugim stopniu schodów. - Nie wiem dlaczego, ale taka podróż mnie wykańcza. Siedzę w pociągu pół dnia, nie prowadzę, więc powinienem być w doskonałej formie.

- Podróżowanie jest wyczerpujące - upierała się Christie. - Jest różnica pomiędzy siedzeniem w swoim fotelu w domu a siedzeniem w pociągu, zdanym na łaskę punktualnych odjazdów z kolejnych stacji i martwieniem się, czy się nie spóźni na spotkanie.

- Trudno mnie nazwać Donaldem Trampem - zażartował.

- On ma limuzynę. - Christie podała mężowi szklankę mrożonej herbaty. - I kogoś, kto nosi za nim teczkę. Jak poszło to spotkanie dotyczące emisji gazów?

- Jakoś idzie naprzód. Ale jedna z osób była dzisiaj chora, więc bardzo możliwe, że jeszcze raz będziemy musieli przez to przejść.

- Na litość boską! - wykrzyknęła Christie. - Przecież jeśli ktoś jest chory, to on powinien się dostosować do reszty i nadgonić zaległości, a nie odwrotnie.

- Wiesz, jak to funkcjonuje, skarbie - rzeki James.

- W przypadku niektórych ludzi im więcej spotkań, tym lepiej. Tak naprawdę nic nie zostaje postanowione, ale zalicza się mnóstwo minut, a ludzie z księgowości zajęci są drukowaniem diet na herbatę i kawę. Globalne ocieplenie nie zabije tej planety: dokona tego biurokracja.

Udał się za nią do kuchni i usiadł na niskim taborecie, by pogłaskać psy, które domagały się pieszczot od chwili, gdy pojawił się w drzwiach.

Wiedziała, że zazwyczaj przykuca na podłodze, by je głaskać. Widocznie znowu dokucza mu biodro. Co nie znaczy, by głośno się na to skarżył. Christie знаła wiele kobiet, których mężowie objawy grypy traktowali co najmniej tak, jakby świadczyły o wirusie Ebola. Ona była odmieńcem, której mąż nigdy nie podnosił swej choroby do potęgi dziesiątej, co ją martwiło, ponieważ James mógł doznać na jej oczach zawału, a mimo to twierdzić, że to „tylko lekki ból” i że zaradzi mu chwila spokojnego posiedzenia. Jak można się było opiekować takim mężczyzną?

- No dobrze, o co chodziło ci dzisiaj rano? - zapytał, kiedy uszy Tilly zostały już ku jej zadowoleniu podrapane, a Rocket starannie obwąchała jego buty, by się przekonać, czy nie zadawał się dzisiaj z żadnymi innymi psami.

- Co masz na myśli? - zapytała Christie, udając, że nie wie, o co chodzi.

- No wiesz, ten telefon, kiedy dopiero co zdążyłem wyjść z domu.

- Miałam taki jakiś niespokojny dzień, to wszystko

- przyznała. - Przepraszam, nie zamierzałam cię martwić, ale miałam naprawdę paskudne przeczucie, że przydarzy nam się coś niedobrego.

James przyciągnął ją na swoje kolano, a psy zapiszczały z oburzenia. To był ich czas na pieszczoty, nie Christie. Tilly pobiegła obrażona na swoje posłanie.

- Nie możesz tak przeciążać sobie biodra... - zaczęła Christie.

- Och, przestań głądzić o moim cholernym biodrze, kobieto - oświadczył James i przytulił ją mocno. - Kocham cię, ty głuptasie, wiesz o tym? Kocham w tobie to, że nadal się o mnie martwisz.

- Tak, i ja ciebie też kocham, ty niemądry mężczyzno odparła. - Nawet jeśli boli cię biodro, a ty nie piśniesz na ten temat ani słówka.

- To tylko kłucie.

- Nie wierzę ci. Cierpiałbyś katusze, a i tak twierdziłbyś, że to tylko kłucie. Twój stoicyzm nie robi na nikim wrażenia rzekła z rozdrażnieniem.

- To nie są katusze.

- Trzeba ci wymienić staw biodrowy i nie powinnam siedzieć ci na kolanach - oświadczyła.

James oparł głowę o jej policzek.

- W dniu, w którym nie będę w stanie potrzymać cię na kolanach - rzekł - każ mnie zastrzelić.

- Ciebie nie można zastrzelić - mruknęła Christie, tuląc się do niego. - Jesteś gatunkiem zagrożonym.

- Jak dodo?

- Przykro mi, biednego dodo już nie ma. Jesteś raczej białym tygrysem: rzadkim i wyjątkowym.

- Jesteś taka słodka - odparł, zbliżając usta do jej policzka.

- I tak trzeba ci wymienić staw biodrowy - dodała. Lekarz powiedział, że nie ma sensu, byś faszerował się tabletkami przeciwbólowymi, skoro istnieje idealne rozwiązanie twego problemu. W erze chirurgii endoskopowej szybko wrócisz do pracy.

- Moje biodro nie jest w aż tak złym stanie - upierał się James. - Służy mi od sześćdziesięciu trzech lat i posłuży jeszcze kilka. Nie znoszę szpitali i narkozy. - Wzdrygnął się.

- Jesteś niemożliwy - westchnęła Christie, całując go w czoło i wstając. - Zrobiłam gulasz.

- Przepis Lenki? Super, uwielbiam go. - James zasiadł wyczekująco za stołem. - Co się z nią dzieje? Nie odzywa się od wielu lat, od czasu gdy Ana związała się z tym swoim artystą i wszyscy zjawili się na tej wielkiej wystawie na Dawson Street. Pamiętasz? Ile to było lat temu?

Christie otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Na szczęście ciszę przerwał telefon. Wyszła pospiesznie z kuchni, by go odebrać.

To była Jane z kawiarni z wiadomością, że biedną Unę Maguire po upadku z krzesła zabrała karetka.

- Wiem, że chciałabyś o tym wiedzieć - rzekła Jane - i że Dennisowi może nie przyjść do głowy, by komuś o tym powiedzieć. - Co było uprzejmym sposobem na stwierdzenie, że kochany Dennis będzie zbyt wytracony z równowagi, by umyć zęby, i że być może przyda mu się ktoś, kto go potrzyma za rękę. Christie była w tym dobra: spokojna w obliczu kryzysu.

- Wsunę mu pod drzwi kartkę z informacją, że wpadnę jutro i by zadzwonił do mnie, jeśli do tego czasu będzie czegoś potrzebował - powiedziała Christie i Jane rozłączyła się, wiedząc, że już Christie Devlin się o wszystko zatroszczy.

- Wygląda na to, że sprawdziło się to twoje przeczucie - rzeki James, gdy zasiedli do gulaszu. Wcześniej otworzył butelkę czerwonego wina, mimo że był środek tygodnia, a oni starali się przestrzegać zasady picia wina tylko podczas weekendów.

- Tak - powiedziała Christie, myśląc o Maguire'ach i o tym, jak Dennis poradzi sobie z przyjęciem na siebie roli opiekuna, a nie osoby, którą się opiekowano. - Pewnie chodziło właśnie o to.

Ale nie mówiła prawdy. Czarna chmura nadal wisiała nad jej głową, zwiastując coś niedobrego.

A James wspomniał Careya Wolensky'ego, tego artystę Any, który ostatecznie stał się jednym z najślawniejszych malarzy swego pokolenia. Kiedy James wspomniał o nim mimochodem, Christie poczuła, jak przebiegają dreszcz. Nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Nic nie działo się bez przyczyny. Wszędzie widniały niewyraźne znaki dotyczące przyszłości i dostrzegali je tylko ci najbardziej czujni. Najpierw jej niepokój, teraz ta wzmianka o mężczyźnie, którego pragnęła zapomnieć. Christie bała się myśleć, co to wszystko może oznaczać: że nadciągała przeszłość, by ją prześladować. Dlaczego właśnie teraz?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nazajutrz późnym popołudniem na taśmociągu pojawiły się walizki Maggie. Wyglądały na sfatygowane w sąsiedztwie niektórych bardziej eleganckich toreb podróżnych pasażerów lotu z Galway do Dublina.

Nie bez problemu ściągnęła je z taśmociągu, mruknawszy, że da sobie radę, do mężczyzny, który zaproponował pomoc tej wysokiej rudowłosej kobiecie w powłóczystym, jasnym zamszowym płaszczu.

Oczy miała zaczerwienione od płaczu i mówiąc, głowę trzymała opuszczoną, zawstydzona tym, jak musi wyglądać. Temu mężczyźnie pewnie zrobiło się jej żal; pomyślał, że jest jednym z tych pacjentów na leczeniu pozaszpitalnym, którzy pobrzękiwali pochowanymi po kieszeniach fiolkami z xanaksem.

Maggie nie potrzebowała dzisiaj niczyjej litości. Wystarczająco mocno sama się nad sobą litowała.

Pierwsza walizka była najcięższa: szafa na kółkach, która groziła rozpadnięciem się na kawałki i tylko fioletowy pasek powstrzymywał jej zawartość przed wysypaniem się na podłogę hali. Do rączki przytwierdzona była zawieszka z napisem „ciężkie”. Druga, różowa walizka była usztywniana i koszmarnie ciężka nawet bez zawartości.

Grey lubił żartować, że przekląło ją już tylu bagażowych, że najpewniej sama nabrała magicznych mocy.

- Jeśli nasz samolot rozbije się kiedyś, ocaleje jedynie ta różowa walizka, jeszcze się o tym przekonasz - śmiał się.

Nowa fala smutku zalała ją na tę myśl o Greyu i cudownych wakacjach, na które razem oszczędzali i wyjeżdżali. Seszele, Grecja, Floryda, Bruksela.

Już nigdy nigdzie razem nie wyjadą. Nie, jeśli wzrokiem strażnika miałyby obserwować go za każdym razem, gdy zostawi napiwek pięknej kelnerce albo przyjrzy się jakiejś kobiecie na plaży. Tylko głupiec by mu ponownie zaufał. Maggie nie miała zamiaru stać się tym głupcem. Wczoraj wieczorem spakowała się i oświadczyła, że porozmawiają, starając się opóźnić nieuchronną kłótnię na wypadek, gdyby się miała poddać.

- Chcesz, żebym spał na sofie? - zapytał Grey. Pragnęła wyszeptać: „Nie, połóż się obok mnie i przytul.

Powiedz mi, że wszystko będzie dobrze, że to był błąd i że wszystko naprawisz”.

- Tak, śpij na sofie - odparła, jakimś cudem znajdując w sobie wystarczająco dużo siły, by wypowiedzieć te słowa.

Spróbujemy raz jeszcze, wiem, że mnie kochasz, jęczało jej serce.

Ale to rozum musiał teraz przemawiać. Wyjechać było prościej; Maggie obawiała się, że gdyby dłużej myślała o tym, że naprawdę go straci, że nie będzie z nim dzielić życia - ustąpiłaby. A rozum jej mówił, że pozostanie przy nim ostatecznie by ją zniszczyło.

Przełykając kolejne łzy, chwyciła Przekłętą Różową Walizkę i wepchnęła ją na wózek bagażowy obok Szafy, ignorując zaciekawienie mężczyzny, który wcześniej zaoferował jej pomoc. Pragnęła, by przestał się na nią gapić. Naprawdę, co było z tymi ludźmi nie tak? Czy już nie wolno sobie nawet publicznie popłakać?

Na samej górze wózka umieściła skórzaną torebkę w kształcie banana, w której mieściło się wszystko i w której najważniejsze rzeczy sprytnie można było schować na samym dnie, tym samym udaremniając zarówno złodziejom, jak i samej Maggie zlokalizowanie jej pieniędzy w sklepie.

Pchając wózek i wstrzymując oddech, ruszyła przez specjalną, lustrzaną część hali.

Podczas babskich wakacji w Grecji, w czasach sprzed Greya, inni zawsze przechodzili odprawę celną, radośnie pobrzękując przemycanymi butelkami ouzo i metaxy, gdy tymczasem ona (jedyna osoba, która rzeczywiście czytała przepisy celne o imporcie 200 papierosów i zawiadomianiu o tym, że się szwendało w pobliżu kóz) musiała publicznie rozpakowywać swoją walizkę.

Dzisiaj na szczęście celnicy za lustrami weneckimi zwalczyli w sobie chęć przekopania bogu ducha winnego bagażu Maggie.

Następnie wyszła do hali przylotów, gdzie setki przejętych ludzi przyglądały jej się uważnie, szukając wzrokiem tej wyjątkowej osoby, na którą czekali, by mogli pomachać swymi powitalnymi transparentami, napełnionymi helem balonikami i zawołać: „Witaj!!!”.

Uświadomiło to Maggie, że ona już nie ma tej wyjątkowej osoby. Osoba, dla której była wyjątkowa, zdradziła ją. Boże, to tak bolało.

Starając się wyglądać obojętnie, tak jakby nic jej to nie obchodziło, poczuła ulgę, kiedy zadzwonił telefon i mogła się nim zająć.

- Wróciliśmy do domu ze szpitala - oświadczył radośnie jej ojciec. - Gdzie jesteś, skarbie? Już prawie dojechałaś? Mam nastawić czajnik? Twoja matka nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy.

Maggie poczuła zwyczajowy przypływ czułości i irytacji, zarezerwowany dla rozmów z rodzicami. Jej samolot dopiero co wylądował, na litość boską. Wcześniej przekazała tacie szczegóły dotyczące lotu i kazała mu dodać piętnaście minut na standardowe opóźnienia. O ile Clark Kent nie wyskoczy ze swoich slipów w pobliskiej budce telefonicznej, by ponieść ją do domu z prędkością ponaddźwiękową, na Sum-

mer Street dotrze najwcześniej za trzy kwadranse, a może nawet i za godzinę.

- Niezupełnie, tato - rzekła, starając się, by jej głos brzmiał pogodnie. Przecież on się tylko o nią troszczył. - Właśnie wyszłam do hali przylotów.

- Och, no dobrze. Zjawisz się w domu za...

- Niecałą godzinę. Do zobaczenia w takim razie. Pa!

Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni dzinsów i starała się ignorować uczucie, że napierają na nią ściany. Wróciła do domu. Wróciła z niczym po pięciu latach w Galway, a rodzinny zegar Maguire'ów - zawsze ustawiony na „Gdzie byłaś? Dlaczego nie zadzwoniłaś? Martwiliśmy się!” - ponownie tykał.

Maggie przeniosła jakoś swoje cale dobra doczesne do drzwi, a stamtąd na postój taksówek. Było za późno na „co by było gdyby”, ale mimo to zadawała sobie w myślach te wszystkie pytania: co by było, gdyby Grey nie pieprzył się z inną, co by było, gdyby ona nie stała się tego świadkiem, co by było, gdyby uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha i przysięgał dozgonną wierność, zamiast mówić, że nic nie mógł na to poradzić... I najważniejsze pytanie: co by było, gdyby ona nie okazała się na tyle głupia, by zakochać się w kimś takim jak on.

Oto, do czego się to wszystko sprowadzało: do jej własnej głupoty. Inteligentna kobieta wiedziałaby, że Grey, który mógł mieć każdą kobietę, pewnego dnia zejdzie z drogi cnoty. Inteligentna kobieta zaradziłaby czemuś takiemu. Inteligentna kobieta dużo wcześniej jasno i spokojnie dałaby mu do zrozumienia, że skok w bok nie wchodzi w grę, a jeśli rzeczywiście nastąpi, to będzie oznaczał koniec ich związku. Takiej kobiecie Grey pozostałby wierny.

Ale nie Maggie. Pomimo tych wszystkich okazji, kiedy twierdził, że jest wyjątkowa i że on wcale nie chce krągłej blondynki, okłamał ją.

Teraz musiała się jeszcze zastanowić, co powie rodzicom. Przy odrobinie szczęścia będzie miała trochę spokoju podczas drogi do domu i wtedy wymyśli odpowiednią historyjkę. Nie pora zjawiać się we Izach, gdy jej matka jest tak rozstrojona.

- ...Widzi więc pani, do polityków nie dociera to, że jeśli istnieje system płatnych dróg, to płacą za niego ludzie tacy jak ja...

- No tak, rozumiem.

Monolog taksówkarza ucichł tylko wtedy, gdy mężczyzna musiał przejechać przez trudne skrzyżowanie tuż przed St. Kevin's Road. Odkąd ruszyli spod lotniska, opowiadał jej

o cenach nieruchomości, gumach do żucia przyklepanych do siedzeń, a teraz o płatnych drogach. Maggie nie była w stanie mu przerwać. To byłoby niegrzeczne, a ogólnie rzecz biorąc, nie istniało wytłumaczenie dla bycia niegrzecznym, prawda? Nauki jej matki jak zwykle dały o sobie znać.

To Maggie była osobą, którą okupywali nudziarze na przyjęciach, zbierający datki na ulicach i słodcy, oszołomieni ludzie wchodzący do biblioteki po to, by się ogrzać i którzy powinni zostać z niej wyrzuceni. Była po prostu zbyt miła

i grzeczna, by powiedzieć „nie”.

- Tak właśnie powiedziałem tamtej pani polityk. Powiedziałem: takie jest moje zdanie, proszę pani, a jeśli nie podoba się pani ono, to proszę nie wchodzić do mojej taksówki

- kontynuował taksówkarz. - Dobrze zrobiłem, że tak powiedziałem? - Podobnie jak w przypadku wszystkich innych pytań, które zadał podczas tej czterdziestopięciominutowej jazdy, nie czekał nawet na odpowiedź. - Dobrze, wie pani. Nikt nie stawia czoła tym ludziom. Nikt.

Taksówka skręciła, po czym przejechała powoli obok Summer Street Cafe. Ludzie siedzieli na zewnątrz przy niewielkich stolikach, wyglądając tak, jakby nie trapiły ich żadne zmartwienia. Mama i tata uwielbiali tę kawiarnię, uwielbiali spotykać się tutaj z innymi ludźmi. Mama wysłuchiwała wszystkich miejscowych plotek, które potem skwapliwie przekazywała Maggie, zapominając o tym, że jej córka nie mieszka tutaj już od pięciu lat i nie zna wszystkich tych ludzi.

Maggie, która nie знаła nawet wszystkich ludzi ze swego bloku w Galway i najwyraźniej zupełnie nie znała swego chłopa, miała w przeszłości okazję dowiedzieć się, że szalona pani Johnson, będąc pewnego wieczoru na gazie, musiała dmuchać w balonik i przez to zabrano jej prawo jazdy; i że Amber Reid, ta nastolatka, która mieszkała tylko z matką - uroczą kobietą, spokojną, troskliwą, która nigdy nie była na tyle zajęta, by nie upiec ciasta na kwestę kościoła pod wezwaniem Świętego Vincenta de Paula - wybierała się do akademii sztuk pięknych i pewnego dnia będzie wielką gwiazdą. Christie Devlin powiedziała, że Amber jest uzdolnioną artystką, no a Christie wie przecież takie rzeczy, no nie? Wystarczy spojrzeć na te śliczne obrazy, jakie Christie namalowała z okazji sześćdziesiątych urodzin Uny. Maggie wiedziała, że babeczki marchewkowe w kawiarni były teraz bez cukru; och, i wiedziała, że Jane i Henry z kawiarni zatrudnili uroczą chińską kelnerkę.

- Ma na imię Xu, ale mówimy na nią Sue, bo to niemal lak samo. Zupełnie sama przyjechała tutaj aż z Chin, odważna kruszyna, nikogo tutaj nie znając. Narobiła nam wszystkim wstydu - rzekła mama. - Ucząc się angielskiego i jednocześnie pracując, nie znając tutaj dosłownie nikogo. Musi być strasznie trudno zostawić swój kraj i zaczynać od nowa.

Maggie podobało się w mamie to, że tak bardzo interesowali ją inni ludzie. Uświadomiła sobie, że ona też kiedyś laka była, zanim poznała Greya, który pochłonął ją do tego stopnia, że nie miała już miejsca ani czasu na nikogo innego. Jak mogła być tak mocno zaangażowana, a mimo to nie widzieć tego, co oczywiste? Miłość była nie tylko ślepa, ale także po lobotomii.

Siedząc na tylnym siedzeniu taksówki, myślami daleko stąd, Maggie uświadomiła sobie, że przejeżdżają wzdłuż porastających Summer Street klonów, a po chwili zatrzymują się przed jej domem.

- Mówiła pani, że numer czterdzieści osiem? - zapytał taksówkarz.

- Tak, dziękuję - odparła. Otworzyła torebkę, by mu zapłacić.

- Głowa do góry, moja śliczna - rzekł, uśmiechając się do niej ze swojego miejsca. - Może nigdy do tego nie dojdzie.

Maggie jak zwykle udało się jakoś uśmiechnąć.

- Do widzenia - rzekła. W żadnym wypadku nie miała zamiaru mu mówić, że już do tego doszło.

Odwróciła się i popatrzyła na dom z numerem czterdzieści osiem. Był to jeden z domów parterowych z lat trzydziestych, biały z ciemnymi belkami pomalowanymi na szycie i oknami z szybami w kształcie rombów. Część domu pokryta była zbrązowiałymi liśćmi winobluszczu, który posiadał zdolności do odrastania rodem z filmu science fiction, bez względu na to jak często go przycinano aż przy korzeniach.

Maggie poczuła, jak cofa się w czasie. Dom sprawiał, że czuła się może niezupełnie dzieckiem, ale tak, jakby nadal dręczyły ją wszystkie problemy z czasów dzieciństwa.

Przy furtce przywitał ją ojciec, wystrojony w szpitalny strój składający się z granatowej marynarki i krawata, ale i tak kojąco znajomy. Kiedy ją objął, Maggie wtuliła się w jego ramiona niczym dziecko, którym kiedyś była, pomimo tego że był od niej niższy i równie chudy jak zawsze.

- To cudownie mieć cię w domu - powiedział. - Dziękuję, że przyjechałaś. Wiem, że prosiłem cię o naprawę wiele, i dziękuję.

- Jak mogłam nie przyjechać? - zbeształa go Maggie, odsuwając się szybko. Gdyby pozwoliła sobie na utratę rezerwy, rozszłochałaby się na całego. Lepiej być szorstką i nie

dawać okazji do pytania o Greya. Później im powie, kiedy ona i oni - poczują się silniejsi.

- Co z mamą?

- Dzisiaj znacznie lepiej. - Twarz ojca rozpromieniła się. - Przeżyła straszny szok. To wydarzyło się tak szybko. W jednej chwili wszystko było w porządku, w następnej zemdląca z bólu. Myślałem, że nie żyje, Maggie - dodał i wyglądał tak żałośnie, że Maggie musiała wziąć głęboki oddech, by się uspokoić.

- Gdzie ona teraz jest?

- A jak myślisz?

Kuchnia na końcu domu z całą pewnością stanowiła duszę ogniska domowego rodziny Maguire. Przytulne pomieszczenie urządzone w czasach, kiedy uważano, iż sosny nigdy za wiele, było miejscem, w którym dorastała Maggie.

Una, matka Maggie, siedziała w fotelu za stołem (sosna) z nogą w gipsie leżącą na kuchennym taborecie (sosna), oglądając przenośny telewizor, który stał na kredensie rodem z *Domku na prerii* (sztucznie postarzona sosna).

Wysoka jak jej córka, była równie szczupła, jednakże w odróżnieniu do Maggie jej rude włosy zdążyły już spłowieć. Twarze miały bardzo podobne: idealnie owalne z marzycielskimi, kobaltowymi oczami, szerokimi ustami, które zawsze gotowały się do uśmiechu. Tyle że uśmiech Maggie był trwożliwy i niespokojny, zaś Una uśmiechała się promiennie jak kobieta, która cieszyła się życiem. Teraz siedziała przygarbiona w fotelu, tak jakby złamanie nogi odebrało siłę wszystkim jej kościom. Pod ręką miała prawie skończoną krzyżówkę.

- Zostawiłam trudne hasła dla twego ojca - powiedziała Una, co było standardowym i pełnym uczucia kłamstwem w domu Maguire'ów.

Dennis nie był dobry, jeśli chodzi o rozwiązywanie krzyżówek. Mistrz kostki Rubika sprzed lat, nie mogący odżałować, że wyszła z mody, świetnie sobie radził z gadżetami,

liczbami i quizami w gazetach, w których trzeba odgadnąć, który czworościan nie pasuje do pozostałych. Słowa nie były jednak jego mocną stroną.

- Co ja mam napisać? - pytał błagalnie Maggie, kiedy musiał wypisać jedyną kartkę urodzinową, której nie wypełniała za niego żona.

- Dla Uny, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, bardzo cię kocham, Dennis - taka była zazwyczaj sugestia Maggie.

Chciałaby, żeby to właśnie było napisane na kartce dla niej. Grey, pomimo całej swojej elokwencji, także nie był dobry, jeśli chodzi o kartki, niemniej jednak Maggie przechowywała każdą, którą od niego otrzymała.

Mama przytuliła mocno Maggie, po czym wyszeptała jej do ucha:

- Tak bardzo się cieszymy, że przyjechałaś, Faselko. Faselka albo Tyczka były jej przezwiskami nadanymi

dlatego, że jako dziecko była wysoka i chuda.

- Jak tyczka! - mawiała radośnie jej kuzynka Elisabeth.

Na Elisabeth, także wysoką, ale obdarzoną krągłościami modelek Victoria's Secret w miejsce smukłości Maggie, nigdy nie mówiono inaczej niż Elisabeth.

Podczas gdy Dennis krzątał się z walizkami Maggie, Una wyznała córce, że jej osteoporoza jest poważna.

- Nie mogą uwierzyć, że do tej pory niczego sobie nie złamałam - rzekła na koniec. - To jakiś cud, a w moim stadium może się to skończyć łamaniem kości po uderzeniu się w regał.

Maggie była zaszokowana.

- Och, mamó - powiedziała. - To straszne. Tata mówił mi, że masz osteoporozę, ale nic na temat tego, jak bardzo jest zaawansowana.

Usłyszały, że Dennis wraca.

- Nie chcę, by o wszystkim wiedział - kontynuowała jej matka. - Tylko by się martwił, a jaki jest tego sens?

- Powinien wiedzieć, mamó.

- Ale po co? Nie zrobi mu dobrze na serce, jeśli będzie mnie na okrągło obserwował, martwiąc się. Nic mi nie będzie.

Ojciec Maggie wrócił do kuchni.

- Co zjemy na kolację? - zapytała pogodnie Una. - Już się nie mogę doczekać porządnego posiłku. Twój biedny tata stara się jak może, ale umie przygotować tylko zupę z bułką. A może pieczeń? Miałabym ochotę na wołowinę.

- Pieczeń wolowa? Jest w lodówce mięso? - zapytała Maggie.

Na twarzy jej matki malowała się konsternacja.

- Nie wiem, skarbie. Mam mocno utrudniony dostęp do lodówki. Ale sprawdź. Albo mogłabyś jechać do sklepu. Samochód stoi przed domem.

Maggie zaczęła ogarniać panika. Wszystko się okazało znacznie poważniejsze, niż wcześniej sądziła.

Jej ojciec nie należał do osób szczególnie zaradnych. Nigdy nie umiał gotować, a zarówno żelazko, jak i pralkę uważał za twory tajemne, z których korzystanie przekraczało jego możliwości. To matka zajmowała się wszystkim.

A teraz oczekiwała, że Maggie, która dopiero co przyjechała, wie, co się znajduje w lodówce, nie wspominając już o tym, że poczuje się na tyle pewnie, by usiąść za kierownicą samochodu, którego nigdy wcześniej nie prowadziła, i pojechać do supermarketu. Maggie zdała egzamin na prawo jazdy jako nastolatka, ale nigdy nie miała własnego samochodu i ledwo pamiętała różnice pomiędzy tymi wszystkimi pedałami.

Czy złamanie nogi złamało w jej matce coś jeszcze?

- Mamo - rzekła Maggie, czując niewyobrażalne wyrzuty sumienia z powodu tego, że w obliczu rodzinnego kryzysu

nie jest w stanie poradzić sobie z tak prostą czynnością. - Nie umiem prowadzić samochodu. Wiesz o tym.

Zajrzała do lodówki. Znajdowało się w niej kilka kartonów zupy, pół masła i jajka. Nic więcej.

- Robimy zakupy z dnia na dzień - dodał uprzejmie jej ojciec. - Ja zostanę z twoją matką.

Maggie zamknęła lodówkę. To ona tu dowodziła. Zastanawiała się, jak w ogóle do tego doszło. Nie posiadała do czegoś takiego odpowiednich kwalifikacji. To jej matka zawsze wszystkim dowodziła.

- Jakoś sobie poradzisz z samochodem, prawda? - Głos Uny zadrżał lekko.

Z przerażającą jasnością Maggie ujrzała, że ich role się odmiały. Wystarczyła jedna złamana kość udowa i teraz to ona była rodzicem.

Nie miała innego wyjścia.

- Od razu zrobię zakupy - oświadczyła stanowczo. - W mini markecie dostanę wszystko, co trzeba. Przejdę się pieszo.

Speedi Shop na Jasmine Row otwarty był od świtu do zmierzchu, odkąd Maggie chodziła do zerówki. Było w nim drożej niż w dużym supermarkecie niecałe dwa kilometry dalej, zawsze panował spory ruch, ale nigdy nie trzeba było czekać długo w kolejce do kasy, głównie dlatego, że Gretchen, właścicielka, nie pochwałała pogaduszek. Sama jednakże potrafiła zadawać pytania niczym śledczy rodem z Łubianki i prawdę powiedziawszy, Maggie bała się jej. Rzadko się uśmiechała, a kiedy już to czyniła, jej czoło i twarz pozostawały nieruchome, jakby wypełnione botoksem, choć trudno wyobrazić sobie Gretchen wydającą pieniądze na coś takiego. Uroda, nieco podobnie do uprzejmości, według Gretchen stanowiła marnotrawienie czasu.

Stała za ladą, kiedy Maggie podeszła do kasy. W jej koszyku znajdowały się składniki na pieczeń oraz gotowa szarlotka i lody na deser.

- Maggie Maguire, widok, który raduje serce. Dawno cię nie widziałam. Myślałam, że pławisz się w szczęściu małżeńskim w Galway.

Maggie przetłumaczyła sobie w głowie te udawanie uprzejme słowa: fajnie cię widzieć i czy to prawda, że wcale nie jesteś zamężna, ale nadal mieszkasz z jakimś kolesiem, który z całą pewnością się z tobą nie ożeni?

- Przyjechałam do domu na kilka dni - odparła Maggie, starając się, by brzmiało to pogodnie i niefrasobliwie. Czy ta Gretchen miała w oczach rentgen? Widziała, że mężczyzna Maggie ją zdradził? Wcale by się nie zdziwiła, gdyby odpowiedź okazała się twierdząca. - I nie jestem zamężna, ale mam stałego partnera.

Tłumaczenie: jestem kobietą spełnioną, która dokonuje ciekawych życiowych wyborów i nie zawracam sobie głowy wychodzeniem za mąż, skoro mogę prowadzić wolne życie nowoczesnej feministki.

- Rozumiem. - Gretchen skinęła głową i zaczęła skanować zakupy Maggie. - Pamiętasz moją Lorraine, prawda? Chodziłyście w szkole do równoległych klas. Lorraine mieszka w Nicei, wyszła za niesamowicie przystojnego francuskiego pilota, Jacques'a, ma troje dzieci i zatrudnia na stałe nianię. Powinnaś zobaczyć ich dom: jacuzzi, basen, bidet w każdej łazience, działka. - Nie kupuję twojej historyjki, mówiły jej oczy. Stały partner, też mi coś. Lorraine to dopiero udało się odnieść sukces. Ma wszystko: wspaniałego męża, dzieci, wszystko, co można kupić za pieniądze. Nie wróciła do domu z podkulonym ogonem w wieku trzydziestu lat bez obrączki ani dzieci.

- To naprawdę cudownie - rzekła Maggie, dorzucając do koszyka dużą tabliczkę czekolady na pociechę. - Lorraine zawsze wiedziała, czego chce, prawda? - Zaczęła wkładać zakupy do torby. Lorraine była pozbawioną serca małą damulką i zawsze chętnie wykorzystywała innych dla swoich celów. Na

przykład kradnąc pracę domową albo trzymając się z klasowymi dręczycielami. - Pa, Gretchen, muszę pędzić.

W drodze do domu uginająca się pod ciężarem toreb z zakupami Maggie zabijała czas, próbując sobie przypomnieć, kto mieszka w którym domu na Summer Street. Wiele domów pozostawało zamieszkanym przez ludzi pamiętanych przez nią od czasów dzieciństwa, na przykład Ryanów, którzy hodowali koty birmańskie i nie przeszkadzało im, gdy dzieci sąsiadów przychodziły podziwiać najnowszy miot kociąt o sierści w kolorze moreli. Albo słodka pani Sirhan, która wyglądała na osiemdziesiąt lat, gdy Maggie była mała, a teraz musiała być niesłychanie stara, ale nadal codziennie chodziła do kawiarni na filiżankę herbaty Earl Grey z cytryną.

Na bramie parku wisiała kartka brystolu z hasłem: RATUJMY NASZ PARK, wypisanym krzywym pismem, i Maggie zastanowiła się leniwie, przed czym trzeba ratować park. Ale ten, kto to napisał, nie pomyślał, by dodać także i tę informację. Może przed groźnymi przybyszami z kosmosu? Albo ludźmi, którzy nie sprzątaj kup po swoich psach?

Stary kolejowy pawilon był jej ulubioną częścią parku: często bawiła się w nim w dzieciństwie i łatwo go było sobie wyobrazić jako dworzec kolejowy, z paniami w długich sukniach, które szlochały, gdy odjeżdżali przystojni panowie, a każdemu rozstaniu towarzyszyła jakaś smutna historia. Już od wielu lat nie przejeżdżał tędy pociąg. Szyny także już dawno zdążyły zniknąć. Może to właśnie była lekcja, której musiała się nauczyć: nikogo nie obchodziła przeszłość. Za sto lat jej rozpacz z powodu Greya będzie znaczyć tyle co nic.

Dopiero o dziesiątej Maggie udało się uciec do łóżka i prywatnego smutku. Przez cały dzień nie odbierała telefonu i kiedy wreszcie na niego zerknęła, przekonała się, że ma siedem wiadomości „Gdzie jesteś?” od Shony, dwa nieode-

brane połączenia i jedną wiadomość od Greya: „Tak bardzo mi przykro, proszę, odbierz telefon”.

Taaak, akurat, pomyślała z wściekłością Maggie, kasując wiadomość. Jeden byle jaki esemesa i dwa telefony. Ależ go to musiało wiele kosztować. Złoszczenie się na Greya było łatwiejsze niż poddanie się poczuciu beznadziei i osamotnienia. Gdyby porzuciła gniew, przigniósłby ją ciężar samotności.

Otworzyła wielką tabliczkę kupionej wcześniej mlecznej czekolady i zadzwoniła do jedynej osoby na świecie, poza Shoną, która możliwe, że ją zrozumie: do kuzynki Elisabeth. Chociaż to ona była autorką przydomka Fasolka, Elisabeth należała do ulubienic Maggie.

Wysoka i wysportowana Elisabeth była w swej szkole kapitanem drużyny koszykarek; cieszyła się wielkim powodzeniem i Maggie często żałowała, że nie chodzą do tej samej szkoły. Może ochroniłaby Maggie. Obecnie jej kuzynka pracowała jako bookerka w jednej z największych agencji modelek w Seattle i co dziwne, mając na uwadze te wszystkie cechy, była miłą osobą.

W Seattle było osiem godzin do tyłu i Elisabeth miała właśnie przerwę na lunch. Siedziała za biurkiem z buzią pełną orzeszków, jako że nadal stosowała dietę ubogą w węglowodany.

- Co słyhać? - zapytała lekko niewyraźnie.

- Och, no wiesz, wszystko w porządku. Słyszałaś o wypadku mamy?

- Tak, tata mi powiedział. - Ojcowie jej i Maggie byli braćmi. - Jakoś nie wydaje mi się, by wszystko było w porządku - dodała z podejrzliwością w głosie.

Elisabeth jak nikt inny potrafiła wychwytywać ton głosu. Z całą pewnością jak nikt inny w rodzinie Maguire, której wszyscy członkowie posiadali intuicję selera.

- Co się dzieje?

- Już ci powiedziałam.

- Chodzi mi o to, co jeszcze?

- Słyszysz coś jeszcze w moim głosie?

- Każdy kolejny dzień spędzam ze słuchawką przyklejoną do ucha, rozmawiając z młodzieńkami, przebywającymi za granicą modelkami i pytając je o to, jak się czują, czy ktoś się do nich dowalał, czy wystarczająco dużo jedzą/za dużo piją/ biorą kokę/bzykają się z niewłaściwymi ludźmi/bzykają się z kimkolwiek. Więc owszem, słyszę to w twoim głosie - nie dawała za wygraną Elisabeth.

- Nakryłam Greya w łóżku z inną. Cisza.

- Kurwa.

- Nie sądziłam, że wolno tak jeszcze mówić poza granicami Irlandii - próbowała zażartować Maggie. - Każdy po twojej stronie Atlantyku niemalże mdleje, kiedy to słyszy, gdy tymczasem tutaj jest to skrzyżowanie przymiotnika i przysłówka, tego rodzaju słowo, bez którego nie możemy się obejść.

- Koszmarne sytuacje wymagają koszmarnych słów - rzekła Elisabeth, po czym ponownie zaklęła. - Kurwa. Pieprzony drań.

- Święte słowa.

- On jeszcze żyje?

- Ma wszystkie zęby na swoim miejscu, owszem - odparła Maggie.

- I nie dyndają na sznurku wokół jego szyi?

Maggie roześmiała się i to był prawdziwy śmiech po raz pierwszy tego dnia. Elisabeth należała do ludzi, którzy potrafią to, co nie do zniesienia, uczynić nieco bardziej znośnym. Słuchając jej, Maggie nie czuła się jak jedyna osoba na tej planecie, która została w taki sposób zraniona.

- Nie, nadal ma je w buzi. Rzeczywiście przemknęło mi przez głowę, by go uderzyć, ale był przytwierdzony wtedy do tej czternastoletniej blondynki...

- Czternastoletniej! - zapiszczała Elisabeth.

- Mówiąc w przenośni - wyjaśniła Maggie. - Tak naprawdę to ma jakieś dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. I jest oszalamiająca, z tego co mi się udało dostrzec. Co było prawdziwym koszmarem. Chodzi mi o to, że gdyby była brzydka i pomarszczona, to może jakoś bym sobie z tym poradziła, ale zostanie zdradzoną z potencjalną dziewczyną z rozkładówki nie wpływa pozytywnie na wiarę w siebie.

- Och, Maggie - rzekła Elisabeth. W jej głosie słyhać było miłość i współczucie. Już dawno temu dała sobie spokój z umacnianiem poczucia własnej wartości Maggie, choć posiadanie pięknej kuzynki z zaburzonym postrzeganiem własnej urody stanowiło idealne przygotowanie do pracy ze ślicznymi modelkami w rozmiarze trzydzieści cztery, które uważały, że są za grube i każdego dnia mierzyły się z odrzuceniem. - Chciałabym móc cię teraz przytulić. I co zrobiłaś?

- Tata zadzwonił z wiadomością o mamie, więc przyjechałam tutaj. Innymi słowy uciekłam, w czym akurat jestem dobra.

- Nie powiedziałaś im.

- Nie. Nie byłam w stanie.

Maggie usłyszała w słuchawce jakieś stłumione odgłosy.

- Przepraszam, muszę kończyć. Zadzwonisz jutro?

- Pewnie.

Maggie popatrzyła na swoje walizki, cierpliwie czekające na rozpakowanie. Trudno było odczuwać entuzjazm, że się wróciło do swego pokoju z dzieciństwa. Jedyne czego teraz potrzebowała, to jednej z tych wielkich lalek, którym mogła robić makijaż, starych książek o srebrnym rumaku i znowu mogłaby mieć jedenaście lat.

Dużo czytała jako dziecko, uciekając w świat książek, gdyż prawdziwy był taki okrutny. A jednak nie nauczyła się lyle, ile sądziła: książki przekonywały, że ostatecznie wszystko dobrze się ułoży. Nigdy nie zakładały ewentualności, że książkę

cię zdradzi. Nigdy nie wspominały o tym, że jeśli pozwoli się mężczyźnie na posiadanie zbyt dużej władzy nad twą duszą, będzie ją w stanie w ułamku sekundy zniszczyć. Dokończyła powoli czekoladę.

Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, znajdowałyby się teraz we własnym mieszkaniu razem z Greyem.

Widziała się tam nawet bez potrzeby zamykania oczu: siedzącą na ich łóżku, rozmawiającą o tym, jak minął im dzień, robiącą wszystkie te drobiazgi, które normalnie wydawały się czymś prozaicznym, a które stawały się boleśnie intymne i ważne, kiedy nie można ich było dłużej dzielić. Na przykład budzenie się w nocy i czucie obok siebie ciała Greya, ciepłego i silnego. Na przykład pochylanie się nad nim przy zlewie w łazience, by dostać się do pasty do zębów.

Na przykład wieszanie na kaloryferach jego T-shirtów, by wyschły. Z tych rzeczy składało się wspólne życie. Teraz to wszystko należało do przeszłości. Czowała się zdradzona, załamana i zupełnie pusta w środku.

Leżała z powrotem w swym pojedynczym łóżku z dzieciństwa i nic z tego nie miała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lekcje plastyki u pani Devlin różniły się od innych lekcji w szkole, co do tego zgadzały się wszystkie dziewczęta z szóstej klasy. Po pierwsze już samą panią Devlin trudno było nazwać przeciętną nauczycielką, mimo że była starsza od wielu pozostałych. Nawet ubiorem nie przypominała typowej nauczycielki bez względu na to, czy zakładała jedną ze swych długich zamszowych spódnic w kolorze miodu, kozaczki i pas nisko na biodrach czy dzinsy z Gapa i męską koszulę, zawiązaną wokół talii w węzeł. W porównaniu z panią Hipson, dyrektorką szkoły i jednocześnie miłośniczką bliźniaków i perłowej szminki, pani Devlin była nowatorskim uosobieniem artystycznego szyku.

Jednakże dziewczęta zgadzały się co do tego, że najważniejsze było jej nastawienie, i to ono tak ją wyróżniało. Inni nauczyciele sprawiali wrażenie zjednoczonych w planie udoskonalania swych uczniów bez względu na to, czy sami zainteresowani tego chcieli czy nie. Ale pani Devlin, choć nigdy tego w sposób wyraźny nie powiedziała, zdawała się wyznawać zasadę, że ludzie udoskonalali samych siebie we własnym tempie.

Tak więc pierwszego maja, kiedy do egzaminów zostało zaledwie kilka tygodni i całe grono pedagogiczne znajdowało się w stanie paniki, zadaniem pani Devlin dla szóstej klasy było „zapomnienie na chwilę o egzaminach i namalowanie własnej wizji Mai, pradawnej pogańskiej bogini, która dała

swe imię miesiącowi maj i która była boginią zarówno wiosny, jak i płodności".

- A jako że dzisiaj jest pierwszy maja, pora na to idealna. - Powstrzymała się przed stwierdzeniem, że za tysiąc lat wyniki egzaminów najpewniej nic nie będą znaczyć. Nie był to sposób na to, by zjednać sobie przyjaciół i wpływowych ludzi w szkole. - Wszyscy tak ciężko pracowaliście, jeśli chodzi o historię sztuki - dodała Christie, opierając się na brzegu biurka. Rzadko siadywała za biurkiem podczas zajęć praktycznych, woląc chodzić po klasie i rozmawiać z uczniami; tu pochwała, tam uśmiech. - Pomyślałam, że miło by było spędzić dziś jedną godzinę w sposób przyjemny, przypominając sobie o tym, że sztuka polega na byciu kreatywnym i zapominając o wkuwaniu.

Uczniowie, którzy wcześniej mieli dwie lekcje angielskiego, podczas których z myślą o egzaminach rozkładano na czynniki pierwsze *Buszującego w zbożu*, pokiwali ze znużeniem głowami.

Jedyna sztuka, w jaką się ostatnio angażowali, to używanie kolorowych zakreślaczy podczas powtarzania do egzaminów - ogólnie było to znacznie fajniejsze niż sama powtórka.

- Maja to najstarsza i najpiękniejsza z siedmiu gwiazd zwanych Siedmioma Siostrami albo Plejadami - kontynuowała Christie. - Plejady są częścią gwiazdozbioru Byka, nad którym pieczę sprawuje Wenus, to dla tych, którzy interesują się astrologią. Maja jest jakieś pięć razy większa od słońca.

Był tak bardzo słoneczny ranek, że widać było drobinki kurzu unoszące się w promieniach światła wpadającego przez okna na drugim piętrze. Liceum Świętej Urszuli mieściło się w starym budynku z rozpadającymi się, otwieranymi pionowo oknami i szerokimi parapetami wprost stworzonymi do siedzenia na nich między lekcjami i wydmuchiwania dymu z zakazanych papierosów na znajdujące się poniżej boisko do netballu.

- W sztuce wiosna jest reprezentowana, jak wiecie, przez zmysłowość i namiętność - mówiła dalej Christie. - Czy ktoś z was pamięta jakichś artystów, którzy malowali wiosnę w taki właśnie sposób?

- Botticelli - powiedziała Amber Reid.

Christie kiwnęła głową i ponownie zastanowiła się, co Amber porabiała wczoraj. Oczywiście, że mogła być chora, co przekazała przez telefon, ale to jak była ubrana i radość w jej krokach utwierdzały Christie w przekonaniu, że Amber szykowałą się wtedy do czegoś potajemnego.

- Tak, Amber, Botticelli to dobry przykład. Pamiętajcie, dziewczęta, malarze nie mieli telewizji, z której mogli czerpać pomysły, ani filmów, przyglądali się światu w poszukiwaniu natchnienia i czerpali z natury. Miejcie to na uwadze podczas egzaminów, wpływ na nich miały czasy, w których przyszło im żyć: wojny, ubóstwo, przyroda, religia. W zeszłym tygodniu na zajęciach z historii sztuki mówiliśmy o tym, jak wielki wpływ ma na artystów religia. Pamiętajcie purytańską szkołę holenderską z ukrytymi przekazami, prawda? Dzisiaj mamy pogańskie święto Beltane i dlatego właśnie maj po irlandzku to Bealtaine. Polega ono na świętowaniu wiosny, cieplejszych dni, rozkwitania przyrody, a także rozkwitania ludzi. Kościół oczywiście nie pochwałał świąt pogańskich, ale one także są częścią naszej historii, warto więc o nich wiedzieć. Malujcie więc i pytajcie, gdybyście czegoś ode mnie chciały.

Klasa milczała, zastanawiając się, jak namalować boginię płodności. W Świętej Urszuli temat seksualności był przez grono pedagogiczne generalnie obchodzony z daleka. Nawet podczas zajęć z edukacji seksualnej pojęcie namiętności przedstawiane było za pomocą naukowych słów w rodzaju „zygota”, przez co uczennice dochodziły do wniosku, iż to cud, że rodzaj ludzki przetrwała aż tak długo, skoro prokreacja sprawia wrażenie tak bardzo nudnej.

- Czy to prawda, że Tycjan malował tylko te kobiety, z którymi poszedł do łóżka? - zapytała nagle Amber. Jej oczy błyszczały.

Christie doznała nagłego olśnienia: przed jej oczami pojawił się obraz Amber i ciemnowłosego, kapryśnego i niebezpiecznego młodzieńca, splecionych razem na dziecięcym łóżku i robiących dorosłe rzeczy. Christie dokładnie wiedziała, czym wczoraj zajmowała się Amber. Emanowała z niej dojrzewająca seksualność. By przedstawić Maję, Amber musiała jedynie namalować autoportret.

Christie zalała falą współczucia dla biednej Faye, która najpewniej nie miała pojęcia, że jej nastoletnia córka właśnie uczyniła olbrzymi krok w stronę kobiecości. Pomyślała z zadowoleniem, że zdecydowanie łatwiej mieć synów niż córki. Synowie raczej nie zostawali sami z dzieckiem.

- Tak mi wiadomo - odparła ostrożnie Christie. - Maluj, Amber - wyszeptała. - Nie rozmawiaj.

- Przysięgam, że pani Devlin sprowadziłaby tutaj nagich modeli, gdyby jej tylko pozwolono - jęknęła Niamh do Amber.

Niamh generalnie miała problemy ze sztuką i żałowała, że zamiast niej nie zapisała się na zajęcia z gospodarstwa domowego. Jak ona ma przedstawić boginię płodności? Nie mogliby zamiast tego namalować martwej natury - dwóch bananów i zwykłego, prostego jabłka?

- A ja bardzo żałuję, że ich nie sprowadziła - odparła cicho Amber, wpatrując się w Niamh. - Nie da się nauczyć porządnie malować ludzi w ubraniach.

Przynajmniej w akademii sztuk pięknych będzie się mogła uczyć, jak rysować właściwe kreski dzięki nagim modelom...

No ale ona przecież się tam nie wybierała. Wyjeżdżała do Nowego Jorku z Karlem, przed egzaminami, i musiała powiedzieć o tym mamie. I to szybko.

- Tylko nie mów, Niamh, że nie widziałas jeszcze faceta bez ubrania - dodała z szelmowskim uśmiechem dziewczyna-

na siedząca z drugiej strony Amber. - Chodzisz z Jonniem już od roku i nie uwierzę, że przez cały czas parady w bokserkach.

Tym razem to Niamh uśmiechnęła się szeroko.

- Warto go narysować, to prawda. I ma większego, no wiecie co, niż te wszystkie rzeźby Michała Anioła!

Tylna część sali rozchichotała się nieprzyzwoicie. Dziewczęta były jednak pewne, że Christie, która przechadzała się powoli po klasie, nie słyszała tych słów.

Siwe włosy to doskonała przykrywka, pomyślała Christie, której jakoś udało się powstrzymać uśmiech. Uczennice najwyraźniej uważały, że siwizna idzie w parze z głuchotą, co oznaczało, że zdarzało jej się podsłuchać różne rzeczy, których nie usłyszałyby, gdyby miała inne włosy. Te dziewczęta zdumiałyby się zapewne, gdyby się dowiedziały, że ich poważana nauczycielka plastyki kiedyś tak samo sobie żartowała, całe wieki temu, kiedy była równie młoda i kiedy mężczyźni odwracali głowy, by się jej przyjrzeć.

Młodzi ludzie zawsze byli przekonani, że seks i namiętność zostały wynalezione przez nich. Christie dotknęła palcami złotego naszyjnika z jaspisowym skarabeuszem, który James kupił jej kiedyś na rynku w Kairze, i uśmiechnęła się.

Gdy byłeś po sześćdziesiątce i wspominałeś coś o wybrykach z młodości, ludzie uśmiechali się pobłaźliwie, uważając, że masz na myśli zuchwałe czasy, gdy siadywałeś w barze i piłeś kufel guinnessa w czasach, gdy krzywo patrzono na coś takiego. Ale ona знаła wtedy mnóstwo namiętności. Nadal tak było. To, że była filarem miejscowego kościoła, nie oznaczało, że była martwa od szyi w dół, bez względu na to jakie na ten temat zdanie mieli młodzi.

Tamte wakacje w Kairze miały miejsce przed narodzinami dzieci, kiedy ona i James skorzystali z okazji, by wziąć udział w taniej, tygodniowej wycieczce. Za dnia wzdychali z zachwytu nad skarbami Muzeum Egipskiego, zaś nocą przy-

tulali się do siebie w obskurnym hotelu, gdzie zawieszony pod sufitem wiatrak nieszczególnie radził sobie z upałem.

Pomimo to kochali się każdej nocy, odurzeni zmysłowością Kairu, jego cudnymi widokami i uderzającymi do głowy zapachami na bazarach z przyprawami.

- Upał to niesamowity afrodyzjak - oświadczył James ostatniego wieczoru ich wakacji, gdy zaspokojony leżał wsparty o poduszki i przyglądał się, jak jego żona stoi naga w świetle księżyca przed hotelowym lustrem.

- W takim razie dobrze, że nie mieszkamy tutaj na stałe - przekomarzała się Christie, podziwiając naszyjnik, który spoczywał pomiędzy jej pełnymi, sterczącymi piersiami. - Uwielbiam go - rzekła, dotykając czule naszyjnika. - Dziękuję ci.

- Mniemam, iż rozumiesz, że będę miał ochotę zedrzyć z ciebie ubranie za każdym razem, gdy go założysz? - zapytał.

- Nawet w supermarkecie?

- Pewnie będziemy musieli poczekać, aż wrócimy na parking. Nie chcielibyśmy przecież pognieść awokado!

- A może wprowadzimy zasadę jednej godziny? Gdy tylko zauważysz naszyjnik, mamy jedną godzinę, by trafić do łóżka.

James uśmiechnął się leniwie.

- Mnie to odpowiada.

Nie, pomyślała teraz, obserwując uczennice koncentrujące się na swym zadaniu: młodzi ludzie uważają, że było się starym, gdy się miało piętnaście do dwudziestu lat więcej od nich, i są przekonani, że życie kończy się wraz z przekroczeniem czterdziestki. Pewnego dnia przekonają się, jak to jest naprawdę.

Christie nie miała już żadnych lekcji przed lunchem, udała się więc do pokoju nauczycielskiego, by zająć się sprawdzaniem testów z historii sztuki z piątych klas. Po-

kój nauczycielski w Świętej Urszuli mieścił się w pierwotnej części szkoły z lat czterdziestych i otaczały go niewielkie pomieszczenia klasowe z trzeszczącymi, drewnianymi drzwiami, niszczącymi parkietami i grubymi ścianami, w które nie dało się wbić choćby jednego gwoźdźca. Pokój nauczycielski był największym pomieszczeniem w tej części budynku i w ciągu piętnastu lat, gdy tutaj pracowała, Christie uważała, że da mu się przypisać swego rodzaju rutynę, jak przyływy i odpływy na morzu. Spokój panował

o wpół do dziewiątej rano, kiedy Christie siedziała przy długim, pokrytym okleiną stole noszącym okrągłe ślady kubków, i piła zieloną herbatę, przygotowując się psychicznie na resztę dnia.

O ósmej czterdzieści pięć pokój wypełniał się groźnie wyglądającymi nauczycielami, wspomagającymi się kawą z dużego termosu.

Późnym popołudniem rozpoczynał się miarowy odpływ

i żadna ilość kawy nie była w stanie wykrzesać energii w personelu, gdy zegar odmierzał minuty do godziny czwartej i wiążącej się z nią wolności.

Raz, kiedy do grona pedagogicznego dołączył nauczyciel włoskiego - Gianni, mężczyzna, który wyglądał tak, jakby miał ochotę porwać cię do łóżka i nauczyć, jak poprawnie wymawiać „r” z wibracją - podniesiono kwestię zakupu porządnego ekspresu do kawy.

- Ta kawa to paskudztwo - oświadczył Gianni, kiedy przyłapał pozostałych nauczycieli na apatycznym wsypywaniu do kubków brązowego proszku. - Gdybyśmy mieli prawdziwy ekspres, wtedy mielibyście kawę, którą warto pić.

Rozpoczęła się zbiórka na ekspres, nie wspominając o kilku dietach, ale potem Gianni uznał, że za bardzo mu brakuje włoskiego klimatu i wrócił do domu do Florencji.

Christie, która pozostała nieczuła na pachnące Paco Rabanne'em wdzięki Gianniego i jego nagłym wyjazdem nie była

tak zrozpaczona jak reszta, zaproponowała, by za pieniądze przeznaczone na ekspres kupić mały telewizor.

- Nie po to, by oglądać tandetne seriale - nalegał pan Sweetman, który uczył angielskiego.

- Co ma pan przeciwko serialom? - zapytała ostro pani Lennox, nauczycielka francuskiego.

- Są państwo oboje tacy zajęci, że pewnie w ogóle nie znajdą czasu na oglądanie niczego poza wiadomościami w przerwie na lunch - powiedziała delikatnie Christie, a pozostali pomrukami przyznali jej rację.

Wiadomości, tak, to właśnie będą oglądać. Pan Sweetman zgodził się, że bycie na bieżąco z wydarzeniami w kraju i na świecie to sprawa nadrzędna.

Telewizor stanowił teraz najważniejszy sprzęt w tym pomieszczeniu, a ulubionym programem był ten, na którym nadawano powtórki *Milionerów*. W czołówce plasował się pan Sweetman, który cztery razy doszedł do pytania za ćwierć miliona; drugie miejsce zajmowała pani Jonem (fizyka i matematyka stosowana).

Dzisiaj telewizor był jednak wyłączony, zaś w pokoju nauczycielskim siedziały jedynie Christie i Liz, która prowadziła zajęcia z gospodarstwa domowego i uczyła biologii. Christie przyciągnęła ku sobie niezbyt zachęcającą stertę wypracowań.

Rano miała tylko dwie lekcje, ale była zmęczona, gdyż bardzo kiepsko spała w nocy. Trzy razy budziła się zlaną zimnym potem. Śniły jej się koszmary. Zwłaszcza jeden był straszny: roiło się w nim od olbrzymich czarnych pajaków spalających ludzi, których dotknęły. Często miewała sugestywne sny - minus jej daru intuicji. Ale pająki giganty? Bardzo dziwne.

Ostatecznie dała sobie spokój ze spaniem i starała się leżeć spokojnie, z zamkniętymi oczami. Próbowwała się rozweselić, wyobrażając sobie, jak bardzo użyteczne mogłoby się okazać wnętrze jej głowy dla sali pełnej psychiatrów.

Niektórzy ludzie zapisywali swe ciała na użytek medycyny - ona mogłaby zapisać swój mózg, jako że z całą pewnością działo się z nim coś dziwnego.

- Wszystko w porządku, skarbie? - wymruczał sennie James o wpół do szóstej, gdy Christie dała sobie spokój z psychiatrami, wyslizgnęła się z łóżka i założyła dzinsy i T-shirt.

- Tak, nic się nie stało. Śpij sobie, kotku - odparła, delikatnie naciągając jasnoniebieską kołdrę na jego ramiona.

Koszmary Jamesa związane były z utratą pracy albo brakiem pieniędzy na kupno jedzenia dla rodziny. Christie już dawno temu uznała, że lepiej będzie, jeśli swoje sny rodem z horrorów zachowa dla siebie. Teraz w oczach czuła piasek ze zmęczenia, a dręczące uczucie niepokoju nadal nie chciało jej opuścić.

- Christie, co słyhać? - Jej myśli przerwał jakiś głos.

Liz, druga nauczycielka, usadowiła się z kubkiem ozdobionym napisem „Nie musisz być szalony, by tu pracować, ale to pomaga” obok Christie i nietkniętego stosiku wypracowań.

- Zajęta? - zapytała, wyraźnie mając nadzieję na odpowiedź przeczącą.

Liz niedawno przekroczyła trzydziestkę, była atrakcyjną kobietą z ciemnymi kręconymi włosami i cieszyła się sympatią uczniów, odkąd we wrześniu zjawiała się w szkole. Zastąpiła ekscentryczną panią Cuniffe, która pracowała w Świętej Urszuli ponad dwadzieścia lat i odmawiała przebywania w jednym pomieszczeniu z mikrofalówką, jako że słyszała kiedyś o człowieku, który przez przypadek ugotował sobie wątrobę. W końcu sprawiło to, że nie mogła dłużej prowadzić zajęć z gospodarstwa domowego i na jej miejsce pojawiła się Liz.

- Nie jestem zajęta - skłamała Christie. - Co u ciebie?

- Dobrze... - zaczęła Liz i urwała. - Okropnie. Przepraszam. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Chciałam jedynie się przywitać, a nie wybuchnąć płaczem.

Christie sięgnęła do gobelinowej torby, która służyła jej za teczkę, pogrzebała w niej chwilę, po czym wyciągnęła paczkę chusteczek.

Otóż okazało się, że Liz była zakochana w mężczyźnie, który także ją kochał, ale czuł, że wszystko dzieje się za szybko i że być może powinni spotykać się z innymi ludźmi.

- Powiedział, że potrzebuje czasu - szlochała Liz. - Spotykamy się od roku. Nigdy wcześniej o tym nie wspomniał, dlaczego potrzebuje czasu? Nie wiem, co zrobić, Christie. Kocham go. Moja siostra mówi, że powinnam kazać mu się spakować, ale ona nigdy go nie lubiła. Uważa, że lepiej mi będzie bez niego. On mówi, że i tak możemy iść na ślub mojej kuzynki jako para, więc tak naprawdę to nie może być koniec, no nie? Co powinnam zrobić?

Najtrudniejsze pytania często były najprostsze, pomyślała Christie. Zostać i mieć nadzieję czy odejść i zacząć od nowa?

- Nie jestem w stanie ci powiedzieć, co powinnaś zrobić, Liz - powiedziała delikatnie. - Tylko ty to wiesz.

- Aleja nie wiem.

- Zamknij oczy i powiedz mi, co czujesz tam w środku. - Christie pokazała na klatkę piersiową Liz, miejsce, gdzie znajdowało się serce.

Liz posłusznie zamknęła oczy i z jej twarzy natychmiast zniknęła część napięcia. Opuściła ramiona.

- Myślę, że to koniec. Próbuje być po prostu miły, mówiąc, że pójdzie ze mną na ślub kuzynki. Uważał, że jest między nami fajnie, dopóki nie wspomniałam, że chciałabym mieć dziecko. - Otworzyła oczy i ze smutkiem popatrzyła na Christie.

- W takim razie to koniec - rzekła łagodnie Christie. Wcale nie było tak, że intuicyjnie ujrzała przyszłość Liz, ona jedynie pozwoliła koleżance samej dojść do tego, co było dla niej nie do pomyślenia.

- Masz rację, oszukiwałam samą siebie, prawda? Chyba zawsze wiedziałam, że to nie jest związek na dłuższą metę - powiedziała ze smutkiem w głosie. - Oszukiwałam się, ponieważ tak bardzo chciałam, by było inaczej. Patrząc wstecz, widzę to teraz i wszystko powinnam była inaczej rozegrać.

- Patrzenie wstecz to koszmarna sprawa - dodała Christie, uśmiechając się. - Z perspektywy czasu jest tyle rzeczy, które powinniśmy byli zrobić, a nie zrobiliśmy i na odwrót. Ale uczymy się na nich i następnym razem lepiej nam idzie.

- Jesteś naprawdę miła - wyszeptała Liz, wstając. - Założę się, że nigdy nie zachowywałaś się tak głupio jak ja. Ty myślisz, zanim coś zrobisz, Christie. Ja popełniam błędy i przekonuję samą siebie, że wszystko jest w porządku, gdy tymczasem nie jest. Boże, tak bym chciała przestać to robić. Nie byłabym teraz w takiej rozsypce. - Nachyliła się, by uścisnąć Christie. - Jesteś bardzo dobra, że mnie wysłuchałaś. Wiem, dlaczego wszyscy mówią, że jesteś mądra. Naprawdę taka jesteś.

Wraz z nadejściem pory lunchu pokój nauczycielski zaczął się ponownie zapełniać. Liz wzięła swój kubek i teczkę i zostawiła Christie siedzącą przy stole i zatopioną w myślach.

Choć panował hałas - głośna dyskusja na temat zachowania trzeciej klasy, nieustanny sznur samochodów na ulicy - Christie równie dobrze mogłaby siedzieć tutaj zupełnie sama. Nie słyszała niczego z wyjątkiem słów Liz. *Myślisz, zanim coś zrobisz, Christie.*

Zdarzyło się kilka razy, że zrobiła coś, zanim pomyślała ; jedno konkretne zdarzenie wciąż ją prześladowało. Jedna głupia, okropna rzecz, którą zrobiła i której od tamtej pory żałowała.

Sądziła, że wyrzuciła to z myśli, umieściła w pudełku ze wspomnieniami, o których lepiej nie pamiętać, i próbowała to sobie wybaczyć. Ostatnio jednak ponownie zaczęła o tym myśleć i wspomnienie było tak intensywne, jakby to wszyst-

ko miało miejsce wczoraj. Jak to się mogło stać, że nie była mądra wtedy, kiedy Ana kochała się w Careyu Wolenskim, a świat był zupełnie inny? I dlaczego wspomnienia z tamtego okresu wciąż wślizgiwały się do jej myśli, tyle lat później? Po prostu nie знаła na te pytania odpowiedzi.

Gdy po południu wracała do domu, zadzwonił do niej Shane.

- Mamo, mam ci coś do powiedzenia - rzeki, gdy już wymienili słowa powitania.

Nawet stojąc na Summer Street w promieniach późno-popołudniowego słońca, Christie poczuła, jak ponownie obejmuje ją cień strachu.

- Tak? - Czują suchość w ustach, myśląc o tych wszystkich straszliwych rzeczach, które mogły się przytrafić jej ukochanemu synowi.

- Janet jest w ciąży. Nie chcieliśmy o tym nikomu mówić przed upływem trzech miesięcy, a potem, w zeszłym tygodniu, myśleliśmy, że poroni, tak się jednak nie stało i wszystko jest w porządku. - W głosie Shane'a słychać było dumę i radość.

Christie poczuła się tak, jakby z ramion zdjęto jej olbrzymi ciężar. Strach oddalił się.

- Och, Shane, skarbie, tak bardzo się cieszę razem z wami. - Osłabła z ulgi oparła się o płot, skupiając się na parku po drugiej stronie ulicy, gdzie bawiły się dzieci i szczekały psy. Dzięki ci, dzięki ci, Boże. - Już dawno nie słyszałam tak wspaniałej wiadomości - rzekła. - To cudownie. Tak się cieszę. Jak się czuje Janet? Mów mi wszystko.

- Jest zachwycona i czuje ogromną ulgę po zeszłym tygodniu, kiedy sądziliśmy, że straci dziecko.

Christie cofnęła się myślami do zeszłego tygodnia. To właśnie wtedy się to zaczęło - przecucie, że wydarzy się coś niedobrego. Miała rację. Mało brakowało, a jej wnuk odszedłby z tego świata.

- Zrobiono jej jednak USG i wszystko jest w porządku. Będziecie mogli zobaczyć swego trzeciego wnuka na czarno-białym zdjęciu. Wzięliśmy dodatkowe dla ciebie i taty. Moglibyśmy zajrzeć w weekend i dać wam je?

- Niczego bardziej nie pragnę. - Christie westchnęła ze szczęścia. - Mam powiedzieć o ojcu czy sam chcesz do niego zadzwonić?

- Ja mu powiem.

Wydawał się w tej chwili tak bardzo podobny do Jamesa: dumny przyszedł tata, że Christie poczuła się przytłoczona emocjami. Była naprawdę wielką szczęściarą.

- Zaprosimy także Ethana, Shelly i dziewczynki, i może ciocię Anę. Takie małe rodzinne spotkanie w niedzielne popołudnie, nie żadne przyjęcie, na wypadek gdybyście uważali, że to przynosi pecha. Po prostu nasza gromadka, świętująca to, że dziecko ma już trzy miesiące. Myślisz, że Janet miałyby na coś takiego ochotę? - Janet uwielbiała rodzinne spotkania Devlinów, ale obecnie może nie czuła się na siłach nawet na krótkie, a Christie nigdy nie należała do osób, które za wszelką cenę forsują swoje pomysły.

- To będzie musiało się odbyć w przyszły weekend - odparł z zapałem Shane. - W ten wybieramy się na wesele, ale jestem przekonany, że bardzo się ucieszy. Dobijało nas to, że nikomu o niczym nie mówiliśmy. Cóż, Janet powiedziała swojej mamie, kiedy sądziła, że poroni... Przepraszam, to nie jest tak, że ciebie wyłączaliśmy z tego, mammo...

- Shane, znasz mnie przecież - upomniała go Christie. - Dziewczęta mówią swoim matkom więcej, tak to już jest na świecie. Ja to doskonale rozumiem. No dobrze, skoro mamy urządzić to małe przyjęcie w następną niedzielę, to może zaprosisz na nie także mamę Janet? - zapytała. Janet była jedynaczką, jej matka zaś wdową. - Bardzo by nam było miło.

- Jesteś kochana, mammo - odparł Shane. - Hej, piszesz się na opiekę nad maluchem, no nie?

- Możecie na mnie liczyć - rzekła żarliwie Christie.

W domu, nucąc wesoło pod nosem i myśląc o dobrej wiadomości, poświęciła półtorej godziny gotowaniu, po czym zapełniła koszyk jedzeniem dla Uny i Dennisa Maguire'ow. Nie zdążyła się jeszcze dowiedzieć, że Maggie przyjechała do domu, a przecież Dennis nie odróżniał patelni od garnka. Gdyby pozostawiono to jemu, oboje pewnie umarliby z głodu. Christie przygotowała więc dużą porcję potrawy, wystarczającą na dwa dni, rosół i tuzin sporych babeczek. Następnie udała się pospiesznie z wizytą do Uny.

- Christie, jak miło cię widzieć - rzekła Una, kiedy Dennis wprowadził ją do kuchni.

- Ciebie też. - Christie odstawiła koszyk, wysunęła sobie krzesło i usiadła obok przyjaciółki. Położyła dłoń na jej dłoni. - To straszne, Uno. Co za pech. Jak długo będziesz mieć nogę w gipsie?

- Sześć tygodni - odparł Dennis, kręcąc się niespokojnie w tle. Sortował gazety do recyklingu. Jego żona tak sprawnie z tym sobie zawsze radziła, jemu zaś szło jak po grudzie.

- Teraz to już pięć i pół - poprawiła Una. - Lekarze i pielęgniarki byli przemili; mówią, że będę zdrowa jak ryba.

Wypowiedziała to wyraźnie z myślą o Dennisie. Gdy Christie dotknęła wcześniej jej dłoni, poczuła kruchość jej kości: zamiast siły czuła pajęczynę kości, kruchą i cienką jak bibuła. Przed oczami Christie pojawiły się nagle błyszczące kółka wózka inwalidzkiego i miała nadzieję, jak to się często działo, kiedy widziała coś smutnego, że to tylko jedno z wielu potencjalnych rozwiązań. Poklepała dłoń Uny w geście zrozumienia i dwie kobiety wymieniły znaczące spojrzenia.

- Dennis, wiesz co, coś mi się wydaje, że nie zamknęłam za sobą porządnie drzwi - uśmiechnęła się do niego Christie. - Poszedłbyś może sprawdzić?

- Nie ma sprawy - odparł, wstając. - I tak muszę wystawić na jutro kosze ze śmieciami. W tym tygodniu zabierają śmieci do recyklingu zamiast normalnych, no nie?

- Czy to aż tak oczywiste, że jest gorzej, niż na to wygląda? - zapytała Una, kiedy jej mąż opuścił kuchnię.

- Tylko dla mnie - odparła Christie. - Co tak naprawdę powiedzieli lekarze?

- Chciałabym mieć ten twój dar - westchnęła Una. - Pewnie świetnie jest wiedzieć różne rzeczy, widzieć, co cię czeka, choć nie wiem, czy spodobałoby mi się, gdybym zobaczyła to. - Popatrzyła posępnie na nogę w gipsie.

- Mój dar? - zapytała Christie. Była autentycznie zaskoczona. Nadal rzadko rozmawiała o swoich umiejętnościach. I z całą pewnością nigdy nie poruszała tego tematu w rozmowie z Uną. Nie wszyscy pochwalali samo pojęcie posiadania widzeń, a nigdy nie chciała, by przyklejono jej łatkę zbikowanej dziwaczki.

- Widzisz różne rzeczy, prawda? Moja matka miała przyjaciółkę, która też to miała, wróżyła nam z kart, kiedy byłam młodsza.

- Ja nie wróżę z kart - odparła Christie. - Myślę, że jako dziecko zaszczepiłam w sobie przekonanie, że kościół nie akceptuje niczego w tym rodzaju, ale masz rację, zdarza się, że widzę różne rzeczy. Nie tyle przyszłość, lecz co mogłoby się wydarzyć. Nie zdarza się tak jednak w przypadku bliskich mi osób - dodała szybko, na wypadek gdyby Una ją zapytała o swoją przyszłość. - Gdybym widziała wszystko, wiedziałabym, że o tym wiesz!

- Jednakże poznajesz, gdy ludzie kłamią, prawda? - zapytała trafnie Una.

Christie skinęła głową.

- To bardziej kwestia intuicji - wyjaśniła, co nie było do końca prawdą.
- Wiedziałam, że nie jest z tobą tak dobrze, jak twierdzisz. Co powiedzieli lekarze?

- To osteoporoza, dość zaawansowana - odpowiedziała Una. - Miała ją moja matka, upierałam się więc w szpitalu, by mi zrobiono scyntyografię kości, choć lekarze starali się mnie przekonać, że mogę mieć to zrobione dopiero później. Ja jednak nie dałam za wygraną. Wygląda na to, że to cud, iż do tej pory niczego sobie nie złamałam. Teraz będę musiała być bardzo ostrożna, inaczej skończę jak mumia z filmu, cała w bandażach.

- Jak sobie radzi Dennis?

- Przyjechała Maggie, więc opiekuje się i mną, i nim.

- A co słysząc u niej? - zapytała ciepło Christie.

- Świetnie - odparła z dumą Una. - Akurat wyszła, by kupić gazety i coś na kolację. Choć okazuje się, że niepotrzebnie, skoro ty przyniosłaś nam jedzenie. Jest dla nas taka dobra, wiesz, Christie. Dennis zadzwonił do niej ze szpitala, a dzień później siedziała już w samolocie. To świetna dziewczyna, chciałabym jedynie, żeby się ustatkowała, jak twoi dwaj chłopcy. Ale dzieci nie da się zmusić, by żyły tak, jak by się samemu chciało, no nie? Tak czy inaczej jest szczęśliwa, a to przecież najważniejsze, prawda?

- Prawda - odparła Christie, uznając, że teraz nie jest odpowiedni moment na to, by powiedzieć przyjaciółce o tym, że jej synowa jest w ciąży. - Mam zaparzyć świeżą herbatę? - zapytała, pokazując na stojący na stole dzbanek.

- Bardzo proszę. Herbata z mlekiem to jeden ze sposobów na wmuszenie we mnie więcej wapnia. Znacznie miłszy niż te okropne tabletki, które mi zapisano. Wiesz, powinnaś dać sobie zrobić scyntyografię kości. To przekleństwo naszego wieku.

- Wiem - rzekła Christie, płucząc dzbanek i automatycznie robiąc wokół siebie porządek. Jej uwagę zwróciły gazety Dennisa. Były to niedzielne dodatki sprzed kilku tygodni pomieszane z dziennikami, otwartymi na stronach z krzyżówkami. Poukładała je starannie w stosik, czekając, aż zagotuje

się woda. Una opowiadała jej o szpitalu, zaś z czajnika zaczynało się wydobywać coraz więcej pary, gdy Christie położyła na górze ostatnią gazetę. Jej spojrzenie przykuł tytuł napisany niezbyt dużą czcionką:

„Pierwsza od 25 lat irlandzka wystawa prac polskiego malarza”.

Christie zachwiała się i przytrzymała blatu. To był krótki artykuł. Wzięła do ręki gazetę, ledwie odważając się go przeczytać. Carey Wolensky przyjeżdżał do Irlandii w przyszłym miesiącu na wystawę swych prac, na którą składały się także jego najślawniejsze płótna z serii Mroczna Pani.

Wysoko cenione przez najbogatszych kolekcjonerów sztuki na świecie i raczej niepodobne do jego pozostałych prac, obrazy z serii Mroczna Pani to tajemnicze arcydzieła Wolensky'ego.

Nim Christie zdążyła wyrwać sobie ten artykuł, usłyszała, że wraca Dennis.

- Christie, nie zawracaj sobie nimi głowy - rzekł, zgarniając z blatu stos gazet. - Wyniosę je razem z koszami.

Tak też uczynił, Christie zaś została w kuchni, wpatrując się w krzewy w ogrodzie Maguire'ów, ledwie słysząc to, co mówi Una. Myślała o Careyu Wolenskym, byłym chłopaku jej ukochanej młodszej siostry, człowieku, który nieomal wszystko zniszczył. Wracał do ich świata i nawet teraz był w stanie zrujnować im życie.

Teraz Christie wreszcie miała pewność co do tego, czego dotyczyło to dręczące uczucie niepokoju i strachu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Grace uznała, że macierzyństwo jest trudniejsze niż małżeństwo. Podziwiała właśnie teczkę na rysunki, na którą Faye wydała mnóstwo pieniędzy i która była prezentem dla Amber z okazji zbliżających się osiemnastych urodzin. W małżeństwie było przynajmniej tak, że dostawało się wolne za dobre sprawowanie i można się było z niego wykręcić, kiedy zaczynało się robić nieciekawie. Macierzyństwo natomiast to stan permanentny, wyraźnie stworzony po to, by uczynić cię osobą pozbawioną egoizmu. Na przykład wtedy, kiedy wydawało się więcej niż tygodniowe zarobki na coś dla swego dziecka.

- Bardzo jej się spodoba - rzekła Grace, myśląc, że gdyby to ona miała kupić coś tak drogiego z miękkiej skóry, zwiślałoby to teraz z jej ramienia, a wewnątrz miało dyskretną metkę świadczącą o tym, że ta rzecz została wykonana ręcznie przez pracowników firmy skórzanej Tods. No ale taka już była Faye: jedyną świetnie ubraną osobą w jej domu była Amber. - Każdy student akademii sztuk pięknych dałby się za nią posiekać.

- Tak myślisz? - zapytała niespokojnie Faye.

Wydała właśnie majątek na teczkę w najdroższym sklepie z materiałami dla artystów w mieście, ponieważ chciała, by rozpoczynając studia, jej ukochana Amber miała wszystko co najlepsze.

Było to w zasadzie nic więcej jak duży pokrowiec do przenoszenia rysunków i obrazów i stanowiło najważniejszy

element wyposażenia studenta sztuk pięknych. Amber miała starą teczkę z plastiku, która jeszcze długo mogłaby jej służyć. Ale ta duża, zapinana na zamek błyskawiczny teczka stanowiła namiastkę luksusu i Amber na pewno będzie zadowolona, posiadając piękną teczkę z kremowej skóry. Choć może wolałaby taką z czarnej skóry. Kto to mógł wiedzieć? Fakt, że kiedyś podziwiała teczkę z kremowej skóry, mógł być teraz bez znaczenia.

Mogło się okazać, że zmieniła zdanie, podobnie jak wczoraj, kiedy oświadczyła, że wolałaby jeść szybki obiad przed powrotem Faye do domu, by móc się potem zaszyć w swoim pokoju i uczyć.

- Lepiej mi się śpi, gdy jem wcześniej - wyjaśniła.

- Musisz się właściwie odżywiać - oświadczyła Faye, najeżając się po matczynemu.

- Mamo. - Amber przeciągała te dwie sylaby z irytacją. - Nie mam anoreksji ani bulimii, ani niczego innego. Lubię jeść wcześniej, to wszystko.

- No dobrze - ustąpiła przygnębiona Faye.

Egzaminy zbliżały się wielkimi krokami i nieładnie byłoby narzekać, że brakuje jej wspólnych posiłków, jedynej okazji, kiedy ostatnimi czasy mogły ze sobą naprawdę porozmawiać. Amber poddana była obecnie dużej presji, musiała być także wykończona tym ciągłym uczeniem się, o czym świadczyły niepokojące sińce pod oczami.

Faye nigdy dotąd nie widziała, by jej córka tak ciężko pracowała: zamykała się co wieczór w swoim pokoju na całe godziny, czasami wyłaniała się z niego blada o dziesiątej, by powiedzieć, że idzie spać i żeby Faye nie zawracała już sobie głowy przychodzeniem i życzeniem jej dobrej nocy.

To właśnie najbardziej martwiło Faye - że córka nie chce z nią rozmawiać. Od tak dawna były sobie bardzo bliskie, ominęła je jakoś większość koszmaru dojrzenia po to tylko, by teraz, w czasie egzaminów, nastał między nimi ten chłód.

Przez ostatni tydzień Amber prawie w ogóle się do niej nie odzywała i sprawiała wrażenie zamkniętej we własnym świecie. Czyżby tak martwiła się tym, że może jej się powinąć noga?

- Już widzę, jak ci w głowie chodzą trybiki - oświadczyła Grace, niewłaściwie interpretując minę Faye. - Przestań. Spodoba jej się, okej? A jeśli nie, to będzie znaczyło, że jest...

Prawie że powiedziała „niegrzeczna”, ale w porę ugryzła się w język. Bezdzielnicy nie powinni krytykować dzieci innych ludzi; to było jedenaste przykazanie, po którym szło dwunaste, mówiące o tym, by nie krytykować tego, jak inni ludzie poświęcają własne życie dla rzeczonych dzieci. Kiedy Grace widziała, jak Faye poświęca się Amber, cieszyła się, że jej własny zegar biologiczny nigdy nie zaczął legendarnie tykać.

Znała Faye od dziesięciu lat i pośród wszystkich rzeczy, jakich się przez ten czas o niej dowiedziała - na przykład że Faye była niezwykle bystra, lubiła jednak trzymać własne umiejętności w ukryciu, i że była jedyną znaną Grace kobietą, której autentycznie nie interesowało znalezienie sobie mężczyzny - najważniejszy był fakt, że Faye żyła dla Amber.

Ale nie o to przecież chodziło w życiu. Czy spodziewano się, że dzieci będą jedynym istotnym elementem życia kobiety? Grace była przekonana, że jej inne obdarzone potomstwem przyjaciółki prowadzą bardziej satysfakcjonujące i spełnione życie niż Faye.

- Jeśli jej się nie spodoba, to może być kwestia mody - poprawiła się Grace - ale natura jest obecnie popularna.

- Jestem pewna, że się spodoba - rzekła Faye, myśląc, że wcale już nie ma pewności w kwestiach tego typu.

Zatrząsk w oknie Amber wreszcie puścił. Podważała go już tyle razy, kiedy cichcem wracała do domu dobrze po północy, ciągnąc okno do góry i modląc się, by nie zatrzeszczało i nie obudziło jej matki. Włamania musiały być prostsze niż to się ludziom wydawało: nikt nie powstrzymał jej ani nawet nie zwrócił uwagi na jej nocne wchodzenie i wychodzenie przez okno.

- Nie wiem, jak ci się to udaje - stwierdziła Ella. Ona i Amber prawie codziennie chodziły razem pieszo do szkoły, choć ostatnio coraz później, jako że Amber ciężko się było zwlec rano z łóżka. - Twoja mama musi gonić w piętę, skoro nie zauważyła, że w nocy nie ma cię w pokoju. No dobrze - dodała.

Co takiego pan Kochaś robił z tobą zeszłej nocy? Mów.

- Wolałabym, żebyś go tak nie nazywała. - W zasadzie nie przeszkadzało to Amber, ale fatalnie się poczuła, kiedy Kila jej przypomniła, że oszukuje matkę.

- Pan Kochaś? Nazywam go tak, ponieważ zabiera cię w miejsca, dokąd nikt inny nie jest w stanie.

- Ella, daj już spokój.

- Okej, ale jestem po prostu zazdrosna. Jako nudna uczennica bez chłopaka i z czającymi się na horyzoncie egzaminami prowadzę zerowe życie seksualne i chcę wiedzieć wszystko na temat twojego. Nie mam pojęcia, jak ci się udaje w ogóle uczyć. No bo uczysz się? - zapytała podejrzliwie Ella.

- Oczywiście - warknęła Amber.

Wciąż nie powiedziała Elli, że Karl poprosił ją, by udała się do Ameryki razem z nim i zespołem. Nie wiedziała dlaczego; przecież Ella nie byłaby temu przeciwna. Obie zawsze chciały być śmiałe, co stanowiło przeciwieństwo rozsądnego zachowania, a niepodejście do egzaminów było właśnie czymś takim. Ale na razie jakoś się nie przemogła, by jej powiedzieć.

Był piątkowy wieczór. Faye zatrzymała się na podjeździe i popatrzyła na park leżący po drugiej stronie Summer Street. Nie biegały tam teraz żadne dzieci, ale i tak było w nim całkiem sporo ludzi, którzy wybrali się na wieczorny spacer

ze swymi psami. Widziała w oddali Christie Devlin, szczupłą i elegancką niczym baletnica, z tymi dwoma uroczyimi psiakami biegającymi wokół jej nóg. Tuż przed nią szedł pan Ryan, bardzo wiekowy dżentelmen, właściciel trzech mopsów - kroczył powoli z nosem w górze, zupełnie jak jego psy ze spłaszczonymi pyskami i wytwornym sposobem bycia. Ludzie rzeczywiście wyglądem przypominają swoje psy, pomyślała z uśmiechem Faye.

Kiedy Amber była mała, Faye spędziła w tym parku wiele godzin, obserwując mecze piątek piłkarskich albo wyścigi. Obie uwielbiały wtedy park, ale teraz, cóż, Faye rzadko w nim bywała. W jej życiu nie było czasu na siedzenie w parku, zawsze była czymś zajęta. Gdy jednak teraz miał zostać podzielony na pół, czuła dziwny gniew.

Summer Street nie będzie już taką samą ulicą bez rozpadającego się starego pawilonu otoczonego zielenią. Faye wiedziała, że szaleństwem jest oplakiwać coś, z czego się nigdy nie korzystało, ale fakt, że nie chodziła do tego parku, nie oznaczał od razu, że go nie lubiła.

Gdyby tylko miała energię albo czas, by coś w związku z tym zrobić, by walczyć z radą miejską, upierać się, by wstrzymano projekt. Ale to by oznaczało chodzenie po sąsiadach, zdobywanie podpisów, pisanie petycji; wszystko to, na co Faye nie miała czasu. Poza tym to zajęcie dla ludzi, którzy byli dobrzy w rozmawianiu z obcymi, a ona już dawno temu straciła tę umiejętność. Nie, ktoś inny będzie musiał rozpocząć kampanię, a ona dopisze wtedy swoje nazwisko do listy podpisów. To wystarczy. Angażowanie się zawsze okazywało się błędem.

W domu panowała cisza. Amber nie wróciła jeszcze. Pewnie jest u Elli i uczą się razem. To dobrze, pomyślała Faye. Dzięki temu miała okazję przygotować wyjątkową kolację dla nich dwóch. Kolację przed urodzinową. Postanowiła dać Amber teczkę dzisiaj, zamiast czekać do urodzin, mając częściowo nadzieję, że ten prezent zniweluje w czarodziejski sposób chłód między nimi. A w ramach dodatkowego prezentu upiekła naprędce herbatniki z płatkami owsianymi. Przed laty Amber wprost za nimi przepadała i choć były ciasteczkami dla dzieci, nagle poczuła ochotę, by je zrobić. Nakarmić córkę miłością, której Amber zdawała się już nie chcieć.

Zjawiała się po siódmej, obładowana podręcznikami. Wyglądała na dziwnie czujną i podekscytowaną.

Teczka leżała na stole przy jej nakryciu, olbrzymi prostokąt owinięty złotym papierem i przewiązany wąską złotą wstążką.

Przez chwilę przyglądała się mu w milczeniu. Prezent? Zaplanowała sobie, że dzisiejszego wieczoru porozmawia z mamą o Karlu. Spędziła z nim dużo czasu, dodając sobie otuchy i szykując się do tej chwili, a teraz jej matka zniszczyła wszystko jakimś prezentem. Jak mogły teraz odbyć tę rozmowę z piekła rodem?

Mamo, nie przystępuję do egzaminów, gdyż mój chłopak i jego zespół negocjują kontrakt z producentem z Nowego Jorku i jadę tam razem z nim, ponieważ mnie potrzebuje i kocham go. A tak, i dzięki za prezent.

- To wcześniejszy prezent urodzinowy.

Mama wyglądała na taką podekscytowaną. I zrobiła też głupie ciasteczka z płatkami owsianymi. Herbatniki dla dzieci. Czy na tym właśnie polegał problem z mamą? Poczucie winy wzmogło gniew Amber. Wciąż traktowała ją tak, jakby była małym dzieckiem.

Nie siedź zbyt długo, będzie ci ciężko wstać do szkoły.

Weź szalik na wypadek, gdyby się ochłodziło.

Nie obchodzi mnie, że wszyscy w klasie tam idą, ty nie idziesz.

Chciała dobrze, ale nigdy nie przyjęła do wiadomości, że Amber jest już dorosła i ma dorosłe pragnienia oraz prawo dokonywania własnych wyborów.

Amber ogarnęła pewność, że nie da się w łatwy sposób powiedzieć mamie o Karlu. Pępowina nie może zostać rozciągnięta - jedynie przecięta.

- Otwórz. - Faye nie mogła zrozumieć, dlaczego Amber nie rzuciła się na prezent i nie rozpakowała go natychmiast, tak jak to miała w zwyczaju.

Amber zerknęła nerwowo na matkę, po czym ostrożnie rozpakowała prezent.

- No i co, podoba ci się?

Amber zagryzła wargę. Teczka była piękna i musiała kosztować majątek, którego jej matka nie miała. Co gorsza, w jej głowie pojawiła się zdradziecka myśl, co ona i Karl mogliby zrobić z tymi pieniędzmi. Wystarczyłoby na bilet Amber do Ameryki. Koszty biletów zespołu pokrywała wytwórnia płytowa, ale to ona i Karl musieli jakoś zdobyć pieniądze na jej bilet.

Ten prezent był tak bardzo typowy dla jej matki: wydawać pieniądze, których nie miała, po to tylko, by córka miała to, co najlepsze. To takie niepotrzebne. I Amber miała teraz jeszcze większe wyrzuty sumienia niż do tej pory.

- Oczywiście, że mi się podoba. - Udało jej się wypowiedzieć te słowa bez irytacji w głosie.

- Naprawdę?

Amber poczuła, jak rośnie w niej napięcie.

- Naprawdę - odparła. - Jest śliczna. - Śliczna, ale cholernie bezużyteczna, skoro ona nie wybiera się studia. W każdym razie jeszcze nie teraz. Sztukę mogła studiować wszędzie i zawsze. Kiedy ona i Karl jakoś się ustawią, zrobi to. Nie może przecież zmarnować swego talentu.

- Uznałam, że bardziej ci się spodoba kremowa, ale możemy ją wymienić, jeśli wolałabyś czarną - kontynuowała mama.

Amber zacisnęła dłonie na teczce, powstrzymując wzbierający w niej krzyk. Czy matka w końcu przestanie?

- Dziękuję, jest śliczna - zmusiła się, by wypowiedzieć te słowa. Cmoknęła matkę w policzek. - Mam tyle nauki.

- A co z kolacją?

- Nie jestem głodna. Jadłam u Elli - zaimprovizowała.

- Amber, wiem, że martwisz się egzaminami... - zaczęła l'aye, rozpaczliwie pragnąc nawiązać z córką rozmowę.

Napięcie w Amber w końcu znalazło ujście.

- Wcale nie chodzi o te pieprzone egzaminy! - zawołała. Ty nie rozumiesz, ty nic nie rozumiesz!

Na twarzy Faye malowało się cierpienie.

- Amber, proszę, porozmawiaj ze mną. Zawsze o wszystkim rozmawialiśmy. Co się dzieje?

- Już powiedziałam - syknęła. - Nie zrozumiałabyś. Nigdy nie zrobiłaś nic ze swoim życiem, nigdy nie podjęłaś żadnego ryzyka. Jestem inna niż ty. Potrzebuję przestrzeni, a nie tego, że wisisz nade mną, czekając i mając nadzieję, że będę żyła tak, jak ty tego pragniesz!

- Nigdy tego nie chciałam. - Faye ledwo była w stanie mówić, tak wielki czuła ból. Jak Amber mogła oskarżyć ją

o to, że oczekuje od niej zbyt wiele, gdy tymczasem zawsze pragnęła tylko tego, by jej córka była bezpieczna i nie musiała przechodzić przez to co ona. - Zawsze chciałam tylko, byś była szczęśliwa.

- Nie - odparowała Amber. Przemawiały przez nią strach i poczucie winy, to one zmuszały ją do wypowiedziania tych paskudnych słów, ponieważ nie była w stanie znieść bólu w oczach matki. - Ty chciałaś, bym była szczęśliwa na twój sposób. Rozsądny, nieciekawy i nudny sposób. Ja tego nie chcę. Nie chcę skończyć tak jak ty.

- Och, kochanie, proszę, posłuchaj mnie...

- Nie, nie będę cię już słuchać, mam. Jestem dorosła i mam własne życie, i ty zresztą także. - Amber zamilkła na chwilę, zarumieniona z emocji. - Nie mogę bez końca być luz tobą, musisz ruszyć do przodu, a nie tkwić w przeszło-

ści, żyjąc wspomnieniami o tacie. Bycie wdową nie powinno określać twego życia.

Proszę, powiedziała to: powiedziała matce, by ruszyła do przodu. Może nie tak to sobie wcześniej planowała, ale zawsze był to jakiś początek. Nie będzie już mieszkać w pobliżu, wyjedzie razem z Karlem i nawet jeśli jeszcze jej o tym nie powiadomiła, powiedziała to, co najważniejsze. Nie stanowiły już małej, dwuosobowej rodziny. Ona i Karl tworzyli parę. Jej matka musiała to przecież zrozumieć.

Faye nie odezwała się ani słowem. Przyglądała się Amber, która wsadziła swój prezent pod pachę i wyszła z kuchni, pragnąc znaleźć się jak najdalej od zatroskanej twarzy matki i ciężaru jej oczekiwania.

Sama, otoczona herbatnikami, ulubioną fetą Amber, pasztecikami z cienkiego ciasta i rozerwanym papierem do prezentów, Faye czuła się zagubiona i nieznośnie zraniona. Co ona zrobiła nie tak?

Choć raz nie zawracała sobie głowy sprzątaniem kuchni, szorowaniem jej własnym roztworem środka dezynfekującego i wody, eau de Faye, jak często żartowała. Kolacja pozostała nietknięta na stole, a ona udała się, niemal jak we śnie, do swej sypialni.

To był ładny pokój, kobiecy, luksusowy na swój sposób; buduar, który zaskoczyłby każdego w Little Island.

Jej gabinet z gładkimi powierzchniami, biurkami i krzesłami ustawionymi na właściwych miejscach i kwiatkiem w doniczce, któremu co tydzień obrywała suche liście, w niczym nie przypominał tego azylu z miękkimi tkaninami. Łóżko przykrywała różowa aksamitna narzuta w kwiaty, zaś abażury w stylu tiffany rzucały łagodne, przytłumione światło.

Nie bardzo wiedząc, co innego mogłaby zrobić, Faye przysiadła na skraju łóżka. Czuła się bezsilna. Już od dawna tak się nie czuła, a jednak miała wrażenie, jakby to uczucie nigdy jej nie opuściło.

- Co mogę teraz zrobić? - zapytała na głos. Wewnętrzna siła była w stanie pomóc przejść przez wszystko. Nauczyła się w to wierzyć i uwielbiała czytać o innych kobietach, które przeżyły ból, by następnie przeistoczyć się w osoby silniejsze, twardsze, nietykalne. Stanowiły dowód, że należy ona do pewnego kobiecego klubu. Klubu Spieprzyliśmy Sprawę, Ale Jednak Żyjemy.

Ale aby to zrobić, potrzebna była ta wewnętrzna siła, a jej opierała się na jednym rdzeniu; Amber. Pięknej, kochającej, utalentowanej, wesołej Amber. Bez miłości córki ta siła pękała. A Amber właśnie odsunęła się od niej niczym kawałek lodu odrywający się od góry lodowej.

Siedziała długo na łóżku, słysząc, jak Amber krząta się na górze. A potem usłyszała dudnienie muzyki. Amber puszczała Scissor Sisters i Faye uśmiechnęła się blado, jako że dla niej brzmiało to niczym klasyczny zespół rockowy z lat siedemdziesiątych, jak jedna z jej starych płyt winylowych. Nadal miała kilka starych płyt. I zdjęcia.

Schowane były w wielkiej dolnej szufladzie szafy z lat trzydziestych, pod stertą zapasowej pościeli i kilkoma starymi dywanikami Foxford. Faye wstała i otworzyła szufladę. Zapasowe poszewki na poduszki, tak było napisane na naklejce na pudełku. Kto by to otwierał? Nawet Amber, szperając w toalecie matki w poszukiwaniu kosmetyków do makijażu, nie zwracałaby sobie głowy, by tam zaglądać. Gdyby wiedziała, że jej matka ma coś do ukrycia, być może w końcu by to znalazła.

Ale Faye wiedziała, że dobrze jej się udało skrywać swą I ajemnicę. Jak nazwalają córka? Rozsądną, nieciekawą, nudną. Wyglądało na to, że siedemnaście lat prób stania się kimś, kim nie była, przyniosło rezultat.

Od wielu lat nie dotykała tego pudełka, ale teraz zaniósła je na łóżko. Oparła się o poduszki i zdjęła wieko.

Na samej górze stosiku wspomnień znajdowało się ziarniste, kolorowe zdjęcie dziewczyny z dużymi, śmiejącymi się

oczami i opadającymi na ramiona płowymi włosami. Prawdę mówiąc - bardzo podobnej do Amber. Siedziała w środku grupy uśmiechniętych ludzi, zastygła w czasie. Za nimi widać było oparcie półokrągłej kanapy ze sztucznej skóry, a z przodu stolik barowy zastawiony butelkami, szklankami, paczkami papierosów, popielniczkami.

Faye nie pamiętała imion wszystkich widocznych na zdjęciu osób, ale słyszała muzykę, która grała, kiedy zjawił się Jimi - Led Zeppelin, coś mrocznego i nastrojowego, być może mahoniowa ciemność Kashmiru.

Zastanawiała się, gdzie jest teraz Jimi. Wtedy był słodkim facetem ze sterczącymi włosami punka i miną zagubionego psiaka, który trzymał się na uboczu grupy. Teraz był pewnie nie do poznania, miał posadę w biurze, nosił krawat, wiązane buty i miał normalne włosy. No ale w końcu ona także była nie do poznania. Patrząc na mamusiową Faye Reid wkupionej w domu towarowym czarnej spódnicy i z małymi, skromnymi kolczykami w uszach, nikt nie był w stanie wyobrazić jej sobie jako dziewczyny z tego zdjęcia, tej, która na chwilę przed jego zrobieniem kołysała się zmysłowo w rytm muzyki.

Kiedy wzięła do ręki stosik zdjęć, z pudełka uniósł się słaby zapach perfum. Odurzające Opium YSL. Zamknęła oczy i poczuła się tak, jakby cofnęła się do tamtego dawnego życia. Niemal raz jeszcze poczuła atmosferę tego klubu. Dym, marihuana, metaliczny smród Jacka Danielsa, perfumy i pot. I podekscytowanie. Podekscytowanie z powodu nieznamości tego, co się może wydarzyć za chwilę.

Nie było już tej dziewczyny ze zdjęcia, ale Faye nigdy jej nie zapomni.

Ta dziewczyna uosabiała zarówno wielką tragedię, jak i triumf jej życia, dawnego życia, którego nigdy nie mogłaby dzielić z Amber.

Trzymanie wszystkiego w tajemnicy stało się dla Faye obsesją, ponieważ gdyby Amber się dowiedziała, nigdy by

tego nie zrozumiała i ich relacja uległaby zniszczeniu. Tyle że jakimś sposobem jej związek z Amber i tak z każdym dniem coraz bardziej pękał. Faye zaczynała się zastanawiać, czy sytuacja byłaby lepsza, gdyby Amber rzeczywiście знаła prawdę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cześć, Shona. Co słycać? Nadal wszystko w porządku na Twojej planecie? Brakuje mi ciebie, Paula i Rossa, i tego, jak nam było razem fajnie.

Tak bardzo, pomyślała Maggie. Jak to się dzieje, że dopiero na odległość uświadamiamy sobie, jak świetnych mamy przyjaciół?

Tutaj nic nowego. Siedzę w moim pokoju, stukam w klawiaturę stareńkiego laptopa ojca i każdego wieczoru ogarnia mnie dziwaczne uczucie, że jest niedziela wieczór i rano muszę iść do szkoły. Gdyby w telewizji nadal puszczano Hart To Hart, miałabym wrażenie, jakby nic się nie zmieniło. Mówiłam ci, że chciałam być Jennifer Hart? Zawsze była taka miła, taka piękna, miała bogatego męża i nigdy nie musiała zajmować się domem. Kiedy byłam mała, naprawdę sądziłam, że tak może wyglądać moje życie: że pewnego dnia dorosnę i stanę się nią, będę miała przystojnego, jeżdżącego mercedesem męża, który przypadkiem będzie też multimilionerem, moje włosy będą wyglądały fantastycznie, raczej kasztan niż marchewka, a załatwieniem wszystkiego będzie zajmował się Max. Gdzie się podziali ci wszyscy milionerzy? Mogłabym zapisać się na specjalne zajęcia, by sobie takiego znaleźć. Ups, chyba jednak nie. Nie spełniałabym warunków: długie paznokcie, długie jasne włosy i chichotanie z głupich żartów mego wybranego milionera

- no a we wszystkich magazynach piszą, że to niezbędne. Nie mam się także czym pochwalić, jeśli chodzi o biust. Milionerom podobają się kobiety szczupłe w talii i z dużym biustem, które kokieteryjnie twierdzą, że jedzą wyłącznie grillowane ryby, a po szóstej to już najwyżej orzeszki. Moja klatka piersiowa i talia mają ten sam rozmiar, no i lubię zjeść porządny obiad plus deser i może tabliczkę czekolady albo i dwie po szóstej. Nie nadawałabym się.

Tak czy inaczej nienawidzę mężczyzn. Z wyjątkiem Rossa i Paula, ale oni się nie liczą. I taty. Mili faceci, którzy się do mnie nie przystawiają także się nie liczą. Co nie znaczy, by jacyś to robili, Shona. Nie wydzwaniał więc do mnie i nie każ malować rzes ani nosić butów na płaskim obcasie, bym była od nich niższa, jako że mężczyźni lubią niskie kobiety, okej? Summer Street to strefa bezfacetowa, podobna do rezerwatów przyrody, gdzie myśliwym nie wolno polować na kaczkę. Wszyscy mężczyźni w okolicy przypominają znajomych moich rodziców - typ miłego tatusia, który martwi się tym, kiedy powinien zabrać się za przycinanie żywopłotu. A zresztą kiedy mężczyźni się na mnie rzucali? Właśnie, nigdy.

Klisabeth dzwoniła kilka razy z Seattle, każąc jej wyjść z domu i zacząć żyć.

- Proszę cię, tylko nie mów, że jedynym sposobem na przebolewanie jednego faceta jest wskoczenie do łóżka z innym - ostrzegła ją Maggie, która to właśnie usłyszała przez telefon od Rossa. Dodał jeszcze, że jeśli miewał zbyt długie przerwy między randkami, zarówno on, jak i Nurejew wpadali w depresję.

Maggie wpadała w depresję na samą myśl o uprawianiu seksu z innym mężczyzną. Tego elektryzującego pociągu, jaki czuła do Greya, nie da się znaleźć dwa razy w życiu. Jedynie jego pragnęła, a jego nie mogła mieć, nie wolno jej było go mieć.

- Te pomysły, by znaleźć sobie innego faceta, to staromodne brednie - oświadczyła Elisabeth - i nigdy bym ci czegoś takiego nie zasugerowała. Mężczyzna to ostatecznie, czego teraz potrzebujesz. Mnie chodzi o wychodzenie ze znajomymi z pracy, przyjaciółmi. Odwiedzaj galerie, zajmij się pracą charytatywną, spróbuj nowego sportu, dobrze się baw.

Maggie powątpiewała w to, czy umie się jeszcze dobrze bawić.

Nie wiem, czy szefostwo Ci powiedziało, ale pozwolono mi wziąć urlop bezpłatny na dwa miesiące, dopóki nie skończy się mój kryzys rodzinny. Potem muszę znaleźć sobie inną pracę albo wracać. Nie wiem, czy dam radę znowu pracować na uczelni.

Znajoma mamy, bibliotekarka, która przed laty dała mi moją pierwszą pracę, zapytała, czy w ramach przysługi nie popracowałabym trochę w miejscowej bibliotece. Jedna z pracownic jest w ciąży i musiała wcześniej odejść z powodu bólu pleców. Zastępuję ją więc i prawdę powiedziawszy, jest super. Czuję niemal ulgę, co może brzmieć niegrzecznie wobec mamy i taty, ale rozumiesz,

o co mi chodzi.

Już od lat nie pracowałam w bibliotece publicznej, no

i fajnie jest wyjść z domu na kilka godzin, uciec od domowej klaustrofobii.

Pracuję w dziale dziecięcym i naprawdę mi się tu podoba. Dzieciaki są fantastyczne i nie, wcale nie zaczyna mi się marzyć własne, więc nawet o tym nie myśl. Dzieci mówią tyle śmiesznych rzeczy, są takie szczerze, że aż przezabawne. Poza tym mogę przeglądać książki, które uwielbiałam, gdy byłam mała. Czytam na nowo całą serię o Namii. Nie mogę uwierzyć, że robiłam to tyle lat temu.

Widziałas Greya? Nie, nie odpowiadaj na to pytanie. Tak, odpowiedz. A jeśli chodzi o tę jasnowłosą laskę, to w jej

aktach umieść kartkę z napisem: „Spała ze stałym chłopakiem bibliotekarki”. „Znana z tego, że wrywa kartki z książek” brzmi chyba jeszcze lepiej. Nie wiem, jak ma na imię. Pewnie coś w rodzaju Flower albo Petal, albo Butterfly*, głupia zdzira. Co nie znaczy, by przemawiała przeze mnie gorycz. Lepiej mi bez niego.

Buziaki, Maggie.

Wylogowała się. To ostatnie nie było prawdą. Czowała rozgoryczenie i w chwili obecnej wcale nie uważała, by lepiej jej było bez Greya.

Siedziała w domu już od ponad tygodnia i podczas gdy jej matka nie mogła nacieszyć się tym, że ma córkę pod bokiem, sama Maggie czuła się dziwnie zagubiona. Przebywała w domu, w którym dorastała, razem z rodzicami - których kochała, nawet jeśli czasami doprowadzali ją do szaleństwa

- a jednak zniknęło gdzieś poczucie przynależności.

Wszystkie te pozostałości z czasów jej dzieciństwa - puchate poduszki na łóżku, lalki Holly Hobbie na półkach

- sprawiały, że czuła się jeszcze bardziej samotna, bardziej wyizolowana.

Przed laty w tym właśnie pokoju płakała z powodu przeżywanego w szkole piekła i snuła marzenia o wspanialej przyszłości, kiedy będzie mądra i odniesie sukces. Teraz znalazła się tu z powrotem, bez przyszłości i wcale nie czuła się mądrzejsza.

- Faselko! - zawołał z dołu jej ojciec. - Wychodzimy do kawiarni na latte i panini. Piątkowa promocja. Chcesz też iść?

Poczucie przynależności to nie jedyne, co uległo zmianie. Odkąd to jej rodzice pili latte i jedli panini? Co się stało

* Flower - kwiat, petal - płatek, butterfly - motyl.

ze zwykłą kawą i drożdżówkami, które kiedyś tam sprzedawano? Maggie pomyślała, niemal dziecinnie, że dom rodzinny ruszył do przodu bez niej. On nie miał się zmieniać. Miał pozostać dokładnie taki sam, by ona mogła wracać i stawać na nogi. Niemniej jednak latte i panini były lepsze niż siedzenie w swoim pokoju.

- Okej, już schodzę.

Przynajmniej w kawiarni nie usłyszy zbyt wielu dociekliwych pytań o Greya.

Podnoszące cholesterol śniadanie w kawiarni kończyło się o jedenastej, kiedy serwowane na wszystkie możliwe sposoby jajka znikają z menu, zaś na ich miejsce wchodziły zawijane tortille oraz kanapki panini i ciabatty. Henry właśnie skrupulatnie wypisywał na tablicy przed kawiarnią promocje na dzisiejszy lunch, kiedy pojawili się Maguire'owie, najpierw Una, po królewsku i o kulach, za nią jej dworka Maggie i zamykający pochód Dennis, dzierżący torebkę Uny i poduszkę, by mogła oprzeć nogę na twardym krześle.

- Henry, kochany, jak się masz? - zapytała Una. Henry, tatusiowaty, łysiejący mężczyzna w sztruksach

i kraciastej koszuli, przerwał pisanie, by przywitać się z Uną, która bądź co bądź była bardzo dobrą klientką.

- Jak twoja biedna noga? - zapytał z troską.

- Boli, ale jaki jest sens narzekać - odparła Una. - Jeśli to najgorsze, co ma mnie spotkać, to jakoś przeżyję.

Weszli do środka i zajęli stolik przy oknie. Una kręciła się na krześle, aż wreszcie umościła się wygodnie, po czym podała kule Maggie. Xu, drobna chińska kelnerka, zjawiała się z uśmiechem i wręczyła im menu. Maggie odpowiedziała jej również uśmiechem. W Xu było coś, co ją fascynowało. Próbowwała sobie wyobrazić, jak to jest pokonać taki szmat drogi, by przyjechać do kraju, w którym nikogo się nie zna. Xu nie sprawiała jednak wrażenia samotnej czy smutnej, a jedynie wdzięcznej za szansę na nowe życie w Irlandii. Maggie do-

myślała się, że jej wcześniejsze życie musiało być niełatwe, ale nie chciała obrazić Xu, zadając jej wścibskie pytania, więc zdecydowała się, jak to ona, często się do niej uśmiechać.

- Powiedz mi, Henry, co macie dzisiaj dobrego? Próbujemy podkarmić biedną Maggie, inaczej wróci do Galway i Grey pomyśli, że ją tu głodziliśmy. Grey to jej partner - dodała Una swoim półgłosem, co oznaczało, że słyszała to tylko połowa ulicy.

Na twarzy Maggie pojawił się wymuszony uśmiech. Czy matka zawsze tak często mówiła o Greyu czy też wydawało się to tak wyraźne dopiero teraz?

- Mamy świetną zupę z leśnych grzybów - odparł Henry, który zaraz wszedł za nimi do kawiarni. - Jane wypróbuje przepisy z nowej książki kucharskiej i razem z Xu cały ranek się nad nią mordowały.

- W takim razie poprosimy tę zupę - rzekła Una. - Uwielbiamy próbować nowych rzeczy, prawda?

Uśmiechnęła się promiennie do Maggie, która starała się zmusić do myślenia o czymś wesołym, by mogła stać się częścią tego szczęśliwego, rodzinnego lunchu, zamiast wyglądać jak siedem nieszczęść. Ale o czym wesołym mogła myśleć?

Spójrzmy prawdzie w oczy. Uznała, że weźmie byka za rogi. Łatwiej będzie powiedzieć prawdę, niż znosić niekończące się publiczne uwagi na temat tego, jaki to Grey jest wspaniały.

- Grey i ja rozstaliśmy się - wyrzuciła z siebie.

Na twarzy ojca natychmiast pojawiła się troska i przykrył jej dłoń swoją, matka zaś zagryzła wargę.

- Och, Maggie, skarbie - westchnęła Una. - Szkoda, że wcześniej nam o tym nie powiedziałaś, biedactwo, zamiast dusić to w sobie. Kochamy cię.

No i proszę: najprostsze i najbardziej wzruszające, co może powiedzieć rodzic. Kochali ją i nie miało dla nich znaczenia, czy była wolna czy też miała wkrótce wyjść za najlepszą partię na tej planecie, kochali ją i już.

- Nie chciałam się rozplakać - powiedziała, płacząc. No naprawdę, co się z nią dzieje? Było tak, jakby znowu miała szesnaście lat i z najbliższego powodu zalewała się łzami. - Zerwaliśmy tuż przed twoim wypadkiem i uznałam, że masz dość zmartwień na głowie bez dodawania mojego. Ja, to znaczy on, nie wyszło nam. - Nie była w stanie powiedzieć im o tej blondynie. Byłoby to zbyt upokarzające.

- Nie był dla ciebie wystarczająco dobry - burknął ojciec, zagniewany wilk broniący swego młodego. - Powinien był cię poprosić, byś za niego wyszła. Cały czas tak mówiłem, no nie, Uno? Jaki mężczyzna spotyka się z dziewczyną przez pięć lat i nie chce uczynić z niej uczciwej kobiety?

- Dennis - rzuciła ostrzegawczo jego żona. - To nie pora na oskarżenia.

- Cóż, nigdy o to nie poprosił, prawda? Małżeństwo nie jest już teraz takie niemodne, mnóstwo ludzi bierze ślub, ale nie było wystarczająco dobre dla niego, o nie...

- Dennis.

- Tato, mam, w porządku. Pogodziłam się z tym - skłamała Maggie. - Naprawdę, oboje wiedzieliśmy, że nam nie wychodzi. - Dobrze, że nic nie powiedziała o Petal czy też jak tam miała ona na imię. Jej zazwyczaj spokojny ojciec mógłby pognać kupić broń i przestrzelić Greyowi jelita. Kto to wie?

- Miałaś go dosyć? - zapytał tata, nagle pochłonięty usuwaniem z oka jakiegoś paproszka. - Zuch dziewczyna. Rzuć go i żyj dalej, o to właśnie chodzi. Zawsze umiałaś się o siebie zatroszczyć.

Tego dla Maggie było już zbyt wiele. Nigdy nie umiała się o siebie zatroszczyć. Dlatego przeżyła w szkole cztery lata piekła. Jednakże z jakiegoś powodu jej tacie wydawało się, że jest na odwrót. Nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać. Czy do niego i mamy nie docierało, jak bardzo jest w rzeczywistości beznadziejna?

Nazajutrz rano Maggie klęczała w bibliotecznym domku dla lalek i układała książki, kiedy usłyszała, że ktoś woła jej imię.

- Maggie! - Tina, druga bibliotekarka z działu dziecięcego, syknęła niecierpliwie. - Masz gościa.

Wysokiej osobie trudno się wcisnąć choćby do połowy czerwonego domku z drewna, Maggie uznała więc, że o ile nie jest to Bill Clinton, emanujący charyzmą i czarem, ta osoba może zaczekać, aż ona skończy zbierać książki z obrazkami, które małe dzieci lubiły zabierać ze sobą do domku.

- Maggie! - ponownie syknęła Tina.

- Spadaj! - syknęła w odpowiedzi Maggie, biorąc do ręki *Bardzo głodną gąsienicę*, i natychmiast pożałowała, że to powiedziała. Potrzebowała tylko jednego dnia pod ostrzałem spojrzeń czujnych dzieciaków z podstawówki, by dotarło do niej, że dzieci uwielbiają opowiadać swym rodzicom rzeczy w rodzaju: „Ta pani za biurkiem powiedziała 'gówno', mamusiu. To nieładne słowo. Zostanie za to ukarana?”.

Z książkami w objęciach wydostała się jakoś z małego domku i ponownie przyklękła. Na szczęście w zasięgu głosu nie było żadnych dzieci. Ale za to obok Tyny, która wyglądała zarówno na wytrąconą z równowagi, jak i podekscytowaną, stał Grey, wyjątkowo przystojny w poważnym, służbowym stroju składającym się z ciemnobrązowej marynarki, koszuli i krawata. To był jego strój pt. „Spotkanie z szefem” i wyglądało na to, że dzisiaj Maggie zasługiwała na traktowanie jej jak szefa.

Dziwne, jak łatwo udało jej się zapomnieć o wpływie, jaki miała na nią fizyczna obecność Greya. Z dala od niego łatwo go było uważać za zwyczajnego mężczyznę, który zostawiał na umywalce osad po goleniu, podnosił do ust miskę po płatkach, by wypić mleko i chrapał jak cierpiący na astmę wieprzek. Teraz, gdy znajdował się tutaj, uderzająco przystojny, jej żołądek fiknął koziołka.

- Witaj, Grey.
- Cześć, Maggie.

Wpatrywali się w siebie. Pierwszym odruchem Maggie było podejść i go przytulić, ale przed jej oczami ponownie pojawił się obraz: Grey i jego blondynka w ich łóżku. Jej żołądek wykonał natychmiast zupełnie innego koziółka, uosabiającego zdradę i rozpacz, który całkowicie zneutralizował wpływ jego charyzmy.

- Co u ciebie? - zapytał. - Naprawdę mi Ciebie brakowało.

Na krótką chwilę zapomniała, gdzie się znajdują: myślała jedynie o tym, że Grey przyjechał tutaj, by powiedzieć, że ją kocha, że powinni zapomnieć o przeszłości, że jest dla niego tą jedyną. Następnie powróciło poczucie rzeczywistości. Była teraz w pracy. Grey mówił to wszystko w obecności Tiny, której oczy wychodziły z orbit tak bardzo, że wyglądało to jak u królika z myksomatozą.

Wyobraziała sobie jego minę, gdyby sytuacja była odwrotna i to ona nagabywałaby go podczas jakiegoś seminarium. Byłby wściekły.

To nie jest żadna gra, pomyślała ponuro Maggie. To jej życie i nie miała zamiaru pozwolić, by ktoś z nią sobie pogrywał.

- Co robisz w Dublinie? - zapytała spokojnie.

- Przyjechałem, by się z tobą zobaczyć - odparł. - By zabrać cię do domu.

Nie odzywał się do niej cały tydzień, a teraz zjawił się ot tak w jej miejscu pracy i sądził, że może wszystko naprawić. Jak on śmiał?

Gniew i cierpienie walczyły ze sobą w głowie Maggie. Wygrał gniew.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? - zapytała.

- Paul mi powiedział. Niechący - odpowiedział Grey. - Powiedział, że Shona go zabije. I mnie - dodał takim tonem, jakby już sama myśl o tym była niedorzeczna.

Kobiety nigdy nie gniewały się na niego zbyt długo, był zbyt czarujący. Na tyle, by zwabić je tym czarem do łóżka, pomyślała Maggie.

- Jestem w pracy, Grey - rzekła z udawanym spokojem. - Nie mogę rozmawiać.

- W takim razie później? W przerwie na lunch? Maggie udało się zachować chłodne nastawienie.

- Podczas lunchu jestem zajęta - oświadczyła tonem osoby, która ma tak wiele umówionych spotkań, że potrzebuje asystentki do pilnowania wszystkich terminów. W jej głowie rozbrzmiewał głos Shony, jej anioła stróża: *niech cierpi, każ mu na ciebie czekać!*

Przypomniała sobie radę Shony, otrzymaną wtedy, gdy jej powiedziała o tym, co się wydarzyło:

Jeśli do niego wrócisz, to już nigdy się do ciebie nie odezwę! Nie porzucaj swoich zasad tylko dlatego, że za nim szalejesz. Zaslugujesz na kogoś lepszego.

Grey oparł się o półkę J - K, jak zawsze elegancki, długie nogi krzyżując w kostkach. Maggie niemal czuła, jak Tina wzdycha z uznaniem, i na nowo ogarnęła ją irytacja. Nie z powodu zazdrości, ale dlatego, że Tina - która była dwadzieścia lat starsza od Maggie i powinna być w związku z tym mądrzejsza - wpadała w tę samą pułapkę, co kiedyś ona: wierząc, że niezwykle przystojny mężczyzna to niesamowicie cenna zdobycz.

Gdyby tylko był wierny.

- W takim razie kiedy?

Grey popatrzył jej prosto w oczy, jakby znajdowali się w odosobnionym miejscu i pieszczotami był w stanie wymóc na niej wszystko.

- Po pracy. O wpół do szóstej. - Maggie zaszokowana była tym, jak bardzo nagle zapragnęła, by ją przytulił, pomimo tego wszystkiego. - Kawiarnia na Summer Street. - To było jedyne miejsce, jakie jej przyszło do głowy, i natychmiast

tego pożałowała. Znajdowała się blisko domu i kto wie, mogli tam zajrzeć akurat jej rodzice. Maggie nie byłaby w stanie znieść sceny, nie teraz.

- Ten ładny niebiesko-biały lokalik na rogu? - zapytał Grey.

Przypomniała sobie, że zaprowadziła go tam raz, kiedy przyjechał z wizytą do jej rodziców. Zdawało się to być czymś w rodzaju królewskiej wycieczki - pokazywała mu, gdzie dorastała, pragnąc, by wszystko mu się spodobało, i Grey rzekł, że tak, podoba mu się, ale ona miała wrażenie, że tak naprawdę wydawało mu się to prowincjonalne. Ulica, na której wszyscy się znali. Jediną ulicą, na której Grey chciałby wszystkich znać, była najpewniej jakaś wytworna ulica w Waszyngtonie, gdzie podczas uroczystych kolacji omawiano z podsekretarzami kwestie światowej polityki, a nie plotkowano nad babeczkami w małej kawiarni.

Przy tamtej okazji Maggie straciła rachubę, jeśli chodzi o ludzi, którzy podeszli do nich w kawiarni i oświadczyli: „Już tak dawno cię nie widziałem, Maggie”. A po chwili z nieskrywaną fascynacją: „A kim jest ten dżentelmen?”.

- Tak. Będziemy mieć tylko pół godziny, ale jestem przekonana, że to wystarczy - rzekła chłodno.

Nie odpowiedział na tę uszczypliwość.

- W takim razie do zobaczenia.

Odchodząc, dotknął delikatnie jej ramienia, a Maggie zamknęła z bólem oczy.

Tina wzięła książki z rąk Maggie. Była co najmniej trzydzieści centymetrów niższa od Maggie i nad wszystkie inne kolory przedkładała granatowy.

Z naręczem książek i błyskiem perłowych kolczyków zerkających zza swiego pazia wyglądała jak klasyczna bibliotekarka. Ale miała szelmowskie poczucie humoru, dzięki któremu w pomieszczeniu dla personelu często pękano ze śmiechu.

- Na końcu ulicy jest nowy salon fryzjerski - rzekła, mierząc spojrzeniem nieumyte, potargane loki Maggie. - Mogłabyś wyjść sobie wcześniej na lunch. Dzisiaj moja kolej, ale nic nie szkodzi. I tak się nigdzie nie wybierałam.

Maggie poczuła, że wraca na ziemię, i uśmiechnęła się do Tyny.

- Potrzebuję się uczesać? - zapytała z udawanym zaskoczeniem.

- Nie zaszkoziłoby - odparła Tina. - Mógłby się zacząć zastanawiać, co takiego robiłaś w przerwie na lunch i z kim.

- Nie chcę jednak, by myślał, że to dla niego byłam u fryzjera.

- A kiedy jakiś mężczyzna zauważył twoje włosy? Pomyśli, że bez niego wyglądasz niesamowicie, a ty poczujesz się lepiej, jeśli masz go zamiar rzucić i wyglądasz olśniewająco.

- To prawda - westchnęła Maggie bez większego entuzjazmu.

Tina posłała jej świdrujące spojrzenie.

- Masz zamiar go rzucić?

Maggie kiwnęła głową, po czym z jej ust wydostały się słowa prawdy:

- Nakryłam go z inną. Młodszą, seksowną, z dużym biustem: istny koszmar.

- No cóż, ciebie też nie da się nazwać garbusem z Notre Dame - odparła Tina.

- Och, ja jestem jedynie chuda - rzekła ze złością Maggie. Ludzie, którzy nie byli chudzi, zawsze sądzili, że to absolutna podstawa dobrego wyglądu. Wcale nie. Seksowna i z krągłościami, z cerą, która się opala, i włosami, które dają się ujarzmić: to dopiero było coś.

- Jedynie chuda, co? - Tina podeszła bliżej. - Coś ci powiem, Maggie. Nie wiem, gdzie się podziały wszystkie lustra w twoim domu, ale ty nie jesteś jedynie chuda. A jeśli Romeo ci tego nie powiedział, w takim razie musisz go rzucić,

ponieważ jest swego rodzaju wampirem: wysysa z ciebie siły witalne i wmawia ci, że jesteś brzydka i do niczego.

Maggie przyglądała się jej. Miała ochotę powiedzieć, że Tina nie ma racji, że Grey był jedynym mężczyzną, przy którym czuła się seksowna i piękna, i że opuszczając go utraciła to wszystko. Ale to by zabrzmiało tak głupio.

Przez całe popołudnie, gdy już wróciła od fryzjera z burzą błyszczących loków, która sprawiła, że ekipa robotników na drodze wydawała okrzyki i gwizdała, myślała o tym, co powiedziała Tina. I Shona. I Elisabeth.

Jesteś warta więcej, mówiły jej. Grey nie zasługuje na ciebie - już od dawna jej to powtarzały. A ona lekceważyła ich rady, ponieważ były to pełne najlepszych intencji babskie gadki, kiedy mówi się to, co należy, by podnieść drugą osobę na duchu. To wcale nie musiała być prawda. To po prostu werbalne przytulanie. Kochamy cię, nawet jeśli on nie.

Jednakże choć raz spróbowała spojrzeć na siebie z boku i wyobrazić sobie, że to ona nie ma racji. A jeśli Grey rzeczywiście nie był dla niej wystarczająco dobry?

Nigdy jej nie poprosił, by za niego wyszła, choć byli ze sobą pięć lat i małżeństwo wydawało się następnym logicznym krokiem. Nawet na ślubie Shony i Paula, na którym Maggie była druhną i złapała bukiet - no cóż, Shona rzuciła go dokładnie na nią, więc złapanie to może nie najwłaściwsze słowo - nawet wtedy Grey nie ścisnął mocno jej dłoni i nie popatrzył na nią w sposób sugerujący, że oni mogliby być następnymi.

- Romantycznie jest dzisiaj, prawda? - zapytała go tamtego wieczoru, kiedy siedzieli w blasku zachodzącego słońca na hotelowym tarasie, Grey przystojny w jasnym lnianym garniturze, Maggie niczym leśna nimfa w ręcznie farbowanym zielonym jedwabiu, z małutkimi kremowymi kwiatami we włosach.

- Sporo ich to musi kosztować - stwierdził wtedy Grey, zaciągając się cygarem. Tata Shony częstował cygarami po toastach i Grey upierał się, by od razu wyjść i je wypalić. Maggie pomyślała z miłością, że wygląda jak postać z powieści Scotta Fitzgeralda. Do twarzy mu było z zaczesanymi do tyłu włosami. Obracał w palcach grube cygaro, delektując się nim. - Za to, co dzisiaj wydali, mogliby wpłacić zaliczkę na

całkiem spory dom. Tak sobie myślę, że to typowo irlandzkie - dodał w zamyśleniu - ta cała wielka, kosztowna ceremonia, na którą zaprasza się wszystkich znajomych. To tak jak nasza obsesja posiadania ziemi. Nie możemy po prostu wynajmować, musimy być właścicielami. To zawsze kwestia wielkopańskiego gestu. Mógłbym napisać na ten temat esej, jak myślisz?

W bibliotece, cały rok po tamtym wydarzeniu, Maggie nagle zalał gniew na Greya z powodu jego słów. Wtedy także była zirytowana, ale nic nie powiedziała, zakładając, że Grey jest po prostu znudzony, jako że nie należał do największych łanów Shony - z wzajemnością zresztą - i nie był tym ślubem tak bardzo podekscytowany jak Maggie.

- To mile, gdy wszyscy, na których ci zależy, przyglądają się, jak bierzesz ślub z ukochaną osobą - rzekła wtedy z nadzieją.

Jej matka byłaby w siódmym niebie, organizując wesele Maggie, a ojciec pewnie miesiącami ćwiczyłby swoją mowę, która byłaby pełna miłości, szacunku i najpewniej musiałaby zostać w połowie przerwana, by tata mógł otrzeć oczy.

O tym właśnie myślała na weselu Shony i Paula, gdy tymczasem cholerny Grey myślał o kolejnym cholernym esej. To nie tak, że nie był na tyle bystry, by zrozumieć, ku czemu zmierza Maggie: nie był jednym z tych nauczycieli akademickich, którzy rozumieli teorię chaosu, ale nie potrafili wymienić żarówki. Grey był sprytny. On po prostu unikał dyskusji

na temat małżeństwa, ponieważ nie był zainteresowany poślubieniem Maggie.

A ona była taka zadurzona, tak bardzo bała się go wystraszyć, że sama nie poruszała tego tematu.

Maggie nie była pewna, na jest kogo jest bardziej zła: na siebie czy Greya.

Jeszcze nigdy nie widziała tylu ludzi na Summer Street co dzisiaj, kiedy o piątej dwadzieścia osiem szła do kawiarni, by spotkać się z Greyem.

- Witaj, Maggie! - pomachał do niej ktoś po drugiej stronie ulicy akurat wtedy, gdy chciała, by nikt jej nie widział. Maggie poczuła się niczym oświetlany światłami samochodowymi królik. Kobieta z siwiejącymi blond włosami, jakby znajoma. Nie, nie miała pojęcia, kim ona jest.

- Dzień dobry - odparła pogodnie. - Co słysząc u pani i... eee... wszystkich?

Słowo „wszyscy” było bezpieczne, kiedy nie pamiętała, czy dana osoba ma męża, dzieci albo papużkę falistą.

- Och, wszyscy mają się dobrze - odparła kobieta. - Dobrze. A co u ciebie? Twoja biedna matka, słyszałam o jej nodze. Nie zajrzałam jeszcze do niej, ponieważ jestem taka zajęta ze skautkami.

Skautki! Bingo, pomyślała uradowana Maggie. Teraz już wiedziała. Pani Cooke, mieszkała na końcu ulicy i była niesamowicie wścibska. To prawdziwy cud, że nie odwiedziła ich jeszcze, by zobaczyć nogę mamy, skomentować meble i puścić w obieg szczegóły tej wizyty.

- Jednak odwiedzę ją teraz - oświadczyła pani Cooke z wyraźnym zamiarem wprowadzenia swych słów w czyn.

- Cóż, tak właściwie to dzisiaj mama nie przyjmuje gości - powiedziała pospiesznie Maggie. - Jest zmęczona, potrzebuje dużo snu. Złamanie nogi naprawdę osłabia organizm.

- Oczywiście, jak najbardziej to rozumiem - odparła pani Cooke. - Zajrzę wobec tego w przyszłym tygodniu. Wtedy będzie się już czuła lepiej. - Po tych słowach oddaliła się.

Zanim Maggie udało się dotrzeć do kawiarni, skinęła głową, pomachała, uśmiechnęła się i opisała historię nogi swej matki dwóm kolejnym osobom. A więc to by było tyle, jeśli chodzi o spotkanie się z Greyem w spokojnym miejscu.

Kawiarnia stanowiła centrum lokalnego wszechświata i absolutnie niewłaściwe miejsce na spotkanie z mężczyzną, którego twoi rodzice mieli ochotę dziabnąć nożem.

Co nie znaczy, by ci uroczy Henry i Jane pisnęli choć słówko Dennisowi i Unie, gdyby Maggie spotkała się z samym King Kongiem i siedziała przy stoliku gdzieś z tyłu, głaszcząc jego porośnięte futrem ramiona i rozmawiając o wielkich budynkach, na które można by się wspiąć. Ale ktoś inny mógł się wygadać.

W takim właśnie stanie ducha Maggie pchnęła drzwi kawiarni i rozejrzała się podejrzliwie. Z ogromną ulgą przekonała się, że nie licząc Greya lokal jest pusty.

Grey naturalnie wybrał najlepsze miejsce, siadając przy stoliku pod oknem, nieco większym od pozostałych. Siedział lam, przystojny i zrelaksowany, a przed nim filiżanka czarnej kawy i niedojedzony croissant. Jakie to typowo męskie, pomyślała z irytacją. Zjadł pół croissanta i uznał, że nie ma ochoty na resztę. Kobieta bez względu na wszystko zjadłaby całego: kupiła go, to i zje.

- Cześć - powiedziała Maggie i siadła na krześle naprzeciwko niego. Była zła i nie zmieniają tego żadne słowa Greya.

- Maggie - odezwał się Henry, podchodząc, nim Grey zdążył otworzyć usta. - Podać ci coś?

- Eee, poproszę kawę, czarną - powiedziała bez sensu, ponieważ piła z mlekiem i cukrem.

- Coś do jedzenia?

- Babeczka, eee... bez cukru.

- Marchewkowa, cytrynowa czy czekoladowa? - zapytał grzecznie Henry.

Miała wrażenie, jakby straciła zdolność mówienia.

- Cytrynowa - rzekła w końcu.

No to tyle, jeśli chodzi o układanie włosów u fryzjera w niedbale loki. Jaki sens miało wyglądanie na zadbaną i nietykalną, skoro nie była w stanie sklecić poprawnie dwóch zdań? Henry zniknął, zaś Grey i Maggie wpatrywali się w siebie.

- No więc tak - rzekła ona.

- Naprawdę się cieszę, że tu przyszedłeś - powiedział Grey, wyglądając jak okaz skruchy. - Tęskniłem za tobą. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Sięgnął ponad stolikiem i ujął jej dłoń. Maggie wyrwała mu ją.

- Przepraszam. Nie powinienem niczego przyspieszać - rzekł.

- Nie - przyznała. Siedzieli w milczeniu.

- Co u ciebie słychać? - zapytał.

- Dobrze.

- Nie wyglądasz dobrze.

- Dzięki za to wotum zaufania - powiedziała sarkastycznie.

- Nie tak to miało zabrzmieć. Wyglądasz pięknie. - Ponownie wyciągnął rękę w stronę jej dłoni, ale zatrzymał ją w połowie drogi. - Zawsze wyglądasz pięknie.

- Sądziłam, że wolisz blondynki z dużymi cyckami - odparła Maggie. Chciała, by zabrzmiało to nonszalancko, ale wyszło desperacko.

Henry postawił przed nią kawę i udał, że nic nie słyszał.

- Wiesz co, Henry, a może jednak mógłbyś dolać trochę pianki, dobrze? Zmieniłam zdanie.

- Nie ma sprawy. - Henry zabrał ze stołu filiżankę. Trzydzieści pięć lat w branży kawiarnianej oznaczało, że wiedział, iż lepiej niczego nie kwestionować, gdy kobieta zmienia zdanie.

- Ja wcale nie wolę blondynek - oświadczył poważnie Grey. - Wolę kobiety z nieposkromionymi rudymi włosami i niebieskimi oczami, i nie potrafię przestać myśleć o...

- Och, Grey, daj spokój - przerwała. - To wszystko gówno prawda. Byłeś z nią w łóżku. Nic, co powiesz, tego nie zmieni.

- Wiem.

- Porozmawiajmy o mieszkaniu i o tym, co z nim zrobimy - dodała. Tak było dobrze, była stanowcza, sprawowała kontrolę nad sytuacją. Nie przekształci się w dawną Maggie, desperacko łaknącą aprobaty.

- Nie przyjechałem tutaj, by rozmawiać o mieszkaniu. Przyjechałem, by cię przekonać do powrotu.

- Wyjechałam ponad tydzień temu, więc podróż tutaj zabrała ci całkiem sporo czasu - rzekła ostrym tonem.

- Dałem ci czas na przemyślenia, czas na to, byś przesiała się na mnie wściekać - powiedział z taką szczerością, że poczuła, iż zaczyna pękać.

- Nie jestem wściekła, jestem zraniona. Zdradzona. Zdruzgotana - podkreśliła. - Wściekłym jej się wtedy, gdy uderzy się w palec u nogi. Przez pięć lat kochałam cię całym moim sercem, a ty odrzuciłeś to wszystko, biorąc inną kobietę do łóżka w naszym mieszkaniu, więc nie, wściekanie się byłoby w tej sytuacji nieadekwatne.

- To była tylko figura retoryczna - rzeki, obdarzając ją tym swoim cierpkim uśmiechem, który uwielbiała.

Maggie poczuła, że znowu daje mu się wciągać, pomimo swych planów powiedzenia mu, że to koniec. Ponieważ tak właśnie postanowiła uczynić, nieprawdaż?

Henry po raz drugi postawił na stoliku przed nią kawę.

- Czy teraz jest dobrze, Maggie? - zapytał.

- Tak, dziękuję, idealnie - odparła.

Henry przyjrzał się uważnie im obojgu, uśmiechnął i oddalił do kuchni.

- Masz absolutnie prawo być na mnie zła - kontynuował Grey, tak jakby ich rozmowa nie została przerwana. - Nie wiedziałem, co zrobić, by to naprawić, taka jest prawda. Ja... - Zawahał się. - Wiem, co sobie myślisz, ale nic takiego nie miało miejsca wcześniej, chcę, żebyś w to uwierzyła, Maggie. To był głupi jednorazowy wyskok i nie potrafię sobie tego wybaczyć. Doskonale rozumiem, jak trudno jest ci wybaczyć, ale błagam, tyle nas łączy. Nie możemy tego wszystkiego odrzucić.

- Ja tego nie odrzuciłam, ty to zrobiłeś! - oświadczyła. - Ty.

Oboje oparli się na krzesłach, para gladiatorów zastanawiających się nad kolejnym atakiem.

Po raz kolejny przed oczami Maggie pojawiła się tamta chwila na tarasie podczas wesela Shony i Paula. Nie zachowała się wtedy jak silna, nowoczesna kobieta i nie zapytała swego chłopaka, czy uważa, że powinni się pobrać. Głędziła o tym, jak romantyczny jest ten ślub, czekając na niego, by coś powiedział, a potem, kiedy on się uchylił, nigdy więcej nie poruszyła tego tematu. Ależ mięczak.

- Dlaczego nigdy nie chciałeś wziąć ślubu? - zapytała nagle. - Wiedziałeś, że ja chcę. Ale ty unikałeś tego tematu.

- Cóż... ja... - Choć raz doktor Grey Stanley był kompletnie zaskoczony.

Maggie przyglądała się, jak myśli. Kiedyś była przekonana, że potrafi czytać z jego twarzy jak z otwartej księgi - teraz wiedziała, że się myliła. Nie odczytała na niej oznak jego niewierności. Kolejny pewnik rozpadł się w pył.

- Nie chciałeś wziąć ślubu, prawda? - zapytała, patrząc na swoją kawę.

- Nie - odparł. - Prawdę mówiąc to nie. Sądziłem, że mamy już wszystko i że małżeństwo to zniszczy. Po co naprawiać to, co nie jest zepsute, no nie?

- To ty jesteś osobą, która to zepsuła.

Opuścił głowę, jakby ciężar bólu był zbyt wielki do zniesienia.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro, Maggie. Tak bardzo mi ciebie brakuje, pragnę, byś wróciła, w ogóle nie powinienem był ci pozwolić wyjechać tamtego ranka. Wszyscy mówią, że chyba jestem szalony, jeśli pozwalam ci odejść, jesteś taka olśniewająca, piękna, zbyt dobra dla mnie, tak mi mówią.

Roześmiał się, ale jasne było, że ktoś rzeczywiście tak mu powiedział. A Maggie zrobiło się przyjemnie, że chociaż ktoś na uczelni dobrze o niej myśli.

- Dlatego właśnie tu jesteś? Ponieważ twoi koledzy uważają, że powinieneś być ze mną zamiast z jakąś piękną blondynką?

Grey podniósł głowę i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Piękną? Ona nie może się z tobą równać. Nigdy nie miałaś pojęcia, jak bardzo jesteś piękna, Maggie. To jedna z twoich najbardziej urzekających cech. Większość pięknych kobiet przypomina maklerów giełdowych, nieustannie się targując. Ich obecność kosztuje. Prezenty, kolacje, komplementy. Ale nie ty. Nawet kiedy siedzisz na kanapie w starych dżinsach i tym koszmarnym swetrze, który uwielbiasz, z kolanami podciągniętymi pod brodę, obgryzając skórki i oglądając telewizję, wyglądasz tak, że ktoś powinien ci zrobić zdjęcie - oświadczył.

- Pewnie jestem bardziej przyzwyczajony do maklerskich piękności, mają twarde skorupy. Znają swoją wartość. Ale ty nie. - Sięgnął po jej dłoń i tym razem ujął ją. - Proszę, wróć do mnie. Naprawdę cię kocham. Wierzysz mi?

- Wierzę - odparła cichutko, delektując się dotykiem jego dłoni. Jej postanowienie, by mu powiedzieć, że to koniec, jesz-

cze bardziej się zachwiało. - Ale co to oznacza, Grey? Co znaczy to, że mnie kochasz? Ja chcę tylko takiej miłości, którą się nie dzieli. Nie umiem się tobą dzielić. To by mnie zabiło.

- Zaręczmy się - rzekł poważnie. - Ustalimy datę. Niedługo, pobierzemy się niedługo. Błagam, czy nie widzisz, że mówię poważnie?

To brzmiało tak kusząco, sposób, w jaki to ujął. Jak łatwo byłoby do niego wrócić. Nęciła ją poufałość. I małżeństwo. Czy to były oświadczenia? Jeśli tak, to nigdy nie zdobyłaby się na to, by opowiadać ludziom, jak doszło do zaręczyn. Ponieważ jej narzeczony wdał się w romans...

- Teraz nie pora na to, by mówić o zaręczynach - oświadczyła stanowczo, zabierając dłoń.

Ale małżeństwo. Przecież tego właśnie pragnęła od dnia, w którym się przyglądała, jak Shona i Paul wymieniają się obrączkami.

Musiała zadać jeszcze jedno pytanie.

- Wiem, co powiedziałaś, ale muszę mieć pewność: były jakieś inne?

Miała pewność, że tamtego wieczoru zobaczyła to w jego oczach. Błysk poczucia winy, kiedy zapytała go, czy sypiał z innymi kobietami. Jednakże teraz na jego twarzy nie malowały się wyrzuty sumienia, nie widać było ani śladu tego, by zdradzał ją wcześniej.

- Przysięgam ci - oświadczył z ogniem w głosie. - Nigdy nie było nikogo innego, Maggie. Ona zjawiła się w moim gabinecie i łąsiła się do mnie i... nie wiem, schlebiało mi to. - Opuścił głowę, zamilkł na chwilę, po czym ponownie spojrzął na nią błagalnie. - To strasznie głupie dać się złapać na pochlebstwa studentki. Ona jest po prostu dzieciakiem, i to w dodatku niezbyt bystrym. A ja miałem ciebie, a ty jesteś taka mądra i błyskotliwa, i cudowna, i dorosła, och, nie jestem w stanie wymienić wszystkiego, wszystkich tych niesamowitych cech, które posiadasz.

W myślach Maggie przyznała, że Grey mówi wszystko to, co należy. Ale serce mówiło jej, że ma to gdzieś. Kochał ją, pragnął jej. To właśnie się liczyło. Potrzebowała go w swoim życiu.

- Nie było żadnej innej, nigdy? - zapytała.

- Nie, nigdy - odparł. - Będę szczery, kusiło mnie. Czasami małolaty zadurzają się w wykładowcach. Wiesz o tym, rozmawialiśmy, jakie to jest schlebiające. Daj spokój, mam prawie trzydzieści siedem lat, w

porównaniu z tymi małolatami to mam już z górki i trudno jest oprzeć się ich zainteresowaniu. Kto nie poczułby się mile połączony? Wiesz, o co mi chodzi - dodał błagalnie. - Do ciebie do biblioteki przychodzą chłopcy, uśmiechają się i flirtują. Trochę cię to kręci i dobrze się z tym czujesz. Ale to nic nie znaczy. Nic z tego nie zabierze miłości, jaką się czuje do tej jednej osoby, a tą jedną osobą jesteś ty, Maggie, kocham cię. Nie kocham jakiejś małolaty. Ona jest nikim.

- Co jest gorsze? - zapytała Maggie. Powrócił do niej cały ból, jaki poczuła, widząc Greya w łóżku z jakąś blondynką, która była nikim, uderzając w jej nadzieję, że znowu mogliby być parą. - To, że uważasz, iż ona jest nikim, czy że mogłeś uprawiać seks z kimś, kogo uważasz za nikogo?

Oparł się o krzesło, a jego oczy zaśniły w sposób, jaki to miało miejsce, gdy myślał. On był taki bystry. Jego umysł był w stanie pracować na wielu różnych poziomach i dzisiaj Maggie niemal słyszała obracające się tybiki.

- Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało - rzekł. - Nie myślę o kobietach w taki sposób.

- Och, na litość boską - przerwała mu. - To nie jest jakaś audycja partii politycznej. Nie jestem wyborcą feministką, którą musisz przekonać, by przeszła na twoją stronę. Mam gdzieś polityczną poprawność w przypadku osoby, którą pieprzyłeś w naszym łóżku. Chodzi mi o to, że wiele o tobie mówi fakt, że potrafisz uprawiać z kimś seks, a potem mówić, że ta

osoba jest nikim. Wolałabym, gdybyś powiedział mi prawdę. - Ale w rzeczywistości nie chciała znać prawdy. - Wiesz co, to błąd - powiedziała ze znużeniem. Nie mogła do niego wrócić, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Potrzebowała więcej czasu, by przemyśleć wszystko, co się wydarzyło. - Twój przyjazd tutaj. Myliłam się. Jest za wcześnie. Może powinniśmy porozmawiać po prostu przez telefon albo coś w tym rodzaju. Nie jestem gotowa na spotkanie z tobą, a mama jest chora i... jest ciężko.

Tak sobie dumiała dziś po południu w bibliotece, że tydzień to mnóstwo czasu na to, by minął straszliwy ból po jego zdradzie, ale jednak okazało się, że tydzień to zaledwie krótka chwila. Cierpienie nie straciło na intensywności. Czowała się wściekła, zraniona, głupia, pełna sprzecznych uczuć. Nie była w stanie podjąć teraz decyzji.

- Porozmawiajmy o wszystkim później. Niedługo przyjadę do Galway i wtedy możemy to zrobić.

- Nie - rzekł stanowczo Grey. - Chcę rozmawiać z tobą teraz. Chcę to poukładać teraz. Nie mogę tak dalej żyć, z tą niepewnością, zastanawiając się, co się stanie, zastanawiając się, czy do mnie wrócisz.

- Och, a więc teraz chodzi o ciebie, tak? - odparowała wściekle Maggie. - To ty robisz skok w bok, czekasz tydzień, by do mnie przyjechać, następnie masz czelność mówić, że chcesz wszystko poukładać i wrócić do normalności. Cóż, ja bardzo za coś takiego dziękuję, doktorze Stanley.

- Proszę. - Chwytał jedną jej dłoń między swoje. Jego dotyk był elektryzujący.

- Nie powinieneś tego robić - powiedziała słabym głosem, ale nie mówiła szczerze.

- Kocham cię, Maggie - rzekł. - Za chwilę pójdę sobie stąd, ponieważ chyba właśnie tego chcesz teraz ode mnie, ale pragnę, byś pamiętała, że bardzo, ale to bardzo cię kocham. Proszę, pamiętaj o tym. Popęłniłem błąd, jeden błąd,

nie krzyżuj mnie za niego, proszę. Jesteśmy przecież silniejsi. Jesteśmy wamci znacznie więcej.

Wstał, nachylił się nad stolikiem i pocałował ją lekko w usta. Niemal wbrew swej woli Maggie uniosła głowę, by znaleźć się bliżej niego.

Następnie Grey odsunął się i z niezwykłą delikatnością pogłaskał jej policzek.

- Kocham cię - rzeki. - Proszę, uwierz w to. - Po tych słowach wyszedł.

Maggie popatrzyła ponownie na swoją kawę i zamieszała ją. Dodała dwie małe saszetki cukru i wypila ją powoli, myśląc, co u licha powinna zrobić?

Jakaś część niej desperacko pragnęła wybiec na ulicę i zawołać go z powrotem, by powiedzieć, że nie umie bez niego żyć. Ale część była wciąż zbyt zraniona, by to uczynić. Pod wpływem jego zdrady pękło w niej coś cennego, czego już się nigdy nie da naprawić.

Bez względu na wszystko ich związek już nigdy nie byłby taki sam. I jakiś głos w jej głowie nieustannie szeptał: czy jeśli do siebie wrócą, to Grey znów ją zdradzi?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mosięzna kołatka lśniła, na progu panowała idealna czystość, zaś z korytarza dochodziły pyszne zapachy domowych wypieków i pasty do polerowania z wosku pszczelego.

Faye uwielbiała dom, w którym dorastała, ale przechodząc przez te drzwi czuła zawsze, że w jakimś stopniu zawiodła swą matkę. Z tego małego domu komunalnego, z zasiłku wdowiego i tego, co zarabiała w pracy na pół etatu, matka posiała Faye i jej brata, Milesa, na studia w czasach, kiedy na jej ulicy niewielu młodych ludzi posiadało wyższe wykształcenie.

Labirynt domów na ogromnym Osiedlu Pod Lipami nie był łatwym miejscem do wychowywania dzieci, jako że dręczyły go drobna przestępczość i plaga narkotyków.

Ale Josie Heffernan pilnowała, by jej dzieci kroczyły uczciwą drogą, tak że Faye udało się zdobyć miejsce w akademii sztuk pięknych, Miles zaś uzyskał na egzaminach wyniki, które okazały się wystarczające, by studiować ekonomię w Trinity.

Teraz Miles wspinał się szybko po szczeblach kariery w branży bankowości korporacyjnej, czyniąc dobry użytek z ciężkiej pracy swej matki. Choć Faye żałowała, że nie mają wystarczająco dużo czasu, by często się spotykać, wiedziała, że jest kochającym mężem i ojcem, a także sumiennym pracownikiem. Nigdy nie zszedł z raz obranej drogi. Natomiast ona nadal odczuwała wyrzuty sumienia, że zmarnowała swoją szansę.

Był późny niedzielny poranek i w domu roilo się od przyjaciółek Josie z kościoła św. Michała. Josie była osobą, którą wszyscy nazywali „filarem społeczności” w najlepszym znaczeniu tego słowa. Zawsze angażowała się całą duszą i naprawdę potrafiła wiele zdziałać.

Dzisiaj, jak zwykle, Josie przewodziła posiedzeniu w kuchni. Wszystkie miejsca przy stole były zajęte, na ceracie stał dzbanek ze stali nierdzewnej, zaś na talerzykach leżały okruchy po domowych babeczkach.

- Witaj, Faye - powiedziała matka, podrywając się z miejsca. Josie była niczym żywe srebro, niewysoka, jak jej córka i wnuczka, i nie posiadała ani grama zbędnego tłuszczu, ponieważ jak to trafnie określiła Amber, „babcia nigdy długo nie usiedzi w jednym miejscu”.

Nieważne, czy sprzątała w kościele, udzielała się w Meals on Wheels czy pracowała w miejscowej świetlicy dla niepełnosprawnych dzieci, Josie dawała z siebie wszystko.

Stan Stack, ojczym Faye, czytał właśnie gazety w zaciszu niewielkiego salonu, choć nie miała pojęcia, jak był w stanie się skoncentrować przy tych wszystkich dochodzących z kuchni śmiechach.

- Kiedy ojciec Sean rzekł do niej, że może karmić dziecko w kościele, a ona na to: „zgoda” i wyjęła na wierzch pierś, przysięgam, myślałam, że umrę ze śmiechu! - zapiszczała jedna z kobiet w grzecznej, granatowej garsonce.

- Ach, ojcu Seanowi to nie przeszkadzało, wyjeżdżał na misje i widział już chyba wszystko - uśmiechnęła się szeroko Josie. Przepadała za ojcem Seanem i nazywała go Niższym Szefem, jako że jego zwierzchnikiem był Pan Najwyższy.

- Nie tyle chodziło o pierś, co o tatuaż - upierała się odziana w granat kobieta. - Serce, a w nim napis: Robbie 4Ever. A jej mąż ma na imię Tom. Na to właśnie zwróciłam uwagę.

- Robbie Williams - zasugerowała po namyśle jedna z pań znad babeczki. - Bardzo go lubię.

- W dzisiejszych czasach może się go pozbyć za pomocą lasera.
- Robbiego Williamsa?
- Nie, tatuażu. Kolejne salwy śmiechu.

Wreszcie panie uznały, że mają już dość babeczek i herbaty, i zebrały się do wyjścia. Matka i córka zostały w kuchni same. Bez gadatliwych, energicznych koleżanek Josie zrobiło się rzeczywiście bardzo cicho.

- Co u Amber? - zapytała Josie, sprawnie sprzątajac ze stołu.
- Wszystko w porządku - odparła Faye.

Jej matka nic nie powiedziała, ale przyjrzała jej się przenikliwie.

- No dobrze, nie w porządku - poddała się Faye. I tak by to w końcu z niej wyciągnęła. - Jest humorzasta i chce kolację jeść sama zamiast ze mną.

Josie pokiwała głową.

- Odcina się ode mnie.

- A ty widzisz teraz, jak coś takiego boli - dokończyła łagodnie Josie.

Zaszokowana Faye popatrzyła na twarz matki i zobaczyła na niej pamiętany ból. Uświadomiła sobie, że niemal dwie dekady temu przysparzała Josie tego samego cierpienia, jakiego teraz doświadcza z powodu Amber. A jednak jej matka nigdy, ani przez chwilę nie zdradziła, jak bardzo się czuła zraniona. Nie było żadnych oskarżeń, a jedynie pomoc, kiedy Faye jej potrzebowała. Nie po raz pierwszy dotarło do niej, że jej matka jest wyjątkowa.

- Chodzi o mężczyznę?

- Nie interesuje się chłopcami w takim sensie - odparła Faye. - Sama wiesz, jaka jest ona i Ella: nie dają szans braciom Elli i koncentrują się wyłącznie na tym, by dostać się na studia. Współczesne dziewczęta są inne, poukładane, wie-

dzą, czego chcą i nie pozwolą, by ktokolwiek je powstrzymał, także mężczyzna.

- Skoro jesteś pewna. - Reszta zdania zawisła w powietrzu.

- Jestem - odparła Faye. Wiedziałyby przecież, gdyby było inaczej, prawda?

- Co dzisiaj porabia?

- Jest u Elli i uczą się. To te cholerne egzaminy - kontynuowała Faye. - W nich cały problem. Kiedy się skończą, wszystko znowu będzie dobrze.

- Na pewno - rzekła Josie. - Ja i Stan wybieramy się tramwajem do Howth na lunch. Masz ochotę jechać z nami?

Faye uśmiechnęła.

- Z przyjemnością - odparła.

Bądź co bądź bez Amber nie miała nic innego do roboty.

Słoneczna pogoda, pyszne jedzenie i wszyscy ludzie, których kochała najbardziej na świecie, zebrani razem - cóż mogłoby być lepszego, pomyślała Christie.

Była niedziela, dzień, w którym rodzina Devlinów świętowała nowe życie, które niemal utracili. Christie stała w kuchni i myślała o stwierdzeniu Lenki na temat tego, jak to w kuchni można zabić albo uleczyć. Szykowała się do wyniesienia tac z jedzeniem do ogrodu, gdzie znajdowała się jej rodzina. Niektórzy siedzieli w pełnym słońcu, inni w cieniu na tarasie. Kochana Lenka. Wiele lat temu wyjechała z Irlandii i choć długo utrzymywały ze sobą kontakt, nadszedł czas, kiedy jej listy urwały się, a listy Christie pozostały bez odpowiedzi. Miała nadzieję, że jej dawna przyjaciółka jest szczęśliwa bez względu na to, gdzie rzucił ją los.

Dzisiaj, w taki sam sposób, w jaki Lenka dodawała otuchę i przyjaźń do swych potraw, Christie dołożyła do gotowa-

nia całą swoją mądrość i miłość, pragnąc nakarmić rodzinę najlepiej, jak potrafi. Do każdej potrawy dokładała życzenia i modlitwy o szczęście, mając nadzieję, że ogrom jej miłości stanie się talizmanem dla jej synów, ich żon oraz wnuków, także tych nienarodzonych.

I mając nadzieję, że ta miłość oddali poczucie nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Nie, Christie nie zgadzała się na to, by myśleć o Careyu Wolenskim. Ten mężczyzna nie zniszczy dzisiejszego dnia. Ta niedziela była dla jej rodziny dniem miłości, świętowania i ucztowania.

W menu na dzisiaj znajdowały się delikatne kebaby z kurczaka i misy sałatek przybranych awokado, pomidor-kami koktajlowymi i melonem. Pieczone ziemniaki oblane kwaśną śmietaną ze szczypiorkiem leżały obok pachnących rozmarynem kawałków grillowanej jagnięciny, a upieczony własnoręcznie przez Christie chleb z pomidorami i koprem włoskim leżał pokrojony w koszyku razem z chrupiącymi bułeczkami.

- Spodziewasz się nadejścia apokalipsy? - przekomarzał się z nią James wczorajszego wieczoru, kiedy Christie odpuściła sobie ulubiony program w telewizji, ponieważ tkwiła po uszy w mące, pieczeniu, odmierzaniu i zaglądaniu do piekarnika, by sprawdzić, czy ciasto z miodem i makiem wyrosło. - Jak na razie nie składałem zamówienia na schron przeciwatomowy w ogrodzie, ale mogę to zrobić, jeśli chcesz. Choć prawdę powiedziawszy, większość ludzi zabiera do nich ze sobą konserwy...

- Gotuję, więc jestem - odparła pogodnie Christie, nakładając łyżką masę do foremek na babeczki.

Co było prawdą. Gotowanie było dla niej zarówno terapią, jak i sposobem okazania rodzinie miłości, a właśnie teraz bardzo potrzebowała takiej duchowej stawy.

Ręka Jamesa pomknęła w stronę miski z ciastem.

Christie roześmiała się i pozwoliła mu nabrać masy na palec, po czym odpędziła go.

- Nie karmię tych, którzy się ze mną drocą - oświadczyła.

- Robisz dla mnie guacamole? - zapytał, dostrzegając owoce awokado.

James uwielbiał jedzenie i zjadłby praktycznie wszystko, ale jego miłość do guacamole w annałach rodziny Devlinów zdążyła już przejść do legendy.

- Czy kiedyś zapomniałam o tym? - Christie poklepała go po policzku pobrudzoną mąką ręką, po czym powróciła do nakładania ciasta do foremek.

- Nie - przyznał James i objął żonę, by ją pocałować. Kto by pomyślał, że guacamole okaże się sekretem miłości,

pomyślała Christie, zamykając oczy i odchylając się w jego ramionach: na takich dziwnych rzeczach opierały się małżeństwa.

- Mamo, to jest przepyszne - westchnął Ethan. Siedział na pasiastym leżaku, u jego stóp leżały psy, a na kolanach trzymał talerz wypełniony po brzegi jedzeniem.

- Tak - mruknęła Janet, która była bledsza niż zazwyczaj, ale miała w oczach blask, którego Christie nigdy dotąd u niej nie widziała. - Podoba mi się to całe jedzenie za dwóch.

- Tak naprawdę widać to dopiero przy deserze - poinformowała ją Shelly, żona Ethana. - Nie sądzisz, byś była w stanie zjeść dwa całe kawałki sernika albo ciasta czekoladowego, ale okazuje się, że jesteś.

Ethan i Shane, dobrze wyszkoleni przez swoją matkę, pomogli jej posprzątać, by mogła przynieść deser.

- Dziękuję - powiedział Shane, całując ją z uczuciem w policzek. - To naprawdę wspaniałe przyjęcie.

Robiło się tak gorąco, że psy weszły do środka i położyły się na podłodze w kuchni, ciężko dysząc.

James wniósł do domu ostatnie talerze i wstawił je do zmywarki.

- Nie wiem, czy to kwestia wina, ale dzisiejszy dzień skłonił mnie do refleksji. Jesteśmy wielkimi szczęściarzami, Christie, prawda? - zapytał, gdy się wyprostował. - Mamy wszystko, zdrową rodzinę, siebie nawzajem, trochę gotówki w banku.

- Hej, myślisz, że ja o tym nie wiem? - odparła Christie, uśmiechając się do męża. Ona także napiła się wcześniej wina i wreszcie poczuła, jak opuszcza ją napięcie. Musi przestać myśleć o Careyu Wolenskim. Jak obca osoba z przeszłości mogłaby zniszczyć jej teraz życie? - Każdego dnia dziękuję Bogu za to, co mamy.

Z ogrodu dobiegały odgłosy ich rodziny, przyjemnie spędzającej popołudnie. Sasha piszczała, goniąc za balonami, a Christie miała nadzieję, że nie natrafią na kolce róż odmiany Madame Pompadour. Dzieci zawsze tak bardzo się smuciły, gdy pękały im balony.

Christie nie musiała wyglądać przez okno, by wiedzieć, że Shane uśmiecha się od ucha do ucha i ma dumną minę przyszłego tatusia. Prezentował ją przez cały dzień i Christie pamiętała, że James przed laty wyglądał dokładnie tak samo. Duma z posiadania rodziny.

- Ja także każdego dnia dziękuję - powiedział James. - Ale, no wiesz - uczynił pauzę - czy czasami martwisz się, że coś się stanie? Że jedno z nas zachoruje, że się przytrafi coś, na co nic nie będziemy mogli poradzić?

Christie wpatrywała się w niego. James nigdy nie robił się cikliwy, nawet po kieliszku wina. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, co on wie i jak się dowiedział. No ale przecież nie mógł niczego wiedzieć, nieprawdaż?

- Co masz na myśli? - zapytała z napięciem.

- Nie, nic - odparł James. - To tylko... sam nie wiem. Wszystko wydaje się takie dobre. Czasami martwię się, że mogłoby się wydarzyć coś okropnego i że stalibyśmy się zgorzkniali.

Niespokojne spojrzenie Christie szukało jakiegoś znaku, że on wie, ale niczego nie znalazło. Być może było po prostu tak, że jej uczucie niepokoju przeniosło się na niego.

- To wszystko? - zapytała z ulgą. - Jesteś najmniej zgorzkniałym człowiekiem, jakiego znam. To, że jesteśmy szczęśliwi, nie oznacza wcale, że coś musi się wydarzyć i wszystko zniszczyć.

- Ach, to nic takiego. - James odsunął od siebie melancholijne myśli. - Głuptas ze mnie i tyle. To najpewniej męska menopauza.

- Jesteś za stary na męską menopauzę - roześmiała się Christie. - Powinna mieć miejsce wieki temu, kiedy ja przechodziłam swoją. Całkiem nieźle to zniosłam, nie uciekłam z jakimś przystojnym młodym ogierem.

- Zabiłbym go, gdybyś coś takiego zrobiła - odparł James, nagle poważniejąc.

- To dobrze, że nie trafił się wtedy nikt pasujący do tego opisu - rzekła żartobliwie, choć zbierało jej się na mdłości. Po co to w ogóle powiedziała? Głupia. - A tak na poważnie to możesz spać spokojnie, kochany. Czego mogłabym chcieć od młodego ogiera, skoro mam ciebie? - Christie objęła Jamesa i pocałowali się. Objęcia męża były znajome i uspokajające, tyle że dzisiaj Christie nie czuła się spokojna. - Okej, wróćmy do kwestii zasadniczych - rzekła, opierając się o niego. - Co zrobimy, w sensie finansowym, dla Shane'a i Janet? Musimy jakoś im pomóc. Są bez grosza, a nie mają pojęcia, jak kosztowne są małe dzieci.

- Ja też o tym myślałem - powiedział James. - Moglibyśmy ponownie wziąć kredyt pod zastaw domu.

- Owszem, ale szkoda byłoby to robić - odparła Christie. - Mam inny pomysł. Co ty na to, żebym znowu zaczęła wieczorami udzielać prywatnych lekcji? Tylko kilka wieczorów w tygodniu, a dzięki temu moglibyśmy im pomóc w uwiciu sobie przytulnego gniazdka.

Już to robiła w przeszłości, kiedy było u nich krucho z pieniędzmi.

- W żadnym wypadku - oświadczył James. - Wystarczająco ciężko pracujesz. Powinnaś móc przejść na emeryturę i odpoczywać, a nie być zmuszoną pracować, ile się da. Coś wymyślimy.

- Czemu oboje wyglądacie tak poważnie? - rozległ się głos. To Ana, która weszła do kuchni z kolejną pustą butelką po winie. - To nie jest dzień na zamartwianie się - dodała nieco zbyt radośnie. - Powinniśmy świętować.

- My tylko rozmawiamy - powiedziała lekko Christie. - James, wyjmiesz z lodówki jeszcze jedną butelkę, a ja zajmę się ciastem? Ana, mogłabyś zabrać na dwór te małe torciki wrózkowe, które zrobiłam dla dzieci.

Długo nad nimi ślęczała wczoraj wieczorem: torciki polukrowane na kolorowo z wymalowanymi głowami zwierząt, by zachęcić dzieci do jedzenia.

- Z największą przyjemnością - odparła nieco bełkotliwie Ana.

Ponad jej głową James i Christie wymienili znaczące spojrzenia. Ana nie była przyzwyczajona do picia i po dwóch kieliszkach dobrze by jej zrobiło, gdyby się położyła w jakimś zaciemnionym miejscu.

- Chodź, Ano - rzekł James, obejmując ramieniem szwagierkę. - Ja wezmę tacę.

Christie została sama w kuchni, by zająć się ciastem. Patrząc przez okno, widziała Ethana tulącego małą Saszę. Shelly i Janet pochłonięte były rozmową o małych dzieciach, gdy tymczasem Margery, matka Janet, podrzucała właśnie balon dla Fin. James uśmiechał się, pomagając ułożyć się rozchichotanej Anie na wygodnym krześle.

Christie przyglądała się swej rodzinie i żałowała, że nie widzi przyszłości wtedy, kiedy ma to dla niej znaczenie.

James miał rację, naprawdę byli szczęściarzami. Ale to nie tylko łut szczęścia uczynił ich małżeństwo tak silnym w ciągu tych wszystkich lat. Nie spędza się z kimś trzydziestu pięciu lat, nie mając czasami ochoty zamordować tej osoby. Ciężko pracowali, by pokonać dzielące ich różnice. W rodzinie Devlinów nie było w przeszłości zbyt wielu poważnych kłótni. Christie, która dorastała w nerwowym napięciu, nie znosiła kłótni. Wysłuchiwanie ojca na całe życie zniechęciło ją do kłótni. James był wyrozumiały, serdeczny i wychowywał ich dzieci tak, by też takie były. A więc owszem, wymagało to ciężkiej pracy. Niemniej jednak byli szczęściarzami. Dlaczego James nagle zaczął się martwić, że szczęście się od nich odwróci? Christie zadrżała pomimo gorąca.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Amber czuła, jak wali jej serce. Usta miała suche mimo dwóch wielkich bourbonów Southern Comforts z colą, które wcześniej kupił jej Karl, i cała była podekscytowana. Znalazła sobie idealne miejsce po prawej stronie sceny klubu Snake Pit, za wielkim reflektorem, gdzie leżało niewielkie pudło, na którym mogła siedzieć i wszystko świetnie widzieć, pozostając poza zasięgiem wzroku innych.

Wokół jej stóp porzrucane były grube kable. Na scenie i za kulisami robota wrzała jak w ulu: umięśnieni faceci z wytatuowanymi bicepsami ustawiali wzmacniacze i pozostały sprzęt, pokrzykując do siebie w międzyczasie. Dwóch mężczyzn z radiowymi słuchawkami nadzorowało pracę za kulisami, wyrzucając z siebie polecenia i odhaczając punkty na swoich listach. Wszyscy za kulisami wydawali się pełnić konkretną funkcję, od personelu organizacyjnego, biegającego dokoła z dyndającymi na szyjach identyfikatorami, aż po same zespoły, pochowane po garderobach i szykujące się do występu.

- Zostawisz nas na chwilę, mała?

To były słowa nowego managera Karla, Steviego, wypowiedziane przed kwadransem do Amber w kanciapie zespołu. Nim zdążyła posłać Karlowi spojrzenie mówiące, jak ten koleś śmie ją w taki sposób lekceważyć, Stevie wypchnął ją do słabo oświetlonego korytarza tuż za sceną. Tutaj nikt nie wiedział ani nie przejmował się tym, że ona jest dziewczyną

i mużką Karla Evansa. Tutaj była po prostu blondynką w dzinsach, w miejscu, które miało okazję widzieć mnóstwo towarzyszących zespołom blondynek w dzinsach. Amber poczuła, że zbiera jej się na płacz. Ten niedzielny wieczór był taki ważny dla Karla, a co za tym idzie dla niej. Wielka impreza lansująca muzyków, w której udział załatwił im ten koszmar Stevie. Producenci, szefowie wytwórni płytowych, wszyscy, którzy coś znaczyli, mieli się tutaj zjawić, by posłuchać nowych, gorących zespołów. To było niesamowicie ważne wydarzenie, ale Amber, która się nieodwołalnie związała z Karlem i jego przyszłością, została odsunięta na bok.

Niespokojnie bawiła się tygrysim okiem, wisiosem, który znalazła w szufladzie mamy i który często zakładała, gdy wychodziła gdzieś z Karlem. Do tej pory ten wisior zawsze działał na nią uspokajająco, sprawiał, że myślała o mamie i domu, gdzie była bezpieczna i uważana za skarb, a nie za jakąś zawalidrogę.

Ale od czasu tamtej paskudnej kłótni w piątkowy wieczór, kiedy mama dała jej ten głupi prezent, nic nie działało na nią uspokajająco. Wcześniej zdarzały się im kłótnie, ale nigdy aż takie. Nigdy nie towarzyszyły im takie słowa goryczy i gniewu. Amber ledwie była w stanie myśleć o tym, co powiedziała, ale nie zamierzała się wycofać i przeprosić, jako że zostało do powiedzenia dużo, dużo więcej.

Mamo, wyjeżdżam z Karlem, nie podejść do egzaminów, nie wybieram się na studia.

Przez cały weekend robiła wszystko, by unikać matki. Nie patrząc Faye w oczy, burczała, że musi się uczyć. Nie była w stanie tego znieść. Napięcie ją dobijało.

Nie powiedziała Karlowi o kłótni. Tak bardzo się przejmował dzisiejszym wieczorem, że nawet nie zauważył, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. A teraz pozwolił Stevie-mu wyrzucić ją z garderoby, nie walczył o nią, nie wymknął się na korytarz, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Podciągnęła kolana do klatki piersiowej i oparła policzek na kolanie. Tutaj nic jej się nie stanie: była bezpieczna i niewidoczna.

Przed zespołem Karla występowały trzy inne i Amber słuchała, z przymkniętymi dla lepszej koncentracji oczami, zazdrosna o to, że ktoś może być lepszy od niego. A potem nadeszła ich kolej, a jej zdenerwowanie powróciło ze zdwojoną siłą.

Proszę, niech im fantastycznie pójdzie. Proszę, niech nikt nie zafałszuje. Niech Karla nie zje trema.

Ich zespół, Ceres, składał się z czterech osób. Trzej pozostali faceci byli przystojni i dobrze grali, ale Karl miał rację, kiedy tamtego pierwszego wieczoru powiedział jej, że zespół to on. To była prosta prawda. Magnetyzm, który charakteryzował go poza sceną, na niej wzrastał dziesięciokrotnie. Ponury i wyglądający niczym bohater Byrona, trzymał mikrofon dwiema dłońmi przy ustach, tak jak mężczyzna trzyma twarz kochanki blisko swojej tuż przed złożeniem pocałunku na jej ustach.

Znalazłem cię i nie pozwolę odejść

Jesteś w mojej krwi

W mych snach

Jak lunatyk wrócę do ciebie

Moja kochana

To była piosenka, którą napisał dla niej.

- Byłaś moim natchnieniem - powiedział miękko, gdy zagrał ją pewnego popołudnia w zaciszu jej sypialni, kiedy powinna siedzieć w szkole na drugiej z rzędu lekcji historii. Amber słuchała, a jej serce śpiewało do wtóru, ponieważ to była czysta, prawdziwa miłość: zostać uwiecznioną w piosence jako ukochana mężczyzny obdarzonego takim talentem jak Karl.

I było naprawdę warto, nawet użerać się z koszmarnym Steviem, który przyglądał jej się badawczo, jakby była kawał-

kiem mięsa kupowanym przez niego na targu. Znał Karla zaledwie od tygodnia. Niech tylko Stevie uświadomi sobie, że Amber nie jest jakąś cizią, że stanowi część Karla, a wtedy zmieni swoje nastawienie.

Rozbrzmiał ostatni akord ich występu, składającego się z trzech piosenek, i Karl z triumfem podniósł do góry ręce, zaś tłum urządził mu dziką owację.

Obecni w klubie ludzie pokochali jego i zespół.

Na twarzy Amber pojawił się szeroki uśmiech, gdy jej kochanek odwrócił się w stronę, gdzie się skrywała i posłał seksowny uśmiech, którym ją obdarzał, gdy przebywali sam na sam. A więc widział ją! Ale tuż po chwili odwrócił się do swej widowni, nadal z tym samym uśmiechem na twarzy, uśmiechem tak leniwym i zmysłowym, że tłum szalał. Wtedy, z owacjami wibrującymi w uszach, oderwał się od uzależniającej akceptacji widowni i zszedł chwiejnym krokiem ze sceny, krokiem pantery i wprost ociekając seksem. Minał w odległości niewiele większej niż metr kryjówkę Amber i ani razu się nie odwrócił w jej stronę. Dotarło do niej z ukłuciem, że wtedy wcale jej nie widział, i że ten prywatny uśmiech nie był przeznaczony dla niej, ale dla tłumu ludzi, których trzymał w garści. To nie był już jej uśmiech: teraz należał do wszystkich.

Amber złapała tygrysie oko, szukając ukojenia, nie znalazła go jednak.

Godzinę później w niewielkiej, otwartej do późna restauracji chciała wślizgnąć się na łukowatą sofę obok Karla, ale Stevie, krępy, z zaczesanymi do tyłu włosami w ciężkiej kurtce ze skóry i z masywnym zegarkiem Tag Heuer, przecisnął się przed nią tak subtelnie, że tylko Amber odczuła złośliwość tego gestu.

- Jak się ma mój ulubiony wokalista? - zapytał, łapiąc Karla za ramiona w kumpłowskim geście.

- Unoszę się nad ziemią - odparł Karl. - Niezła była wrzawa w SnakePit, no nie?

- Dwa słowa: niesamowicie - oświadczył Lew, perkusista, przechodząc, by usiąść po drugiej stronie Karla, ciągnąc za sobą swoją dziewczynę, nieśmiałą Niamh.

- Niewiarygodnie - stwierdził Kenny T, klawiszowiec, wciskając się obok Niamh.

- Totalny odlot - westchnął Sydney, gitara basowa. Dziewczyna Sydneya wyjechała, więc przegapiła wieczór

ich triumfu. Wcześniej Syd strasznie długo rozmawiał z nią przez telefon, próbując opisać, jakie to wszystko było wspaniałe, i oświadczać, że on teraz upija się do nieprzytomności, by wynagrodzić jakoś sobie jej nieobecność. Syd rozsiadł się obok Stewego, po czym spojrzał na Amber, nadal stojącą obok stołu i czekającą, aż Karl ją zauważy i zrobi dla niej miejsce obok siebie.

Ale Karl nie zauważył. Całą uwagę poświęcał Steviemu i gładkim słówkom, które ciurkiem wypływały z ust managera.

Wszyscy chcieli podpisać kontrakt z zespołem.

Byli tam najgorętszymi muzykami.

On jest taki płytki, taki sztuczny, pomyślała Amber.

Czy nie dostrzegał tego nikt z wyjątkiem jej? Wszyscy jedli Steviemu z ręki, śmiejąc się z jego beznadziejnych dowcipów. Jak się nazywa perkusista bez dziewczyny? Bezdomny.

Lew, perkusista, zaśmiewał się z tego akurat żartu do rozpuku, najwyraźniej nie uświadamiając sobie, że w jego przypadku to najszczęśliwsza prawda, jako że utrzymywała go Niamh ze swej nauczycielskiej pensji.

To był okropny wieczór i Amber jeszcze nigdy nie była taka zadowolona jak wtedy, gdy wreszcie się skończył, a ona i Karl znaleźli się sami w taksówce.

- Zostaniesz na noc? Proszę, to był taki wyjątkowy wieczór. Chcę cię mieć przy sobie, gdy się obudzę, by się przekonać, że to wszystko nie było tylko snem.

Głowa Karla opierała się na jej ramieniu, a jego oddech był słodki od pomarańczowego smaku ostatniego kieliszka Cointreau. Przez cały wieczór alkohol lał się strumieniami, nawet szampan.

- Lepiej się do niego przyzwyczajcie, ponieważ od teraz będziecie pić tylko najlepszy - oświadczył Stevie, przywołując kelnerki niegrzecznym pstryknięciem palcami.

Przynajmniej one się na nim poznały, napełniając jego kieliszek wolniej niż innym. Amber miała nadzieję, że na-pluły mu do kawy.

- Zostań - powtórzył sennym głosem Karl.

Nigdy nie zostawała u niego na noc. To mogło skończyć się tym, że jej matka odkryłaby, iż nikt nie spał w jej łóżku, że wcale nie ślęczała po nocach w swoim pokoju, ucząc się pilnie jak rozsądna uczennica, za którą ją przecież uważano.

Wtedy Karl odpiął jej marynarkę i sięgnął w głąb dekoltu, wprawnie odnajdując dokładnie to miejsce, gdzie pod koronkowe ramiączko stanika dawało się wsunąć palec i poczuć nagą skórę.

Poczuła, jak do jej lędźwi napływa fala gorącego pożądania i jęknęła cicho, przysuwając się do Karla.

- Pragnę być dzisiaj z tobą, Amber. Proszę. - Lunatykowanie... Podziały słowa piosenki, którą napisał dla niej.

Do diabła z matką i tym, by utrzymać ją w nieświadomości. W końcu i tak będzie musiała się dowiedzieć. Karl był teraz częścią życia Amber, na zawsze.

- Zostanę - wymruczała w odpowiedzi. - Tylko spróbuj mi tego zabronić.

Nazajutrz Faye obudziła się wcześnie. Był poniedziałek i miała nadzieję, że nowy tydzień przyniesie zawieszenie broni pomiędzy nią a Amber. Córka zdecydowanie jej unikała i wczoraj wieczorem poszła o szóstej na górę, by się uczyć, mówiąc, że zobaczą się rano.

Faye postąpiła pod jej drzwiami, nim poszła do łóżka. Słyszała cichy dźwięk radia, którego Amber zawsze słuchała, gdy się uczyła, i uznała, że zakłócanie córce nauki może zaowocować kolejną kłótnią.

Faye lubiła budzić się wcześniej, robiła sobie wtedy kawę, po czym wracała do łóżka, gdzie czytała i rozmyślała. Ale dzisiaj była na to zbyt niespokojna. Zaparzyła kawę i postanowiła zanieść ją Amber, zarówno po to, by ją obudzić, jak i jako gałązkę oliwną. Co wcale nie znaczy, by Faye uważała, że to ona powinna przeprosić, ponieważ to Amber była stroną, która rozpoczęła kłótnię.

Jednakże bycie rodzicem nauczyło ją, że liczy się samo zakończenie kłótni: nie to, w jaki sposób się to zrobiło ani kto sądził, że wygrał. Można odnieść zwycięstwo albo być szczęśliwym - oto mantra stosunków na linii dzieci - rodzice.

Zapukała do drzwi pokoju Amber, po czym weszła, spodziewając się ujrzeć zasunięte zasłony i zaspany kształt skulony pod kołdrą.

Ale zasłony były rozsunięte, okno otwarte, a łóżko absolutnie nie wyglądało, jakby ktoś w nim w nocy spał. W tle cicho grało radio, ustawione na ulubioną stację Amber i do Faye dotarło, że jej córka spędziła noc poza domem.

Faye upuściła na podłogę filiżankę z kawą, nie przejmując się tym, że się wylała.

- O Boże, co się stało? - zawołała. - Amber, gdzie jesteś? Pobiegła po telefon i wystukała numer komórki Amber,

ale połączyła się jedynie z pocztą głosową, proszącą o pozostawienie wiadomości.

- Amber, bez względu na to gdzie jesteś, proszę, oddzwon do mnie, skarbie, proszę. To była tylko kłótnia, nic więcej. Rozumiem, jak bardzo jesteś zestresowana, po prostu zadzwoń. Wszystko będzie dobrze.

Faye nie miała pojęcia, co powinna następnie zrobić. Z całą pewnością nie była w stanie iść normalnie do pracy.

Panika sprawiała, że odchodziła od zmysłów. Wreszcie osunęła się na kolana i zaczęła się modlić.

- Dobry Boże, wiem, że nie odzywałam się do ciebie zbyt często od czasu tych wszystkich moich modlitw, gdy Amber była malutka, ale znajdź ją dla mnie, proszę, proszę, błagam cię.

Telefon Elli był także wyłączony. Może były gdzieś razem. To już by było coś, przynajmniej miałyby siebie nawzajem. Ale jeśli Amber była sama i nieszczęśliwa, gdzieś tam, myśląc, że matka jest na nią wściekła...

Faye znalazła w swojej komórce numer domowy Elli i zadzwoniła. Nie miało znaczenia, że jest dopiero szósta czterdzieści pięć.

W słuchawce odezwał się męski głos.

- Marco, z tej strony Faye Reid. Czy zastałam twoją mamę albo Ellę?

- Chwileczkę - odparł Marco, od razu wyczuwając w jej głosie niepokój.

Usłyszała przytłumioną rozmowę, a potem słuchawkę przejęła Trina, matka Elli.

- Faye, tu Trina. Co się stało?

- Chodzi o Amber, nie ma jej w domu i jej łóżko jest pościelone - odparła drżącym głosem Faye. - Nie mogę się dodzwonić na jej komórkę. Przed weekendem pokłóciłyśmy się, poszło w zasadzie o nic, sama wiesz, jak to bywa. Ale od tamtej pory mnie unika, prawie w ogóle się nie odzywa, a teraz, kiedy poszłam ją obudzić, zobaczyłam, że jej nie ma. Trina, jest Ella? Może ona wie, gdzie jest Amber.

- Jest - odparła Trina, starając się ukryć instynktowną ulgę, że przynajmniej ona wie, gdzie znajduje się jej córka.

Bierze właśnie prysznic.

- Zapytaj ją - poprosiła błagalnym tonem Faye. - Zapytaj, czy nie wie, gdzie jest Amber, czy rozmawiały o tej kłótni.

Minęło kilka długich minut, nim w słuchawce rozległ się niechętny głos Elli.

- Halo?

- Ella, wiem, że z tobą rozmawiała - zaczęła Faye. Drżał jej głos. - Powiedz mi tylko, gdzie ona jest.

- Nie mogę, pani Reid - odparła powoli Ella. - Myślę, że wiem, z kim teraz jest, ale nie wiem dokładnie, gdzie. Przepraszam, nie ja powinnam to pani mówić, ale Amber.

- Mówić co? - rozległ się w tle ostry głos Triny. - Jeśli wiesz, gdzie może być teraz Amber, lepiej wszystko wyśpiewaj. Jej biedna matka umiera z niepokoju.

- Zabije mnie, jeśli to zrobię - syknęła Ella do swej matki.

- Ja cię zabiję, jeśli tego nie zrobisz - odsyknęła Trina.

- Gdzie ona jest? - zapytała udręczona Faye. Ella westchnęła.

- On ma na imię Karl i gra w zespole, który nazywa się Ceres. Poznałyśmy go w klubie w mieście i chodzą ze sobą od kilku tygodni. Jest teraz pewnie w jego mieszkaniu. Nie wiem jednak, gdzie ono się znajduje, przykro mi.

Obie matki gwałtownie wciągnęły powietrze. Telefon zatrzeszczał, gdy przekazywano sobie słuchawkę. Na linii ponownie zjawiała się Trina.

- Faye, tak mi przykro. Nie miałam pojęcia - rzekła.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie, dzięki - odparła Faye, mając pewność, że Ella zdążyła już pobiec, by napisać esemesa do Amber i przekazać hiobowe wieści. „Twoja matka wie i masz przerąbane”.

- Zostawię jej wiadomość na poczcie głosowej, a potem będę musiała czekać, aż zdecyduje się wrócić do domu.

Faye zadzwoniła do pracy z wiadomością, że źle się czuje. Nie byłaby w stanie pracować, nie rozwiązawszy najpierw tego ogromnego problemu. Sprzątała kuchnię, kiedy o wpół do dwunastej

Amber dotarła wreszcie do domu, nadal ubrana w swe wyjściowe ciuchy. W oczach widać było ostrożność, a blada cera stanowiła dowód na brak snu. I seks, pomyślała przerażona Faye. Jej dziecko było z jakimś mężczyzną i uprawiało z nim seks, gdy tymczasem ona sądziła, że śpi grzecznie we własnym łóżku.

- Powiesz mi o tym Karlu? - zapytała ponuro Faye.

- Kocham go. Jadę z nim do Nowego Jorku. - Amber wyrzucała z siebie te słowa tonem, który nie tolerował sprzeciwu. W drodze do domu, przeczytawszy esemesy Elli i odsłuchawszy wiadomość od matki, że wie o Karlu, miotła się pomiędzy strachem a wściekłością. Matka nie powstrzyma jej przed spotykaniem się z Karlem. Nie ma mowy.

- Że co? - zapytała z niedowierzaniem Faye. - Nawet go nie znasz, jak możesz go kochać i wyjechać z nim za granicę?

- Znam go wystarczająco, by wiedzieć, że to mężczyzna, którego kocham - wypluła z siebie Amber.

- Kiedy to się stało? - To musiał być jakiś chory żart, gra, którą wymyśliły sobie Ella i Amber.

- W zeszłym miesiącu. Jest muzykiem, ma własny zespół. Kiedyś nazywali się Ceres, ale teraz zamierzają zmienić nazwę. Píše piosenki, jest znakomity - oświadczyła z ogniem w głosie. - Kocham go.

- Kochasz go? Ledwo go znasz. I co masz na myśli, mówiąc, że jedziesz z nim do Nowego Jorku?

- Naprawdę go kocham i naprawdę go znam. Jak sądzisz, gdzie się podziewałam każdego wieczoru przez miniony miesiąc? - syknęła Amber. - Nie w swoim pokoju, to pewne.

Faye nagle zrobiło się zimno, choć na dworze świeciło słońce. Dotarł do niej wreszcie ogrom tego, co skrywała przed nią Amber. Niczemu ani nikomu nie udało się nigdy sprawić, by poczuła się tak zdradzona, dlatego po prostu, że nigdy nie kochała nikogo w taki sposób, w jaki kochała swoją córkę.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie okłamywałaś - rzekła, po czym spróbowała innej taktyki. - Amber, sama wiesz, że to sza-

leństwo. Nie możesz wyjechać z jakimś obcym mężczyzną. Masz egzaminy. Na pewno się nic nie uczyłaś i ich nie zdasz...

- Nie podchodzę do egzaminów, nie słyszałaś, co powiedziałam? - zawołała jej córka. - Czy ty nigdy nie słuchasz? Nie idę na studia, wyjeżdżam z Karlem. I nie możesz mnie powstrzymać.

Faye wyglądała tak, jakby Amber uderzyła ją w twarz. Cóż, to wina jej matki - nigdy jej nie słuchała.

- Nie możesz mnie powstrzymać! - krzyknęła ponownie. - Jestem dorosła. Nie chcę iść na studia. Zawsze mówiłaś, że wykształcenie to najważniejsza rzecz na świecie, cóż, ty zrezygnowałaś ze studiów i jakoś sobie poradziłaś. Malować mogę, kiedy tylko będę miała ochotę, mamo. Chodzi mi o życie tu i teraz, coś, czego nigdy nie rozumiałaś.

Faye pomyślała o tym, jak ona żyła, o bólu, którego zaznała, i o tym, że jedyne przyzwoite życie, jakie według siebie prowadziła, to życie z Amber. Teraz rozmywało się ono na jej oczach.

- Ucieczka z jakimś facetem z zespołu to nie jest życie - powiedziała miękko. - Myślisz, że tak, ale wcale tak nie jest. - Wzięła głęboki oddech. - Ja to wiem.

- Zupełnie nic nie wiesz na ten temat! - wrzasnęła Amber.

- Też to przeżyłam - upierała się Faye.

- Taa, jasne!

Na ślicznej twarzy Amber malowała się gorycz i gniew. Nigdy dotąd nie patrzyła na Faye w taki sposób i ujrzenie w jej oczach wściekłości i urazy było bardziej okrutne niż wszystkie słowa.

- Jak to się wszystko stało? - zapytała bezradnie Faye, wiedząc, że to pytanie brzmi głupio, ale nie potrafiąc ująć tego inaczej.

- To się stało wtedy, kiedy próbowałam mnie nakłonić, bym żyła po twojemu - odparła Amber. - Nie jestem tego

typu osobą, mamó. Nie możesz mnie zmusić, bym była taka jak ty.

Faye zdusiła pełen goryczy śmiech. Tak wiele rzeczy powinna była nauczyć Amber. Rzeczy, które ona musiała poznać na własnej skórze; lekcji, których przysięgła sobie, że jej córka nigdy nie będzie musiała dostać od życia.

Miała nadzieję, że zamiast tego uda jej się utrzymać Amber z dala od szalonego, dzikiego świata i otulić matczyną miłością w zaciszu domowym. Dobra szkoła, miłe przyjaciółki, szczęśliwe rodziny - to miało zapewnić jej bezpieczeństwo. A jednak nie udało się.

- Wychodzę - oświadczyła Amber, pragnąc się stamtąd wydostać. - Przepraszam. Nie chcę cię ranić, ale muszę żyć własnym życiem i ty także. Nie możesz żyć poprzez mnie.

- Czy myślisz, że to właśnie robię? - zapytała cicho jej matka.

- A nie? - Twarz Amber była uosobieniem porywczej młodości. Ona wiedziała wszystko, a jej matka nic, zgadza się? - Odezwę się.

- Nie możesz teraz wyjść. - Faye wróciła do życia i zerwała się z krzesła. - Nie bądź niemądra, muszę poznać tego chłopaka. A za dwa tygodnie masz egzaminy. Zastanów się nad tym, co robisz.

- Myślałam - odparła zwięźle Amber. - I jadę. Nic nie możesz na to poradzić. Za kilka dni skończę osiemnaście lat. Będę wystarczająco dorosła, by głosować, wystarczająco dorosła na wszystko.

- Nie możesz teraz wyjść. - Jej matka wyglądała na oszalałą, rozedrganą, niepewną, co było przerażające, ponieważ to nie była mama.

- Przepraszam, nie mogę tu zostać. Właśnie się pokłóciłyśmy i zabroniłabyś mi widywać się z Karlem.

- Z Karlem - powtórzyła z goryczą jej matka. - Dlaczego w takim razie nie mogę poznać tego całego Karla, skoro jest

taki cudowny? A może jest kloszardem i należy do jakiegoś beznadziejnego zespołu?

- Jest niesamowity i kocham go. Dzięki niemu czuję, że żyję.

Nie mogła znieść tego, że ktoś krytykuje Karla, choćby to była jej mama. Zwłaszcza jej mama. Ona nie rozumiała tego, nikt nie rozumiał, nawet Ella.

- Idę się spakować - oświadczyła chłodno.

Faye milczała, myśląc o tylu sprawach, o których musiała powiedzieć Amber, ale nie potrafiła. Ponieważ wtedy musiałaby wyjawić swój sekret, a to jedyne, czego nigdy, przenigdy nie wolno jej było uczynić. Amber znienawidziłaby ją za to. Faye sama się za to nienawidziła.

Amber pobiegła na górę, by się spakować i gdy stanęła w drzwiach swego pokoju, uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie potrzebuje wiele w swym nowym życiu: ani bibelotów poustawianych na pomalowanej na biało komodzie, którą pewnego weekendu ozdobiła motylami, a mama później to wszystko pokryła lakierem, mówiąc, że te motyle są piękne. Ani wszystkich tych ubrań grzecznej dziewczynki. Jedynie kilka książek, pamiętnik, obrazki i to by było tyle.

No i wisior. Leżał na łóżku, tam gdzie go rzuciła. Zabierze go, ponieważ jest piękny i będzie jej przypominał o domu. Nie znaczy to, by go potrzebowała, ale nie wszystko w przeszłości było złe, więc to robi. A tak w ogóle to ciekawe, skąd mama go ma. Nie potrafiła sobie wyobrazić mamy noszącej go, wyglądającej odlatowo. Co ona takiego powiedziała: ja też to przeżyłam. Akurat.

Tak jakby jej matka zrobiła w swym życiu cokolwiek szalonego.

Maggie dziarskim krokiem mijała domki kolejowe, gdy zobaczyła kobietę stojącą przy furtce pierwszego domku, z szaleństwem w oczach wpatrującą się w ulicę. Twarz miała zalaną

łzami. Ubrana była w garsonkę i włosy miała starannie spięte, na tym jednak kończyły się wszelkie pozory normalności. Na jej twarzy malowała się rozpacz, jakby właśnie otrzymała jakąś straszną wiadomość, a jej cały świat walił się.

Maggie nie wiedziała, jak nazywa się ta kobieta, choć wydawała jej się znajoma. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, jakie zasady dobrego wychowania obowiązują w takiej sytuacji.

- Wszystko w porządku? - zapytała, zatrzymując się. Do diabła z dobrym wychowaniem. Nic takiego się nie stanie, jeśli ta kobieta powie jej, żeby spadała. Po prostu nie mogła przejść obojętnie obok takiego cierpienia.

- Nie - jęknęła kobieta, nawet nie patrząc na Maggie. - Ona odeszła, a ja nie próbowałam jej zatrzymać. Wiedziałam, że nie potrafię, a teraz jej nie ma i nie wiem, dokąd poszła. Co ja mam teraz zrobić? - Ponownie zaczęła rozpaczliwie płakać.

Niedobrze. Maggie rozejrzała się i po drugiej stronie Summer Street dostrzegła znajomą sylwetkę Christie Devlin wracającej ze swymi dwoma psami z parku. Możliwe, że Christie zna tę kobietę i będzie wiedziała, co zrobić, bo Maggie nie miała bladego pojęcia.

- Pani Devlin? - zawołała Maggie. - Pani Devlin? Mogłaby pani pomóc? Proszę.

Razem zaprowadziły Faye do domu Christie, gdzie posadziły ją w salonie na starym, wygodnym fotelu. Gdy tylko Christie dowiedziała się, co się stało, uznała, że lepiej zabrać Faye z jej własnego domu, miejsca kłótni, gdzie wszędzie widać było obecność Amber. Maggie udało się zlokalizować w kuchni klucze i torebkę Faye, zamknęła drzwi, następnie we trzy udały się do domu Devlinów, zaś za nimi cicho podążały psy, zaniepokojone tym całym płaczem.

- Przepraszam, przepraszam, ale Amber to dobra dziewczyna. Wie to pani. - Faye powtarzała niewyraźnie te sło-

wa. - Uciekła, widzi pani. Z mężczyzną, z kimś, o kim nigdy wcześniej nie słyszałam i którego nie poznałam, a ja nie próbowałam jej zatrzymać. Pozwoliłam jej odejść i nie wiem teraz, dokąd poszła.

- Trudno powstrzymać kogoś, kto zdążył już podjąć decyzję - powiedziała łagodnie Christie. - Amber ma przecież własny rozum, Faye, i jest już dorosła. Przynajmniej według prawa. A emocjonalnie to nie wiem.

- Jest nadal dzieckiem - jęknęła Faye. - Może i ma prawie osiemnaście lat, ale jest taka bezbronna, a ja ją zawiodłam, ponieważ nigdy nie powiedziałam jej prawdy. Uznałam, że lepiej, by jej nie znała, a teraz ona uważa, że chcę, żeby była nudna i nie mogła się dobrze bawić, tyle że wcale nie o to mi chodziło. Chciałam uchronić ją przed tym, przez co sama przesłam.

To niczym przyglądanie się, jak kruszy się skała, pomyślała ze współczuciem Christie. Słabo znała Faye Reid i z zewnątrz nikt by się nie domyślił, że ta stoicka kobieta mogłaby zareagować z tak przeraźliwą rozpaczą.

Christie wiedziała, że Amber jest dla Faye całym życiem, i że są sobie bardzo bliskie. Ale na scenie pojawił się mężczyzna i to właśnie do niego musiała iść wtedy Amber, opuszczając lekcje w szkole. Christie potrząsnęła ponuro głową. W efekcie utworzył się swego rodzaju trójkąt, który nigdy by się nie udał i Christie żal było strony przegranej - Faye.

Chociaż zła była na Amber, iż zostawiła matkę w taki sposób, Christie rozumiała, że ucieczka z miejsca uczuciowej zbrodni często zdawała się być jedynym wyjściem. Sama tak przecież zrobiła w przeszłości, nieprawdaż?

- Zostań z Faye - powiedziała teraz Maggie. - Ja zaparzę herbatę, gorącą i słodką, by dodać jej energii.

Na twarzy Maggie pojawił się blady uśmiech.

- Teraz już wiem, dlaczego pani i moja mama jesteście przyjaciółkami, pani Devlin - rzekła. - Ona także uważa, że herbata to odpowiedź na wszystkie życiowe problemy.

- I kruche ciasteczka - dodała cierpko Christie. - Nie zapominaj o nich. Może i nie stanowią odpowiedzi, ale pomagają stanąć z powrotem na nogi, by można poradzić sobie z bólem. I nie nazywaj mnie panią Devlin. Kiedy nie jestem w szkole, to sprawia, że czuję się, jakbym miała sto lat. Mów mi Christie.

Gdy wyszła z salonu, Maggie pomyślała, że rozmowa z nią wcale nie przypomina rozmowy z kimś z pokolenia jej matki.

Zrozumiała także, dlaczego matka twierdzi, że w chwilach kryzysu wszyscy szukają pociechy u Christie Devlin: Una Maguire zaparzyłaby herbatę, zgoda, ale potem pospiesznie trajkotałaby o czymkolwiek, byle nie dopuścić do tego, by zrobiło się cicho i ktoś zaczął mówić o tym, co jest rzeczywiście nie tak. Unikanie rzeczywistości dzięki temu, że się ma gadane.

Christie natomiast odzywała się mało i czekała spokojnie, aż Faye sama będzie chciała mówić. I wiedziała, kiedy jakiś poważny, ponury temat czeka na poruszenie, pomyślała z ukłuciem bólu Maggie. Myślała o sobie jako nastolatce, kiedy bolesnych tematów nigdy nie poruszano. Gdyby to Christie była jej matką, dostrzegłaby, przez co musiała przechodzić Maggie już pierwszego dnia po powrocie ze szkoły, kiedy zaszokowała ją otwarta nienawiść, której doświadczyła od grupy klasowych dręczycielek.

I na pewno rozwiązałyby ten problem. A Maggie mogłaby stać się inną osobą, nie pełną niepokoju i niepewną siebie, ale możliwe, że taką, jaką pragnęła być.

- Wszystko w porządku, Maggie? - wyszeptała Christie, wracając z herbatą i kładąc chłodną dłoń na nadgarstku młodej kobiety.

Maggie skinęła głową i uśmiechnęła w taki sposób, że Christie pomyślała, iż z tymi płomiennymi włosami i smutnymi oczami wygląda piękniej niż Una, gdy poznała ją przed

trzydziestu laty. Ale poza tym Maggie była zupełnie inna od matki. Una była wolnym duchem, zadowolona wszędzie, gdzie akurat przebywa, zadowolona z siebie i swego świata. Tymczasem Maggie przypominała płochliwą łanię, strasznie niepewną siebie.

Christie uznała, że Faye nie jest tutaj jedyną osobą, której przeszłość kryje jakieś tajemnice.

Zgodnie z przewidywaniami gorąca słodka herbata powstrzymała łzy Faye, która jednak i tak wyglądała na zrozpaczoną.

- Pewnie uważasz mnie za beznadziejną matkę - mruknęła do Christie.
- Nie miałam pojęcia, co się dzieje na moim własnym podwórku. Nauczyciele często mówią, że dzieci zwierają im się z różnych spraw, gdyż nie mogą porozmawiać w domu z rodzicami, ale Amber naprawdę ze mną rozmawiała.

- Absolutnie nie uważam cię za beznadziejną matkę
- oświadczyła Christie. - Uważam, że jesteś wspaniałą mamą, a sama wiem, że to niełatwa praca. - Roześmiała się smętnie.

- Nie masz pojęcia, jak to jest mieć dwóch chłopców. Prawdziwe wyzwanie, mówię ci. I wiele razy było tak, nadal jest

- poprawiła się, myśląc o Shanie i trzecim wnuku w drodze
- kiedy myślisz, że wiesz, co się dzieje, a tak naprawdę o niczym nie masz pojęcia. A nauczyciel, który mówi coś innego, w ogóle nie zna ludzkiej natury.

Faye kiwnęła głową, pociągając nosem.

- Byłyśmy ze sobą tak blisko, wiecie, i dlatego jest to teraz takie trudne. - Odwróciła się do Maggie. - Wiem, że tak naprawdę mnie nie znasz, aleja znam twoich rodziców i oni ci powiedzą, że Amber to dobra dziewczyna.

- Mama mi to mówiła - przerwała jej Maggie. - Jest bardzo uzdolniona plastycznie, prawda?

- Prawda. - Przez chwilę Faye wyglądała na taką zadowoloną i dumną, po czym rzeczywistość znowu dała o sobie

znać: Amber nie wybierała się studia, by szlifować swój talent. Wyjeżdżała z jakimś okropnym mężczyzną.

- Mogłybyśmy zadzwonić na policję? - zapytała nagle. Christie spojrzała na Maggie z miną wyrażającą współczucie, po czym odparła:

- Niewiele są w stanie pomóc, jeśli ktoś jest pełnoletni. Tak naprawdę to może jechać, dokąd tylko ma ochotę. Skończyła już osiemnaście lat?

- W czwartek ma urodziny - odparła Faye.

- I pewnie zabrała ze sobą paszport. Ma go?

- Tak, ale nie sprawdziłam tego. Ale jak ona może jechać do Ameryki bez wizy i w ogóle... Może nie pojedzie, jeśli nie uda jej się tego załatwić?

- W głosie Faye pojawiła się nadzieja.

- Jeśli on gra w zespole i jadą tam do pracy, może być tak, że to wytwórnia płytowa załatwi im wizy, także dla niej

- powiedziała Maggie, wzruszając ramionami. - Przy tak bardzo obecnie zaostrzonych środkach ostrożności mogą to obejść w taki właśnie sposób.

Panowało milczenie, gdy Faye przetrawiała tę informację.

- Więc naprawdę odeszła. Po osiemnastu latach odeszła.

- I ponownie zaczęła płakać, tyle że tym razem był to cichy, wstrząsający ciałem szloch, którego słuchanie bardziej bolało niż wcześniejszego głośnego łkania.

- Och, Faye - rzekła z bólem w głosie Maggie, ujmując dłoń Faye. - To mądra dziewczyna, wszyscy tak mówią. Będzie się umiała o siebie zatroszczyć, a wychowując się tylko z tobą, dużo się nauczyła. Nic jej nie będzie. Aten facet może się okazać naprawdę świetny. Myśl o tym wszystkim, czego ją nauczyłaś, i zaufaj jej.

Kiedy Faye podniosła głowę, w jej oczach malował się bezbrzeżny ból.

- I o to właśnie chodzi - rzekła ponuro. - Mogłam ją tyle nauczyć, ale tego nie zrobiłam. Pragnęłam ją chronić. Na

świecie jest tyle zła, mężczyzn, którzy traktują cię jak śmieć i naprawdę mają cię gdzieś. Sama to wszystko przeżyłam. Nigdy tego nie zapomnę. Nie chciałam, by moja córka przechodziła przez to co ja.

- Ale nigdy nie powiedziałaś jej tego, co widziałaś i czego doświadczyłaś, prawda? - zapytała Christie, kierowana intuicją.

- Nie - odparła Faye. - Nigdy jej nie powiedziałam. Wstydziłam się tego, kim byłam i co zrobiłam, i uznałam, że jeśli uda mi się ją zatrzymać w tym przyjaznym świecie, wtedy nigdy nie obierze tej ścieżki, co ja kiedyś.

Christie nagle już wszystko rozumiała. Dawna Faye Reid zniknęła, jej fasada pękła i siedziała tutaj prawdziwa Faye, kobieta, która po raz pierwszy od lat nie знаła wszystkich odpowiedzi.

- A ona właśnie tak zrobiła - zakończyła Faye. - Wysiałam ją w świat, nieznającą prawdy o tym, co jest naprawdę ważne, ponieważ chciałam ją chronić, a okazuje się, że w ogóle jej nie ochroniłam: pozwoliłam jej odejść zupełnie nieuzbrojonej.

- Muzyka - rzekła Faye, zaczynając opowiadać swoją historię. - To była moja pasja, gdy byłam nastolatką. Muzyka i historie o miłości. Wszystkie pieniądze wydawałam na płyty. Razem z Charlotte, przyjaciółką ze szkoły, zaczytywałyśmy się romansami i snułyśmy marzenia. Uwielbiałam te książki z okładkami przedstawiającymi kobietę i mężczyznę przytulającego ją tak mocno, jakby już nigdy nie miał jej puścić.

- Oczy miała zamglone wspomnieniami tamtych czasów.

- Tego właśnie pragnęłam. Pragnęłam być piękna i adorowana. Pragnęłam być kobietą z takiej okładki, której mężczyzna oświadcza, że jest zbyt piękna i oszałamiająca, by mógł bez niej żyć. Dorastałam w miejscu zwanym Osiedlem Pod Lipami. To osiedle komunalne, gdzie niezbyt wiele marzeń się

spełniało. Ale istniały sposoby ucieczki i ja wybrałam swój. Pamiętam, jak Charlotte i ja pierwszy raz wyszliśmy na miasto jako osoby dorosłe. Studiowałam wtedy i widziałam tyle odlotowych miejsc, w których można było spędzać wieczory. Jeden szczególnie klub mieścił się na nabrzeżu. Do późnej nocy grano tam muzykę na żywo. Wnętrze klubu było całe czerwone, ciemnoczerwone z pomazanymi lustrami i lśniącymi kanapami, gdzie można było przesiadywać godzinami przy jednym drinku. Na początku nie było tak, jak sobie wcześniej wyobrażałam. Ludzie nie zabijali się o nasze towarzystwo, pozostawaliśmy na uboczu. Charlotte niespecjalnie się tam podobało, ale mnie tak. Pragnęłam wkręcić się tam. Przekonałam się, że jeśli wystarczająco długo kręciło się w pobliżu, stawało się częścią jakiejś grupy. Tak właśnie stało się ze mną. Powinnam była pilnie wtedy studiować, ale nie robiłam absolutnie nic. Uwielbiałam siedzieć i obserwować, uczyć się życia, ale nie z podręczników.

Oczy Faye zrobiły się marzycielskie. Christie ze zdumieniem przekonała się, że są takie same jak jej córki: błyszczące i magnetycznie grafitowe, z niezwykłą bursztynową obwódką wokół atramentowo czarnych źrenic. Ujrzała wtedy urodę młodej Faye, dziewczyny, która dbała o swój wygląd, z długimi włosami, takimi, jakie ma teraz jej córka, ciałem dorosłej kobiety i sercem pełnej entuzjazmu młodej dziewczyny, która pragnęła być kochana, pragnęła gdzieś przynależeć.

Christie wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Faye, ale ona zdawała się w ogóle tego nie zauważać. Pochłonięta była wspomnianiem przeszłości...

Był tam TJ, zawsze TJ. W tamtych czasach ciężko było z pracą, ludzie wyjeżdżali z kraju do Londynu i Nowego Jorku w jej poszukiwaniu, ubrani w swe najlepsze garnitury i z dopieszczonymi życiorysami. Ale nie TJ. On nie miał zamiaru obcinać swych długich ciemnych włosów, by dostać jakąś nudną pracę. Nosił je związane w kucyk. Pasowało to do jego podłuż-

nej, szczupłej twarzy z zapadniętymi policzkami. Nie był mężczyzną z romansu, nosił skórzaną kurtkę zamiast białej koszuli, ale jego ciało było równie umięśnione, zaś w duszy i oczach malowała się namiętność. Faye widziała to wtedy, widziała w sposobie, jaki na nią patrzył; wiedziała, że jej pragnie.

Do Klubu - bo tak się nazywał - przychodziło wiele dziewczyn z jej studiów i wszystkie podziwiała starszych facetów, stałych klientów, takich jak TJ, który widział w życiu już chyba wszystko. I ona także była teraz stałą klientką, taką samą częścią tego miejsca jak zwietrzały zapach dymu - papierosy i inne używki - w powietrzu. Klub stał się dla niej drugim domem.

- Silver, mala - powiedział tamtej nocy TJ. - Powinni powiesić nad drzwiami twoje zdjęcie.

Nazywał ją Silver, choć nie tak miała na imię. To było jej nowe imię, klubowe imię i teraz tak właśnie na nią mówiono. Bardzo jej się to podobało. Jej włosy miały długie platynowe pasma przeplatające się z płowymi i brązowymi. Srebrne pasma.

Muzyka pulsowała basami. Bez względu na to jaka muzyka była obecnie w modzie, w klubie grano rocka, tamtego akurat wieczoru ulubieńców TJ-a, Stonesów. Faye uwielbiała ich muzykę. Piosenka po piosence docierali do jej duszy i rozrywali ją na kawałki. Były tam wszystkie uczucia: ból, miłość, seksualna ekstaza, złamane serce. Głos Micka przemawiał bezpośrednio do niej.

TJ podał jej jointa.

- Spróbuj tego, Silver, będzie ci smakować.

Ręką obejmował jej ramiona, dotykając piersi przez cienki materiał T-shirtu. Był to gest posiadacza, wykonany na użytek wszystkich innych mężczyzn w ich boksie. Faye z dumą myślała o tym, że TJ im mówi, iż ona należy do jego.

Tuż przed tym, jak się zaciągnęła, przemknęło jej przez myśl, że to takie dziwaczne - ona, do tej pory wzór wszelkich cnót i pilna uczennica, znajduje się tutaj, w zadymionym ba-

rze i zaraz będzie palić hasz. Zupełnie nie przypominało to tego, co sobie wcześniej wyobrażała. Ale wtedy chwila ta minęła i jej ciało ogarnęło odurzające odrętwienie.

TJ uśmiechnął się, pociągnął ze szklanki łyk Jacka Danielsa, a potem znowu się uśmiechnął, patrząc, jak ona staje się wesolutka. Kiedy Faye była w takim stanie, wstawiała i tańczyła sama, a z kabiny dosięgało ją spojrzenie TJ-a, przyglądającego się, jak jej ciało faluje w rytm muzyki.

Tamtego wieczoru wysłał Faye do baru, by złożyła zamówienie.

- Cześć, Maria - powiedziała do barmanki. - Poproszę cztery JD, jedną colę i trzy podwójne wódki bez lodu.

Maria miała czterdzieści lat, może nieco więcej. Farbowała włosy na rudo, miała wielkie brązowe oczy i usta palaczki z mnóstwem zmarszczek. W czarnych dżinsach i obcisłym T-shircie, z widocznym na ramieniu wytatuowanym motylem nie wyglądała jak matka Faye, ale odezwiała się do niej teraz matczynym tonem.

- Kotku, nie powinno cię tutaj być - powiedziała Maria, wprawnie realizując zamówienie. - Jesteś naprawdę miłym dzieciakiem. Ile masz lat, dziewiętnaście, dwadzieścia? To nie jest miejsce dla ciebie.

- Dlaczego nie? - zapytała z konsternacją Faye.

- Bo ten facet cię wykorzystuje, nie widzisz tego? Śmieją się z ciebie, kotku. - Maria urwała, widząc na twarzy Faye niedowierzanie. - Ja tylko próbuję ci pomóc. Nie chcę patrzeć, jak grzęzniesz w tym świecie. Odejdź stąd, póki jeszcze możesz.

- Nie masz racji - odparła Faye. - Nikt mnie nie wykorzystuje.

Maria przysunęła się bliżej.

- Kotku, wiesz, jak na ciebie mówią? Silver.

- To z powodu moich włosów - odparła Faye, uśmiechając się i potrząsając nimi.

- Nie - oświadczyła beznamiętnie Maria. - Dlatego, że TJ to Samotny Jeździec. Jego koń nazywał się Silver. Mówią tak dlatego, że cię ujeżdża.

- Co jest, Silver? Nie wyglądasz na uszczęśliwioną moim widokiem - powiedział TJ, kiedy wróciła z drinkami. Nie lubił, jak dziewczyny oddalały się myślami od niego. Z wyjątkiem okazji, gdy były narąbane, ale nawet wtedy trzymał rękę władczo na ich udzie, przypominając o swojej obecności.

- Nic - odparła. Wypiła pół swojego drinka i nachyliła się, by wziąć od niego jointa.

Było w porządku, prawda? Cóż innego się liczyło?

Następnego ranka na podłodze niewielkiego mieszkania TJ-a jak zwykle leżało mnóstwo ciał, a w powietrzu unosił się zapach brudnych stóp, potu, papierosowego dymu i kto wie, czego jeszcze. Faye usiadła na łóżku. Miała na sobie T-shirt i majtki, ale była bez dzinsów i tak naprawdę nie pamiętała, jak się tutaj znalazła. Przyciągnęła kolana pod brodę, szukając pociechy. Gdzieś w tle słyszała *Gimme Shelter*, kolejną piosenkę ścieżki dźwiękowej tego życia. Tego życia, życia należącej do TJ-a Silver.

Przeszedł ją dreszcz.

Faye nigdy zbytnio nie lubiła siebie. Lubiała innych ludzi. To dla siebie nigdy nie miała czasu.

Wdzięczna była za to, że może się zatracić w tym otumaniającym nowym życiu z TJ'em i Klubem, ale teraz zobaczyła to wszystko z szokującą jasnością i nienawidziła osoby, którą się stała.

- Hej, Silver - odezwał się z podłogi jeden z facetów, otwierając oko. - Jak leci?

Silver. Wszyscy z wyjątkiem niej wiedzieli, od czego to pochodzi. Tym jedynie była: Silver, koń Samotnego Jeźdźcy, nic więcej. Nie człowiek. Koń. Jedno słowo okrutnie zniszczyło wszystkie nadzieje i marzenia młodej dziewczyny.

Znalazła swoje dzinsy w nogach łóżka i naciągnęła je.

Schylała się, by założyć skarpetki i skrzywiła się. W lustrze zobaczyła przyczynę bólu: na dole pleców miała duże sińce.

Mgliste przypominała sobie, jak zeszłej nocy ona i TJ uprawiali w kuchni seks, opierając się o szafki, w otoczeniu innych ludzi: nikt ich nie dostrzegał, nikomu to nie przeszkadzało. Nawet teraz czuła krawędź blatu, wbijającą się w jej delikatne plecy. To właśnie był ten jej nowy wspaniały świat, miejsce, w którym uważała się za osobę wyjątkową.

Świat, gdzie była traktowana jak śmieć przez ludzi, którzy mieli wszystko gdzieś, którzy szukali ofiar, ludzi do wykorzystywania.

Faye nie wiedziała, skąd znalazła w sobie tyle siły i odwagi, ale zebrała wszystkie swoje rzeczy. Nie było tego wiele, nic, co zaznaczałoby tutaj jej obecność.

Nie było śladu po TJ'u. Pewnie wyszedł sobie z jakąś inną kobietą. Biedna krowa. Faye było jej żal.

Nikt nie zauważył, gdy wymknęła się z mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

- Ale byłam już w ciąży - powiedziała do Christie i Maggie, siedzących razem w ślicznym salonie Christie. U ich stóp leżały psy. - To musiało się stać tamtej nocy, tej ostatniej przed moim odejściem. Obliczyłam to sobie. On i ja w kuchni, objijający się o szafki. - Szorstkim gestem otarła oczy. - W ciąży i sama. - Zaśmiała się smutno. - Raczej nie miałam zamiaru odszukać TJ-a i powiedzieć: „Cześć, tatusiu, jakie kupimy łóżeczko? Planujesz być obecny przy porodzie?”, musiałam więc rzucić studia, gdyż kiepsko się czułam i nie dawałam sobie rady. Moja matka była dla mnie taka dobra i zaopiekowała się nami obiema. Pomagała mi w czasie ciąży, a później, kiedy Amber przyszła na świat, zajmowała się nią, bym mogła pracować. Pracowałam wszędzie: za barem, w McDonald's, gdzie można jeść z podłogi - rzekła, nagle się uśmiechając. - Wiem to, ponieważ sama je szorowałam. Nie uwierzyłybyście, jak tam wydziwiają. Wreszcie, kiedy znała-

złam porządną pracę, przeprowadziłyśmy się tutaj, by zacząć od nowa na Summer Street. W tej ulicy jest coś pełnego nadziei, prawda? Od początku to czułam. - Popatrzyła błagalnie na Maggie i Christie, pragnąc, by ją zrozumiały. - Tutaj mogłam zacząć raz jeszcze, mogłam stać się kimś nowym, kimś, z kogo Amber mogłaby być dumna. A tak bardzo pragnęłam, by była ze mnie dumna. Nigdy dotąd nie opowiedziałam nikomu tej historii, nigdy - dodała Faye. - Tak naprawdę to nawet mojej matce nie powiedziałam o ojcu Amber. Za bardzo się wstydziłam. Moja matka całe życie ciężko pracowała, by posłać mnie i brata na studia, a ja odpłaciłam jej, bzykając się z obcym facetem, tak mało myśląc o sobie, że pozwoliłam mu się wykorzystywać. Myśląc seks z intymnością, myśląc, że pieprzenie się na stojąco przy szafkach w trakcie imprezy oznacza miłość i szacunek. Jak mogłam być taka głupia?

- zapytała ochryplym głosem.

- Byłaś po prostu samotnym dzieciakiem, a inni cię wykorzystali - rzekła Christie, z całego serca współczując Faye.

- Zrobiłaś to, co wiele kobiet: uznałaś, że seks to miłość, a wcale tak nie jest. Teraz to wiesz i musisz sobie wybaczyć. Nie możesz już zawsze czuć się winna.

- Powinnam była powiedzieć Amber - kontynuowała Faye, jakby w ogóle nie usłyszała słów Christie. Czy też nie była w stanie usłyszeć słów: „wybacz sobie”, gdyż tak często powtarzała sobie w przeszłości, że zmarnowała życie. - Jako rodzic chcesz, żeby twoje dziecko cię podziwiał, a skoro ja nie szanuję siebie za to, co zrobiłam, to jak mogła to czynić ona? Jak mogłam jej powiedzieć, że jej ojciec to prawdziwa kanalia i że nigdy mu nie zależało?

- Wiedział o niej? - zapytała Maggie.

- Kiedy miała sześć miesięcy, zabrałam ją ze sobą do Klubu, by się z nim spotkać.

Faye uważała wtedy, że wygląda już całkiem dobrze. Zdążyła zgubić większość ciążowych kilogramów i była w stanie

wcisnąć się w stare dzinsy. Mężczyźni nadal oglądali się za nią z podziwem.

Amber była taka słodka, spod szkarłatnej czapki, chroniącej ją przed zimnem, widać było puszyste wioski. Nawet wtedy było oczywiste, że jest inteligentna. Czujnie obserwowała wszystko tymi wielkimi, zniewalającymi oczami. Jak ktoś mógł jej nie kochać, nie chcieć być jej ojcem?

Klub nie zmienił się ani na jotę, nawet ludzie zgromadzeni wczesnym wieczorem wokół baru wyglądali tak samo.

- Nie można tu wchodzić z dziećmi! - zawołał gderliwie barman.
- A czemu nie? - zapytała Faye. Wzruszył ramionami.
- Tylko nie jęcz mi potem o biernym paleniu, okej?
- Szukam TJ-a.
- Siedzi w boksie gdzieś z tyłu.

Powinna to była wiedzieć. Po co w ogóle pytać? Boks na końcu: ich duchowy dom.

Niektóre twarze wokół stolika zmieniły się. Nigdzie nie widać było Jimiego, słodkiego Jimiego. Miała nadzieję, że dał stąd nogę. Był taki jak ona: miły facet z głową w chmurach.

Wszyscy przy stoliku byli wyraźnie wstawieni, a pośrodku brylował TJ, z nieodłączną dziewczyną uwieszoną jego ramienia. Faye nie znała jej. Tyle że był jeszcze chudszy niż wcześniej.

- Hej, skarbie - uśmiechnął się. - Przyłączysz się?

Do Faye dotarło, że on jej nie poznaje, choć stała tutaj z jego dzieckiem w ramionach.

- TJ, to ja, Faye - powiedziała.

Jego spojrzenie pozostało nieobecne, spojrzenie człowieka na haju.

Wtedy zaszokowana ujrzała, że na długim żyłastym ramieniu, którym obejmował dziewczynę widać ślady po ukłuciach. Tego akurat za jej czasów TJ nigdy nie robił: nie da-

wal sobie w żyłę. Pił i palił wszystko, co się dało. Palił trawkę, kiedy miał tylko okazję, był amatorem koki, ale heroina stanowiła strefę zakazaną. Branie heroiny było równoznaczne z graniem w rosyjską ruletkę z kulą w każdej komorze. Dzięki Bogu, że się stąd wydostała.

- To Silver! - odezwał się ktoś.

To był Jackie, starszy od TJ-a, jeden z liderów grupy, mężczyzna z pożłobioną twarzą i upodobaniem do bourbona. Jackie uniósł szklankę.

- Hej, słodki ten dzieciak. Chyba nie jest twój, co?

- Tak, jest moja - odparła Faye, przytulając Amber do siebie tak mocno, że dziecko, które właśnie przysypiało, obudziło się i pisnęło niespokojnie.

- Po co przynosisz tutaj dzieciaka, Silver? Psuje atmosferę. Jak można imprezować z dzieciakiem? Przyszłaś na imprezę?

- Miałam się z kimś spotkać - odparła Faye, do której dotarło, że nie ma co liczyć na błysk rozpoznania ze strony TJ-a. - Ale chyba się nie pojawił.

I nie oglądając się za siebie, wyszła z klubu. Amber, sens jej życia, wtuliła się mocniej w ramiona mamy.

- Nigdy więcej go nie widziałam - oświadczyła Faye swym słuchaczkom. - Nigdy nawet nie próbowałam go szukać. Powiedziałam Amber, że jej tata pochodzi ze Szkocji i że krótko po jej narodzinach zginął w wypadku samochodowym. I że nie byliśmy małżeństwem, ale planowaliśmy wziąć ślub, więc czuję się, jakbym była wdową. Zmieniłam nazwisko na panieńskie nazwisko mojej matki. Powiedziałam jej też, że po jego śmierci straciłam kontakt z jego rodziną, że jego rodzice nie żyją i że był jedynakiem. Kolejne kłamstwa. Strasznie się bałam, kiedy myślałam, co by się stało, gdyby Amber odkryła prawdę i próbowała odnaleźć TJ-a. Możliwe, że nadal jest ćpunem. - Zadrzała. - O ile nie przedawkował. Dziewięćdziesiąt procent heroinistów umiera. No więc oto

moja historia. Wspomnienia kobiety z Klubu Spieprzyłyśmy Sprawę, Ale Jednak Żyjemy, jak kiedyś uważałam, że powinien się nazywać.

Maggie wybuchła śmiechem.

- Hej, mogę się do niego zapisać?

Faye popatrzyła na Christie, jakby ze strony starszej z kobiet spodziewała się dezaprobaty, ale w jej miłych oczach zobaczyła jedynie współczucie i ciepło.

- Zasługujesz na to, by być przewodniczącą tego klubu i otrzymać medal - oświadczyła. - Amber to piękna dziewczyna, Faye. Absolutnie nie masz się czego wstydzić. Powinnaś być dumna z tego, jak ją sama wychowałeś, a ona powinna być dumna z ciebie. Ale zasługuje na to, by poznać prawdę, nie sądzisz?

Christie umilkła. Prawda. Łatwiej powiedzieć, niż wprowadzić w życie. Sama także miała coś do ukrycia, czyż nie?

- Każdy z nas zrobił coś, co uważa za konieczne do ukrycia - rzekła ostrożnie. - Ja też skrywam różne rzeczy przed tymi, których kocham, i żałuję, że to robię, ponieważ zżera mnie to od środka.

- Jak mogę jej teraz to powiedzieć? - jęknęła Faye. - Po tych wszystkich kłamstwach, którymi ją raczyłam.

- Dotarłeś do momentu, w którym nie możesz uczynić nic innego, jak jej powiedzieć - rzekła Christie. - Ona wie, że jesteś dobrym człowiekiem, ponieważ tak właśnie ją wychowałeś. A prawda jest taka, że to nie była tylko i wyłącznie twoja wina, Faye. Przestań wyobrażać sobie, co sobie inni pomyślą, i zrozum, że byłaś przerażoną, bezbronną młodą kobietą. Wybacz sobie. Przestań myśleć o tym, jak inni zachowaliby się na twoim miejscu. To ty musiałeś z tym żyć i uczyniłeś to najlepiej, jak byłaś w stanie. Powiedz jej, przedstaw jej prawdę. - Przekonanie, z jakim mówiła to Christie, odnosiło się nie tylko do Faye, ale także do niej samej.

Uważnie wsłuchując się w każde słowo, Maggie wpatrywała się w Christie. A więc stawienie czoła prawdzie czyni silniejszym? Nigdy dotąd tak na to nie patrzyła. Z całą pewnością nie stawiała twarzą w twarz z prawdami we własnym życiu, chowając je zamiast tego, trzymając z dala od rodziny i przyjaciół, wszystkich. Ale być może czyniąc to nie miała racji.

- A co, jeśli Amber nie wróci? - zapytała Faye. Christie z całych sił starała się skierować swe myśli ku

przyszłości. To nie działało w taki sposób. To, przyszłość przychodziła sama do niej, a nie na odwrót. Ale teraz, w obliczu bezbrzeżnego, ogromnego bólu Faye postanowiła spróbować. I kiedy przez ułamek sekundy ujrzała odpowiedź, nastąpiło to bardziej dzięki matczynej intuicji niż czemukolwiek innemu.

- Musisz jechać i ją znaleźć.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Amber spodziewała się kwiatów i wina, no cóż, ewentualnie paru piw. Było to w końcu koszmarne poniedziałkowe przedpołudnie, a ona właśnie strasznie pokłóciła się z matką i wyprowadziła z domu. Wyglądało na coś żywcem wyjętego z tych romantycznych telenoweli puszcanych w telewizji w sobotnie popołudnia.

Poczucie dramatyzmu Amber oznaczało, że pomimo bólu widziała siebie w roli zalanej łzami bohaterki, która wyrwała się z despotycznego domu prosto w ramiona swego kochanka.

Tyle że Karl najwyraźniej nie oglądał tych samych filmów.

Kiedy wyszedł po nią do autobusu, przytulił ją, wziął od niej wielką walizkę i zaczął ciągnąć ją za sobą, przez cały czas gawędząc. Nie pojawiły się żadne słowa pełne namiętności, odnoszące się do tego, czego ona wyrzekła się dla niego, i jak to nigdy nie zapomni, że opuściła rodzinny dom, by być przy nim.

- Co jest z tymi kobietami i ich kłopotami? - skrzywił się Karl, udając, że nadwreżył sobie kręgosłup, ciągnąc jej walizkę. - Jak jedna mała kobieta może tyle posiadać? A może to tylko kosmetyki?

Amber czuła się rozdarta i nie była w nastroju do żartów. Pragnęła pełnych namiętności deklaracji, zapewnień, że bardzo ją kocha i że się nią zaopiekuje.

Ale może nie powinna być taka zachłanna i wymagająca.

- To wszystko, co zabrałam z domu - odparła zwięźle. - Prawie osiemnaście lat w jednej walizce. - Łącznie z jej czterema maskotkami schowanymi do poszewki na poduszkę.

- Tylko się z tobą droczę, mała - rzekł Karl. - Choć nie wiem, gdzie to wszystko zmieścisz. Mieszkanie jest trochę zagracone.

Dotarli na miejsce. Mężnie wciągnął walizkę do niezbyt ładnie pachnącego korytarza, a potem dwa piętra po schodach pod odrapane niebieskie drzwi, które były uchylone.

- Mamy akurat naradę zespołu - powiedział Karl, otwierając drzwi kopnięciem.

Zostawił walizkę w przedpokoju, po czym pociągnął Amber za sobą do ciasnego salonu, który był świadectwem tego, że sprzątanie nie szło zgodnie z grafiką. Każdą możliwą powierzchnię przykrywały stare gazety i czasopisma, brudne talerze, puste naczynia po jedzeniu na wynos, ciuchy i kurz. Kenny T, Lew i Syd ułożyli się na sofie i fotelu, wokół ławy, której Amber jeszcze nigdy nie widziała bez warstwy zakrywających ją różności. Wstali po kolei, by ją uściskać i przywitać. Ku swemu zawstydzeniu Amber wybuchnęła płaczem. Po tej potężnej kłótni z matką tak cudownie było znowu się poczuć mile widzianą, a nie jak krnąbrne dziecko.

- Nie trzeba płakać - powiedział Karl, przytulając ją.

- Chodzi po prostu o to, że jeszcze nigdy tak naprawdę nie pokłóciłam się z mamą - zaszlochała mu w ramię. - Zawsze mogłyśmy na siebie liczyć. Ona i ja. Ale jest taka praworządna i nie potrafi tego zrozumieć, i nigdy nie będzie potrafiła. Nie słyszałeś jej, Karl: ona mnie za to nienawidzi, po prostu nienawidzi!

- Twojej mamie przejdzie. Z moją było tak samo - powiedział lekko Syd. - Nigdy nie mogła pojąć, że życie to coś więcej niż egzaminy. Widziała mnie jako prawnika, poważnie. Jezu, wyobrażacie mnie sobie w sądzie?

- Jedynie na ławie oskarżonych - zażartował Lew.

- Z nami będzie ci dobrze, Amber - dodał Kenny T. Możesz nauczyć Karla prac spodnie. Widziałem, jak podnosił z podłogi te, które były najmniej brudne.

- Nie, to ja widziałem, jak ty je sobie bierzesz, donosicielu - zażartował w odpowiedzi Karl.

Amber otarła oczy i próbowała przyłączyć się do żartów. Czuła absurdalne zadowolenie z powodu tego, że została przywitana jak jeden z chłopaków. Nieważne, że to miejsce to nora. Pokaże im, jak utrzymywać porządek. Pobawienie się dla odmiany w matkę może się okazać całkiem fajne.

Pokaże swojej, że potrafi dać sobie radę i być szczęśliwą. Nie było tak, że istniał tylko jeden sposób prowadzenia życia, nudny i podręcznikowy.

- Lew miał właśnie zadzwonić po jakieś żarcie na wynos - powiedział do niej Karl. - Ale skoro już tu jesteś, to może ugotowałabyś coś? Zjedlibyśmy jakiś lunch.

- Mamy kurczaka - rzekł Lew.

- Trochę śmierdzi - rzucił ostrzegawczo Syd.

- Włóż go do kuchenki mikrofalowej - poradził Karl. Wtedy będzie dobry, no nie?

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Amber, która była dziewczyną i z tego powodu powinna wiedzieć wszystko na temat przyrządzania kurczaka.

Gotowanie było działką jej matki. Do niej należało odgrzewanie potraw albo dopisywanie różnych rzeczy do listy na lodówce, na przykład: „Skończyły się płatki” albo „Czy możesz kupić mi szampon?”

- Jasne, tak właśnie będzie - odparła pewnym głosem. Przecież gotowanie nie może być trudne?

W lodówce śmierdziało. Syd miał rację co do kurczaka, choć powinien go już dawno wyrzucić do kosza. Co właśnie uczyniła Amber. Nie było tam nic innego, z czego dałoby się przygotować posiłek dla pięciu osób bez śmiertelnej daw-

ki salmonelli. W lodówce znajdowało się sporo papierków i kartonów, ale wszystkie były puste z wyjątkiem pełnego w połowie kartonu z sokiem pomarańczowym, skwaśniałym ze starości. Zamrażalnik był tak zmrożony, że nie dało się go otworzyć. W szarkach znalazła chipsy, płatki i całe mnóstwo prawie pustych butelek po alkoholu, a oprócz nich jedynie odrobinę makaronu i ryżu.

Postanowiła przerwać naradę zespołu.

- Kurczaka już nie mamy - oświadczyła. - Pójdę do sklepu i kupię coś na lunch, ale potrzebuję pieniędzy.

- Tak jest, psze pani - rzekł Karl i sprawnie przeprowadził zbiórkę.

Amber uśmiechnęła się. To ona dowodziła, co było całkiem przyjemnym uczuciem. Jeszcze tydzień temu była uczennicą w mundurku, zajmującą dziecięcy pokój. Teraz mieszkała z mężczyzną, dzieliła z nim łóżko, gotowała mu posiłki. Ależ postęp.

Jednakże po południu znowu zachciało jej się płakać.

- Może zadzwonię do babci - pociągnęła nosem, rozmawiając przez telefon z Ellą.

- Po co? - Jej przyjaciółka nie widziała w tym żadnego sensu. Każda porządna babcia z całą pewnością trzymałaby stronę matki Amber. Pojawiłyby się łzy i krzyki. - A może zadzwoń do matki - zasugerowała. - To z nią powinnaś porozmawiać, a nie z babcią.

- Moja matka będzie jedynie głądzić o tych cholernych egzaminach - odparła z goryczą Amber. - Życie to coś więcej niż egzaminy. To głupi system, by grupować ludzi według tego, jak dobrze im pójdzie danego dnia z danym zestawem pytań. Czy coś takiego pozwala określić, jakim jest się człowiekiem i co się potrafi?

Jak na kogoś, kto przez całe swoje szkolne życie był wzorowym uczniem, Amber bardzo szybko znalazła argumenty przeciw edukacji. Nie wiedziała, jak jej nowym współlokatorom poszło na państwowych egzaminach, ale Karl, który zdał je, zawsze powtarzał, że prawdziwym nauczycielem jest życie, a nie podręczniki. Powiedziała to teraz na głos, nie dodając, że to słowa Karla. Ella wydeła usta.

- Wszyscy członkowie najgorętszego zespołu na tej planecie oblali własne egzaminy, prawda? - zapytała krótko.

- Karl jest błyskotliwy - warknęła w odpowiedzi Amber.

- Jasne, cóż, czy w takim razie został w szkole, by dokończyć rok i zdać egzaminy?

Amber wiedziała, że tak. Po szkole przez dwa lata studiował, ale później rzucił studia.

- Ale to przecież nie ma znaczenia - oświadczyła.

- Oczywiście, że ma. No więc on je zdał, a teraz zmusza ciebie, byś nie przystąpiła do swoich, tylko była razem z nim. Twoja mama ma rację, Amber. Powinnaś skończyć szkołę. Zostało tylko kilka tygodni, a ty bez powodu chcesz zmarnować tyle lat nauki. Jeśli Karl nie chce na ciebie czekać, aż skończą się egzaminy, w takim razie nie zasługuje na ciebie.

- On mnie kocha - powiedziała Amber zraniona i zła. - Sądziłam, że jesteś po mojej stronie.

- Jestem. Mówię tylko, co myślę.

- Karl chętnie by na mnie czekał, ale muszą jechać na początku czerwca.

- A ty nie możesz tu zostać, zdać egzaminy i dołączyć do niego później? - zapytała ostrym tonem Ella. - A może boisz się, że jeśli nie pojedziesz z nim, to znajdzie sobie inną mużę, która będzie mu grać łóżko?

Trafiła w samo sedno. Amber cieszyła się, że Elli nie ma przy niej i nie widzi jej rumieńca. Wiedziała, że to głupie tak nie być pewną Karla po tym wszystkim, co jej powiedział, ale wątpliwości to podstępny intruz, który zakradał się do jej

myśli wtedy, kiedy najmniej go potrzebowała. Mogła zostać i naprawić stosunki z mamą, ale co jeśli Karl wyjedzie i już nigdy więcej go nie zobaczy?

- Kochamy się - oświadczyła chłodno swej najlepszej przyjaciółce. - Ty tego nie zrozumiesz.

- Ależ rozumiem. Rozumiem, że kiedyś mnie słuchałaś. Dzieliłyśmy się wszystkim, a teraz gdy pojawił się Karl, ja już się nie liczę. Fajny sposób traktowania najbliższej przyjaciółki.

- Och, dorośnij, Ella - warknęła Amber. - Brzmi to tak, jakbyśmy znowu były małe i nie miały żadnych zmartwień poza tym, którego kucyka lubimy najbardziej.

Ella miała dosyć.

- Wtedy lubiłam cię bardziej - rzekła. - Byłaś jeszcze Amber Reid, moją najlepszą przyjaciółką, a nie Amber, beztroską groupie, która zapomniała o wszystkim, co dotąd się dla niej liczyło. Zawsze byłaś w szkole tą bystrą, którą czeka świetlana przyszłość, a teraz ryzykujesz wszystko, by zachowywać się jak gość Ricki Lake Show i kurczowo trzymasz się nieudacznika. On cię rzuci, wiesz? I zapytasz mnie wtedy, dlaczego cię nie powstrzymałam. Pamiętaj więc, że robiłam co w mojej mocy. Pa, Amber, miłego życia.

Amber odłożyła telefon, czując się tak samotna, jak chyba jeszcze nigdy. Dlaczego nikt jej nie rozumiał?

Miłość cię zmienia i czyni inną osobą. Cóż w tym złego?

Dlaczego wszyscy uważali, że musi wybierać: oni albo Karl? Czy nie mogła mieć jednego i drugiego?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ta kartka była niczym więcej jak prostokątem wytwornego kremowego papieru, złożonym na pół, z odręcznie narysowanym sercem na pierwszej stronie, w środku zaś niemożliwym do podrobienia kaligraficznym pismem Greya napisane było: „Kocham cię. Tęsknię za tobą, proszę, wróć do domu”.

Maggie ponownie przeczytała kartkę, następnie nabożnie przesunęła palcami po literach. Kartka kupiona w sklepie nie poruszyłaby jej, ale to, ten gest miłości sprawił, że ogarnęło ją bolesne pragnienie powrotu do Greya.

Myślała o tym, co Christie Devlin powiedziała zaledwie przed godziną, a potem wróciła do domu i na stoliku w korytarzu znalazła tę kartkę wśród dzisiejszej poczty, kartkę od Greya, który pragnął, by wróciła.

Przestań myśleć o tym, jak inni zachowaliby się na twoim miejscu. To ty sama musisz żyć - to były słowa Christie skierowane zarówno do niej, jak i Faye.

I miała rację. Maggie nie była w stanie wyrzucić tych słów ze swych myśli.

Pragnęła wrócić do Greya, tylko to miało znaczenie. Nie to, co mówili inni. Nie jej duma czy brak zaufania. Wszystko dałoby się pokonać. To co się stało, zmieniło ją i ich związek nie byłby już taki, jak do tej pory: byłby lepszy, silniejszy. 'la ki jak ona.

Było wpół do ósmej i Grey na pewno zdążył już wrócić z pracy. Desperacko pragnęła z nim teraz porozmawiać.

Wystukała numer domowy, ale włączyła się sekretarka, niezmiennie informując, że ani Grey, ani Maggie nie mogą podejść teraz do telefonu. Rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości. Musiała z nim porozmawiać osobiście. Zadzwoiła więc na jego komórkę, ale była wyłączona.

Cholera. Poczula się taka zraniona. Miała ochotę z kimś porozmawiać...

- Hej, co słychać? - zapytała, kiedy Shona odebrała telefon.

- Wszystko okej - odparła pogodnie jej przyjaciółka.

W mieszkaniu Shony i Paula panował hałas. Hałas robiony przez dwoje ludzi, którzy umieli dobrze się bawić i nie przejmowali się tym, że zakłóca spokój sąsiadów, podkrecając muzykę do poziomu To Może Zniszczyć Twój Słuch.

- Chciałam jedynie pogadać - rzekła Maggie.

- Poważnie pogadać?

- Nie, raczej nie. - Zawahała się. - Tak, poważnie pogadać.

- Przycisz muzykę! - wrzasnęła Shona. - No więc co się stało? - zapytała, kiedy poziom hałasu uległ lekkiemu obniżeniu. - Zjawił się u ciebie, wyznał dozgonną miłość i obiecał, że już nigdy więcej nie będzie niegrzecznym chłopcem.

- Skąd wiesz? - zapytała Maggie. Nie rozmawiała z przyjaciółką od czasu, gdy przyjechał do niej Grey.

- A więc tak rzeczywiście zrobił? Ależ oklepany chwyt.

- Nie wiedziałam, że przyjedzie.

- No cóż, to dokładnie coś takiego, co zrobiłby mężczyzna pokroju Greya. Bzyka się z kimś w waszym łóżku, nie wie, jak porządnie przeprosić, pozwala ci wyjechać, następnie zastanawia się i pędzi w twoje ramiona, i biadoli: „Przepraszam, kochanie, to już się nigdy nie powtórzy”, ponieważ dociera do niego, że pranie i sprzątanie jest bardzo nudne. A poza tym bzykanie swoich studentek jest wbrew wydziałowym zasadom i jego uczelniana kariera ległaby w gruzach,

gdyby to wyciekło. Co nie znaczy, byśmy ja albo Paul puścili parę z ust. - Głos Shony brzmiał triumfująco. - Milczymy jak grób. Plotki nigdy nie dotykają naszych ust, wypluwamy je tak szybko, że nie zdążą.

Chwilę wcześniej Maggie czuła się radosna, ale Shona i jej analiza zachowania Greya sprawiły, że wszystko brzmiało tak wstrętne i żałosne. Nie jak wielka namiętność, lecz tandetny romans.

Ale Shona nie słyszała, jak mówił, nie słyszała czułości w jego głosie.

- Powiedział, że mnie kocha - zaprotestowała - i mówi poważnie, Shona. I wiesz co, powiedział to nawet w bibliotece przy świadkach. Naprawdę mnie kocha. Wiem, że ty uważasz, iż jest inaczej, ale gdybyś go wtedy widziała...

- Och, to takie w jego stylu - rzekła krytycznie Shona. - Ten chłopiec uwielbia być na scenie, po prostu uwielbia. Nie rozumiem, dlaczego udaje, że go nie ciągnie w stronę polityki. Jeśli jakikolwiek człowiek miałby ochotę stanąć na podium i mieć u swych stóp wiernych czcicieli, byłby to twój eks. Jest uzależniony od owacji, kochana. Dlatego właśnie lubi się bzykać ze studentkami.

Zapadła nagła cisza.

- Co masz na myśli mówiąc, że lubi się bzykać ze studentkami? - zapytała ostro Maggie. - Wiem, że lubił się bzykać z jedną konkretną studentką, ale ze studentkami w liczbie mnogiej...? Co takiego słyszałaś?

Niemal słyszała, jak Shona zastanawia się, jak uciec od tego tematu.

- Prawda, Shona - upierała się. - Powiedz mi prawdę. Szkoda, że nikt mi jej nie powiedział już dawno temu.

- Och, skarbie - westchnęła Shona i Maggie wiedziała, że nie usłyszy dobrych wiadomości. - Nie martw się, miałam zamiar ci powiedzieć. Znasz mnie, mówię wszystko. Nie wierzę w te brednie o strzelaniu do posłańca. Cóż, jako do-

bra koleżanka podpytywałam tu i tam od czasu, gdy przyłapałaś doktora Greya Stanleya naklejeniu się do jego uroczej, jasnowłosej studentki, no i wychodzi na to, że nie była jedyną, której udzielał prywatnych lekcji. Okazuje się, że nawet z tego słynie.

- Och. - Maggie nie była w stanie powiedzieć niczego więcej. Było tak, jakby przez całe życie myślała, że ziemia jest okrągła, a teraz dowiedziała się, że jednak płaska.

- Przykro mi, kochanie, ale musiałaś się dowiedzieć. Gdyby usłyszała to od kogoś innego niż Shona, Maggie

miałaby wielką ochotę zastrzelić informatora. Ale ona była prawdziwą przyjaciółką. Kochała Maggie. Kojąca była myśl, że ktoś ją kocha.

- Chcę usłyszeć wszystko - oświadczyła.

- Jesteś pewna?

- Tak - rzekła stanowczo. - Wszystko.

- Paul! - zawołała Shona. - Wyłącz muzykę i zrób mi drinka. Zanosi się na długą rozmowę.

Usłyszała odpowiedź Paula:

- Chyba nie opowiadasz jej wszystkiego o tym draniu, co?

- Ktoś musi. Ta dziewczyna musi nabrać w końcu rozumu.

Były cztery inne kobiety, o których udało się dowiedzieć Shonie. Wszystkie to studentki Greya, co chyba było w tym wszystkim najgorsze. Maggie pomyślała, że zawsze miał takiego bzika na punkcie etyki i robienia tego, co należy.

Uprawianie seksu ze studentkami, których prace oceniał, łamało wszystkie zasady nauczania.

- Dobra wiadomość jest taka, że żadnej z nich nie bzykał zbyt długo - zakończyła Shona. - Może więc to cię pocieszy, kochana. Chodzi mi o to, że on rzeczywiście kochał cię na ten swój popieprzony sposób. Musiałam pogrzebać naprawdę głęboko, by się wszystkiego dowiedzieć, więc naprawdę nie uważam, by miał zamiar cię upokarzać.

- Robienie tego w naszym łóżku nie miało mnie upokarzać? - zawołała Maggie.

- Nie krzycz! - krzyknęła w odpowiedzi Shona. - Chwytam się teraz wszystkich sposobów, byś poczuła się lepiej. Owszem, jest dupkiem klasy A, ale to oczywiste, że mózg nie stanowi jego najważniejszego organu i najwyraźniej nie jest takim intelektualistą, za którego pragnie uchodzić.

- Co oznacza, że myśli kutasem! - zawołał Paul w tle.

- Tak czy inaczej nie musiał robić tego w naszym łóżku - rzekła Maggie, pod którą nadal ugiwały się nogi. - Czy to nie oznacza, że chciał zostać przyłapany?

- Och, nie sędzę - odparła Shona. - Daj spokój, a czemu miałby tego chcieć? Myślę, że po prostu nie mieli dokąd pójść, ty byłaś w pracy, potem miałaś iść na pilates, drogę miał wolną.

- Poprosił mnie, bym do niego wróciła - powiedziała Maggie i zaśmiała się ponuro. Zaledwie kilka minut temu czuła, jak rozgrzewają nadzieja na myśl, że to się może udać, że może znowu wszystko będzie dobrze, tyle że tym razem lepiej. - Chce, żebyśmy byli razem. Powiedział, że powinniśmy się pobrać. - Jej głos załamał się. - A ty mi mówisz, że miał cztery dziewczyny w ciągu minionych... ilu lat, pięciu? Po co brać z kimś ślub, jeśli ma się ochotę na skoki w bok?

- To odwieczna zagadka życia - westchnęła Shona. Maggie usłyszała, że Paul chce wiedzieć, co jest odwieczną zagadką życia.

Shona mu wyjaśniła.

- A ja myślałem, że ta zagadka dotyczy tego, czy istnieje życie na innych planetach - usłyszała żaloszny głos Paula.

- Nie, to trzecia odwieczna zagadka, zaraz po tej, dlaczego wszyscy fajni faceci mają już chłopaków.

Wbrew sobie Maggie roześmiała się.

- Cóż za cudowny dźwięk. - Shona była zadowolona. Nie pozwól, by doktor Fiutek zniszczył ci życie, Maggie

- dodała błagalnym tonem. - Jesteś starą romantyczką, choć starasz się to skrywać. Pragniesz bajki, kochana, ale z nim to się nie uda, wiesz?

- Podobno w modzie jest seryjna monogamia - rzekła Maggie, nie chcąc odpowiadać na pytanie Shony. - Ja pragnęłam czegoś dłuższego, a Grey najwyraźniej nie. Czy to ja jestem staroświecka? Czyja także powinnam była mieć romans?

- Nie - odparła Shona. - Żarty na bok, nie powinnaś była mieć romansu. Jesteś zbyt uczciwa, to by cię dobiło. Kiedy kochasz, to całym sercem. On jest inny. Gdyby pojechał do ciebie i przyznał się, że były inne kobiety, obiecał, że to się już nie powtórzy, cóż, wtedy byłaby jeszcze jakaś nadzieja. Ale on tego nie zrobił, prawda? On tylko przeprosił za Lulu-nię. A tak przy okazji to koniec z wypożyczaniem przez nią książek. Rozpuściłam po bibliotece wici i ta dziewczyna już nigdy nie dostanie żadnej książki. Może próbować, ale bez względu na to jaką będzie chciała pozycję, okaże się niedostępna albo jej karta biblioteczna straci ważność. Biblioteka dba o swoich!

Maggie uśmiechnęła się.

- Co ja mam teraz zrobić, Shona? - westchnęła. - Miałam zamiar wrócić do niego. Nie mogę już zawsze mieszkać u mamy i taty, jest fajnie i w ogóle, ale... - urwała.

Pomimo tego wszystkiego zaczynało jej być coraz lepiej w domu na Summer Street; czuła, że rodzice trzymają jej stronę, choćby nie wiem co. Choć powiedziała im, że rozstanie było decyzją obopólną, zachowywali się tak, jakby wszystko było winą Greya i tego, że nigdy nie doceniał jej wartości. Jej ojciec wciąż mruczał pod nosem uwagi na jego temat i tego, co miałby ochotę mu zrobić. Od czasu do czasu matka, jak to ona, inicjowała wykład o tym, że niektórzy mężczyźni nie zasługują na piękne, mądre dziewczyny. Maggie czerpała ukojenie z gniewu rodziców, skierowanego przeciwko Greyowi. Czuła się dzięki temu chroniona i kochana.

Przyzwyczała się nawet z powrotem do swego dawnego pokoju i czerpała otuchę z patrzenia na tę samą tapetę, z którą dorastała. Łatwo było zapomnieć o latach spędzonych z dala od domu. Zapomnieć o ogłuszającym bólu, jaki poczuła, znajdując Greya w łóżku z inną kobietą. Kiedy poczuła się taka głupia i tak bardzo oszukana. No i polubiła miejscową bibliotekę, przyjemnie się w niej pracowało. Nadal jednak ukrywała się, przynajmniej odrobinę, przed przeszłością i jej siłą.

- Nie wiem, czy zostać tutaj, czy wrócić do Galway - rzekła do Shony.

- Nie wiem, co zrobić ze wszystkim. Jestem beznadziejna.

- Witam w klubie, kochana. Muszę iść ufarbować odrosty, moje paznokcie przypominają szpony i nie mam ani jednej wolnej chwili od czasu, gdy wyjechałaś. Dodatkowa bibliotekarka, którą dali nam na razie, uważa, że grafik jest wryty w kamieniu i mam straszne problemy, gdy próbuję zamienić z nią zmiany. No nieważne, posłuchaj, słonko, nie spiesz się, nie musisz szybko podejmować decyzji, masz jeszcze cały tydzień. Mogłabyś wrócić i nie mieć nic wspólnego z doktorem Greyem i jego nimfektami. On nie jest już częścią twojego życia, nie potrzebujesz go.

Shona mogła tak mówić, pomyślała z żalem Maggie. Shona była silna i знаła swoją wartość. Nie potrzebowała Paula, by czuć się spełnioną. Ale Maggie nie była tak silna, nie wiedziała, czy potrafiłaby wrócić i zacząć od nowa w miejscu, gdzie zewsząd otaczałyby ją wspomnienia.

No ale przecież wszędzie czyhały bolesne wspomnienia, nawet tu, na Summer Street.

Żałowała, że nie opowiedziała Shonie o swych szkolnych latach, wtedy może zrozumiałyby, dlaczego Maggie jest tak niespokojna w kwestii pozostania na Summer Street. Ale nigdy nie nadarzyła się odpowiednia okazja, by to zrobić. Shona znała nową Maggie, osobę, która miała zadziorny charakter, łagodne serce i potrafiła coś powiedzieć w każdej sytuacji.

Dziwnie byłoby powiedzieć jej o tym teraz. Mówienie o prześladowaniu sprawiłoby, że stałoby się to rzeczywiste, a ona musiałaby stawić temu czoła. Pomimo tego co powiedziała Christie, znacznie łatwiej było trzymać wspomnienia w tajemnicy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gdyby siłą woli można zmusić telefon do zadzwonienia, komórka Faye odzywałaby się głośno cały ranek. Jej telefon biurowy dzwonił co kilka minut, ale komórka, numer, pod który zawsze dzwoniła do niej Amber, leżała na biurku i milczała. I pomimo obecności w biurze tylu osób Faye nigdy nie czuła się bardziej samotna.

Był wtorek i minęły nieco ponad dwadzieścia cztery godziny od czasu, gdy Amber odeszła i zmieniła świat Faye. Nie zadzwoniła. Dom bez niej był przeraźliwie pusty i Faye raz po raz odtwarzała w głowie swoje błędy.

Wczoraj wieczorem spędziła kilka godzin z Ellą i jej matką, próbując ustalić, gdzie może być Amber, ale przyjaciółka córki naprawdę tego nie wiedziała.

- Gdybym wiedziała, pani Reid, to bym pani powiedziała - oświadczyła. - Uważam, że zwariowała, a przecież wie pani, że to moja najlepsza przyjaciółka. I powiedziałam jej, że uważam, iż zwariowała - dodała na wypadek, gdyby ktoś powątpiewał w jej determinację nakierowaną na to, by przemówić Amber do rozsądku.

- Ja tego po prostu nie rozumiem - powiedziała Trina, matka Elli. - Zawsze była taką dobrą dziewczyną.

Obie matki rozmawiały w przeszłości o tym, jakie mają szczęście, że trafiły im się takie akurat córki. Amber i Ella nie sprawiały do tej pory żadnych problemów, a ich rodzice

przyznawali, że przyczyniło się do tego jasne określenie, co jest dozwolone, a co nie.

- Kiedy wróci do domu, powinnaś dać jej szlaban na cały miesiąc! - oświadczyła Trina.

Ella i Faye popatrzyły na siebie. Obie wiedziały, że to się posunęło znacznie dalej.

Christie zadzwoniła rano, nim Faye zdążyła wyjść do pracy.

- Chciałam sprawdzić, jak się czujesz - powiedziała tym swoim uspokajającym głosem. - Przypomnieć ci, że nie jesteś sama, że masz z kim o tym porozmawiać.

- Dziękuję ci - odparła Faye.

- Spałaś?

- Jeśli leżenie w łóżku i płkanie można nazwać snem, to owszem, spałam bardzo dobrze.

- Wieczorem podrzucę cię naprawdę świetną ziołową herbatę - obiecała Christie. - Znalazłam ją w małym sklepiku na Camden Street i nazywa się Herbata Do Snu. Bardzo odpręża.

- A masz Herbatę Natychmiastowe Szczęście albo Herbatę Wszystko Będzie Dobrze? - zapytała Faye.

- Nie - westchnęła Christie. - A szkoda. Prawdę powiedziawszy, przydałaby mi się także paczka Herbaty Znikajcie Wszystkie Dawne Tajemnice, ale obie akurat się skończyły. Wybierasz się do pracy?

- Oczywiście.

Pomysł, by robić cokolwiek innego, był dla Faye absurdalny. Praca przez wiele lat była jej wybawcą. Praca sprawiała, że zapominało się o upokorzeniu, bólu i ludziach, którzy cię potraktowali jak śmieć. Praca dawała pewność siebie i odwagę, a także odrobinę szacunku do samej siebie.

Tyle że nie dzisiaj. Bez względu na to jak mocno się starała, nie była w stanie się skoncentrować.

Siedziała smutna, myśląc o czekającym ją życiu bez Amber. Ponieważ nie miała pojęcia, jak nakłonić ją do powro-

tu i jedyne, co miała przed oczami, to błędy, które popełniła i których żałowała. Faye była taka pewna, że wychowuje Amber we właściwy sposób, w uroczym, spokojnym świecie, gdzie najważniejsze kwestie to wykształcenie i wiara we własne siły. Była taka pewna, że ma rację, a teraz się okazało, że jaka matka, taka córka. Amber jedynie powielala jej błędy. A Faye, która teraz wiedziała, że powinna była powiedzieć córce prawdę, wybieliła przeszłość i pozwalała Amber dorastać w przekonaniu, że jej matka to prawdziwa święta.

Nie powiedziała nikomu w pracy o Amber. Nie potrafiła. Zbyt silnie było w niej zakorzenione trzymanie ludzi na dystans. Wczoraj pozwoliła Christie i Maggie zbliżyć się do siebie bardziej niż komukolwiek przez lata - nadal nie mogła otrząsnąć się z tego, że to zrobiła.

O jedenastej Grace wsadziła głowę do jej gabinetu. Nie weszła do środka, jako że uważała, iż jeśli pozostaje częściowo na zewnątrz, to jest to tylko krótka pogawędka.

- Mam kogoś, kogo po prostu musisz poznać. Jest konsultantką wizerunku i trenerem rozwoju osobistego. No wiesz, właściwie to nie określa jej odpowiednio, ona zmienia ludziom życie. Ukończone fakultety wychodzą jej uszami i uznałam, że świetnie byłoby ją zaangażować w ramach naszej kampanii dla kobiet wracających do pracy.

Jakiś czas temu Faye wpadła na pomysł akcji rekrutowania kobiet wracających do pracy po kilku latach siedzenia w domu i zajmowania się dziećmi. Kampania ta stała się projektem specjalnym Grace. Zajęła się organizowaniem rozmów kwalifikacyjnych i przygotowała cały program przekwalifikowujący dla matek pragnących podciągnąć się z technik przydatnych podczas takich rozmów oraz pracy z komputerem. Okazało się to strzałem w dziesiątkę i zaowocowało rekrutacją sporej ilości kobiet z doskonałymi kwalifikacjami. Według Grace jedynym problemem było to, że niektóre z wracających do pracy kobiet są często mocno tym wszystkim wystraszone.

- Nieważne jak wysokie zajmowały wcześniej stanowisko, wciąż powtarzają, że wszyscy poszli w tym czasie do przodu, a one stały się mamusiowate i wypadły z obiegu. Nie dałabyś wiary; te super kobiety twierdzą, iż nie wiedzą, w co się ubrać, ponieważ wyszły z wprawy. Mówię im, że tego się nie zapomina - dodała Grace - no ale naprawdę kobiece lęki są straszne. Dlaczego robimy sobie coś takiego? Założę się, że mężczyźni nie zadreczają się tym, że nie uda im się ponownie wpasować po kilku latach przerwy w pracy. Wyobrażasz sobie, by Neil czuł coś takiego? - zapytała.

Jako że Faye uważała, iż Neil tak naprawdę w ogóle nie pracuje, nie bardzo była w stanie udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Ale kiwnęła głową i powiedziała, że owszem, wie, do czego zmierza Grace: odwieczny problem z brakiem pewności siebie dotyczył naprawdę wielu kobiet.

- Masz więc plan, by pomagać kobietom właściwie się ubierać i czesać, i uczyć je, jak być pełnymi entuzjazmu? - zapytała teraz Faye.

- To część planu. - Grace weszła jednak do gabinetu. - Bardziej chodzi o przywrócenie im pewności siebie. Ta kobieta jest po prostu niesamowita. Ma na imię Rita. Spodoba ci się. Jest teraz w moim gabinecie, a ty masz trochę wolnego czasu. Chodź. Przeprowadzi na moim przykładzie konsultację.

Kilka dni temu Faye poznałaby tę kobietę z największą przyjemnością, ale nie dzisiaj. Nie była w stanie wykrzesać w sobie entuzjazmu wobec żadnego trenera rozwoju ani nawet swej ukochanej pracy.

- Grace, ty nie potrzebujesz konsultacji. Nikt nie ma tyle pewności siebie co ty i nie nosi lepszych od ciebie ostrych ciuchów biurowych. Jaką pomoc może ci ona zaproponować?

- Cóż, bardzo bym się chciała dowiedzieć, czy pasowałyby mi dłuższe włosy - odparła w zamyśleniu Grace, dotykając swych krótkich, przetykanych perfekcyjnymi pasemkami ja-

snych włosów. - A Rita ma naprawdę dobre oko. Wiesz, mój fryzjer twierdzi, że podobają mu się moje włosy takie, jakie są teraz, ale co innego miałby mówić, no nie? To on je obcina. No chodź, poznasz ją.

- Tylko na dziesięć minut - zapowiedziała Faye. - Zaraz do ciebie zejdę.

W ogóle nie powinna była przychodzić dzisiaj do pracy - szkoda, że nie zadzwoniła i nie powiedziała, że jest chora. Jak mogła prowadzić uprzejme rozmowy, gdy cała skręcała się z bólu?

Ociągała się z pójściem do Grace, mając nadzieję, że zanim dotrze do jej gabinetu, Rita zdąży już sobie pójść. Niestety.

- Witam - rzekła Faye. - Mam naprawdę tylko chwilę, Grace, ponieważ muszę...

- Hej, usiądź - przerwała jej Grace tonem nie przyjmującym sprzeciwu.

Faye wiedziała, kiedy złożyć broń. Niemniej jednak mogła się po prostu przywitać, zachowywać czarująco i po pięciu minutach wyjść.

- Poznaj Ritę.

Rita nie była wysoką, wyrafinowaną i pewną siebie osobą, której spodziewała się Faye. Wszyscy poznani wcześniej trenerzy i styliści wyglądali wspaniale i było jasne, że sami nigdy nie potrzebowali pomocy specjalisty. Rita była kobietą w średnim wieku, nosiła krzepiący rozmiar czterdzieści dwa i miała prosty, lecz elegancki makijaż. Ubrana była w śliczną garsonkę w odcieniu bladej szarości, na który Faye normalnie nie zwróciłaby żadnej uwagi. A w jej oczach lśniło bogactwo doświadczeń i wewnętrzna pewność siebie.

- Witaj - rzekła Rita. - Miło cię poznać, Faye. - Nawet jej głos brzmiał elegancko.

Przez kilka minut omawiały kwestie służbowe, a Faye korciło, by się ulotnić. To była przecież działka Grace.

Ona nosiła ładne ubrania i buty na wysokim obcasie, ponieważ lubiła zwracać na siebie uwagę. Seksualne wabienie było tym, co nakręcało Grace. I częścią życia Faye, której bezlitośnie się pozbyła. Nigdy nie miała ochoty znowu podobać się jakiemuś mężczyźnie.

Żaden mężczyzna nie nazwie jej już nigdy Honey albo Silver i nigdy więcej nie dotknie. Mężczyźni jej nie interesowali, koniec, kropka.

- Muszę lecieć - powiedziała wreszcie, kiedy oceniła, że może już odejść.

- Miło cię było poznać - rzekła Rita i Faye poczuła na sobie jej spojrzenie. Być może aż ją świerzyło, by dokonać jej metamorfozy.

To wszystko było takie powierzchowne - wystylizuj swoje włosy, noś lepsze ciuchy, weź lekcję robienia makijażu. Kogo to obchodzi, pomyślała Faye, czując, jak gdzieś głęboko w niej wzbiera gniew. Kogo tak naprawdę obchodzi wygląd innych ludzi? Wygląd nie ma znaczenia, to wewnątrz się liczy - czy nikt tego nie rozumie? Mniejsza z tym, że we wnętrzu Faye panował totalny bałagan.

Osiem kilometrów dalej leżąca w co prawda nieco cuchnącym stęchlizną łóżku Karla Amber przeciągnęła się, rozkoszując się tą chwilą. Była jedenasta, a ona nie siedziała na nudnej historii, nudząc się nieziemsko, myśląc o egzaminach i o tym, co będzie robić latem. Nie, ona leżała obok mężczyzny, którego kochała, mężczyzny, który niedługo się obudzi i zacznie ją delikatnie całować, muskać jej szyję i kochać się z nią.

Potem możliwe, że wstaną i zjedzą późne, pyszne śniadanko, chodząc razem po mieszkaniu na bosaka. Może będzie mieć na sobie jedną z jego koszul: widziała to na filmach i uważała za słodkie. A potem wtulą się w siebie na sofie i będą oglądać stare filmy i będzie rozkosznie.

Ona i mama kiedyś często oglądały razem popołudniowe filmy, te wszystkie czarno-białe klasyki. Było to szczególnie przyjemne podczas zimowych weekendów, kiedy na dworze lał deszcz, a one siedziały w przytulnym domu i...

Amber nie chciała myśleć o mamie, ponieważ wtedy dopadały ją wyrzuty sumienia. Ale przecież tak naprawdę to wszystko była wina mamy. Jej obsesji związanej z niewadzeniem sąsiadom i koniecznością ciągłego bycia bielszym od bieli, ponieważ „nie masz taty i nie chcemy, by ktokolwiek patrzył z góry na rodzinę Reid, czyniąc założenia i uwagi”.

Jakiego rodzaju założenia ten ktoś by robił? Zawsze doprowadzało to Amber do szaleństwa.

Gdyby tylko mama nie miała takiej obsesji na punkcie tych bzdetów, może i by zauważyła, że Amber się zmienia, może zrozumiałaby, dlaczego pragnęła się zmienić.

Teraz żadna z tych rzeczy nie miała już znaczenia. Była z Karlem i tylko to się liczyło, co zresztą powiedziała mamie. Ich kłótnia była koszmarna, ale w końcu było po wszystkim.

Od tamtego czasu Amber miała wyłączoną komórkę, bojąc się, że mama będzie dzwonić, żądając, by wróciła do domu. Albo jeszcze gorzej: płakać i wyglądać na zdruzgotaną, tak jak wczoraj. Dziwnie było widzieć ją w takim stanie, smutną i błagalną. Nie przypominała tej silnej matki, którą znała.

- Hejka, mała - wymruczał na wpół obudzony Karl. Przekreślił się na drugi bok, zamknął oczy i znowu zapadł w sen.

Amber pogłaskała go z nadzieją po karku. Nie miała ochoty leżeć tutaj, mając za towarzystwo jedynie swoje myśli i pragnęła, by Karl odwrócił je od niej.

Ale on spał.

Może zadzwoniłaby do babci, po to tylko, by ją poprosić, żeby miała oko na mamę, bo przecież mama na pewno nie powie nikomu, że Amber odeszła. To nie w jej stylu.

Zadzwoni do babci i wyjaśni wszystko, wtedy babcia mogłaby wyjaśnić to mamie, która jakoś by do siebie doszła i być

może przyleciała nawet do Nowego Jorku, by ich odwiedzić, kiedy już ona i Karl się tam zadomowią. Amber miała nadzieję, że wytwórnia płytowa załatwi im jakieś mieszkanie, może nawet z balkonem.

Albo może jakiś nowoczesny dom z wielkimi oknami wychodzącymi na morze w Hamptons. To dopiero byłaby pierwsza liga. Ella także mogłaby przyjechać w odwiedziny, kiedy już znowu zaczęłyby ze sobą rozmawiać.

Czas, uznała Amber, to czas jest potrzebny, by wszyscy przywykli do tej sytuacji. Telefon w domu babci odebrał Stan i wydawał się taki jak zawsze, odprężony i wyluzowany, jakby każdy dzień był radosny i trzeba się nim było delectować. Zresztą Stan tak właśnie sądził.

Ella i Amber uważały Staną za oazę spokoju. Zupełne przeciwieństwo babci, która żyła na pełnych obrotach i nigdy nie przestawała się poruszać ani mówić. Stan potrafił nieskończenie długo siedzieć na swoim krześle i słuchać, w ogóle się nie odzywając. Był dobrym przyrodnym dziadkiem - tak mówiła Ella, wiedząc, że Amber nie pamięta swego prawdziwego dziadka.

- Nie poszcęściło ci się, jeśli chodzi o męskich krewnych, no nie? - zapytała Ella pewnego dnia. - Chodzi mi o to, że twój tata nie żyje, twój dziadek nie żyje, nie znasz rodziny swego taty, o co w tym wszystkim chodzi?

- Tata był Szkotem i tylko pracował w Irlandii, mówiłam ci przecież - odparła Amber zirytowana bezmyślnością przyjaciółki. - Och, to skomplikowane.

Ella czasami była naprawdę nie do wytrzymania. Tylko dlatego, że miała w pobliżu całą swoją rodzinę i krewni dosłownie wychodzili jej uszami, sądziła, że wszyscy inni powinni być tacy sami.

- Ale to romantyczne, prawda? - powiedziała tęsknym głosem Ella.

- Zdecyduj się - odparła ze złością Amber. - W jednej chwili uważasz to za dziwaczne, a w następnej za romantyczne. No więc jak?

Kiedyś często myślała o tacie i tym, jakim byłby dla niej ojcem: surowym i ostrym czy też tylko udawałby, że jest surowy, trochę tak jak tata Elli, który pod tą całą maską twardziela w stylu „jestem twoim ojcem i masz mnie słuchać” był prawdziwą pocziwiną. Mama niewiele mówiła. Amber tak mało o nim wiedziała. Nawet babcia nie mówiła o nim praktycznie nic. Wiedziała jedynie, że ją kochał. Kiedy mama zaszła w ciążę, nie znali się zbyt długo.

- Chcieliśmy wychować cię porządnie, razem - powiedziała jej mama. A potem tata zginął w wypadku samochodowym. Miał niewielu krewnych, którzy zmienili miejsce zamieszkania, więc Amber i jej mama straciły z nimi kontakt. Kiedyś chciałyby ich odnaleźć.

- Twoja babcia piecze właśnie w kuchni - powiedział teraz Stan do Amber. - Kolejna kościelna impreza, na którą ją poproszono o zrobienie ciasta.

Zupełnie jak mama, pomyślała Amber. Na nowo wzbierała w niej irytacja. O co chodziło z jej matką i babcią i całym tym kościelnym pieczeniem i byciem świętszym od papieża?

- Zawołam ją - rzekł Stan.

- Witaj, skarbie - odezwała się pogodnie babcia po dłuższej chwili, podczas której Amber oczami wyobraźni widziała, jak wyciera brudne od mąki ręce i siada na obitym dekoracyjną tkaniną taborecie na korytarzu, gdzie znajdował się staroświecki aparat z okrągłą tarczą. - Nie mogę długo rozmawiać. Zaraz będę wstawiać do piekarnika ciasta, a sama wiesz, że biszkopt lubi opaść, jeśli zbyt długo się zwleka. Co słysząc, kochanie? I dlaczego dzwonisz do mnie o tej porze? Powinnaś być w szkole. Coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku. Chodzi o to, babciu... - powiedziała Amber i dokończenie zdania nagle wydało jej się

strasznie trudne. - Nie jestem w szkole, bo wyprowadziłam się z domu i...

- Wyprowadziłaś się z domu? - Ton głosu babci nie uległ zmianie, ale pojawiło się w nim coś stalowego.

- Tak - odparła Amber. To okazało się znacznie trudniejsze, niż wcześniej sądziła. - Wyprowadziłam się, ponieważ zakochałam się, a mama tego nie rozumie. Chcę jechać z nim do Ameryki. Pomyślałam sobie po prostu, że ci o tym powiem, byś mogła mieć oko na mamę, gdyż jest naprawdę zdenerwowana.

- Naprawdę zdenerwowana, tak? - zapytała babcia tym samym stalowym tonem i Amber skrzywiła się. - Nic dziwnego, skoro jej powiedziałaś, że rzucasz szkołę, by wyjechać z jakimś mężczyzną do Ameryki. Kiedy to wszystko się stało?

- Wczoraj.

- Chodzi mi o to, kiedy zakochałaś się w tym mężczyźnie.

- Ponad miesiąc temu. - Wydawało się, że to tak niedawno, ajednak Amber czuła, jakby była z Karlem od zawsze. Jak Romeo i Julia. Heloiza i Abelard. Kate Winslet i Leonardo DiCaprio w *Titanicu*. - Ma na imię Karl. Jest muzykiem, babciu, jest taki utalentowany. Spodoba ci się, naprawdę. I kocha mnie. Och, babciu, powiedz, że będziesz trzymać moją stronę? Mama tego nie rozumie, wiesz, jaka ona jest. Powiedziałam jej wczoraj i no cóż, pokłóciłyśmy się.

- Zaczekaj i zacznij od początku - nakazała babcia. No i Amber tak zrobiła, nie wspominając jedynie o tym,

w jaki sposób ona i Ella dostały się nielegalnie do klubu i oczywiście o seksie, no bo nie mogła przecież powiedzieć o tym własnej babci. Przekazała jej podstawowe fakty. Że ją i Karla czeka wspólna przyszłość, że on naprawdę strasznie chciał, by pojechała z nim do Ameryki, ponieważ odkąd są razem, pisze lepsze piosenki. To wszystko było takie logiczne. Sztukę mogła studiować w dowolnym momencie, talentu nigdy się nie traci, prawda? Mogła malować w Ameryce równie dobrze jak w Irlandii, a jeśli chodzi o egzaminy, to niepotrzebny jej świstek papieru, by udowodnić, że zamierzała zostać lekarzem, naukowcem albo nauczycielem. Chciała malować, proste, a to akurat mogła robić wszędzie.

Wykształcenie to generalnie świetna sprawa, ale tak naprawdę jaki miało sens wkładanie ludzi do małych pudełek, by mogli zdecydować, co zamierzają robić przez resztę życia, jeśli już się wiedziało, co się chce robić?

Amber pospiesznie dokończyła swe wyjaśnienia i na chwilę zapadła cisza. Na długą chwilę, podczas której poczuła się nieco nieswojo.

- Jesteś, babciu? - zapytała niespokojnie. - Nie poszłaś wstawić do piekarnika biszkoptów?

- Jestem, jestem - odparła babcia z pewnym chłodem w głosie. - Biszkopty przesunęły się w dół na liście moich priorytetów, Amber. Próbuję zrozumieć, dlaczego zakochanie i bycie czyjaś muzą wyklucza zdanie wpierv egzaminów albo powiedzenie tego matce w taki sposób, by nie skończyło się to wielką kłótnią? - Amber wzdrygnęła się, słysząc, w jaki sposób babcia wypowiedziała słowo „muza”, mniej więcej tak, w jaki ludzie mówią: „domokrążni sprzedawcy plastikowych okien”. - To nie w twoim stylu, Amber, i z całą pewnością nie jest fair wobec twojej matki. Wiesz przecież, jak bardzo cię kocha.

Amber wiedziała i nie to chciała teraz usłyszeć.

- Posłuchaj, babciu, nie mówię ci tego po to, byś próbowała mnie przekonać do zmiany decyzji, ale byś miała oko na mamę. To oczywiste, że nie chce teraz ze mną rozmawiać.

- Nie sądzę, by tak właśnie było. Jestem przekonana, że dzwoni do ciebie dosłownie co godzinę - warknęła babcia.

Amber oblała się rumieńcem. Wiedziała, że na poczcie głosowej ma pewnie miliony wiadomości, ale nie chciała ich słuchać, nie chciała słyszeć niespokojnego, błagalnego głosu matki.

- Posłuchaj mnie, mówię jedynie, że możesz być dorosła, prowadzić własne życie i robić z miłością swego życia, co tylko chcesz, ale możesz to robić delikatnie, w taki sposób, by nie łamało to twej matce serca, Amber. I możesz także podejść do egzaminów. Przez całą szkołę przygotowywałaś się do nich. Czym jest jeszcze jeden miesiąc?

- Tak właśnie wszyscy mówią - odparła z wściekłością Amber. - To moje życie, to ja podejmuję decyzje. Nie to mi zawsze powtarzałyście z mamą? Bym była panią siebie, podejmowała własne decyzje, nie podążała za tłumem.

Wiedziała, że żadna z nich nie chciała, by te słowa i pomysły obróciły się przeciwko nim. Babcia westchnęła.

- Bez twojego ojca - zaczęła delikatnie - to był dla twojej matki bardzo trudny czas.

- Taa, no cóż, nie prosiłam jej o to, by dla mnie pogrzebała siebie - nie dawała za wygraną Amber. - To był jej wybór, babciu. Zbudowała swoje życie wokół mnie, ale ja nie mogę ponosić za to odpowiedzialności, więc nie próbuj wzbudzić we mnie wyrzutów sumienia, ponieważ ich nie mam.

To właśnie powiedział Karl: że nie powinna czuć się winna. Że będzie prowadzić własne życie, a jej matka powinna wziąć się w garść i zająć swoim.

- Amber, a może tu wpadniesz, aj a zadzwonię po Faye i razem porozmawiamy, i może jakoś to wszystko wyjaśnimy i...

- Nie - przerwała jej Amber, myśląc o Karlu i o tym, że nie może ryzykować. - To błąd, że do ciebie zadzwoniłam, babciu. Chciałam jedynie, byś zajrzała do mamy. Chciałam, byś dowiedziała się, co się stało, że się pokłóciłyśmy, ale to wszystko. Będę kończyć, dobrze?

- Proszę, zadzwoń do mamy - rzekła błagalnie babcia. - Czy ona w ogóle wie, gdzie jesteś? Gdybyś jej pozwoliła ze sobą porozmawiać, może byś zrozumiała. Musisz poznać jej wersję, Amber, obiecaj mi, że do niej zadzwonisz.

- Babciu, nie mogę.

- Proszę, Amber. Tak bardzo się starała dać ci wszystko, ponieważ nie miałaś ojca, jesteś jej winna szansę wytłumaczenia ci wszystkiego, tego, dlaczego była tak bardzo opiekuńcza...

- Pa, babciu - powiedziała Amber i rozłączyła się.

Była cała roztrzęsiona. O czym bez końca nawijała babcia? Pozwól swojej matce powiedzieć ci, powiedzieć co? Powiedzieć, jak upiec idealne babeczki, idealne naleśniki? Czego mama mogłaby ją nauczyć? Gdyby miała do powiedzenia Amber coś ważnego, z pewnością dawno by to zrobiła.

To wszystko było tylko wybiegiem, by ją zatrzymać, ale ona nie miała zamiaru zostać. Rozpoczęła nowe życie razem z Karlem. Starsi ludzie mieli obsesję na punkcie opowiadania o błędach, które popełnili. Przecież błędy trzeba popełniać samemu, czyż nie? Poza tym mama prawdopodobnie nigdy nie popełniła żadnego cholernego błędu poza tym, że była nadopiekuńczą matką z piekła rodem. Zawsze była Panią Idealną, no nie?

- Hej, mała, gdzie jesteś? - zawołał Karl.

- Tutaj - odparła Amber.

Karl przydreptał do kuchni, zaspany i taki przystojny.

- Miałam zamiar zrobić śniadanie - powiedziała Amber, próbując otrząsnąć się z tej odbytej przed chwilą koszmarnej rozmowy.

- Śniadanie, jestem głodny jak wilk - rzekł Karl. - Co zrobisz? - Usiadł na taborecie i popatrzył na nią wyczekująco.

- Nie wiem. - Szczyt jej możliwości kulinarnych to płatki albo tosty. W jej domu to mama była specjalistką od jajecznic. Amber zazgrzytała zębami. - Jajecznic? - zapytała pewnie.

- Jasne - odparł i przeciągnął się sennie.

Amber otworzyła lodówkę, gdzie znalazła jedno, jedyne jajko. Była pewna, że wczoraj wieczorem widziała ich więcej.

- Nie ma jajek - poinformowała go.

- Hej, a może wyjdziemy? - Karl wyciągnął rękę i przyciągnął Amber do siebie, tak że stała między jego nogami, on zaś obejmował ją w talii. - Albo możemy wrócić do łóżka, a wyjść za godzinę?

Nachyliła się ku niemu, rozkoszując się dotykiem jego skóry. To było o wiele, wiele lepsze niż siedzenie na dwóch historiach z rzędu.

- Fantastyczny pomysł - rzekła.

Grzecznie pożegnawszy się z Ritą, Faye kolejne pół godziny spędziła przy biurku. Pękała jej głowa. Jej córka wyprowadziła się z domu i nawet nie pofatygowała się, by jej powiedzieć, gdzie się teraz znajduje. To tak bardzo bolało.

Wyszła zza biurka i udała się do toalety. Damska toaleta w Little Island była przestronna i jasna, by bez problemu móc poprawić makijaż. Chlubiła się także niewielką ławką, na której można było usiąść podczas ważnego przeszukiwania torebek albo uprawiania ćwiczeń wiążących się z założeniem nowej pary rajstop.

- Pracowałam w zbyt wielu biurach, które miały koszarne ubikacje - oświadczyła Grace, kiedy po raz pierwszy oglądały ten budynek. - To jest firma przyjazna kobietom, więc miejmy taką właśnie toaletę!

Kiedy Faye weszła, jedna z kabin była zamknięta. Podeszła do umywalki i spryskała sobie twarz wodą. Miała w torebce tabletki przeciwbólowe, więc zaraz je zażyje. Choć prawdziwego bólu nie da się zmniejszyć za pomocą aspiryny.

Pomimo fantastycznego oświetlenia twarz, którą w lustrze widziała Faye, była poszarzała i zmęczona, z wielkimi workami pod oczami. Nawet jej skóra wyglądała szaro.

Drzwi kabiny otworzyły się.

- Witam ponownie.

Do diabła, to Rita, rewelacyjny doradca osobowy i reorganizatorka życia. Stała obok niej i wyglądała oszalamiają-

co. Rita umyła ręce i co zaskakujące, nie miała ze sobą magicznej kosmetyczki, by nałożyć pół kilo szminki na usta albo żelu na włosy. Rita wyglądała zadziwiająco dobrze i bez tego. Włosy miała ciemne, długie do ramion i błyszczące. Fryzura prosta, lecz twarzowa. Wyglądała na pewną siebie, zadowoloną i rzeczową.

Stojąca obok niej Faye czuła się niczym stracona dusza, trzymająca swój cały dobytek w wózku na zakupy.

- Witaj - odparła automatycznie, szukając w torebce aspiryny.

Rita przez chwilę nie odzywała się ani słowem. Przyglądała się jedynie odbiciu w lustrze Faye i myślała.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie - warknęła Faye. - To tylko ból głowy.

- Nie wyglądasz dobrze - powiedziała nieoczekiwanie Rita.

Faye zdumiona była tą szczerością. Sądziła, że na samej górze listy cech stylistów i doradców osobowych znajduje się fałszywa szczerość.

- Słuchaj, nic mi nie jest. Przechodzę w tej chwili mały osobisty kryzys - rzekła. - To wszystko.

Jej oczy zobaczyły w lustrze to, co widziała Rita - włosy wyglądające tak, jakby po wstaniu z łóżka w ogóle nie użyła grzebienia. Ściągnęła gumkę z kucyka, przeczesła włosy palcami, po czym ponownie je związała.

- Kiedyś byłam dokładnie taka sama jak ty, Faye - odezwała się nagle Rita. - Niewidzialna. Uważałam, że nikt mnie nie dostrzega i nawet mi się to podobało, ponieważ tak było prościej, bezpieczniej.

Ręce Faye znieruchomiały przy włosach.

- Nie pytam o to, co dzieje się w twoim życiu - kontynuowała Rita. - Mówię jedynie, że potrafię rozpoznać sygnały, jako że taka właśnie byłam ja. Niewidzialna i zboląta. Życie w taki sposób nie wychodzi na dobre.

- Grace cię do tego namówiła, prawda? - zapytała z wściekłością Faye.

- Do niczego mnie nie namawiała - odparła szczerze Rita. - Ja jedynie rozpoznaję w tobie coś, co kiedyś siedziało we mnie. Taką samą rozpacz. Ktoś pomógł mi ruszyć do przodu i tak właśnie zrobiłam. Chciałabym teraz pomóc tobie, ale sama musisz najpierw pogodzić się z tą myślą.

- No i co z tego, że nie obchodzą mnie ciuchy ani chodzenie do jakiegoś modnego fryzjera - oświadczyła ostrym tonem Faye. - Wielkie mi rzeczy, cholera. To wszystko się nie liczy.

- To nie twoje ubrania ani włosy mówią mi, że uważasz się za niewidzialną. To siedzi w twoich oczach. Większość ludzi nie widzi tego, jedynie kobieta, która też przez coś takiego przeszła.

Faye wpatrywała się w nią w milczeniu i z mocno bijącym sercem.

- Wiesz, wydaje mi się, że masz mylny obraz tego, czym się zajmuję - ciągnęła Rita. - Nie zjawiłam się tutaj po to, by zbić majątek na mówieniu kobietom, by zmieniły fryzurę, używały czerwonej szminki i nosiły buty na wysokim obcasie, a wtedy ich życie stanie się lepsze. Nie na tym to polega. Chodzi o to, bym przyjrzała się twojemu życiu i postarała się je zmienić, oczywiście na lepsze. O odzyskanie choć odrobiny władzy. Może i zarządzasz tą firmą razem z Grace, ale gdzieś po drodze utraciłaś część swej władzy. Nieważne, nie miałam zamiaru cię urazić, chciałam jedynie powiedzieć, że ja też taka byłam i dowiedziałam się, w jaki sposób mogę to zmienić. Obecnie, pomimo tych wszystkich złych rzeczy, które miały miejsce w moim życiu, a uwierz mi, było ich całkiem sporo, jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. I wcale nie ma to związku z jakimś mężczyzną, to tak na marginesie, Faye, wcale nie o to chodzi. Więc gdybyś miała kiedyś ochotę pogadać, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Inaczej ja poszukam ciebie. Pa.

Wyszła, pozostawiając po sobie jedynie zapach jaśminowo-waniliowych perfum. Faye opadła na ławkę, oszołomiona i rozgniewana. Jak ona śmiała?

A jednak jej słowa wracały do niej. Niewidzialna, zgadza się - w tym akurat Rita nie pomyliła się.

W przeszłości Faye bardzo starała się być niewidzialną, z właściwego powodu, i udało jej się. Ludzie jej nie zauważali. Widzieli człowieka interesu, nawet nie kobietę.

A dla kogo to robiła? Zawsze była przekonana, że dla Amber, ale teraz ona odeszła i Faye nagle wszystko zrozumiała.

Stojąc w łazience, Faye musiała stawić czoło jednej ze swych najbardziej niewygodnych prawd. Choć Rita powiedziała, że to nie mężczyzna sprawił, iż ponownie stała się silna, Faye uświadomiła sobie, że właśnie strach przed ponownym zaangażowaniem się w związek z mężczyzną był powodem, dla którego ona, Faye, uczyniła się niewidzialną. Przez całe lata powtarzała sobie, że mężczyźni nie są częścią życiowego planu jej i Amber, że mężczyźni jedynie wszystko komplikują, że to nie fair wobec dziecka przyprowadzać do domu facetów, ponieważ oni i tak nieuchronnie odejdą. I jak mogłaby znieść widok bólu na małej buźce Amber, zastanawiającej się, dokąd odszedł jej ostatni autorytet, któremu nauczyła się ufać.

Ale Faye wiedziała, że to nie dlatego trzymała się z dala od mężczyzn.

Po prostu już nigdy nie chciała przeżywać bólu związanego z byciem z mężczyzną - i jego utratą.

Gdy siedziała na małej ławeczce w damskiej toalecie, myśląc o przeszłości, ogarnęła ją nagła tęsknota. Amber może i nie potrzebuje w tej chwili swej matki, ale Faye z całą pewnością potrzebuje swojej.

Wzięła torebkę i pospiesznie wróciła do gabinetu. Chwyciwszy swój żakiet i telefon, zbiegła na dół, wołając przez ramię do Jane w recepcji:

- Jane, muszę pędzić. Nagła sprawa rodzinna. Powiedz Philippie, by zajęła się moimi telefonami.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytała Jane oddalających się pleców Faye.

- Nie, ale dzięki.

Drzwi otworzyły się od razu, gdy Faye wcisnęła dzwonek i nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, matka wzięła ją w ramiona.

- Wiem - powiedziała Josie.

- Naprawdę?

- Zadzwoiła jakiś czas temu.

- I co się dzieje? - Faye niemal jęknęła. - Jest bezpieczna, wraca do domu...?

- Nadal chce z nim wyjechać - odparła jej matka.

- Wejdz, porozmawiamy.

Kiedy podzieliły się już wszystkimi informacjami, matka i córka siedziały w milczeniu przy stole w kuchni.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała Josie.

- Mam zamiar jej poszukać - odparła z prostotą Faye.

- Znaleźć ją, powiedzieć prawdę, a co potem, to już zależy tylko od niej.

- Już dawno temu powinnaś jej była powiedzieć prawdę - oświadczyła matka, choć w jej głosie nie słychać było krytyki. To było jedynie stwierdzenie faktu. Josie zawsze powtarzała Faye, że powinna powiedzieć Amber prawdę. Nigdy nie chciała okłamywać wnuczki, choć dla dobra Faye właśnie tak czyniła.

- Jak czułaś się wtedy, kiedy marnowałam sobie życie i kiedy zrezygnowałam ze studiów? - zapytała Faye. Nie rozmawiały na ten temat od tak wielu lat, że niezbyt dobrze to pamiętała. Wiedziała, że jej matka robiła co mogła, by uświadomić Faye, iż spotyka się z ludźmi, którzy ją krzywdzą. Ale ona nie chciała jej słuchać; dokładnie tak jak teraz Amber.

- Czułam się tak, jakbym zawiodła jako matka - odparła Josie. - Moje przyjaciółki mówiły, że nie mogę żyć za ciebie, aleja wciąż myślałam, że gdybym była dobrą matką, to ty byłabyś w stanie zobaczyć, że ci ludzie nie są dla ciebie odpowiedni, i że może się to źle skończyć.

- Nie zawiodłaś - powiedziała stanowczo Faye, wstając, by usiąść obok matki. - To nie była twoja wina. Pragnęłam ekscytacji, dreszczyku i romansu, nie mogłaś mnie w żaden sposób powstrzymać.

- A ty nie mogłaś powstrzymać Amber - dodała Josie. Porównanie samo się nasunęło.

Ale pełna wyrzutów sumienia i pogardy dla samej siebie Faye i tak nie zgadzała się postrzegać tego w taki właśnie sposób.

- To coś innego. Ty zawsze byłaś ze mną szczerą, ostrzegałaś mnie przed różnymi rzeczami. Ale ja wiedziałam o sprawach, o których nie powiedziałam Amber, i okłamywałam ją. Gdybym była wobec niej bardziej otwarta, wtedy wiedziałyby, że mężczyźni tacy jak ten Karl potrafią tylko prawić piękne słówka... - Ella ochoczo nakreśliła bardzo niepochlebny obraz Karla. Wydawał się należeć do najgorszego typu mężczyzn: piękny na zewnątrz, tak naprawdę próżny i egoistyczny. Ludzie jego pokroju nigdy nie myśleli o innych.

- To wcale nie jest nic innego - wtrąciła Josie. - Wydaje się czymś gorszym, ponieważ jesteście ze sobą tak blisko.

Faye kiwnęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy. To właśnie było straszne: że ona i Amber potrafiły tak wiele razem przeżyć, a mimo to jej córka odeszła. Christie powiedziała coś podobnego: że właśnie z powodu ich bliskości Amber musiała to uczynić w taki sposób.

- Łączy was ogromna miłość i bliskość, zostawienie ciebie stało się niczym porzucenie kochanka: musiała to zrobić szybko, przecinając więzi, nim będzie miała okazję, by zmienić zdanie. Ma przecież tylko osiemnaście lat. To czas gorących uczuć, nieprawdaż?

Siedzącą w kuchni swej matki Faye ponownie zalała fala wdzięczności wobec Christie. Kojąca była myśl o Amber odchodzącej od niej w taki sposób. Choć wcale dzięki temu nie bolało mniej.

- Wiesz, że to nie była twoja wina, prawda? - zapytała teraz matkę. - Mam na myśli mnie.

- Teraz wiem. Długo obwinałam się za to i winiłam także moich rodziców. Ale obwinianie się nic nie daje. Nie możesz już zawsze się za wszystko biczować. I dotarło do mnie, że nie można składać każdego problemu pod drzwiami innych ludzi. Twój rodzice mogli się starać ile sił, ale przecież jesteś wolną istotą i kształtujesz siebie w sposób taki, jaki chcesz, i uczysz się na tym, co oni zrobili źle. Stan nauczył mnie tego

- dodała, uśmiechając się. - Nie twierdzą, że twój ojciec nie był wspaniałym człowiekiem, ale nie myślał w sposób taki jak Stan. On nie mówi wiele, ale kiedy już się odzywa, to jego słowa mają sens. Twierdzi, że można się zmieniać aż do samej śmierci, nie ma więc sensu winić ludzi, którzy zajmowali się formowaniem ciebie tylko do czasu, gdy opuściłaś dom.

- Ma rację - rzekła Faye - tyle że tłumaczy w ten sposób rodziców, którzy starają się formować aż za bardzo. Nie chciałam, by Amber miała moją przeszłość jako szablon. Pragnęłam zapewnić jej czysty start, by nie musiała się uczyć na moim fatalnym przykładzie. Nie wiem, dlaczego nigdy nie przyszło mi do głowy, że może się przeciwko temu zbuntować. To głupie z mojej strony. Jest w końcu moją córką.

- Gdybyś jej powiedziała, możliwe, że i tak by uciekła.

- Josie wzruszyła ramionami. - Kto to wie. Ale jeśli powiedzenie jej prawdy ma ci zapewnić lepszy sen, zrób to. Ja nie martwię się o Amber tak bardzo jak ty, skarbie. Mocno w nią wierzę. Dobrze ją wychowałam i mądra z niej dziewczyna. Nie zrobi niczego naprawdę głupiego, zobaczysz.

Ale Faye, która myślała o alkoholu i narkotykach, i o tym, jakie szkody potrafią uczynić zdrowemu rozsądkowi mądrej

dziewczyny, i o ludziach, którzy czerpią przyjemność z traktowania niewinności i dziewczęcych marzeń, niezmiennie martwiła się.

- Zobacz tylko, co stało się ze mną - rzekła.

Matka położyła rękę na dłoni Faye, a w jej oczach błyszczała duma.

- Tak - powiedziała. - Spójrz tylko na siebie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wiek to dziwna sprawa, pomyślała Christie. Kiedy ma się sześć lat, jedenastoletnie dziecko wydaje się być stworem z innej planety. A kiedy ma się sześćdziesiąt, te pięć lat nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

Pięć lat, dzielących ją i jej siostrę, Anę, jakoś się z czasem skróciło, tak że teraz mówiły o „ludziach w naszym wieku”.

Jednakże matczyne uczucie, jakie Christie żywiła wobec ^{Any} nigdy do końca nie zniknęło i zawsze starała się opiekować nią w sposób, w jaki czyniła to całe dekady temu w Kilshandrze, kiedy ich ojciec wpadał we wściekłość, a matka próbowała wszystko ignorować.

Dlatego właśnie tak bardzo ją bolały myśli o Careyu Wolenskym. Dlatego, że kiedy zjawił się w ich życiu, Christie w ogóle nie zatroszczyła się o swoją siostrę. I nie potrafiła sobie tego wybaczyć.

Odkąd zobaczyła jego nazwisko w gazecie, była w stanie myśleć jedynie o Careyu, dlatego właśnie czuła niepokój i wyrzuty sumienia, gdy Ana zadzwoniła do niej któregoś dnia i zapytała, czy nie mogłyby spotkać się popołudniu.

- Chcę porozmawiać o niespodziance urodzinowej Ricka. - Ana wypowiedziała te słowa bez tchu, tak jakby miała wielki sekret, którym pragnęła się podzielić. - W kawiarni na Summer Street o trzeciej? - zaproponowała.

Dziesięć po trzeciej obie siostry siedziały przy stoliku pod oknem, zaś przed nimi stała kawa i ciasto.

Przed kawiarnią jeden stolik zajmowały dziewczęta z szóstej klasy ze Świętej Urszuli, które uśmiechnęły się do Christie. Odpowiedziała im także uśmiechem, wyobrażając sobie, że przeklinają ją pod nosem, jako że bez wątpienia wybrały stolik na zewnątrz po to, by palić zakazane papierosy - palenie, gdy miało się na sobie szkolny mundur, należało do poważnych wykroczeń - a obecność podziwianej przez nie nauczycielki bardzo im w tym przeszkadzała. Były niczym rajskie ptaki w tych swoich szafirowych mundurkach, z długimi kolorowymi szalikami wokół młodzieńczych szyi i pięknymi, długimi, rozwiewanymi przez wiatr włosami. Wszystkie wyglądały na starsze niż w rzeczywistości. Była tam także Ella, sprawiająca wrażenie osowiałej bez Amber, z którą zawsze trzymały się razem. Gdzie była teraz Amber? I jak sobie z tym radziła biedna Faye?

Minęło kilka dni od wyprowadzki Amber i Christie wraz z Maggie co wieczór zaglądały do Faye, tak tylko, by pogadać i napić się herbaty. Jutro rano Faye wybierała się do USA, mimo że nie miała jakiegoś szczególnego punktu zaczepienia. Po poskładaniu razem wyrywkowych informacji Elli wiedziała jedynie, że zespół miała promować jakaś wytwórnia płytowa mieszcząca się w Nowym Jorku.

- To niewiele - zauważyła Maggie.

- Jeśli znajdę się w tym samym mieście, znajdę ich - rzekła Faye ze stanowczością w głosie.

Dobrze było widzieć, że Faye jakoś sobie radzi, ale Christie zaczynała się czuć jak oszustka, udzielając jej jakichkolwiek rad. Miała własną, wiszącą nad nią ciemną chmurę, i nie zrobiła nic, by się nią zająć. Nie ośmieliła się. Pragnęła jedynie, by w jej głowie znowu panował spokój. Być może już nigdy nie zazna spokoju, a może będzie musiała poczekać, aż ten cholerny Carey Wolensky zwinie swoją wystawę i wyjedzie z kraju.

- Strasznie mi się tu podoba - westchnęła Ana, mieszając radośnie cappuccino i oblizując łyżeczkę. - Jest tak do-

mowo. Bez trudu można sobie wyobrazić tego typu miejsce w Kilshandrze, gdzie wszyscy się znali. Summer Street jest super, jeśli chodzi o poczucie więzi społecznych i naprawdę przypomina mi dom.

Christie miała odmienne zdanie, lecz zachowała je dla siebie.

Różnica była taka, że nie znosiłaby ludzi w małej kawiarni, wiedzących wszystko o niej w miasteczku ich młodości, ponieważ wszyscy patrzyliby na Christie i Anę MacKenzie z litością. Ich ojciec nie ograniczał zapędów prześladowczych i okazywania paskudnego charakteru do własnego domu, lecz hojnie je wokół rozdzielał, tak więc ludzie wiedzieli, przez co muszą przechodzić dzieci od MacKenziech i biedna Maura.

- Wasz ojciec to nie jest łatwy człowiek. - To były najuprzejmiejsze słowa, jakie miały okazję o nim usłyszeć.

Dlatego też wizja picia kawy w miejscu publicznym, gdzie wszystkim było cię szkoda, nie należało do ulubionych zajęć Christie. Kawiarnia na Summer Street była schronieniem z wielu powodów i wiedziała, że jej zadowolenie z własnego życia oznacza, iż może to doceniać. Tutaj nikomu nie przyszłoby do głowy żałować Christie Devlin.

Jej myśli pomknęły ku Maggie Maguire, choć nie bardzo rozumiała dlaczego. Gdy Maggie była młodsza, nigdy nie była jedną z rozchichotanych uczennic wysiadujących przed tą kawiarnią, mimo że mieściła się tak blisko jej domu i była niemal częścią Świętej Urszuli. Co zniechęcało Maggie? Czy ona także nie chciała, by jej żałowano?

- Prawdę mówiąc, nie chcę rozmawiać o urodzinach Ricka. Mam ci coś do powiedzenia - oświadczyła Ana. - To tajemnica. Oszaleję, jeśli komuś o tym nie powiem.

Christie poczuła, jak ogarniają lodowaty chłód pomimo ciepła, jakie dawało wpadające przez okno słońce.

- Nie powiesz nikomu, nawet Jamesowi? Wiem, że mówisz mi wszystko, więc możesz obiecać?

- Obiecuję - odparła Christie z przerażeniem w sercu.

- Chodzi o Careya Wolenskyego. Wiesz, że przyjeżdża do miasta, mówiłam ci, pamiętasz? No więc skontaktowałam się z jego hotelem i zostawiłam dla niego wiadomość. To takie dziwne - kontynuowała wyraźnie zarumieniona Ana. - Dawny chłopak powracający do twego życia. Nie sądzę, by Rick miał coś przeciwko. Wie, że to wszystko należy do przeszłości i że wydarzyło się, zanim poznałam jego, więc nie jest tak, że on i Carey byli rywalami i w ogóle.

- Nie - przyznała automatycznie Christie. - To mogłoby być trudne dla niego.

- Cóż, mogłoby, no więc nic mu nie powiedziałam i czuję się z tym fatalnie, ale przynajmniej ja i Carey skończyliśmy ze sobą, zanim poznałam Ricka, więc nie musi się martwić tym, że żywię jakieś uczucia do Careya. Tej znajomości nie można uznać za niezakończoną.

Christie siedziała w bezruchu naprzeciwko ukochanej siostry i zbierało jej się na mdłości. To była kulminacja ogromnego, ciemnego skrzydła strachu, które czuła nad sobą od tego ranka pod koniec kwietnia, kiedy stłuczona filiżanka stanowiła sygnał, iż coś jest nie tak: to właśnie było nieszczęście, które ujrzała w przyszłości, swojej przyszłości.

- Poza tym Carey od tamtego czas miał całe tabuny kobiet. Śledziłam jego karierę, wiem, nie powinnam - kontynuowała zawstydzona Ana. - Ale tylko z ciekawości, naprawdę. Kocham Ricka. Mnie i Careyowi nigdy by nie wyszło. Teraz wiem, że nie byliśmy dla siebie odpowiedni. Był dla mnie za stary, zbyt wyrafinowany, za bardzo zwariowany na punkcie sztuki. Był znacznie bardziej w twoim typie. Przynajmniej potrafiliście rozmawiać ze sobą o sztuce. Ja nie odróżniałam Picassa od puszki zupy. Ale to interesujące, kiedy ktoś, w kimś było się kiedyś zakochanym, jest sławny i można śledzić jego losy. Oczywiście, że umawiał się z tymi wszystkimi młodszymi kobietami. Jak to jest, że mężczyźni tak robią?

Wyobrażasz sobie mnie z trzydziestolatkiem? Wszyscy padliby ze śmiechu, ale mężczyznom wolno to robić. Jest teraz żonaty z pewną Polką, długie ciemne włosy i skośne oczy, absolutnie zachwycająca, znasz ten typ.

Ana uniosła nóż, by przyjrzeć się uważnie swemu odbiciu, mrużąc oczy, tak że zmarszczki stały się bardziej widoczne. Typ urody odziedziczyła po rodzinie ojca: jasne włosy, jasne oczy i bojąca się słońca cera. Christie była bardziej podobna do matki, a zwłaszcza do babci, która zmarła przed jej narodzinami - kobiety z delikatnym koścem odziedziczonym po bretońskich przodkach i skośnymi ciemnymi oczami.

- Botox pomógłby? - westchnęła Ana. - Mam wszędzie bruzdy głębokie niczym okopy i mam gdzieś to, co się mówi o wcieraniu kremów i serum. Robiłam wszystko, co powinnam. Oczyszczałam, tonizowałam, nawilżałam i serdecznym palcem wklepywałam krem pod oczy, nigdy w życiu nie poszłam spać w makijażu i popatrz tylko na mnie: jestem jak shar pei w ludzkiej skórze.

Pomimo ściskania w żołądku Christie roześmiała się.

- Wcale nie wyglądasz jak shar pei - oświadczyła. - Choć muszę przyznać, że są urocze. Chętnie bym sobie sprawiła takiego psiaka, ale dziewczynki by wtedy oszalały.

Aksamitne, mocno pomarszczone pieski chińskich cesarzy były prześliczne, ale Christie wiedziała, że Tilly i Rocket byłyby zdruzgotane, gdyby jakiś inny pies wkroczył do ich królestwa. Psy były jak dzieci: miały silnie rozwinięty instynkt terytorialny.

- Nadal jesteś urocza, ty głuptasie - powiedziała Christie, zapominając o swym szoku i gromiąc siostrę tak, jak to czyniła od zawsze. Ana szła przez życie, uważając, że jest za gruba, za jasna, że ma słabe kostki, i to Christie była osobą, która podnosiła ją na duchu, mówiąc, że niepotrzebnie się zamartwia.

- Źle zrobiłam, że zadzwoniłam do jego hotelu? - kontynuowała niespokojnie Ana.

W głowie Christie tańczyła myśl, że jest największą hi-pokrytką na świecie.

- Możliwe, że w ogóle do ciebie nie oddzwoni - odparła z nadzieją. Błagam, błagam, niech Carey nie pamięta sióstr MacKenzie.

- No i w tym właśnie tkwi sedno całej sprawy. - Ana zagryzła wargę. - Zadzwoiła do mnie jego asystentka i powiedziała, że Carey bardzo chciałby się spotkać i wspominać dawne czasy, tyle że jego grafik nie jest jeszcze do końca ułożony i że zadzwoni do mnie jeszcze raz. Ale pomyśl tylko, bardzo chciałby się spotkać. Jednak nie zapomniał.

Kiedy Ana pojechała do domu, Christie usiadła w ogrodzie z dużym kieliszkiem wina. James byłby zdumiony widząc, że jego żona o tej porze pije wino. Powiedziała mu, że po prostu zachciało jej się przeżyć chwilę hedonistycznej przyjemności, siedząc w zalanym słońcem ogrodzie ze schłodzonym chablis. Co było wierutnym kłamstwem. Christie pragnęła po prostu przytłumić kłujący ją od wewnątrz strach. Carey Wolensky wrócił do jej życia. Wszystkie te lata, gdy próbowała zapomnieć zarówno o ich sekrecie, jak i poczuciu winy cofnęły się z taką łatwością, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj.

Miesiące poprzedzające trzydzieste piąte urodziny Christie były bardzo pracowite. Zaczęła pracować na pół etatu w liceum dla dziewcząt imienia Świętej Urszuli jako nauczycielka plastyki i aby zarobić dodatkowe pieniądze, malowała botaniczne akwarele, które znajomy dealer sprzedawał w weekendy na rynku. James także dużo pracował nad poważnym projektem związanym z ochroną środowiska, co oznaczało, że siedział do późna w biurze, a kiedy wracał do domu, rozmawiali ze sobą monosylabami.

Uwielbiała Ethana i Shane'a, kochała każdy moment ich zaganianych dni i czasami czuła się przytłoczona miłością do

swych dzieci: dwóch małych chłopców, którzy wszystko robili z pasją, bez względu na to czy była to jazda na trójkołowym rowerku po ogrodzie, czy walka żołnierzyków na śmierć i życie.

- To przerażające, tak bardzo ich kochać - rzekła pewnego dnia podczas rozmowy telefonicznej z Aną. - Kiedy czytam w gazecie o jakiejś katastrofie albo wypadku, myślę zaraz, co bym zrobiła, gdyby coś im się stało. Myślenie o czymś takim sprawia fizyczny ból.

Ana, która pracowała w administracji szpitala i przeżyła serię związków z zapracowanymi lekarzami nie mającymi czasu, by znaleźć sobie dziewczynę poza pracą, powiedziała, że chciałaby wiedzieć, co Christie ma na myśli.

- Nigdy nie znajdę mężczyzny, z którym związę się na stałe i będę mieć dzieci - oświadczyła posepnie. - Zrozumiałam to pewnego wieczoru: przez ostatnie dwa lata nie spotykałam się z nikim dłużej niż trzy miesiące. Chyba mam przyklejoną do czoła kartkę z napisem: „maksimum dziewięćdziesiąt dni”. Trzy miesiące, bach, i znikają. Mam już dość wysłuchiwania, że „jesteś wspaniałą kobietą, ale...” Zastrzelę następnego, który mi powie „ale”. I skończyłam z lekarzami. Nigdy więcej. Muszę wychodzić i poznawać różnych ludzi.

Christie ogarnęły wyrzuty sumienia z powodu tego, że jest taka nieczuła i przypomina Anie, która miała silnie rozwinięty instynkt macierzyński, iż wciąż jest bezdzielna, a na horyzoncie nie widać żadnego potencjalnego tatusia. To wina Jamesa, pomyślała z irytacją. Gdyby nie pochłaniała go tak bardzo praca, to z nim mogłaby porozmawiać o swej miłości do chłopców, zamiast obarczać tym biedną Anę. Jaki jest sens być małżeństwem, skoro rozmowy ograniczają się do rywalizacji o palmę pierwszeństwa w zmęczeniu:

- Jestem zmęczona.

- Nie, ja bardziej.

- Oczywiście, że kogoś poznasz - rzekła szybko do siostry. - Jesteś śliczna, Ano, twój czas nadejdzie, zobaczysz. Do

tej pory umawiałaś się po prostu z niewłaściwymi mężczyznami. Wyjdź z domu i poznaj innych ludzi, chodź na wystawy, prelekcje, przyjęcia. Dobrze się baw i nie wypatruj mężczyzny. Pojawi się wtedy, kiedy najmniej się tego będziesz spodziewać.

Jak bardzo miała żałować tej rady.

Dzień przed swymi trzydziestymi piątymi urodzinami Christie oświadczyła mężowi, że wybierają się do galerii, by poznać najnowszego chłopaka Any - polskiego malarza, który był od niej sporo starszy i wyglądało na to, że to kolejny facet z grupy „jesteś wspaniałą kobietą, ale...”, a potem na kolację, by świętować jej urodziny.

- Przepraszam, zapomniałem, by coś dla ciebie zorganizować, Christie
- powiedział przepraszająco James. - Co byś chciała?

- Męża?

- Christie, nie bądź taką zołą.

- Nie jestem. Jestem jedynie szczerą. Chłopcy i ja w ogóle cię już nie widzimy, James. Masz obsesję na punkcie tego cholernego projektu. Ja gotuję, sprzątam, pracuję i opiekuję się naszymi synami i mogę chyba oczekiwać, że nie zapomnisz mi kupić prezentu urodzinowego. To żadna filozofia. Nawet kartka byłaby mile widziana. Założę się, że kartki także nie masz?

- Mógłbym zrobić - rzekł z nadzieją.

- Rysowaniem niczego nie zmienisz - powiedziała zraniona tak, że nie da się tego opisać. Nawet kartki. Było jednak tak, jak w małżeństwie rodziców. Chyba oszalała, wychodząc za męża. Powinna była po prostu mieć dzieci i żyć w pojedynkę. Mężczyźni i kobiety kompletnie nie nadawali się do tego, by być z sobą na zawsze. To syndrom myśliwego zdobywcy: mężczyźni w głębi duszy to wojownicy, lepiej przystosowani do wólczy, gdy tymczasem kobiety były lepsze w opiece nad dziećmi i toczeniu własnych batalii.

Znajdowali się w autobusie wiozącym ich z Summer Street do miasta i następne dziesięć minut upłynęło im w milczeniu. Przez cały tydzień Christie była dziwnie wytrącona z równowagi, co James składał na karb zbliżających się urodzin i znalezienia się bliżej czterdziestki niż trzydziestki. Ale to nie to. Christie wiedziała, że chodzi o coś innego.

Wybierali się na urodzinową kolację, ale najpierw mieli wstąpić do Galerii Bamboo, by poznać nowego mężczyznę w życiu Any, mężczyznę, któremu Christie była przeciwna, nie wiedząc dokładnie dlaczego.

- No więc - zaczął James, pragnąc zakończyć tę ich prywatną zimną wojnę - opowiedz mi o tym nowym koleśku Any.

Christie, która miała wielu przyjaciół w świecie sztuki, wywiedziała się, że Carey Wolensky to czarujący i niesamowicie seksowny geniusz ze świetlaną przyszłością i mnóstwem zadurzonych, porzuconych kobiet w przeszłości.

- Wygląda na to, że jest koszmarny - rzekła do Jamesa. - Im bardziej utalentowani, tym bardziej szaleni.

- Ty jesteś artystką, a nie jesteś szalona - stwierdził spokojnie James.

- Jestem jedną z tych praktycznych, a to rzadki rodzaj w świecie sztuki. Poza tym nie bardzo byłabym w stanie wyżyć z malarstwa, prawda? Brakuje mi genu szaleństwa. Dzięki Bogu za zawód nauczyciela.

- Może jest równie normalny jak ty i ja, i okaże się, że to facet stworzony dla Any.

- Wątpię. Jeśli skrzywdzi Anę, obleję terpentyną wszystkie jego płótna, przysięgam - dodała ponuro. Przez całe życie chroniła Anę i zamierzała ochronić ją także przed tym szaleńcem, nawet gdyby miało to być ostatnie, co zrobi w życiu.

Wieści o sławie Careya Wolenskyego musiały się roznieść, ponieważ przed wejściem do Galerii Bamboo były tłumy, zaś z samej galerii wychodzili ludzie z katalogami w rękach i ze słowami: „wspaniale”, „niesamowite” i „taki talent!”.

Dołączyli do tłumu i wcisnęli się w końcu do środka, gdzie ze ścian wpatrywały się w nich mroczne i złowieszcze dzieła Wolenskyego. Christie kochała sztukę we wszystkich jej formach, ale nigdy nie była fanką mrocznych, abstrakcyjnych prac tego typu. Te olejne obrazy namalowane mistrzowskimi pociągnięciami pędzla były niczym uchwycone na płótnach tornada, pełne energii i mocy, i nieskończenie alarmujące. W kolekcji znajdowało się kilka portretów, ale przedstawieni na nich ludzie byli zimni, surowi i kościści, a nie zaokrągleni i pełni ciepła jak uwielbiane przez Christie kobiety Gauguina.

Ale najwyraźniej była jedyną osobą, której te obrazy nie spodobały się. Do wielu ram przyczepiono czerwone naklejki z napisem „Sprzedane” i było jasne, że Wolensky nie musiałby uczyć w Świętej Urszuli, by mieć z czego płacić czynsz.

Wszystko było nie tak. Ten człowiek z mrocznymi, złowrogimi obrazami nie był mężczyzną odpowiednim dla jej siostry. Ana nic a nic nie wiedziała o sztuce i nie było w niej ani krzty pretensjonalności.

Mężczyzna, który namalował te obrazy, był gwałtowny i lubił sprawować kontrolę. Będzie musiała ostrzec przed nim Anę. Christie nie chciała, by jej siostra związała się z kimś pokroju ich ojca.

- A więc przyszliście! I wyglądasz wspaniale, jubilatko! oświadczyła Ana, podziwiając siostrę.

Na cześć swej urodzinowej kolacji Christie zostawiła włosy rozpuszczone, nawinąwszy je wcześniej na papiloty, więc teraz opadały jej falami na ramiona, błyszcząc na tle aksamitnej śliwkowej sukni bez pleców, opinającej jej wysokie, kobiece ciało.

- Poważnie, w ogóle nie wyglądasz na czterdziestkę przekomarzała się Ana, a Christie odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła szczerym, niskim śmiechem.

Kiedy ponownie spojrzała na Anę, obok niej stał jakiś mężczyzna i Christie poczuła coś, czego chyba jeszcze nigdy nie doznała: przebłysk i uczucie, że to osoba, którą znała przez całe życie.

Carey Wolensky nie był obrazem, pomyślała sucho Christie, ale emanowała z niego taka sama pasja i temperament, jak z jego prac. Christie była wysoka, ale on był co najmniej piętnaście centymetrów wyższy od niej, szczupły, miał dość niesforne ciemne włosy i głęboko osadzone oczy drapieżnika, wpatrujące się w nią uważnie znad złamanego nosa boksera. Wyglądał tak, jakby pragnął smakować każde uczucie, dotykać każdej sekundy życia, żeby go przypadkiem nic nie ominęło. Wokół nich tłoczyło się wielu ludzi, a jednak to Carey Wolensky miał tę rzadką zdolność skupiania na sobie wszystkich spojrzeń.

- Miło cię poznać - rzekł James.

Carey kiwnął głową i uśmiechnął się. Posępność zniknęła z jego twarzy.

Podchodziło wielu ludzi, mówiąc, jak bardzo podobają im się obrazy, a przyjaciółka Any, Chlor, oznajmiła, że właściciel galerii urządza wielkie przyjęcie w swoim domu, „rezydencji na Haddington Road z basenem w piwnicy!” i że wszyscy są zaproszeni.

- My wybieramy się na kolację - powiedziała głośno Christie. - Nie możemy iść. - Nie wiedziała dlaczego, ale wiedziała, że pozostanie tutaj było błędem.

- Przyjęcie to właśnie to, czego nam trzeba - rzeki James. - Szalona impreza z głośną muzyką, byś przestała się smucić tym, że kończysz trzydzieści pięć lat.

- Wcale się nie smucę - upierała się Christie. - Po prostu nie chcę tam iść.

- Skoro Christie nie chce iść, to nie musi - rozległ się głos. To Carey Wolensky odezwał się po raz pierwszy i pomyślała, że jego akcent przypomina ten, który miała Lenka,

głęboki pomruk przeciąganych sylab. To był głos przyzwyczajony do ostrego zgrzytu polskich spółgłosek, który mruczał przy zetknięciu z miękkością jej języka, czyniąc go językiem miłości.

Wpatrywali się w siebie, nie zważając na innych. Christie była w stanie od razu narysować jego twarz, tak dobrze ją знаła. Przyglądał jej się, jakby on także pragnął mieć w dłoni kawałek węgla, by móc ją naszkicować, a potem nic, by dotknąć konturów jej twarzy, potem przesunąć dłoń w dół, rozpiąć sukienkę, by móc pieścić ciało pod nią...

- Jest cudowny, prawda? - westchnęła Ana, biorąc Christie pod ramię.
- Myślę, że to ten jedyny - wyszeptała do jej ucha.

Carey nadal nie odrywał od niej wzroku i Christie wiedziała, że musi ona przerwać ten kontakt wzrokowy, inaczej wszyscy wokół zobaczą, że Carey Wolensky i Christie Devlin czują do siebie tak wielki pociąg fizyczny, że mało brakuje, by całe to miejsce stanęło w płomieniach.

- Wolensky, wspaniała wystawa. - Dobrze ubrana mężczyzna z cygarem stanął między nimi i czar prysł.

Bogaty kolekcjoner, wywnioskowała Christie, dokładnie taka osoba, która mogła przykuć uwagę Wolensky'ego. Bogaci kolekcjonerzy oznaczali ciężkie pieniądze, a tylko najbardziej zieloni artyści nie wiedzieli, że oficjalnym językiem sztuki była twarda waluta.

Christie cofnęła się o krok i odetchnęła głęboko. Była zameżna. To był chłopak jej siostry, mężczyzna jej ukochanej Any. Nie będzie, nie może być między nimi żadnego pociągu.

- Oprowadzić was po wystawie? - zapytała Ana.

- Bardzo proszę - odparła Christie. Przechadzała się po galerii z Jamesem po jednej stronie,

Aną po drugiej. Ana objaśniała, jak nazywa się każdy obraz, a James trzymał się z tyłu i co chwila unosił brwi. Normalnie Christie przekomarzałyby się z nim za każdym razem, gdy to

czynił, szepcząc mu do ucha, że jest filistrem i że jedyny obraz, jaki mu się naprawdę podoba, to ten, na którym tenisistka drapie się po swym pozbawionym majtek tyłku. Na co James uśmiechałby się szeroko i mówił, że nie, że najbardziej lubi obraz z psami grającymi w pokera.

Tym razem ignorancja Jamesa drażniła Christie. Czy on nie widział, jak bardzo niesamowite są te obrazy, nie widział energii i ognia, którymi wprost emanują?

Christie ani razu nie obejrzała się na Wolensky'ego, ale czuła na sobie jego spojrzenie, wyczuwała intensywność jego myśli skierowanych ku niej. Robiła wszystko to, co należało robić, wiedząc, że jest się obserwowanym: prostowała się, poruszała się z jeszcze większą gracją, uśmiechała się więcej, pragnąc wydać mu się jeszcze piękniejsza, choć czyniąc to wszystko, wiedziała, że nie powinna.

Udali się na przyjęcie na Haddington Road.

- Zabawimy się trochę - powiedział James. - Mówiliśmy, że będziemy w domu przed dwunastą, a jest dopiero wpół do dziesiątej. Po drodze możemy zadzwonić do Fiony, by powiedzieć, że nie wybieramy się do restauracji, ale że nie wrócimy też zbyt późno.

Fiona, która opiekowała się dzisiaj ich dziećmi, była studentką mieszkającą z rodzicami na Summer Street. Jej matka była pielęgniarką, dzięki czemu Christie miała spokojną głowę, że gdyby coś rzeczywiście się stało, matka Fiony w mgnieniu oka zjawi się pod numerem trzydzieści cztery, uzbrojona w całą swoją medyczną wiedzę.

- Nie wiem... - zaczęła Christie, czując dziwne rozdrażnienie.

- Przestań być taką cierpiętnicą! - wybuchnął James. - Wściekasz się, że nie zorganizowałem nic z okazji twoich urodzin, a teraz, gdy mamy okazję iść na przyjęcie i trochę się zabawić, ty nie wiesz, czy chcesz tam iść! Sama nie wiesz, czego chcesz.

Być może gdyby się wtedy nie pokłócili, być może gdyby Christie od tak dawna nie czuła się taka samotna i zaniedbywana, i być może gdyby nie czuła czystego podziwu dla niesamowitych obrazów Wolensky'ego, nic by się nie wydarzyło.

Dom na Haddington Road był dużą rezydencją w stylu wiktoriańskim z jasnymi drewnianymi podłogami i równie jasnymi ścianami, idealną do prezentowania sztuki i zupełnie nieodpowiednią na mocno zakrapianą alkoholem imprezę. Christie czuła się stara w towarzystwie przyjaciół Any, którzy szybko namierzyli sprzęt grający i stos płyt i zorganizowali naprędce dyskotekę. Ana i grupa jej koleżanek zaczęły tańczyć.

James prawie w ogóle się do niej nie odzywał i ulokował się na szerokim parapecie razem z mężczyzną, który okazał się dawnym znajomym jego brata.

Christie czuła się opuszczona i nieszczęśliwa, dopóki ktoś nie wziął ją za rękę i nie wyprowadził z kuchni do niewielkiego korytarza, a potem trzy piętra w górę na wielkie poddasze obwieszane obrazami.

- Tu właśnie trzyma to, co najlepsze - powiedział Carey, nie puszczając jej ręki. - Obrazy, które są naprawdę cenne. Ma dwa moje.

Byli sami, stali tuż obok siebie, i choć w jej głowie wszystko wołało, że to niewłaściwe, dusza przekrzykiwała rozum, twierdząc, że wcale nie.

Uwielbiała Anę i uwielbiała Jamesa. To nie powinno się dziać, musiała się stąd wydostać. A jednak czuła się tak, jakby miała umrzeć, jeśli Carey nie odwróci jej ku sobie, weźmie w ramiona i wślizgnie się do jej duszy i ciała.

- Ty także to czujesz - rzekł miękko Carey. Patrzył teraz na jej dłoń, przyglądając jej się uważnie, dotykając jej wnętrza, jakby dzięki liniom mógł zobaczyć jej całe życie. - To, co jest między nami. Czujesz to, wiem.

- Nie czuję - skłamała. - Jestem zamężna. - Jak gdyby to było talizmanem, który mogła unieść do góry jak krzyż przed Drakulą.

- No więc - powiedział, nadal patrząc na jej dłoń, uwięzioną między jego dwoma - małżeństwo odrywa myśli od ciała, tak?

- W przypadku katolików tak - odparła Christie, próbując zażartować. - To się dzieje podczas ceremonii. Wyrzekanie się wszystkich innych. - Ze wstydem nie mogła sobie przypomnieć pozostałej części przysięgi.

- Te zasady wymyślają mężczyźni, którym nie wolno mieć kobiet - mruknął Carey. - Nie można od nich oczekiwać, by zrozumieli, że takich zasad nie da się zawsze przestrzegać.

- Ja w nie wierzę - odparła Christie. - Kocham mojego męża.

To była prawda, szczerza prawda. Ale i tak czuła się wstrząśnięta. No bo skoro rzeczywiście szczerze kochała Jamesa, to jak mogła czuć taki szalony pociąg do tego mężczyzny? Gdyby wykonał choć jeden ruch, zaoferowałaby mu siebie tutaj, na podłodze, w domu pełnym ludzi.

-Ach.

Puścił jej rękę i Christie poczuła się osamotniona. Nie drażniła się z nim. Wierzyła w każde wypowiedane przez siebie słowo, ale jego dotyk był taki czuły.

- Pozwolę ci odejść - rzekł - ale czy mogę najpierw dotknąć twej twarzy, bym mógł ją zapamiętać?

Jej oczy, błyszczące z podekscytowania, musiały wyrazić zgodę, ponieważ Carey stanął w odległości zaledwie kilku centymetrów od niej i ujął jej twarz w obie dłonie, przesuwając kciukami po jej wysokich kościach policzkowych, wzdłuż brody i po miękkości ust.

Kiedy jego kciuk masował jej dolną wargę, wślizgując się do zakamarków jej ust, nie mogła się powstrzymać, by go lekko nie ugryźć.

Uważaj, mówił jej instynkt, to nie zabawa.

- A jednak nie jednorożec, lecz lwica - powiedział. Odsunęła się od niego.

- Zameżna lwica - przypomniała mu. - Muszę iść. Miło było pana poznać, panie Wolensky.

- To wszystko? - zawołał za nią, gdy niemal zbiegała ze schodów.

- Tak! - odkrzyknęła przez ramię.

W kuchni nalala sobie do szklanki zimną wodę i wypila ją szybko, mając nadzieję, że ugasi ona płomień jej policzków i szyi.

Wróciła do głównej części domu, by poszukać Jamesa. Musieli iść. Nadal siedział na parapecie, śmiejąc się. Christie przyglądała się mężczyźnie, obok którego spała w łóżku; mężczyźnie, który trzymał ją za rękę, gdy rodziła dwoje dzieci; mężczyźnie, którego kochała. A jednak twarz Jamesa w jej głowie zasłaniana była ciemną, mroczną twarzą Careya Wolensky'ego, który uosabiał sobą wszystko to, o czym marzyła jako młoda dziewczyna, i który wkroczył do jej życia, kiedy już było kompletne. Za późno.

W taksówce w drodze do domu mocno ścisnęła dłoń Jamesa. Wyrzuci Careya Wolensky'ego ze swych myśli. Tu był mężczyzna, którego kochała, ojciec jej dzieci.

James był wykończony i poszedł do łóżka zaraz po tym, jak odprowadził Fionę do domu. Christie zajęła się szorowaniem płytek w kuchni małą szczotką. Upiekła ulubioną szarlotkę Jamesa, sumiennie i uważnie. Zazwyczaj wrzucała szybko wszystkie składniki, ale dzisiejszej nocy trzymała się ściśle przepisu tak, jakby był świętym Graalem. Wyrzuci Careya ze swych myśli.

Na suszarce do bielizny wisały małe spodnie Ethana i Shane'a, więc je wyprasowała. Normalnie składała je jedynie starannie, nie zwracając sobie głowy prasowaniem rzeczy, które po godzinie i tak będą brudne.

Nie była w stanie przestać: bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła, by Carey trzymał ją w ramionach, by zdjął z niej ubrania, dotykał jej piersi, pochylał głowę, by je całować, pragnęła czuć jego ciało na swoim ciele, w sobie.

Niczym magia, która przychodziła do jej myśli nieproszona i mówiła o przyszłości, to pragnienie było zbyt przemożne, by je od siebie odepchnąć.

Christie nie potrafiła oprzeć się Careyowi Wolensky'emu w takim samym stopniu, w jakim nie potrafiła powstrzymać swych myśli przed widzeniem tego, co może się wydarzyć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Minęło pięć dni, odkąd Amber wyprowadziła się z domu. Faye i Maggie siedziały w ogrodzie, słuchając wyjątkowego głosu Julie London, opowiadającej na cały regulator wszystkim, jak to wypłakiwała sobie oczy, a teraz kolej na niego.

Na stoliku między nimi stała butelka różowego wina i wielkie pudełko czekoladek Ferrero Rocher, do połowy już puste, oraz mnóstwo złotych papierków po czekoladkach. Christie mówiła, że zajrzy, nie pojawiła się jednak.

Nazajutrz Faye wylatywała do Stanów, by odnaleźć Amber, i nie mogła się już tego doczekać.

- Mam ściszyć muzykę? - zapytała Maggie. - Żeby sąsiedzi się nie wkurzyli.

Najbliższym sąsiadem Faye był gderliwy mężczyzna, który nie miał zwierząt, żony, dzieci i poczucia humoru - a przynajmniej tak zawsze mówiła Amber. Faye zawsze ją wtedy uciszała:

- Bo jeszcze usłyszysz!

- Pieprzyć sąsiadów - mruknęła Faye. - Jeśli pan Dork będzie miał jakiś problem, może przyjść i powiedzieć mi to prosto w twarz.

- Mnie to odpowiada - rzekła Maggie. Widać było, że Faye szuka zaczepki.

Od odejścia Amber sprawiała wrażenie pokonanej i smutnej. Dzisiaj coś się w niej zmieniło i przepelniała ją szalejąca energia i wściekłość.

Maggie podejrzewała, że przechodzi przez kolejne etapy żalu: było już niedowierzenie, rozpacz, które przerodziły się z kolei w gniew.

Ona sama przez coś takiego przeszła.

- Mnie pomagają ćwiczenia fizyczne - rzekła niepytana. - Chodzę na pilates, gdy... przepraszam - dodała. - To bardzo nudne, kiedy ludzie przez cały czas udzielają ci rad, no nie? - Żałowała, że nie ma z nimi Christie. Czuła się wyjątkowo niezdolna do powiedzenia czegokolwiek użytecznego. Jej chłopak od lat ją zdradzał, a ona nie miała o tym najmniejszego pojęcia, więc zarówno jej zdolność obserwacji, jak i kwalifikacje redaktorki rubryki porad osobistych mogły budzić olbrzymie wątpliwości.

Faye obdarzyła ją szczerym, ciepłym uśmiechem.

- Dzięki - rzekła. - Naprawdę to doceniam. Wszyscy chcą mi mówić, co robić. - Wszyscy to Grace, której powiedziała o zniknięciu Amber i która pełna była propozycji odnośnie do tego, jakie kroki powinna przedsięwziąć Faye. - Grace wbija mi do głowy, że mogę na nią liczyć, gdybym czegoś potrzebowała, i że Amber i tak w końcu wyprowadziłaby się z domu, no i przecież we wszystkich rodzinach zdarzają się kłótnie, no nie? Stara się pomóc, ale ona tego nie rozumie. Nie ma dzieci... Cóż, może to nie fair - poprawiła się Faye. - Nie trzeba mieć dzieci, by to rozumieć, no i opowiedziałam jej tylko część historii. Ja i te moje tajemnice. Być może już wiele lat temu powinnam była zachowywać się normalnie i powiedzieć jej prawdę. Zawodowo wiele razem przeszliśmy, więc można powiedzieć, że dobrze się znamy. Ale na początku za bardzo się wstydziłam, sądziłam, że będzie patrzeć na mnie z góry. Grace jest taka zorganizowana, że nie byłam sobie w stanie wyobrazić, iż mogłaby zrobić coś, czego musiałaby się potem wstydzić. A potem upłynęło zbyt dużo czasu, bym mogła nagle oświadczyć: „Hej, Grace, właściwie to nie jestem wdową, a tylko tak mówię”.

- Kiedy się czegoś wstydzi, łatwo przekształcić to w wielką tajemnicę, której nie śmie się nikomu zdradzić - stwierdziła Maggie, myśląc o własnej przeszłości.

Faye wyglądała teraz na zainteresowaną, więc Maggie musiała pociągnąć to dalej.

- Mój problem był taki, że kiedy coś szło nie tak, wydawało mi się, że nie mogę zwierzyć się rodzicom - rzekła zdumiona własną odwagą. Nikomu do tej pory tego nie powiedziała.

- Masz na myśli Greya? - Faye odczuwała konsternację. Przecież Maggie mówiła, że jej rodzice wiedzą o ich rozstaniu, choć nie o tym, że Grey ją zdradził.

- Nie, czasy wcześniejsze.

- Co...? - zaczęła Faye i urwała.

Oczy Maggie były pełne łez. Czegokolwiek dotyczyła jej wielka tajemnica, była zbyt bolesna, by jej dotykać.

- No więc wracając do tego twojego zdradzieckiego faceta - rzekła stanowczo Faye, zmieniając temat. - Co ostatnio zapowiedział twój tata, że mu zrobi?

Wbrew sobie Maggie roześmiała się.

- Chirurgia nie ma na to jeszcze nazwy.

- Ale wykonuje się to bez znieczulenia?

- Za pomocą dwóch cegieł i zardzewiałej żyłki - odparła Maggie, po czym westchnęła. - Biedny tata wbił sobie do głowy, że zostawiłam Greya dlatego, że nie zanosilo się na to, byśmy wzięli ślub. Mówi, że Grey to drań, który uważał się za zbyt dobrego, by po pięciu latach włożyć obrączkę na palec jego córki.

- To bardzo ojcowskie przekonanie - przyznała Faye. - Ojciec Amber miał szczęście, że mój biedny tato nie dożył czasów, gdy zaczęłam pakować się w kłopoty z facetami. Ale to, co ci się przytrafiło, było raczej nieciekawe.

- Prawdę mówiąc, nie wydajesz się zbyt tym zaszokowana - stwierdziła ze zdumieniem Maggie. - Nie znaczy, bym

rozpowiadała tę nowinę na prawo i lewo, ale jak na razie wszyscy, którym powiedziałam, co zrobił Grey, są ogłuszeni.

- Wszyscy oni pewnie żyją pod kloszem - uśmiechnęła się szeroko Faye. - Słyszałam o facetach robiących znacznie gorsze rzeczy, a twój po wszystkim bądź co bądź przeprosił, choć wiem, że nie w tym rzecz. Mieszkaliście razem, był twoim partnerem i jego postępowanie jest niedopuszczalne. Mam nadzieję, że nie przyjmujesz go z powrotem.

- Chciałam - przyznała Maggie. - Żalotne, prawda? Myślałam, że jest dla mnie właściwym mężczyzną. Kochałam jego i nasze wspólne życie.

- Nie spodobało ci się jedynie - przerwała jej Faye - że wróciwszy do domu, ujrzałaś, jak posuwa na waszym łóżku jakąś blond cizję.

- Nie spodobało - zgodziła się Maggie. - To jakoś tak wszystko niszczy.

- Musisz go więc rzucić i zacząć od nowa.

- Oczywiście, że mam zamiar go rzucić.

Odkąd Shona powiedziała jej o innych kobietach Greya, myślała praktycznie tylko i wyłącznie o tym. Ta wiadomość sprawiła, że czuła się tak straszliwie upokorzona. I pomyśleć, że patrzył jej prosto w oczy i kłamał.

- Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło.

- Kocham cię.

I pomyśleć, że zaproponował, by wzięli ślub, gdy tymczasem ukrywał fakt, iż zdradzał ją także wcześniej.

Grey dzwonił do niej każdego dnia, ale nigdy nie odbierała, kiedy widziała na ekraniku jego numer. Nie była jeszcze gotowa. Rozpłakałaby się, gdyby zaczęła z nim rozmawiać, a tego akurat nie chciała: pragnęła przygotować się tak, by podczas tej rozmowy być silną i pełną gniewu.

- Już nigdy więcej nie zwiążę się z nikim - oświadczyła zdecydowanie Maggie. - Nie potrafię przejść przez to całe randkowanie, uśmiechanie się i usiłowanie być tym, kim się nie jest. Mając nadzieję, że spodobaś się tej drugiej osobie. - Wzdrygnęła się, częściowo ze wstydu. Na początku bardzo się starała być taka, jaką chciał ją widzieć Grey, a potem to się w zasadzie nie zmieniło. Przeszłość napawała ją wtedy przerażeniem, a dzięki Greyowi czuła się bezpieczna, więc nigdy nie próbowała rozpracować, kim jest naprawdę Maggie Maguire.

- Nadzieję, że spodobam się tej drugiej osobie, miałam też ja - powiedziała w zamyśleniu Faye. - Staralam się być kimś, kim nie byłam, zamiast znaleźć w sobie odwagę, by być sobą.

Zapadła cisza. Płyta skończyła się już jakiś czas temu i nie słyhać było niczego z wyjątkiem chodzącej gdzieś w oddali kosiarki do trawy i szczekającego psa.

- Musisz powiedzieć Amber o przeszłości, kiedy się już spotkacie - przerwała ciszę Maggie. - O wszystkim.

Faye pokiwała głową. Dużo o tym myślała przez kilka ostatnich dni.

Rita, ta kobieta od metamorfoz, miała rację, kiedy powiedziała, że Faye stara się być niewidzialna. Rzeczywiście próbowała w przeszłości wtopić się w tło, by uczynić siebie tak aseksualną, jak to możliwe, by nikt nie mógł jej połączyć z szaloną nastolatką, którą kiedyś była. I chroniła Amber niczym następczynię tronu, tłamsząc ją z miłości, nigdy nie powiedziawszy prawdy. Wszystko się sprowadzało do sekretów i kłamstw.

- Mam zamiar powiedzieć Amber o wszystkim - rzekła teraz do Maggie. - Sądziłam, że dobrze robię, wymyślając tę osobę: Faye Reid, nadzwyczajną mamę, konserwatywną, porządną, noszącą długie spódnice, filar społeczności, taką kobietę, której nikt by nigdy nie posądził o prowadzenie się z podejrzanymi mężczyznami, nie mającą szacunku dla samej siebie. Myślałam, że jeśli odizoluję Amber od świata, złe rzeczy nigdy jej się nie przytrafią i że wyrośnie na silną

i pewną siebie. A gdyby miała kiedyś poznać mężczyznę pokroju swego ojca, sądziłam, że do tego czasu będzie wystarczająco mądra, że będzie silniejsza ode mnie. Ale oszukiwałam samą siebie.

- Ja też - powiedziała Maggie, myśląc o tym, że tak naprawdę niewiele różni ją od Faye. Faye przynajmniej zmieniła swoje życie i zaczęła odczuwać szacunek do samej siebie po tym, jak na świat przyszła Amber.

Tymczasem Maggie zawsze się czuła tak, jakby nie była warta Greya; za zaskakujące uważała to, że kochają ktoś taki jak on. By ukryć niepewność, musiała udawać osobę pewną siebie. Jeśli nie było to życiem w kłamstwie, to jak inaczej można to nazwać?

- Im dłużej kłamiesz, tym więcej musisz kłamać. Kłamstwa rozrastają się, aż wreszcie nie ma odwrotu, z wyjątkiem przyznania się do tego, że jest się fantastycznym oszustem. Która matka chce powiedzieć coś takiego własnej córce? - zapytała Faye.

- Uważałaś, że ją chronisz - rzekła Maggie. - Ona to zrozumie, kiedy jej wszystko powiesz.

- Ale to trwało od tak dawna - westchnęła Faye. - Wyobraź sobie, że masz dziecko i że jest adoptowane, a ty nigdy nie znajdujesz odpowiedniego czasu, by mu o tym powiedzieć. Możliwe, że przegapiasz sposobność, kiedy dziecko ma dwa albo trzy latka i ta wiedza powinna stać się nieodłączną częścią jego życia: „Jesteś adoptowany. Mamusia i tatuś kochają cię i wybrali cię, żebyś był naszym dzieckiem, więc nasza miłość jest wyjątkowa”, a potem czas płynie, a ty wciąż niczego nie powiedziałeś. Czekasz więc jeszcze trochę, a potem musisz się odwrócić, kiedy dziecko jest już dorosłe i rzec: „No cóż, prawdę powiedziawszy to nie jesteśmy twoimi rodzicami, adoptowaliśmy cię”. To tak jak ze mną i Amber. Powinnam jej była powiedzieć na samym początku, ale nie wiedziałam, jak. Trwało to tak długo, że gdy powiem jej to

teraz, ta wiedza ją zniszczy i Amber mnie znienawidzi i...

- Faye urwała. - Nie wiem, czy jestem w stanie to znieść. Tak bardzo ją kocham, Maggie. Wszystko co osiągnęłam w życiu przez tych osiemnaście lat, było dla niej. Nie zniosę, jeśli mnie znienawidzi.

Maggie wstała i objęła Faye, przytulając ją mocno.

A Faye, która od ucieczki Amber tęskniła za pocieszeniem, jakie daje obecność drugiego człowieka, wtuliła się w nią i zaczęła szlochać.

- Ja tylko bym chciała, żeby wróciła do domu, żeby się skontaktowała, cokolwiek. Bym mogła powiedzieć, że ją kocham i wyjaśnić wszystko, to jedyne, czego pragnę - wykrztusiła przez łzy. - Przepraszam, Maggie, przepraszam. Nie potrzebujesz czegoś takiego.

- Nie bądź niemądra - odparła Maggie, nadal mocno tuląc Faye. Jej płacz powoli cichł. - Hej, za chwilę to samo będziesz robić dla mnie, kiedy ci zdradzę moje wszystkie wielkie mroczne tajemnice.

- To ty też masz wielkie mroczne tajemnice? - czknęła Faye. - Och, proszę, zdradź mi je, nie chcę się czuć jak jedyny popapraniec na Summer Street.

Maggie zaśmiała się.

- Na Summer Street jest wielu popaprańców - rzekła.

- My po prostu nie wiemy o nich, to wszystko. Czy myślisz, że wszyscy skrywający się w tych ładnych domach z kolorowymi drzwiami i pięknymi klonami mają idealne życie? Oczywiście, że nie. Nie sądziłabyś tak, gdybyś знаła moją matkę. Wie o wszystkim, co się tu dzieje.

- Naprawdę?

- O, tak - odparła Maggie, widząc, że Faye nieco poweselała. - Mama jest skarbnicą wiedzy o wszystkich na Summer Street. To przez kawiarnię, wiesz? Ona i tata chodzą do niej przynajmniej raz dziennie i mama ciągle się tam czegoś dowiaduje. Nie zrozum mnie źle, mama nie jest typem plot-

kary, ona jedynie interesuje się ludźmi i ich życiem i wie, co się dookoła dzieje. Właściwie to tak samo jest z Christie - dodała w zamyśleniu. - Christie też zdaje się wiedzieć wszystko o wszystkich.

- Christie to mądra kobieta - przyznała Faye. - Szkoda, że nie poznałam jej dobrze wcześniej, zamiast jedynie kłaniać się na ulicy. To była moja następna obsesja - dodała. - Sądziłam, że jeśli będziemy się trzymać razem na uboczu, to będzie łatwiej i nikt nie będzie mnie pytał o to, co dokładnie się stało z ojcem Amber. Ale ktoś taki jak Christie nigdy nie zadaje tego typu pytań. Jednakże gdyby wysłuchała kiedyś mojej historii, może byłaby mi w stanie pomóc.

- Nie - zaprotestowała Maggie. - Sami musimy sobie pomóc. Muszę odkochać się w moim oszukańczym chłopaku, mężczyźnie, który sądzi, że jestem najgłupszą kobietą na tej planecie, jeśli zgodzę się za niego wyjść, gdy tymczasem on miał inne kobiety podczas trwania naszego związku.

- Nie możesz być najgłupszą kobietą na tej planecie - zażartowała Faye. - Ja nią jestem.

- Nie - upierała się Maggie. - Obawiam się, że ja.

- Czy zanim wyjechałaś, obciąłaś rękawy przy jego marynarkach i oblałaś mu farbą samochód?

- No coś ty - odparła Maggie. - Jestem mięczakiem. Wróciłam tamtego wieczoru do domu, porozmawiałam z nim jak osoba dorosła i nawet zastanawiałam się (tylko w myślach oczywiście, nie wypowiedziałam tego na głos) czy nie pozwolić mu spać w łóżku razem ze mną, ponieważ wtedy by mnie przytulał i wszystko byłoby dobrze.

- Au! - rzekła Faye.

- Wiem - zgodziła się Maggie. - Jestem nie tylko najgłupszą kobietą na świecie, ale także najbardziej mięczakowatą. Ale nie, na szczęście pozostałam twarda i kazałam mu spać na kanapie. A następnego ranka spakowałam się i poleciałam do domu na Summer Street. Choć muszę przyznać,

że obcięcie rękawów jego wszystkich ciuchów mogłoby być fajne. Tak naprawdę to nie nosi garniturów, to typ preferujący swobodne marynarki.

- Mogłabyś rozpowiadać, że cierpi na jakąś paskudną chorobę weneryczną.

- Moja przyjaciółka, Shona, także mi to zasugerowała

- roześmiała się Maggie. - Pracuje ze mną w bibliotece i była już w pełni gotowości, by rozgłaszać te plotki, ale powiedziałam, że tego rodzaju zemsta jest niegodna mnie.

Faye uśmiechnęła się.

- A ja bym się zemściła. Odplaciłabym pięknym za nadobne. Spał ze studentką, dlaczego więc nie pozwolisz tego rozgłosić? Zostałby zwolniony. Najlepsza zemsta.

- To prawda, ale próbuję wprowadzić się w ten szczęśliwy stan w stylu zen, gdzie jedyną prawdziwą zemstą jest prowadzenie dobrego życia.

- Masz rację - stwierdziła z poważną miną Faye. - Dokładnie tak powinno się robić. Nowocześnie i bardzo poprawnie politycznie. Ale - dodała z szelmowskim błyskiem w oku

- rozgłaszanie plotek byłoby naprawdę fajne, no nie?

- Nie takie fajne jak powiedzenie mu, że go nie potrzebuję - odparła stanowczo Maggie.

- No i dobrze. Kiedy masz zamiar to zrobić? Maggie poczęstowała się ostatnią czekoladką.

- Dzisiaj. Powiem mu dziś wieczorem.

- Mam w kuchni trochę herbatników w czekoladzie

- rzekła Faye. - Miałabym ochotę na jednego z nich. Co o tym sądzisz?

- Dobry plan - odparła Maggie. - Mężczyźni potrafią sprawiać jedynie kłopoty. Powinniśmy pozostać przy czekoladzie. Jest bezpieczniejsza.

Po wyjściu z domu Faye Maggie udała się na drugą stronę Summer Street do parku. Brama z kutego żelaza za pół go-

dziny zostanie zamknięta, ale sporo było w nim jeszcze ludzi delektujących się letnim wieczorem. Udała się w stronę pawilonu i wspięła po starych drewnianych schodkach, by usiąść na jednej z wbudowanych ławek z widokiem na staw.

Ptaki śpiewały do siebie w gałęziach drzew, a od strony ławek obok placu zabaw, zajmowanych przez grupkę dziewcząt, dochodziły głośne śmiechy. Maggie pomyślała, że normalne życie toczy się bez względu na to, jaki osobisty dramat jest twoim udziałem. Wyjęła komórkę.

Grey szybko podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego.

- Maggie, witaj - powiedział ciepło.

- Cześć, Grey. - Jej głos brzmiał beznamiętnie. Nadal nie czuła gniewu. Wyglądało na to, że ją opuścił i teraz dominującym uczuciem był smutek z powodu tego, jak płytkie okazało się jej życie z Greyem. - Obawiam się, że nie chcę, byśmy znowu byli razem. To by się nie udało.

- Co takiego?

- To koniec. Nie mogę wrócić.

- Ale Maggie, chcesz tego, wiesz to. Kocham cię, a ty kochasz mnie. Tylko to się liczy. Poradzimy sobie z tym, co się stało. Moglibyśmy chodzić na terapię dla par - zaproponował, co wywołało cierpki uśmiech na jej twarzy. Grey był dumny z tego, jak pracuje jego mózg, ale z niechęcią pozwalałby osobie trzeciej badać to i kwestionować jego przekonania.

- Nie chcę terapii - oświadczyła Maggie. - Chcę sprzedać mieszkanie i zacząć żyć dalej. Mógłbyś mnie wykupić, jeśli chcesz. To dobre mieszkanie, a ja go nie chcę. Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę wracać do Galway.

Miała tam przyjaciół, ale całkowite zerwanie bardziej by jej pomogło. Całe miasto wypełniały wspomnienia minionych pięciu lat.

- Możemy zacząć jeszcze raz, Maggie. Możemy się przeprowadzić, wziąć ślub, uczynić to wszystko, o czym mówiłem.

Wydawało się, że mówi szczerze i odczuwany przez Maggie smutek przybrał na sile. Jak łatwo przychodziło mu kłamstwo. I jak łatwo ona we wszystko wierzyła.

- Chcę być z kimś, komu mogę ufać, Grey - rzekła. - A ty nie jesteś tą osobą. To nie jest dla mnie łatwe. Czuję się, jakbym przekreślała pięć lat swego życia...

- Bo przekreślasz! - zawołał. - Nie możesz tak łatwo z nas zrezygnować.

- To nie ja rezygnuję - odparła Maggie. - Ty to robisz. Ponieważ okłamałeś mnie mówiąc, że nigdy wcześniej mnie nie zdradziłeś, a teraz wiem, że to nieprawda. Były inne kobiety. Nie próbuj zaprzeczać. Nie potrafię żyć w taki sposób, Grey. A więc to ty jesteś osobą, która kończy nasz związek. To ty zdecydowałeś się sypiać z innymi kobietami. Nie ja.

Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza. Zastanawiała się, czy ponownie skłamię czy też się przyzna. Co zrobiłby siedzący w nim polityk?

- To było głupie - rzekł wreszcie. - Nie mam na to usprawiedliwienia, Maggie. Żadnego. Ale to już się nigdy więcej nie powtórzy, obiecuję. Proszę, wróć do domu. Kocham cię.

Maggie wytarła oczy, ale gdy Izy zaczęły spływać po jej policzkach, nie była ich w stanie powstrzymać.

- Ty mnie po prostu nie kochasz wystarczająco mocno, Grey - powiedziała. - Nie zadowolę się czymś takim. Przykro mi. Zadzwoń jeszcze w sprawie mieszkania, ale ty do mnie nie dzwoń. To koniec. Uwierz mi. Nie zmienię zdania.

I rozłączyła się, nie dając mu szansy na błaganie.

Ptaki śpiewające wśród drzew nie zwróciły żadnej uwagi na kobietę szlochającą bezgłośnie w pawilonie. Ani nastoletnie dziewczyny, rozmawiające i gorączkowo wysyłające ese-mesy po przeciwnej stronie parku.

One prawdopodobnie wierzą jeszcze w prawdziwą miłość, pomyślała Maggie, przyglądając im się oczami pełnymi łez.

Żałowała, że nie może ich ostrzec, ale istniały rzeczy, których trzeba doświadczyć na własnej skórze.

Kiedy wróciła do domu, mama i tata siedzieli w kuchni i oglądali *Europejskie wakacje*, gdzie rodzina Griswoldów przemierzała Europę, pozostawiając po sobie chaos i zamęt.

- Usiądź, Faselko - powiedział tata, ocierając z oczu łzy. - To jest przezabawne. Kiedyś uwielbiałaś tę serię.

Maggie wysunęła krzesło, położyła na nim poduszkę i usiadła.

- Jadłaś kolację? - zapytała matka.

- Tak - skłamała Maggie. Nie miała teraz na nic ochoty, a jej matka zaraz zaczęłaby się gorączkować, gdyby powiedziała, że nic nie jadła.

- Zaparzę nam herbatę - powiedział tata, klepiąc ją w kolano. - Ale jest miło, prawda? Jak za dawnych czasów, no nie, Una?

- Tak - westchnęła z przyjemnością mama.

Maggie popatrzyła na rodziców z miłością. Nie tak zaplanowała swoje życie w wieku trzydziestu lat - z powrotem mieszka z rodzicami, nie ma chłopaka, a jej pewność siebie jest cała w strzępach. Ale to wszystko musiało się wydarzyć z jakiegoś powodu. Faye nie pozwalała, by powstrzymały ją okoliczności: zamierzała odnaleźć Amber i opowiedzieć jej o przeszłości. Podobnie musi postąpić także Maggie. Jeśli na tym właśnie polegało nowe życie, będzie musiała naprawdę się postarać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W samolocie Faye zajęła miejsce przy przejściu i obserwowała, jak na pokład wchodzi inni pasażerowie. Na kolanach miała grube czasopismo, ale rozgrywające się na jej oczach scenki były znacznie bardziej interesujące.

Starsza para szła wolno przejściem. Wyglądali na zrezygnowanych czekającym ich tak długim lotem. Pojawiła się rozgorączkowana grupa nastoletnich uczennic w strojach jakiegoś klubu sportowego, dyskutujących nad taką zamianą siedzeń, żeby było maksymalnie fajnie.

- Dziewczęta, powinnyście siedzieć na wyznaczonych miejscach - powiedział jeden z towarzyszących im dorosłych, nauczyciel albo rodzic, zdający sobie jednocześnie sprawę, co dostrzegła Faye, że porywa się z motyką na słońce.

- Och, dzidziuś, jaki słodki! - rzekła jedna z dziewcząt, a kobieta w rzędzie naprzeciwko z niemowlęciem na kolanach uśmiechnęła się słabo - przynajmniej będzie otoczona ludźmi, którzy nie będą psioczyć na płacz tego biednego maleństwa.

Wiele lat minęło, odkąd Faye po raz ostatni leciała sama samolotem. Uznała, że to przyjemne uczucie. Poczucie wolności. Nie musiała przejmować się nikim oprócz siebie. Nikt nie mógł zadzwonić do niej na komórkę ze złą wiadomością; nikt jej nie potrzebował.

Po raz pierwszy od odejścia Amber Faye doświadczała dziwnego uczucia akceptacji tego, że jest sama. Amber nie-

uchronnie wyfrunęłyby z domu, a Faye nigdy by nie była na to gotowa. Teraz to rozumiała. Jej świat za bardzo kręcił się wokół córki, co nie okazało się dobre dla żadnej z nich.

Faye zjadła samolotowy posiłek, obejrzała film, następnie włożyła zatyczki do uszu, na oczy nałożyła opaskę wypełnioną lawendą, którą otrzymała od Christie właśnie w tym celu, i zapadła w sen.

Hotel w centrum miasta, przed którym zatrzymała się taksówka, należał do taniej sieci i z zewnątrz zupełnie nie przypominał tych zachwycających hoteli, które folder linii lotniczych entuzjastycznie polecał jako miejsca, gdzie się powinno zatrzymać w Nowym Jorku. Tak sobie pomyślała, że tutaj konsjerż nie byłby w stanie wyczarować z sufitu biletów na Broadway. W marmurowym holu było jednak czysto i generalnie Faye czuła się tutaj bezpiecznie. Jej maleńki pokój znajdował się na siódmym piętrze, posiadał mikroskopijną łazienkę i aneks kuchenny z czajnikiem, tosterem, mikrofalówką i zlewem, zmyślnie ukrytymi za drzwiami jednej z szafek.

Faye zamknęła drzwi na klucz, rozebrała się i weszła do łóżka, by pospać jeszcze z godzinkę.

Gdy się obudziła, było już popołudnie. Stała przy oknie wychodzącym na miasto. Nie widziała zbyt wiele poza innymi budynkami, a tuż poniżej okna - brudny dach, gdzie ktoś kiedyś postawił kilka drewnianych leżaków, a potem o nich zapomniał.

Ale mniejsza z widokiem, w każdym razie to był Nowy Jork. A ona nie była już ofiarą, robiła coś porządnego. I wcale niejako konserwatywna Faye Reid.

W holu usiadła przy telefonie publicznym i wsunęła do niego kartę kredytową. Nie stać jej było na dzwonienie z pokoju, ale tutaj, na dole, cena była znośna. Za siódmym podejściem udało jej się namierzyć wytwórnię płytową, która miała pracować nad albumem Karla i jego zespołu, Ceres. A potem musiała czekać bez końca, gdy młody znudzony mężczyzna

szukał szczegółów związanych z grafiką zespołu, powtarzając przez cały czas:

- Nie mogę udzielać pani informacji poufnych. Jeśli okaże się pani prześladowczynią, nie mam zamiaru zebrać za to cięgów.

- Wiele zespołów, które nie wydały jeszcze płyty, ma prześladowców?
- zapytała ostro Faye. - Nie wydaje mi się. Już panu mówiłam, jestem matką Amber Reid, partnerki Karla Evansa. Mam jej do przekazania pilną wiadomość.

Przez chwilę milczał, po czym rzekł:

- Wczoraj wieczorem mieli występ w „O'Reilly Tavern” i to wszystko, co mam tutaj zapisane, ponieważ Sly miał tam iść. Jedyne tak mogę pani pomóc.

- Ale oni nagrywają album, a ludzie od was go produkują. Przecież mogę chyba zostawić dla nich wiadomość? - zapytała Faye, która planowała zjawić się i ich zaskoczyć, ale nie miała zamiaru powiedzieć tego temu facetowi.

- Nagrywali - odparł i Faye słyszała, jak przerzuca kartki. - Ale później nie ma ich już w grafiku. Nie wiem, dlaczego. - Przerzucił kolejne kartki.
- W następnym miesiącu też nie.

- Jak to możliwe? - zapytała z konsternacją Faye.

- Paniusiu, wszystko rozbija się o dolary. Nie stać cię, to nie zostajesz tutaj. Podejrzewam, że ich umowa nie wypaliła. Jeśli jesteś wystarczająco dobry, Sly i Maxi wyprodukują twój album za procent z zysków. Jeśli nie i nikt za to nie płaci, wtedy hasta la vista.

- Och - rzekła z przerażeniem, że urwał się jej jedyny ślad.

Jej niepokój wreszcie dotarł do mężczyzny na drugim końcu linii.

- No dobra. Mieszkali w hotelu Arizona Fish zaraz obok Port Authority - powiedział. - Nie wie tego pani ode mnie, okej?

- Wielkie dzięki - odparła z wdzięcznością Faye.

Jednakże dopiero na widok hotelu Arizona Fish Faye zaczęła się na porządnie martwić. Jej hotel trudno nazwać pałacem, ale był niczym Trump Tower w porównaniu z podupadłym budynkiem pod kiczowatą przykrywką mody.

Może i miał hol z meblami w stylu retro, a w apartamencie na ostatnim piętrze podobno wisiały żółknące nuty wielkich przebojów, ale Faye widziała tutaj jedynie zaniedbanie.

Żadna ilość modnych mebli ani psychodelicznych grafik na ścianach, ani nawet podświetlony szyld reklamujący nocny klub hotelowy „A Fish”, nie były w stanie ukryć brudu.

Przypomniła jej się Klub z jej poprzedniego życia: nora udająca modne miejsce spotkań tylko dlatego, że raz zagrał tam jakiś zespół, imprezując potem, dopóki nie skończyło się LSD czy heroina. Co prawda nigdzie nie jeździła razem z TJ -em, ale wiedziała, że gdyby tak było, bardzo by jej się spodobał przebrzmiały splendor Arizona Fish. Dla dziewczyny pokroju Amber, wychowywanej w zaciszu Summer Street, słuchanie piosenek rzekomo napisanych w pokoju numer siedem albo spanie na łóżku, które podobno zostało wyrzucone przed dach w pokoju numer jedenaście podczas niesamowitej imprezy na zakończenie festiwalu rockowego, sprawiłoby, że poczułaby się częścią tego wszystkiego. To była ekscytacja, to było życie. A ona znajdowała się w samym jego centrum.

Faye dokładnie wiedziała, jak bardzo Amber ekscytowałoby takie życie, ponieważ sama dwadzieścia lat temu była równie podniecona tym, że znalazła się w ekscytującym świecie Klubu. Wtedy nikt nie mógł powiedzieć tego Faye Reid. Sama musiała to zrozumieć. Ale tamto życie było niczym przebywanie w oku cyklonu. Sądziło się, że jest się bezpiecznym, nietykalnym, gdy tymczasem zaledwie kilka centymetrów dalej szalała burza.

Faye pragnęła wyrwać swą córkę z tego oka, nim zdąży jej się stać krzywda. Nie przestanie szukać Amber, dopóki jej

nie znajdzie. A jeśli będzie musiała zostać w Nowym Jorku bardzo długo, tak właśnie uczyni. Odzyska Amber.

Amber popatrzyła na karalucha, a karaluch popatrzył ze spokojem na nią. Nie był tak duży jak szczur, jak twierdzili niektórzy w tej części stanu Utah, ale wolałaby już szczura. Futrzaki były o niebo lepsze od rozłazających się, hałaśliwych insektów.

Oddychając głęboko, wycofała się z pokoju, mijając Karla i mężczyznę w brudnym T-shircie, po czym stanęła na korytarzu, czując, jak przechodzą ją ciarki.

- Ja tutaj nie śpię - oświadczyła.

Mężczyzna wszedł do pokoju, rozległo się walnięcie, po czym wyłonił się z niego z uśmiechem.

- Poszedł sobie, może pani wejść.

- Dokąd sobie poszedł? - zapytała ostro Amber, rozglądając się z obrzydzeniem po podłodze na korytarzu. - W jakiś kąt, w którym ukrywa się razem z ośmioma milionami krewnych, czekając, aż pójdziemy spać, a wtedy on wyjdzie tańczyć macarenę?

- Żadnej macareny. Poszedł sobie - powtórzył mężczyzna.

- Tylko na to nas stać - powiedział Karl, wzdychając i wnosząc do pokoju swoje rzeczy. Przestał nosić walizkę Amber już dawno temu, mniej więcej wtedy, gdy wyprowadzili się z Arizona Fish, bo fantastyczny kontrakt Steviego okazał się niewypałem.

Amber pomyślała cierpko, że trudno sobie teraz wyobrazić, że na początku uważała Arizonę za nieco brudną. Kłęby kurzu i pomazane okna były niczym w porównaniu z brudem i nędzą tej dziury, miejsca, gdzie sanepid bał się w ogóle zapuszczać.

Karl miał rację: tylko na to ich było stać. Zespół podróżował przez kraj w wynajętym vanie rzęchu, co stanowiło naj-

tańszy sposób na dotarcie do LA, zatrzymując się po drodze w najtańszych motelach. Karl wyliczył, że dzięki temu zostanie im dość pieniędzy, by przeżyć w LA kilka miesięcy, nim nie podpiszą innego kontraktu z kimś znanym.

- Pieprzyć Steviego - mruczał codziennie Syd, gdy pakowali się do vana i ruszali dalej autostradą. Zawieszenie nie było w najlepszym stanie i trochę trwało każdego dnia, nim przyzwyczaili się do trzęsienia podczas jazdy.

- Jak na rollercoasterze - stwierdził wesoło Lew, perkusista.

- Musisz mieć żołądek ze stali - odparł z niechęcią

Syd.

Kiedy wytwórnia Demon zrezygnowała z wydania ich albumu, piękne gadki Steviego urwały się, a wraz z nimi jedzenie na mieście i darmowy alkohol.

Z powodu rzekomych problemów w domu Stevie wskoczył do samolotu do Irlandii, mówiąc, że popracuje nad nowym kontraktem dla nich i że porozmawiają, kiedy się wszyscy spotkają ponownie w Dublinie.

- Gówno prawda - oświadczył zwięźle Syd. - Już go więcej nie zobaczymy.

Stevie nie zawracał sobie także głowy uregulowaniem rachunku za hotel za ostatnie dwa dni, więc kiedy odjechał w stronę lotniska JFK, zadzwoniono do nich z recepcji z pytaniem, czy zespół się wymeldowuje czy nie, ponieważ karta kredytowa Steviego zniknęła i musieli albo zapłacić, albo się wynieść.

Wszyscy mieli wykupione bilety powrotne, co było warunkiem otrzymania wiz, więc udanie się w ślad za cykorem Steviem wydawało się całkiem rozsądną opcją.

- Nie możemy wrócić do domu z podwiniętymi ogonami - oświadczył gniewnie Karl. - Ja w każdym razie nie i nie obchodzi mnie to, co wy chcecie zrobić. To moje marzenie. Nie potrzebuję ludzi takich jak Stevie. Uda mi się i bez niego.

Amber czekała, aż obejmie ją i powie, że ich dwoje jakoś sobie poradzi, on tego jednak nie uczynił. Wyglądało na to, że ta rozmowa dotyczyła tylko zespołu.

- Chyba pójde na spacer - odezwała się ostro Amber. Chwyciła kartę hotelową i była w połowie drogi do windy, kiedy dogonił ją Karl.

- Skarbie, nie idź - powiedział.

- Mówiłeś w taki sposób, jakby mnie tam nie było - odparła oskarżycielsko. W oczy kłuły ją łzy. Wytarła je rękawem. Nie będzie płakać.

- To były sprawy zespołowe - rzekł Karl, przyciągając ją do siebie i przytulając. - Oczywiście, że zostajesz ze mną, prawda?

I wyglądał na zatroskanego, jakby naprawdę istniała taka możliwość, że ona go opuści.

- Zostaję - odparła, przytulając się do niego z ulgą. Wcześniej przez jedną okropną chwilę myślała, że nic dla niego nie znaczy. Tak wiele poświęciła: dom, mamę, Ellę... naprawdę tak wiele rzeczy. Gdyby Karl pojechał dalej bez niej, wszystko byłoby na nic.

- Wyjdźmy gdzieś tylko we dwoje, na kolację i do klubu - wymruczał do jej ucha.

- Stać nas na to? - zapytała praktycznie Amber.

- Dla ciebie wszystko, skarbie.

Tamten wieczór to były ostatnie wspólne romantyczne chwile, pomyślała teraz Amber, gdy wciągnęła swoją walizkę do rzekomo wolnego od karaluchów pokoju w motelu w jakiejś miejscinie tuż przy autostradzie międzystanowej w Utah. Wynajęli samochód, opuścili Nowy Jork i teraz każdego dnia jechali setki kilometrów przez bezkresną Amerykę. To powinna być podróż marzeń, tak jak te szalone wycieczki w filmach dla nastolatków, tyle że te filmowe dzieciaki miały dolary, a zespół nie.

Ich komórki tutaj nie działały, nawet rewelacyjny telefon Syda, który kupiła mu jego dziewczyna. Tak długo przy nim majstrował, że aparat zablokował się i był teraz zupełnie bezużyteczny.

Karl był niezmordowany w dążeniu do tego, by dojechać do Los Angeles przy minimalnej liczbie nocy spędzanych w motelach („każda noc po drodze to kilkudniowy czynsz w LA” - upierał się), nie mogli więc wałęsać się po ładnych miasteczkach tuż przy autostradzie czy robić sobie wycieczek w miejsca, które przyciągały ich uwagę.

Karl był człowiekiem z poczuciem misji, a Amber i zespół podążali w ślad za nim.

- Jestem skonany - rzekł teraz, kładąc się na łóżku. - Zrobiliśmy dziś ponad siedemset kilometrów, to musi być rekord.

Amber nie odpowiedziała. Przyglądała się plamom na dywanie i zastanawiała, od czego one są. Gdyby tylko miała tutaj odkurzacz i może jakiś odplamiacz do dywanowi mleczko do czyszczenia... Równie dobrze mogła to mówić jej matka.

- Popatrz tylko, jak tu wygląda! Amber, wyjmij z mojej torby ściereczki odkażające.

Rzadko wyjeżdżały na wakacje: nie było na to pieniędzy. Ale mama zawsze zabierała preparaty do czyszczenia, tak że jeśli miejsce, w którym mieszkały, odstawało od ich standardów, sama je sprzątała.

Amber poczuła, że w jej gardle tworzy się kula na wspomnienie tego, jak dobrze się zawsze bawiły podczas wyjazdów.

Można było jeść obiad z podłogi, gdy mama kończyła sprzątać.

Weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Nie było wanny, a jedynie mały prysznic z zasłonką upstrzoną brudem po innych ludziach. Amber usiadła na desce klozetowej i skryła twarz w dłoniach.

Zupełnie nie tego się spodziewała, kiedy wyprowadziła się z domu.

Wtedy myślała, że odchodzi, by doświadczać życia i stać się kobietą. Zamiast tego musiała znosić podróż z ogarniętym obsesją chłopakiem i noclegi w prawdziwych norach. Może i nie miałyby nic przeciwko temu wszystkiemu, gdyby to na jej punkcie Karl miał obsesję. A nie miał.

Już od dawna nie nazywał jej swoją muzą. To wcale nie jest zabawne, pomyślała. A potem się rozplakała.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dzień po wyjeździe Faye z kraju Christie wróciła do domu, gdzie na automatycznej sekretarce czekała na nią zatrważająca wiadomość:

- Dzień dobry, nazywam się Heidi Manton i dzwonię w imieniu Careya Wolenskyego. Próbuje on zlokalizować panią Christie Devlin, by ją zaprosić na prywatny wernisaż jego wystawy w Dublinie w przyszłym tygodniu, tyle że nie ma pewności, czy ona nadal mieszka pod tym adresem. Byłabym niezmiernie wdzięczna, gdyby pani Devlin do mnie oddzwoniła. A jeśli się przeprowadziła, wszelkie informacje dotyczące miejsca jej pobytu byłyby na wagę złota.

Kobieta podała następnie numer w Londynie i Christie pozwoliła sobie na to, by odetchnąć głęboko. Przynajmniej Careya nie było jeszcze w kraju.

- Od przyszłego poniedziałku można się kontaktować ze mną lub panem Wolenskim w Dublinie pod tym numerem.

Wyrecytowała następny numer i ulga Christie wyparowała.

Przyjeżdża! tutaj i chciał się z nią spotkać. Gorzej być nie mogło. Co ona ma teraz u licha zrobić?

Podczas gdy wokół niej niezauważalnie szalała zawierucha związków na Summer Street, Una Maguire postanowiła sama zapoczątkować kampanię „Ratujmy Nasz Pawilon”.

- Nie możemy pozwolić, by nasz śliczny park został zniszczony przez tych deweloperów - oświadczyła Dennisowi i Maggie. - To siły zła - dodała, tak jakby deweloperzy byli w zмовie z diabłem i równali pawilon z ziemią w ramach jakiejś szatańskiej umowy, zgodnie z którą w zamian zbiją kokosy na sprzedaży tych wielkich paskudnych apartamentów.

- Nie chcesz się chyba przeforsować - rzekł Dennis, próbując być głosem rozsądku. - Nie zapominaj, kochanie, że twoja noga jeszcze się nie zrosła i...

- Trele-morele, mojej nodze nic nie będzie - przerwała mu Una. - Chyba lepiej robić coś na rzecz naszej społeczności, niż siedzieć w domu, zamartwiać się swoją starą nogą i myśleć, że niedługo się skończy na wózku inwalidzkim. - Maggie obrzuciła matkę uważnym spojrzeniem, ale Una ciągnęła dalej: - Ktoś musi postawić się tym deweloperom i mam zamiar zwołać zebranie mieszkańców Summer Street i wszystkich sąsiednich ulic. Nie chcemy korzystać z jakiegoś beznadziejnego nowego parku pięć kilometrów stąd, skoro możemy mieć tuż pod nosem ten uroczy mały skarb. Będziemy walczyć z radą miejską aż do skutku! - Z tymi słowami pomachała groźnie kulą w powietrzu.

- No dobrze, mamó - powiedziała Maggie, bojąc się, że matka może wybić komuś oko. Kiedy była w takim nastroju, najlepiej jej ustąpić. - Co chcesz, żebyś zrobiła?

Jeśli Maggie podrzuciłaby szczegóły dotyczące tego zebrania, pewna drukarnia wydrukowałaby sto ulotek prawie za darmo. Jedyne problem w tym, że w pobliżu tej drukarni nie dojeżdżał żaden autobus. Trzeba by jechać samochodem.

- Tata może cię zawieźć - rzekła Una, po czym dodała: - Szybko wróćcie, dobrze?

Maggie już wcześniej zwróciła uwagę na to, że jej mama ostatnio nie lubi zostawać w domu sama. Na pewno bała się, że upadnie i znowu zrobi sobie krzywdę.

- Tata może zostać z tobą. Jestem pewna, że pamiętam, jak się prowadzi samochód - oświadczyła Maggie z pewnością

dozą ostrożności. Powiedziała sobie w duchu, że skoro miała się stać silniejszym człowiekiem, będzie musiała akceptować wyzwania stawiane jej przez życie, a pierwszym z nich stanie się ponowne siedzenie za kółkiem. Przynajmniej strach przed prowadzeniem samochodu odsunie jej myśli od osobistego smutku, który wciąż budził ją późno w nocy i kazał myśleć o Greyu.

- Nic w tym trudnego, Faselko - powiedział uradowany tata.

- Pewnie, że nic - odparła pogodnie. - Dawno nie prowadziłam samochodu, to wszystko.

- Byle ciołek potrafi jeździć - stwierdził jej ojciec. - A ty jesteś taka bystra, że to dla ciebie pestka.

Patrząc na swych rodziców, uśmiechających się do niej z dumą, wyraźnie przekonanych, że ich jedynaczka jest skrzyżowaniem Stephena Hawkinga i Condoleezy Rice, Maggie musiała się także uśmiechnąć. Nie mieli być z czego szczególnie dumni, ale jaki miało sens im to mówić? W przeszłości dobrze jej się udawało skrywać swoje bolączki. Tak dobrze, że nikt w domu zdawał się nie zauważać, jak smutna jest pod przykrywką uśmiechów.

Maguire'owie mieli volvo, zresztą zawsze posiadali samochody tylko tej marki. Jej ojciec uważał, że volvo jest wstanie stawić czoło światu i wygrać.

- Niezawodne - upierał się.

- Takim samochodem można uderzyć w łosia, a i tak nie pojawi się nawet wgniecenie - dodawała matka. - Dodatkowo utwardzane belki boczne czy coś w tym rodzaju.

Maggie usiadła za kierownicą, przyjrzała się wszystkim pedałom, przyciskom i tarczom, mając nadzieję, że lokalna populacja łosi trzyma się dzisiaj z dala od drogi.

Samochód zapalił od razu za pierwszym razem i mimo że był niemal zabytkiem, ruszył lekko do przodu, gdy zwolniła hamulec ręczny.

Kierunkowskaz, sprawdzić ulicę, wrzucić pierwszy bieg, zmienić płynnie na drugi. Maggie pomyślała triumfująco, że to jak jazda na rowerze. Prowadziła samochód. Łatwizna. Szkoda, że Grey jej teraz nie widzi, ta kłamliwa, zdraдлиwa świnią.

Jadąc spokojnie czterdzieści na godzinę, dotarła do drukarni, gdzie ekspresowo wydrukowano dla niej ulotki i po półgodzinie siedziała z powrotem w samochodzie. Następnie zatrzymała się przy supermarkecie i zrobiła duże zakupy. Gdy wyjeżdżała z parkingu na drogę, zauważyła, że zbiornik paliwa jest prawie pusty.

Ośmielona swym sukcesem uznała, że zahaczenie o stację benzynową będzie stanowić doskonale zakończenie jej dziewiczej jazdy.

Pewna siebie kobieta kierowca z rozciągającym się przed nią zupełnie nowym życiem będzie wiedziała, jak zatankować własne auto. Dlaczego dotąd nie kupiła sobie samochodu? Poczucie wolności było odurzające.

Musiała trochę pokręcić dyszą pompy, by wsunąć ją do baku, i nawet wtedy odrobinę z niej ciekło, ale potem na liczniku dystrybutora zaczęły zmieniać się cyferki i kiedy dotarły do dwudziestu euro, Maggie wyłączyła pompę. Myślała o tym, że przygotuje dzisiaj pyszną kolację, coś pożywnego, być może weźmie przepis z książki kucharskiej, będzie się troszczyć o swoją rodzinę i...

Mała naklejka na korku od baku mrugnęła do niej. Diesel. Diesel.

Z prędkością błyskawicy odwróciła się do dystrybutora. Benzyna bezołowiowa. Właśnie wlała benzynę bezołowiową do baku diesla.

Wpatrywała się w szoku w samochód. Że też jej rodzice musieli mieć diesla i nic jej o tym nie powiedzieli. Nie. Że też ona nie zwróciła na to uwagi. Cholera.

Każdemu to się mogło przytrafić, prawda? Ktoś może to przecież jakoś wypompować, no nie? Czy coś w tym rodzaju.

Stojący przed nią mężczyzna odwrócił się i do Maggie dotarło, że wypowiedziała te słowa na głos.

- Każdy mógłby nalać przez pomyłkę benzynę do baku diesla - powiedziała, starając się przekształcić uwagę „ktoś może to wypompować” w kontekst typu „to samochód rodziców, a ja robiłam im przysługę i nie spojrzałam na korek. Myślałam, że to benzyniak, nie diesel. Każdemu mogłoby się to przydarzyć”.

Proszę, lepiej było to powiedzieć, a on z pewnością się roześmieje. Coś takiego na pewno dzieje się nagminnie. Pewnie nawet istniała oddzielna kolejka dla ludzi, którzy to zrobili.

Ale mężczyzna posłał jej spojrzenie, które natychmiast przetłumaczyła jako Wszystkie Kobiety To Cholerne Idiotki, a na dokładkę Nie Powinniśmy Byli Pozwolić Im Głosować.

- Że też można zrobić coś tak dennego - burknął i odwrócił się do niej plecami.

- Ale przecież wylot pompy nie powinien pasować - zauważyła kobieta, która stanęła w kolejce za nią.

- Tak, one są różne, te z ropą i benzyną - rzekł ktoś inny mało pomocnie.

- Myślałam, że coś źle robię, więc jakoś go wcisnęłam - powiedziała z rozpaczą w głosie Maggie, myśląc o benzynie, którą porozlewała na ziemię. Miała nadzieję, że nikt nie zapali tam zapalki, inaczej całe to miejsce wyleci w powietrze.

Wychodząc, pan Kobiety Są Głupie obdarzył ją jeszcze jednym miażdżącym spojrzeniem.

Maggie próbowała zignorować jego pogardę.

- Nigdy pani nie uwierzy, co takiego zrobiłam - rzekła do niewzruszonej kobiety za ladą, błagając wzrokiem o choć odrobinę kobiecej solidarności.

Kobieta mrugała powoli oczami, wysłuchując opowieści Maggie, po czym uczyniła gest kciukiem.

- Z tyłu. Proszę pytać o Ivana. Jest zajęty, ale może będzie mógł pani pomóc.

Do dystrybutora, przed którym zaparkowane było volvo, zdążyła się już ustawić kolejka, ale Maggie minęła ją pospiesznie. Za parkingiem znalazła niewielki warsztat.

Kilka samochodów w różnym stanie podwieszonych było nad kanałami lub stało w niewielkich zatoczkach. Nastawione na lokalną stację radio zapewniało tło dla walenia i spawania.

Jedyną osobą niepracującą przy żadnym z pojazdów był młody chłopak, opierający się o biurko z kubkiem w dłoni.

- Szukam Ivana - rzekła Maggie.

- Jest tam, pod spodem.

Podążyła za jego spojrzeniem. Spod wielkiego zielonego jeepa wystawały odziane w kombinezon, nogi z butami okrągłymi noskach, które mógł nosić klaun. Zastanowiła się bez związku, czy to buty nabijane ćwiekami.

- Dzień dobry - rzekła, nachylając się. - Czy pan to I van? Powiedziano mi, że mógłby mi pan pomóc. Ja... - Boże, czuła się tak głupio. - Ja właśnie wlałam bezołowiową do samochodu rodziców, a okazuje się, że to diesel. Skąd miałam wiedzieć? Mam nadzieję, że istnieje jakieś ustrojstwo, które by to wyssało. Coś jak odkurzacz. Czy mógłby pan odessać całą benzynę?

Nogi jakby lekko zadrżały.

- Albo osuszyć? - kontynuowała Maggie.

Tak, osuszanie, to brzmiało już bardziej fachowo. W warsztatach samochodowych zawsze się coś osuszało i majstrowało przy zaworach odcinających, a może tak się robiło w przypadku spłuczek? Mniejsza z tym.

- Wiem, że jest pan zajęty, ale byłabym naprawdę wdzięczna, gdyby mógł mi pan pomóc. Moja mama jest chora, a ja mam w samochodzie zakupy dla niej, a za mną ustawiła się długa kolejka... - Maggie nie dodała, że chybaby się rozplakała, gdyby ktoś w kolejce nakrzyczał na nią za to, że blokuje dystrybutor. - Wszyscy pewnie się wkurzają i mówią, że to na pewno jakaś głupia kobieta zostawiła tak samochód.

Spod jeepa wyłoniła się jedna olbrzymia, ubrudzona olejem dłoń, chwyciła za krawędź samochodu i pociągnęła. Maggie stała i przyglądała się potężnemu mężczyźnie, który patrzył na nią z nieskrywanym rozbawieniem. Miał brudny kombinezon, twarz, nawet włosy, które były ciemne z wyjątkiem kilku siwych pasm przy skroniach i krótko ostrzyżone jak u żołnierza.

Z ulgą przekonała się, że ma miłą twarz, nieco kwadratową i z nosem, który wyglądał tak, jakby zarobił kilka ciosów na ringu, i że jego uśmiech, ponieważ uśmiechał się szeroko, jest życzliwy.

Podniósł się z ziemi lekko jak na takiego wielkiego mężczyznę i stanął, górując nad nią. Przystojny i widać, że lubi przebywać na świeżym powietrzu, pomyślała z roztargnieniem, i mniej więcej w wieku Greya.

- Chce pani skorzystać z odkurzacza wysysającego benzynę? - zapytał spokojnie niskim, chropawym głosem. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

- Dałoby radę? - zapytała Maggie. Jak się uda, to niedługo wróci do domu i nikt się w ogóle nie zorientuje, że coś się stało.

- Jack! - zawołał do młodszego mężczyzny. - Gdzie jest urządzenie do odsysania benzyny?

Jack musiał się zgiąć w nagłym spazmie.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, gdzie jest? - zapytał Ivan. - Za co ja wam płacę? Mick?

Spod maski citroena wyłoniła się głowa. - Tak?

- Urządzenie do odsysania benzyny. Masz je? Spojrzenie Micka prześlizgnęło się po Maggie, a jej

wreszcie zaczęło świtać, o co chodzi.

- No tak - rzekła drżącym głosem. - Załapałam. Nie ma czegoś takiego.

- Amyśli pani, że co to jest? Dojarnia? - zapytał Mick, po czym dopadł go taki sam atak śmiechu, jak wcześniej Jacka.

Ivan spojrział na nią szelmowsko. Miał najbardziej brązowe oczy, jakie zdarzyło jej się widzieć, i błyszczało w nich rozbawienie. Kąciki jego ust drgały, gdy próbował powstrzymać uśmiech. Nie udało się.

Ostatnie dni, podczas których jej świat wywrócił się do góry nogami, były koszmarne i Maggie pomyślała, że jeśli jeszcze jedna osoba sprawi, że będzie się czuła jak głupia, uderzy tę osobę. Jej opanowanie rozpadło się na kawałki.

- To nie jest śmieszne! - zapiszczała, uderzając pięścią w maskę jeepa, przy którym pracował.

Tego już za wiele. Cała tłumiona wściekłość z powodu nakrycia Greya w łóżku z inną, ucieczki do domu i przekonania się, że mama jest chora, a ona musi przejąć teraz dowodzenie, odkrycia, że Grey miał cały cholerny harem, i to w dodatku tuż pod jej nosem, teraz znalazły ujście. Bum, bum - waliła pięścią w maskę.

- Ja chciałam jedynie pomocy, a nikt tego nie rozumie. Wy osły, uważacie, że to dowcip miesiąca, śmiać się z kogoś, kto znalazł się w tarapatach. - Bum, bum. Fajnie walić w kogoś, kto najwyraźniej spędzał tyle czasu na siłowni, że nie bał się jej ciosów. Bum, bum.

Ivan zacisnął na jej nadgarstkach swe stalowe dłonie i łagodnie je opuścił.

- Zrobisz sobie krzywdę, a to był tylko żart - powiedział delikatnie. - Przepraszam, uznałem, że mówisz to tak zabawnie... myślałem...

- Myślałeś, że możesz się ze mnie ponabijać, cóż, ostatnio przytrafiło mi się to za często, mam dosyć, dziękuję bardzo - odparła Maggie ze szlochem.

Pobiegła do samochodu, usiadła za kierownicą i przekreśliła kluczyk. Silnik uruchomił się natychmiast, pozwolił jej przejechać kilka metrów i nagle beknął głośno i zgasł niczym dręczony ogromnym bólem słoń.

- Wstrętny, wstrętny samochód! - zawołała, płacząc nad kierownicą. Waliała w nią mocno, co przyniosło tylko taki skutek, że uświadomiła sobie, jak bardzo potłukła sobie dłonie podczas walenia w maskę jeepa. - Au!

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i obok niej usiadł Ivan. Na jego twarzy malowała się skrucha.

- Lepiej nim nie jechać - powiedział. Z taką troską, jakby się opiekował maleńkim dzieckiem, pomógł jej wysiąść z samochodu i wziął od niej kluczyki. - Zawiozę do domu ciebie i twoje zakupy, a potem zajmę się samochodem.

- Nie ma mowy, ty napuszony, głupi mechaniczynie - syknęła. - Sama zawiozę swoje cholerne zakupy, wielkie dzięki.

Ivan zerknął na tylne siedzenia, na których poustawiane były torby z zakupami.

- Jesteś pewna?

- Jestem pewna.

Wyciągnęła wszystkie torby i zaniósła je na krawężnik.

- Jutro wrócę po samochód - powiedziała. - Po prostu go napraw, okej?

Ivan kiwnął głową i udał się z powrotem do warsztatu, gdy tymczasem Maggie wyjęła komórkę i zadzwoniła po taksówkę. A więc to by było tyle, jeśli chodzi o pewność siebie.

Una była zachwycona ulotką, która informowała o spotkaniu w parku o ósmej wieczorem za dwa dni. I ku uldze Maggie żadne z rodziców nie śmiało się ani nie rozgniewało, kiedy wyjaśniła, dość wstydliwie, co się stało z samochodem.

- Nie jestem w stanie jechać tam, by go odebrać, tak strasznie mi wstyd - rzekła - ale pewnie muszę. Tyle że jutro jestem w pracy.

- Nie przejmuj się, kochanie - powiedział ojciec, przytulając ją. - Ten warsztat jest niedaleko przychodni, a ja muszę

odebrać nowe recepty dla twojej mamy. Przejdę się tam spacerkiem i upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Jesteś pewny? - zapytała Maggie, przypominając sobie, że miała być teraz silna i pewna siebie, stawiająca czoło własnym błędom. Tyle że po prostu nie była w stanie stanąć ponownie przed tymi facetami w warsztacie, a zwłaszcza tym wielkim, którego uderzyła. - Mogłabym tam iść po pracy...

- Twojemu tacie spacer dobrze zrobi - oświadczyła surowo Una, zdejmując tym samym ciężar z jej ramion.

Maggie nie była zaskoczona, kiedy się dowiedziała, że w zamian ma się zająć roznoszeniem ulotek. Następne popołudnie spędziła na użeraniu się z ujadającymi psami, wsuwaniu ulotek pod drzwi na sąsiednich ulicach i proszeniu miejscowych sklepów o wywieszenie ich w oknach. Jednym z ostatnich miejsc, jakie odwiedziła Maggie, była kawiarnia na Summer Street, gdzie Henry i Jane z radością usłyszeli o wezwaniu do boju przez Unę.

- To fantastyczne, i takie profesjonalne - oświadczyła .lane, czytając ulotkę, po czym podała ją Xu, nieśmiałej chińskiej kelnerce.

Xu uśmiechnęła się, ale nie odezwała ani słowem. Choć Maggie często odwiedzała kawiarnię, jeszcze nie słyszała, by Xu coś mówiła. Ale dużo się uśmiechała, tak jak teraz.

- Twoja matka wykonała kawał dobrej roboty - stwierdził Henry. - To wspaniała kobieta. Widzę, po kim ty też laka jesteś.

- Och - rzekła uradowana Maggie i spłonęła rumieńcem.

- To bardzo dobrze, że wróciłaś do domu i opiekujesz się nią - kontynuował Henry. - Wiem, że to dla ciebie trudne, ale to dobra kobieta. No dobrze, skoro tak wiele robisz dla naszej społeczności, to miałabyś ochotę napić się latte, na koszt firmy, chyba że pijasz cappuccino?

- Dla mnie zwykła biała kawa - odparła Maggie. - I bardzo dziękuję, chętnie się napiję. Roznoszenie ulotek to ciężka praca.

- Wygląda apetycznie - rzekła uprzejmie, kiedy Xu przyniosła jej kawę.

Xu w odpowiedzi skinęła głową. Musi się tu czuć samotna, pomyślała nagle Maggie. Ta dziewczyna była młoda, miała z dwadzieścia kilka lat i od domu dzieliło ją pół świata. Maggie zastanawiała się, czy ma tu jakichś przyjaciół. Henry i Jane to uroczy ludzie, ale pewnie nie stanowili wesołego towarzystwa dla młodej dziewczyny.

Wieści na temat walki przeciwko radzie miejskiej szybko się rozeszły i nazajutrz o ósmej park, który zamykano dopiero

o dziewiątej, pełen był ludzi z Summer Street i sąsiednich ulic, chcących wiedzieć, co mogliby zrobić, by go uratować.

Maggie cały dzień spędziła w pracy, więc nie była tak do końca pewna planu swej matki. Poczowała lekkie rozczarowanie, kiedy się dowiedziała, że Unie przyszła do głowy jedynie petycja podpisana przez wszystkich bez wyjątku, oświadczająca, że ci wstrętni deweloperzy nie powinni się tu pojawić i że rada miejska jest to winna ludziom z Summer Street i całej okolicy, chcącym uratować park.

- Nasze głosy muszą zostać wysłuchane! - oświadczyła Una Maguire, stojąc na czele tłumu i wymachując kulą.

Maggie pomyślała, że jej matka okazała się zadziwiająco dobra, jeśli chodzi o przemawianie do ludzi. Kto by pomyślał?

- Petycja nic nie da! - zawołał z tyłu jakiś mężczyzna i Maggie w duchu musiała mu przyznać rację. - Nie zwracają uwagi na petycje. Będziemy musieli zrobić coś innego, coś o szerszym zasięgu.

- Na przykład co? - zapytała ostro Una. - Proszę w takim razie o propozycje. Jeśli nie jest pan częścią rozwiązania, jest pan częścią problemu.

To zapoczątkowało kłótnię. Ludzie krzyczeli na mężczyznę z tyłu, że próbuje im to uniemożliwić, gdy tymczasem jego zwolennicy zakrzykiwali ich, że petycja to w ogóle nie jest dobry pomysł. Należało wstąpić na drogę sądową albo upolitycznić całą sprawę.

Zapanował chaos i wyglądało na to, że nawet Unie wyczerpała się energia.

Mężczyzna z tyłu stracił w końcu cierpliwość i zawołał:

- Kto jeszcze może pomóc? Ktoś ma znajomych w radzie miejskiej?

Maggie rozejrzała się, by się przekonać, czy jest ktoś, kto przejąłby dowodzenie. Najlepiej ktoś, kto wiedział, jak funkcjonuje rada miejska i generalnie przedsiębiorstwa, i kto umiałby dotrzeć do odpowiednich kanałów. Zobaczyła jednak, że nie ma żadnego ochotnika. Wszyscy chcieli, by park ocalał, ale z wyjątkiem Uny nie było nikogo gotowego, by się za nim aktywnie wstawić.

To przekleństwo współczesności - tak mówiła często jej matka, kiedy przychodziło do wciągnięcia ludzi do pomocy charytatywnej i Meals on Wheels: wszyscy byli zbyt pochłonięci własnym życiem, by zrobić coś dla innych.

- Cóż - odezwała się z ociąganiem Maggie, czując, że powinna pomóc mamie. - Pracuję w bibliotece i pewnie dałabym radę poszukać informacji na temat tego, co możemy zrobić.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy ludzie zaczęli się odzywać:

- Tak, porządna kobieta, doskonały pomysł. Następnie mężczyzna, który wszedł w paradę Unie,

uśmiechnął się szeroko do tej wysokiej, wyglądającej na kompetentną rudowłosej kobiety i zawołał:

- Przewodnicząca, zróbmy z niej przewodniczącą!

I nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje, Maggie Maguire - która do tej pory była co najwyżej kapitanem dru-

żyny podczas szkolnej gry w koszykówkę - została wybrana na przewodniczącą naprędce utworzonego komitetu „Ratujmy Nasz Pawilon”.

- Jestem z ciebie taka dumna - powiedziała matka, kiedy szli do domu po wybraniu do komitetu jeszcze kilku innych osób, podniesiona na duchu tym ogromnym poświęceniem Maggie i nadzieją, że wywiąże się z powierzonego jej zadania. - Wiedziałam, że ty będziesz wiedziała, co zrobić. Pomyślałam, że jeśli skieruję cię na właściwy tor, dalej pójdiesz sama. Mówiłam tak, prawda, Dennis, mówiłam?

- Tak - odparł z zadowoleniem ojciec Maggie. - Twoja matka zawsze powtarza, że masz predyspozycje do dowodzenia. Potrafisz zrobić wszystko, nasza Maggie potrafi wszystko.

-1 - kontynuowała Una - powinniśmy urządzić wielkie przyjęcie w parku, kiedy już wszystko załatwimy.

- Chwileczkę - oświadczyła Maggie. - Nic nie zostało jeszcze załatwione. Może się zdarzyć tak, że nie wygramy. Mamo, bądź realistką.

Maggie wciąż była zaszokowana tempem, w jakim to wszystko się wydarzyło - zaszokowana i przerażona. Została przewodniczącą komitetu. Przewodniczące to były twarde, rzeczowe kobiety pokroju Shony, a nie te mięczakowate, zdradzane przez byłych chłopaków i wlewające benzynę do diesli. Gdyby tylko mogła się jakoś z tego wykręcić... Wiedziała jednak, że nie ma takiej możliwości. A jeśli spaprze cały ten projekt?

- E tam, nie - rzekła jej matka, z pewnością wymalowaną na twarzy. - Już ty coś wymyślisz, wiem dobrze, że tak właśnie będzie. Nie ma rzeczy, z którą byś sobie nie poradziła.

- Ona oszalała. Złamanie nogi uszkodziło jej mózg - oświadczyła przez telefon Maggie, rozmawiając z Elisabeth. Musiała wyjść choć na chwilę z domu, więc zabrała komórkę i szła teraz wolno wzdłuż Summer Street, myśląc, że może chociaż kuzynka ją zrozumie.

- Twoja matka była zawsze szalona - odparła z roztargnieniem Elisabeth. Słysząc było, że w jej biurze praca wre.

- Nie normalnie szalona: szalona, myśląc, że wszystko jestem w stanie zrobić. To coś innego - kontynuowała Maggie.

- Ona zawsze uważała, że ty możesz wszystko - odparła ze zdumieniem Elisabeth. - Kiedyś doprowadzało mnie to do szaleństwa. Twoja matka nigdy nie przestawała nawijać

o tym, jaka to jesteś mądra i jakie dobre masz oceny w dzienniczku, co z kolei prowadziło do tego, że moja matka miała obsesję, by moje oceny były równie dobre. Presja.

- Poważnie? - Maggie jakoś nie bardzo to pamiętała. Z czasów szkolnych pamiętała jedynie cierpienie i to, że nigdy nie była w stanie powiedzieć o tym nikomu z wyjątkiem Klisabeth. - Gdybym tylko rzeczywiście potrafiła coś zrobić

dodała posępnie.

- Maggie, posłuchaj mnie. - Głos Elisabeth był surowy

i Maggie podejrzewała, że w taki właśnie sposób rozmawia przez telefon z nastoletnimi modelkami. - Mam tu pracy po same uszy i jestem rozdrażniona, co oznacza, że zaraz powiem coś, co już od dawna chciałam ci powiedzieć, coś, czego prawdopodobnie będę żałować, ponieważ ciebie to zaboli, ale muszę to zrobić: przestań się nad sobą użalać w kwestii tego, co miało miejsce w szkole, i weź się w końcu za własne życie.

Maggie wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Wiem, że mnie znienawidzisz za to, co ci powiem, ale muszę. Jesteś mądra i zabawna, możesz zrobić wszystko i powinnaś przestać myśleć, że jest inaczej. Teraz, kiedy rzuciłaś na dobre tego swojego chłopaka nieudacznika, wyjdź z domu i zacznij żyć. Ciocia Una ma rację: jesteś w stanie zrobić wszystko. Jesteś jedyną osobą, która w to nie wierzy. Muszę kończyć, pa.

Minęło całe trzydzieści sekund, nim Maggie odsunęła telefon od ucha. Jeszcze nigdy w życiu Elisabeth nie mówiła do niej w taki sposób. Była zaszokowana. Elisabeth była jedyną osobą, która wiedziała o tym, co działo się w szkole, jej jedynym sojusznikiem, a teraz zwróciła się przeciwko niej.

Maggie szła w pełnym oszołomienia milczeniu, nieświadoma tego, dokąd idzie. Ale wreszcie stało się coś dziwnego. Oprócz szoku i użalania się nad sobą zaczęła czuć iskierkę własnej wartości. Wszyscy uważali, że jest w stanie tak wiele zrobić. Przecież to niemożliwe, żeby wszyscy się mylili, prawda?

Później tego wieczora przygnębianie powróciło. Zaczęło do niej docierać, że jakimś cudem wybrano ją na przewodniczącą komitetu i czekało ją trudne zadanie.

- Nie wiem nawet, jak przewodzić komitetowi - jęknęła do Shony przez telefon. - Na studiach ani razu nie byłam na zebraniu kółka dyskusyjnego!

- Och, kotku - odparła spokojnie Shona - świetnie sobie poradzisz. Widziałaś, jak działa wiele uczelnianych komitetów, wiesz, jak to się odbywa. Ludzie siadają na sali, kłócą się, omawiają różne sprawy, omawiają je jeszcze dokładniej, robią przerwę na herbatę i ciastka i wreszcie zgadzają się bądź nie zgadzają. Na końcu ustalają, że spotkają się o tej samej porze za tydzień i wtedy ponownie omówią te same kwestie. Proste.

- Wiem - jęknęła Maggie. - Tego właśnie nie chcę. Chcę, by ten komitet rzeczywiście ratował park, a nie dyskutował na ten temat w nieskończoność albo do czasu, gdy deweloperzy sprowadzą koparkę i w jedną noc zburzą pawilon.

- No tak - rzekła w zamyśleniu Shona. - Chodzi ci o to, że jest to komitet, z którym rzeczywiście chcesz coś osiągnąć. Mmm. Uczelniane życie nie przygotowuje do czegoś takiego. Paul! - zawołała. - Maggie jest przewodniczącą komitetu i chcą coś naprawdę zdziałać. Co powinna zrobić?

Paul zajmował jedno z ważniejszych stanowisk w firmie produkującej oprogramowania komputerowe. Zajmował się badaniami i rozwojem, i miał pod sobą kilkunastu pracowników.

Maggie usłyszała jakiś szelest, jakby ktoś składał gazetę. Była siódma wieczorem i wyobrażała sobie, jak Paul siedzi sobie wygodnie na sofie, obłożony gazetami, nogi opiera

o lawę, a na kolanach trzyma pilota.

- Cześć, Maggie - rzekł, biorąc od Shony słuchawkę. Moja rada jest taka: na wielkim arkuszu papieru napisz,

jaki jest cel komitetu, zabierz go na wasze pierwsze zebranie

i powieś na ścianie. Wyjaśnij, że nikt nie jest w komitecie po to, by zyskać popularność albo zapewnić sobie coś, czym będzie się mógł przechwalać. Wszyscy są tutaj po to jedynie, by osiągnąć cel, który napisałaś na arkuszu. A czym właściwie zajmuje się ten komitet?

- Chcemy powstrzymać radę miejską przed sprzedażą połowy parku deweloperowi, który chce tam wybudować apartamentowce.

- Cóż, wydaje mi się, że musicie złożyć w radzie miejskiej formalny sprzeciw wobec tych planów, następnie porozmawiać z lokalnymi politykami...

- Porozmawiać z prasą - rzuciła w tle Shona.

- Tak - powiedziała z podekscytowaniem Maggie, zapisując to pospiesznie. Doznała przyływu natchnienia.

A może dowiedzieć się więcej na temat tego parku? Chcą zburzyć przepiękny, stary pawilon. Pochodzi przynajmniej z czasów wiktoriańskich i powinien być miejscem ważnym i historycznym.

- Dokładnie - powiedział z satysfakcją Paul. - Zablokuj ich ankietami, formalnymi sprzeciwami i składającymi skargi politykami, tak by ta cała sprawa nie okazała się warta ich zachodu. Albo tak, by kiepska prasa, którą za to dostaną, odstraszyła deweloperów. Kluczem do komitetów, Maggie

- dodał - jest to, co w przypadku amatorskich teatrów. Nigdy nie daj po sobie poznać, że się boisz.

Nazajutrz o ósmej wieczorem kawiarnia na Summer Street została zamknięta dla wszystkich z wyjątkiem członków komitetu „Ratujmy Nasz Pawilon”. Było ich dziesięcioro i siedzieli wokół dwóch zsuniętych razem stolików. Maggie siedziała na jednym końcu.

Wcześniej wybrała się na zakupy i kupiła poważną, granatową marynarkę, którą założyła do swych najlepszych ciemnych dżinsów i turkusowej bluzeczki na ramiączkach. Włosy związała w szykowny węzeł, przed sobą miała notatnik i długopisy, zaś cały niepokój trzymała starannie zamknięty w sobie. Wszyscy członkowie komitetu byli od niej starsi i pewnie mieli o niebo większe doświadczenie, ale to ona była przewodniczącą i to ona miała zamiar doprowadzić ich sprawę do pomyślnego zakończenia.

- Najważniejsza kwestia na dzisiaj - rzekła - to nasze cele. Nikt z nas nie jest tutaj po to, by się przechwalać, że należy do komitetu, ani by mieć o czym rozmawiać, ani dlatego, że lubi kłótnie.

Słyszając te słowa jeden z mężczyzn otwierał i zamykał usta jak złota rybka.

Paul powiedział jej, że zawsze się znajdzie jedna osoba, która się zapisała dlatego, że lubi zarówno dźwięk własnego głosu, jak i dobrą kłótnię.

Maggie poczuła, jak uderza w nią fala pewności siebie. Zawczasu ostrzeżony jest na czas uzbrojony.

Była gotowa na pana Złotą Rybkę.

- Jesteśmy tutaj po to, by ocalić coś bardzo ważnego na Summer Street. Nie będzie więc to jeden z tych komitetów, gdzie wszyscy się kłócą albo grają pod publiczność, albo próbują okazać się lepsi od innych. Jesteśmy tutaj, by uratować pawilon i tylko po to.

Dziewięcioro ludzi wpatrywało się w nią, kiwając głowami, i Maggie pomyślała, że to niewiarygodne, iż jest w stanie stawić im czoła i mówić w taki spokojny, wyważony sposób, gdy tymczasem w środku cała się trzęsie.

Na szczęście nikt nie mógł zajrzeć do jej wnętrza.

- Przygotowałam listę tego, co uważam za konieczne do zrobienia, i zaraz głośno ją przeczytam. Następnie każdy może przedstawić własne sugestie, aż uda nam się stworzyć strategię działania dla tego, co chcemy osiągnąć w ciągu kilku kolejnych dni, tak? Jestem w tym nowa i będę bardzo wdzięczna za pomysły, ale musimy pracować jako zespół, inaczej szybko zabrnjemy w ślepy zaułek.

Następne półtorej godziny minęło jak z bicza strzelił, ale kiedy Maggie ogłosiła zakończenie zebrania, każdy miał przydzielone jakieś użyteczne zadanie do wykonania przed kolejnym spotkaniem. Maggie miała spróbować zainteresować ich sprawą polityków.

Kiedy wszyscy poszli, Maggie i Xu, która została w kawiarni, by pomagać i parzyć kawę, razem posprzątały.

- Mam nadzieję, że nie zanudziłaś się na śmierć, wysłuchując tego wszystkiego - rzekła do Xu.

Teraz kiedy zostały same, miała nadzieję, że dziewczyna z nią porozmawia.

- To było interesujące - odparła Xu. Miała niski, siodłu głos i idealnie mówiła po angielsku. - W moim kraju tego nie robimy. Jeśli władze chcą wyburzyć jakiś budynek, to po prostu go burzą. Jest zupełnie inaczej.

Maggie przerwała zbieranie kubków i usiadła.

- Powiedz mi - rzekła. - Powiedz mi, jak się tu znalazłaś i co byś chciała robić, i jaki jest twój kraj. Bardzo bym chciała się tego dowiedzieć.

Wszystkie wcześniejsze uśmiechy Xu były nieśmiałe - bardziej mechanizm obronny niż uczucie - ale teraz uśmiechnęła się naprawdę promiennie.

- Do tej pory o to nie pytałam, ponieważ się bałam, że cię urażę albo coś w tym rodzaju - przyznała Maggie. - Jesteś bardzo odważna, że przyjechałaś tutaj zupełnie sama.

- Odwaga to w Chinach jedyna opcja - wzruszyła ramionami Xu. - Moja matka jest znacznie odważniejsza ode mnie. To nic w porównaniu z tym, co musiała znosić podczas rewolucji kulturalnej. Ja musiałam jedynie wsiąść do samolotu i nauczyć się obcego języka, bym mogła pójść tutaj na studia. Ja mogę dokonywać wyborów w moim życiu, ona nie mogła.

- Czy twoja matka także tutaj przyjedzie? - zapytała Maggie, nie chcąc denerwować Xu teraz, gdy zaczęła mówić.

- Może. Kocha Chiny, to jej dom. Bardzo bym chciała, żeby mnie odwiedziła. Nie mówi po angielsku.

- A ty tam wrócisz?

- Nie wiem. Kocham Chiny i dobrze się tam czuję. Jesteśmy bardzo do siebie podobni, Chińczycy i Irlandczycy. Kochamy swoje rodziny.

- Twój angielski jest fantastyczny. Kiedy zaczęłaś się uczyć?

- Dziewięć miesięcy temu.

- Dziewięć miesięcy temu! Mówisz naprawdę biegle. Nie wyobrażam sobie, bym ja mogła osiągnąć tak dobry wynik w tak krótkim czasie.

Xu roześmiała się głośno, tak że gęste ciemne włosy zamigotały.

- Chińczycy wiedzą, co to ciężka praca - uśmiechnęła się szeroko.

Siedziały i rozmawiały przez godzinę, po czym Xu powiedziała, że powinna iść do domu. Maggie też, ponieważ wiedziała, że jej matka siedzi i czeka na nią, chcąc się dowiedzieć, jak poszło zebranie.

- A może wysłabyś gdzieś czasem ze mną? - zapytała Maggie. - Do kina albo coś w tym rodzaju?

- Bardzo chętnie, naprawdę - odparła Xu.

W drodze do domu Maggie pomyślała, że skoro dziewczyna z małego miasteczka w Chinach potrafiła przemierzyć tysiące kilometrów, aby dostać się do obcego kraju, gdzie nikogo nie знаła, by zacząć nowe życie, w takim razie ona nie ma zamiaru spędzić reszty życia na odczuwaniu strachu wobec tego, co jej się przytrafiło, gdy była uczennicą.

- No i jak poszło? - zapytała Una, kiedy tylko Maggie wróciła do domu. Jej matka bardzo chciała wziąć udział w zebraniu, ale nie należała do komitetu.

- Wspaniale - odparła Maggie niezmiennie zdumiona tym, że stanęła przed grupą obcych ludzi i świetnie sobie poradziła. - Wszyscy mieli mnóstwo pomysłów, porozdzielaliśmy różne zadania i myślę, że mamy naprawdę spore szanse powodzenia.

- Też bym chciała być w to zaangażowana - westchnęła Una.

- Ależ jesteś. Nie zapominaj o tym, że ta cała kampania to był twój pomysł - udobruchała ją Maggie. - Ale naprawdę potrzebujesz odpoczynku.

- E tam, odpoczynek - mruknęła Una. - Mam dość odpoczywania. Chcę coś zrobić.

- Cóż, muszę umówić się na spotkania z trzema miejscowymi politykami i mogłabyś iść tam ze mną - rzekła Maggie, myśląc, że będzie odważniejsza, mając towarzystwo.

- Cudownie - odparła usatysfakcjonowana Una. - Lepiej wyjmę z szafy moją najlepszą garsonkę. Nie chcę kuśtykać po korytarzach władzy, wyglądając jak jakaś szalona staruszka w rozciągniętym kardiganie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nazajutrz rano Christie zadzwoniła do Maggie, by ją zaprosić na kawę.

- Zdasz mi relację z zebrania - rzekła Christie. - Nie mogłam przyjść, choć poczta pantoflowa Summer Street zdążyła już rozgłosić, że to ty tym wszystkim kierujesz.

Maggie roześmiała się.

- Pacjenci przejęli kontrolę nad zakładem dla obłąkanych - odparła. - Ale owszem, kieruję tym. I bardzo chętnie wpadnę na kawę.

Kiedy się zjawiała, Christie ją uściskała i biegiem wróciła do kuchni, by wyjąć z piekarnika babeczki.

Maggie skorzystała z okazji i zatrzymała się, by podziwiać obrazy na korytarzu Christie, zachwycając się zawiłymi pociągnięciami pędzla, które ożywiały te delikatne rośliny przedstawione na akwarelach.

Jedną ścianę zajmowały obrazy z orchideami, przeplatane małymi grafikami Klimta w staroświeckich, złotych ramkach. Na drugiej wisiały śliczne malunki ziół, od koronkowych listków słodkiego marchewnika do jaskrawoczerwonych kwiatów bergamotki. Były tam zioła, o których Maggie nigdy dotąd nie słyszała, na przykład żywokost, lubczyk czy złocień maruna, a obok nich fioletowa francuska lawenda i lśniący cienki szczypiorek, tak dobrze narysowany, że niemal czuła jego cierpki zapach.

- Piękne te obrazy! - zawołała Maggie w stronę kuchni, gdzie Christie parzyła kawę. - Jesteś taka utalentowana.

- Uwielbiam zioła i liście - odparła Christie. - Tylu artystów chce malować tylko kwiaty, ale pozostałe rośliny i kryjąca się za nimi historia są fascynujące. Mają niesamowite zdolności lecznicze i smutne jest to, że je utraciliśmy. Staram się używać w kuchni ziół z mojego ogrodu. A jeśli nie smakowałaś porządnej herbaty z koprem włoskim i melisą, to można powiedzieć, że jeszcze nic nie przeżyłaś.

Z domu Devlinów emanowało cudowne poczucie ciepła i spokoju. Częściowo dzięki zapachowi białych róż Christie z ciasno zwiniętymi płatkami i palącej się świeczce, wypełniającej parter aromatem cytryny. Ale było coś jeszcze poza tymi zapachami. To był dom spokoju i bezpieczeństwa. Maggie miała wrażenie, jakby nic prawdziwie złego nie mogło się przytrafić tak długo, jak byli na świecie ludzie tacy jak Christie, którzy nadawali wszystkiemu sens i ofiarowali swój dom jako schronienie.

Wreszcie weszła do kuchni, a przed nią truchtały psy. Christie zdążyła już ustawić na tacy filiżanki i babeczki.

- Zabierz to do ogrodu - rzekła Christie - a ja za chwilę przyjdę z kawą.

Christie ostatnio tak dużo myślała o Maggie i Faye, że nawet się nie zdziwiła, kiedy obudziwszy się dziś rano, przekonała się, że jej myśli znowu zajmuje Maggie. Tyle że dzisiaj, gdy Maggie tu stała, sięgając po tacę, Christie przez ułamek sekundy zobaczyła, co konkretnie tak bardzo zraniło w przeszłości tę młodą kobietę.

Słodką, wysoką, życzliwą Maggie, która powinna mieć mnóstwo pewności siebie, ale nie miała. Uroczą Maggie, którą prześladowano w szkole.

Gdy leżała w łóżku, słuchając śpiewu ptaków i miarowego oddechu Jamesa, wróciła do niej przeszłość. Jej i Maggie łatwiej było myśleć o problemach innych ludzi, niż skupiać

się na własnych. Próbowwała wyrzucić ze swych myśli Careya Wolenskyego, ale nie udało się. Ten człowiek spędzał jej sen z powiek.

Zmusiła się więc do tego, by przypomnieć sobie Maggie rozpoczynając naukę w Świętej Urszuli ponad siedemnaście lat temu, nieśmiałą i tyczkowatą, potykającą się bez przerwy

o własne stopy. Była bystra i wesoła, trudno więc było zrozumieć, dlaczego to właśnie jej czepiały się te dziewczyny. Siostra Aquinas, która wtedy była dyrektorką szkoły, pewnego dnia poruszyła w pokoju nauczycielskim ogólnie temat prześladowania oraz tego, że Maggie Maguire najwyraźniej została obrana za cel przez pewną koterię małych damulek z jej roku, wśród których prym wiodła wyjątkowo paskudna pannica, Sandra Brody.

- Na razie będziemy mieć na to oko - powiedziała siostra Aquinas, która nie była zwolenniczką pośpiesznych decyzji. Uważała, że dziewczęta potrzebują więcej hartu. Siostra Aquinas spędziła dwadzieścia lat na misji w Afryce

i była zdania, że irlandzkim dziewczętom nie zaszkodziłoby nieco trudnych doświadczeń, ponieważ w porównaniu z dziećmi z afrykańskich gett nie miały najmniejszego pojęcia o życiu.

Christie nie myślała o tym zbyt wiele, jako że Maggie nie uczęszczała na żadne z jej zajęć, ale czasami widywała ją podczas lunchu. Maggie często spędzała czas sama, czytając, podczas gdy cała reszta była na dworze, grając w berka albo netball, albo rozmawiając w małych grupkach o chłopcach i o tym, jakie życie bywa niesprawiedliwe.

Kiedy Maggie zaczęła piątą klasę, przywódczyni gangu prześladowczyń, Sandra Brody, odeszła ze szkoły, choć Christie nie była sobie w stanie przypomnieć dlaczego, a bez swej naturalnej przywódczyni gang rozpadł się.

Jednakże było oczywiste, że w przypadku Maggie Maguire szkoda została już wyrządzona. Na świecie było mnóstwo naturalnie cichych, nieśmiałych ludzi, ale Christie czuła teraz, że Maggie nie należała do tej grupy. Było tak, jakby się przekonała, że trzymanie buzi na kłódkę i wtopienie się w tło to najłatwiejszy sposób, by przetrwać.

Christie zaniósła dzbanek do ogrodu, naląła kawę do filiżanek i poczęstowała ciasteczkami.

- Tutaj jest cudownie, niczym w małej oazie - westchnęła Maggie, rozsiadając się wygodnie i rozglądając. Zastanawiała się, o czym Christie chciała z nią porozmawiać. Być może zamierzała pomóc w kampanii „Ratujmy Nasz Pawilon”, co byłoby naprawdę super. Christie świetna byłaby w zmuszaniu ludzi do odpowiadania na jej telefony.

Zupełnie więc ją zaszokowało, gdy Christie zapytała:

- Byłaś prześladowana w Świętej Urszuli?

Maggie uniosła gwałtownie głowę. Z jej twarzy odpłynęła cała krew.

- Słucham? Wiedziałaś o tym wtedy?

- Niezupełnie. Nie chodziłaś na żadne z moich zajęć i wtedy ledwie cię znałam z imienia i nazwiska - odparła Christie - ale nagle wszystko nabrało sensu. To ta twoja tajemnica, prawda? To coś, co cię hamuje w życiu.

Maggie była w stanie jedynie bez słowa kiwnąć głową.

- Tak bardzo mi przykro. Byłam tam i gdybym naprawdę była tego świadoma... - rzekła Christie. - Twoja mama nie wie, prawda?

Tym razem Maggie pokręciła głową, zagryzając wargę, lly się nie rozplakać. To było takie nieoczekiwane, jakby ziemia usunęła się jej spod nóg.

- Nie potrafiłam o tym mówić, ponieważ...

- ...ponieważ uważałaś, że powinna wiedzieć i bez lego?

- Tak, pewnie tak.

Tilly wspięła się na kolana Maggie, pokręciła powoli na małych łapkach, po czym położyła się. Maggie przytuliła ją do

siebie, głaszcząc mięciutką jak bratki sierść, wdzięczna temu stworzeniu. I czuła, jak szok powoli mija.

Christie nachyliła się nad stolikiem i delikatnie dotknęła dłoni Maggie. Dotyk ten pomógł jeszcze bardziej, napełniając ją spokojem.

- Mówienie o tym nie jest niczym niewłaściwym - odezwała się Christie. - Ludzie, których kochamy, często nie dostrzegają naszego bólu i to jedna z najtrudniejszych rzeczy na świecie, z którymi musimy sobie radzić. Sądzymy, że powinni widzieć, że powinni wiedzieć. Gdy tak się nie dzieje, uważamy, że w jakimś stopniu nas zawiedli i musimy radzić sobie z tym wszystkim sami.

Maggie pokiwała głową. Mama nie widziała, co się dzieje, i to sprawiało, że Maggie czuła się nieskończenie samotna. Dom nie był dla niej schronieniem: stał się miejscem, gdzie nikt nie rozumie jej ani tego, przez co przechodzi. Urocze dziwactwa rodziców zaczęły być irytujące, ich radosna niewinność denerwująca. Gdyby byli bardziej spostrzegawczy, toby zrozumieli.

- To nie ich wina - rzekła Christie. - To wina Świętej Urszuli. Takiego dręczenia nie powinno się tolerować. I była to wina Sandry. - Zauważyła, że Maggie skrzywiła się, słysząc imię swej dręczycielki. - Ty nie ponosiłaś żadnej winy.

- Myślałam, że tak - wyrzuciła z siebie Maggie. - Że chodziło o coś we mnie, co było słabe albo dziwaczne.

- Ja nic takiego nie widziałam, choć wszyscy mamy jakieś słabości. Ale to nie stanowi usprawiedliwienia dla ich zachowania. Ty byłaś jedynie kimś, kogo się można czepiać, nic więcej. - Christie zawahała się. - Widziałaś się od tamtego czasu z Sandrą?

- Nie, choć... często o tym myślę - przyznała Maggie. - Odkąd poznałam ciebie i Faye i zobaczyłam, że Faye musi stawiać czoła własnym demonom, wciąż myślę o tym, że ja powinnam stawić czoła Sandrze. To głupie, wiem. Nie widziałam jej od tylu lat.

- Wcale nie głupie. Po raz ostatni widziałaś ją jako dziecko. Jako osoba dorosła mogłabyś zostawić to wszystko za sobą, odłożyć tajemnice na półkę.

- Tak, ale kto to wie, gdzie ona teraz jest. - Maggie nie mogła się przełamać, by wypowiedzieć na głos imię Sandry. - Jakie są szanse na to, że ponownie wkroczy do mojego życia?

- Zdziwiłabyś się - odparła w zamyśleniu Christie. - Myślisz o niej i mówisz o niej. Jesteś gotowa na to, by ponownie ją spotkać. To się nie dzieje bez powodu. W życiu nic nigdy nie jest przypadkowe, wciąż się o tym przekonuję, a ty nie?

Maggie pracowała dzisiaj na drugą zmianę, co znaczyło, że zaczynała w południe. Gdy szła w stronę biblioteki, po raz kolejny analizowała to, co powiedziała jej Christie.

Christie najwyraźniej uważała, że spotkanie z Sandrą Brody pozwoliłoby pozostawić za sobą przeszłość, ale to nie było takie proste, prawda?

A poza tym Maggie miała obecnie wystarczająco dużo spraw na głowie: przewodniczenie kampanii, dojście do siebie po rozstaniu z Greyem i próbę skierowania życia z powrotem na właściwy tor.

Była w stanie stawić czoła wielu sprawom, ale nie Sandrze Brody.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tego popołudnia Christie udała się do liceum Świętej Urszuli i przekonała się, że z dnia na dzień niemal całą nauczycielską populację ogarnęła gorączka egzaminacyjna. Czerwiec zbliżał się wielkimi krokami, a trzeciego dnia tego miesiąca rozpoczynały się egzaminy państwowe, ukoronowanie kilku lat ciężkiej pracy. Dwanaście dwuipółgodzinnych egzaminów rozłożonych na trzy pełne udręki tygodnie.

- To jest jak nieustanny, pulsujący ból głowy - stwierdził pan Sweetman, myśląc o ograniczonym zainteresowaniu czwartoklasistek sztuką *Jak wam się podoba* i o tym, że część szóstoklasistek nadal tylko do połowy przeczytała *Dumę i uprzedzenie*, posiłkując się jedną z kinowych wersji zamiast literackim pierwowzorem.

- *C'est vrai* - westchnęła mademoiselle Lennox, która przez sen recytowała Guy de Maupassanta, gdyż tak wiele razy czytała jego fragmenty swym ukochanym dziewczętom w klasie VI i VI a.

- Musimy myśleć pozytywnie, dla dobra dziewcząt - oświadczyła tubalnym głosem pani Ni Rathallaigh, nauczycielka wuefu nie przejmująca się zbytnio tym wszystkim, jako że drużyna piątoklasistek wygrała ligowe rozgrywki netballa.

Wszyscy w pokoju nauczycielskim rzucili w jej stronę gniewne spojrzenia.

Wszyscy z wyjątkiem Christie, której trudno się było skoncentrować na przejmowaniu się egzaminami, gdyż tak bardzo zamartwiała się Careyem Wolenskim i tym, że próbował ją odnaleźć. Nie oddzwoniła pod nagrany na automatyczną sekretarkę numer i na dzień wyłączała ją, na wypadek gdyby James wrócił wcześniej do domu i odsłuchał kolejną wiadomość. Miała nadzieję, że nikt nie będzie dzwonić wieczorem.

Tymczasem wszędzie ukazywały się wzmianki o Careyu. W dziale poświęconym sztuce w jednej z sobotnich gazet znalazło się omówienie jego prac wraz ze zdjęciami trzech obrazów. Dzięki Bogu na żadnym zdjęciu nie widać jego, pomyślała z ulgą Christie. Nie wytrzymałaby, gdyby ze zdjęcia wpatrywały się w nią jego niepokojące oczy. Zamiast tego musiała patrzeć na jeden ze słynnych mrocznych krajobrazów i dwa rzadkie - i dlatego znacznie cenniejsze - obrazy przedstawiające ciemnowłosą kobietę. Na jednym leżała pomiędzy łapami drapieżnego, kamiennego tygrysa w ruinach greckiej świątyni, zaś na drugim stała pośrodku łaźni tureckiej, gdzie pozostałe kobiety gawędziły i kąpały się, ona zaś stała sama i wpatrywała się przed siebie, a włosy częściowo zasłaniały twarz, która nie została do końca pokazana na żadnym z obrazów.

„To właśnie jego osobliwa umiejętność nadawania tradycyjnym motywom nowych znaczeń czyni z Wolenskyego mistrza” - zachwycano się w artykule. „Jego posępne krajobrazy są przesycone energią, ale to obrazy Mrocznej Pani wynoszą go na inny poziom. To jego arcydzieła, jednakże tożsamość uroczej Mrocznej Pani pozostaje jednym z najbardziej fascynujących sekretów współczesnej sztuki”.

Czytając te słowa, Christie oblała się zimnym potem. Wystarczająco dużo czasu poświęciła studiowaniu symbolizmu w sztuce, by zrozumieć, że ciemnowłosa kobieta na obrazach Wolenskyego zawsze pozostawała lekko poza jego zasięgiem, a zasłaniając jej twarz pragnął, by była poza zasięgiem wszystkich. Skoro on nie mógł jej mieć, to nikt inny także.

Jej nagie ciało było kobiece, już z nie tak bardzo jędrnymi piersiami i rozstępami po ciążyach. Pierwszą Mroczną Panią namalował jakieś dwadzieścia lat temu i krytycy sztuki uważali, że nie była ona wytworem jego wyobraźni.

Wolensky mieszkał wtedy w Irlandii, kontynuował autor artykułu, a to jego pierwsza podróż powrotna razem z tą triumfalną wystawą. Christie pomyślała o Careyu Wolenskim przebywającym w tym samym mieście, mieszkającym, oddychającym zaledwie kilka kilometrów od niej w jakimś luksusowym hotelu w centrum, i zrobiło jej się niedobrze.

Gdyby tylko mogła dojrzeć przyszłość i wiedzieć, co się wydarzy, wtedy mogłaby sobie poradzić z tym wszystkim. Powiedzieć Jamesowi, gdyby zaszła taka potrzeba. Zmierzyć się z bólem. Uczynić to, co było trzeba.

Ale czekanie i nieświadomość ją dobijały.

Ana nie wspomniała ponownie o Careyu, ale Christie i tak nie była w stanie myśleć o czymkolwiek innym. O tym, że za jednym zamachem zdradziła Jamesa i Anę.

Miała dosyć dusznego pokoju nauczycielskiego i narzekań kolegów po fachu, więc opuściła go przed końcem przerwy. Przynajmniej będzie miała chwilę spokoju przed rozpoczęciem kolejnej lekcji.

Na podłodze pomalowanego na niebiesko korytarza, prowadzącego do klasy plastycznej, leżały porozrzucane kartki papieru. Schyliła się i powoli je zebrała. Gdy to czyniła, spod nich wyleciało białe piórko. Lekki przeciąg poniósł je dalej korytarzem.

Jej matka zawsze mówiła, że białe pióra to oznaki przechodzących aniołów.

Christie popatrzyła na kartki. Notatki egzaminacyjne, mnóstwo zapisanych arkuszy papieru kancelaryjnego, zaś pomiędzy nimi wciśnięta jakaś kartka. Wyciągnęła ją. To ulotka reklamująca sklep z kawą i bazarek, na którym stragany oferowały używane książki, antyki w niewiarygodnych cenach,

rośliny, swetry robione na drutach, na samym zaś dole, jakby dodane po namyśle, widniało słowo: wróżenie.

Nic nie działo się bez przyczyny - czyż nie tak właśnie rzekła jakiś czas temu do Maggie? Ta ulotka i białe piórko pojawiły się na jej drodze z jakiegoś konkretnego powodu. Złożyła ulotkę i wsunęła ją do kieszeni. Później się nad tym zastanowi.

Na wieczór ona i James byli zaproszeni na przyjęcie do sąsiadów. Hendersonowie mieszkali na Summer Street od piętnastu lat i prawie od razu zaprzyjaźnili się z Jamesem i Christie. Tommy Henderson był miłośnikiem motocykli. James nigdy nie mógł sobie pozwolić na kupno własnego, uwielbiał jednak przesiadywać w garażu sąsiada i przyglądać się, jak rozkłada na części swój najnowszy model, rozprawiając o wyższości nowego bmw nad klasycznym nortonem.

Jamesowi przypadł do serca Tommy, zaś Christie szczerze polubiła Laurie Henderson. Mieli trzech synów mniej więcej w wieku Shane'a i Ethana, a Laurie przez większość życia także pracowała zawodowo, więc ona i Christie dochodziły razem do tych samych etapów w życiu. Dlatego kiedy Tommyemu stuknęła sześćdziesiątka i zamierzał uczcić to wielkim przyjęciem w ogrodzie, czymś naturalnym było, że Devlinowie znaleźli się na samym początku listy zaproszonych gości.

- Nie mam zbytnio nastroju na zabawę - powiedziała Christie, gdy szykowali się w sypialni do wyjścia.

- Na miejscu zmienisz zdanie - odparł miękko James. Będzie fajnie. Zjawi się mnóstwo znajomych.

- W tym właśnie problem - rzekła z irytacją. - Nie jestem w nastroju, by prowadzić rozmowy ciągle z tymi samymi ludźmi.

James przerwał zakładanie spinek do mankietów i zaczął czule masować jej kark. Tym razem nie podziałało to na nią odprężająco.

- Jesteś cała spięta, Christie. Wszystko w porządku, kochanie? Boli cię głowa?

- Nie - odparła z lekkim rozdrażnieniem. - Nie boli, jestem po prostu zmęczona.

Zmęczenie to niezawodna wymówka w każdym przypadku, nieprawdaż? Każde złe zachowanie dawało się wytłumaczyć, mówiąc: „Przepraszam, byłam po prostu zmęczona. Bardzo mi przykro, Wysoki Sądzie, nie miałam zamiaru ukraść miliona funtów, byłam po prostu zmęczona. Wybacz, kochanie, nie miałam zamiaru zdradzić cię z innym mężczyzną, byłam po prostu zmęczona”.

Odwróciła się do Jamesa.

- Przepraszam, że tak narzekam, dam sobie radę.

- To dobrze - odparł z zadowoleniem. - Szykuje się niezła impreza. Przygotowałaś kwiaty?

- Tak.

- Poszukam butelki wina i możemy wychodzić.

James dokończył się szykować, co zabrało mu jakieś siedem do ośmiu minut, po czym wyszedł, Christie zaś nadal siedziała przy toalecie, przyglądając się sobie w lustrze; zastanawiając, czy na twarzy nie ma wypisanego poczucia winy.

Nieco się spóźnili i przyjęcie było już w pełnym rozkwicie.

- Postanowiliście więc w końcu zaszczyścić nas swoją obecnością? - zapytał w drzwiach Tommy Henderson, uśmiechając się od ucha do ucha.

Oczywiście żartował. Tommy jeszcze nigdy nie powiedział do nikogo złego słowa. Objął Jamesa i Christie i zamknął ich w niedźwiedzim uścisku.

- Tak się cieszę, że jesteście - rzekł.

- Przyszliśmy tu tylko na darmowe picie i wyzerkę - zażartował James.

- Darmowe picie? To znaczy nie przyniosłeś własnego? Ty gnido, nie sądziłem, że jesteś aż tak skąpy.

Żartowali, przekomarzali się i śmiali. James zapytał, jaki wspaniały motocykl dostał w prezencie urodzinowym od rodziny, Tommy wyjaśnił zaś jowialnie, że nie podarowano mu motoru, ale dziewczynę w garsonierze.

- Tego właśnie trzeba każdemu mężczyźnie, któremu stuknie sześćdziesiątka - oświadczył. - Żona także uważa, że to doskonały pomysł. Nie będzie już musiała męczyć się z obowiązkiem małżeńskim.

Obaj mężczyźni ryknęli śmiechem i Christie próbowała przyłączyć się bez przekonania. Przepadała za Tommym i w normalnych okolicznościach uwielbiała jego błazeństwa, jednak nie dzisiaj.

Przyjęcie odbywało się w ogrodzie i wyglądało tak, jakby pojawiła się na nim połowa mieszkańców Summer Street: rozmawiali z ożywieniem, śmiali się, pili, zanurzali w dipie kawałki kurczaka, rozprawiali na temat cen domów, tego, co porabiają ich dzieci i oczywiście o tym, co deweloperzy planują uczynić z ich parkiem.

- Byłam na spotkaniu - rzekła jedna z pań - i Una Ma-guire zaproponowała złożenie petycji, ale nie sądzę, by to wystarczyło. Na żadnej radzie miejskiej nie zrobi wrażenia długa lista nazwisk. Dowodzenie przejęła jej córka, Maggie. Została przewodniczącą. Bystra dziewczyna, zawsze tak powtarzam. Choć wydaje mi się, że były jakieś kłopoty z nią i jej chłopakiem.

Christie minęła grupkę kobiet, poirytowana tym plotkarskim podejściem do Maggie. Pomyślała, że chyba się starzeje. Tak wiele rzeczy ją irytowało. Jakaś obca osoba, która ledwie знаła Maggie, rozprawiała o jej życiu i cierpieniu tak, jakby nie miało ono znaczenia. Pewnie krążyło także wiele plotek na temat Faye i Amber. Że zamknięta w sobie i konserwatywna haje Reid nie miała pojęcia, co się dzieje na jej podwórku, a z Amber okazało się niezłe ziółko, pomimo dobrych manier i tego, w jaki sposób ją wychowywano.

Christie ruszyła w stronę, gdzie brylowała Laurie, zastanawiając się, czy za kilka tygodni sąsiadki nie będą miały nowego tematu do plotek: jej osoby.

- Słyszałyście o Christie Devlin, to prawdziwy szok. Rozstała się z tym swoim uroczym mężem, zawsze mówiłam, że jest dla niej za dobry. Od zawsze była nieco szalona i pretensjonalna, mimo że słynęła z mądrości. Skoro tak, to mogła przecież coś takiego przewidzieć. Tylko sobie wyobraźcie, podobno jakiś polski malarz namalował ją nago. Słyszałam, że jest nieprzyzwoicie bogaty. Skandal. To dowodzi, że w ogóle nie zna się ludzi, no nie? Można mieszkać obok przez trzydzieści lat i nie mieć pojęcia, co się dzieje w ich życiu.

- Christie, cudownie cię widzieć. - Laurie odłączyła się od grupy gości, z którymi rozmawiała, i powitała ją szczerym uściskiem. W Laurie nie było nic dwulicowego. Ona nie rozsiewałaby plotek na temat Christie, bez względu na to co by się wydarzyło.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekła Christie. - Prawdę mówiąc, jestem trochę zmęczona i jakoś trudno mi się było wyszykować.

- Nic się nie stało - odparła Laurie. Jedną z jej zalet było to, że nie należała do osób, w których towarzystwie trzeba udawać. - Chodź, przedstawię cię mojej szwagierce, Beth. Chyba się jeszcze nie znacie? Też jest nauczycielką i uwielbia pracę w ogrodzie, więc będziecie miały o czym rozmawiać.

Christie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Szwagierka Laurie nie uczyła na szczęście plastyki, więc w rozmowie nie pojawił się temat nowych, ekscytujących wystaw enigmatycznych polskich artystów, którzy od dwudziestu pięciu lat malowali nagie ciemnowłose kobiety. Była nauczycielką angielskiego i spędziły całkiem przyjemną godzinę na rozmowie o trudnościach nękających ich profesję, o tym, jak bardzo egzaminy dawały się uczniom w kość i jak bardzo szkoły zmieniły się na przestrzeni kilku ostatnich dekad.

- Och, patrz - rzekła Beth.

Laurie zdążyła właśnie wjechać ze stolikiem na kółkach, na którym znajdował się olbrzymi tort. Dla zabawy nie zdecydowała się na jedną wielką świeczkę i napis „Wszystkiego najlepszego”: poszła na całość i powtykała w tort sześćdziesiąt świeczek, które paliły się jasno i widać je pewnie było z kosmosu.

- Dużo tych świeczek. Ile ty masz lat, Tommy, dziewięćdziesiąt? - zapytał jeden z dowcipnisiów.

- Zadzwońcie po karetkę - dorzucił inny. - Będzie mu potrzebna, kiedy w końcu uda mu się wszystkie zdmuchnąć.

- Dajcie spokój - rozległ się trzeci głos. - Będziemy musieli mu pomóc. Biedny Tommy nie ma już siły na nic fizycznego z wyjątkiem tej kochanki w garsonierze.

- Tommy! - zawołała gniewnie Laurie. - To był taki rodzinny żarcik, nie musiałeś wszystkim go zdradzać! Co sobie ludzie pomyślą?

- Ach, Laurie - uśmiechnął się wesoło Tommy, obejmując ramieniem żonę. Stał tak blisko urodzinowego tortu, na ile mu pozwalało gorąco płomieni. - Ludzie wiedzą, że cię uwielbiam. Zapewniasz mi wystarczająco dużo roboty, jak miałbym mieć jeszcze czas na kochankę, no powiedz?

Wszyscy się zaśmiali. Stojący po drugiej stronie ogrodu James uśmiechnął się do Christie. Gestem pokazał, by podeszła i stanęła przy nim. Ale ona pokręciła głową, jakby chciała mu w ten sposób powiedzieć, że jest zbyt ciasno, by to uczynić. Posłała mu całusa, czując się jak zdrajczyni. Ponieważ prawda była taka, że nie miała ochoty stać obok ukochanego męża i wołać „Wszystkiego najlepszego!” połowie szczęśliwej małżeńskiej pary. Bliskość takiej lojalnej pary sprawiła, że sama poczuła się jeszcze bardziej niełojalna. Kiedy Tommy zamknął oczy, by zdmuchnąć świeczki i wypowiedzieć w myślach życzenie, Christie Devlin także je zamknęła, marząc całą duszą

o tym, by nigdy nie poznała Careya Wolensky'ego. Wiedziała, że wszyscy popełniali głupstwa w młodości, w średnim wieku i na starość także. Ale zostawiali je za sobą, godzili się z tym

i żyli dalej. Ona jednak nigdy się z tym nie pogodziła i od wielu lat przeszłość ciągnęła się za nią. Christie najbardziej w życiu żałowała spotkania na swojej drodze Careya Wolensky'ego i tego, w jaki sposób zmienił jej życie. To był jedyny poważny sekret w jej życiu i przerażało ją, że teraz wyjdzie na jaw i wszystko zniszczy.

W następnym tygodniu Christie udała się na bazarek, który reklamowała ulotka znaleziona na szkolnym korytarzu. Mieścił się w wielkiej hali, na miejscu dawnej giełdy kwiatowej. Właściciele straganów sprzedawali wszystko: od podejrzanych antyków do aksamitnych szali, starych, oprawionych w skórę książek i zdrowego jedzenia.

Christie przechadzała się po hali targowej z przewieszoną przez ramię torbą na zakupy. Uznała, że jej obecność tutaj jest jak najbardziej usprawiedliwiona. Mogła kupić witaminy i może jakieś ekologiczne warzywa. Mogła myśleć z wyprzedzeniem i znaleźć parę prezentów pod choinkę.

Na wypadek gdyby spotkała kogoś znajomego, starała się przekonać samą siebie, że to zwyczajna wyprawa na zakupy. Prawdę powiedziawszy, usprawiedliwienie potrzebne było dla jej własnego sumienia. Dla kogoś z tradycyjnym, katolickim wychowaniem udanie się do wróżki stanowiło poważny, nieco przerażający krok. Jej dar widzenia przyszłości był tylko zdolnością, z którą przyszła na świat. Ale celowe spotkanie się z kimś, kto go posiadał, nie było mile widziane przez Kościół, nawet w bardziej obecnie liberalnych czasach.

Okrążyła raz halę targową, kupując po drodze organiczne grzyby, nieoczyszczone jeszcze z ziemi, w której rosły, i coś w rodzaju keksu, wilgotnego, w kolorze ciemnego miodu. Jamesowi będzie smakować do herbaty. I wtedy zobaczyła stoisko wróżki.

Spodziewała się czegoś bardziej egzotycznego. Nie było żadnych pluszowych kotar ani wyszywanego złotem szyfonu. Jedynie dwa krzesła pod ścianą wyklejaną starymi francuskimi plakatami, wyraźnie pochodzącymi z sąsiedniego stoiska. Obok znajdowały się niewielkie drzwi, wykonane z równie cienkiej sklejki jak ściana, a za nimi najpewniej skrywała się wróżka. Christie rozejrzała się, czy nikt jej nie widzi. Teraz albo nigdy.

Usiadła na jednym z krzeseł i czekała. Minęło kilka minut i już miała wstać i odejść, sądząc, że za drzwiami nikogo nie ma, kiedy uchyliły się ze skrzypnięciem i pojawiła się w nich jakaś kobieta.

Christie pomyślała, że wygląda na bardzo młodą. Była na siebie poirytowana, że spodziewała się jakiejś pomarszczonej, starej Romki. Jednakże ta kobieta nie mogła mieć więcej jak trzydzieści lat. Miała jasną cerę, związane z tyłu długie włosy w odcieniu ciemnego blondu, ubrana była w prostą niebieską bluzkę i ciemne spodnie. Równie dobrze mogła pracować za biurkiem jakiegoś banku. Christie zgromiła się w myślach za ufanie stereotypom.

- Chciałaby pani wejść? - zapytała, a jej akcent zdradzał, że pochodzi gdzieś z centralnej części kraju.

- Tak, oczywiście - odparła Christie.

W niewielkim pomieszczeniu honorowe miejsce zajmował stolik przykryty czarnym aksamitem i dwa krzesła. Wisiały w nim także ciężkie kotary.

- Dźwiękoszczelne - powiedziała rzeczowo dziewczyna. Przechyliła głowę lekko na bok. - Dlaczego pani się tu zjawiała?

- Co ma pani na myśli? - zapytała z zaskoczeniem Christie.

- Dlaczego chce pani, bym jej przepowiedziała przyszłość? - Dziewczyna usiadła i gestem pokazała Christie, by uczyniła to samo.

- Cóż, jest pani wróżką.

- Tak - odparła dziewczyna - ale pani także. Christie usiadła, postawiła na ziemi siatkę z zakupami i torebkę i nachyliła się nad stołem.

- Przepraszam, co takiego? - zapytała.

- Pani Widzi, prawda? - Kobieta wypowiedziała to słowo z taką powagą, że zasługiwało na wielką literę. - Potrafię to rozpoznać.

Christie spodziewała się wiele, ale z całą pewnością nie tego.

- Jestem Christie - rzekła.

- A ja Rosalind. Miło cię poznać.

Uścisnęły sobie dłonie nad stołem i te formalności wydały się nienaturalne w takich dziwacznych okolicznościach. Christie wahała się przez chwilę. Zjawiała się tutaj, nie wiedząc, czego oczekiwać, i stanęła twarzą w twarz z Rosalind, która wyraźnie widziała, że Christie posiada pewien rodzaj daru. Czuła, że nie ma sensu ukrywać prawdy ani kręcić.

- Masz rację - rzekła. - Widzę, od zawsze to potrafię, ale to dziwny dar. Nie jestem w stanie go kontrolować, po prostu pojawia się czasem i znika. I nigdy nie widzę niczego dla siebie.

Rosalind skinęła głową.

- Często tak się dzieje. W rodzinie mojej matki jest wiele osób takich jak ty: mają wspaniały dar, ale nigdy go nie rozwinęły. Bardzo często nie jest się w stanie dostrzec niczego, co dotyczy własnej przyszłości. Wielu ludzi posiadających dar nie potrafi tego albo celowo odsuwa to od siebie, ponieważ nie chce wiedzieć. Staram się nie spoglądać w życie moich dzieci - dodała, wzdrygając się. - Bałabym się tego, co mogłabym zobaczyć.

- Jaki więc masz dar i kiedy się o nim dowiedziałas? - zapytała Christie.

- Potrafię przepowiedzieć z kart przyszłość, prawdopodobną przyszłość - odparła powoli Rosalind. - Jestem

także medium, choć nie robię tego zbyt często, gdyż mnie to wyczerpuje.

Christie zadrżała.

- Nie chcę widzieć medium, nie chcę widzieć znajdujących się przy mnie ludzi.

- W porządku. Wielu ludzi tego nie chce. Nawet jako mała dziewczynka wiedziałam, że posiadam ten dar. Moja matka także go ma. To jednocześnie dar i przekleństwo, ponieważ nie ma od niego ucieczki.

- Wiem, co masz na myśli - odparła żarliwie Christie, myśląc o minionym miesiącu i strachu, jaki czuła. - Przychodzi do ciebie wtedy, gdy go nie chcesz.

- I zjawiłaś się u mnie, ponieważ zobaczyłaś coś, czego nie chciałaś widzieć? - zapytała nieoczekiwanie Rosalind.

Christie kiwnęła głową.

- Nigdy nie widzę dla siebie, nie chciałabym nawet, ale towarzyszy mi uczucie strachu, niepokoju. Ktoś z przeszłości /jawił się ponownie w moim życiu i...

- Mężczyzna - rzekła Rosalind. Mówiła teraz winny sposób, bardziej zawodowy. - W twoim życiu zjawił się kiedyś pewien mężczyzna i czułaś coś do niego, ale byłaś zamężna i on odszedł, a ty myślałaś, że jesteś bezpieczna, a teraz, wiele lat później, wrócił i chce ponownie nawiązać kontakt.

- Skąd wiesz? - westchnęła Christie. Poczowała ulgę, słysząc, jak ktoś wypowiada głośno jej lęki.

- Zobaczyłam to w taki sam sposób, w jaki i tobie się to zdarza. Nauczyłam się, jak rozwijać swój dar. Ty nie?

- Nie wychowywałam się w tego typu domu - wyjaśniła Christie. - Mój ojciec był człowiekiem religijnym i chyba-by oszalał. Nie wierzył w żadne widzenie przyszłości, chyba że to coś stało przed nim albo mówił o tym ojciec Flynn. Nie mogłam mu nic powiedzieć.

- Ale wiesz, że ten dar musiał skądś do ciebie przywędrować? - zapytała Rosalind. - Chcesz, żebyśmy zobaczyła skąd?

Christie Devlin, sześćdziesięcioletnia posiadaczka daru, którego nigdy nie była w stanie zrozumieć, poczuła, że zbiera jej się na płacz. Po raz pierwszy w życiu mogła rozmawiać o nim z kimś, kto ją rozumiał. Dlaczego nie uczyniła tego wiele lat temu?

- Nie znałaś swej babci, prawda? - zapytała Rosalind. Mówiła teraz powoli, jakby nad czymś się mocno koncentrowała. - Chodzi mi o matkę twojej matki. Wyczuwam, że nie.

Christie pokiwała głową.

- Nigdy jej nie poznałam. Była w jednej czwartej Francuzką...

- .. i zmarła przed twoimi narodzinami. Pochodziła z dużej rodziny i była siódmą córką, twoja matka także. I ty też jesteś siódmym dzieckiem, prawda? - Rosalind popatrzyła na Christie, która przytaknęła. Nie odczuwała już szoku ani zdumienia. - Twoja babcia posiadała ten dar - kontynuowała Rosalind. - Widziała przyszłość i gdyby żyła, powiedziałyby ci, co z tym zrobić. Jest tutaj, wiesz? Jest razem z nami w tym pomieszczeniu.

Christie gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Nie chcę wiedzieć tego typu rzeczy - rzekła.

- Dobrze - odparła spokojnie Rosalind. - To ona posiadała dar i jest jej przykro, że musiałaś dorastać, nic o nim nie wiedząc, ale twój ojciec nie był typem człowieka, który by ci o nim powiedział. Twoja matka miała także ten dar, ale kiedy wyszła za twego ojca, on nie znoślił go tak bardzo, że zabronił go jej używać. Chciała, żebyś wiedziała o tym, że ty także możesz go posiadać, ale ojciec nakazał jej, by nigdy nie poruszała tego tematu, nigdy. Bardzo się go bała, myślę, że on miał nad nią władzę...

Christie uśmiechnęła się ze smutkiem. To akurat było z całą pewnością prawdą.

- Nie ma niczego złego w tym, że widzi się przyszłość. Twoja babcia była dobrą kobietą, pomogła wielu ludziom, była

życzliwą, dobrą chrześcijanką. Powiedziała, że w jej czasach dużo było strachu. Uważano, że jeśli widzi się przyszłość, nie może się być jednocześnie dobrym, religijnym człowiekiem. Mówi, aby ci przekazać, że to po prostu inny rodzaj widzenia, inny rodzaj mądrości, to wszystko. Sama by ci to powiedziała, gdyby dostatecznie długo żyła.

- Nigdy nie chciałam widzieć zbyt wiele - rzekła Christie. - Mogłam dzięki temu pomagać ludziom i to było wspaniale, ale nigdy nie chciałam widzieć nadchodzących złych rzeczy... Pewnie dlatego właśnie tak bardzo się bałam przyjść do ciebie, tego, że zobaczyłabyś te wszystkie złe rzeczy.

- Złe rzeczy przytrafiają się bez względu na to, czyje się przewidzi czy nie - odparła stanowczo Rosalind. - A to, co widzę dla ciebie w przyszłości, jedynie może się wydarzyć. Nic nie jest wyryte w kamieniu, wszyscy mamy wpływ na własny los. Jeśli zobaczysz w kartach, że grozi ci niebezpieczeństwo, zmienisz swoje życie: zmienisz to, co robisz, tak by niebezpieczeństwo ominęło cię szerokim łukiem. Twój los jest w twoich rękach. Wszyscy posiadamy wolną wolę i możliwość dokonywania wyboru. Widzenie przyszłości to tylko jeden z rodzajów mądrości.

- Cóż, dlaczego wszyscy tak się tego obawiamy? - zapytała Christie, myśląc o swoim ojcu. Teraz już rozumiała, dlaczego tak bardzo nie znosił cygańskich wróżek, które raz na jakiś czas pojawiały się w Kilshandrze. Nie znosił ich, ponieważ wiedział, że matka jego żony mogła być jedną z nich, a to go przerażało. Możliwe, że jej babcia widziała, że zięć to dręczyciel, i przestrzegła przed nim córkę.

- Ludzie nie lubią tego, czego nie rozumieją - powiedziała Rosalind. - Prawda jest taka, że istnieją ludzie pokroju ciebie i mnie, którzy z jakiegoś powodu więcej widzą. Byłoby niemądre z naszej strony, gdybyśmy odwracali się do 1 ego plecami, ponieważ to dar, taki jak każdy inny, jak bycie muzykalnym albo posiadanie cudownego głosu. O ile tylko

nie używasz tego daru, by krzywdzić innych, o ile tylko próbujesz pomóc, cóż, co w takim razie jest złego w byciu mądrą kobietą?

- Tak, o to właśnie chodzi - rzekła Christie, czując, jak do jej duszy zakrada się nieco spokoju. - Mądra kobieta. Ludzie często mówią, że jestem mądra.

-1 jesteś - uśmiechnęła się Rosalind. - Ale czasami nawet mądrym kobietom potrzebna jest pomoc. Ten mężczyzna... - Wyciągnęła rękę i ponownie dotknęła dłoni Christie. - Dlaczego tak bardzo się boisz jego powrotu do twego życia?

- Ponieważ gdyby wrócił i wyjawiał, co dla mnie kiedyś znaczył, skrzywdziłoby to ludzi, których kocham najbardziej na świecie. Nie chcę, by tak się stało. Czuję się taka bezradna z powodu tego, że on przyjeżdża, a ja nie jestem w stanie go powstrzymać i już długo dręczy mnie strach, który nie chce odejść.

Rosalind kiwnęła głową.

- Mogłabym powróżyc ci z kart - rzekła - ale nie sądzę, bym musiała to robić. Wydaje mi się, że ty rozumiesz, co musisz zrobić. Jedyne boisz się to uczynić.

- W ogóle nie rozumiem - odparła Christie.

- Ależ tak - upierała się Rosalind. - Zajrzyj w głąb swej duszy. Zamknij oczy i pomyśl.

Przez chwilę Christie myślała o sobie i Liz w pokoju nauczycielskim w Świętej Urszuli, kiedy jej koleżanka zadręczała się z powodu mężczyzny, którego kochała, a który chciał ją zostawić, ponieważ ich związek zaczynał się robić coraz bardziej poważny. Christie powiedziała jej wtedy, by zamknęła oczy i zastanowiła nad tym, co siedzi w jej duszy. To zabawne, że korzystała ze swego daru w taki sam sposób jak Rosalind, bez żadnego szkolenia ani pomocy. Być może była z niej jednak mądra kobieta.

Zamknęła teraz oczy i pomyślała o Careyu Wolenskim i tym, co kiedyś dla niej znaczył. O tym, że jego powrót mógł

zranić tak wielu ludzi: Anę, Ethana, Shane'a, no i Jamesa, przede wszystkim Jamesa. Ponieważ to naprawdę nie było jego winą - to zbieg okoliczności i splot wydarzeń przyciągnął do niej Careya.

Otworzyła oczy. Uzyskała odpowiedź.

- Muszę się z nim spotkać i powiedzieć, by odszedł z mego życia, że nie jest jego częścią, że jeśli przez te wszystkie lata wzdychał do mnie, to powinien dać sobie z tym spokój. Muszę porozmawiać z Jamesem i powiedzieć mu o wszystkim. Bez względu na konsekwencje.

Zadrżała, ponieważ nie wiedziała, jakie to będą konsekwencje. Wiedziała jednak, że tak właśnie musi zrobić. Rosalind nie skomentowała tego.

- Może przyszlabyś jeszcze do mnie? Mogłabym ci powróżyć z kart.

Christie uśmiechnęła się. Chyba nie była na to gotowa. Lepiej najpierw oswoić się z myślą, że dar obecny był w jej rodzinie od dawna i przekonać się, do czego doprowadzi powiedzenie Jamesowi o Careyu Wolenskim, a potem...

- Dziękuję ci - rzekła. Otworzyła portfel. - Ile jestem ci...?

- Nie. - Rosalind uciszyła ją tym słowem. - Nic nie jesteś winna. Ludzie, którzy posiadają dar, nigdy nie biorą pieniędzy od tych, którzy także go mają.

- Jesteś pewna? - zapytała Christie.

- Tak - odparła Rosalind. - I proszę, odwiedź mnie jeszcze.

Idąc przez halę targową, Christie pomyślała, że to dziwne, iż czuje w duszy lekkość, jakiej nie doświadczała od dawna, od czasu gdy po raz pierwszy ogarnęło ją poczucie nadchodzącego nieszczęścia. Była naprawdę głupia. Przez cały ubiegły miesiąc pozwalała, by wspomnienie Careya Wolenskyego przysłańiało wszystko inne w jej życiu, wszystkie cudowne

rzeczy: Jamesa, rodzinę, ciążę Janet, wszystko dobre, co posiadała. Pozwoliła, by Carey przesłonił wszystko, ponieważ zgodziła się grać rolę ofiary.

Kiedyś uczyniła coś, czego się wstydziła i zamiast stawić temu czoło, bała się, że to zniszczy jej rodzinę. Czyniąc tak, niemal pozwoliła, by tak właśnie się stało. Cóż za ironia, pomyślała cierpko. Ale nie miała zamiaru być dłużej ofiarą, ponownie przejmie kontrolę nad własnym życiem, tak jak to robiła przez całą dorosłość. Kiedy przed laty opuściła rodzinny dom, uwalniając się od apodyktycznego ojca, który ich wszystkich unieszczęśliwiał, przysięgła sobie, że sama będzie odpowiedzialna za własne życie i szczęście. Teraz ponownie tak uczyni. Rosalind pomogła jej dostrzec to, co skrywa się w jej duszy.

Usiadła na ławce niedaleko bazaru i zadzwoniła z komórki do hotelu Careya. Natychmiast została przełączona do Heidi, jego asystentki.

- Christie Devlin z tej strony - rzekła spokojnym głosem, choć trzęsła się ze zdenerwowania. - Próbowала się pani ze mną skontaktować w związku z wystawą pana Wolensky'ego.

- Tak, będzie uradowany, że pani oddzwoniła - odparła Heidi z nieskrywanym entuzjazmem.

- Nie chcę wziąć udziału w prywatnym pokazie. Wtedy wyjeżdżam - skłamała Christie. - Ale chciałabym się spotkać z panem Wolenskim, o ile to oczywiście możliwe.

- Jestem pewna, że jak najbardziej. Bardzo tego pragnął.

Christie niemal wtedy odłożyła słuchawkę, ale postanowiła być silna. Musiała.

- Mogę się z nim spotkać w piątek rano - rzekła.

- Jest wtedy zajęty, ale mogę przestawić inne spotkania - odparła szybko Heidi. - Jedenasta, w jego hotelu?

- Pasuje mi. Dziękuję.

Christie zakończyła rozmowę. Zrobiła to. Przestała uciekać przed przeszłością. Ale w ogóle nie czuła ulgi - jedynie czystą panikę. Możliwe, że właśnie popełniła największy błąd w całym swoim życiu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Tysiące kilometrów dalej Amber zastanawiała się nad tym samym. Nie spodziewali się w LA korków, zmór autostrad. Samochody upakowane jeden za drugim wlokły się w żółwym tempie. Tego typu rzeczy działy się w domu, nie tutaj, nie w olśniewającym LA. Niemniej jednak rzeczywiście tkwili w korku, aż wreszcie po trzech kwadransach spędzonych w upale - klimatyzacja nie działała zbyt dobrze w vanie - Syd zjechał z autostrady i znaleźli się w jakiejś szemranej okolicy, gdzie zauważyli parę lokali do gry w bilard i coś, co wyglądało na pub.

Wszyscy wpakowali się do środka. Żadne z nich nie miało tak naprawdę pieniędzy na drinki, ale strasznie chciało im się czegoś zimnego: zimnego piwa, zimnej lemoniady, zimnego czegośkolwiek. W barze znajdowało się całkiem sporo ludzi, ale nikt nawet nie zerknął na Amber, przez co poczuła się jeszcze gorzej, choć przecież wiedziała, że wygląda fatalnie. Od dwóch dni nie myła włosów i była koszmarnie zmęczona. Jak można być zmęczonym, wstając rano, skoro przez cały dzień nie robiło się niczego poza siedzeniem na tylnym siedzeniu vana i podskakiwaniem na drodze?

Ale była wykończona. Miała tłustą cerę i powyskakiwały jej pryszcze. Wyglądała beznadziejnie. Podeszli do baru i zamówili coś do picia.

- Od teraz ty możesz prowadzić - rzekł Syd do Karla. - Ja piję coś wysokoprocentowego.

- Hej, zmieniasz się w Amerykanina - zaśmiał się Lew.

- Taa, jasne - odparł ponuro Syd.

Wczoraj wieczorem zwierzył się Amber, że strasznie tęskni za swoją dziewczyną, Lolą. Jej praca wiązała się z częstymi wyjazdami i nie było mowy, by mogła wziąć udział w tej szalonej wyprawie przez Amerykę.

- Bez komórki nie jestem w stanie jej złapać - narzekał, gdy siedzieli razem na schodkach przeciwpożarowych jakiegoś obskurnego hotelu. Amber sączyła colę, a Syd palił jednego papierosa za drugim.

- Nie martwiła się tym, że wyjeżdżasz bez niej? - zapyła z powątpiewaniem Amber, myśląc, że ona sama zbyt się denerwowała, by puścić Karla samego.

- Nie - odparł ze śmiechem Syd. - Jesteśmy ze sobą zbyt blisko na coś takiego.

I wtedy zobaczyła, jak dotarło do niego, co właśnie powiedział, dotarło, dlaczego Amber wybrała się razem z zespołem do Nowego Jorku, a teraz wlokła się do LA: ponieważ nie ufała Karlowi.

- Ale wiesz - dodał pospiesznie Syd - ludzie są różni, a ona jest zajęta i w gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty jechać. Z tobą i Karlem jest inaczej, no nie?

- Taa, inaczej - odparła, myśląc o egzaminach, do których teraz przystępują jej koleżanki ze Świętej Urszuli. Myśląc o swoim miejscu na wielkiej sali egzaminacyjnej, niedaleko Klli, i o uśmiechach i udreńczonych spojrzeniach, jakie wymieniały podczas każdego egzaminu, do którego przystępowały razem, odkąd się znały. Ella zawsze przynosiła ze sobą zapas słodczy, które potem chrupała głośno. Amber wolała niż gumę do żucia. Zastanawiała się, kto teraz siedzi na jej miejscu, jakie ma marzenia i nadzieje.

Wspomnienie Elli sprawiło, że jej myśli pobiegły ku mamie. Poczucie winy nieustannie ścisnęło jej żołądek. Mama

nie zrobiła niczego złego, była jedynie nadmiernie opiekuńcza, próbując ją chronić i proszę, jak Amber jej się za to odpłaciła.

Była okropną córką i matka na pewno jej nienawidziła. Za każdym razem gdy myślała tęsknie o domu i głosie mamy, przypominała jej się pełna cierpienia twarz mamy tamtego ostatniego dnia. To ona, Amber, była jego przyczyną - zraniła własną matkę tak bardzo, jakby wbiła w nią nóż. Nie wiedziała, jak uda jej się za coś takiego przeprosić. Był to tak wielki ciężar do dźwigania, że nie miała pojęcia, jak choćby spróbować to zrobić.

- Ułoży się - powiedział Syd.

- Słucham? - zapytała rozkojarzona Amber, nie bardzo wiedząc, o czym on teraz mówi. - Chodzi ci o zespół? Jesteście wszyscy bardzo utalentowani. Jestem pewna, że się ułoży.

Syd przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu.

- Taa - rzeki wreszcie. - O to właśnie mi chodziło: o zespół. Ułoży się, jestem tego pewny.

A teraz w obskurnym barze w LA Karl zmył się, by zadzwonić do Dublina do Steviego, na wypadek gdyby ten miał dla nich jakieś wieści. Syd popatrzył na Amber.

- Czego się napijesz? - zapytał łagodnie. Zazwyczaj zadowalała się paroma lekkimi piwami, jako

że nadal nie należała do pijących dziewczyn. Ella uśmiełaby się: i pomyśleć, że obie tak bardzo pragnęły pić dorosłe drinki w barach dla dorosłych, a teraz, kiedy mogła to robić, Amber się przekonała, że wcale ich nie lubi.

- Nie wiem, Syd - rzekła teraz. - Coś, co mnie rozweseli. Uśmiechnął się szeroko.

- Wiem, czego ci trzeba!

Przy trzeciej tequili Amber nie czuła już bólu.

- To jest super. Czemu wcześniej tego nie próbowałam? - Uśmiechała się radośnie, ustawiając kieliszki w różne konfiguracje.

- Wcześniej nie mogliśmy sobie na to pozwolić - zaśmiał się Kenny T.

- Teraz też nie możemy - dodał Lew. - Karl się wścieknie, kiedy wróci i zobaczy, że wydajemy oszczędności na tequilę.

- Cóż, Karl nie jest tu szefem, no nie? - warknął Syd. - Amber może sobie wypić Cuevo Gold, jeśli ma na to, kurwa, ochotę, prawdę mówiąc, to wypije jeszcze jednego shola, i ja też.

Kiedy krótko potem zjawił się Karl, Amber obdarzyła go spojrzeniem pełnym miłości. Było jej ciepło i jakoś tak leniwie. Wszystko ułoży się wspaniale. LA to fantastyczne miejsce, będą mieszkać w pięknym domu i chodzić na niesamowite przyjęcia dla gwiazd. Karl zostanie światowej sławy muzykiem /. kupą kasy, a ludzie będą na nią patrzeć, zazdrościć i uważać, że jej życie jest obłędne.

- Tequila? - zapytał Karl, patrząc na stojące na stole puste kieliszki.

- Hej, mieliśmy potrzebę jakoś się rozweselić - odparł obronnym tonem Syd.

Jednak Karl nie wyglądał na wkurzonego.

- Nie uwierzycie - rzekł - ale Stevie się przebił.

- Przebił jak? - zapytał Lew.

- Tak, że załatwił nam tutaj spotkanie w wytwórni płytowej. Z facetem, który nazywa się Michael Levin i Stevie mówi, że jest na topie. To jeden z najlepszych producentów w okolicy i spodobało mu się to, co wysiał mu Stevie. Mamy się z nim spotkać jutro w jego biurze. Chłopaki, będzie dobrze, mówię wam.

Amatorzy tequili zaczęli wydawać radosne okrzyki.

- To niesamowite - rzekła Amber, wstając i leniwie zarzucając ręce na szyję Karla. - Jesteś niesamowity. Och, kocham cię, tak bardzo cię kocham, to takie cudowne. Jesteś taki utalentowany i mądry i...

- No tak - powiedział, uchylając się przed jej zionącym alkoholem oddechem. - Nie powinnaś pić tequili, Amber, okropnie śmieszisz.

- No bo wiesz, musieliśmy się jakoś rozweselić - wyszeptała. To co powiedział, nie było mile, ale nadal pozostawała znieczulona i przyjemnie rozgrzana alkoholem.

- Jasne, jasne, mniejsza z tym.

Karl posadził ją z powrotem na krześle. Usiadł obok chłopaków i zaczęli razem planować. Co powiedzą temu producentowi, co dla niego zagrają i jak nie mają zamiaru pozwolić, by wzięto ich za bandę zielonych chłopaków, ponieważ zdążyli już swoje przeżyć.

Amber siedziała na brzegu krzesła, ponownie odsunięta na boczny tor, ale nie przeszkadzało jej to. Wszystko zaczynało się układać, wszystko będzie super. Wiedziała to.

Noc spędzili w kolejnym obskurnym motelu, miejscu, które było dość bezpieczne głównie dlatego, że przez większą część nocy przed wejściem stały zaparkowane dwa radiowozy. Wyły syreny, ludzie krzyczeli i śmiali się, i Amber prawie nie zmrużyła oka, częściowo z powodu kaca po tequili, który dopadł ją około dziesiątej, a częściowo ze strachu. Nie lubiła tego miasta: wydawało się przerażające. Te bez przerwy oświetlone i ruchliwe ulice nie były palmowymi oazami, jak to sobie wcześniej wyobrażała. Nie było tu żadnych hacjend, żadnych miłych kafejek z siedzącymi przed nimi gwiazdami filmowymi, zero hollywoodzkiego blichtru: jedynie niebezpieczni faceci, jeżdżący wielkimi samochodami z muzyką wibrującą dosłownie zewsząd, i chude dziewczyny w króciutkich szortach na rogu ulicy naprzeciwko hotelu, obserwujące każdy zwalniający samochód. Nikt do nikogo się nie uśmiechał, nikt na nikogo nie patrzył, jakby kontakt wzrokowy traktowano jak zagrożenie.

Jednakże następnego ranka w blasku kalifornijskiego słońca ulice nie wyglądały już groźnie: były po prostu kancja-

ste i supermodne; przypominały scenografię z puszcanych na MTV teledysków.

- Wracaj do łóżka - mruknął Karl, opierając się o poduszki. Patrzył, jak wygląda przez okno i podziwiał jej ciało w różowych stringach w kropki, w których położyła się spać.

- Do łóżka? - zapytała, udając cali girl. - A stać cię na innie?

Wróciła do łóżka i zaczęła czołgać się w stronę Karla, prowokacyjnie potrząsając włosami.

- Nie wiem - odparł, przyciągając ją do siebie. - Teraz jestem nieco splukany, ale myślę, że niedługo pojawią się pieniądze. Przyjmiesz skrypt dłużny?

Amber siadła na nim okrakiem.

- Tylko dla ciebie, mój kochany - zanuciła, po czym zaczęła go całować.

Nie minęło kilka godzin, a ich los się odwrócił. Wystarczyła jedna rozmowa z producentem, niskim, szczupłym i ciemnookim facetem o imieniu Michael, któremu spodobało się to, co tworzy zespół. Powiedział, że nawiąże z nimi współpracę i że muszą teraz podpisać różne papiery i zatrudnić prawnika, który pomoże im zrozumieć to, co jest napisane małym drukiem. Poleciał im pewną osobę.

Słyszając to, Amber uniosła brwi: skoro ten producent poleciał im znajomego prawnika, to chyba zaistniał konflikt interesów? Powinni poszukać własnego prawnika, by negocjować prowizję itp., ale pozostali nie dzielali jej nieufności.

Michael Levin miał im wypłacić z góry trochę pieniędzy i zameldować w ślicznym hotelu w pobliżu jego biura, gdzie będą mieszkać, dopóki nie wynajmą sobie jakiegoś domu.

Dwie godziny później mieli cztery piękne apartamenty w Santa Angelina, modnym niewielkim hotelu otoczonym, a jakże by inaczej, palmami. Amber miała wrażenie, że prowadzący ich boy hotelowy przygląda się ich piątce z lek-

ką odrazą. Była pewna, że czuć od nich biedą i gównianymi motelami, gdzie jedyne przybory toaletowe to cienkie kostki mydła i jeszcze cieńsze ręczniki. Nie mogła się doczekać, by wejść do tej wielkiej wanny w ogromnej łazience wykładanej jasnym marmurem i lustrami i zanurzyć się w tych wszystkich bąbelkach, które kryją się w pięknych, niebieskawo-zielonych słoikach.

- O kurczę, to dopiero miejsce - powiedział Syd, podziwiając apartament Karla i Amber.

- Jeszcze czegoś takiego nie widziałem - rzekł bez tchu Lew.

- Hej, spokojnie, chłopaki - odezwał się Karl, starając się grać wyluzowanego. - Musicie się do tego przyzwyczaić.

Amber poczuła przyływ zniecierpliwienia. Za kogo on się uważał? Ostatnie dwa tygodnie spędzili w drodze, nocując w obskurnych miejscach, w których roiło się od karaluchów, nie mając pieniędzy, jedząc bez przerwy fast food, aż wszystkim powyskakiwały pryszczki i zmatowiały włosy, i tylko szczęśliwym trafem znaleźli się w tym pięknym hotelu. Nie pora na to, by zachowywać się w stylu „jesteśmy tacy odlotowi i zasługujemy na to”.

- Daj spokój, Karl - odezwała się ostro. - Mamy szczęście, że tak dobrze się układa, ale nie dzielmy skóry na niedźwiedziu. Już raz tak zrobiliśmy, pamiętasz? A potem Stevie wyjechał, a my znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Karl rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Ja wiedziałem, że się uda, nawet jeśli ty nie. Pomaszerował do drugiej łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Hej - powiedział Lew, uśmiechając się szeroko do Amber. - Świetnie się składa, że macie dwie łazienki.

Karl i Amber nie odzywali się do siebie przez resztę popołudnia, ale jej to nie przeszkadzało. Było jej dobrze we własnej

łazience, gdzie mogła się wylegiwać w wannie pełnej piany, szorować do czysta, wcierać pachnący balsam w każdy centymetr ciała, myć włosy tak długo, aż zaczęły trzeszczeć, na nowo czuć się dobrze we własnej skórze.

Wieczorem Michael Levin zabierał ich na kolację i kiedy przekopywała się przez brudne, wypłowiałe ciuchy, uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy nie ma co na siebie włożyć i nie ma pieniędzy, by cokolwiek kupić. Z facetami było inaczej, oni mogli założyć dzinsy i T-shirt i mimo to świetnie wyglądać, natomiast dziewczyny potrzebowały czegoś nieco bardziej wyjątkowego. Mogłaby spytać Karła, czy mają jakieś pieniądze, które mogłaby wydać na coś nowego do ubrania, ale nie chciała. Zamiast tego udała się do apartamentu Syda.

- Co słyhać, mała? - zapytał, otworzywszy drzwi. W jednej ręce trzymał grube cygaro, w drugiej zaś pilota od telewizora i otulony był grubym, frotowym szlafrokiem. Na wielkim ekranie leciał jakiś film, zaś na stojącym z boku wózku obsługi hotelowej leżały resztki kanapki klubowej i butelka szampana.

- Widzę, że bez problemu się tutaj zaaklimatyzowałaś uśmiechnęła się szeroko Amber.

To zabawne, że ostatnimi czasy lepiej dogadywała się z Sydem niż z Karlem.

- Taa, chyba podoba mi się taki styl życia. Lepiej jednak się do niego nie przyczajać, co głośno zauważyłaś.

- Przepraszam. Nie to miałam na myśli, nie chodziło mi o to, że zespołowi się nie uda. Próbowałam być jedynie realistką. My, przepraszam, wy nie powinniście dzielić skóry na niedźwiedziu.

- Wiem o tym - odparł Syd, wpuszczając ją do apartamentu. - Wyglądasz ślicznie i aż promieniejesz.

- Czuję się super - rzekła Amber. - I czysta! Myślałam, że już nigdy nie będę znowu czysta. Jest tylko jeden problem, nie mam się w co ubrać.

Syd roześmiał się.

- To musi mieć jakiś związek z chromosomami: kobiety i zakupy. Lola jest identyczna. Zakupy albo śmierć. Zostało mi trochę kasy. - Podał jej nieco ponad sto dolarów. - Przykro mi, to niezbyt dużo, ale tylko tyle mogę ci dać, dopóki nie otrzymamy zaliczki po podpisaniu kontraktu.

- Och, jesteś cudowny! - oświadczyła Amber, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno uściskała.

- Spokojnie - zaśmiał się Syd. - Chyba że chcesz mieć do czynienia z Lolą, kiedy się dowie, że znalazłem sobie inną kobietę.

- Akurat - odparła żartobliwie. Wiedziała, że on sobie tylko żartuje i że kocha Lolę do szaleństwa. - Dzięki, i nie wspominaj o tym Karlowi, dobrze?

- Dobrze. Rozumiem.

Gdy zjeżdżała na dół windą, rozmyślała nad tymi ostatnimi słowami. Co Syd rozumiał? Że związek jej i Karla rozpada się na jego oczach i że nie mogła pójść i poprosić go o kilka dolarów na nowy strój? Czy też to, że Karl by nie zrozumiał tego, iż ona potrzebuje czegoś nowego?

Daleko w Nowym Jorku Faye Reid zastanawiała się, czy nie powinna po prostu wrócić do domu i dać za wygraną.

Czuła się taka samotna i tak bardzo tęskniła za Amber. A ona nawet jeden raz nie zadzwoniła do domu. Faye z częstotliwością graniczącą z obsesją dzwoniła, sprawdzając wiadomości na automatycznej sekretarce na Summer Street.

A ponad wszystko czuła, że straszliwie musiała zawieść córkę, skoro Amber wyjechała i w ogóle nie kontaktowała się z domem. Jakąż to czyniło ją matką?

Kiedy jej własna matka zadzwoniła, by się dowiedzieć, jak się czuje, Faye była tak przygnębiona, że ledwie mogła mówić.

- Amber nie kontaktowała się pewnie z tobą, mammo? - zapytała, mimo wszystko z nadzieją.

- Nie - odparła Josie. - Podejrzewam, że dręczą ją takie wyrzuty sumienia, że celowo nie dzwoni. Wie, że już ja bym jej powiedziała, co sądzę o takiej ucieczce.

- Masz jej nic nie mówić, jeśli zadzwoni! - krzyknęła Faye. - To może wystraszyć Amber i...

- Faye, posłuchaj mnie! - rzekła Josie spokojnie, acz stanowczo. - Jeśli Amber zadzwoni, to powiem jej parę słów do słuchu dlatego, że to co uczyniła, jest niewybaczalne. Wiem, że ma tylko osiemnaście lat i jest zakochana, i zupełnie wytrącona z równowagi, ale to nie powód, by w taki sposób traktować swoją rodzinę. Jestem na nią wściekła, a kiedy już przestaną cię atakować wyrzuty sumienia, także powinnaś tak się czuć. Zgoda, okłamałaś ją. - Faye skrzywiła się. - Zgoda, wymyśliłaś wygodną bajeczkę na temat jej ojca i wiesz, że nie zgadzałam się z tobą w tej kwestii, ale to był twój wybór. Kwestią zasadniczą pozostaje to, Faye, że uczyniłaś dla tej dziewczyny wszystko, co tylko byłaś w stanie, wszystko. Porzuciłaś dla niej własne życie. Bóg jeden wie, że ją kocham, ale jestem na nią zła.

- Och, mamoo...

- Nie wzdychaj tu teraz - przerwała jej ostro Josie. - Jeśli przez kilka następnych dni nie uczynisz żadnych postępów i jeśli Grace nie dowie się niczego tutaj, wtedy będziesz musiała wrócić do domu. Amber to bystra dziewczyna. Da sobie radę. W jej żyłach płynie nasza krew, a my przecież poradziłyśmy sobie, prawda? Miej więc w nią trochę wiary.

- Naprawdę myślisz, że nic jej nie będzie? - zapytała Faye, zaczynając płakać.

- Może i jest ogarnięta młodzieńczą pasją, ale nie głupia - odparła Josie z nutką dumy w głosie. - To silna dziewczyna. Świetnie się spisałaś przy jej wychowywaniu. Pamiętaj o tym.

- Dobrze - zaszlochała Faye. - Będę pamiętać. Jednakże łatwiej powiedzieć, niż rzeczywiście tak zrobić. Jej matka miała rację: niedługo będzie musiała wrócić

do domu. Jaki sens miało czekanie tutaj? Możliwe, że Amber już kilka dni temu opuściła Nowy Jork. Teraz mogła być praktycznie wszędzie, a przynajmniej kiedy zadzwoni do domu - a Faye była pewna, że to zrobi - ona tam będzie, by z nią porozmawiać.

Półtorej godziny po wyjściu z hotelu Amber myślała z rozdrażnieniem, że magazyny o modzie nie mają racji. Zawsze w nich piszą, że sklepy z używanymi rzeczami w Los Angeles pękają w szwach od wyjątkowych ciuchów w stylu vintage: prawie w ogóle nie noszonych sukni Schiaparelli, oryginalnych garsonek Diora, wszystkiego dosłownie za grosze. Prawda była natomiast taka, że znalazła mnóstwo mocno nieciekawych ubrań i dżinsów w tych rozmiarach. Miała dżinsy. Ale one nie przejdą w mieście, gdzie noszono je tylko wtedy, gdy wyszywane były brylancikami od Harry'ego Winstona, wartymi pół miliona, a dodatki stanowiły buty od Manolo Blahnika i kopertówka od Judith Liebner.

Wtedy w maleńkim butikku tuż przy Melrose, gdzie na stojakach wisiało tyle ubrań, że aż bolały ją ręce od ich przeglądania, wreszcie ją znalazła. Wyglądała jak koszula nocna z lat trzydziestych i najpewniej nią była: szmaragdowozielona, cięta po skosie suknia z jedwabnej satyny, z cieniutkimi ramiączkami i obrętionym brzegiem. Przylegała do jej krągłości wszędzie tam, gdzie należy, podkreślała mleczną cerę i płowe włosy. Była oszałamiająca i co najważniejsze, kosztowała jedynie sześćdziesiąt dolarów. Za resztę pieniędzy Amber kupiła haftowany szal z frędzlami do zarzucenia na ramiona i błyszczący do ust. To jej wystarczy.

Karl siedział na ogromnych rozmiarów łożu i zakładał zegarek, kiedy Amber wyłoniła się z łazienki gotowa do wyjścia, zjawisko w połyskującej zieleni.

- Wyglądasz niesamowicie - rzekł z podziwem. - Chodź tutaj.

Było tak, jakby wcześniejsza kłótnia w ogóle nie miała miejsca, jakby podczas podróży do LA nie panował między nimi chłód. Zaczął ją całować i nagle Amber przestała spieszyć się do wyjścia. Dłonie Karla pieściły jej ciało i delikatnie zsunęły z ramion ramiączka ślicznej sukienki, która ześlizgnęła się na podłogę.

- Jesteś taka piękna - powiedział. - Moja muza. Nie dokonałbym tego wszystkiego bez ciebie.

Gdy się kochali, Amber myślała, że takie właśnie słowa pragnęła usłyszeć. Karl ją kochał, Karl ją uwielbiał. Tylko to się liczyło, prawda?

Spóźnili się, ale kierowcy limuzyny nie wydawało się to przeszkadzać.

- Co wy do cholery robiliście? - warknął Kenny T, który od dziesięciu minut siedział na tylnym siedzeniu limuzyny razem z Sydem i Lew i aż buzowało z niego podekscytowanie, jakby się nie mógł wprost doczekać tej fantastycznej imprezy.

- Nic - odparł Karl z uśmiechem, który jasno sugerował, że właśnie uprawiali przyprawiający o zawrót głowy seks.

Syd nie odezwał się ani słowem, spojrzał jedynie na Amber i posłał jej znaczący uśmiech. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu tego, że zdradziła Karla, mówiąc Sydowi, iż nie może go prosić o pieniądze na nową sukienkę. To za pieniądze Syda była teraz ubrana i nie mogła powiedzieć o tym swojemu chłopakowi. Ale pary nieustannie miewały spięcia i kłótnie, Syd z całą pewnością to wiedział.

Los Angeles stanowiło dziwną mieszankę ludzi zbyt wystrojonych i ubranych niestarannie. Restauracja, do której się udali, wyglądała tak, jakby połowa klienteli przybyła tu prosto z rozdania Oscarów, zaś reszta zajrzała w drodze z zakupów na targu. Widać tu było smukłe dziewczyny w dzinsach i bywalczyne w Versace. Klejnoty połyskiwały zarówno na męż-

czynach, jak i kobietach, i wszyscy wyglądali na cudownie opalonych i zdrowych.

Wystrojona w sukienkę z second handu Amber czuła, że pasuje do tego miejsca, no i była z najprzystojniejszym mężczyzną na sali, niezwykle utalentowanym Karlem Evansem. Michael, producent, też tak uważał i cały wieczór spędził na rozmowie z zespołem, głównie z Karlem. Dyskutowali na temat różnych piosenek, jakich dokonają aranżacji, że może skorzystają z usług innych kompozytorów - ludzi, z którymi Michael regularnie współpracował - po to tylko, by nieco wszystko podkreślić i mieć kilka nowych piosenek. Karl, który normalnie utrzymywał, że w jego piosenkach nic nie należy zmieniać, i któremu do głowy by nie przyszło, by wykonywać muzykę napisaną przez kogoś innego, kiwał energicznie głową. Sprawiał wrażenie zafascynowanego tą rozmową o branży muzycznej.

Przy stole siedziało dziesięcioro ludzi, ale Amber czuła się znudzona. Nikt z nią nie rozmawiał. Uświadomiła sobie ze smutkiem, że jest tak, jakby w ogóle nie istniała.

Czuła się dokładnie tak samo jak tamtego wieczoru w SnakePit, kiedy musiała się schować pod sceną, by obejrzeć występ zespołu. Była pewna, że tego właśnie chciał Stevie - by czuła, że jest nikim więcej jak tylko dziewczyną, a rolą dziewczyny było uszczęśliwianie piosenkarza-kompozytora: powinna być atrakcyjna, seksualnie dostępna i przez cały czas trzymać buzię na kłódkę.

Kelnerzy, sami zdumiewająco przystojni, bezrobotni aktorzy z kośćmi policzkowymi niczym krawędzie klifu i ciałami ukształtowanymi przez godziny spędzane na siłowni, tak dyskretnie dolewali do kieliszków wino, że Amber trudno było ocenić, ile naprawdę wypijała. Początkowo dłubała widelcem w swojej sałatce cesarskiej i próbowała mieć na wszystko oko, ale po jakimś czasie dała sobie spokój. Karl znajdował się na drugim końcu stołu, a między nimi siedzieli Michael i LJ, jeden

z jego asystentów, bez końca rozmawiając o muzykach, których wszyscy podziwiali, i o tym, skąd Karl czerpie inspirację.

- Z pewnością Robert Johnson - mówił z przejęciem Karl. - Och, no i oczywiście Hendrix.

- Cóż, ty także masz jego talent - rzekł LJ, uśmiechając się przypochlebnie.

Amber pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Podczas pierwszego spotkania Michael sprawiał wrażenie otwartego i szczerego, jednakże dzisiejszego wieczoru był inny: przymilał się do Karla, nawijając o jego wspaniałym zespole. Jaki fantastyczny team będą tworzyć. Jak razem zmienią świat. A Karl najwyraźniej tego nie dostrzegał.

Amber odsunęła od siebie talerz. Nie miała apetytu. Bardzo jej się podobał klimat w LA, uwielbiała poczucie wolności. Ale nieszczerłość to zupełnie inna sprawa. Wszystko co widziała albo słyszała w tym mieście, opakowane było w grubą warstwę kłamstw. Niemal tęskniła za prostolinijnością miejsc, w których zatrzymywali się po drodze: w zwykłych miastach, gdzie ludzie mówili to, co myśleli. Albo nawet za ponurą Gretchen z minimarketu, która w odpowiednim nastroju potrafiła rzucać naprawdę gniewne spojrzenia.

Albo za mamą. Wspomnienie minimarketu przywołało jej na myśl Summer Street i dom. Czy mama jej kiedyś wybaczy? W tej akurat chwili Amber nie uważała, by zasługiwała na wybaczenie.

Karl nie dostrzegął, że jest nieszczęśliwa. W ogóle się nie uśmiechał i ani razu nie posłał nad stolikiem spojrzenia mówiącego: „Wszystko okej, skarbie?”.

Po drugiej stronie za sąsiadkę miała inną producentkę. Szczupła, piękna kobieta z oliwkową cerą, ubrana w śliczną koralową suknię tubę rozmawiała z ożywieniem z Sydem i Kennym T.

Nawet Lew, którego nie można było nazwać potencjalnym uczestnikiem konkursu Mastermind, zagadywany był

na drugim końcu stołu przez jeszcze innego członka ekipy Michaela. Nikt jednak nie zwracał sobie głowy Amber. I nie podobało jej się to. Była inteligentną dziewczyną, a nie głupiutką laską wokalisty.

Uniosła kieliszek z winem i pociągnęła kolejny wielki łyk, myśląc o mamie. Mama zawsze mówiła, że uroda prowadzi tylko do pewnej granicy w życiu, gdy tymczasem dzięki inteligencji i wierze w siebie można zejść znacznie dalej. Amber nie pozwalała sobie zbyt wiele myśleć o mamie, choć często dotykała w zamyśleniu wisiora z tygrysim okiem. Nosiła go przez cały czas i zawsze myślała o mamie, gdy go zakładała. To był jej talizman. Nie zadzwoniła, wiedziała, że powinna, ale ich kłótnia była jeszcze zbyt świeża, zbyt bolesna. Zachowała się strasznie, teraz to wiedziała. Nie znaczy to, że popełniła błąd, o nie, wyjazd z Karlem to była właściwa decyzja.

Ale i tak czuła się winna, kiedy myślała o pełnej cierpienia twarzy mamy i o tym, co powiedziała babcia.

Powinnaś pozwolić swej matce na to, by ci powiedziała.

Czasami zastanawiała się, co konkretnie musiała powiedzieć jej mama. Babcia nie rzuciłaby tych słów ot tak, gdyby nie istniał ku temu żaden powód. Co więc mama musiała powiedzieć, co mogłoby zmienić sposób, w jaki Amber postanowiła żyć?

- Sałatka pani smakowała? - zapytał kelner.

- Tak, była pyszna - odparła, żałośnie szczęśliwa, że chociaż ktoś się do niej odezwał. - Nie jestem po prostu głodna.

Wieczór dałoby się może jakoś przetrwać, gdyby kolejna grupa ludzi nie pojawiła się, gdy do ich stolika podano kawę. Nie było oczywiście mowy o żadnym deserze. Niech Bóg broni, by w LA ktoś rzeczywiście jadł deser, co najwyżej mógł pogrzebać widelcem w sałatce ze świeżych owoców. Amber była zła, gdyż miała ochotę na coś słodkiego.

Wśród nowo przybyłych znajdowała się bardzo piękna kobieta o hebanowej cerze, z ciałem supermodelki i twarzą, której pozazdrościłaby Tyra Banks. Podeszła do stołu i ucałowała Michaela Levina w obydwie policzki - był to prawdziwy całus, a nie jedynie całowanie powietrza.

Sąsiadka Amber wyjaśniła jej szeptem, że to najnowsze odkrycie w świecie muzyki, i że Michael wyprodukował jej pierwszy album, który dopiero co się ukazał.

- Potrafi także śpiewać? - zapytała Amber, wpatrując się w to zjawisko. Wyglądała niczym przepiękna cesarzowa z Somalii.

O kurczę, pomyślała Amber, cudownie by się ją malowało: ta twarz, ta figura, ta elegancja.

- Taa, odniesie wielki sukces - odparła sąsiadka Amber. - Wszyscy usłyszą o Venetii, mówię ci. Będzie bardziej sławna od Beyonce.

Venetia. Nawet jej imię jest piękne, pomyślała z rozmarzeniem Amber. A potem nagle wszelkie przyjazne uczucia wobec Venetii zniknęły, ponieważ Michael przedstawił ją Karlowi. Żadnemu innemu członkowi zespołu, wyłącznie Karlowi. Przyniesiono kilka dodatkowych krzeseł i śliczna Venetia usadowiła się pomiędzy Karlem a Michaeliem. Prawdę mówiąc to nieco bliżej Karla. Rozmawiali i śmiali się. Amber nie słyszała, czego dotyczy ich rozmowa, ale widziała, jak Venetia dotyka ramienia i kolana Karla, jakby go znała od zawsze.

- Potrzebuje kogoś, kto by dla niej napisał kilka nowych piosenek - odezwała się sąsiadka Amber, dostrzegając jej wściekłe spojrzenie. - Ma cudowny głos i sama napisała kilka dobrych kawałków, ale generalnie potrzebuje kompozytorów i Michael uważa, że Karl ma parę piosenek, które mogłyby do niej pasować. Jest bardzo utalentowany.

- Cóż, Karl nie pisze dla nikogo - odparła z żarem w głosie Amber. - Nie wierzy w tego rodzaju rzeczy, pisze tylko dla siebie.

Kobieta posłała jej przeciągłe, spokojne spojrzenie.

- Karl wygląda mi na całkiem bystrego faceta, a jeśli chce się coś osiągnąć w tej branży, to tworzy się muzykę dla siebie, tworzy się muzykę dla innych ludzi, hej, robi, co tylko trzeba. Venetia daleko zajdzie, więc nie zaszkodzi mu podłączyć się pod jej sukces.

Amber robiło się niedobrze na myśl, że Karl mógłby się podłączyć pod cokolwiek związanego z Venetią.

Dokończyła wino. Czowała, że płoną jej policzki. Miała już dość tego wszystkiego. Wraciała do hotelu, a Karl razem z nią. Byli mili, czarujący, zjawili się na imprezie, ale teraz jechali razem do domu, do łóżka, a cholerna Venetia niech lepiej szybko zabierze to swoje łapsko z kolana Karla.

Wstała niepewnie z krzesła. Torebkę miała pod stołem, więc musiała się po nią schylić. Uderzyła czołem w stół.

-Au!

- Wszystko w porządku? - zapytał Syd.

- Tak, tak - odparła z niefrasobliwością charakterystyczną dla osób pijanych. Zachwiała się lekko. - Nic mi nie jest, tylko chyba już pójdziemy. Ja i Karl, jesteśmy zmęczeni.

- Odwiozę cię - rzekł Syd, odsuwając krzesło.

- Nie - upierała się Amber. - Nie trzeba. Karl zabierze mnie do domu. Przyjechałam z Karlem, to i pojedę z Karlem. To mój chłopak, a ja jestem jego muzą - oświadczyła głośno, tak głośno, by usłyszeli to wszyscy przy stole. Ale Venetia, Karl i producent nie sprawiali wrażenia, by słyszeli, ponieważ zatopieni byli w rozmowie, śmiejąc się przy tym radośnie.

Amber odsunęła swoje krzesło i obeszła chwiejnie stół, aż stanęła obok Karla. Położyła rękę na jego ramieniu.

- Chcę już jechać, kochanie - rzekła. - Jesteś gotowy? Podniósł głowę.

- Nie, nie, ty jedź - odparł. - Ja zostanę, skarbie. Nie czekaj na mnie.

Michael uniósł rękę i oto nagle ktoś z jego ekipy eskortował Amber na zewnątrz.

- Aleja czekam na mojego chłopaka, na Karla - zaprotestowała.

Widziała go, ale on na nią nie patrzył, w przeciwieństwie do Venetii, która wpatrywała się w nią tymi ślicznymi, kocimi oczami. Widać w nich było coś na kształt współczucia, nie złośliwość ani zazdrość czy triumf, ale zwykłe, starodawne współczucie. To ostatnie, co zapamiętała Amber, nim została wsadzona do pięknej limuzyny i odwieziona do swego ślicznego pustego apartamentu w hotelu.

Następne, co zobaczyła, to tyle światła, że ledwie była w stanie otworzyć oczy. Leżała, zastanawiając się, gdzie się znajduje i wtedy przypomniało jej się wszystko, co się wydarzyło zeszłego wieczoru. Karl. Gdzie on był? Jak śmie jej coś takiego robić? Już ona mu powie kilka słów prawdy. Usiadła na łóżku, ignorując mordercze pulsowanie w głowie, ale znajdowała się w nim sama. Łóżko było takie wielkie, że zajmowała zaledwie jedną czwartą, zaś pozostałe trzy czwarte pozostawały w idealnym stanie i było jasne, że nikt na nich nie spał. Odrzuciła kołdrę i obeszła cały apartament, ale po Karlu nie było ani śladu.

Następnie zadzwoniła po kolei do apartamentów Syda, Lew i Kenny'ego T.

- Jezu, Amber, po co do mnie dzwonisz o takiej porze? -jęknął Lew.

- Jest wpół do dwunastej - warknęła w odpowiedzi. - Trudno to nazwać świtem.

- Długo imprezowaliśmy, wróciliśmy chyba o szóstej. Ci ludzie wiedzą, jak się bawić, zaliczaliśmy jeden klub po drugim.

- Poszliście do klubu?

- Cóż, w końcu tak. Ale była impreza. Niepotrzebnie tak szybko pojechałaś do domu, Amber. A tak w ogóle to co

w ciebie wstąpiło? Karl nie znosi takich pokazów zazdrości, wiesz?

- Nie byłam zazdrosna - odparła straszliwie zakłopotana, że zauważył to ktoś taki jak Lew, który nie należał do najbardziej spostrzegawczych ludzi na świecie.

- Prawie prychałaś, kiedy wychodziłaś. Myślałem, że wdasz się w pyskówkę z Venetią. Niezła laska. Chętnie bym zapłacił, by sobie na to popatrzeć.

- Dziękuję ci bardzo, Lew, naprawdę mi pomogłeś - syknęła Amber i rozłączyła się.

Syd okazał się nieco bardziej przytomny, ale też było słyhać, że ma kaca.

- Nie, nie wiem, gdzie jest Karl - powiedział i z jakiegoś powodu w uszach Amber zabrzmiało to jak kwestia, którą wcześniej ćwiczył na wypadek, gdyby do niego zadzwoniła.

- No ale wyszedł czy wrócił z wami wszystkimi? Mógł przecież wynająć inny pokój, by mnie nie budzić - rzekła z powątpiewaniem, wiedząc, że to mało prawdopodobne.

- Słuchaj, Amber, to sprawa pomiędzy tobą a Karlem - odparł Syd. - Okej? Po prostu mnie w to nie mieszaj. Wiesz, jakie jest moje zdanie.

Amber nie знаła jego zdania, jednakże podziękowała mu, pożegnała się i rozłączyła. Czy Syd mówił jej, że coś iskrzy między Karlem a Venetią, czy też że Karl należy do tego typu mężczyzn, których zawsze coś łączy z jakąś kobietą? A może chodziło o coś jeszcze innego? Syda trudno było rozgryźć.

Udała się do swej ślicznej łazienki, gdzie weszła pod prysznic, by zmyć z siebie to straszne uczucie przymulenia.

Następnie zamówiła śniadanie. Nie dlatego, że była głodna, uznała po prostu, że mocna kawa i może jakiś owoc pomogą jej na kaca. Potem wyszła na balkon, z którego miała widok na basen i przyglądała się pięknym ludziom biorącym udział w służbowych spotkaniach wokół połyskującej tafli wody. Oprócz nich mnóstwo ludzi się opa-

łało, kobiety o pięknych ciałach, opalone i wysmarowane olejkami, w białych bikini albo egzotycznych i designerskich strojach we wzory Pucci. Pomyślała, że to miejsce aż kapie pieniędzmi, i jakie to dziwne, że podczas ich podróży przez Stany widzieli zarówno bogactwo, jak i biedę. Nocowali w najbiedniejszych miejscach, a teraz przebywali w jednym z najzamożniejszych miast na ziemi, ale Amber nie czuła się szczęśliwa ani podekscytowana, wbrew temu na co wcześniej miała nadzieję.

Jej marzenia związane z tym miejscem dotyczyły jej i Karla, szczęśliwych razem. Problem w tym, że nie było między nimi bliskości. Tutaj czuła się jeszcze bardziej samotna niż przed poznaniem Karla, kiedy tylko marzyła o tym, czym może być miłość. A teraz do całej reszty dołączyły wyrzuty sumienia z powodu cierpienia zadanego mamie.

Wreszcie także zeszła na basen i rozłożyła się na leżaku z książką. Zerknęła ponad nią, obserwując, co się dzieje.

W końcu dopadło ją gorąco i zapadła w pozbawiony snów sen.

- A więc tu się ukrywasz - rozległ się jakiś głos. - Wszędzie cię szukałem.

To Karl, tyle że nie wyglądał tak, jakby noc spędził na szaleństwie w klubach. Wyglądał jak ktoś, kto całą noc przespał. Na policzkach miał lekki zarost, włosy potargane. Jednakże wyraz jego oczu wszystko zdradzał. Było to spojrzenie, które Amber nauczyła się rozpoznawać, kiedy schodził ze sceny: triumf, czysta, niemal seksualna przyjemność. To spojrzenie mówiło: właśnie stałem przed tymi wszystkimi ludźmi i wszyscy mnie pragnęli.

- Niezbyt mocno się do tego przyłożyłeś - rzekła sarkastycznie. - Spędziłam tu cały dzień i całą zeszłą noc - dodała znacząco. - Gdzie byłeś?

- Wyszedłem - odparł. Omiótł ją takim spojrzeniem, jakby nie spodobało mu się to, co widzi.

- Wyszedłeś? - zapytała ostro Amber, czując, że traci panowanie nad sobą. - Z kim? - dodała dla lepszego efektu.

- Z Michaeliem, by robić to, po co przyjechaliśmy do LA, Amber, pamiętasz? Nawiązać kontakt z ważnym producentem, wyrobić sobie markę, wiesz? Jesteśmy tu nie tylko po to, by leżeć przez cały dzień koło basenu i się opalać.

- Opalam się tylko dlatego, że nie mam pieniędzy i nie mogę nigdzie iść, i dlatego, że czekałam, aż wrócisz - odwarknęła dotknięta do żywego.

- I martwiłam się, przecież wszystko mogło ci się przytrafić, wszystko.

Zobaczyła, jak wyraz jego twarzy wyraźnie łagodnieje, gdy usłyszał, że się o niego martwiła. Uśmiechnął się, na nowo stając się dawnym Karlem.

- Och, skarbie, niepotrzebnie się martwiłaś. Wczorajszy wieczór był niesamowity, przez całą noc mogłem rozmawiać o muzyce z kimś takim jak Michael. - Usiadł na leżaku obok niej i nachylił się. Na jego twarzy malowało się chłopięce podekscytowanie. - Nie uwierzyłabyś, z jakimi ludźmi miał okazję pracować, zespoły, nazwy, ludzie, których albumy mam, a których on zna, pracował z nimi. Jezus, to niesamowite. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy.

- A więc to wszystko? - zapytała niepewnie Amber.

- To wszystko. Przepraszam, masz rację, powinienem był zadzwonić. Zostałem na noc u Michaela, ma fantastyczny dom na wzgórzach, powinnaś go zobaczyć, cały ze szkła i po prostu piękny. Odbudowany po przejściu błotnych lawin, totalnie odlotowy. Powiedział, że już wcześniej to był niezwykle dom, ale teraz jest podwójnie niezwykle.

- Ktoś mówił, że posiada także dużo dzieł sztuki, zgadza się? - zapytała Amber. - Jest kolekcjonerem.

- Zgadza, zgadza - odparł Karl. - Były tam obrazy i tego typu rzeczy, znasz mnie, nie podniecam się tym i nie zwracam na nie uwagi, ale zgadza się, było tam mnóstwo niesamowitych rzeczy. Zobaczysz je. Słuchaj, a co powiesz na to, byśmy

wyszli gdzieś na kolację, tylko ty i ja, bez zespołu, w jakieś przyjemne miejsce?

- Stać nas na to?

- Jest okej, Michael dał nam zaliczkę, właściwie to zaliczkę zaliczki. - Karl uśmiechnął się szeroko. - Pieniądze, mamy pieniądze, mała.

- W jakieś zwyczajne miejsce - powiedziała z nadzieją Amber - ponieważ nadal nie mam tak naprawdę co na siebie włożyć z wyjątkiem tego, w co ubrana byłam wczoraj.

- A co to było? - zapytał Karl, marszcząc brwi.

- Zielona sukienka? Pamiętasz, zdjąłeś ją ze mnie, gdyż uważałeś, że tak ładnie wyglądam.

- A tak, zgadza się. Załóż ją, będzie fajnie.

Konsjerż polecił im małą restaurację serwującą kraby w Venice. Wsiedli do taksówki i trzymali się za ręce niczym nastolatki, pokazując sobie różne rzeczy i obserwując ludzi, podziwiając to miejsce, które tak bardzo się różniło od ich rodzinnego miasta. Uroczą małą restauracją wyglądała niczym wiejska chałupa nad brzegiem wody, ale co uświadomiła sobie Amber, ceny w niej były zupełnie miastowe. Taki był właśnie problem z mieszkaniem w naprawdę świetnych hotelach. Kiedy mówiło się konsjerżowi, że chce się jechać w jakieś tanie i miłe miejsce, wysyłał cię do najtańszego z lokali, gdzie jadali bogaci.

- Tu jest tak drogo, że lepiej nie zamawiajmy przystawek - wyszeptała, przebiegając wzrokiem po menu.

- Hej, żaden problem, mała - odparł Karl. - Mam pieniądze, pamiętasz?

Amber pomyślała, że cudownie jest je w końcu mieć. Wreszcie mogła sobie kupić jakieś ciuchy, gdyż rzeczy z domu nie bardzo tu pasowały. Kwieciste bikini, które tam wyglądało naprawdę ładnie, tutaj wydawało się jakieś takie zwyczajne wśród tych wszystkich markowych strojów.

- Mnie też będziesz musiał dać trochę pieniędzy - powiedziała, myśląc o tym, co sobie kupi. - Na ciuchy i inne rzeczy.

- Pewnie, sam powinienem był o tym pomyśleć, sorki.

Wyjął portfel, nowy portfel, jak zauważyła Amber, wykonany z bardzo miękkiej, zamszowej skóry w kremowym kolorze. Kiedy był na zakupach? W środku znajdował się całkiem gruby plik zielonych banknotów. Karl wyjął kilka i podał je nad stolikiem, i w tej dokładnie chwili zjawił się kelner, by przyjąć ich zamówienie.

Amber chwyciła pieniądze i wcisnęła je do portfela, czując straszne zakłopotanie. Wyglądało to tak, jakby była dziwką, której właśnie płacono za usługi. Ale ani Karl, ani czarujący kelner tak tego odebrali. Jediną zażenowaną osobą była ona. Mimo że się cieszyła, iż zespołowi wszystko się układa i że ucieczka z domu nie okazała się nadaremna, mimo radości, że jej związek z Karlem wrócił na właściwy tor - choć był nieco innym człowiekiem, a LA miało na niego tajemniczy wpływ - mimo wszystkich tych rzeczy, za które powinna być wdzięczna, stała się nagle świadoma, że ona, Amber Reid, wychowywana przez matkę w taki sposób, by wierzyła we własną siłę i prawo kobiety do niezależności, nie miała pracy, nie miała kwalifikacji i otrzymywała od swego chłopaka „pieniądze na drobne wydatki”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Maggie zawsze się śmiała, kiedy inni wyobrażali sobie, że środowisko akademickie oznacza splendor i prestiż.

Nikt w tym środowisku nie miał pieniędzy, a jedyny splendor krył się w gorączkowych marzeniach błyskotliwych studentów, pragnących zostać gwiazdą programu telewizyjnego „University Challenge”.

W każdym razie ona wpadła w taką samą pułapkę, jeśli chodzi o politykę. Wystarczyła jedna wizyta u radnego, by zdała sobie sprawę, że ta dziedzina jest pozbawiona splendoru w takim samym stopniu jak świat akademicki.

Dotarło to do niej, gdy wraz z matką czekały przed gabinetem Liz Globe, lokalnej radnej pełniącej popołudniowy dyżur. Jedyna osoba, która czekała przed nimi, starszy mężczyzna niespokojnie czytający raz po raz jakiś dokument z pozaginаныmi rogami, wszedł do gabinetu, by zobaczyć się z panią Globe, siedziały więc same. Poczekalnia przypominała Maggie stary sklep, z którego powynoszono regały, pomalowano ściany na przyprawiający o mdłości żółty kolor i wszędzie poumieszczano polityczne broszury i plakaty głoszące lepszą przyszłość, lepszą Irlandię, lepsze wszystko.

- Szkoda, że nie mają tu lepszych krzeseł - mruknęła Una, poruszając bolącymi ją biodrami, by usiąść wygodniej na plastikowym krześle.

Liz Globe była pierwszym politykiem, z którym skontaktowała się Maggie i kiedy wreszcie weszły do jej gabinetu,

zupełnie nie przypominała olśniewającej, mocno wymalowanej kobiety z plakatów wyborczych wiszących w poczekalni. Nadal miała krótkie jasne włosy i szeroki uśmiech, lecz pod jej oczami widać było ciemne worki, zaś bardzo konserwatywne marynarka i koszula wyglądały tak, jakby zbyt często odwiedzały pralnię chemiczną.

- No dobrze, w czym problem? - zapytała. Ledwie na nie spojrzała, przeglądając dokumenty na biurku. - Pawilon na Summer Street, tak? Znam kontekst, to nie powinno mieć miejsca, głosowałam przeciw. Sama mam małe dzieci i z bólem serca patrzę, jak dzieli się społeczność, ale obawiam się, że byłam w mniejszości. To dość proste: pawilon nigdy nie należał do terenów parkowych. Oficjalnie stanowi własność miasta. Nie bardzo wiem, co można zrobić w takiej sytuacji.

- Czy ludzie, którzy rzeczywiście korzystają z tego parku, nie mają w tej kwestii nic do powiedzenia? - zapytała ostro Una.

- Cóż, zasady polityki są takie, że państwo nas wybieracie, a my potem podejmujemy decyzje - odparła Liz z nieco już mniejszą uprzejmością.

- Cóż za absurd - warknęła Una.

Maggie posiała matce ostrzegawcze spojrzenie.

- W kwestii parku jestem po waszej stronie - rzekła Liz.

- Tak mówi każdy, kiedy się zbliża termin wyborów - oświadczyła Una, mrużąc oczy.

- Skoro jest pani po naszej stronie - wtrąciła łagodnie Maggie - to może mogłaby nam pani doradzić, co powinniśmy zrobić.

Liz Globe przeniosła spojrzenie z matki na córkę i westchnęła.

- Idźcie do Harrisona Mitchella. To tutejszy radny z Partii Zielonych i zasłynął tym, że udało mu się ocalić różne stare budynki. Jeśli wasz pawilon jest budowlą historyczną, Mitchell to ktoś dla was. I lubi beznadziejne przypadki - uwielbia pojawiać się w gazetach jako orędownik słabszych.

- To znaczy, że uwielbia pojawiać się w gazetach czy że uwielbia być orędownikiem słabszych? - zapytała ostro Maggie.

- Można powiedzieć, że jedno i drugie - odparła Liz. - Powodzenia.

Harrison Mitchell nie był skory do spotkania się z członkami komitetu kampanii „Ratujmy Nasz Pawilon”, ponieważ pochłaniała go walka o średniowieczny zamek, na miejscu którego rząd próbował zbudować autostradę. W kategoriach prasowych walka z rządem i autostradą zasługiwała na więcej artykułów niż walka o los małego parku na Summer Street.

- Jest obecnie bardzo zajęty - oświadczyła jego sekretarka, gdy Maggie zadzwoniła po raz trzeci. - Przedstawiłam mu państwa wniosek, ale nie sądzę, by znalazł na to czas.

Coś w Maggie pękło. Wczoraj wieczorem ona i jej tata spacerowali po parku, rozmawiając o życiu, wszechświecie i generalnie wszystkim, podziwiając kwiaty i myśląc z żalem, że jeśli ich kampania się nie powiedzie, to za kilka miesięcy wszystko może wyglądać zupełnie inaczej. Nie miała zamiaru przegrać tej batalii. Zbyt wiele razy przegrała w swoim życiu. Teraz to się miało zmienić.

Z biblioteki przyniosła książkę na temat pewności siebie i przeczytała ją dwukrotnie. Ćwiczenie afirmacji rano przed lustrem na początku wydawało się trochę głupie, ale chyba coś w tym było. W końcu jeśli się powiedziało: „Czuję się beznadziejna”, tak właśnie się działo, więc działanie przeciwne także musiało odnosić efekty.

Zacznij wierzyć w siebie i nie krytykuj się ciągle - napisane było w książce. Tak proste, a tak prawdziwe. I działało.

- Świetnie - powiedziała grzecznie Maggie do sekretarki. Wiedziała dokładnie, co mówić, ponieważ przećwiczyła

to przed lustrem. - Proszę przekazać panu Mitchellowi, że jutro udzielam wywiadu do gazety, w którym poinformuję o jego kompletnym braku zainteresowania naszym pawilonem. Mam zamiar podkreślić, że pana Mitchella interesują wyłącznie projekty, które mogą mu przynieść rozgłos w prasie i że trzykrotnie odmówił spotkania się z nami.

- No przecież nie ma potrzeby, by tak się zachowywać

- przerwała jej sekretarka.

- Ależ jest - odparła Maggie. - Przekona się pani. - I rozłączyła się.

Nie minęło piętnaście minut, a była umówiona na spotkanie z panem Mitchellem na jutrzejsze popołudnie.

- Nie mogę ci towarzyszyć - rzekła Una. - Mam wizytę u lekarza. Naprawdę ktoś musi iść z tobą, nie możesz spotkać się z kimś takim zupełnie sama.

- Bzdura - odparła Maggie, czując przyływ energii.

- Poradzę sobie.

Biuro Harrisona Mitchella było znacznie okazalsze niż Liz Globe i mieściło się w piwnicy jego imponującego, trzypiętrowego segmentu w stylu georgiańskim. Wygodnie piastować funkcję radnego, kiedy jest się bogatym, pomyślała Maggie, schodząc po schodach do piwnicy i podziwiając sztucznie kształtowane drzewka w wielkich kamiennych donicach z idealną warstwą porostów. Efekt był bardzo piękny, bardzo wytworny.

Wątpiła, by poczekalnię pana Mitchella pomalowano okropną żółtą farbą. Miała rację. Była gustownie jasnoniebieska z białymi gzymsami i kompozycją kwiatową, stojącą we wnęce.

- Przykro mi, że dopiero teraz spotykam się z panią - powiedział mężczyzna, który otworzył jej drzwi.

Radny Mitchell we własnej osobie. Maggie rozpoznała go ze zdjęć w gazetach. Wysoki, przystojny, czarujący, produkt kosztownej edukacji, która zapewniała naturalną pewność siebie. Maggie wyprostowała się i obdarzyła go półuśmiechem.

- Mnie też jest przykro, że tak długo to trwało - odparła spokojnie. Zaczynij w taki sposób, w jaki chciałabyś, by toczyła się rozmowa.

Uprzejmie i czarująco Harrison Mitchell robił, co mógł, by wykręcić się od pomocy przy ich parkowej kampanii.

- Uważam, że lokalna społeczność pracująca razem nad czymś, w co naprawdę wierzy, ma wielką siłę - rzekł wreszcie po półgodzinie omawiania mglistych planów dotyczących tego, co protestujący mogliby zrobić w swojej sprawie.

Maggie miała dość.

- Jest pan w jakimś stopniu snobem, jeśli chodzi o konserwację, prawda? - zapytała. - Lubi pan projekty z konotacjami historycznymi albo idealnymi proporcjami architektonicznymi, do diabła zaś ze wszystkim, co jest potrzebne społeczeństwu, ale nie spełnia pańskich kryteriów.

- To nieprawda - warknął.

- Ależ prawda - odparła Maggie, po czym wymieniła pięć ostatnich projektów, w które był zaangażowany. Każdy z nich wiązał się z jakimś miejscem historycznym, mimo że w swych politycznych broszurach twierdził, iż interesuje go ratowanie obiektów ważnych dla społeczeństwa bez względu na ich wiek czy piękno architektoniczne. - Pracuję w bibliotece - kontynuowała Maggie. - I specjalizuję się w badaniach. Potrzebujemy pańskiej pomocy. Mamy już zaplanowane akcje medialne - rzekła, co było tylko po części prawdą. Skontaktowali się z wieloma gazetami i stacjami radiowymi, ale nikt na razie nie był zbyt zainteresowany. - Mogłaby to dla pana być świetna kampania. Pańscy krytycy przestaliby w końcu mówić, że interesuje pana tylko to, by znaleźć się w gazetach - dodała, myśląc, że jeszcze miesiąc temu nie miałyby w sobie tyle odwagi, by powiedzieć coś tak bezczelnego.

Mitchell zmrużył oczy i przyjrzał się stojącej przed nim efektownej rudowłosej kobiecie. Wyglądałaby oszalamiająco na ekranie telewizora, miała też tupet.

- No dobrze - rzekł. - Ale to ja będę kontaktował się z prasą.

- Przykro mi - odparła spokojnie Maggie - ale będziemy to robić razem. Proszę pamiętać, że to nasza kampania.

Zobaczyła w jego oczach błysk szacunku.

- Okej - powiedział. - To pani kampania, pani Mag. Pani jest szefem.

Tak, pomyślała z dumą Maggie, jestem szefem.

Było prawie wpół do ósmej, kiedy szła Summer Street od strony parku, wciąż analizując w myślach wcześniejsze spotkanie. Była tak pochłonięta swym triumfem, że mało brakowało, a w ogóle by nie dostrzegła mężczyzny wysiadającego z samochodu przed jej domem.

- Wracasz z zajęć poświęconych obsłudze samochodu? - odezwał się za nią niski, głęboki głos.

Maggie natychmiast go rozpoznała. Wielki, misiowaty mężczyzna zupełnie nie umiejący zachować się w towarzystwie, poplamiony smarem kombinezon i brud za paznokciami. Mężczyzna z ssawką do benzyny.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Gdyby nie ten głos, pewnie weszłaby do domu, w ogóle go nie poznałaby. Kombinezon zniknął, zastąpiły go dżinsy i bawełniana bluza opinająca lekko jego szerokie ramiona.

Musiła przyznać, że dobrze się doszorował. Bez warstwy warsztatowego brudu całkiem nieźle się prezentował z tymi błyszczącymi ciemnymi oczami. Nie był rzecz jasna w jej typie, nie gustowała w wielkich mężczyznach, którzy wyglądali tak, jakby nigdy nie zaglądali na siłownię, a jedynie podnosili ciężarówkę, by wyrobić sobie mięśnie.

- Nie, biorę udział w programie kosmicznym - odparła ze śmiertelną powagą. - Pracujemy nad planem wystrzelenia mężczyzn w kosmos i pozostawienia na ziemi wyłącznie kobiet.

356

- Wszystkich mężczyzn? Czy tylko tych, którzy pracują w warsztatach samochodowych i stroją sobie głupie żarty?

- Wszystkich - oświadczyła zdecydowanie.

- A gdzie zostaniemy wysłani? - zapytał. Naprawdę był wysoki. Przy

nim czuła się wręcz mała, a do tego akurat Maggie nie była przyzwyczajona.

- Gdzieś, gdzie nie ma tlenu.

Próbowała patrzeć na niego groźnie, ale to było trudne, gdyż uśmiechał się do niej w taki sposób, jakby czuł się zupełnie swobodnie.

- Podejrzewam, że nie powiesz mi, kiedy zostaniemy wystrzeleni, to znaczy cały męski ród - rzekł i nawet wtedy brzmiało to tak, jakby się uśmiechał. No naprawdę, jaki miało sens zgrywanie błyskotliwej przy kimś, kto patrzył na ciebie błyszczącymi, seksownymi oczami i wyglądał na niezmiernie rozbawionego. - Tyle że ja przyjechałem przeprosić. Wybacz, powinienem był to zrobić od razu następnego dnia, ale uznałem, że możesz być zbyt rozgniewana, by mnie wysłuchać. W ramach przeprosin chciałem ci zaproponować wspólne wyjście. A tak na marginesie, to ile czasu zostało mężczyznom, nim zostaną wystrzeleni na tę pozbawioną tlenu planetę?

- Przyjechałeś mnie przeprosić i zaproponować wspólne wyjście? - powtórzyła Maggie, zastanawiając się, czy to nie kolejny żart.

- Chyba że NASA prowadzi politykę przeciw brataniu się - dodał - i nie możesz. Z przyczyn dotyczących światowego bezpieczeństwa.

Przekomarzał się z nią, ale czynił to w łagodny sposób i Maggie odkryła, że nawet jej się coś takiego podoba.

- Tylko inteligentne formy życia stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego - zauważyła z nutką sarkazmu w głosie, nie pozwalając mu wątpić w to, że jego uważa za formę życia, której brakuje inteligencji.

- W takim razie nie będzie problemu z tym, byś przyjęła moje zaproszenie - powiedział spokojnie. - W przyszłą sobotę o drugiej. Wesele mojego kuzyna.

- Wesele? Nie zaprasza się na wesele kogoś, kogo się dopiero co poznało - rzekła podejrzliwie. - Co się stało? Dziewczyna rzuciła cię z powodu twoich okropnych psikusów? - Nawet wypowiadając te słowa, wiedziała, że zachowuje się zołzowato i że biedny Ivan na to nie zasłużył. Ale dobrze to przyjął.

- Nie - odparł. - Rzuciła mnie z powodu mojego zapachu. Na każdą Gwiazdkę dostawałem dezodorant, wodę po goleniu i proszek do prania. Myślę, że wreszcie zrozumiała, iż do mnie to nie dociera.

- No dobrze - rzekła Maggie, uśmiechając się wbrew sobie. - Powiedz, jaki jest prawdziwy powód? Nie pojawia się na weselu kuzyna z kobietą, której nikt z twojej rodziny nie zna, ani nawet o niej nie słyszał.

- Moja rodzina jest trochę szalona - powiedział Ivan z błyskiem w oku. - Nie będą mieli nic przeciwko. Będą zdumieni, że ktoś w ogóle się zgodził przyjść z głupim mechaniczną.

Maggie oblała się rumieńcem, przypominając sobie, że tak właśnie go nazwała. Będzie musiała wyrobić sobie o nim zupełnie nową opinię. W żadnym wypadku nie można go było nazwać głupim.

- Idziemy na całe wesele? - zapytała Maggie. - Kościół, obiad, całość? Jeśli tak i obowiązują super eleganckie stroje, to muszę ci powiedzieć, że źle trafiłeś. Można mnie nazwać kobietą dzinsową.

- Ja też niezbyt dobrze się czuję w eleganckich ciuchach - odparł z powagą Ivan. - Choć w tym przypadku miałem zamiar uczynić wyjątek. Może nawet kupić nowy kombinezon. Ale strój w stylu rock chick byłby wystarczający. - Przesunął pełnym uznania spojrzeniem po stroju Maggie, na który składały się dzinsy, kowbojki i brzoskwiniowy T-shirt przylegający do szczupłego ciała i podkreślający rdzawy kolor jej nieposkromionych loków. Przez ramię miała przewieszoną nową marynarkę. - Bądź sobą - dodał.

Teraz Maggie roześmiała się naprawdę szczerze.

- Bądź sobą, to jedna z rzeczy, które ludzie mówią, kiedy wcale nie mają tego na myśli, a jedynie nie wiedzą, co mogliby innego powiedzieć.

- Nie - rzeki Ivan z całą powagą. - Mówię serio: bądź sobą. A kim innym miałabyś być?

Maggie pomyślała o tych wszystkich ludziach, którymi próbowała być w swoim życiu. W szkole starała się zlewać z resztą, by nikt nie jej zauważył. W końcu próbowała grać twardą, ponieważ bycie niewidzialną nie odniosło pożądanego skutku. Twardość okazała się dobrym kompromisem. Ludzie dawali spokój, jeśli się było choć trochę twardym.

Przechodziła przez tę całą „nie zadzieraj ze mną” fazę, kiedy poznała Greya. Wtedy przystopowała, stała się łagodniejsza, pozwalając włosom rosnać tak, jak lubił Grey. Innymi słowy była taka, jaką ją chcieli widzieć inni. A oto pojawił się człowiek, który chciał, by była sobą.

Cóż, równie dobrze mogła spróbować. W końcu nie miała nic pilnego do roboty.

- Okej - powiedziała. - Pójdę z tobą. Nie jako twoja dziewczyna, jasne?

Nowa, udoskonalona Maggie, przewodnicząca ważnego komitetu i towarzyszka działań polityków ostatnio mówiła to, co myślała.

- Nie - zgodził się Ivan. - Nie jako moja dziewczyna. Maggie nie wyciągała już z niego, dlaczego potrzebował

kogoś tak na ostatnią chwilę. Na pewno kryła się za tym jakaś historia, ale poznają później.

- Przyjedziesz w takim razie po mnie w sobotę?

- U ciebie o drugiej? - zapytał.

- Umowa stoi - odparła Maggie. - I na pewno nie założę kapelusza.

- Kapelusze nie są obowiązkowe.

Jak na wesele, na które nie chciała iść i na którym miała spotkać mnóstwo obcych ludzi, Maggie zaskakująco mocno pochłaniała kwestia tego, w co się powinna ubrać. W piątek wieczorem jej matka usiadła na łóżku i razem przeanalizowały różne opcje.

- Sukienka zawsze się nada - orzekła przez telefon Shona, kiedy wcześniej Maggie zadzwoniła do niej po radę - no ale ty nie masz żadnych sukienek, co?

- Shona, znasz zawartość mojej szafy - odparła Maggie. - Ostatni raz znajdowała się w niej sukienka, kiedy miałam cztery lata. Choć mama trzyma pewnie rzeczoną sukienkę gdzieś na strychu, wątpię, bym się w nią zmieściła.

- No a co z suknią drużny, którą miałaś na moim weselu?

- Mam ją - przyznała Maggie - ale jest za bardzo wyrafinowana i za strojna jak dla człowieka, którego nie znam. Nie mogę jej założyć.

- O Boże, to nie wiem - jęknęła Shona. - Zadzwoń do mnie, kiedy już przejrzyś wszystkie ciuchy i wtedy coś ci doradzę.

- Trinny i Susannah przez telefon?

- Może lepiej nie. W takim razie nałóż grubą warstwę szminki. Odwróci uwagę od dzinsów.

- Wiesz, ja mam nie tylko dzinsy, inne spodnie także.

- Wiem, ale o ile nie są one częścią szykownego spodniomu, to nie będziesz wyglądać zbyt weselnie, no nie?

- Co myślisz o tym? - zapytała teraz Maggie, podnosząc do góry granatową jedwabną bluzeczkę na ramiączkach z naszytymi z przodu błyszczącymi diamencikami. Kupiona w sklepie z używaną odzieżą, nieco wystrzępiona na brzegach, ale Maggie ją lubiła.

- Śliczna - westchnęła jej matka. - Naprawdę ładna. A co założysz do niej?

Nastąpiło przeglądanie wielkiej sterty dzinsów, mniejszej sterty czarnych spodni i dwóch spódnic. Jedna była uszyta z wytartego aksamitu

i kiedyś była chyba brązowa, a teraz nakrapiana i wypłowiła w sposób, który był albo cudownie piękny albo totalnie paskudny. Maggie nie miała tylko pewności, który.

- Czy ja wiem - powiedziała z powątpiewaniem Una. - Gdyby to miało być przebranie, to byłoby super, ale... Tak czy inaczej przymierz i zobaczymy.

- Kopciuszek przed transformacją dobrej wróżki - orzekła Maggie, kiedy założyła spódnicę.

- Och, no nie mów tak - zbeształa ją matka. - Jeśli się trochę umalujesz i zakręcisz włosy, będziesz królową balu.

- Mamo, uważam, że ten upadek uszkodził ci mózg - zażartowała Maggie, rozbierając się.

Una roześmiała się.

- Tak właśnie twierdzi twój ojciec. A skąd niby on może to wiedzieć, tak mu mówię! No a popatrz na tę śliczną spódniczkę.

Wzięła do ręki drugą i ostatnią spódnicę Maggie, na kupno której namówił ją kiedyś Grey. Wąska i prosta, odsłaniała jej długie, szczupłe nogi i Maggie założyła ją tylko raz, po to, Iw Grey mógł ją z niej zdjąć.

- Pięknie by na tobie wyglądała, Maggie. Nigdy nie pokazujesz nóg.

- Nie wiem - powiedziała niechętnie, ponieważ miała bardzo dobry powód, by nie odsłaniać nóg, a mianowicie nie chciała, by ludzie na nie patrzyli. - A poza tym nie mam rajstop. - Na cóż potrzebne rajstopy, jeśli nie nosi się spódnic.

- Przyniosę ci jakieś swoje - zaproponowała Una, zadziwiająco szybko kuśtykając o kulach.

Wreszcie miała już zaczątek stroju.

- A może biała bluzka? - zapytała niepewnie Maggie. Prawie nie poznała tej szczupłej dziewczyny w lustrze z długimi, długimi nogami w połyskujących rajstopach i przylegającej do bioder eleganckiej spódnicy.

- Wyglądałabyś jak kelnerka - odparła jej matka. - Nie, to musi być coś kolorowego. A co jest złego w tej granatowej bluzeczce?

- Nie - rzekła Maggie, myśląc, że wtedy już zupełnie nie byłaby sobą z odsłoniętymi zarówno ramionami i dekoltem, jak i nogami. - Chciałabym móc coś od kogoś pożyczyć.

- Szkoda, że Elisabeth jest w Seattle. Ona zawsze ma niesamowite ubrania, wiesz, wszystkie od znanych projektantów. I gdybyś utrzymywała kontakty z jakimiś koleżankami ze szkoły, to mogłabyś teraz do nich zadzwonić i coś pożyczyć.

- Jasne - odparła krótko Maggie. Jeszcze raz założyła granatową koszulkę.

- Ślicznie wyglądasz - westchnęła Una. - Pożyczę ci moje kolczyki i naszyjnik z markasytami i Ivan nie będzie mógł oderwać od ciebie oczu.

- Zaprosił mnie tylko dlatego, że wystawiła go dziewczyna - oświadczyła Maggie, co niezupełnie było prawdą. Ale tak właśnie powiedziała rodzicom, wyjaśniając, jak to się stało, że została zaproszona na wesele przez mężczyznę, którego nie znało żadne z nich.

- No cóż, dzięki temu wyjdiesz z domu i zapomnisz choć na chwilę o tym okropnym starym Greyu - stwierdziła zdecydowanie jej matka. - Gnida. Jeśli twojemu ojcu uda się kiedyś dorwać Greya Stanleya, cóż, będziemy wtedy potrzebować pieniędzy na kaucję, tyle ci tylko powiem.

Sobotni ranek w bibliotece mijał niesamowicie szybko. Panował duży ruch i Maggie nie miała ani chwili, by rozmyślać

o tym, że jest umówiona na popołudnie. Tak czy inaczej miło móc odpowiedzieć: „Tak, wybieram się na wesele”, kiedy ludzie pytali, czy będzie dzisiaj robić coś ciekawego.

Lepsze to niż mówić: „Nie, będę siedzieć w domu i zamartwiać się z powodu byłego chłopaka, który bzykał się z inną”. Życie towarzyskie z całą pewnością dodawało optymizmu. Wstała wcześniej, umyła włosy i nawet nałożyła na nie specjalny preparat do podkreślania loków, tak że teraz miała mnóstwo błyszczących fal zamiast normalnie napuszonej szopy.

- Ślicznie wyglądasz - rzekła Tina, kiedy uwijały się za biurkiem. - Przyjeżdża ten twój przystojny mężczyzna z Galway?

- Niezupełnie - mruknęła w odpowiedzi Maggie. - Prawdę mówiąc, to chodzi o kogoś całkiem innego.

Tina była pod wrażeniem.

- Cieszę się, wiesz? To znaczy on był uroczy, ten twój facet, i w ogóle, ale... - urwała.

- Ale co? - zapytała zaciekawiona Maggie.

- Był trochę za bardzo zadowolony z siebie, no nie? Ci przystojniacy zawsze tak mają. Nikt nigdy nie pokocha ich tak bardzo, jak oni kochają siebie.

Maggie uśmiechnęła się szeroko.

- Myślę, że trafiłaś w sedno - rzekła. - Rywalizowanie z kobietami to jedno, ale nie da się rywalizować z samym facetem, prawda?

- Ty to powiedziałaś - odparła Tina tonem, który sugerował, że już ona dobrze wie, o czym mówi.

To zabawne, pomyślała Maggie, wracając do biurka, kto by pomyślał, że przeszłość Tyny skrywa wielu mężczyzn? Ale nigdy nic nie wiadomo. Wszyscy mieli jakieś tajemnice i przeżywali dramaty, po prostu nie afiszowali się z nimi.

Maggie wróciła z przerwy na kawę i szła właśnie w stronę biurka, kiedy zaszokowana uświadomiła sobie, że pozna-

je kobietę, która weszła akurat do biblioteki. Billie Sherry, członkini bandy dręczycielek, które życie Maggie zamieniły w piekło.

Billie nigdy nie była aż taka zła jak przywódczyni grupy, Sandra Brody. Ale wystarczyło, że Maggie ją ujrzała, a piętnaście lat zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Poczuła się tak jak wtedy: wnętrzności dosłownie skręcały jej się ze strachu, serce mocno waliło, dłonie miała lepkie od potu.

Billie trzymała za rękę małego chłopca i wydawała się zupełnie nieświadoma obecności Maggie. Jej fryzura i wyraz twarzy były dokładnie takie same jak przed laty, kiedy porwała tornister Maggie i rzuciła go do Sandry, śmiejąc się jak hiena, kiedy ta wyrzuciła całą jego zawartość na szkolny dziedziniec.

Nie mogąc się powstrzymać, Maggie czmychnęła za regał i słuchała z walącym sercem.

- No dobrze, skarbie - rzekła Billie do chłopca. - Za pięć minut musimy wyjść z biblioteki. Wybierz szybciotko książkę, tak? Nie możemy tu spędzić całego dnia, mamy spotkać się z tatusiem. Będzie zły, jeśli się spóźnimy, wiesz przecież, jaki on jest. - Chłopiec stal bezradnie. - Och, no dalej! Pospiesz się!

Opierając się o półkę, wiedząc, że czymś absurdalnym jest czuć teraz strach, Maggie ponownie przeżywała te cztery lata piekła. Nawet teraz nie była w stanie tak do końca wytłumaczyć, jak się wtedy czuła, jak bardzo była przerażona i zrozpaczona. Był taki krótki okres, kiedy Sandra bawiła się w kradzież i niszczenie jej rzeczy, że Maggie zastanawiała się, czy rozwiązaniem nie jest samobójstwo. Przynajmniej wtedy nie będą się jej czepiać. Przynajmniej wtedy nie będzie się budzić w poniedziałkowy rano z przerażeniem wypełniającym każdą komórkę jej ciała.

Czasami czytała w gazetach artykuły na temat dręczenia. Dla niej było jasne, że piszący o tym dziennikarze nigdy

sami nie byli ofiarami. Pisali o tym tak, jakby to było jakieś pomniejsze zdarzenie, coś, co miało miejsce przez parę godzin każdego dnia, a potem przechodziło się do kolejnej części swego życia. Do tych dziennikarzy nigdy nie dotarło, że dręczenie stawało się twoim życiem, przejmowało nad nim kontrolę, niszczyło cię.

- Maggie - powiedziała głośno Tina, pokazując na kolejkę. - Potrzebujemy cię tutaj, przykro mi. Rozmawiam przez telefon...

Wzięła głęboki oddech i niemal podbiegła do biurka, które zapewniało jej bezpieczeństwo. Automatycznie stemplowała książki, uśmiechała się do dzieci i ich rodziców, mówiąc rzeczy w rodzaju: „Książki o Narnii są fantastyczne. Uwielbiałam je jako dziecko, nadal czasami je czytam”.

Dzieci się wtedy uśmiechały, a ich rodzice uśmiechali się jeszcze szerzej, zadowoleni z tego, że ich pociechy chcą czytać książki.

Tina znowu rozmawiała przez telefon, tłumacząc jakiejś kobiecie, że jeszcze nie zwrócono Jacqueline Wilson. Kolejka robiła się coraz krótsza, przybliżając Billie do Maggie.

Skończ rozmawiać, błagam, myślała udręczona Maggie. Tak, Billie wyglądała dokładnie tak samo, wciąż miała proste jak druty włosy w kolorze platynowego blondu, teraz już pewnie nie farbowane w domu, a jej oczy otoczone były grubą obwódką eyelinera, zimne, brudnoniebieskie szparki. Ona i Sandra były w Świętej Urszuli królowymi eyelinera, chociaż makijaż był zabroniony. Nie przejmowały się oczywiście zasadami: one były dla innych.

Ubranie miała zadziwiająco normalne: bluzka z długimi rękawami i jasne spodnie, zero rozdarć i niegrzecznych logo. To była kolejna rzecz, która charakteryzowała Billie i Sandrę. Poza szkołą lubowały się w króciutkich T-shirtach, podartych skórzanych kurtkach, obcisłych jasnoniebieskich džinsach i kozaczkach na wysokim obcasie. Punkowe zdziury, jak nazy-

wała je przyjaciółka Maggie, Kitty. Ona i Maggie uwielbiały to określenie i fakt, że mogły brzydko nazywać dręczycielki. Dawało im to maleńkie, tak bardzo potrzebne poczucie władzy. Szkoda, że rodzina Kitty postanowiła się przeprowadzić.

- Jimmy, podaj pani swoją książkę i wychodzimy stąd - powiedziała Billie.

Maggie nie miała wyjścia. Nie podnosząc głowy, zeskanowała numer książki, podstemplowała ją i podała chłopcu, nie odzywając się ani słowem.

- Dziękuję - rzekła Billie. - Jimmy, powiedz dziękuję. Maggie zatkało. Kiedyś w słowniku Billie takie słowo zupełnie nie istniało.

- Dziękuję - powiedział posłusznie chłopiec.

Miał osiem albo dziewięć lat, więc Billie musiała zająć w ciążę dość szybko po skończeniu szkoły. Przez ułamek sekundy Maggie zastanawiała się, czyjej życie było wtedy trudne, po czym odsunęła od siebie tę myśl: Billie Sherry nie potrzebowała jej współczucia.

- Chodź, Jimmy, musimy już iść. - I nie wymieniając ani jednego spojrzenia z Maggie, wymaszerowała z biblioteki.

Za biurkiem stał mały taboret i Maggie opadła na niego. Przed zaledwie kilkoma dniami rozmawiała z Christie Devlin o pożegnaniu się ze swymi demonami, a teraz w jej życiu pojawiła się jedna z dawnych dręczycielek. Co za suka. Maggie nienawidziła jej z taką zajadłością, której czas nie zmniejszył ani na jotę, a jednak Billie weszła tu zadowolona, uśmiechnięta, pełna życia, tak jakby nie miała pojęcia, co zrobiła, co ona i jej drwiące koleżanki zrobiły z życiem Maggie. Jak mogła nie wiedzieć?

- Niedobrze mi, mogę na chwilę pobiec do toalety? - zapytała niecierpliwie Maggie.

Tina, która właśnie odłożyła słuchawkę, kiwnęła głową. Maggie pomknęła do toalety dla personelu, gdzie zamknęła się w kabinie, usiadła na desce i skryła twarz w dłoniach.

Piekły ją policzki i czuła znajomy ból w jelitach. Sandra i jej przyjaciółeczki zawsze były dobrym lekarstwem na zaparcia. Maggie ogarnęła wściekłość, gniew i poczucie bezsilności. Pożegnanie demonów to jedno, ale dlaczego teraz, dlaczego dzisiaj?

Zanim przyjechał po nią Ivan, Maggie zdążyła wytrzeć tusz, który spłynął razem z łzami po jej policzkach, i nałożyć nową warstwę.

- Witaj, Maggie - powiedział, podziwiając jej nowy strój. - Świetnie wyglądasz.

On także całkiem dobrze się prezentował. Garnitur i krawat zmieniły go niemal nie do poznania.

- Dzięki - odparła zwięźle.

Kiedyś czytała książkę o przyjmowaniu komplementów i podobno trzeba powiedzieć: „Dziękuję, cieszę się, że tak uważasz” zamiast „Och, ten starość mam już jakieś sto lat” albo „Mój chłopak podarował mi tę spódnicę i nigdy jej nie noszę”.

Wsiedli do samochodu Ivana, który do niego pasował: jakiś klasyk. Maggie kompletnie nie знаła się na samochodach, ale musiał być stary, sądząc po zabytkowej desce rozdzielczej i siedzeniach, które wyglądały tak, jakby je wyjęto z jakiejś artystycznej instalacji z lat sześćdziesiątych.

Puszczał muzykę klasyczną, Dworzaka, o ile Maggie dobrze pamiętała z lekcji muzyki.

- Nie sądziłam, że słuchasz takiej muzyki - rzekła.

- Nie? - zapytał wesoło. - A co sobie myślałaś? Że będę tanem Guns'N'Roses, jednym z tych kolesi, którzy udają, że grają na gitarze i tańczą z szeroko rozstawionymi nogami, potrząsając głową?

Jako że stanowiło to dość wierny opis tego, co pomyślała o Iwanie, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, nie odpowiedziała na to pytanie, lecz rzekła:

- Niewielu ludzi słucha obecnie muzyki klasycznej.

- Moja matka uczyła gry na pianinie - odparł. - Dorastałem w otoczeniu muzyki. Poprawia mi nastrój.

- Mój tata jest taki sam. Przechodził przez fazę muzyki klasycznej. Miał różne fazy. Fazy uczenia się o gwiazdach i fazy uczenia się o muzyce klasycznej. Teraz lubi operę. Ja nawet też, ale nie puszczałą na pełen regulator, co - jak sądzi mój tata - jest koniecznością. Obecnie przechodzi też fazę sklejanía modeli. Samoloty i statki.

- Fajnie - rzeki Ivan. - Sam bym chętnie pobawił się w sklejanie modeli.

Maggie pomyślała, że dobrze się czuje w jego towarzystwie. Nie musiała się wysilać, by być błyskotliwą czy zabawną. Musiała jedynie być. Siedzieć w samochodzie i pozwalać toczyć się rozmowie, albo i milczeć. Ivanowi nie przeszkadzało, gdy ciszę między nimi wypełniały dźwięki muzyki Dwo-rzaka. Niewymagający, taki właśnie był. Uświadomiła sobie nagle, że Grey był wymagający. Nigdy nie miała możliwości porównać go z nikim, ale Ivan był taki rozluźniony, że samo się nasuwało porównanie na niekorzyść Greya.

- Nie jesteś dzisiaj sobą - odezwał się nagle Ivan, kładąc kres porównaniom.

- Co masz przez to na myśli? - zapytała obronnym tonem.

- Płakałaś.

Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i zerknęła do lusterka. Co prawda wytarła dokładnie tusz, ale oczy miała lekko zaczerwienione.

- Większość mężczyzn by tego nie zauważyła - rzekła.

- Ja nie należę do większości - odparł. - Chcesz pogadać?

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie chcę.

Ale nie potrafiła przestać myśleć o szoku, jaki przeżyła rano. Najgorsze w tym wszystkim było to, że dotarło do niej, iż wcale a wcale nie doszła do siebie po dawnym dręczeniu. I zrozumiała, że przeszłość już zawsze będzie ją więzić, chyba że w końcu coś z tym zrobi. Ale co?

To było bardzo nowoczesne wesele, choć większość gości chyba nie

została o tym poinformowana. Kobiety wystrojone w kwiciaste suknie, w kapeluszach wielkości galeonów, z pierzastymi boa, torebkami wyszywanymi kolorowymi kamyczkami i w butach w letnich kolorach przyglądały się ze zdumieniem i przerażeniem gościom panny młodej, którzy w strojach kremowych i niebieskoszarych wyglądali tak, jakby zeszli ze stron włoskiego „Vogue'a”.

Panna młoda ubrana była w luźną sukienkę w kolorze kremowym, tak prostą, że wyglądała, jakby Maggie sama dała radę ją uszyć na starym singerze swej matki, lecz była tak bardzo stylowa, że metka bez wątpienia głosiła, iż jest to dzieło designerskiej sztuki z mediolańskiego atelier.

Pan młody miał na sobie ciemnopopielaty garnitur ze stójką. Drużbowie ubrani byli podobnie, zaś stroje druhen to niebieskoszare luźne sukienki i male bukietiki kremowych róż.

- Bardzo stylowo i trendy - rzekła Maggie, starając się powiedzieć to, co należy.

- A gdzie falbanki? - lamentowała kobieta, siedząca w tej samej ławce.

- Jaki ma sens brać ślub, jeśli nie można mieć falbanek i kwiatów i... popatrzcie tylko na to coś zamiast bukietu, jeden beznadziejny kwiat. Według mnie wygląda to koszmarnie.

Panna młoda rzeczywiście niosła tylko jeden kwiat, choć Maggie nie nazwałaby go beznadziejnym, no ale ona nigdy nie należała do fanów bukietów w stylu rajszych ptaków.

- Cóż, wygląda na to, że tego właśnie chcieli - rzekła do siedzącej obok kobiety.

- Jesteś bardzo dyplomatyczna - powiedział Ivan. - Dla mnie wygląda to okropnie.

- Nie sądziłam, by choć trochę interesował cię świat wielkiej mody - odparowała żartobliwie. - Myślałam, że twoim zainteresowaniem cieszy się jedynie cudowny środek, którego używasz, by po całym dniu pracy w warsztacie zmyć z dłoni smary.

- To znaczy po całym dniu uczciwej, ciężkiej pracy? - zapytał, podnosząc do góry idealnie czyste dłonie.

Niewiele myśląc, Maggie ujęła jedną z nich, by przyjrzeć jej się uważnie.

- Jak ci się to udaje? Gdy ja coś maluję w mieszkaniu, jestem brudna przez kilka dni. Nie da się czegoś takiego zmyć od razu, czego używasz?

- Tajemnica zawodowa - mruknął. - Ale możliwe, że jestem gotowy, by zdradzić ją właściwej osobie.

Szybko puściła jego rękę.

Podczas przyjęcia siedzieli przy stole zajmowanym przez różnych kuzynów, łącznie z bratem Ivana, Leonem. Z wyglądu był bardzo podobny do Ivana, choć na jego twarzy malował się wyraz drapieżności, tak jakby w każdej chwili mógł się na ciebie rzucić.

- Gdzie mój starszy brat cię ukrywał? - zapytał Maggie.

- Zostaw ją w spokoju - odparł dobrodusznie Ivan. - Leon zawsze chciał mieć wszystko, co moje - wyjaśnił Maggie. - Kolejki, żołnierzyki, wszystko.

Już miała ostro odpowiedzieć, że ona nie należy do Ivana, dlatego bez znaczenia jest to, czy Leon jej chce czy nie, ale z jakiegoś powodu ugryzła się w język. Zamiast tego nawiązała rozmowę z kuzynem po swojej drugiej stronie, siedemnastolatkiem, który zjawiał się tutaj z dziewczyną, ale widać było, że strasznie onieśmiela go towarzystwo tych wszystkich ubóstwianych starszych kuzynów.

To był cudowny dzień. Generalnie Maggie przepadała za weselami w takim samym stopniu, jak za dwudziestoczworgodziną migreną, ale to akurat było inne. Oprócz manifesta-

cji stylu ze strony młodej pary, wszyscy inni na przyjęciu byli sympatycznie zwyczajni. Większość ludzi przyszła tutaj, by dobrze się bawić: kilku szalonych wujków wyczyniało wygi-basy na parkiecie, ktoś zabrał didżejowi mikrofon, by śpiewać na całe gardło *Fever*, dodajmy, że dość fałszywie, zaś grupka niezwykle wytwornych dziewcząt, tańczących razem, przyglądała się z przerażeniem szopkom starszego pokolenia.

- To straszne! - Maggie usłyszała, jak jedna z nich burczy. - Co sobie ludzie pomyślą?

- Ty też kiedyś taka byłaś? - zapytał Ivan, widząc, że przygląda się tańczącym dziewczętom.

Zaskoczył ją, gdyż nie zdawała sobie sprawy, że znajduje się tak blisko niej. Po obiedzie ludzie poprzesiadali się, a ona odwróciła swoje krzesło, by mieć widok na parkiet, co oznaczało, że tak naprawdę nie musiała z nikim rozmawiać.

- Nie - odparła. - Ja byłam zdecydowanie drętwa.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. No a ty? - zapytała, by nieco zmienić temat.

- To było tak dawno temu, że nie pamiętam - odparł w zamyśleniu i Maggie uznała, że musiał to być dla niego świetny okres. Dla ludzi, którzy nie pamiętali szkolnych lat, zazwyczaj były one bardzo miłe. To tych okropnych rzeczy się nie zapominało. - Jestem starszy od ciebie o kilka lat - dodał. - Niedługo skończę trzydzieści siedem.

- Czy w takim razie twój zegar biologiczny tyka? - zapytała szelmowsko. - Cóż, o to właśnie się pyta trzydziestosze-ścioletnie kobiety, więc czemu nie czynić tego także w przypadku mężczyzn?

- Jestem mechanikiem - odparł z powagą Ivan. - Jeśli coś zaczyna tykać, to ja to naprawiam.

Poprosił ją do tańca i zgodziła się tylko dlatego, że to był szybki taniec, taki, podczas którego nie trzeba się nawzajem dotykać.

Co nie znaczy, by z Ivanem było coś nie tak. Prawdę mówiąc, to wszystko było z nim w jak najlepszym porządku, od czubka ciemnej głowy do zaskakująco eleganckich skórzanych butów. Pewna była, że mnóstwo kobiet pragnie być na jej miejscu i dostrzegła dzisiaj kilka zazdrosnych spojrzeń, posyłanych w ich kierunku. Cóż, jak chcą, to mogą go sobie wziąć, bez względu na to jak bardzo był przystojny. To nie mężczyzna dla niej. Ani żaden inny po Greyu.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś - rzekł wieczorem, gdy odwiózł ją do domu.

Siedzieli w samochodzie przed jej domem, silnik warczał, Maggie zaś podniosła z podłogi swą małą torebkę.

- Tak. Dziękuję za zaproszenie.

- Tak się nad tym zastanawiałem, ponieważ często sprawiałaś wrażenie, że myśłami przebywasz gdzieś indziej - rzekł delikatnie Ivan. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Jeśli mógłbym ci jakoś pomóc... - urwał.

Maggie czuła się zakłopotana tym, że to zauważył.

- Nic mi nie jest - odparła. - Przepraszam, nie miałam zamiaru psuć zabawy.

- Nie zepsułaś - powiedział, uśmiechając się do niej, a jego ciemne oczy błyszczały w świetle ulicznych latarni. - Byłaś urocza, spodobałaś się wszystkim.

- A kim są ci wszyscy?

Jego uśmiech stał się drapieżny, jak u Leona, i teraz już wiedziała, dlaczego przez cały dzień rzucane były w ich stronę zazdrosne spojrzenia. Kiedy Ivan uśmiechał się w taki zmysłowy sposób, nie sposób mu się było oprzeć.

- Wszyscy moi krewni. Obserwowali cię ukradkiem. Tak się złożyło, że nie zauważyłaś na korytarzu wielkiej tablicy, na której dawano ci punkty od jednego do dziesięciu za wynik, posturę, ujeżdżanie...

- Przestań - rzekła ze śmiechem. - No dobrze, to ile zdobyłam tych punktów?

Udawał, że się zastanawia.

- Z tego co słyszałem, to całkiem sporo, choć utyskiwano trochę, że nie zarzucałaś mi rąk na szyję ani nie całowałaś. I że nie tańczyliśmy razem żadnych wolnych tańców.

Maggie ponownie poczuła zakłopotanie, tym razem z innego powodu.

- Nie poszliśmy tam jako para - przypomniała mu, choć odczuwała dziwne zadowolenie, że on mógłby tego chcieć.

- Wiem - przyznał. - Ale nie da się powstrzymać krewnych przed gadaniem, no nie? Wystarczy, że na horyzoncie pojawi się jakaś kobieta, a oni od razu mają nadzieję, że wsunę jej obrączkę na palec. I nie zapominaj, co zresztą sama zauważyłaś, że mój zegar biologiczny tyka.

- Och, przymknij się, Ivan - zaśmiała się Maggie i nie zastanawiając się nad tym, co czyni, nachyliła się ku niemu i pocałowała w policzek, muskając ustami ledwie widoczny zarost. - Odezwę się do ciebie - powiedziała, po czym wysiadła z samochodu.

Odjechał dopiero wtedy, gdy otworzyła drzwi, weszła do środka i pomachała mu z korytarza. Pomyślała, że jest dżentelmenem, nie próbował się na nią rzucić, zachowywał się dokładnie tak, jak wcześniej obiecał. Polubiła Ivana i jak twierdziła Faye, przydałby jej się przyjaciel. Ale na chwilę obecną tylko przyjaciel, powiedziała sobie stanowczo, szykując się do łóżka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Dzień przed spotkaniem z Careym Wolenskim Christie ugotowała dla swego męża najlepszy obiad w życiu. Włożyła w niego wszystko, co kochała, razem z ziołami, starannie zerwanymi z własnego ogrodu, i trzydziestoma latami miłości, przywiązania, serdeczności i wdzięczności. Gdy gotowała, wokół jej nóg kręciła się Tilly, wyraźnie w nastroju „pogłaszcz mnie, pogłaszcz mnie”, co jakiś czas cicho popiskując. Christie wielokrotnie schylała się i głaskała mięciutki łeppek psiaka. Przepadała za Rocket, ale musiała przyznać, że mimo wszystko to Tilly była jej ulubienicą. Tilly kochała Christie bardziej niż kogokolwiek innego na świecie i było coś cudownego w tym, że jakieś stworzenie darzy cię tak bezwarunkową miłością.

Czuła się trochę jak dobra wróżka, dorzucając do potraw zaklęcia miłości, z kochaną Tilly biegającą wokół jej nóg i nowoczesną kuchenką w miejsce paleniska dla czarodziejek. Gotowała, by prosić o wybaczenie tego, co stanie się później, czy też dlatego, by ustrzec się przed czymkolwiek złym? Christie nie знаła odpowiedzi.

- Ależ niesamowicie pachnie - rzeki James, wróciwszy z pracy. Położył teczkę na stole w kuchni. Podszedł do kuchenki, objął Christie w pasie i nachylił się ponad jej ramieniem, dając najpierw całusa w policzek, a potem zerkając na to, co pichci. - Czy to zupa z pieczonych warzyw? - zapytał. - Przepadam za nią, ale mówiłaś, że potwornie ciężko się ją robi.

- Nie mówiłam - odparła Christie. - Ona jest jedynie trochę czasochłonna. Dzisiaj zachciało mi się ją ugotować.

- Oczywiście - przyznał James, nachylając się jeszcze bardziej, by lepiej poczuć bogaty aromat. - No, a dlaczego nie? Jest cudownie gorący, słoneczny dzień i zupa z pieczonych warzyw jest dokładnie tym, co siedziało w mojej głowie, gdy wracałem do domu.

- Paskuda - rzekła ze śmiechem. - To ja ci gotuję jedną z twoich ulubionych potraw, a ty tego nie doceniasz.

- Tylko się z tobą przekomarzam. - Odsunął się, rozpiął górny guzik koszuli i poluzował krawat. - Jestem wykończony. Jeśli wkrótce nie skończymy tego projektu, to odejdę na wcześniejszą emeryturę, mówię ci. - Usiadł za stołem na swoim miejscu i wyjął z teczki gazetę, otwartą na stronie z krzyżówką. - Większość zrobiłem w pociągu, ale utknałem na jedenaście pionowo - rzekł. - Mam blokadę, chodzi o powieść Nathaniela Hawthorne'a: „czerwony przekaz Hawthorne'a", tak brzmi podpowiedź...

- *Szkarłatna litera* - powiedziała słabo Christie, myśląc o Hester Prynne, zmuszonej do noszenia na piersiach wielkiej czerwonej litery A na znak swego cudzołóstwa.

- Zgadza się! Dzięki Bogu, że ożeniłem się z inteligentną kobietą.

- Tak - rzekła cicho. Jak ludzie to robili, jak ludzie miewali zakrojone na szeroką skalę romanse, nie umierając przy tym z bólu, poczucia winy i wstydu? Ją to przerastało.

Wcześniej nakryła do stołu na zewnątrz, więc zjedli na tarasie. U ich stóp leżały psy, zaś zapach kwiatów Christie mieszał się z aromatem jedzenia. Po zupie z pieczonych warzyw pojawiły się sprawione kraby, kolejny przysmak Jamesa i jednocześnie rzadkość w domu Devlinów, ponieważ kraby był drogie i Christie nie lubiła kupować ich sprawionych, woląc zrobić to samej. Tak było taniej, ale miała z tym mnóstwo babraniny.

- Chyba mnie nie zostawiasz, co? - zażartował James, kiedy na stół wjechał deser, którym okazał się creme briilee, jego absolutny faworyt wszech czasów.

- Nie - odparła z wymuszonym uśmiechem. Jakoś udało jej się odzyskać równowagę, w dużej mierze dzięki dwóm kieliszkom pysznego wina. - Cieszę się po prostu, że egzaminy się skończyły i można znowu normalnie żyć.

- A więc jest to przyjęcie z okazji zakończenia egzaminów? - zapytał James.

- Tak - powiedziała Christie takim tonem, jakby to było oczywiste. - A tak w ogóle to nie wolno mi ugotować ci pysznego posiłku bez jakiegoś szczególnego powodu? - zapytała surowo. - Czy sugerujesz, że jestem tak beznadziejną gospodynią, iż co wieczór jadasz tosty z fasolą, chyba że akurat uciekam z mleczarzem? - Proszę bardzo, zażartowała sobie nawet na ten temat.

- Nie, kochanie, przepraszam - powiedział James. - W żadnym wypadku nie miałem tego na myśli. Jesteś niesamowita, wiesz o tym? Ciągle uważam, że jesteś niesamowitą kobietą, Christie, i mam nadzieję, że mówię ci to wystarczająco często. Łatwo o tym zapomnieć po trzydziestu latach. Wtedy gdy cię poznałem, to był naprawdę mój szczęśliwy dzień.

- Och, przestań - rzekła, bojąc się, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Nie, mówię poważnie - odparł James.

Po kolacji siedzieli jeszcze jakiś czas w ogrodzie, rozmawiając, kończąc butelkę wina, przyglądając się, jak zmierzch zmienia się w noc. Wtedy uprzątnęli wszystko i udali się do łóżka. Christie uwielbiała ich sypialnię. Gdy była mała, ona i Ana dzieliły zimny mały pokój z gołymi ścianami, ponieważ ich ojciec nie znosił, jak wbijało się gwoździe, bo można było uszkodzić ściany. Nic więc nigdy nie można było powiesić, by przełamać ponurość bladoniebieskich ścian. Nigdy nie było

także pieniędzy na ozdoby i falbanki, więc zasłony to były zwykłe kawałki materiału, które miały po prostu nie wpuszczać światła, zaś meble służyły tylko do chowania ubrań. W pokoju nie znajdowało się nic ładnego, nic ozdobnego, na przykład wazon czy obrazek.

W odróżnieniu do niego ta sypialnia była wygodnym, pięknym pomieszczeniem, pełnym ślicznych przedmiotów, których jedynym zadaniem było sprawianie przyjemności patrzącemu, jak na przykład drewno wyrzucone na brzeg, które Christie i James znaleźli trzydzieści lat temu na plaży w Connemarze i powiesili na ścianie, albo starodawny wachlarz, zwisający z gzymsu kominka, jakby zostawiła go tam jakaś elegancka dama z dawnych czasów.

W tej alkowie ze ślicznymi przedmiotami dominowało wielkie łóżko, na którym kiedyś Christie siadała ze swymi synkami i Jamesem i przytulali się do siebie, na którym leżała z małym Shane'em i karmiła go piersią, gdy tymczasem Ethan siedział obok i bawił się zabawkami, uskarżając się czasem na to, że mama nie poświęca mu już tyle uwagi. Innymi razy próbował wdrapać się na Shane'a i Christie, doprowadzając ją do śmiechu, a niemowlę do wściekłego płaczu. I na tym właśnie łóżku ona i James kochali się niezliczoną ilość razy na przestrzeni tych wszystkich lat.

James był laikiem w kwestii wystroju wnętrza i zawsze pozostawiał to Christie, mówiąc, że spodoba mu się wszystko, czego ona dokona. Obecnie pokój wypełniały bogate, jesienne barwy, łóżko zaś przykrywała patchworkowa narzuta z aksamitu i satyny w kolorach rdzy, miedzi i starego złota. Dzisiejszego wieczoru unieśli kołdrę, wsunęli się do łóżka i James wziął ją w ramiona. Christie nigdy, a już na pewno nie często chciało się płakać podczas seksu. Czasami intensywność chwili sprawiała, że po wszystkim w jej oczach wzbierały łzy, gdy leżeli, a ona myślała o tym, jak było cudownie, o tej idealnej bliskości płynącej z tego, że jest się z kimś, kogo się

kocha. Ale dzisiaj każda pieszczota, każdy pocałunek, każdy erotyczny dotyk sprawiały, że chciało jej się płakać. Ponieważ możliwe, że ona i James kochali się po raz ostatni.

Kiedy przesunął palcem od jej szyi do miękkości piersi

- kiedyś tak pełnych i sterczących, a teraz, całe lata i dwoje dzieci później, nieco obwisłych, mniej sprężystych, ale w jego oczach równie pięknych, czy też przynajmniej tak zawsze twierdził - miała wrażenie, że zaraz zacznie szlochać i nie przestanie. Gdy ją całował, czuła nieznośne wzruszenie, że robi coś, co kocha i może stracić. Ostatni pocałunek, ostatnie pieszczoty, ostatni raz, gdy jego znajome ciało znalazło się w niej. Znała odgłosy, jakie James wydawał podczas szczytowania równie dobrze jak własną twarz w lustrze, i była pewna, że on zna na pamięć wszystkie dźwięki, jakie ona wydaje w chwili namiętności.

A potem wtulali się w siebie i wtedy pojawiły się łzy. Nic nie mogła na nie poradzić, nie była ich w stanie powstrzymać. Powstrzymywała się przez cały wieczór, myśląc, że wszystko dzieje się po raz ostatni.

- Kochanie, wszystko w porządku? - zapytał James.

- Tak - odparła Christie, wtulając twarz w jego ramię.

- Nic mi nie jest, to było po prostu takie piękne.

I leżeli tak razem, przytulając się do siebie, aż wreszcie usłyszała, że oddech jej męża staje się cięższy, co oznaczało, że zasnął.

Wysunęła się z jego ramion delikatnie, by go nie obudzić i udała się do łazienki, by umyć twarz i wytrzeć resztki łez. Patrząc w lustro, ujrzała kobietę, która miała wszystko i nie zasługiwała na to. W tamtej właśnie chwili czuła nienawiść do samej siebie.

Czasami zwykłość, codzienność bywała rutynowa, nudna. Kiedy Christie była młodsza, tęskniła za czymś niezwykłym, pragnęła, by coś wydarzyło się w Kilshandrze, coś, co by wszystkimi wstrząsnęło, coś, co uczyniłoby życie ekscytu-

jącym. Pragnienie ekscytacji to domena młodych, uznała, zamykając nazajutrz drzwi i patrząc na drugą stronę Summer Street na park. Kiedy się miało okazję spróbować czegoś niezwykłego i wiążącego się z tym niebezpieczeństwa, pragnęło się czegoś znajomego i normalnego, i umiało się to docenić.

Dzisiaj tęskniła za rzeczami przyziemnymi i prozaicznymi. Ale dzisiaj udawała się na spotkanie z Careym Wo-lenskim. Szła ulicą nieco wolniej niż zazwyczaj, gdyż założyła buty na wysokim obcasie, do których nie była zbyt przyzwyczajona. Wbrew temu co podpowiadał jej rozsądek, postanowiła podkreślić swe nadal niezłe nogi i figurę w suk-ni-tubie, przylegającej do ciała tam gdzie trzeba, założyła też naszyjnik z dużych pereł, zakrywający zmarszczki na szyi. Zastanawiała się, czy nadal będzie ją uważał za piękną, czy też uzna, że czas obszedł się z nią okrutnie.

- Witaj, Christie, co słyhać? - zawołała Una Maguire ze swego ogrodu, gdzie nadzorowała działania Dennisa, klęczącego i wrywającego chwasty. Christie wiedziała, że biedny Dennis nie ma pojęcia o ogrodnictwie. Tylko dzięki miłości do żony grzebał teraz w ziemi pomimo kiepskiego wzroku. - Dokąd się wybierasz? Do miasta na zakupy?

- Tak, na zakupy - odparła Christie, ponieważ była dość wystrojona jak na poniedziałkowy ranek. Gdyby nie wysokość jej obcasów i jedwabista przejrzystość pończoch można by pomyśleć, że wybierała się właśnie na spotkanie z kierownikiem swego banku, ale żaden kierownik banku nie zasługiwał na taki seksowny strój. - Jak twoja noga? - Zatrzymała się przy furtce, nie mając czasu, by wejść dalej, ale chcąc się chociaż przywitać.

- Nie tak źle. Zanim się obejrzę, zdejmą mi gips i będę nową kobietą.

Czy na pewno? Christie ogarnęło to samo uczucie co wcześniej - że kości Uny są kruche i delikatne, a nie silne i grube.

- Powinnaś dbać o siebie, Uno - oświadczyła surowo.
- Och, Dennis się mną opiekuje - odparła wesoło Una.
- Prawda, skarbie?

Jej mąż pokiwał entuzjastycznie głową.

- Co u Maggie? - zapytała Christie, ponieważ wiedziała, że tak naprawdę to Maggie jest opiekunem w tym domu.

- Jest w dobrej formie. Bardzo zajęta pracą w Komitecie. Nie uwierzyłabyś, ile udało jej się już zorganizować: nadała sprawie rozgłos, złożyła oficjalną skargę do rady miejskiej, no i zasięgają także porad prawnych. Idzie jak burza.

Christie pomachała Maguire'om na pożegnanie i ruszyła dalej. Minęła kawiarnię, która dzisiejszego ranka wydawała jej się niewyobrażalnie przytulna i zachęcająca. Czyż nie byłoby miło, gdyby to był normalny dzień, zanim to wszystko się wydarzyło, kiedy mogła tutaj siedzieć, jeść babeczkę, gawędzić z ludźmi, myśleć o swoim miłym, bezpiecznym, prostym życiu? Życiu, jakie prowadziła, zanim powrócił do niego Carey.

Christie nie miała okazji bywać w najbardziej wytwornych hotelach w mieście, ale jej prezencja była na tyle dostojna, że kiedy weszła do hotelu Careya, okazałego budynku z widokiem na najładniejszy plac w Dublinie, ludzie podnieśli głowy.

- Czym mogę pani służyć? - Młoda kobieta za biurkiem skłoniła lekko głowę jak członek rodziny królewskiej witający plebejusza.

- Jestem umówiona na spotkanie z panem Wolenskim

- odparła spokojnie Christie, mając nadzieję, że wygląda jak jakiś ważny dealer sztuki, a nie kobieta z przeszłością. - Pani Devlin - dodała, również kiwając po królewsku głową. Christie nie miała w zwyczaju uprawiać żadnych gier, ale nie znosiła także lekceważenia.

- Och, tak, pan Wolenski oczekuje pani w Apartamencie Maharadży. Mam kogoś poprosić, by panią zaprowadził?

Nastawienie recepcjonistki uległo zmianie na dźwięk nazwiska Careya. Jasne było, że jest równie dobry jak kiedyś w zdobywaniu

szacunku otaczających go ludzi, choć teraz czynił to pewnie za pomocą pieniędzy i władzy, gdy tymczasem kiedyś wystarczała mu charyzma i czysto zwierzęcy urok.

- Byłabym wdzięczna, dziękuję - powiedziała Christie takim tonem, jakby codziennie prowadzono ją na kawę do Apartamentu Maharadży.

Młody mężczyzna w uniformie wjechał z nią windą na piąte piętro, po czym udali się razem korytarzem, mijając po drodze drzwi, na których wisiały tabliczki z nazwiskami dawno nieżyjących książąt i hrabin, aż wreszcie dotarli do Apartamentu Maharadży. Drugi młodzieniec otworzył drzwi i wprowadził Christie do ogromnego salonu urządzonego we wschodnim stylu.

- Herbata, kawa czy może coś innego? - zapytał.

- Poproszę kawę - odparła Christie, myśląc, że to wszystko staje się jeszcze bardziej dziwaczne.

Z filiżanką w dłoni przysiadła na skraju dużego brązowego fotela i rozejrzała się. Było to przepysznie urządzone pomieszczenie pełne grubych, ozdobionych wytłaczanym wzorem poduszek, bogatych ciemnych tkanin i wielkich kremowych świec, które nie były nigdy używane. Wszystko to świadczyło o pieniądzach, dobrym guście i fenomenalnym sukcesie. Jak bardzo życie Careya różniło się od jej życia.

I wtedy drzwi z prawej strony otworzyły się i oto stanął przed nią we własnej osobie.

- Witaj, Christie - rzekł, a jego głos był taki sam, tak samo był w stanie przyprawić ją o dreszcz, jednakże jego twarz zmieniła się.

On także się postarzał. Na jego poddaszu nie było portretu Doriana Graya. Był nadal wysoki i pełen życia, ale teraz ciemne włosy poprzetykane miał bielą, zaś twarz pobrużdzo-

ną i w miejsce gładkiej skóry widać było głębokie zmarszczki. Był w nim też jakiś smutek.

- Witaj, Carey - odparła Christie, myśląc o tym, jak głupio to brzmi. Dwadzieścia pięć lat czekania i co najmniej sześć tygodni ataków paniki związanych z tą właśnie chwilą, a ją stać jedynie na „Witaj, Carey”. - Piękny pokój. - Wstała i podeszła do okna, by czymś się zająć. Tak naprawdę to wcale nie miała ochoty oglądać widoku na ulice.

- Nie zmieniłaś się - rzeki. Akcent miał wciąż ten sam: głęboki i wyrazisty, polski zaśpiew równie silny i pieśczośliwy jak kiedyś.

Christie odwróciła się, gdy uznała, że może bezpiecznie to zrobić.

- Oczywiście, że się zmieniłam, Carey. Jestem starsza i mądrzejsza, ty zresztą też, mam nadzieję. No to opowiadaj, opowiadaj mi o swoim życiu.

Usiadła na jednym z krzeseł w stylu Ludwika XIV, jakby byli zwyczajnymi znajomymi z przeszłości, którzy spotkali się po wielu latach, by pogawędzić wesoło o wspólnych znajomych i dawnych czasach, i o tym, jak dobrze się kiedyś bawili. Jeśli będzie się tego trzymać, wtedy rozmowa może nie zbroczy na napawające ją przerażeniem terytorium miłości, pożądania i namiętności.

- Dziwnie do mnie mówisz - rzekł, siadając naprzeciwko niej. - Co to ma być? Jak się masz? Jakbyśmy byli sobie obcy.

- Wiesz, że to właśnie było jedną z twoich najbardziej irytujących cech, Carey - powiedziała Christie. - Że w przeciwieństwie do innych nigdy nie uprawiałeś gierki.

- Masz na myśli udawanie, że jesteśmy jedynie dawnymi znajomymi, którzy nic dla siebie nie znaczą? - zapytał. - Masz rację, nigdy nie uprawiałem tych gierki i nadal tego nie robię.

- Zachowujesz się tak z powodu twego talentu - odparowała. - To nie miało nic wspólnego z twoją niegrzecznością.

- Jeśli mówienie prawdy jest niegrzeczne - odparł ze spokojem. - Wolę żyć w taki właśnie sposób, nie kłamiąc, nie odpychając od siebie przeszłości, tak jak ty to czynisz.

- Cóż, nie trwało to długo - powiedziała Christie, nieoczekiwanie dla samej siebie podnosząc głos. - Jesteśmy razem od czterech minut i wszelkie pozory zdążyły już opaść.

- I uśmiechnęła się do niego.

- To jedna z rzeczy, które w tobie lubiłem, Christie. Ty też nie byłaś dobra w udawaniu. Próbowалаś, ale ci nie wychodziło.

- Nie - odparła szybko. - Nie byłam dobra w zachowywaniu pozorów. Carey, dlaczego wróciłeś? - zapytała nagle i to było właściwe pytanie, gdyż to właśnie chciała wiedzieć.

- Przyjechałem, gdyż mam tutaj wystawę, wiesz o tym. Szukała odpowiedzi w jego oczach. Przed laty dobry był

w ukrywaniu tego, co czuje, ale teraz Christie była starsza i mądrzejsza, i wydawało jej się, że będzie w stanie dostrzec jego prawdziwe myśli.

- Nieprawda - odparła pewnym siebie głosem. - Powiedz mi, dlaczego przyjechałeś?

- By się z tobą spotkać.

Wiedziała, że to właśnie powie. Nigdy go nie zapomniała i wyglądało na to, że on także nie zapomniał jej.

- Och, Carey, Carey - westchnęła. - Powiedziałam ci dawno temu, że musisz odejść dla mojego dobra, dla dobra nas obojga.

- Chciałem po prostu cię zobaczyć - powiedział łagodnie.

- Zobaczyć, jak teraz wyglądasz, przekonać się, czy wciąż masz nade mną władzę. I wychodzi na to, że tak. Widziałaś obrazy?

To było pytanie i kiwnęła głową.

- To ty, wiesz, te wszystkie obrazy, moja Mroczna Pani.

- Domyśliłam się - odparła ostrożnie Christie. -1 przeraziło mnie to, ponieważ bałam się, że wszyscy odgadną, że to ja.

- Nigdy nie pokazałem twojej twarzy.

- Wiem, dziękuję. Zawsze byłem ci za to wdzięczna.

- Mogłem to zrobić, wiesz? Mogłem pokazać twoją twarz i rozbić twoje małżeństwo, i wtedy byś do mnie przyjechała. - W jego głosie po raz pierwszy słychać było prawdziwy ból i Christie zapragnęła przytulić go i pocieszyć, ale wiedziała, że nie może. Nigdy nie była w stanie dotknąć go, nie czując przy tym, jak przez jej ciało przepływa fala dzikiego pożądania. To było uczucie, nad którym nie miała kontroli. Był tą inną częścią niej, dziką, gwałtowną. I musiała się go wyrzec.

Teraz ponownie usiadła i wzięła do ręki filiżankę z kawą.

- Nigdy by nam się nie udało, wiedziałeś o tym. Nie chciałeś wlokącej się za tobą żony z dwójką dzieci. To nie jest życie artysty. A ja musiałam myśleć przede wszystkim o dzieciach. Pragnęłam, by moi synowie chodzili do tych samych szkół, by znali swego ojca. Gdybyśmy ty i ja byli razem, nie znaliby Jamesa, nie tak naprawdę, a ciebie także by nie mieli. Twoją jedyną kochanką jest sztuka.

Przez jego twarz przemknął smutek.

- Kiedyś to była prawda - przyznał - ale nie byłoby tak, gdybym miał ciebie. Kochałem cię bardziej niż sztukę, byłbym w stanie wyrzec się jej dla ciebie.

- I unieszczęśliwić samego siebie, nie mogąc robić tego, co kochasz, po to tylko, by być ze mną? Ciekawe, jak by to wyglądało po kilku latach. Już zawsze miałbyś do mnie żal. Było tylko jedno wyjście, Carey, na pewno to rozumiesz - rzekła błagalnie.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, milczenie wypełnione wszystkimi „co by było, gdyby”, przychodzącymi do głowy dwojgu ludziom przez dwadzieścia pięć lat.

- Po co tu dzisiaj przyszedłeś - odezwał się - skoro to jedyne, co chcesz mi powiedzieć?

- Przyszłam - zaczęła Christie i trudno jej było mówić dalej teraz, gdy tutaj rzeczywiście była, ale musiała to zrobić,

musiała pochować przeszłość. - Przyszłam, ponieważ chciałam to całkowicie zakończyć, powiedzieć wszystko to, czego nie powiedziałam wtedy. Musiałam się upewnić, że nie masz ochoty skrzywdzić mnie ani mojej rodziny z powodu tego, co się wydarzyło dawno temu. Dlatego właśnie tu jestem.

- Chcesz drinka? - zapytał i wstał, po czym podszedł do kredensu za nimi, z barkiem pełnym kryształowych karafek.

Nie dla niego zwyczajny barek, pomyślała Christie.

- Nie - odparła. - Dziękuję. Nic nie chcę.

Nalał sobie do szklanki coś ciemnobursztynowego, do drugiej szklanki dla niej i postawił przed nią bez słowa.

- Śledziłaś moją karierę? - zapytał.

- Nie - odparła, podejmując skazaną na porażkę próbę udawania, że nigdy o nim nie myślała, gdy tymczasem bywały czasy, kiedy wypełniał sobą jej wszystkie myśli.

- Kłamiesz - rzekł, siadając ponownie naprzeciwko niej, pochylając się do przodu. - Zawsze wiedziałem, kiedy kłamiesz. Drga ci wtedy leciutko jedna powieka, ona cię zdradza. W pokerze jest na coś takiego specjalne określenie. Gram teraz w pokera, wiesz?

- Czy to twoja twarz pokerzysty? - zapytała Christie i było tak, jakby uprawiali szermierkę, on odpierał atak, ona nie dopuszczała go do siebie.

- Nie, to nie twarz pokerzysty, ale śledziłaś moją karierę, prawda?

- Tak, no dobrze, śledziłam. Uczę plastyki, wiesz o tym, nie mogłabym uczyć plastyki, rozmawiać z uczniami o sztuce współczesnej, nie wspominając o Careyu Wolenskim.

- Ale - wtrącił - nigdy nie rozmawiałaś z nimi na temat Mrocznej Pani ani tego, kim ona jest?

- Och, na litość boską - powiedziała z irytacją Christie i niewiele myśląc, wzięła do ręki szklankę whisky i opróżniła ją do połowy. Czuła palenie w przelyku. Ale w tej gwałtow-

nej sile uderzającej w jej gardło było coś, co kazało jej się opamiętać i przestać uprawiać z nim gierki. - A sądzisz, że mam powiedzieć swoim uczennicom, że to ja jestem Mroczną Panią, że ta kobieta, która na każdym cholernym obrazie jest naga, to ja? Bardzo by to pomogło mojej karierze nauczycielki, nie wspominając o tym, co by uczyniło mojemu małżeństwu.

- Wolę cię, jak jesteś rozgniewana - powiedział, opierając się i uśmiechając do niej, po raz pierwszy wyglądając na zrelaksowanego. - Jesteś zbyt namiętna, by to ukrywać, Christie. Tak dobrze by nam było razem.

- Nie byłoby. Miałam zbyt wiele i nie mogłam się tego wyrzec, dobrze o tym wiesz.

- Przykro mi - rzekł, a ona wiedziała, że jest mu przykro z powodu tego, co mogłoby się wydarzyć. - Musiałem cię znowu zobaczyć, ten jeden ostatni raz. Pragnąłem z tobą porozmawiać, popatrzeć na ciebie, powspominać cię. Mam twoje zdjęcia, ale w zdjęciach nie ma ciepła i na nich oczy nie błyszczą. Malując cię, musiałem polegać na wspomnieniach. I musisz przyznać, że miałem dobrą pamięć, ponieważ kobieta z obrazów wygląda dokładnie jak ty, prawda? Czy twój mąż zauważył to kiedyś?

- Nigdy niczego nie zauważył - odparła. - Nie interesuje się sztuką i dziękuję za to Bogu, ponieważ kocham go, zawsze go kochałam.

- Skoro go kochałaś - zapytał Carey - to co w takim razie łączyło cię ze mną?

To było pytanie, które nieustannie ją prześladowało: jak mogła kochać Jamesa, uwielbiać Ethana i Shane'a i jednocześnie ryzykować to wszystko, by być z tym enigmatycznym mężczyzną, który siedział teraz przed nią? Nie знаła odpowiedzi. Przypominało to pytanie, dlaczego deszcz pada, dlaczego słońce świeci. To się po prostu stało, dała się ponieść chwili, za co od tamtej pory drogo płaciła.

- Podobno kobiety nie są w stanie kochać dwóch mężczyzn jednocześnie - rzekła - ale to nie jest prawdą. Kochałam Jamesa i kochałam ciebie. Byłeś drzwiami do drugiej mnie, do Christie, która była szalona i której nic nie mogło w stanie powstrzymać. Tyle że miałam dwóch małych chłopców i wybór nie dotyczył jedynie ciebie i Jamesa. Musiałam wybrać rodzinę i nie żałuję tego. Nie próbuję cię teraz zranić, jedynie wyjaśniam.

Pełna była determinacji, by wytłumaczyć mu, jak trudno jej było odejść od niego, ale że tak właśnie musiała zrobić i że z Jamesem i ich synami była taka szczęśliwa. Ponieważ ta Christie, która kochała Careya, była niczym postać z innego świata i musiała ukryć tę postać głęboko w sobie i wieść dalej normalne życie.

Popatrzyła na Careya, przypominając sobie wszystko to, co ze sobą dzielili, przypominając sobie namiętność, którą w niej wyzwał, przypominając sobie, jak dotykała kiedyś jego twarzy i sądziła, że umrze, jeśli wystarczająco się nim nie nasyci. Teraz musiała zostawić to wszystko za sobą i żyć dalej.

- W innym świecie, Carey, w innym życiu, ty i ja moglibyśmy być razem - powiedziała.

Wstała i usiadła obok niego, a ich bliskość nie stanowiła już dla niej zagrożenia. Nie mógł jej skrzywdzić. Postanowiła powiedzieć mu to, co trzeba powiedzieć. Była starsza i mądrzejsza, więc nie było już tego magnetyzmu i namiętności, które kiedyś ich rozpalały. I milion razy zdążyła już za to zapłacić.

Dotknęła jego dłoni i przekonała się ze zdumieniem, że jego skóra nie jest ciepła i pełna życia, jak kiedyś, ale że wydaje się stara, pergaminowa i cienka, jakby był staruszką, starszym niż w rzeczywistości. Poczowała konsternację, ale nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Co się za tym kryło?

- Przepraszam, nigdy nie chciałam cię skrzywdzić, Carey - rzekła. - Nigdy nie chciałam cię zwodzić, sprawiać, byś my-

ślał, że czeka nas wspólna przyszłość, gdy tymczasem wcale tak nie było. Dlatego przyszłam dziś tutaj: nie po to, by spoglądać w przeszłość i myśleć, jacy to byliśmy cudowni i wspaniali, ponieważ każdego dnia mego życia czuję się winna z powodu tego, co się stało. Zapłaciłam za nasze wspólne chwile. Cudzołóstwo ma swoją cenę i jest ona zbyt wysoka, uwierz mi. Chcę zostawić to za sobą. Potrafisz to zrozumieć?

Podniósł drugą rękę, by dotknąć twarzy Christie, a ona zamknęła oczy, gdy jego palce przesuwają się po jej skórze, dotykały kości policzkowych, brody, powiek, ust, w taki sposób, jak dotykał jej kiedyś, kiedy sądziła, że zacznie krzyczeć z pożądania.

- Wciąż jesteś piękna - wymruczał. - Nieważne ile masz lat, ty zawsze będziesz piękna, ponieważ piękno siedzi w twojej duszy i wydaje mi się, że właśnie to mnie do ciebie przyciągnęło, Christie: twoja dusza, twoja dobroć i twoja mądrość. Brakowało mi ciebie przez cały czas. W moim życiu było wiele kobiet i wszystkie są z wyglądu podobne do ciebie, dziwne, nie? Ale żadna z nich nie była tobą. Dlatego właśnie przyjechałem. Tak, mam tutaj wystawę, ale wszędzie mnie proszą o wystawianie prac, mogę odmówić, mam taką możliwość. Ale chciałem przyjechać, spotkać się z tobą ten jeden ostatni raz.

- Dlaczego wciąż mówisz o ostatnim razie? - zapytała. W jego słowach było coś złowróżbnego i nagle już wiedziała.

- Nie widzisz tego? - zapytał, obdarzając ją półuśmiechem. - Masz przecież ten swój cygański dar. Jestem chory. Nie powinienem pić. - Roześmiał się. - Nie powinienem robić niczego. Nie powinienem latać. Lekarzom to się nie podoba. Ale jakoś sobie radzę i lekarstwa są dobre. Medycyna tak bardzo posunęła się do przodu.

Nie chciała pytać, co go zabija.

- Ile zostało ci czasu? - zapytała spokojnie.

- Miesiące, uważają, że miesiące. Nie wiem, może nie za dużo, ale chcę odejść w spokoju. Dlatego właśnie musiałem się z tobą spotkać. Nie przyjechałem, by zniszczyć twój świat, przyjechałem się pożegnać.

- Och, Carey - westchnęła, ujmując dłoń, która dotykała jej twarzy i trzymając ją mocno. - Byłeś szczęśliwy? Miałeś udane życie?

- Tak - odparł. - Nie miałem ciebie i przez długi czas byłem w stanie myśleć jedynie o tobie, ale artysta potrzebuje czegoś, co mogłoby go napędzać, prawda? A ty stałaś się natchnieniem dla moich najlepszych prac. Dałaś mi tak wiele, Christie.

- Ty mnie także. Sprawiliś, że przekonałam się, iż wciąż potrafię odczuwać namiętność. Dzięki tobie zrozumiałam, jak bardzo kocham męża i dzieci - dodała szczerze - i wiem, że pewnie cię boli, gdy to słyszysz, ale taka jest prawda. Więc bardzo dużo mi dałeś i nigdy o tobie nie zapomniałam.

- Dobrze w takim razie, że otrzymaliśmy szansę, by się pożegnać - rzekł i nagle znowu wydawał się formalny.

Christie objęła go. Teraz czuła słabość jego ciała skrytego pod doskonale skrojoną marynarką. Umierał, czuła to, wyczuwała to każdą komórką swego ciała, i raczej nie potrwa to długo. Wcale nie miał przed sobą kilku miesięcy życia i on o tym wiedział, wiedział także, że ona też to wie.

- Nie lituj się nade mną - powiedział i dotknął ustami jej czoła, by złożyć na nim chłodny, suchy pocałunek. - Proszę, nie lituj się nade mną, wolałbym, żebyś zapamiętała mnie takim, jakim kiedyś byłem.

- Rozumiem - rzekła i rzeczywiście tak było. Wstała.

- Mam dla ciebie mały prezent - powiedział. - Możliwe, że nigdy nikomu go nie pokażesz, ale pragnąłem ci to zostawić. Spadek, tak chyba się mówi, prawda? - Podał jej stare kartonowe pudełko, duże i nieporęczne. - Ktoś pomoże ci to zanieść do samochodu. Żegnaj, Christie - rzeki i odwró-

cil się, ale i tak zdążyła zobaczyć w jego oczach łzy. Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Jadąc na dół windą, Christie przyglądała się pudełku, które trzymał ostrożnie boy hotelowy. Nie chciała go tutaj otwierać. Wsiadła do samochodu, a chłopak położył pudełko nabożnie na miejscu dla pasażera. Dopiero wtedy ostrożnie zdjęła wieko. Na wierzchu leżał pakunek, a w nim niewielki szkicownik, dla malarza coś takiego jak dla pisarza notes, pełen rysunków w ołówku i szkiców w węglu, pomysłów na obrazy, myśli, które mu przysły do głowy. To musiał być ten szkicownik, z którego Carey korzystał, gdy się poznali.

Na pierwszych kilku stronach widniały charakterystyczne dla niego rysunki, a potem pojawiła się kobieta, którą mogła być tylko Christie. Twarz miała niewyraźną, ciało, które tak dobrze знаła. To były szkice do jego obrazów Mrocznej Pani. Dzieł sztuki namalowanych przez geniusza, którego świat będzie opłakiwał, gdy odejdzie.

Odwracała kartkę po kartce, a każda była piękniejsza, bardziej interesująca, pełniejsza życia od poprzedniej. Niektóre szkice były w ołówku, inne w węglu, a jeszcze inne pokolorowane subtelnymi pastelami. To był niezwykle podarunek. W drugim pakunku znajdowało się niewielkie płótno, pomniejszona wersja najpiękniejszego obrazu z serii z Mroczną Panią. Mroczna Pani ponownie leżała na sofie, w atelier malarza, ale na tym obrazie patrzyła prosto na niego i jej twarz nie była ukryta. Jej twarz promieniała miłością i było jasne, że oczy wpatrują się w malarza. Christie przyglądała się obrazowi, myśląc o Careyu, o tym, co dla niej znaczył i co się z nim teraz stanie. A potem zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Maggie bardzo lubiła panującą w bibliotece ciszę. Od czasu gdy była mała i ojciec wyznał jej, że biblioteki to wyjątkowe miejsca, gdzie trzeba mówić szeptem, podobało jej się to, że jedynymi słyszalnymi tam dźwiękami były stłumione szepty i cichy szelest kartek.

- Jest cicho, ponieważ wszystkie książki leżą na półkach, nie wydając żadnego dźwięku, czekając, aż ktoś je wybierze - rzekł jej tata. - Ponieważ wtedy gdy je wybierzesz, rozpoczyna się dla nich niezwykła przygoda.

Nie dalej jak dziś rano opowiedziała tę historię niewielkiej grupie dzieci i wszystkie wpatrywały się w nią szeroko otwartymi oczami, równie zafascynowane jak kiedyś ona, wizją czekających w milczeniu książek.

- Spot czekał na mnie? - zapytała mała dziewczynka w okularach i z obciętymi przez mamę włosami, która siedziała, trzymając na kolanach książeczki o Spocie.

- Tak, Spot czekał na ciebie! - oświadczyła Maggie, ciesząc się, że może przekazać tę historię kolejnemu pokoleniu.

- Wow - rzekła z respektem dziewczynka.

- Wow - przyznały pozostałe dzieci.

Maggie znajdowała się teraz w niewielkim pomieszczeniu dla personelu, pijąc poranną kawę i opowiadając przez telefon Shonie o dzieciach, kiedy usłyszała sygnał nadejścia drugiego połączenia.

- Poczekaj sekundkę, Shona - rzekła. - Zaraz do ciebie wrócę, okej?
To był Ivan.

- Jak leci? - zapytał w ten swój spokojny sposób.

- Nie najgorzej - odparła Maggie. - Jestem w pracy, wiesz?

- Wiem. Masz przerwę na kawę od wpół do jedenastej do za piętnaście jedenasta, prawda?

- Prawda. - Zafascynowało ją to, że pamiętał.

- Chciałem cię zapytać, czy wieczorem nie poszłabyś ze mną do kina.

- Dziś wieczorem?

- Tak, dziś wieczorem - powtórzył Ivan. - Wiem, że jest to pewnie sprzeczne z zasadami wielkiej księgi kobiecych technik randko wy ch, i że ja powinienem zaprosić cię z tygodniowym wyprzedzeniem, a ty powinnaś zaproponować cztery inne możliwe terminy, ponieważ myjesz włosy, depilujesz nogi, wychodzisz z koleżankami, spotykasz się z innymi mężczyznami, wiem. Ale znasz mnie, jestem prosty. Pomyślałem, że byłoby fajnie, gdybyśmy poszli dzisiaj razem do kina.

Maggie nie mogła się nie roześmiać.

- Jesteś jedyny w swoim rodzaju, wiesz o tym? - zapytała.

- Już mi to mówiono, choć nie zawsze jako komplement. Moja babcia twierdzi, że mówię, co uznaję za stosowne.

- Nie znoszę tego wyrażenia - rzekła Maggie. - To coś, co okropni ojcowie w gotyckich powieściach mówią, odstręczając od siebie ludzi. Ale pewnie, chętnie wybiorę się dzisiaj do kina. Nie mam w planach mycia włosów ani depilacji. Na co pójdziemy?

- Nie wiem. Może podjadę po ciebie koło siódmej i wtedy zdecydujemy?

- Super - odparła z zadowoleniem. - W takim razie do zobaczenia. Przepraszam - rzekła do Shony, kiedy przełączyła się z powrotem na poprzednią rozmowę. - To tylko Ivan, dzwonił, by mnie zaprosić do kina.

- Tylko Ivan zapraszający cię do kina? - zapytała Shona. - Czy to ten

niedźwiedziowaty mechanik z brudem pod paznokciami, który nabijał się z ciebie w kwestii urządzenia do ssania i który tak cię wkurzył, że miałaś wielką ochotę wynająć płatnego zabójcę, by rzucił jego ciało rybkom na pożarcie?

- I który zabrał mnie na uroczę wesele. Ten sam - odparła Maggie ze śmiechem. - A tak przy okazji to odwołałam płatnego zabójcę. Nie zgodził się na kontrakt w rodzaju „dwa w jednym”, dołączając do zlecenia Greya, więc mu podziękowałam. A tak na poważnie to Ivan jest miły, kiedy się go bliżej pozna. Ma fantastyczne poczucie humoru. Tak się po prostu złożyło, że tego dnia gdy go poznałam, pracował po godzinach.

- Tylko się z tobą prekomarzam. Umów się z tym wspaniałym Ivanem i zabaw z nim w tylnym rzędzie. Powiedz mi, czy ten warsztat należy do niego czy pracuje u kogoś?

- Shona, jesteś okropna - oświadczyła Maggie. - Nie interesuję się nim w taki sposób, to tylko przyjaciel. A nawet gdybym się rzeczywiście interesowała, to nie musiałabym od razu wiedzieć, czy warsztat należy do niego. Życie to nie tylko pieniądze, wiesz?

- Ludzie, którzy mówią tego typu rzeczy, generalnie nie są w pełni rozumu - zauważyła Shona. - Pieniądze to może i nie wszystko, ale z całą pewnością pomagają, a jeśli masz już cierpieć, to lepiej jest cierpieć w komfortowych warunkach.

- Poza tym - przerwała jej Maggie - nie interesuje mnie teraz żaden mężczyzna. Związki na pocieszenie po przeżyciu zawodu miłosnego są zawsze błędem i nigdy się nie udają.

- Doktor Phil, tak?

- Jesteś niepoprawna - zaśmiała się Maggie. - Nie, to rada Maggie Maguire.

Maggie wyszła z pracy dopiero o wpół do siódmej, musiała więc wracać do domu biegiem.

- Cześć, mamó, cześć, tato! - zawołała, pędząc na górę, by się przebrać w najwygodniejsze dżinsy.

- Dokąd się tak bardzo spieszysz? - zawołał za nią tata.

- Wychodzę do kina z Ivanem, chyba nie masz nic przeciwko?

- W żadnym wypadku. Och, jakiś pan przywiózł dziś plakaty o parku. Ma je twoja matka, jest z nich bardzo dumna. Wciąż powtarza: „I pomyśleć, że sama je zaprojektowałam”. Ta twoja matka to niezwykle utalentowana kobieta.

Maggie przejechała grzebieniem po włosach i zastanawiała się chwilę, czy nie nałożyć błyszczyku, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Nie było takiej potrzeby, Ivan to tylko przyjaciel. Spryskała się odrobiną perfum i zbiegła na dół do kuchni, gdzie jej matka rzeczywiście siedziała i podziwiała plakaty. Nad parkową bramą, którą Una odrysowała z jakiegoś zdjęcia, widniały słowa o tym, by uratować dziedzictwo Summer Street przed deweloperami. „To część naszej społeczności, pomóżmy ją ocalić!” - głosił ostatni wers. Dobrze to wyglądało. Maggie pomyślała, że nikt nie będzie w stanie się oprzeć.

Mitchell Harrison okazał się naprawdę pomocny i dał jej numery kontaktowe do kilku dziennikarzy, których interesowały tego typu kampanie. Z jednym z nich spotykała się jutro w parku i miał się też zjawić fotograf. Trzeba było do tego czasu porozwieszać plakaty.

- Świetnie wyglądają, prawda? - zapytała radośnie Una.

- Fantastycznie - przyznała Maggie. - One otrzeźwią w końcu radnych.

- Na jaki film się wybieracie?

- Nie wiem, ale to bez znaczenia. Fajnie będzie coś obejrzeć. Już całe wieki nie byłam w kinie.

- Miły facet z tego Ivana, no nie? - zapytała od niechcienia jej matka.
- Mamo, nie zaczynaj - rzuciła ostrzegawczo Maggie.
- To tylko przyjaciel.
- Wiem, kochanie - odparła szybko Una. - Przyjemnie po prostu widzieć, że jesteś szczęśliwa.

Przed domem zatrzymał się stylowy samochód Ivana.

Maggie uśmiechnęła się szeroko, ucałowała matkę w policzek, porwała banana z miski z owocami i w drodze do drzwi uściskała tatę. To prawda, była szczęśliwa. Dziwna sprawa, skoro zaledwie kilka tygodni temu serce pękało jej z bólu. Coś miało na nią leczniczy wpływ, choć tak naprawdę nie wiedziała co.

- Możemy jechać do multipleksu, jeśli chcesz - powiedział Ivan, gdy stali w foyer małego miejscowego kina, przekonawszy się, że trzy najnowsze filmy miały już komplet widzów. Bilety można było kupić jedynie na jakiś francuski klasyk z napisami.

- A możemy pójdziemy na ten francuski, jak myślisz?

- zapytała Maggie, myśląc, że gdyby była z Greyem, zjawiliby się tutaj właśnie na ten film. Greya nie interesowały filmy popularne wśród widzów. Im bardziej były populistyczne, tym mniejszą miał ochotę je oglądać. Stary francuski film z napisami znalazłby się na samej górze jego listy.

- Jeśli tylko chcesz - odparł Ivan.

Dlatego właśnie fajnie było mieć go za przyjaciela: nigdy nie próbował jej do niczego nakłaniać. I czuł się tak dobrze we własnej skórze, że nie musiał udowadniać swojej inteligencji doborem filmów.

- Skoro mademoiselle tego pragnie, tak właśnie uczynimy.

Udał się do okienka, by kupić bilety.

- Nie, pozwól mi to zrobić. Ivan spiorunował ją wzrokiem.

- Albo przynajmniej pozwól mi zapłacić za siebie - nalegała.

- Ja cię zaprosiłem, więc to ja płacę.

Sala zapełniona była tylko w połowie i znaleźli dwa miejsca w jednym z tylnych rzędów.

- Uwielbiam siedzieć z tyłu - wyszeptała Maggie. - Czuję się wtedy taka trochę niegrzeczna, tak jakbym siedząc tutaj wpakowała się w jakieś kłopoty, gdy tymczasem powinnam znajdować się z przodu pod czujnym okiem siostry przełożonej.

- Nadal uważam, że w szkole musiało być z ciebie niezłe ziółko - przekomarzał się Ivan.

- Chciałabym. Niestety byłam chodzącą niewinnością.

Na sali znajdowały się staromodne, wygodne fotele i nagle Maggie odkryła, że trzyma ramię na oparciu rozdzielającym ją i Ivana, przyciskając je do jego ramienia. I w końcu Ivan objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej siebie, co wydawało się czymś zupełnie naturalnym. A Maggie, osobie, która wciąż się upierała, że są tylko przyjaciółmi, bardzo się to spodobało.

Nie zastanawiaj się nad tym, nakazała sobie w myślach. Po prostu ciesz się chwilą.

A potem, kiedy Ivan uniósł drugą rękę, by dotknąć jej twarzy i obrócić w swoją stronę, okazało się, że pocałowanie go jest czymś najzupełniej oczywistym i wtedy ich usta się złączyły. Nagle całowali się na całego, namiętnie i wygłodniałe, i kogo obchodził film? Kto by się przejmował, że ktoś mógł ich zobaczyć w panującym na sali kinowej półmroku? Całowali się szaleńczo, dłoń Ivana przesuwająca się po jej włosach w dół, by pieścić następnie szyję, dotykać obojczyka, opadać niżej na delikatne ramiona i jeszcze niżej, aż wreszcie oświadczył:

- Nie mam ochoty na ten film, a ty?

- Nie - mruknęła, odrywając od niego usta. - Chodźmy.

Trzymając się za ręce, pobiegli na parking. Prowadząc, Ivan trzymał

kierownicę jedną ręką, drugą zaś głaskał odziane w dżinsy udo Maggie, niezwykle mocno ją podniecając. Jakie to dziwne: jeszcze kilka chwil temu widziała w nim wyłącznie przyjaciela, a potem nagle opadła kurtyna, ukazując zupełnie inny obraz i nie był już dłużej przyjacielem. Był mężczyzną, emanującym seksualnością, charyzmatycznym, i ona go pragnęła. Przerażała ją intensywność tego pragnienia.

Samochód zatrzymał się przed niewielkim domem przerobionym z dawnych stajni, kilka ulic od Summer Street. Gdy weszli do środka, ponownie wziął ją za rękę i miała jedynie czas zauważyć wielki otwarty kominek i gołe deski na podłodze, gdyż pociągnął ją za sobą na górę do wielkiej sypialni, która zajmowała chyba całe piętro. Dominowało w niej ogromne niskie łóżko. A potem na wpół siedzieli, na wpół leżeli na tym łóżku, a Ivan zdierał z niej ubranie z równą gwałtownością, z jaką ona rozbierała jego. Jego usta odnalazły jej usta, jak gdyby nie mógł znieść tego, że mogliby się nie całować.

I po raz pierwszy w życiu wysoka Maggie Maguire poczuła się jak mała, krucha kobietka przy tym potężnym mężczyźnie, który dotykał jej czule i delikatnie, jakby istniało niebezpieczeństwo, że się rozpadnie na kawałki. Właśnie to oraz czułość i miłość we wszystkim, co z nią robił, sprawiły, że całkowicie zmiękła.

Pogłaskał małą bliznę na górnej części jej uda.

- Powinniśmy częściej chodzić na francuskie filmy

- odezwała się lekkim tonem.

- Przestań. - Ivan dotknął palcem miękkości jej ust.

- Nie żartuj sobie z tego. Robisz tak, kiedy dopada cię niepewność?

Kiwnęła głową.

- Uwielbiam w tobie to, że jesteś taka zabawna - dodał, nadal ją do siebie przytulając. - Potrafisz mnie rozśmieszyć, ale nie chcę, byś musiała przy mnie uruchamiać swój me-

chanizm obronny, chcę, żebyś była sobą, byś nie żartowała z ważnych spraw.

- Przepraszam - rzekła, odwracając się na bok i opierając na łokciu, tak że mogła patrzeć na niego z góry. Przeczesła z czułością palcami jego krótkie włosy. Nie sądziła, by kiedykolwiek miała się nim nasycić. - To silniejsze ode mnie. Zawsze uważałam, że kiedy rozśmieszasz innych, wtedy oni nie widzą tego, co naprawdę myślisz, albo nie widzą, że możesz naprawdę mocno cierpieć.

- Wiem. Dostrzegłem to w tobie tego dnia, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

- Naprawdę?

- I od samego początku miałem na ciebie ochotę - dodał, a jego niski głos sprawił, że ponownie zrobiło jej się słabo z pożądania.

- Ale stroiłeś sobie ze mnie żarty - zaprotestowała, a on roześmiał się i przyciągnął ją do siebie, by pocałować w usta.

- Przepraszam - rzekł łagodnie, dotykając ustami jej policzka. - Na twój widok doznałem takiego wstrząsu, że nie myślałem jasno. Wiem jedynie, że pragnąłem cię od chwili, gdy zjawiłaś się w warsztacie. Jednakże wiedziałem, że będę musiał poczekać.

- A co, gdybym ja nie pragnęła ciebie? - zapytała Maggie.

Ivan odgarnął jej włosy z czoła.

- Zaczekałbym - odparł. - Dla ciebie czekałbym bardzo długo, właściwie to całe życie.

Dziwnie się poczuła, budząc się rano w obcym łóżku, ale tylko przez chwilę. Obok niej leżał Ivan: potężny, umięśniony i ciepły, obejmujący jednym ramieniem jej ciało. Przytulał ją nawet przez sen. Maggie wiedziała, że nie da się porównywać takich rzeczy, ale nie mogła się powstrzymać: Grey lubił spać sam, na swojej stronie łóżka, i ona czyniła tak samo. Natomiast zeszłej nocy ona i Ivan spali, przytulając się do siebie, dzieląc się ciepłem. Wtuliła się teraz w niego, uwielbiając dotyk jego ciepłego, twardego ciała. A z całą pewnością było twarde: pewna część nawet bardzo. Wtuliła się jeszcze bardziej.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego, chyba że lubisz się kochać rano - rozległ się niski, zaspany głos.

Maggie przysunęła się jeszcze odrobinę, czując, jak robi jej się coraz cieplej, ciesząc się posiadaną nad nim władzą. Już sam jej dotyk zdawał się go rozpalać.

- Ostrzegałem cię - mruknął, a potem niczym wielki niedźwiedź budzący się ze snu przesuwał się tak, aż miał ją całą pod sobą. Uśmiechał się do niej szeroko. Jego oczy błyszczały, na twarzy zaś widać było ciemny zarost.

Maggie uniosła ręce i ochoczo przyciągnęła jego twarz do swojej.

- Myślałam, że rano masz gdzieś jechać - przekomarzała się z nim.

Ivan oparł się na łokciach, dolną część ciała nadal dociskając do niej i było jasne, że nieprędko wyjdą z łóżka.

- To może poczekać - powiedział chrapliwie i zaczął ją całować.

Łazienka Ivana była typowo męska: kremowe płytki, wanna, której widać było, że nie używa, ponieważ preferuje prysznic, i szafka z lustrami, w której znajdowały się jedynie szampon, żel pod prysznic, pianka do golenia, pasta do zębów i płyn do płukania ust.

- W twojej szafce nie masz dosłownie nic - powiedziała żartobliwie Maggie, próbując znaleźć coś, czym mogłaby usunąć resztki tuszu do rzęs. Nie miał nawet kremu nawilżającego dla mężczyzn. Jeśli chodzi o kosmetyki nawilżające i przeciwśłoneczne, to Grey miał ich równie dużo jak ona i pożyczał je od niej, jeśli akurat skończył mu się krem z serii Clinique for Men.

- Wolałabyś, żebym miał tutaj tonę babskich rzeczy? - zapytał Ivan.

- Nie, no ale przecież musiały bywać u ciebie inne kobiety - dodała. Chciała, żeby zabrzmiało to nieśmiało, jednakże nie udało się. - No powiedz mi. Jesteśmy nowocześni i dorośli, musimy wszystkiego się o sobie dowiedzieć. Ja tobie powiedziałam o Greyu.

- Prawdę powiedziawszy, to chciałbym usłyszeć o nim jeszcze więcej - rzekł Ivan. Widać było, że napięły się mięśnie jego żuchwy.

- O nie, nie chciałbyś. - Maggie pokręciła głową. Grey należał do przeszłości, do której nie było potrzeby wracać.

- Ależ tak. - Zdążył już wziąć prysznic i teraz zabrał się za golenie, mając jedynie niewielki ręcznik wokół bioder. Świetnie wyglądał, był ładnie umięśniony i równie apetyczny jak kilkanaście minut temu.

Maggie żałowała, że kobiety nie potrafią następnego ranka bez żadnego wysiłku wyglądać tak dobrze jak mężczyźni. Ona miała oczy pandy i pokrytą plamami cerę, co było efektem niezmycia makijażu, no i przed wejściem pod prysznic musiała założyć czepek, gdyż nie miała ze sobą swoich kosmetyków do włosów, powstrzymujących puszenie się kasztanowej szopy.

- Grey długo był częścią twego życia i chcę wiedzieć, że to skończone, rzeczywiście skończone.

- Oczywiście, że tak - odparła pospiesznie Maggie. Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat, minęło zbyt mało czasu, by jej dwa światy mogły się zderzyć ze sobą: nowa, ulepszona Maggie i ta głupia z przeszłości. - Ale, Ivan, twoja przeszłość jest dla mnie tajemnicą. Po pierwsze; na weselu twojego kuzyna nikt nie wspomniał o żadnej szczególnej osobie, którą miałeś ze sobą przyprowadzić - rzekła. - Przeszkoliłeś ich wszystkich, by trzymali buzie na kłódkę? No bo nie wierzę, byś ostatnimi czasy cierpiał na posuchę, jeśli chodzi o kobiety.

Kiedy już w końcu przyznała przed sobą, że Ivan jest szalenie atrakcyjny, oczywiście było, że nie ona jedna tak myślała. Jednakże jego niełatwo było rozgryźć. Był cichy, skupiony i zamknięty w sobie.

Niewiele kobiet przedarłoby się przez tę zewnętrzną fasadę, by ujrzeć prawdziwego Ivana. Serdecznego, delikatnego mężczyznę, który był niesamowitym kochankiem.

- W moim życiu było kilka kobiet - odparł - ale z naprawdę niewieloma osiągnąłem ten etap, że zostawiały u mnie szczoteczkę do zębów.

- Nie lubisz dzielić z kimś łazienki? - zapytała lekko Maggie.

- Aż do teraz nie. Myślę, że dzięki tobie zaczynam zmieniać zdanie.

Uśmiechnęła się szeroko, wzięła z kubeczka jego szczoteczkę i zabrała się za mycie zębów.

- Nikt nigdy nie używał mojej szczoteczki - rzekł, przyglądając się jej.

- W takim razie to twój pierwszy raz - odparła wesoło.

- Tak. Pierwszy raz.

Zdjęła ręcznik, którym była owinięta, by wejść teraz pod prysznic.

- Pokaż mi swoje udo - polecił nieoczekiwanie.

Wczoraj wieczorem dotknął palcami bladej blizny w górnej części jej lewego uda, a ona mruknęła coś o wypadku samochodowym - taką samą wersję przedstawiła Greyowi, kiedy zobaczył ślady. Ale tym razem, w jasnym łazienkowym świetle, Ivan przyjrzał się im uważniej.

- Usiądź.

Pchnął ją delikatnie, by przysiadła na brzegu wanny i uklęknął przed nią. To były nierówne blizny, niezbyt głębokie, takie, które nawet nie wymagały szwów, pozostawiły jednak swój ślad. Było ich wiele: nierówne ślady, które nigdy nie zbledną, niczym kod kreskowy wyryty na jej delikatnej skórze.

- Wypadek samochodowy - powtórzyła. Palce Ivana przesuwają się po bliznach.

- Te ślady nie wyglądają mi na wypadek - rzekł. Podniósł głowę, palcami nadal dotykając uda. - Co tak naprawdę się stało?

- Nie chcę o tym rozmawiać - odparła z rosnącym niepokojem.

Ivan objął silnymi ramionami jej talię i przyciągnął ją bliżej siebie.

- Chcę wiedzieć o tobie wszystko, Maggie Maguire - wyszeptał, całując jej twarz. - Chcę poznać całą ciebie, każdą twoją myśl, więc powiedz mi prawdę. Powiedz mi, skąd tak naprawdę wzięły się te blizny.

Czwarta klasa u Świętej Urszuli upływa pod znakiem szkolnego przedstawienia - jako że czwartoklasistki nie musiały zdawać państwowych egzaminów, wystawiały zawsze jakąś sztukę, by w ten sposób lepiej zrozumieć dzieła wielkich dramaturgów. Tego roku kiedy Maggie Maguire chodziła do czwartej klasy, zdecydowano odgórnie, że wystawiony zostanie *Prowincjonalny playboy*, arcydzieło J. M. Synge'a. Czwarte klasy liczyły łącznie sześćdziesiąt dziewcząt, w tym jakieś dwadzieścia pięć z wielkimi ambicjami aktorskimi, więc rywalizacja o główne role była zażarta. Maggie, która uwielbiała angielski i *Prowincjonalnego playboya*, prędkiej by dała sobie obciąć rękę bez znieczulenia niż znalazła się na scenie i grała. Tak więc ona oraz większość dziewcząt mogły spokojnie stać na uboczu i przyglądać się walkom, jakie toczyły się podczas zajęć teatralnych. Sztuka miała zostać wystawiona na Boże Narodzenie, a wszystkie zebrane pieniądze szły na cele dobroczynne.

- Chcę, żeby wszyscy byli zaangażowani - upierała się panna O'Brien, nauczycielka prowadząca zajęcia teatralne. Uważała oratorstwo za wspaniałą umiejętność, którą każdy

powinien posiadać, i nie była w stanie pojąć, dlaczego nie wszyscy zabijają się o role. - Będzie naprawdę cudownie - rzekła, a jej oczy błyszczały z emocji. - Ta ekscytacja, ten splendor. No dobrze, Maggie, ty możesz być jedną z osób, które pomagają aktorkom uczyć się ich ról, jesteś taka dobra z angielskiego, no i uwielbiasz tę sztukę. Byłoby to fantastyczne zajęcie dla ciebie.

- O, nie - odparła natychmiast Maggie. - Nie mogę. Jej szkolna kariera polegała na tym, że Maggie starała się

wtopić w tło. Już pierwszego dnia, kiedy przybyła do Świętej Urszuli podekscytowana tym, że zaczyna naukę w liceum, jej entuzjazm oklapł i przekonała się, że ukrywanie się to najlepsza forma obrony.

Wszystko zaczęło się tak niewinnie.

- Hej, tyczka, jak się nazywasz? - zapytała dziewczyna z jasnymi włosami, drobną, pokrytą piegami twarzą i oczami, które sprawiały, że wyglądała na więcej niż dwanaście lat.

- Maggie Maguire - odparła skwapliwie, nie uważając słowa „tyczka” za obraźliwe.

- Wielka Maggie, co? - parsknęła dziewczyna i otaczająca ją niewielka grupa zaśmiała się.

Maggie także się roześmiała, częściowo ze zdenerwowania, a częściowo po to, by pokazać, że się nie obraziła.

W tej właśnie chwili pojawiła się nauczycielka i zagoniła pierwszoklasistki do ich klas. To był pracowity i ekscytujący dzień, podczas którego pokazywano, gdzie się wszystko znajduje w tej wielkiej nowej szkole, poznawało się nauczycieli, przyzwyczajało do tego, jakie lekcje będą się odbywać w poszczególnych klasach.

Następnego ranka Maggie zjawiała się przed czasem, pełna gotowości na ten ekscytujący, nowy świat.

Siedziała w jednej z pierwszych ławek w klasie do angielskiego, jej pierwszej lekcji dzisiaj, nieśmiało witając się z innymi dziewczętami, kiedy zbliżyła się do niej Sandra i jej drużyna.

- Wielka Maggie siedzi z przodu - oświadczyła Sandra.

- Jesteś kujonem, no nie, Wielka Maggie? - Przeszła obok jej ławki i jednym płynnym ruchem zmiotła starannie ułożone podręczniki na ziemię. - Ups. Sorki - powiedziała nieszczercze, a jej przyjaciółeczki wybuchnęły śmiechem.

Z płonącymi policzkami i kłującymi w oczy łzami Maggie schyliła się, by podnieść książki, mając nadzieję, że ktoś się za nią wstawi albo pośle jej współczujące spojrzenie. Nic z tego. Wszyscy byli zbyt przestraszeni.

Maggie nie była jedyną ofiarą Sandry. Było ich znacznie więcej i wraz z upływem lat dręczenie to przybierało, to traciło na sile. Maggie przekonała się, że jeśli weszła do klasy po Sandrze i wybiegła na korytarz przed nią, wtedy Sandrze nie chciało się jej gonić.

Stała się mistrzynią w pospiesznym umykaniu i byciu niewidzialną w momentach takich jak lunch czy przerwa.

Odebrano jej nawet przyjemność gry w koszykówkę. Kiedy Maggie była sama, uwielbiała czuć w dłoni piłkę, myśleć o tym, jak wypuszcza ją z długich palców prosto do kosza. Ale gdy tylko w tle pojawiały się dręczycielki, szydząc, drwiąc, czyniąc złośliwe uwagi, jej koordynacja na linii ręka

- oko ulegała zachwianiu.

- Och, spójrzcie tylko na Zero Cycków Maguire, znowu wszystko spaprała - mówiła wtedy Sandra.

Od kiedy robiła wszystko, by jej klatka piersiowa wydawała się większa, Sandra zamieniła Wielką Maggie na Zero Cycków Maguire. Maggie udawała, że ma to gdzieś i ignorowała ją.

W chwilach największej wyrozumiałości lubiła sobie myśleć, że może Sandra ma mnóstwo problemów i że to właśnie uczyniło ją taką ostrą i gniewną wobec świata. Tak często działo się z ludźmi w czytanych przez nią książkach: byli paskudni, naprawdę mocno cierpieli i wyżywali się na bohaterce, więc tak właśnie mogło być i w tym przypadku.

Ale po kilku latach niesłabnącej podłości nie szukała już żadnych usprawiedliwień dla Sandry i jej bandy. Były po prostu sukami i tyle. Kitty, która była w szkole czymś w rodzaju najlepszej przyjaciółki Maggie, w ogóle nie interesowała teoria, że Sandra ma trudne życie i dlatego wyżywa się na innych.

- To po prostu krowa - mówiła z żarem.

Kitty była niska, bardzo inteligentna, nosiła okulary i miała pulchne kształty, co oznaczało, że stanowiła idealny cel dla Sandry.

Inteligencja była jedynym oczywistym ogniwem łączącym Maggie i Kitty, ale tak naprawdę połączyło je przerażenie. Uzgodniły, że nie ma sensu nikomu o tym mówić. Nauczyciele wiedzieli, jaka jest Sandra, oni także nie potrafili kontrolować jej ani jej bandy. Nie było więc tak, że nikt o niczym nie miał pojęcia.

Wyglądało jednak na to, że nikt nie był w stanie nic zrobić, nawet wtedy kiedy w trzeciej klasie wyszło na jaw, że Sandra zabiera pieniądze pierwszoklasistkom. Nikt nie wiedział, w jaki sposób udało się to zatuszować, ale tak właśnie się stało. Sandry przez dwa dni nie było w szkole, a potem wróciła i zachowywała się równie paskudnie jak wcześniej, bez choćby cienia wyrzutów sumienia. Prawdę powiedziawszy, ona i jej przyjaciółeczki wydawały się jeszcze gorsze: ich przywódczyni znalazła się w tarapatkach i wyszła z nich obronną ręką, czuły więc, że nie mają się czego ani kogo bać.

Pierwsze i drugie klasy usuwały im się z drogi. Dziewczęta z klas trzecich, rocznika Sandry, nie miały takiej możliwości.

- Dlaczego dorośli wygadują bzdury, że czas spędzony w szkole to najlepsze lata życia? - zapytała Kitty. - Wcale nie, to koszmarny okres, nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wydostanę i znajdę daleko od tych szumowin.

Kitty mogła przynajmniej porozmawiać o tym w domu. Miała starszą siostrę, która była już na studiach i rozumia-

ła, że bycie niską i bystrą okularnicą nie przysparza w szkole popularności; pocieszała ją, ale Maggie nie mogła powiedzieć o tym nikomu. Mama i tata byli tacy uszczęśliwieni, gdy widzieli jej rewelacyjne wyniki.

- Popatrz tylko, pięć kolejnych piątek i jedna piątka z plusem. Jesteś niesamowita, skąd my wzięliśmy taką inteligentną córkę, Dennis? - mówiła z zachwytem mama, kiedy na Summer Street pojawiały się świadectwa szkolne.

Na świadectwach zawsze powściągliwie nadmieniano, że Maggie jest dość nieśmiała i przydałoby się, by wyszła ze swojej skorupy, ale ona wiedziała, że jej rodzice raczej tego nie zrozumieją, ponieważ Maggie, którą znali w domu, była zabawna i radosna. Już ona wiedziała dokładnie, co uważają rodzice: klasowa wersja ich córki to ta, która ciężko pracuje, by dostawać piątki z plusem. Dlatego właśnie tylko w domu oczy Maggie błyszczały radośnie. W szkole pochłaniała ją po prostu nauka.

Nie wiedziała, jak ma o tym powiedzieć w domu. Padała bez sił z ulgi, że udało jej się przetrwać każdy kolejny dzień w szkole.

Gdyby im powiedziała o Sandrze, o tym, że nie wie, jak długo jeszcze wytrzyma, poniosłaby w ten sposób porażkę. Najgorsze były niedzielne wieczory. Od mniej więcej czwartej Maggie czuła, jak jej nastrój staje się coraz bardziej ponury. Pakując torbę do szkoły, sprawdzając, czy odrobiła wszystkie lekcje, szykując czystą bluzkę od mundurka, czuła się, jak francuska arystokratka wspinająca się na wóz drabiniasty.

W noc z niedzieli na poniedziałek zawsze miała problemy ze snem. Leżała w łóżku, wpatrując się w gwiazdy na suficie, zastanawiając, czy na innych planetach istnieją inteligentne formy życia, a jeśli tak, to jak postępują w przypadku dręczenia.

Prowincjonalny playboy doprowadził ten stan rzeczy do punktu krytycznego.

Ostatecznie pełna entuzjazmu panna O'Brien nakłoniła Maggie, Kitty i kilka innych cichych uczennic do tego, by pomogły przy dekoracjach. Plastikowe gwiazdy z czwartych klas pomalują dekoracje, ale potrzeba kilku dodatkowych osób, które by je razem złożyły, powbijały gwoździe i ogólnie były chłopcami na posyłki.

- Maggie, sądziłam, że będziesz się chciała bardziej zaangażować - rzekła ze smutkiem panna O'Brien, kiedy Maggie oświadczyła, że zajmie się dekoracjami, ale nie będzie nikomu pomagać w uczeniu się tekstu. - Duch wspólnoty to niezwykle ważna sprawa. Jestem tobą rozczarowana.

Maggie nie odezwała się ani słowem. Lubiła pannę O'Brien. Byłoby wspaniale, gdyby mogła usiąść i powiedzieć jej prawdę.

- Panno O'Brien, pani nie rozumie. Bardzo bym chciała robić coś znaczącego, ale Kitty i ja mamy swoje bezpieczne miejsca, gdzie podczas przerw i w porze lunchu możemy się schować przed Sandrą. Nadstawiałybyśmy karku, gdybyśmy pracowały z aktorkami. Kilka dziewczyn z bandy gra w tej sztuce i zamieniłyby nasze życie w piekło.

Jednakże zamiast powiedzieć to wszystko na głos, popatrzyła spokojnie na nauczycielkę. Panna O'Brien przyjrzała się uważnie pozbawionej wyrazu twarzy, którą Maggie wyćwiczyła do perfekcji.

- Cóż, jeśli nie masz ochoty wykorzystać swego talentu, to twoja strata - powiedziała i prychnęła, okazując w ten sposób dezaprobatę. - Mogłabyś zająć znacznie dalej, a nie tylko stać gdzieś w tle.

Praca nad dekoracjami okazała się całkiem przyjemna i sporo satysfakcji dawało cięcie olbrzymich kartonów, z których trzeba było zrobić podłogę do kuchni.

Kitty, Maggie i kilka innych dziewcząt otrzymało w tym celu noże introligatorskie. Były niezwykle ostre i dzięki temu mogły bez trudu ciąć kartony.

- Tylko bądźcie ostrożne - ostrzegła je panna O'Brien. - Nie chcę, by któraś z was obcięła sobie kciuk ani coś innego.

- Dobrze, proszę pani - odparła ze śmiertelną powagą Kitty. - Będziemy uważać, kciuki są nam potrzebne.

Jedyną osobą, która się zacięła, była Maggie. Nie była pewna, jak to zrobiła, ale tnąc do siebie, a nie w drugą stronę, jak je uczono, przejechała po udzie. Nóż przeciął jej spódnicę i uczynił krwawe nacięcie na udzie.

- Au! - zawołała.

- Cholera, co ty zrobiłaś? - pisnęła Kitty.

Maggie uniosła przeciętą spódnicę. Noga nie wyglądała tak źle. Widać było cieniutki czerwony pasek z pojawiającymi się kropelkami krwi, co wyglądem przypominało czerwony kryształowy naszyjnik. I co najdziwniejsze, ten ostry, fizyczny ból dawało się znieść. Bolało, ale widziała przynajmniej co, nie tak jak w przypadku bólu wewnątrz niej, którego nikt nie był w stanie zobaczyć.

- Zaprowadzę cię do pielęgniarki - powiedziała Kitty.

- Nie, nic mi nie jest - odparła Maggie. - Wszystko w porządku, naprawdę. Owinę to papierem toaletowym i będzie okej.

Pobiegła do toalety, nadal trzymając w dłoni nóż. Zamknęła się w kabinie, usiadła na desce, zawahała, po czym uczyniła na udzie następne nacięcie. Boże, bolało, ale jednocześnie czuła się z tym... dobrze. Była w stanie kontrolować ten ból. Dzika intensywność fizycznego cierpienia wypierała ból z jej głowy. Ból skupiał się w nodze. Sprawowała nad nim kontrolę i ta pulsująca w niej świadomość była niczym upragniona ulga w cierpieniu. Zacięła się i pozwoliła cierpieniu odejść. Kogo obchodzi, że była pokaleczona? Zrobi to znowu i poczuje, że ponownie jest w stanie kontrolować swoje życie.

Nikt nie zauważył, że zginął jeden nóż. Nikt nie wiedział, że znajduje się on w pokoju Maggie Maguire i że czasami, nie każdej nocy, ponieważ nie mogła robić tego tak często, robiła na udzie niewielkie nacięcia. Po kilku miesiącach była ich cała siatka: ogniście czerwona i wyglądało to tak, jakby z jej uda zdarto skórę. Ale nikt nie widział nacięć, już ona tego

pilnowała. Nie było to zbyt trudne, no bo kto miał ją oglądać bez ubrania? Szkoła nie miała basenu, więc nie było zajęć z pływania. A podczas gier zespołowych łatwo było to ukryć, po prostu musiała przebrać się wtedy, gdy nikt nie patrzył. Czasami rany naprawdę ją bolały i piekły; zastanawiała się wtedy, czy nie doszło do jakiejś infekcji.

Kupiła spirytus do dezynfekcji i oblewała nim całe udo, pragnąc krzyczeć z bólu, Jednakże ten ból był także dobry. Ten nóż stał się symbolem odrobiny kontroli nad własnym życiem, którą sprawowała.

Odbywała się próba generalna. Maggie i Kitty czekały w jednym z dużych pomieszczeń za sceną, kiedy weszły Sandra i jej przydupasy. Wszystkim zezwolono na brak szkolnego mundurka i Maggie miała na sobie ulubione dzinsy, kozaki i zwykły polar. Jedną nogę miała nieco grubszą od drugiej, ponieważ była zabandażowana, ale nikt niczego nie zauważył. Przez cały czas czuła bolesne pulsowanie w udzie. Znajdowało się na nim tyle nacięć. Ale nie przejmowała się tym, ból sprawiał, że czuła się silniejsza.

- Czeeeść, Zero Cycków Maguire. To właśnie nazywasz modą? - zapytała z szyderczym uśmiechem Sandra, która była wystrojona w najlepsze ciuchy w stylu szkolnej dziwki, jakie można było kupić. Jej włosy miały teraz odcień platynowego blondu, a oczy to twarde niebieskie pociski obwiedzione czarnym jak smoła eyelinerem. Maggie poczuła pulsowanie w nodze. W kieszeni polaru miała swój nóż. Noszenie go dodawało jej dziwnej odwagi. Zacisnęła teraz na nim palce, czując, jak wzbiera w niej wściekłość. A potem miarka się przebrała.

- Odepierdol się, suko! - ryknęła dziko i wstała. Górowała nad Sandrą, a na jej twarzy malował się gniew. Wyszarpnęła nóż z kieszeni i wysunęła ostrze, które rzucało metaliczne błyski.

Oczy Sandry rozszerzyły się.

- Jeszcze raz zbliżysz się do mnie albo Kitty, a mocno, kurwa, pożałujesz - syknęła nowa Maggie.

A Sandra w konfrontacji z kimś, kto nie miał zamiaru dłużej leżeć i dawać się kopać, wycofała się.

- Jak chcesz, ty cholerna suko! - Wszyscy usłyszeli ten ryk i przyglądali się z otwartymi ustami. Maggie zbliżyła się, a w jej wnętrzu buzowała wściekłość. - Powiedz to. Powiedz to albo sprawię, że pożałujesz. Powiedz, że już nigdy się do nas nie zbliżysz, że już nigdy nie będziesz tutaj nikogo dręczyć - wysyczała. Jej determinacja była oczywista.

- Będę się trzymać z daleka, dobra? Uspokój się, dobra? - I Sandra, która była wystarczająco zmyślna, by wiedzieć, jak ocalić własną skórę, odczepiła się na zawsze. - Szalona, popieprzona suka - mruknęła, gdy znajdowała się już w odpowiedniej odległości.

Dręczycielki wyszły i w pomieszczeniu zapanowała grobowa cisza, po czym Kitty podeszła do Maggie i wyjęła nóż z jej ręki.

- Ty nie udawałaś, prawda? - zapytała, obejmując przyjaciółkę ramieniem i prowadząc ją w stronę krzesła.

- Nie - odparła Maggie. Czowała teraz słabość.

- Zasłużyłabyś na Oscara, gdybyś rzeczywiście grała - stwierdziła Kitty. Jednym ruchem schowała ostrze do środka. - Nie obwiniałabym cię, gdybyś pocięła Sandrę na małe kawałeczki, ale ona nie jest warta tego, by mieć przez nią kłopoty. Jeśli jedna z was ma skończyć w pudle, wolę, żeby to była ona.

Maggie roześmiała się z trudem.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam - rzekła.

- A ja się cieszę z tego - roześmiała się Kitty. Z kąta dobiegł głos:

- Ja też się cieszę. Od lat zamieniała moje życie w piekło.

- A teraz cisi obejmą w posiadanie ziemię, jeśli reszta z was nie ma nic przeciwko - zażartowała Kitty.

Wszyscy się roześmiali i napięcie zostało przerwane.

Maggie spojrzała Ivanowi w oczy.

- Myślisz teraz, że jestem wariatką? - zapytała. Cała była niespokojna, powiedziawszy mu w końcu prawdę.

Uśmiechnął się.

- Uważam cię za najodważniejszą kobietę na świecie

- oświadczył. - Jestem z ciebie taki dumny. Do czegoś takiego trzeba było naprawdę wielkiej odwagi.

- Niezupełnie. Tak naprawdę bardziej przypominało to szaleństwo. Po prostu wpadłam w szal.

Dłonie Ivana ponownie dotknęły jej nogi.

- Już tego nie robisz? - zapytał łagodnie. Pokręciła głową.

- Kiedy przestała mnie prześladować, życie stało się łatwiejsze, lepsze. Zaczęłam lubić szkołę, a Sandra odeszła wraz z końcem roku szkolnego. Cóż za ulga! Bez niej ta banda suk już nie była taka sama. Nadal zachowywały się wrednie, ale nigdy wobec mnie ani Kitty.

- Moja wojownicza księżniczka - rzekł, przytulając ją.

- Rozgromiłaś swych wrogów.

- Tak też myślałam, ale w dniu ślubu twego kuzyna jedna z bandy Sandry zjawiała się w bibliotece i myślałam, że zaraz zwymiotuję. Wszystko wróciło, Ivan, strach, przerażenie. Poczułam się, jakbym znowu była uczennicą. - Jej głos zadrżał, a uścisk Ivana stał się jeszcze mocniejszy. - To lęki, od których się nie uwolniłam - kontynuowała. - Tak jak w przypadku mojej nogi, to blizny, które nie znikną.

- Znikną z czasem - rzekł uspokajająco Ivan.

- Nie, muszę się z nimi zmierzyć. Christie Devlin mówi, że muszę stanąć twarzą w twarz z Sandrą, by wyrzucić ją ze swej głowy. Ma rację, wiesz?

Ivan podciągnął ją do góry, a gdy wstała, popatrzył na nią poważnie.

- Jeśli zamierzasz się zbliżyć do tych kobiet, to ja będę przy tobie - oświadczył. - Niech tylko spróbują dręczyć cię przy mnie.

Maggie przytuliła się mocno do niego, skrywając głowę na jego klatce piersiowej.

- Dziękuję ci, ale nie. Muszę to zrobić sama.

Centrum plotek na Summer Street był minimarket, gdzie niepodzielnie rządziła opryskliwa właścicielka, Gretchen. Jej córka Lorraine, ta, która miała za męża bogatego francuskiego pilota i chodziła do szkoły razem z Maggie, należała kiedyś do bandy Sandry Brody. Jeśli ktoś wiedział, gdzie się teraz podziewa Sandra, z pewnością była to Gretchen.

Tak więc wieczorem Maggie po raz pierwszy w życiu celowo podeszła do kasy, którą obsługiwała Gretchen.

- Witaj, Maggie - rzekła Gretchen z miną kota, który między łapami ma uwięziony ogon myszy. - Jak się masz?

- Świetnie - odparła pogodnie. Teraz była gotowa do starcia z takimi twardzielkami jak właścicielka sklepu. - Co słyhać u Lorraine? - zapytała od niechcena.

- Jest rewelacyjnie - odparła lekko zdziwiona tym, że Maggie pytają o córkę.

- A nadal spotyka się z Sandrą Brody? - kontynuowała Maggie.

- Chodzi ci o Sandrę McNamarę? Niezupełnie, wiesz przecież, że Lorraine mieszka teraz na południu Francji...

- Tak - przerwała, nie mając ochoty po raz kolejny wysłuchiwać przechwałek Gretchen. - Ale w szkole bardzo się przyjaźniły. Ich grupa wszystko robiła razem, zgadza się?

Gretchen przez chwilę miała rozbiegane spojrzenie.

- Cóż, Sandra była trochę narwana, no nie?

- Narwana? - zapytała Maggie, udając zaskoczenie. - Dlaczego pani tak uważa?

Gretchen sprawiała wrażenie jeszcze bardziej skrępowanej.

- Och, no wiesz, miała trochę zły wpływ, wszyscy się cieszyliśmy, kiedy odeszła ze Świętej Urszuli.

- Jakiego rodzaju zły wpływ? - ciągnęła temat Maggie, czując się tak, jakby role się odwróciły i to ona była wielkim inkwizytorem.

- No wiesz, manipulowała dziewczętami, wciągała je w tarapaty. Moja Lorraine była zawsze dobrą dziewczyną, ale kiedy trzymała się z Sandrą, cóż, nigdy nie było wiadomo, co im przyjdzie do głowy.

Maggie popatrzyła Gretchen prosto w oczy.

- Prawdę powiedziawszy - rzekła zimno - to wiem, co im przychodziło do głowy i ma pani rację, to nie było ani trochę miłe. Czy Sandra mieszka teraz gdzieś w okolicy?

- Czasami tu zagląda - wyjąkała Gretchen i choć raz wyglądało na to, że nie ma ochoty na rozmowę. Wyjątkowo szybko zaczęła skanować zakupy Maggie.

- Myśli pani, że się zmieniła? Nadal jest narwana?

- Ma teraz dzieci, czy to nie zmieniłoby każdego?

- Więc jest inna?

- Można tak powiedzieć.

- Czym się zajmuje?

- Nie sądzę, by pracowała. Ma małe dzieci, a jej mąż podobno dobrą pracę. Razem siedemnaście euro i osiemdziesiąt centów.

Maggie odliczyła pieniądze.

- Proszę pozdrowić ode mnie Lorraine, dobrze? - dodała. - Jestem pewna, że będzie mnie pamiętać.

- Eee, tak, oczywiście pozdrowię - odparła Gretchen.

Maggie skierowała się w stronę swego domu, niosąc dwie torby z zakupami. Uczyniła postęp. Dowiedziała się, że terror Sandry nie był jakąś wielką tajemnicą, że ludzie o tym wiedzieli. Przez tyle lat zastanawiała się, czy nie reagowała przypadkiem paranoicznie i nie wyolbrzymiała całej sprawy, że teraz z ulgą się przekonała, iż działania Sandry Brody nie przechodziły niezauważone, że inni ludzie dostrzegali, co z niej za ziółko. Tyle tylko że nikt nie uczynił niczego, by pomóc osobom takim jak Maggie. Ta wiedza nie sprawiła, że poczuła się jeszcze bardziej zdenerwowana czy zdradzona, ale dodała jej siły. Fakt, że ta wstrętna stara Gretchen przyznała, iż Sandra była kiedyś wredną dręczycielką, okazał się kluczem do wolności Maggie. To nie była jej wina, lecz Sandry i teraz miała zamiar skonfrontować to z nią. Przeszłość nie będzie już dłużej dławić Maggie Maguire.

Odpowiedź kryła się w książce telefonicznej.

Tony i Sandra McNamarowie mieszkali kilka kilometrów dalej na jednym z nowych osiedli.

Maggie zastanawiała się, jaka jest teraz Sandra McNama-ra. Czy nadal była w stanie jednym nieprzyjemnym spojrzeniem robić z ludzi trzęsące się wraki? Nadal paliła i strząsała popiół na innych? Dwukrotnie przypaliła Maggie papierosem, za każdym razem udając, że to był wypadek. Raz w nogę i raz w knykieć, gdzie nadal widniał ślad. Przynajmniej te blizny były powierzchowne. Ślady na jej udzie były dziełem Sandry, jakby je uczyniła własnym nożem. Maggie będzie mieć te blizny do końca życia. Ale nadszedł czas, by zaleczyć blizny w jej wnętrzu.

- Wychodzę, mamó! - zawołała. - Jeśli zadzwoni Ivan, to powiedz mu, że niedługo wrócę.

- Dobrze - odparła z kuchni matka.

Wskoczyła do autobusu, którego trasa prowadziła obok ulicy McNamarów. Mogła wziąć samochód albo nawet poprosić Ivana, by ją zawiózł, ale musiała to zrobić sama. Sandra

i Tony McNamarowie mieszkali pod numerem trzynastym i kiedy Maggie z wysoko podniesioną głową zbliżyła się do bramy, zobaczyła, że na podjeździe zaparkowane są dwa samochody. Na tylnym siedzeniu jednego z nich znajdował się fotelik dla dziecka.

Dzieci. A więc Sandra ma własne dzieci? A jeśli byłyby z nią, gdyby Maggie zastąpiła jej drogę? W żadnym wypadku nie chciała skrzywdzić dzieci - to nie ich wina, że ich matka to krowa. Maggie zawahała się, widząc dowód na to, że Sandra Brody jest kimś więcej niż złym wspomnieniem. Była także prawdziwym człowiekiem.

Stała na chodniku, zbierając się na odwagę, by zbliżyć się do drewnianych drzwi, kiedy nagle otworzyły się i pojawił się w nich jakiś mężczyzna. Maggie natychmiast odwróciła się i z mocno bijącym sercem oddaliła.

Nie chciała konfrontacji z kimkolwiek innym. Z mężem, który być może nie miał pojęcia o tym, jaka kiedyś była jego żona. Z walącym sercem i dojmującym uczuciem wstydu wróciła do domu.

Tej nocy leżała w swoim dziecięcym łóżku w domu na Summer Street i wpatrywała się w sufit. Przez jej głowę przebiegały wydarzenia ostatniego miesiąca. Prześladowały ją zdrada i cierpienie, a jednak je zwalczyła. Co niezwykle, nie zmiażdżyło jej to. W rzeczywistości czuła się teraz silniejsza i szczęśliwsza, ponieważ na nowo przejęła kontrolę nad swym życiem.

Teraz wydawało jej się to oczywiste: tak długo zachowywała się jak ofiara, że zapomniała, jak sprawować kontrolę. Bycie ofiarą jest łatwiejsze, jako że można zrzucić winę za wszystko na innych. Objęcie kontroli było przerażające, ponieważ oznaczało, iż coś może pójść nie tak, a ty sobie z tym nie poradzisz. Ale przecież i tak zdarzało się, że coś szło nie tak. Dlaczego więc nie stawić czoła strachowi i nie objąć kontroli?

Rankiem Maggie siedziała w samochodzie rodziców na ulicy przed domem Sandry McNamary, czekając, aż ta wróci ze szkoły. Odjechała dwadzieścia minut temu z trójką dzieci, a teraz miała ze sobą tylko małego chłopca. Maggie podeszła do samochodu, z którego Sandra wyjmowała dziecko.

- Cześć, Sandra, pamiętasz mnie? - zapytała grzecznie.

Sandra odwróciła się. Nadal miała jasne włosy, ale teraz były krótsze niż kiedyś, no i nie było śladu po ciemnym eyelinerze. Była bez makijażu i wyglądała blado i nieładnie w nietwarzowej bluzie i džinsach.

- Nie - odparła. - Przykro mi.

To niesamowite, że głos jej się nie zmienił. Wyglądała inaczej, ale mówiła zupełnie tak samo.

- Ty mnie rzeczywiście nie pamiętasz, prawda? - zapytała Maggie.

- A powinnam?

- Chodziłyśmy razem do szkoły, do Świętej Urszuli, dopóki w czwartej klasie nie odeszłaś.

Nie nastąpiło zderzenie symboli, nie pojawiło się zdumienie, nie rozbrzmiały chóry triumfalne, ponieważ twarz Sandry nadal pozbawiona była wyrazu.

- Przykro mi - wzruszyła ramionami. - Nie pamiętam. I mówiła prawdę. Naprawdę nie miała pojęcia, kim jest

Maggie. Kiedy rozległ się głośny odgłos czyneli, rozbrzmiał on w głowie Maggie, nie Sandry. Ta dziewczyna, która znęcała się nad nią i zamieniła jej życie w piekło, zupełnie tego nie pamiętała. Co oznaczało, że ludzie często robili przypadkowo straszne rzeczy, a potem o nich zapominali.

- Mieszkasz w okolicy? - zapytała uprzejmie Sandra.

- Na Summer Street - odparła Maggie. - Nie było mnie kilka lat, ale niedawno wróciłam. Próbuję odnowić kontakty z dawnymi koleżankami i ludźmi takimi jak ty. W szkole należałam do tych cichych, a ty byłaś przywódczynią dręczycielek.

Maggie dostrzegła w oczach Sandry błysk zrozumienia.

- Wszystkie byłyśmy wtedy trochę szalone, no wiesz, jak to nastolatki
- rzekła Sandra.

- Nie - upierała się Maggie. - To nie było jedynie trochę szalone, ale wstrętne i koszmarnie.

- Chodzi mi o to, że wszystkie przechodziłyśmy etap, kiedy nie byłyśmy zbyt fajne, nastolatki potrafią być małymi jędzami - zaprotestowała Sandra.

- Ja taka nie byłam. Nie zachowywałam się jak mała jędza, ale ty byłaś dla mnie taka wredna, że nienawidziłam chodzić do szkoły. Niedobrze mi się robiło na myśl o niej. Nie, źle mówię, nie było tak, że nienawidziłam chodzić do szkoły, ja po prostu bałam się. Przez całe lata unieszczęśliwiałaś mnie. Masz pojęcie, jak człowiek się wtedy czuje?

Sandra zatrzasnęła drzwi samochodu, pozostawiając chłopca w foteliku.

- Proszę posłuchać, nie pamiętam pani, więc proszę stąd odejść.

- Maggie Maguire we własnej osobie. -Och.

Maggie widziała, jak Sandra patrzy na nią z przerażeniem, w końcu ją rozpoznając. Wiedziała, że teraz wygląda zupełnie inaczej. Wszyscy mówili, że jest piękna. Dzisiaj pozwoliła sobie tak właśnie się czuć i stała wyprostowana przed tą kobietą.

- Wiedziałaś, że będziesz pamiętać - rzekła. - Zero Cycków Maguire, tak na mnie mówiłaś. To zabawne, że mnie nie poznajesz, gdy tymczasem ja będę cię pamiętać już zawsze. Przez ciebie strasznie się bałam chodzić do szkoły, co jest przecież czymś tak normalnym, czymś, co się powinno robić każdego dnia bez żadnego wahania. Ale ty mi to zniszczyłaś. Twoja złośliwość wpłynęła na każdy aspekt mego życia, wiedziałaś o tym?

Nie chciała usłyszeć odpowiedzi. Właściwie to nawet nie mówiła już do Sandry, ale wreszcie wyrażała na głos to, co

czuła przed laty. Sandra była jedynie mimowolnym świadkiem: zwyczajna, spięta kobieta i teraz to ona wyglądała, jakby schwytano ją w pułapkę.

Maggie uświadomiła sobie, że stanąwszy twarzą w twarz z własnymi demonami można się przekonać, że nie były one ogromnymi, groźnymi potworami z koszmarów sennych, ale jedynie głupimi, żalnymi ludźmi, którzy kiedyś mieli władzę i użyli jej przeciwko tobie.

- Przepraszam, okej? - powiedziała Sandra. - Wiem, że niełatwo było ze mną wytrzymać, kiedy chodziłam do szkoły, miałam mnóstwo problemów i wyzywałam się na innych, ale przepraszam, przepraszam cię za wszystko, co zrobiłam. A teraz idź już sobie. Nie chcę, by ktoś to usłyszał. - Rozejrzała się po oknach sąsiadów, wyraźnie niepokojąc się tym, że ktoś mógłby stać się świadkiem tego dziwnego spotkania.

Maggie uśmiechnęła się w duchu, myśląc, że Sandra rzeczywiście musiała się wyciszyć, chcąc wpasować się w tłum.

- Martwi cię, co pomyślą sąsiedzi? Kiedyś niczym się nie przejmowałaś. Przekształciłaś się w miłą osobę? Chodzisz na poranne kawki i udajesz, że jesteś zwykłą mamą?

Sandra oblała się rumieńcem.

- Chyba trafiłam w sedno - rzekła Maggie, chłodno patrząc Sandrze prosto w oczy. - Mam jedno pytanie: jak możesz mnie przepraszać, jeśli nie pamiętasz, co mi zrobiłaś?

Pamiętała, Maggie była tego pewna.

- Co byś zrobiła teraz, gdyby ktoś prześladował twoje dzieci? - kontynuowała. - Jak byś zareagowała, gdyby wróciły ze szkoły i powiedziały, że się boją, ponieważ ktoś się ich czepia?

- Nie tolerowałabym czegoś takiego - warknęła Sandra, a w jej głosie pojawił się cień dawnej złości.

- Och, nie tolerowałabyś tego? - przerwała Maggie. - Pognałabyś do gabinetu dyrektora, by się poskarżyć, tak? Nie sądzisz, że trąciłoby to hipokryzją, mając na uwadze to, ilu ludzi sama dręczyłaś w szkole? Czy

pozwoilioby ci zrozumieć, jak bardzo skrzywdziłaś mnie i wszystkie inne dzieciaki, które prześladowałaś, gdybyś musiała patrzeć, jak coś takiego przytrafia się twemu dziecku? Taka właśnie powinna być kara dla dręczycieli: oglądanie, jak ich własne rodziny są prześladowane.

- Posłuchaj, nie mogę teraz rozmawiać - powiedziała Sandra. Wyglądała na udręczoną. - Mogę ci to jakoś wynagrodzić? Możemy spotkać się na kawie i porozmawiać i...

- Nie sądzę - przerwała Maggie. - Powiedziałam to, co chciałam powiedzieć. Chyba szczęściara ze mnie, że mam wystarczająco odwagi, by ci się postawić. Żałuję, że nigdy jej nie miałam, kiedy chodziłam do szkoły, z wyjątkiem tego jednego razu.

- Przepraszam, po prostu odejdz stąd, odejdz! - Sandra otworzyła szarpnięciem drzwi samochodu i zaczęła grzebać przy pasach od fotelika.

- Do widzenia, Sandro - rzekła zimno Maggie. Nie było potrzeby, by dłużej tu stała. Powiedziała to, co chciała, dała Sandrze McNamarze temat do rozmyślań. Może od teraz będzie się przewracać i rzucać na łóżku, przypominając sobie ludzi, których skrzywdziła.

No ale może nie była w stanie zrozumieć, jak wielkie szkody wyrządziła. To niesamowite, ale jej jedynym zmartwieniem było to, czy sąsiedzi ich nie usłyszą.

Maggie wróciła do samochodu oszołomiona tym, co właśnie uczyniła. Nigdy nie należała do osób lubiących konfrontacje, ale osiemnaście lat duszenia w sobie strachu zrobiło swoje. Stanęła twarzą w twarz z Sandrą. Miała odwagę, by spokojnie powiedzieć jej to, co pragnęła powiedzieć od wielu lat. I dobrze się z tym poczuła.

Maggie wyjechała z osiedla i ruszyła w stronę domu. Na końcu Summer Street zatrzymała się i wyjęła telefon komórkowy.

Wystukała numer Ivana, myśląc, że zaledwie kilka tygodni temu osobą, do której chciałyby teraz zadzwonić, był Grey. Tyle że gdyby nadal była z Greym, gdyby jej całe życie nie zaważyło się, w ogóle nie dotarłyby do tego miejsca w swym życiu.

Poza tym Grey nie wiedział o tym, co skrywa jej przeszłość. Przez pięć lat nie potrafiła mu zdradzić sekretu, który Ivan w sposób naturalny poznał po kilku tygodniach.

Ivan był zajęty, poznała to po jego głosie, kiedy odebrał telefon. Ale kiedy usłyszał, że to ona, jego głos od razu złagodniał.

- Witaj, Maggie - rzekł. W przeciwieństwie do Greya nigdy nie mówił na nią „mała” ani „skarbie”, ani nic w tym rodzaju. Ivan używał jej imienia. - Co się dzieje?

- Chciałam ci tylko powiedzieć cześć - odparła, po czym dodała: - Nigdy nie zgadniesz, kogo dopiero co spotkałam.

Chwila ciszy.

- Chyba nie Greya? - zapytał dziwnie spiętym głosem. -Nie , nie — odparła Maggie. — Sandrę, tę dziewczynę ze szkoły, o której ci opowiadałam.

- I powiedziałaś jej coś? - zapytał miękko.

- Tak - rzekła i poczuła się z siebie dumna, dumna z tego, że umiała się obronić. - Powiedziałam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Czy dawało się tak do końca poznać osobę, którą się kocha? Czy można było wiedzieć o tym, co dzieje się w głowie tej osoby, leżącej w ciemności pod kołdrą obok ciebie?

Takie pytania wypełniały myśli Christie po ostatnim, naładowanym emocjami spotkaniu z Careyem.

Jako dziecko przyglądała się małżeństwu rodziców i wiedziała, że dla siebie pragnie czegoś dokładnie przeciwnego. Między jej matką i ojcem nie istniała prawdziwa bliskość, nie znali nawzajem swych najskrytszych myśli i marzeń.

Ojciec siłą przepychał się przez życie, a swoje dzieci traktował jak służących, mających wypełniać jego polecenia.

Matka Christie żyła we własnym świecie, w ogóle z niego nie wychodząc. To była jej prywatna technika przetrwania i chociaż Christie była w stanie to zrozumieć, zamknięcie się w sobie matki oznaczało, że jej dzieci czuły się niezwykle samotne.

Tak więc Christie obserwowała ich, zupełnie ze sobą nie związanych, a mimo to tkwiących razem w związku małżeńskim. Wiedziała, że ona chce czegoś innego.

To właśnie czyniło jej małżeństwo z Jamesem takim wyjątkowym - bliskość, szacunek, szczerłość. W obecności Jamesa goliła nogi i rozjaśniała włoski nad górną wargą, mówiła mu, kiedy bóle menstruacyjne stawały się nie do zniesienia i pozwalała głaskać swój obolały brzuch. Obejmowała Jamesa,

gdy dopadał go wirus żołądkowy i trzymała za ramiona, gdy wymiotował, ocierając mu twarz chłodnym ręcznikiem.

James przyglądał się, jak ona rodzi ich dwóch synów, i nie zmniejszyło to jego pożądaniami, przed czym przestrzegaly niektóre poradniki. Tysiące razy widział, jak płacze, i wiedział, jakie sceny w filmach i książkach ją smuca, wiedział także, że nad wszystkie inne kwiaty kocha białe róże.

A jednak pomimo pragnienia, by panowała między nimi absolutna szczerość, istniały zakamarki w jej głowie, które zachowywała dla siebie: te, które wiązały się z Careyem Wo-lenskim.

Przez te wszystkie lata z całych sil starała się zapomnieć, mając nadzieję, że z czasem wspomnienie wyblaknie, jak tekst na starym pergaminie. Skoro nikt go nie widział, to go już nie było. Tyle że nie działało to w taki sposób.

Teraz widziała je namalowane na płótnie, ewidentnym dowodzie istnienia sekretu, o którym tak bardzo starała się zapomnieć.

Ukryła podarunki Careya w dawnym pokoju Shane'a i przyłapywała się na tym, że przegląda szkicownik w ramach swego rodzaju kary. Znajdowały się w nim szkice wielu jego najsłynniejszych obrazów, na przykład scen batalistycznych, niezwykle cenionych przez kolekcjonerów. I przepiękne rysunki, które później przekształciły się w serię Mroczna Pani, obrazy, z których każdy wart był setki tysięcy.

Ale to nie szkicownik, lecz obraz wyjawiał jej sekret.

Wiedziała już, co musi zrobić.

Dzień po jej trzydziestych piątych urodzinach Carey Wolen-ski zadzwonił do niej do domu, znalazłszy numer, jak twierdził, w notesie Any.

Christie, której instynkt podpowiadał, że się z nią skontaktuje, wiedziała, co powinna powiedzieć. Nawet to sobie

przećwiczyła. „Cudownie było cię poznać, ale nie, dziękuję, nie chcę się z tobą ponownie spotkać”.

Jednakże świadomość tego, co się powinno powiedzieć, i powiedzenie tego to dwie zupełnie różne rzeczy. Kiedy usłyszała ten niski chropawy głos, głos o którym marzyła, bezwiednie wyraziła zgodę.

Postanowiła, że spotka się z nim po to tylko, by skończyć z tym szaleństwem. Wszystko będzie wyglądać inaczej za dnia, kiedy nie będzie zdenerwowana na Jamesa ani poruszona widokiem oszalamiających obrazów Careya.

Przekona się, że to gwałtowne, seksualne podniecenie siedzi wyłącznie w jej głowie, jest fantazją, małym oderwaniem się od rzeczywistości.

To było idealne usprawiedliwienie spotkania się z nim. Pomimo poczucia winy zaciskającego się wokół jej żołądka niczym pętle, przekonała samą siebie, że zgoda na spotkanie się z Careyem w jego atelier to rozsądna decyzja. Tam nikt ich nie zobaczy. Nie będzie żadnych świadków nieuchronnie krępującej sytuacji, kiedy ona przeprosi i wyjaśni, że jest mężatką, że on spotyka się z jej siostrą i że powinni zapomnieć o tej niewytłumaczalnej chwili na poddaszu galerii tamtego wieczoru.

Ostatecznie okazało się, że jej spotkanie z Careyem wymaga poczynienia pewnych ustaleń. Odwiozła chłopców do szkoły i przedszkola, umówiwszy się z koleżanką, Antoinette, że to ona ich dzisiaj odbierze, na wypadek gdyby Christie miała się spóźnić, jeśli spotkanie przy kawie się przeciągnie. Trzeba być przecież praktycznym, tak sobie myślała.

W chwili gdy Carey otworzył podrapane drzwi prowadzące do wielkiego atelier, praktyczność uleciała przez okno. Był dokładnie taki, jakim go zapamiętała. Wysoki, mrocznie zamyślony, z każdego centymetra jego skóry emanowało niebezpieczeństwo. Nadal istniała między nimi elektryczność na tyle silna, by oświetlić całe miasto.

- Nie wiedziałem, czy przyjdiesz - rzekł, wwiercając spojrzenie w jej twarz.

- Powiedziałam, że przyjdę, a ja nie kłamię - odparła Christie, po czym skrzywiła się, myśląc, że skłamała, by móc się tutaj zjawić.

- Chcę cię namalować - rzekł Carey. Tak właśnie powiedział jej przez telefon, ale Christie wiedziała, że to tylko pretekst. Schlebiający jej, ale tylko pretekst. - Moje atelier jest na górze - dodał, cofając się, by zrobić jej miejsce.

Wchodziła po drewnianych schodach, świadoma tego, że on idzie tuż za nią, a jego obecność była jednocześnie elektryzująca i przerażająca. Atelier wyglądało dokładnie tak jak wszystkie inne, które Christie miała odwiedzić: pozbawione uroku i ciepła. Pomieszczenie było ogromne jak stodoła i miało wielkie okna, by mogło wpadać dużo światła. Podłoga poplamiona była farbami, a w rogu ustawiono płótna. W niewielkim aneksie kuchennym znajdował się stół, na którym wały się brudne naczynia. Christie to nie zdziwiło. Wyobrażała sobie, że kiedy Carey maluje, nie myśli o sprawach przyziemnych, jak na przykład sprzątanie.

- Podobają ci się moje prace? - zapytał, gdy zbliżyła się do płócien, czego nigdy by nie uczyniła, gdyby nie знаła dobrze malarza. Dziwne, ale czuła, że rzeczywiście go zna.

- Uważam, że są wspaniałe - odparła szczerze. - Nie rozumiem natomiast, dlaczego chcesz namalować mnie. Nie malujesz portretów. - Blefowała.

Odwróciła się i przekonała, że Carey stoi tuż przed nią. Zbliżył się cicho jak wielki kot. Taki właśnie był: drapieżnik, groźny, dziki, biorący sobie to, czego pragnie. Przez jej ciało przepłynęło podniecenie, poruszając jej nerwy seksualnym napięciem.

- Malowałem już portrety - rzucił w odpowiedzi z chropawym akcentem, a jego spojrzenie błędziło po jej twarzy.

Nie dotykał jej, ale stał tak blisko, że niemal czuła, jak przesuwają po jej twarzy długimi palcami artysty. Zostawiła dzisiaj włosy rozpuszczone, świadoma tego, że taką właśnie miała fryzurę, gdy się poznali.

- Nie powiedziałam, że będę ci pozować - rzekła, czyniąc krok w tył.

- Ale przecież tu jesteś, prawda?

- Przyszłam, by się dowiedzieć, jakiego rodzaju obraz chciałeś namalować.

- Akt - odparł takim tonem, jakby to było coś najbardziej oczywistego pod słońcem.

Christie nie odpowiedziała.

Pod jedną ze ścian stała stara otomana w kolorze połączanego brązu, przykryta poduszkami i narzutą ze szkarłatnego aksamitu. Malarze kochali aksamit: malowanie jego fałd i zagięć samo w sobie stanowiło wyzwanie. Po jednej stronie otomany stał parawan, z którego zwisała wyblakła podomka z wzorzystego jedwabiu.

- Możesz się przebrać za parawanem - rzekł Carey, przyglądając się jej.

Christie popatrzyła na otomanę i wyobraziła sobie, jak leży na niej nago, on zaś patrzy. Już sama ta myśl sprawiła, że poczuła się jak inna osoba, i spotęgowała wrażenie, że to nie przytrafia się Christie Devlin, mężatce z dwojgiem dzieci. To była przygoda przytrafiająca się jej drugiemu ja. Christie by tego nie zrobiła, lecz szalona, afektowana kobieta, którą mogła być, owszem.

Udała się za parawan, rozebrała i nałożyła podomkę. Miała rękawy szerokie jak w kimonie i orientalne wzory.

- Co mam zrobić? - zapytała, wyłaniając się zza parawanu.

- Połóż się z głową wspartą o poduszki, z jedną ręką wyciągniętą wzdłuż ciała - odparł z roztargnieniem.

Zdażył już przenieść sztalugi, stał więc teraz naprzeciwko otomany i było tak, jakby zapomniał o wszystkim z wyjąt-

kiem swej modelki. Christie pozwoliła kimonu ześlizgnąć się ze swego ciała i położyła się na otomanie.

- Nie, przesun rękę, dalej, tutaj, tak jest dobrze. A twoje włosy...

Podszedł do niej i każdy centymetr jej ciała ogarnęło napięcie, Carey jednak nie dostrzegał jej nagości. Ułożył pasmo włosów tak, by muskało jej pierś i dłonią dotknął sutka, sprawiając, że natychmiast stwardniał. On jednak nadal nie zareagował.

- Tak lepiej - rzekł, cofając się i mierząc ją taksującym spojrzeniem, jakby był hodowcą koni, a ona klaczą. - Lepiej.

Leżała tak w bezruchu przez trzy kwadranse, aż rozbolały ją wszystkie mięśnie. Ukończywszy akademię sztuk pięknych wiedziała, że artysta pochłonięty malowaniem może egoistycznie chcieć, by modelka pozowała mu bez końca, ale ona nie była już w stanie wytrzymać.

Przeciągnęła się, nie czując już, że jest naga, wstała z otomany i nałożyła kimono.

Carey chrząknął i wrócił do płótna.

- Potrzebny mi kwadrans - rzekła, idąc sztywno do aneksu kuchennego, by zrobić sobie coś gorącego do picia.

Po piętnastu minutach ciszy wróciła do pozowania. Pół godziny później ponownie się poruszyła. Czas na nią.

- Muszę iść - powiedziała, wstając. Desperacko pragnęła zobaczyć obraz, ale wiedziała, że lepiej tego nie robić. Gdyby chciał, sam by jej to zaproponował.

- Dobrze - odparł, pochłonięty malowaniem. - Trafisz sama do wyjścia, prawda? Przyjdiesz jutro?

Nie odpowiedziała, ale wiedziała, że wróci. Nie była w stanie się powstrzymać.

Rześki chłód jesieni ustąpił miejsca zimie, gdy tymczasem Carey malował Christie Devlin, a atelier, bez wątplenia piękne miejsce latem, zrobiło się zimne, przez co na nagim cie-

le Christie pojawiała się gęsia skórka. Zdążyła się już przyzwyczać do pozowania, od dwóch miesięcy przychodząc do Careya kilka razy w tygodniu i nawet gdy wieczorem kładła się w domu na kanapie, nieświadomie robiła to w taki sposób, w jaki on ułożył ją tego pierwszego dnia.

Nie powiedziała Jamesowi ani Anie, że pozuje Care-yowi. Nie było takiej potrzeby: przekonywała samą siebie, że to wszystko jest najzupełniej niewinne. Carey prawie się do niej nie odzywał i nie licząc tamtego pierwszego dnia, w ogóle jej nie dotykał. Nie robiła niczego złego. Mimo to wiedziała, że leżenie tam nago, gdy tymczasem ten niezwykle mężczyzna poznawał każdy milimetr jej ciała, nie było takie proste, jakby się mogło wydawać. Wiedziała, że kiedy leżała na otomanie, a szkarłatny aksamit dotykał pieszczotliwie jej ciała, gorąco pragnęła, by to Carey Wolensky ją pieścił. Do niczego jednak nie doszło i nie dojdzie. Wraz z początkiem listopada wiedziała, że czas to zakończyć. Musiała, ponieważ poczucie winy doprowadzało ją do szaleństwa. Nie miała go tylko wtedy, gdy przebywała z Careyem: w każdej innej chwili dręczyły ją wyrzuty sumienia wobec ludzi, których zdradzała.

W listopadzie przypadały urodziny Jamesa i już jakiś czas temu wspominał o wspólnym wyjeździe na długi weekend. Christie wiedziała, że gdy ona i James znajdą się sami, bez dzieci, wtedy dopadną ją kryształowo czyste wyrzuty sumienia spowodowane tym, że o niczym mu nie powiedziała.

No i pozostawała jeszcze kwestia Any, małej Any, dla której była jak matka. Uwielbiała swoją siostrę, a ostatnimi czasy Ana wydawała się mniej zachwycona Careyem - „Ma obsesję na punkcie malowania, Christie. Myślę, że w ogóle mnie nie dostrzega. To nie jest miłość, prawda? Za bardzo się od siebie różnimy, by to się udało. Nie chcę go ranić, ale...”.

Wreszcie Christie wiedziała, że musi to zakończyć, ponieważ miała pewność, że byłaby bezsilna, gdyby Carey dotknął jej choćby małym palcem. Łączył ich tak ogromny pociąg, że

od razu pobiegłaby w jego ramiona, a wiedziała, że czyniąc to, nigdy by sobie nie wybaczyła.

Tak więc w pewien chłodny listopadowy poranek uznała, że tego dnia po raz ostatni będzie pozować w jego atelier.

Z pewnością zobaczył już wszystko, co chciał, wystarczająco wiele razy przekrzywił głowę pod różnymi kątami, patrząc na nią, analizując kolor jej skóry, jej figurę, ruchy mięśni. Upajał się jej widokiem wystarczająco długo i miała zamiar położyć temu kres.

Zaczekała do przerwy, kiedy jak zwykle poszła do kuchni, by zaparzyć herbatę. Robiło się coraz zimniej i cienka podomka nie dawała żadnego ciepła. Christie zadrżała, zbliżając kubek z herbatą do piersi.

- Przykro mi, Carey, ale nie mogę już tutaj przychodzić - powiedziała, patrząc przez okno atelier na dachy sąsiednich domów. No proszę, powiedziała to jednak. Poczowała, że drży.

- Dlaczego? - zapytał i to dziwne, ale w ułamku sekundy znalazł się za nią, jego dłonie na jej ramionach, jego silne objęcia nappełniające ją ciepłem. Nie słyszała, jak się zbliżył, uczynił to cicho i ze zwierzęcym wdziękiem.

- Wiesz, że muszę przestać - rzekła pełna determinacji, by nie oprzeć się o niego. Jego dłonie zsunęły się niżej po jej ramionach, przyciągając ją do niego, pozwalając czuć ciepło jego ciała. Zamknęła oczy i odchyliła się. - Carey, chyba to widzisz?

- Niczego nie widzę - odparł. - Widzę, że jesteś dla mnie natchnieniem. Widzę, co do ciebie czuję i co ty czujesz do mnie. Dlaczego mielibyśmy to kończyć?

Westchnęła, nadal z zamkniętymi oczami.

- Ponieważ to jest niewłaściwe. Kocham mojego męża, dzieci i Anę. I nie powinno mnie tutaj być. Nie masz pojęcia, jak bardzo się tym zadęrczam, Carey. Bez końca myślę o ludziach, których zdradzam, przychodząc do ciebie. Gdyby tylko wiedzieli, gdyby tylko James i Ana o tym wiedzieli.

- Ana to cudowna dziewczyna, ale nie pasuje do mnie - rzekł Carey. -
Wie o tym. Na samym początku powiedziałem jej, że nie jestem
mężczyzną dla niej. Jest uparta. Spotykała się ze mną, by mi udowodnić,
że nie mam racji. Powiedziałem jej, że powinna sobie znaleźć miłego,
spokojnego mężczyznę, z którym mogłaby założyć rodzinę. Ja nie jestem
miły i spokojny.

- Takiego jak mój mąż, tak? - zapytała Christie, wyczuwając krytykę. -
To dobry człowiek i nie zasługuje na to. To co ty i ja czujemy do siebie,
jest niewłaściwe i złe.

- Czy czucie czegoś takiego może być niewłaściwe? - zapytał, jeszcze
mocniej ją obejmując. - Byłem taki ostrożny, Christie, nie dotknąłem cię,
mimo że pragnę tego w każdej chwili twego pobytu tutaj. Ale dałem ci
dystans, którego potrzebujesz, na który zasługujesz. Pozwoliłem, byś to
ty podejmowała wszystkie decyzje, a teraz mi mówisz, że już nie będziesz
przychodzić?

Odwrócił ją delikatnie, tak że wpatrywała się teraz w te ciemne, tak
bardzo ciemne oczy. Nigdy nie czuła niczego podobnego do tej więzi
między nimi. Miała wrażenie, że zna go od zawsze, że poznali się w
innym życiu.

Słyszała kiedyś, że istnieją ludzie, których przeznaczeniem jest
spotkanie się znowu i znowu w wielu życiach, szukanie siebie
nawzajem, aż coś się w końcu wydarzy i ich dusze będą mogły odpocząć.
Czy Carey Wolensky to człowiek z jej przeszłości? Wiara, w której
została wychowana, nie tolerowała tego typu rzeczy, ale musiał przecież
istnieć jakiś powód intensywności jej uczuć do niego, poczucia, że ten
mężczyzna stanowi nierozdzielalną część niej.

Wtedy wyjął kubek z jej dłoni, odstawił na stół, ujął jej twarz w swe
delikatne dłonie i pocałował ją. I Christie wiedziała, że jest zgubiona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Myślami nadal błędząc w przeszłości, Christie zamknęła cicho drzwi wejściowe.

W domu panowała cisza, ale wiedziała, że James wrócił już z pracy. Wiedziała dlatego, że psy nie przybiegły do niej jak szalone, by powitać tak, jak to robiły, kiedy zjawiała się w domu pierwsza.

Na korytarzu stały buty Jamesa, obok nich jego teczka, a przez balustradę przewieszona była kurtka.

Wszystko wyglądało normalnie: tyle że wcale tak nie było. Minął zaledwie dzień od spotkania z Careyem i wszystko zdążyło ulec zmianie.

Christie weszła do kuchni i psy zaczęły radośnie podskakiwać na jej widok.

James nie zareagował na jej słowa powitania ani nie wstał, by ją przytulić. Siedział przy stole z rozłożonym przed sobą szkicownikiem Careya, zaś o miskę z owocami opierał się mały olejny obraz.

- W ogóle się nie domyślałem - odezwał się, nie odrywając spojrzenia od kobiety na obrazie.

Christie oczami wyobraźni widziała, jak to wyglądało naprawdę: malarskie atelier brudne, niechlujne i ani trochę romantyczne. Unoszący się w powietrzu zapach terpentyny i kurzu, stare szmaty rzucone na podłogę tam, gdzie wycierano pędzle, no i otomana, równie zakurzona i pachnąca stęchlizną, tyle że przykryta płachtą pięknego szkarłatnego aksamitu. Tylko najlepsi malarze potrafili sprawić, że aksamit wyglądał ślicznie i ciepło, niemal jak coś żywego. I ona leżąca na nim, naga, uśmiechnięta, czująca się piękna.

- Spałaś z nim? - zapytał James, nadal wpatrując się w obraz. - Muszę to wiedzieć, Christie. Spałaś z nim?

Christie zawahała się. Zastanawiała się nad tym przez wiele lat. Co było większą zdradą - sam akt seksualny, intymność wynikająca z tego, że czuje się w sobie ciało innej osoby, dotyk skóry na skórze, ciała na ciele? Czy też czymś gorszym było przebywanie w pobliżu tej osoby, rozmawianie z nią, poznawanie jej najskrytszych myśli, uśmiechanie się na dźwięk jej głosu, chowanie przed światem wspólnego sekretu? Czy to nie było znacznie większym przewinieniem niż samo przespanie się z kimś?

Gdyby ich role uległy odwróceniu, gdyby James odszedł z inną kobietą - na przykład kochaną, słodką Veronicą z pracy, która była nieśmiała i zadurzona w Jamesie, ale nigdy, przenigdy nie uczyniłaby pierwszego kroku - i dzielił z nią swój czas, wtedy Christie pękłoby serce. Nie wtedy, gdyby pojechał z Veronicą do jakiegoś hotelu, zdarł z niej ubranie i kochał się z nią tak, jak z Christie.

Nie, intymność, serdeczność, wspólne sekrety: to okazałoby się najtrudniejsze do zniesienia. Nie seks.

Musiała mu to wyjaśnić, nim udzieli odpowiedzi.

- To nie jest najważniejsze... - zaczęła.

- Ależ jest - warknął James. - Spałaś z nim? Jedyłą odpowiedzią była prawda.

- Tak - powiedziała cicho. - Mówię ci o tym, ponieważ nie chcę, by istniały między nami jakiegokolwiek tajemnice.

Usiadła przy stole obok niego.

James wyglądał na udęconego, postarzałego, nie jak człowiek, który rano wyszedł z domu.

- Tak bardzo cię przepraszam - rzekła, jednak słowa te wydawały się zupełnie bezużyteczne. „Przepraszam” to za mało, by pokazać jej żal z powodu tego, że go skrzywdziła. - Powinnam ci była powiedzieć wiele lat temu, ale podobno nie ma sensu mówić o romansie, jeśli czyniąc to, uspokaja się jedynie własne sumienie.

- W takim razie dlaczego zostawiłaś to tutaj, bym to znalazł? - zapytał ochryłym głosem. - By uspokoić własne sumienie, przyznając się, że przespałaś się z innym, czy po to, by zranić mnie, pokazując mi jego malunki przedstawiające ciebie?

Christie zadreżczała się nawet wtedy, gdy kilka godzin temu zostawiła celowo na wierzchu szkicownik i obraz. Ale wiedziała, że tak właśnie musi zrobić. James miał wrócić koło siódmej, położyła więc prace Careya na stole w kuchni i udała się do kawiarni na Summer Street, gdzie wpatrywała się obojętnie w nietkniętą kawę, dopóki nie nadeszła pora, by pójść do domu i stanąć z nim twarzą w twarz.

To była jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie przyszło jej zrobić w życiu, ale prawda musiała w końcu ujrzeć światło dzienne. Koniec z tajemnicami.

- Nie chciałam ukrywać tego przed tobą - powiedziała. - I... - zawahała się. - Zawsze się bałam, że się dowiesz i że to nas zniszczy. Nie byłam w stanie znieść takiej ewentualności.

- Bardzo dobrze udawało ci się skrywać swój brudny sekret. Nie miałem o niczym pojęcia - rzekł, zaciskając palce na szkicowniku tak mocno, jakby w każdej chwili mógł nim cisnąć przez kuchnię, niezależnie od jego wartości. - Ana... Czy ona wie, co zrobiła jej ukochana siostra? I dlaczego teraz mi o tym mówisz?

Christie nie знаła odpowiedzi na żadne z tych pytań. Wiedziała jedynie, że czuła ogromny wewnętrzny przymus, by powiedzieć mężowi prawdę. Poza tym nie myślała w sposób racjonalny. Teraz, gdy mu powiedziała, mógł zrobić z tą informacją to, co chce, a ona będzie musiała ponieść konsekwencje.

- Z Aną to co innego - rzekła, głośno myśląc. - Ona go tak naprawdę nie kochała. Miała dosyć tych wszystkich lekarzy, pamiętasz? Nie prowadzili żadnego życia poza szpitalem i chcieli jedynie kogoś, z kim mogli się od czasu do czasu umówić.

- Pamiętam - odparł ponuro James. - To ty ją nakłaniałaś do zmiany życia, poznawania nowych ludzi, no i poznała jego. - Ostatniemu słowu towarzyszyło warknięcie i Christie nie miała wątpliwości, że gdyby Carey Wolensky znajdował się teraz w tym domu, James by go zabił. - Powiedziałaś, że to człowiek nieodpowiedni dla niej, despotyczny, szalony, to też pamiętasz? - zapytał ostro.

- Pamiętam - odparła Christie. - Takie właśnie miał cechy i nie był odpowiedni dla niej.

- Ale dla ciebie owszem? - warknął James.

- Dla mnie też nie - powiedziała spokojnie Christie. Jeszcze nigdy nie widziała Jamesa w takim stanie, no ale w końcu nigdy nie przyznała mu się do cudzołóstwa. - Ona go tak naprawdę nie kochała - powtórzyła, mając co do tego pewność.

Kiedy Carey opuścił nieoczekiwanie Irlandię, pożegnał się z Aną, która przez jakiś czas była smutna, ale całkiem szybko go przeboleła. Spotykała się z wieloma mężczyznami, aż wreszcie poznała Ricka, wielką miłość swego życia.

- Masz zamiar powiedzieć jej o tym? - zapytał James.

- Nie, nie sądzę, by musiała to wiedzieć.

- A ja tak? - W jego głosie słychać było tyle gniewu, wściekłość i ból rozsadzały go od środka.

- Tak, ty musiałeś - odparła. - Dowiedziałam się, że Carey przyjeżdża do Irlandii na wystawę i zadreślałam się wątpliwościami i strachem. Musiałam pozbyć się tego sekretu, powiedzieć ci.

- Powiedzieć mi o czym? Że on tutaj jest i odchodzisz z nim do świata milionerów? To właśnie masz na myśli?

Wyglądał na tak zagniewanego, jak jeszcze nigdy w życiu i Christie odczuła pokorę wobec jego miłości, zdruzgotana tym, że zdradziła tego dobrego, przyzwoitego człowieka. Ale musiała kontynuować wyjaśnienia, tak by James ją zrozumiał.

- Wczoraj spotkałam się z nim - rzekła - i wtedy właśnie podarował mi ten szkicownik i obraz. Nie zostawiam cię dla niego, coś takiego nigdy nie wchodziło w grę, James.

- Cóż, dobrze wiedzieć - powiedział z sarkazmem. Nie szło to zgodnie z wcześniejszym planem Christie.

- James, chciałam, byś wiedział o tym, co miało miejsce w przeszłości i tylko tym to jest: przeszłością, nie teraźniejszością. Tak bardzo się tym zadreślałam i teraz już wiem, że takiego sekretu nie można ukrywać, że zawsze będzie się czał i że lepiej by dla nas było, gdybym ci powiedziała.

- Dlaczego? - zapytał ostrym tonem James. - Aby dotarło do mnie, że trzydzieści kilka lat małżeństwa okazało się fikcją?

- Nieprawda - odparła Christie. - W naszym małżeństwie nie ma nic fikcyjnego, nigdy nie było. To była chwila szaleństwa, głupoty. - Wyrzuciła w górę ręce. - Nie potrafię tego wyjaśnić. - Nie umiała mu wytłumaczyć, że Carey reprezentował sobą szalone umiłowanie sztuki, którą ona kochała, coś, co musiała w sobie tłumić, by prowadzić takie a nie inne życie. Być może gdyby wcześniej nie poznała Jamesa i nie miała małych dzieci, wtedy może i żyłaby szczęśliwie w artystycznym świecie Careya. Ale James, Shane i Ethan oznaczali, że ta ścieżka już nigdy nie będzie dla niej. - Kocham cię, James, zawsze cię kochałam. To co przeżyłam z Careyem, było po prostu głupie i szalone, i miałam wtedy tego świadomość i...

- I pozowałam mu nago - wypluł z siebie James, ponownie patrząc na obraz. - To ty. Sprawdziłem przed two-

im powrotem w Internecie. Jest sławny dzięki tajemniczym obrazom z serii Mroczna Pani. Wiedziałaś, że ja się o tym nie dowiem. Nie interesuję się sztuką, więc ty i twój sekret mogliście się czuć bezpiecznie. Wiedziałaś, że nigdy nie przyjrę się obrazowi tego człowieka i nie przekonam się, że to moja żona leży tam naga, ponieważ rozpoznałbym cię wszędzie.

- Wiem - powiedziała szczerze. - Twój brak zainteresowania sztuką wszystko ułatwia. To, że ci teraz o tym mówię, musi coś dla ciebie znaczyć; fakt, że ufam ci na tyle, by ci to wszystko powiedzieć.

- Ufasz? A czym jest zaufanie, Christie? Myślałem, że sobie ufamy, ale myliłem się. Co było ze mną nie tak? Byłem zbyt bezpieczny, zbyt nudny, zbyt niezawodny ze swoją państwową posadą? Czy naprawdę pragnęłaś innego życia z kimś innym? Przez te wszystkie lata czekałaś, aż ten cholerny Wolensky wróci i upomni się o ciebie? Miały miejsce sekretne rozmowy telefoniczne i schadzki? Powiedz mi!

- Nie! - zawołała. - Nie widziałam go ani nie rozmawiałam z nim od trzydziestu lat. Nie czekałam na niego. Gdybym chciała wieść życie z kimś innym, odeszłabym, żeby z nim być, kiedy mnie o to poprosił, ale nie uczyniłam tego.

- Och, więc odrzuciłaś szansę ucieczki z wielkim artystą na rzecz mnie i naszego nudnego życia? - zapytał zimno James. Wstał gwałtownie z krzesła i wpatrywał się w nią tak, jakby była dla niego kimś obcym. - Nie wiem, co ci powiedzieć, Christie. Oglądałem ten notes długo, miałem wrażenie, że przez wiele godzin, patrząc na ciebie, narysowaną pod każdym możliwym kątem. Na rysunki mężczyzny, który patrzył na ciebie w sposób, w jaki tylko ja powinienem patrzeć. Może w naszym wieku nie powinno się już tym przejmować, może powinno się być ponad tą całą zazdrością. Ale wiesz co, ja się przejmuję. Przejmuję się tak bardzo, że boli mnie tutaj. - Uderzył się w klatkę piersiową. - Nie wiem, czy potrafię wybaczyć tobie albo jemu. A tak w ogóle to gdzie on teraz jest?

- Nie, nie zbliżaj się do niego. Ten szkicownik i obraz dostałam dlatego, że on umiera. - Powiedziała to szybko, na wypadek gdyby James pognał do miasta w poszukiwaniu Careya Wolenskyego z zamiarem zabicia go. - Jest śmiertelnie chory, James. Pragnął mnie odnaleźć i się pożegnać, to wszystko. Wiedziałam, że przyjedzie, dlatego ostatnio byłam taka niespokojna. Bałam się, że przyjedzie i zniszczy nasze życie. Wtedy właśnie zrozumiałam, że sama ci muszę o tym powiedzieć, ponieważ nie potrafię żyć w strachu, w strachu, że cię stracę.

- Cóż, no to szkoda - rzekł James z nietypową dla siebie ostrością - ponieważ i tak mnie straciłaś. Zostawię cię i te brudne rysunki twojego kochanka. Wolensky może sobie teraz przychodzić, kiedy tylko ma ochotę, ponieważ mnie tu nie będzie. Tego właśnie pragniesz? Ach tak, możesz porozmawiać z naszymi synami i powiedzieć im o wszystkim.

- James, nie trzeba mieszać w to Ethana i Shane'a - błagała Christie. - Tu nie chodzi o nich, lecz o nas. Proszę, nie angażuj ich. - Nie zniosłaby, gdyby jej dwaj synowie dowiedzieli się prawdy. Nie zniosłaby, gdyby patrzyli na nią z odrazą i gniewem, myśląc o tym, co zrobiła ich ukochanemu ojcu. Pomyślała o Faye: jak bardzo się bała powiedzieć Amber prawdę o swej przeszłości. Christie świetnie to rozumiała. Co może być gorszego niż ukochane dzieci, patrzące na ciebie ze wstrętem, gdy tymczasem jeszcze niedawno w ich spojrzeniu malowała się duma? - Błagam, nie mów im nic.

- Nikomu nic nie powiem - warknął James. - Potrzebuję trochę czasu dla siebie. Będę dostępny pod komórką. Może wybiorę się na ryby.

Od lat nie jeździł na ryby. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się jego sprzęt wędkarski. Nagle uświadomiła sobie, że to nie problem, i że James prawdopodobnie wcale nie jedzie na ryby. Musiał po prostu wyjechać, znaleźć się gdziekolwiek, byle z dala od niej.

- Rozumiem - rzekła pokornie - i przepraszam. To wszystko, co chciałam powiedzieć, przepraszam. To był wielki błąd i nie mogę powiedzieć nic innego z wyjątkiem tego, że cię kocham. To był błąd. On był błędem. Ale nie odeszłam z nim, kiedy mnie o to poprosił. Zostałam tutaj z tobą.

- Powinienem być ci za to wdzięczny? - zapytał James. - Ponieważ w tej akurat chwili nie odczuwam szczególnej wdzięczności, a jedynie wielki gniew.

- Zadzwoń do mnie dzisiaj, bym wiedziała, że dotarłeś bezpiecznie tam, dokąd się wybierasz? - zapytała Christie, woląc nie myśleć o tym, że mogłby jechać nieostrożnie i brawurowo.

- Nie - odparł. - Nie chcę z tobą rozmawiać, Christie. Nie mogę, muszę pomyśleć.

- Nie chcę, by nasze małżeństwo się kończyło - rzekła błagalnie.

- Tego też ci nie mogę obiecać.

Wypadł z kuchni jak burza, ale choć raz psy nie zerwały się, by pobiec za nim, rozdarte pomiędzy tymi, których najbardziej kochały. Zamiast tego leżały na podłodze z nosami na łapkach, a wielkimi ciemnymi ślepkami wpatrywały się smętnie i z niepokojem w Christie.

- Wiem, małeństwa - powiedziała. - Tatuś jest zdenerwowany. Ale wszystko będzie dobrze.

Mówiła do nich tak jak do swoich dzieci, kiedy były małe. Zawsze mówiła dzieciom, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli wcale się na to nie zanosilo. Christie nie wiedziała, jak się to wszystko potoczy. Jej dar widzenia milczał. Żałowała, że nie może spojrzeć w jakąś kryształową kulę i zobaczyć Jamesa wracającego do domu, wybaczonego jej, obejmującego, mówiącego, że wszystko należy do przeszłości i że mogą o tym zapomnieć. Ale możliwe, że nigdy do tego nie dojdzie. Uczyniła to, co uznała za właściwe, ponieważ nie potrafiła dłużej żyć w strachu. Ale teraz strach, że James pewnego dnia do-

wie się o jej zdradzie, zastąpił zupełnie inny rodzaj strachu. Strach, że James opuści ją na zawsze. A może jednak nie postąpiła właściwie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Faye także czuła się zagubiona i samotna, czekając w Nowym Jorku na jakieś wieści o Amber. Każdego wieczoru telefonowała po kilka razy do Elli, mając nadzieję, że Amber zadzwoniła do przyjaciółki i powiedziała, gdzie teraz przebywa, ale nic z tego. Było tak, jakby jej córka zapadła się pod ziemię. Kiedy już dokonała wyboru, miała zamiar się go trzymać, nie odzywając się do przyjaciół, rodziny, nikogo, odcinając się od wszystkich. Jaka matka, taka córka, myślała bez końca Faye, przypominając sobie, jak pełna determinacji była sama przed laty, zanim zaszła w ciążę. Nie słuchała wtedy nikogo. Powinna była wiedzieć, że Amber odziedziczy to po niej.

W Nowym Jorku miała mnóstwo czasu na myślenie. Nie była fanką zakupów, omijała więc sklepy, na widok których Grace oniemiałaby z zachwytu. Zamiast tego zmuszała się do zwiedzania miasta.

Pewnego dnia udała się do Strefy Zero. Stała tam w milczeniu i zrobiło jej się wstyd. Może i nie wiedziała, gdzie jest Amber, ale przynajmniej miała jako taką pewność, że żyje. Jej córka postanowiła po prostu nie utrzymywać z nią kontaktu. Tymczasem ludzie, którzy tutaj zginęli, odeszli na zawsze. Ona mogła i na pewno zobaczy jeszcze Amber. Rodziny ze Strefy Zero nie miały tyle szczęścia.

Faye oddaliła się stamtąd z nowym poczuciem determinacji. Na pewno było coś jeszcze, co mogła zrobić, żeby od-

należć Amber: to pierwszy punkt na jej liście. A drugi to ruszyć do przodu z własnym życiem. Od wielu lat nie miała dla siebie tyle czasu co teraz, czasu, by się sobie przyjrzeć. I odkryła, że nie podoba jej się to, co widzi.

Wróciwszy do przyjemnie znajomego pokoju hotelowego, zadzwoniła do gabinetu Grace i nagrała się na automatyczną sekretarkę:

- Grace, z tej strony Faye, potrzebuję twojej pomocy. Czy po odsłuchaniu tej wiadomości mogłabyś zadzwonić do mnie do hotelu? Wtedy wszystko ci wyjaśnię.

Grace zadzwoniła o ósmej czasu irlandzkiego.

- Wcześniej się zjawiała - rzekła Faye.

- Cóż, moja wspaniała współpracowniczka i zastępczyni przebywa na urlopie - odparowała Grace - więc ktoś musi dopilnować, by nie zgasł ogień firmowego ogniska. No ale nie chcesz przecież słuchać o moich problemach. Jak poszukiwania?

- Kiepsko - odparła Faye. - Kontrakt zespołu nie doszedł do skutku, więc Bóg jeden wie, gdzie się teraz znajdują. Tak sobie myślę, że pewnie szukają jakiejś innej wytwórni płytowej. Ella, przyjaciółka Amber, twierdzi, że Karl Evans

- to ten facet, dla którego straciła głowę Amber - jest bardzo zdeterminowany, by odnieść sukces, więc mało prawdopodobne, by się po prostu poddali... Ale tutaj jest zupełnie inny świat i nie mogę zdobyć zbyt wielu informacji. Pomyślałam, że może ty mogłabyś poprosić u siebie, zobaczyć, czy ktoś wie coś na temat zespołu albo ich managera.

Grace знала wszystkich wyższych rangą policjantów, polityków, biznesowych ludzi czynu. Jeśli ktoś był w stanie wyśledzić Ceres i Karla, tą osobą była właśnie ona.

- Podaj mi wszystkie szczegóły - powiedziała rzeczowo.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Trzy godziny później ponownie zadzwoniła.

- Chyba ich znalazłam.

- Wiesz, jaki mamy dziś dzień? - Amber zapytała Karła.

Siedzieli przy niewielkim stole nad brzegiem basenu i jedli śniadanie, a razem z nimi reszta zespołu - wszyscy wyglądali rześko i byli pełni energii, mimo że było dopiero wpół do dziewiątej. Teraz nie było już picia ani imprezowania. Życie stało się poważne. Pracowali nad swoim albumem, i to już od trzech dni. Amber nigdy nie wątpiła w zdolności Karła, dotychczas jednak nie widziała, by tak bardzo był nad czymś skupiony, taki oddany. I szczęśliwy. Niełatwo jej było patrzeć na ukochaną osobę pełną radości, która nie miała absolutnie nic wspólnego z nią. Czowała się przez to zagubiona i osamotniona.

- Jaki mamy dziś dzień? - powtórzył przyjaźnie. Zdobiła go już kalifornijska opalenizna. Miał naturalnie

ciemną karnację i choć zespół mnóstwo czasu spędzał w studiu, emanował z niego wspaniały blask. Wyglądał inaczej. Jest tak, jakby się ode mnie oddalał, myślała Amber z rosnącym przygnębieniem.

- Tak, wiesz, jaki mamy dziś dzień? - powtórzyła.

- Nie. - Wzruszył ramionami. - Czwarty dzień reszty naszego życia? - Karl twierdził, że nagrywanie albumu jest niczym rozpoczęcie nowego życia, tego, o którym marzył, odkąd tylko potrafił marzyć. - Nie wiem, powiedz.

- Koniec egzaminów - odparła Amber.

Wiedziała, że teraz Ella pewnie jeszcze śpi. W domu była trzecia nad ranem. Dziewczyny ze Świętej Urszuli pójdą na imprezę, by uczcić koniec szkoły i koniec egzaminów. Ileż razy ona i Ella myślały o tej chwili, wyobrażając sobie, jak to będzie, zwłaszcza podczas zimowych dni, kiedy wlokły się do domu, dźwigając ciężkie torby z podręcznikami, dręczone myślą o straszliwej ilości rzeczy do nauczenia.

- Wiem, co zrobię, kiedy będzie po wszystkim - mówiła marzycielsko Ella. - Pójdę do domu, położę się do łóżka,

włączę telewizor i będę czytać gazety. Pomaluję paznokcie, wykąpię się, och, i ułożę sobie włosy, zrobię makijaż i będę tańczyć wokół pokoju, a potem pójdę na imprezę!

- Ja też tak zrobię - westchnęła Amber, choć nie miała telewizora w pokoju. Jej mama nie pochwałała czegoś takiego. Ale włączyłaby odtwarzacz CD i tańczyła po pokoju, i nie robiła nic. I absolutnie nic by na niej nie ciążyło.

A teraz znajdowała się tysiące kilometrów od domu, pławiła się w cudownym słońcu w otoczeniu zapewne najpiękniejszych ludzi na tej planecie, nie robiąc nic, i powinno być cudownie. Tyle że wcale tak nie było.

Nigdy dotąd nie spędzała tak dużo czasu tylko we własnym towarzystwie. Zawsze otaczali ją ludzie: Ella, dziewczyny ze szkoły, mama. Tutaj jednak miała dla siebie mnóstwo czasu i tak naprawdę nie musiała nigdzie być ani nic robić. To dziwne. Nicnierobienie nie było wcale takie fajne, kiedy nie miało się nic innego do zrobienia. Fakt, że czuła się tutaj taka wyobcowana, tylko potęgował jej przygnębienie.

- Założę się, że się cieszysz, iż nie musiałaś się babrać w tych całych egzaminach - powiedział Karl, częstując się kolejną babeczką z otrębami i żurawiną. - Jaki jest sens tych burżujskich głupot? To nie egzaminy zaprowadziły nas w miejsce, gdzie teraz jesteśmy, no nie? - rzekł z nutką samozadowolenia, które ostatnimi czasy zakradało się do wszystkich jego słów. Zespół odniesie sukces, znajdzie się na okładce „Billboardu”. Nie mówił tych rzeczy Amber w zaciszu ich apartamentu, kiedy leżeli przytuleni i dzielili się marzeniami. Nie miałyby nic przeciwko czemuś takiemu. Ale nie, ta niezachwiana wiara w siebie prezentowana była publicznie i bez odrobiny skrepowania. Miało to wpływ nawet na Syda, który do tej pory był głosem rozsądku: uśmiechał się szeroko, gdy Karl rozwodził się na temat tego, jak wielki sukces odniesie zespół.

- Tak sobie myślałam - wyrzuciła z siebie nagle Amber - że powinnam była zostać w domu i jednak zdać te egzami-

ny. Mam teraz wyrzuty sumienia. No bo przecież nic by się nie stało, gdybym dojechała później. Dziś wieczorem mogłabym wsiąść w samolot i jutro tutaj być.

- Ale ominęłaby cię cała zabawa - powiedział Kenny T.

- Dokładnie - stwierdził Lew, zając się omletem z całych jajek, co niesamowicie zdziwiło kelnerkę.

- Nie omlet z białek? - zapytała, ponieważ tutaj nikt nie jadał całych jajek. A co z cholesterolem, tłuszczem?

- Nie, całe jajko, żółtko i cała reszta - odparł radośnie Lew. Planował, że nigdy się nie nauczy literować słowa „cholesterol”. Jeśli nie potrafił czegoś przeliterować, to coś nie mogło go dopaść.

- Pomyśl tylko, jak świetnie nam było w drodze, ile mieliśmy przygód - rzekł teraz.

Amber popatrzyła na Lew. Od nowa wymyślił sobie ich podróż. Ona pamiętała ją dokładnie taką, jaka była: niewesoła, przerażająca, pełna karaluchów. Podróżowanie bez pieniędzy nie należało do przyjemnych sposobów przemieszczania się po obcym kraju, w którym się nikogo nie znało.

- Ominęłoby cię stanie się częścią przygody - dodał Kenny T. - Nie byłabyś częścią naszej historii, historii zespołu.

- Widzisz, kiedy napiszą o nas w „Rolling Stone” - powiedział Syd, rzucając w stronę Karła przebiegły uśmiech - będziemy mogli opowiadać o tym, jak w piątkę przemierzaliśmy Amerykę, mając w sercach tylko marzenia, a ty byłaś tego częścią.

Częścią podróży, pomyślała Amber. Ale nie częścią tego, co wydarzyło się później. Zniesienie trudów podróży nie uczyniło z niej członka zespołu. Zamiast tego była kimś na przylepkę, dziewczyną przy zespole.

Myśląc o tym, zerknęła na Karła, mając nadzieję, że powie to, co należy i że dzięki temu poczuje, iż jej obecność jest dla niego nadal ważna. Chciała usłyszeć, jak mówi, że bez niej nie byłoby tak samo, że jej obecność - jako jego muzy - umożliwiła to wszystko.

Ale on nawet nie słuchał, pochłonięty przeglądaniem gazet.

Nad ich głowami zawarczał helikopter, zasłaniając na chwilę idealne niebo, po czym zniknął. Amber podniosła głowę i pomiędzy liśćmi ocieniającej ich stolik palmy dojrzała oddalające się śmigła. To był naprawdę kawałek raj. Tyle że to nie był jej raj. Nie przebywała tutaj za własne pieniądze, ale czyjeś. A Karla tak naprawdę nie obchodziło, czy jest tutaj czy nie.

Głupia była, myśląc wcześniej, że jest inaczej. Było fajnie, ale wyrzekła się dla niego tak wiele, a on ani nie doceniał, ani nie rozumiał jej poświęcenia. Widziała to teraz z przejrzystą jasnością.

Chłopcy siedzieli, jedząc, rozmawiając i otwarcie podziwiając niezwykle atrakcyjną, bardzo chudą blondynkę, która szła, kołysząc biodrami w tyciej sukience, ledwie zakrywającej najbardziej fenomenalne piersi, jakie Amber miała okazję widzieć. Oczywiście, że nie były prawdziwe, ale chłopcy albo nie zdawali sobie z tego sprawy, albo im to nie przeszkadzało. Wpatrywali się w nią z uznaniem, nawet Karl.

Amber przekonała się, że nieszczęśliwie jej to przeszkadza, gdy tymczasem kiedyś wściekłaby się na niego za to, że tak otwarcie pożera wzrokiem inną kobietę. Czyżby przeżyła nagłe nawrócenie, niczym w drodze do Damaszku? Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym uśmiechnęła szeroko, myśląc, że przynajmniej siostra Patricia byłaby zadowolona, że Amber jednak uważała czasem na religii w drugiej klasie.

Wstała od stołu.

- Chłopaki, zobaczymy się później, okej?

- Jasne, okej - odpowiedzieli chórem.

- Pa, skarbie.

- Taa, na razie - odparł z roztargnieniem Karl. Amber udała się do ich apartamentu. Nie powinna była

wyrzekać się swego życia dla Karla i uświadomiwszy to sobie, nie poczuła się głupio, lecz zrobiło jej się smutno.

Dla niego spaliła za sobą wiele mostów. Nawet dzień osiemnastych urodzin okazał się po prostu kolejnym dniem spędzonym z Karlem. Zamiast świętować je z Ellą i przyjaciółmi na imprezie po egzaminach, Amber obchodziła je w pubie w Dublinie, gdzie Karl podarował jej srebrną bransoletkę, która zdążyła już zaśnieść - dowód na to, jaka była tania.

Dotarło do niej, że pozostawała zupełnie ślepa na jego wady. Przynajmniej teraz zmartzała.

Tego wieczoru, kiedy nadal zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić, Michael zabrał ich na kolejną imprezę. Odbywały się one co wieczór, ale nikt nie zostawał na nich do późna. Nikt się także nie upijał. LA było, jak Michael przypominał zespołowi, miastem pracującym. Chodzenie na imprezy to zajęcie z zakresu public relations, a nie pretekst do szaleństw.

Dzisiejsze przyjęcie odbywało się na wzgórzach Hollywood i szykująca się do wyjścia Amber, która wcześniej ćwiczyła w hotelowej siłowni, a potem przepłynęła sporo długości basenu, czuła się fizycznie zmęczona. Ponownie założyła zieloną sukienkę, a na szyję tym razem naszyjnik z muszelek, kupiony w małym butik w Venice. Wyglądał ślicznie, a poza tym była już trochę opalona. Może jej opalenizny nie dało się nazwać kalifornijską, ale w Dublinie uważano by, że jest spalona na mahoń.

Dom, do którego zostali zawiezieni obowiązkową kawalkadą jeepów grand cherokee, był wielkości hotelu, zbudowany w większości ze szkła i usytuowany na zboczu wzgórza. Posiadał niebanalny taras i wygięty w łuk basen z japońskimi karpami. Wchodząc do środka miało się wrażenie, jakby się wkraczało na strony magazynu wnętrzarskiego.

Co nie znaczy, by był ostentacyjny - wprost przeciwnie. Ściany pomalowane na odcień ciepłej wanilii, ciemne podłogi, kremowe obicia i starannie porozmieszczane nowoczesne oświetlenie dawały efekt prostej elegancji, podobnie jak go-

ście. Wtę słyhać było jazz, pito przezrocyste koktajle, szampana i mnóstwo soku i zespołowi strasznie się tu podobało.

Mniej więcej pół godziny po przybyciu Karl odłączył się od Amber i kiedy zobaczyła go kilka minut później, rozmawiał z Venetią, wyglądającą równie pięknie jak wtedy w restauracji: białe lniane spodnie i biały jedwabny top bez pleców podkreślały zarówno jej figurę, jak i ciemny odcień skóry.

Amber nie czuła dzisiaj zagrożenia ze strony Venetii, choć gdyby ktoś ją spytał dlaczego, nie umiałaby tego wyjaśnić. Venetia była taka śliczna, należała do zupełnie innego wymiaru piękna. Zwykli ludzie pokroju Amber nie byłiby w stanie konkurować z superzgrabnymi hebanowymi nogami, tymi ciemnymi błyszczącymi oczami i ustami, które pełne były obietnic.

Lew podszedł leniwie do Amber i objął ją ramieniem.

- Co słyhać, mała? - zapytał, a kiedy nie odpowiedziała, podążył za jej wzrokiem i zobaczył Karla siedzącego w towarzystwie Venetii. - Ta kobieta wygląda nieziemsko - rzekł z westchnieniem kogoś, kto wie, że pozostaje ona poza jego zasięgiem. - Bez obrazy, Amber, to znaczy ty też całkiem nieźle wyglądasz.

Amber uśmiechnęła się cierpko.

- Nie gniewam się, Lew.

Na początku wieczór wydawał się fajny: oglądało się ludzi, którzy wyglądali jakby znajomo, ludzi z branży muzycznej, ludzi, których albumy Amber kupowała. Ale nie zawsze było łatwo dołączyć do grup ludzi, którzy już się znali i ostatecznie ona i zespół, nie licząc Karla, znaleźli się w dwupoziomowej części domu, przed dużym kamiennym kominkiem, w którym płonęły wielkie kosztowne świece.

Syd na przyjęciach zawsze uważnie się rozglądał, upierając się, że ludzie z towarzyszącą im świtą i ochroniarzami to oszuści, pomimo blichtru i ostentacji.

- Ci spokojni, w dzinsach i z dyskretnymi zegarkami, których się nigdy nie zobaczy w normalnym sklepie, to oni są multi-

milionerami i multimiliarderami - zauważył trafnie. - Ci, co głośno brzęczą biżuterią, w ogóle się nie liczą. Wystarczy im zabrać diamenty i napakowanych ochroniarzy, a nic nie zostanie.

Amber roześmiała się. Lubiła spędzać czas w towarzystwie Syda. On i Ella mieli podobne poczucie humoru.

Niedawno była o krok od zadzwonienia do Elli, w jednej z tych chwil kiedy sądziła, że miło będzie usłyszeć znajomy głos przyjaciółki, usłyszeć, jak ktoś mówi: „Cudownie cię słyszeć”, rzeczywiście mając to na myśli.

Tutaj nikomu nie była potrzebna. Kenny T i Lew to słodcy faceci, zaś Syd był naprawdę serdecznym, dobrym człowiekiem, po uszy zakochanym w swojej Loli. Lubili Amber, przepadali za nią, prawdopodobnie w podobny sposób, w jaki przepada się za szczeniakiem albo małym kotkiem wspinającym się na kolana i domagającym pieśczoć. Nic ponad to. A Karl? Karl się zmienił.

Stchórzyła i nie zadzwoniła w końcu do Elli. Minęło tyle czasu. W historii ich przyjaźni nie było ani jednego tygodnia, w którym by ze sobą nie rozmawiały. Nawet kiedy rodzina Elli pojechała do Włoch, by odwiedzić krewnych, utrzymywały ze sobą kontakt, a Ella naraziła się na gniew matki, tyle dzwoniąc za granicę.

Ale było warto, ponieważ były najlepszymi przyjaciółkami, prawda? A teraz minęły już całe tygodnie, odkąd słyszała śmiech Elli, jej żarty lub skargi na babcię. Zabawne, za czym potrafiło się tęsknić.

Westchnęła i próbowała powstrzymać myśli o domu, nie chcąc się rozplakać. Zmusiła się do tego, by obserwować przyjęcie i hollywoodzką hierarchię. W pewien wysublimowany sposób ludzie z niższych szczebli drabiny gwiazdorskiej ignorowali się nawzajem, starając się przyłączyć do grup z wyższych szczebli.

Amber nie należała do żadnej z nich, jednakże nie przejmowała się tym. Świetny by wyszedł z tego rysunek, pomyśla-

ła nagle, próbując sobie wyobrazić, w jaki sposób by go naszkicowała. Widziała go oczami wyobraźni i aż ją świerbiło, by zarejestrować to, co widzi. Papier i ołówek, oto, czego potrzebowała.

W kuchni, w przeciwieństwie do chłodnego spokoju panującego w domu, atmosfera była gorąca: ludzie od cateringu zwijali się jak w ukropie. W tym całym rozgardiaszu nie zwrócili uwagi na to, że wzięła sobie leżący na stole notes i ołówek. Wróciła do salonu, oparła się o kominek i zaczęła szkicować. Wspaniale się czuła, znowu rysując. Z każdym wprawnym ruchem ołówka buzowała w niej coraz większa energia. Gdy szkicowała pokój i pospieszne kontury ludzi, szybko, bardzo szybko, gdyż nieustannie się przemieszczali, czuła dreszczyk, który towarzyszył jej zawsze, gdy miała w ręku ołówek. W taki właśnie sposób widziała świat: swoimi oczami, za pomocą dłoni przelewając go na papier. Może dlatego właśnie tak bardzo spieprzyła sprawę z Karlem. Patrzyła na niego tylko oczami, nigdy nie przenosząc go na papier. Gdyby to zrobiła, może by dostrzegła, że wcale nie jest taki, za jakiego go na początku uważała.

Wysoki mężczyzna ubrany w zwykłą białą koszulę i bojówki w kolorze khaki podszedł do niej z kieliszkiem wina w dłoni.

- Przyglądałem ci się - rzekł. - Rysujesz nas? - Stał obok niej i zerknął na obrazek. - Nieźle - powiedział. - Naprawdę nieźle. - Ponownie na nią spojrział, tym razem z nowym szacunkiem. - Jesteś artystką?

Amber skierowała na niego spojrzenie swych niezwykle niebieskich oczu z miedzianymi plamkami.

- Tak - odparła, czując przyływ pewności siebie. - Jestem artystką. Tak naprawdę nie jestem pewna, co tutaj robię, towarzysząc zespołowi i facetowi.

- O który ci chodzi zespół? - zapytał mężczyzna. Musiał już być po czterdzieście, wyglądał staro, właściwie to mniej więcej był w wieku ojca Elli.

- Ceres - rzekła, pokazując na niską kanapę, na której siedział Karl z Michaeliem i Venetią. Nie umieściła ich jeszcze na swoim rysunku, na razie szkicując pozostałych ludzi.

- On to zespół? Czy też on to twój chłopak? - zapytał mężczyzna.

- Tak - odparła ponuro Amber. - To mój chłopak. Mężczyzna nic nie powiedział, przyswajając sobie tę informację.

- Kim pan jest? - zapytała.

- Jestem Saul, to mój dom, moje przyjęcie.

- Miło mi pana poznać - odrzekła Amber. - Tam skąd pochodzę, generalnie zna się ludzi, do których się idzie na imprezę, a jeśli nie, to od razu na samym początku jest się im przedstawianym i dziękuje się za zaproszenie. Tutaj jest inaczej.

- Jesteś z Irlandii, prawda? Krainy świętych i uczonych, i dziewcząt tańczących na rozstajnych drogach.

- Dokładnie - odparła Amber z udawaną szczerością. - Tak samo jak Los Angeles to cudowne miasto, gdzie spełniają się marzenia i gdzie na każdym rogu można spotkać przepiękne kobiety. - Posłała mu twarde spojrzenie.

- Trafiony!

- Czy ja wyglądam jak dziewczę, które tańczy na rozstajnych drogach?

- Nie w tej sukience.

- To dobrze. Nie chciałam tak wyglądać, podobnie jak nie chciałam być wersją z LA. To miasto zdaje się wysysać z ludzi indywidualność i zmienia ich, ale wszystkich w taki sam sposób.

Roześmiał się, ukazując świetną pracę dentysty.

- I ma pan śliczne zęby - dodała. - Wszyscy tutaj mają śliczne zęby. Kiedy ludzie się uśmiechają, jest jak w reklamie pasty do zębów.

- Ty też masz całkiem ładne zęby - zripostował. - Powinnaś zostać pisarką, zamiast malować. Z całą pewnością nie brakuje ci pazura.

- Wolę malować. To moja największa miłość.

- Myślałem, że twoją największą miłością jest ten chłopak z zespołu? - Saul kiwnął głową w kierunku, gdzie siedzieli Venetia i Karl.

- Punkt dla pana - odparła. - Prawda jest taka, że totalna ze mnie kretyńka, skoro przyjechałam tu za grupą chłopaków i przyglądam się, jak spełniają swoje marzenia, wyrzekłszy się po drodze własnych.

- Popularny motyw filmowy. - Saul pokiwał głową. - Chłopak poznaje dziewczynę, chłopak mówi dziewczynie, że ją kocha, chłopak ciągnie za sobą dziewczynę w długą drogę i ją ignoruje, chłopak traci dziewczynę. Chłopak uświadamia sobie, co stracił, i pędzi za nią. Napisy końcowe. Jesteś już na etapie „chłopak traci dziewczynę”?

Amber popatrzyła na sofę, gdzie Karl i Venetia zamknięci byli we własnym świecie. Na twarzy Karla malował się wyraz, jaki ostatnio gościł tam bez przerwy: triumf i podekscytowanie. Władza, jaką mu dawał jego talent, czyniła go jeszcze bardziej seksownym. Był niczym supernowa.

- Tak - powiedziała do Saula. - Myślę, że jesteśmy na tym etapie.

Nie sądziła, by kiedykolwiek dotarli do części filmu, w której Karl uświadamia sobie, że ją stracił i pędzi za nią. Filmy i prawdziwe życie biegły zupełnie różnymi torami.

- A ty nie masz zamiaru podbiec i wylać na nich swojego drinka? - zapytał Saul.

Amber uśmiechnęła się.

- A jakież miałyby to sens? Urządziłabym tylko małą scenę, z której wszyscy mogliby się śmiać. Jestem z zespołem.

Dziewczyny powinny rozumieć, że muzycy nie posiadają genu wierności. Usuwa go granie na gitarze. Saul uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze, że znasz swoje miejsce - powiedział z udawaną powagą. - To bardzo ważne w tym mieście. Wszyscy starają się zejść wyżej, niż są, ale trzeba wiedzieć, w którym miejscu zacząć.

- Och, ja wiem - odparła Amber. - Wiem. To znaczy chciałam powiedzieć, że nie wiedziałam, kiedy tu przyjechałam, ale wszystko rozpracowałam.

- Jesteś całkiem bystra - stwierdził Saul.

- Moja mama chciała, bym dużo wiedziała - wyjaśniła. - Chciała, żebym rozumiała świat, rozumiała swoje w nim miejsce i swoją siłę, i co mogę robić, a czego nie mogę, i żebym nigdy nie podążała za tłumem i...

- Dlatego właśnie jesteś tutaj, razem z zespołem? - zapytał Saul.

- Właśnie. Musiałam zrobić coś dokładnie przeciwnego do tego, czego uczyła mnie mama.

- Wyznaję przekonanie, że trzeba się uczyć na cudzych błędach, ponieważ nie żyje się na tyle długo, by samemu je wszystkie popełnić.

- Nie. Ja muszę sama popełniać wszystkie błędy.

- Zostaniesz w LA? To dobre miejsce dla artysty, światło na wzgórzach jest cudowne.

- Nie wiem - odparła, wzruszając ramionami. - Nie wiem, co zrobię.

- Rozumiem, że raczej nie zostaniesz z zespołem?

Amber zerknęła na Venetię i Karla. Dziewczyna znajdowała się tak blisko niego, że niemal siedziała mu na kolanach. Amber pamiętała tę pozycję z pierwszego wieczoru, gdy poznała Karla. Zdawało jej się, jakby od tamtego czasu upłynął milion lat. Nie była tylko pewna, które z nich było wtedy płytkie i głupie, ona czy Karl.

- Nie wiem - rzekła teraz do Saula. - Nie wiem, co będę robić. - Ale wiedziała, że nie może wrócić do domu z podkulonym ogonem.

Amber nie powiedziała nawet Karlowi, że wychodzi z przyjęcia. Do hotelu podrzucił ją swoją terenówką jeden z gości i w ogóle nie była zdziwiona, gdy nazajutrz obudziła się i przekonała, że jest sama. Wyglądało na to, że teraz Karl i Venetia to para, ale on nie ma na tyle odwagi, by jej o tym powiedzieć. Mniejsza z tym, pomyślała Amber. Już ona ma wystarczająco dużo odwagi za nich oboje. Zamierzała się wyprowadzić, nie będzie przecież kręcić się tam, gdzie jej nie chcą.

Kiedy zadzwoniono do niej z recepcji z informacją, że na dole czekają na nią kwiaty, Amber zastanawiała się, od kogo mogą być. Kwiaty z pożegnalną kartką od Karla? Niemal się roześmiała na tę myśl. Prawdopodobnie tak właśnie by to załatwił, za pomocą róż i kartki, na której by napisał: „Żegnaj i nie do zobaczenia, Karl”.

Założyła dzinsy, T-shirt i japonki, po czym zeszła na dół do holu. Właśnie miała podejść do konsjerża, kiedy kątem oka dostrzegła coś, co natychmiast wydało jej się znajome. Odwróciła się i oto zobaczyła matkę zrywającą się z krzesła. Znajomą i tak bardzo upragnioną.

- Amber - odezwała się Faye, a na jej twarzy malowała się czysta radość. - Amber, tak dobrze cię widzieć.

Pierwszym jej odruchem było podbiec i uściskać mamę, i tak właśnie uczyniła. Cudownie było tulić się do mamy, ponownie czuć się kochaną i bezpieczną.

- Mamo - rzekła, chowając głowę na jej ramieniu.

- Och, kochanie, tak cudownie cię widzieć - powiedziała drżącym głosem Faye.

- Ciebie też, mamo. Przepraszam, naprawdę przepraszam cię za to, jak to wszystko wyszło - wymruczała Amber, mocno się przytulając.

- Ćśś. Już dobrze. Tak bardzo za tobą tęskniłam.

- Ja za tobą też tęskniłam, mamo. Chodź, pójdziemy do mojego pokoju. Porozmawiamy i możemy zjeść razem śniadanie - dodała z zapalem. - Muszę tylko coś odebrać.

Faye uśmiechnęła się szeroko.

- To ode mnie. Powiedziałam, że mają ci to przekazać do rąk własnych, dlatego właśnie do ciebie zadzwonili.

Pokazała na stolik obok fotela, na którym wcześniej siedziała. Stał na nim koszyk z bukietem polnych kwiatów.

- Są śliczne. - Amber znowu zachciało się płakać. Uwielbiała polne kwiaty.

- Nie byłam pewna, czy będziesz się chciała ze mną spotkać - kontynuowała Faye, a Amber poczuła, jak przytłaczają ją wyrzuty sumienia. Jakie to okropne, że jej matka musiała się uciec do takiego podstępu.

- Przepraszam - powiedziała. Podbiegła do stolika i zabrała kwiaty, po czym wróciła do mamy, wsunęła rękę pod jej ramię i oświadczyła: - Chodź, zjemy śniadanie i porozmawiamy.

Równie dobrze mogą zaszaleć po raz ostatni na koszt Karła, pomyślała, prowadząc mamę do pokoju.

Siedziały na małym balkonie, przed sobą miały kawę, naleśniki i sałatkę ze świeżych owoców, jednakże ledwie tknęły to wszystko, tak wiele miały sobie do opowiedzenia. Faye pragnęła usłyszeć o wszystkim, co się wydarzyło, a Amber nie zamykała się buzia, gdy opisywała hotele, w których się zatrzymywali, smutek, kiedy kontrakt zespołu nie wypalił, i jak wszystko się ułożyło w Los Angeles. Nie wspomniała jednak ani słowem o sobie i Karlu. Ani jednego zdania na temat tego, że oddalili się od siebie tak bardzo, iż mógł między nimi przejechać samochód. Była na to zbyt dumna.

- To piękny hotel - rzekła Faye, kiedy przypomniała sobie swój strach na widok tego okropnego hotelu Arizona Fish, w którym musiała mieszkać Amber. - Tak bardzo się o ciebie martwiłam. Nie wyobrażasz sobie, jakie scenariusze pojawiały

się w mojej głowie. Wciąż myślałam o tych wszystkich... - zawahała się - o wszystkich tarapatach, w jakie się wpakowałam, gdy miałam tyle lat co ty, i byłam zakochana.

Amber spojrzała na nią z ciekawością. W jakie tarapaty wpakowała się jej matka?

Faye widziała pytanie formujące się w oczach córki. Pomyślała, że Amber bardzo do twarzy z lekką opalenizną. Jej córka naprawdę była piękna. Piękna, bystra, inteligentna i dorosła. Już dawno temu powinna jej była powiedzieć prawdę.

Od czasu gdy Grace zadzwoniła do niej z informacją, gdzie w LA przebywa zespół, czego udało jej się dowiedzieć, zlokalizowawszy ich managera, Faye ćwiczyła, co powie swej córce.

Tak sobie myślała, że może pojedą na plażę, przespacerują po piasku i wtedy porozmawiają. Amber zawsze uwielbiała wodę i może jeśli będą szły obok siebie, pozwalając wiatrowi rozwiewać włosy i patrząc na rozbijające się o brzeg fale, ona opowie jej wszystko, a Amber jakoś zrozumie.

Ale teraz, siedząc na małym, osłoniętym balkonie z widokiem na piękny basen, nie będąc w stanie robić niczego poza piciem jednej filiżanki kawy za drugą, Faye wiedziała, że nie ma znaczenia, gdzie powie Amber prawdę.

- Chcę przeprosić - zaczęła. - Po to tu właśnie przyjechałam, a nie, by zaciągnąć cię do domu, co najpewniej sobie pomyślałaś, gdy mnie zobaczyłaś.

- Nie po to przyjechałaś? - zapytała zaskoczona Amber.

- Nie - odparła Faye. - Jesteś dorosła, masz rację, przepraszam. Traktowałam cię jak dziecko tak długo, że nie wiedziałam, jak mogłabym cię traktować inaczej. Rozumiem, że kiedy chciałaś wyjechać, uznałaś, że musisz to zrobić brutalnie, ponieważ inaczej to do mnie nie dotrze. To tylko część tego, za co bym chciała cię przeprosić. Pamiętasz, co ci powiedziałam przed twoim wyjazdem? - Ta ostatnia kłótnia

wyryła się w jej pamięci, ale nie była pewna, czy Amber to pamięta. - Powiedziałam, że wiem, ponieważ też to przeżyłam, ale ty mi nie uwierzyłaś.

Jej córka pokiwała głową. Wtedy uważała, że to głupie stwierdzenie, po prostu kolejny wybieg, by zmusić ją do pozostania w domu, ponieważ skąd jej matka mogła mieć jakiegokolwiek pojęcie, na czym polega życie?

Faye wzięła bardzo głęboki oddech.

- Okłamałam cię w kwestii twego taty. Nie byliśmy w sobie szaleńczo zakochani ani nie zginął w wypadku samochodowym - powiedziała otwarcie. - Był po prostu facetem z baru z koszmarnego życia, jakie wiodłam i przed którym chciałam cię ochronić.

Amber wpatrywała się bez słowa w matkę.

- Wiem, że strasznie jest słyszeć coś takiego po osiemnastu latach słuchania zupełnie innej wersji wydarzeń. Po prostu nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć, byś mnie nie znenawidziła.

- Nigdy bym cię nie znenawidziła - rzekła słabym głosem Amber, próbując przetrwać te nowe informacje.

- Mogłaś to zrobić, ponieważ okłamałam cię w kwestii twego przyjścia na świat, twego ojca i mojego życia sprzed twoich narodzin. - Faye zamilkła. To właśnie było najtrudniejsze do powiedzenia: że okłamywała Amber we wszystkim. - Starłam się wychować cię tak, byś była prawdomówna i szczerą, a mimo to przez całe życie cię okłamywałam. Nienawidzę się za to.

- Co w takim razie naprawdę miało miejsce?

Faye dołała sobie kawy, na którą nie miała ochoty, i zaczęła mówić.

Amber siedziała naprzeciwko niej i nawet nie mrugnęła okiem, słuchając opowiadania mamy. Czymś niesamowitym było słyszeć to po raz pierwszy. Wydawało się, jakby jej matka była inną kobietą, kobietą, której nigdy nie znała.

- Nie ceniłam się ani nie szanowałam samej siebie - rzekła wreszcie Faye. - Podążałam za grupą, robiłam coś, ponieważ inni ludzie to robili, nie broniłam się. Jeśli ktoś proponował mi drinka, przyjmowałam go, nieważne czy miałam na niego ochotę czy nie. Starłam się dostosowywać. Widzisz, robiłam każdą z rzeczy, których przez tyle lat kazałam ci nie robić. Zaszokowałam cię?

- Nie. - To było kłamstwo. Amber jeszcze nigdy w życiu nie przeżyła takiego szoku. Jej matka nie wyglądała już jak jej matka. Wyglądała niby tak samo: starannie związane włosy, zwykły, luźny T-shirt, odrobina balsamu na ustach robiąca za cały makijaż. Ale jej oczy były inne. Wyraz twarzy był inny. - Nie potrafię... nie potrafię sobie wyobrazić ciebie takiej, teraz jesteś taka silna - powiedziała. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że pozwalałaś komuś sobą pomiatać.

- Pomiatać! Oni wszyscy mną pomiatali - odparła ze smutkiem Faye - a ja im pozwalałam, ponieważ nie wiedziałam, kim lub czym jestem i tego właśnie się wstydziłam.

Amber starała się zachować neutralny wyraz twarzy. Przez te wszystkie lata jej matka stanowiła uosobienie konserwatywnej, pracującej mamy. A teraz oto opowiadała Amber, że było dokładnie na odwrót.

- Nigdy nie powiedziałam ci prawdy, ponieważ nie chciałam, byś dorastała, wstydząc się mnie i nie chciałam, byś była taka, jakjakiś. Pomyślałam więc, że jeśli stworzę nową siebie, osobę, która się ceni i nie pozwala nikomu do siebie zbliżyć, wtedy ty też taka się staniesz. Naprawdę cię przepraszam, Amber - rzekła Faye i rozplakała się. - Zawiodłam cię, tak mi przykro z powodu twojego taty, tak strasznie przykro. Przez tyle lat cię okłamywałam, mówiłam, że byliśmy zakochani i...

To było zbyt wiele do ogarnięcia.

- Czy on w ogóle o mnie wiedział? - przerwała jej Amber.

- Nie - odparła Faye. Równie dobrze mogła jej wyznać całą prawdę. - Raz poszłam się z nim spotkać, kiedy byłaś

malutka, ale on był naćpany i już nigdy nie wróciłam. Brał heroinę. Nie potrafiłam się z tym zmierzyć, nie tego dla ciebie pragnęłam.

- No dobrze, więc możliwe, że on żyje, a może i nie, ty tego nie wiesz - rzekła Amber. Nie odnosiła wrażenia, jakby jej matka mówiła o niej. Czowała się zadziwiająca oddalona od tego wszystkiego. Dorastała bez ojca, więc nigdy nie odczuła jego straty. Ale teraz istniała możliwość, że jednak ma ojca, człowieka, którego mogła znać, a jej matka trzymała to przed nią w tajemnicy.

W tle usłyszała stuknięcie, odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się i zobaczyła, że do apartamentu wchodzi Karl. Zerwała się z krzesła i podbiegła do niego.

- Cześć, kochanie - powiedziała radośnie i głośno.

Karl spojrział na nią ze zdumieniem. Przez kilka ostatnich dni po prostu koegzystowali tutaj i już dawno nie wybiegała mu na powitanie.

- Jest tu moja matka - wyszeptała, z ustami blisko jego ust. - Postaraj się udawać, że nadal jesteśmy ze sobą, dla mnie, zrobisz to dla mnie? Tylko na jeden dzień, a potem możemy się rozejść każde w swoją stronę.

- Jak to każde w swoją stronę? - zapytał, mając odpowiednio skonsternowaną minę.

- Och, na litość boską, Karl - warknęła. - Myślisz, że jestem nie tylko ślepa, ale i głupia. Widziałam wczoraj ciebie i Venetię. Wiem, co się dzieje. Jutro usunę ci się z drogi, ale chcę, by moja matka wróciła do domu, myśląc, że między nami jest wszystko okej. Możesz to zrobić dla mnie, ja dla ciebie wiele poświęciłam.

- Jasne, okej. Jest na mnie zła? - zapytał niespokojnie.

- Powinna - odparła szeptem Amber - ale nie jest. Masz szczęście. Ja jestem na ciebie wściekła jak diabli, ale to rozmowa na inny raz, ty draniu.

Odwróciła się z uśmiechem.

- Mamo, poznaj Karla.

Był tak atrakcyjny, jak to sobie Faye wcześniej wyobrażała: przystojny, seksowny, charyzmatyczny. Rozumiała, jak Amber mogła się zakochać w tym olśniewającym mężczyźnie, podziwiając jego talent, obserwując występującego na scenie.

- Witaj, Karl - rzekła, starając się być uprzejmą, choć niesamowicie trudno jej się było powstrzymać od wrzeszczenia z wściekłością na tego człowieka, który ukradł jej córkę. Zrobi to dla dobra Amber i miała jedynie nadzieję, że Karl Evans będzie traktował jej córkę z miłością i szacunkiem, ponieważ w przeciwnym razie będzie miał z nią do czynienia.

- Miło cię wreszcie poznać.

Kiedy Karl w ekspresowym tempie wziął prysznic i ponownie wyszedł, Amber i Faye zeszły na dół, by usiąść w jednej z kabin plażowych nad brzegiem basenu.

Wbiałym T-shircie i kremowych drelichowych spodniach, które niezbyt pasowały do jej figury, Faye świadoma była tego, że pasuje do tego blichtru LA jak pięść do nosa, ale w ogóle się tym nie przejmowała. Miała przy sobie Amber i tylko to się liczyło.

Rozmawiały o Summer Street i domu. O tym, że Faye rozmawiała z Ellą, która szaleje z radości z powodu końca egzaminów.

- Kazała cię pozdrowić i mówi, żebyś do niej koniecznie zadzwoniła albo napisała e-mail.

- Dobrze - odparła Amber, dręczona poczuciem winy.

- Po prostu tak źle się czułam z tym, że minęło tyle czasu, a ja się do niej nie odzywałam. Myślisz, że mi wybaczy?

- Oczywiście, że tak - odparła matka. Następnie Faye wyjaśniła, w jaki sposób zaprzyjaźniła się z Christie Devlin i Maggie Maguire, która była przewodniczącą kampanii „Ratujmy Nasz Pawilon”.

- Nie mogą zburzyć pawilonu z powodu jakiegoś bloku! - oświadczyła

z oburzeniem Amber. Nie chciała, by w domu coś się rozpadało, gdy ona była daleko. Ale szybko zmieniła temat, gdyż nie chciała rozmawiać o swoim powrocie na Summer Street, powtarzaniu egzaminów czy pójściu na studia.

Jej matka także nie poruszała tych kwestii. Wyglądało to tak, jakby po cichu uzgodniły, że ich pojednanie jest uzależnione od unikania tematu przyszłości Amber.

Dopiero kiedy nadszedł wieczór i szły ulicą do małej trattorii, Faye zebrała się na odwagę.

- Długo tutaj zostaniesz? - zapytała. - Czy też zespół niedługo wraca?

Amber przez cały dzień dusiła wszystko w sobie. Czowała się niczym łódź na wzburzonym morzu, targana zarówno oddaleniem się Karła, jak i historią, którą matka tak długo przed nią ukrywała. Starła się być spokojna i neutralna, ale jej opanowanie w końcu rozpadło się pod ciężarem tych dwóch ciosów.

Wcześniej Karłowi na niej zależało, ale niewystarczająco mocno. To ona poświęciła wszystko dla niego. Nie był taki, za jakiego go uważała, a teraz się okazało, że tak samo jest w przypadku jej matki.

Miała ochotę wyładować na kimś swój gniew.

- Mamo, robię teraz to, co chcę, okej? - zawołała. - Nie wiem, kiedy wrócę do domu. Będę z tobą w kontakcie, ale nie ma sensu, byś kręciła się tutaj i czekała na mnie. Nie potrzebuję czegoś takiego. Potrafię podejmować własne decyzje!

Powiedziała to zarówno na użytek Karła, jak i swej matki, tyle że Karła tutaj nie było i to Faye najbardziej odczuła gniew i szok Amber.

- Przepraszam - powiedziała ze skrucą. Powinna była wiedzieć, że nie może opowiedzieć Amber wszystkiego i oczekiwać, że jej córka nie poczuje się zraniona. - Nie mam zamiaru tu zostać. Lecę do domu, ale mam dla ciebie trochę pieniędzy. - Wyjęła z torby wypełnioną dolarami kopertę.

- Wiem, że nie chcesz jałmużny, ale martwię się o ciebie. Proszę, bądźmy w kontakcie.

Amber kiwnęła głową, biorąc od niej kopertę.

- Mamo, kolacja to kiepski pomysł. Powinnaś już iść. Zespół idzie wieczorem na imprezę i ja też muszę.

Wcześniej nie planowała tam iść, ale była to dobra wymówka. W tej akurat chwili potrzebowała zostać sama, by pomyśleć.

Zatrzymały się na ulicy i stały skrepowane na odległość ramienia.

- Kocham cię, Amber - rzekła Faye, wyciągając z wahaniem rękę, by dotknąć córki. Amber już miała się złamać i Faye pragnęła ją przytulić, ale nie wiedziała, czy ta nowa Amber jej na to pozwoli. - Nie zapominaj o tym. Przepraszam za to, że kłamałam. Nasz dom jest zawsze dla ciebie otwarty, proszę, pamiętaj o tym. To zawsze będzie nasz dom, nie mój. Nigdy się nie bój wrócić albo zadzwonić, gdybyś mnie potrzebowała.

- Dzięki - odparła Amber. Pocałowała mamę szybko w policzek, ponieważ gdyby się przytuliły, to możliwe, że coś by w niej pękło i powiedziałyby jej o wszystkim. A nie mogła. Zbyt wiele otaczało ją kłamstw, zbyt wielu ludzi nie mówiło jej prawdy. Czuła się tak bardzo zraniona. - Muszę lecieć, mamo. Przepraszam. Muszę pomyśleć - dodała drżącym głosem, po czym się odwróciła i ruszyła biegiem w stronę hotelu.

Bardziej była podobna do swej matki, niż wiedziała to Faye, ale na razie nie mogła tego powiedzieć.

Faye patrzyła, dopóki Amber nie zniknęła jej z pola widzenia. Czuła się, jakby ktoś jej wydarł serce z piersi. Było chyba nawet gorzej niż wtedy, gdy Amber się wyprowadziła, ponieważ wtedy nie znała wszystkich faktów. Teraz tak.

To była kara dla Faye za te wszystkie lata życia w kłamstwie: Amber nie potrafiła jej wybaczyć. Musiała dać córce przestrzeń, nawet jeśli tak bardzo pragnęła wsadzić ją do

samolotu i zaciągnąć do domu na Summer Street. Zostawienie jej teraz było najtrudniejszą rzeczą, jaką musiała zrobić w swym życiu, ale nie miała innego wyjścia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Shona otworzyła na oścież drzwi swego mieszkania w Galway i wciągnęła Maggie do środka, ściskając ją mocno.

- Ależ ja za tobą tęskniłam! - zawołała radośnie. Maggie odwzajemniła przyjaciółce uścisk.

- Ja za tobą też - rzekła. - Rzuciła podręczną torbę na podłogę i rozejrzała się po mieszkaniu Shony, w którym swego czasu spędziła tyle szczęśliwych godzin. - Nowe zasłony? - zapytała, od razu zauważając grube kremowe, które zastąpiły stare beżowe w tureckie wzory. - I nowe poduszki. - Wzięła do ręki miękką poduchę ze sztucznej angory. - Uwielbiam je - westchnęła.

- To dowodzi, jak długo tu nie byłeś - oświadczyła z pod-ekscytowaniem Shona. - Zaczekaj, aż zobaczysz kuchnię. Paul pomalował szafki, a Ross i ja znaleźliśmy prześliczne porcelanowe uchwyty do drzwiczek.

Maggie pomyślała z czułością, że podczas jej nieobecności Shona w ogóle się nie zmieniła. Jej przyjaciółka tryskała życiem jak zawsze i piszczała do słuchawki, kiedy Maggie zadzwoniła, by oznajmić, że przyjeżdża do Galway, żeby zabrać z mieszkania resztę swoich rzeczy.

- Zatrzymasz się u nas - oświadczyła stanowczo.

- Dzięki.

Maggie nie była w stanie spędzić w swym dawnym mieszkaniu z Greyem choćby jednej nocy. Reprezentowało prze-

szłość i osobę, którą kiedyś była. I wciąż znajdowała się na tyle blisko tej osoby, że chciała się wobec niej zdystansować.

Kiedy Maggie już obejrzała odmienioną kuchnię, usiadły nad filiżankami z herbatą i Maggie opowiedziała Shonie o Ivanie, pracy w bibliotece dziecięcej i o tym, że rozmawiała już z prawnikiem na temat sprzedaży Greyowi swych udziałów w mieszkaniu w Galway.

- Chcę to zrobić jak najszybciej - powiedziała Maggie.

- Mieszkanie jest ostatnią częścią tamtego życia i chcę się chirurgicznie jej pozbyć.

- Będzie mi ciebie brakowało - rzekła Shona. - W pracy bez ciebie to nie to samo i zawsze już będzie inaczej, gdy ty będziesz mieszkać w Dublinie, a my tutaj.

- Wiem - odparła przeproszającym tonem Maggie.

- Mnie także będzie was brakowało, aleja przecież nie emigruję na księżyc. Mamy Internet, telefon i tanie loty do Dublina.

Shona pokiwała głową, wyglądając tak, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, rozmyśliła się jednak.

- Chodź, przejdziemy się do miasta - rzekła. - Mam ochotę na francuskie ciastka w Delaney's, a może nawet kawałek ciasta z podwójną czekoladą.

Zaczęły schodzić po schodach i piętro niżej zatrzymały się pod drzwiami Rossa. Z mieszkania dochodziła głośna muzyka.

- Czy to *I Will Survive*? - zapytała Maggie. Ross przeżywał tak wiele rozstań, że ta piosenka stała się w końcu jego hymnem.

- Niestety - odparła Shona. - Nie może się pozbierać, mówi, że wyemigruje gdzieś, gdzie mężczyznom wolno nosić ciuchy z różowego aksamitu i całować się na ulicy.

- To znaczy do San Francisco? - uśmiechnęła się szeroko Maggie.

- Marzy mu się Edynburg. Wiem, powiedziałam mu, że Edynburg nie słynie z tego, by faceci chodzili tam w różowym

aksamicie albo całowali się namiętnie na Prince's Street, ale on twierdzi, że w zimowych ciuchach wygląda znacznie lepiej i że Edynburg to musi być to.

Obie rozmyślały przez chwilę o tym, w jaki sposób działa mózg Rossa.

- Koniec romansu wyczynia z ludźmi dziwne rzeczy

- stwierdziła Shona. - Powiedziałam mu, że nie zniosę utraty także jego. Co ja zrobię, kiedy nie będę miała ani ciebie, ani Rossa?

- On nigdy nie zostawiłby Nurejewa - zauważyła Maggie.

- Czy królikom wystawia się paszporty dla zwierząt?

- To jedyna problematyczna kwestia, ale jeśli Nurejew nie będzie mógł jechać, to Paul i ja zaadoptujemy go.

- No to niedługo w waszym mieszkaniu będzie słycać tupot małych stóp! - zażartowała Maggie.

Shona nie zareagowała.

- Małe stopki, kapujesz?

- Mmm, śmieszne - mruknęła.

- Popełniłam jakąś gafę? - zapytała szybko Maggie, a w jej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Jeśli Shona nie zaśmiewała się do rozpuku z choćby najslabszego żartu, wiadomo było, że coś jest nie tak.

Telefony i e-maile były świetne, jeśli chodzi o utrzymywanie kontaktu, ale istniały sprawy, które wy badać można było tylko na miejscu - a jeśli Shona się dowiedziała, że nie może mieć dzieci?

- Nie chciałam cię zasmucić - rzekła poważnie.

- Nie zasmuciłaś, ty głupia kozo - odparła Shona. - Czekałam, by cię posadzić w Delaney's i wtedy ci powiedziec. Jestem w ciąży. Paul i ja będziemy rodzicami! Niemowlęcia i możliwe, że także królika! Jesteśmy uszczęśliwieni.

- To cudownie! - Maggie ponownie uściskała przyjaciółkę, po czym odsunęła się z niepokojem, nie chcąc naciskać na jej brzuch.

Obie na niego spojrzwały.

- Jest jeszcze płaski - rzekła Shona, klepiąc się po brzuchu. - Byłam w sklepie z ubraniami ciążowymi, gdzie mają poduszkę, którą wkłada się pod sweter, by móc sobie wyobrazić, że jest się w piątym miesiącu i kupić zawnazs ciuchy. Prawdę mówiąc, to nieustannie tam chodzę. Nie stać mnie na ich ciuchy, ale ta poduszka jest taka realistyczna, że naprawdę wyglądam jak w ciąży i uwielbiam się wtedy sobie przyglądać. Mają już mnie tam dosyć.

- Chodźmy tam teraz! - zarządziła Maggie. - Ja też chcę zobaczyć, jak wyglądasz w piątym miesiącu ciąży.

Złapała ją za rękę i zeszły po schodach, po czym wyszły na ulicę.

- Nie bardzo wiedziałam, jak ci to powiedzieć - wyznała Shona. - No wiesz, jesteśmy tacy szczęśliwi, a Paul niemal tańczy z radości, gdy tymczasem Grey bierze udział w konkursie na drania roku i tak mi przykro z powodu ciebie.

- Konkurs na drania roku? Brzmi super - odparła Maggie. - Nie wiem, czy ktoś poprze jego kandydaturę, ale myślę, że to nieco urozmaici uczelniane życie.

- Więc nie jest ci smutno? - zapytała Shona, gdy przeszły na drugą stronę i weszły do kawiarni Delaneys.

- Shona, strasznie się cieszę razem z wami. To najcudowniejsza wiadomość. Dlaczego miałyby mnie smucić?

- No cóż - Shona urwała, gdy pomachały na powitanie kelnerce, po czym usiadły przy małym stoliku w pobliżu drzwi. - Tyle przeszłaś. Tak bardzo mi było ciebie szkoda i nie chciałam przytłaczać cię swoją radością. No wiesz, kiedy kiepsko ci się wiedzie, może być ci trudno patrzeć, jak innym spełnia się to, czego zawsze pragnęli.

Maggie przetrawiała tę informację. W ciągu tych lat, gdy się znały, Shona nigdy nie wspomniała o tym, że chce mieć dzieci czy choćby o nich myśli. Prawdę mówiąc, ona i Paul sami wydawali się być dwójką dzieci, szczęśliwych, że mogą

żyć tak, jak chcą, dobrze się bawić, urządzać imprezy, kupować rolki, jeździć we dwoje do Eurodisneylandu, no przecież nie jeździłoby się do Eurodisneylandu, gdzie wszędzie jest pełno dzieciaków, jeśli sekretnie się ich pragnęło i sądziło, że nie można ich mieć. Więc może to było coś nowego.

- Bardzo się cieszę - powtórzyła. - Niesamowicie. Jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że będzie inaczej? Tylko nie wykop-nij mnie przypadkiem ze swego życia, kiedy pojawi się junior. Jestem twoją przyjaciółką i pragnę dalej nią być. Swego czasu sporo zajmowałam się dziećmi. Myślę, że będę dobrą ciocią.

- Dziękuję - rzekła ze łzami w oczach Shona. - Jestem taka szczęśliwa. Paul tak samo. Zaskoczyło nas to, mówię ci. Nie staraliśmy się o dziecko, nie wiemy, jak to się stało. - Maggie otworzyła usta, by jej to wyjaśnić, ale Shona ją ubiegła. - Nie, cóż, to znaczy wiemy, jak to się stało, no ale wiesz, o co mi chodzi. Potem ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, ponieważ Paul powiedział, że bardzo się cieszy, że będziemy mieli dziecko, a ja wciąż myślałam o Greyu, o tym, że jakoś nigdy nie myślał o dzieciach, no i sądziłam, że moja ciąża będzie ci o tym przypominać.

Maggie pokręciła głową.

- Przestań mieć wyrzuty sumienia - rzekła. Kwestia dzieci była jednym z tych ważnych, nie poruszanych tematów pomiędzy nią a Greyem, a przecież gdyby się kogoś kochało i uważało, że to ta jedyna osoba, rozmawiałoby się o tym, prawda? Kiedy zbliżała się do trzydziestki, rzeczywiście zaczęła myśleć o dzieciach. - Grey i ja nigdy o tym nie rozmawialiśmy - dodała szczerze.

- Tak też myślałam - rzekła ze smutkiem Shona - więc nigdy nie poruszałam z tobą tego tematu, ponieważ to mogłoby... - urwała.

Maggie dokończyła za nią zdanie:

- Ponieważ to mogłoby mi uświadomić różnicę pomiędzy tobą i Paulem a mną i Greyem. Uważałaś, że nie jest dla mnie odpowiednim facetem, prawda? - zapytała, nie chcąc usłyszeć, że Shona, z którą była

tak blisko, przez cały czas nie przepadała za Greyem, uważała, że to nieodpowiednia osoba dla Maggie i nigdy jej tego nie powiedziała.

- Hej, bardzo lubiłam Greya - upierała się Shona. - Poważnie. Jest seksowny, przystojny i czarujący, czemu miałabym go nie lubić? To Paul nigdy za nim jakoś szczególnie nie przepadał. Kazałam mu się po prostu przymknąć. Byłaś naszą przyjaciółką i nie potrafiliśmy cię ranić.

Maggie pomyślała o tych wszystkich wieczorach, jakie spędzili we czworo, i poczuła zażenowanie.

- Nie chodzi o to, że Paul jest mądry po szkodzie i dotarło do niego, że pod całą przykrywką czarusia Grey był niewierny - kontynuowała pospiesznie Shona. - Między nimi po prostu nie zaklikalo. Paul uważał, że Grey jest trochę, no wiesz, napuszony, intelektualista starający się udowodnić, jak bardzo jest mądry, a wiesz, jak Paul nie znosi takich rzeczy. On jest przekonany, że Simone de Beauvoir była francuską piosenkarką, a Nietzsche astronautą.

Maggie wybuchnęła śmiechem.

- Dobrze jest wrócić - rzekła. - Zaszalejmy, Shona, i zamówmy coś pełnego śmietany.

Nazajutrz rano Maggie wyszła z mieszkania Shony i Paula tuż po dziewiątej i powędrowała kilka przecznic do kafejki i księgarni w jednym, gdzie Grey rano lubił czytać gazetę i popijać podwójne espresso. W roku szkolnym to było ulubione miejsce spotkań studentów politologii i potencjalnych intelektualistów; miejsce, gdzie wiele pełnych podziwu studentek przemykało obok pijących kawę Greya i Maggie, mówiąc nieśmiało „dzień dobry” doktorowi Stanleyowi.

Nie miała ochoty spotkać się z nim w ich mieszkaniu, nie chciała także do niego dzwonić, by mógł sobie zawczasu przygotować argumenty. Zamiast tego wzięła ze sobą teczkę

dokumentów od prawnika, którego niedawno znalazła, dotyczących sprzedaży ich wspólnego mieszkania.

Pchnęła drzwi księgarni i wspięła się po schodach do maleńkiej kafejki. Był tam, siedząc elegancko na krześle. Długimi palcami artysty trzymał filiżankę z kawą i z poważną miną czytał gazetę.

- Witaj, Grey.

Podniósł głowę znad gazety i widać było, że jest mocno zaskoczony.

- Maggie! - rzekł z radością w głosie. - Cudownie cię widzieć.

Sposób, w jaki jego spojrzenie błądziło po niej, dało jej pewność, że cieszy go jej widok. Bardzo się postarała, ubierając się dzisiaj: dzinsy porzuciła na rzecz długiej bawełnianej spódnicy z rozcięciem z boku, odsłaniającym nogi, do niej zaś założyła niebieską koszulę, korzystnie podkreślającą płaski brzuch. Wyglądała dobrze, lepiej niż dobrze, wyglądała świetnie.

Poranne afirmacje i książka o pewności siebie - którą przeczytała po raz trzeci - robiły swoje. W końcu nie miało sensu być jedyną osobą, która uważała, iż wygląda jak młodsza siostra Cjuasimoda.

- Mogę się przysiąść? - zapytała.

- Tak, bardzo proszę - odparł uprzejmie, zabierając resztę porannych gazet z drugiego krzesła.

Maggie usiadła, czując się dziwnie zrelaksowana, Grey natomiast w ogóle nie wyglądał na zrelaksowanego. Rzucił nerwowe spojrzenia na zegarek. Może czekał na inną kobietę? Maggie powiedziała to sobie w myślach, testując, jak bardzo ją to zrani: Grey czeka na inną kobietę. Bawiła się w myślach tym zdaniem i odkryła, że zupełnie jej to nie rusza. Wiedziała, że może nie upłynęło zbyt dużo czasu od ich rozstania, ale tak wiele się w tym czasie wydarzyło. Przeboleła go.

- Nie spodziewałem się ciebie tutaj - rzekł Grey. - Nie sądziłem, że wracasz do Galway.

- Jak w takim razie miałabym zabrać z mieszkania resztę swoich rzeczy? - zapytała spokojnie.

- Sądziłem, że może poprosisz o to Shonę.

- To znaczy sądziłeś, że nie będę w stanie tu przyjechać.

- To też. Przepraszam cię, Maggie - zaczął.

- Skończmy całe to przepraszanie, Grey. Przerabialiśmy to już tyle razy, że staje się nudne. Między nami koniec, koniec od czasu gdy okłamałeś mnie po raz pierwszy, tyle że nie wiem dokładnie, kiedy to było.

- To jedyne, czego Shonie nie udało się dowiedzieć - rzekł z goryczą. - Ta kobieta powinna pracować dla Interpolu, tak dobrze jej idzie szperanie w poszukiwaniu informacji.

- To się nazywa mieć oczy szeroko otwarte i troszczyć się o przyjaciół - odparła ze spokojem Maggie. - Shona rozumie, że nie chciałabym poślubić mężczyzny, który potrafi mnie zdradzać, a potem kłamać w tej kwestii. Może i mielibyśmy jakąś szansę, gdybyś był szczerzy, ale... - Zastanowiła się nad tym. - Właściwie to nie. Cofam wszystko. Nie mielibyśmy szansy bez względu na to, czy powiedziałbyś mi o tych innych kobietach czy nie. Już nigdy bym ci nie zaufała. I nie potrafiłabym szanować mężczyzny, który kochał się ze mną, a mimo to potrafił bzykać się z innymi, nie mając przy tym żadnych wyrzutów sumienia. A więc nie, to by się nie udało. Ale doceniłabym szczerłość, bardziej bym cię szanowała.

- Nie ma w takim razie powrotu? Pokręciła głową.

- Wracasz do Galway na stałe?

- Nie sądzę, ułożyłam tam sobie nowe życie, jestem zajęta.

- Zauważyłem. Widziałem cię w gazecie, ciebie i twoją matkę, bohaterki Summer Street.

Maggie uśmiechnęła się szeroko, gdy tymczasem kiedyś byłaby skrępowana na myśl o takim rozgłosie.

- Zamieścili to zdjęcie z nami na schodach pawilonu, ponieważ ty wyglądasz oszałamiająco, a i ja nie jestem taka najgorsza jak na stare babsko! - oświadczyła z dumą jej matka, zaś Maggie wpatrywała się w nią ze zdumieniem. Oto jej matka mówiła, że ona jest oszałamiająca. Maggie nie pamiętała, by ktoś tak mówił, gdy dorastała, ale może po prostu nie zwróciła na to uwagi. Jej brak pewności siebie i ból psychiczny związany z dręczeniem zagłuszały słowa innych ludzi. Była kochana i uwielbiana, oczywiście mówili jej też, że jest piękna.

- W gazecie było niesamowite zdjęcie was dwóch na schodach tego starego budynku - kontynuował Grey.

- Moja matka uwielbia to zdjęcie. Mówi, że wyglądamy na nim oszałamiająco - rzekła z dumą Maggie. Była w stanie mówić coś takiego, nie krzywiąc się przy tym i prawie zaczynała w to wierzyć. Mężczyźni nie przyglądali jej się na ulicy dlatego, że założyła dzinsy tyłem do przodu albo miała włosy przyklejone do głowy; przyglądali jej się dlatego, że uważali ją za atrakcyjną.

- Piękno dobrze się sprzedaje - przyznał posępnie Grey, wpatrując się w nią. - Spotykasz się z kimś? - zapytał. - Wydajesz się szczęśliwsza, szczęśliwsza niż wtedy, gdy byłaś ze mną.

- Właściwie to tak - odparła, nie będąc w stanie ukryć szerokiego uśmiechu, jaki rozjaśnił jej twarz na myśl o Iwanie. - To dobry człowiek. Serdeczny, przystojny, bardzo seksowny. - Nie mogła się powstrzymać, by tego nie dodać, po to tylko, by pokazać Greyowi, że nie jest jedyną osobą, która może mieć kontakty z płcią przeciwną. - I jest kilka lat ode mnie starszy - dodała.

- Nie tak, jak dwudziestoletnia studentka, chciałaś powiedzieć - warknął Grey.

- Właśnie.

- Jesteś z nim szczęśliwa? - Wyglądał tak, jakby wolał usłyszeć, że jest dokładnie na odwrót.

- Bardzo - odparła miękko. - Z nim mogę być sobą.

- Byłaś sobą ze mną - zaprotestował Grey.

- Nieprawda. - Maggie pełna była determinacji, by powiedzieć to, co musiało zostać powiedziane. - Byłam taka, jaka sądziłam, że chciałbyś, bym była. Robiliśmy to, co ty chciałeś, ponieważ pragnęłam, byś był szczęśliwy. Nie to, co ja chciałam robić. Nie znaczy wcale, że to wszystko twoja wina, miałam własne problemy - rzekła - ale ty mi nie pomagałeś. Pragnąłeś mieć konkretny rodzaj kobiety, a ja byłam na tyle uległa, by przyjąć tę rolę.

- Kochałem cię - oświadczył obronnym tonem Grey.

- Kochałeś mnie tak bardzo, że miałeś cztery romanse podczas trwania naszego związku? - zapytała ostro. - To nie jest miłość, Grey. To egoizm podający się za miłość. Gdybyś rzeczywiście mnie kochał, nie miałbyś żadnej innej.

- Cóż za frazesy - powiedział z irytacją. - Nie rozumiem, dlaczego kobiety kupują te wszystkie romantyczne bzdury. Wszystkie są takie same, wszystkie pragną bajkowych małżeństw, białych sukni i „żyli długo i szczęśliwie”. W życiu tak nie jest.

- Może być - oświadczyła Maggie. - Może być, jeśli się tego chce, a ja chcę. A jeśli mężczyzna, z którym jestem, nie będzie mi wierny, to go także zostawię. Rozumiesz? Nie chcę romansu w stylu „żyli długo i szczęśliwie”. Pragnę prawdziwej miłości i szacunku, i wolałabym już być sama, niż żyć z kimś bez tego.

Grey nie słuchał. Wpatrywał się niczym złota rybka w kogoś, kto zbliżał się do nich za jej plecami.

Maggie odwróciła się i zobaczyła młodą szczupłą blondynkę, najwyżej dwudziestopięcioletnią, stojącą z zakłopotaniem kilka metrów od ich stolika.

- Eee... cóż... - wyjąkał Grey, bez wątpienia spodziewając się, że resztki jego kawy wylądują mu na ubraniu.

- Spokojnie - rzekła Maggie. - Sam sobie jesteś panem, Grey. Spotykaj się, z kim tylko masz ochotę. - Wstała, po-

dała mu plik dokumentów i wyciągnęła rękę. - Załatwmy to tak szybko, jak się da.

Ujął jej dłoń i potrząsnął.

Następnie odwróciła się w stronę do blondynki.

- Witam - powiedziała. - Ja już wychodzę. Jest cały twój.

Następnie zeszła po schodach, wysoko unosząc głowę. Była umówiona z Shoną w sklepie z pięciomiesięcznymi ciążowymi poduszkami i nie chciała się spóźnić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W biurze od wyjazdu Faye nic się nie zmieniło. Wielorybi obraz nadal dominował w recepcji, kompozycje kwiatowe na recepcyjnych stolikach wyglądały na niezmienione, zaś szpilki Grace tak samo głośno stukały, gdy biegła przez recepcję.

W olśniewającej kremowej garsonce ze zwężaną talią i guzikami jak złote piłki do golfa była uosobieniem korporacyjnej elegancji.

- Witaj z powrotem! - zawołała z radością. - Masz super fryzurę!

Faye roześmiała się i pocałowała Grace w policzek.

- Nie było mnie parę tygodni, tyle przeszłam w tym czasie, a pierwsze o czym wspominasz, to moje włosy? - zapytała z udawaną urazą. Włosy rzeczywiście wyglądały zupełnie inaczej. Zniknął brązowy kucyk, a zastąpił go długi do brody postrzępiony paż, z którym naprawdę było jej do twarzy. - To tylko strzyżenie - dodała, choć wiedziała, że chodzi o coś więcej. To było podjęcie starań, aczkolwiek niewielkich, by wrócić do świata.

- Naprawdę świetnie wyglądasz - rzekła Grace, oglądając fizurę Faye ze wszystkich stron. - Potrzebujesz jeszcze tylko Rity, by wkroczyła i może zrobiła coś z twoimi ciuchami.

- Grace! - rzuciła ostrzegawczo Faye, gdy wchodziły do windy. - Lubię swoje ubrania i tylko dlatego, że jesteś moją

przyjaciółką, pozwalałam wspominać ci o nich i moim braku zainteresowania nimi, nie mordując cię za to.

- Przepraszam - odparła Grace, nie poddając się. - Chodzi mi tylko o to, że masz tę garsonkę już dosyć długo, a w Debenhams jest akurat wyprzedaż.

- Dzięki za informację.

- Jak chcesz. - Grace uniosła ręce w geście rezygnacji. - Cudownie mieć cię z powrotem, nawet jeśli... - urwała w pół zdania.

- Nawet jeśli Amber nie wróciła ze mną? - dokończyła Faye.

- Przepraszam, nie wiem, co powiedzieć. Chciałabym wiedzieć, jak cię pocieszyć, ale pewnie w niczym by ci to nie pomogło. Przynajmniej znalazłaś ją i porozmawiałyście.

Grace nie była do końca pewna, czy Amber ma w planach powrót, ponieważ nie chciała pytać o to Faye, ale bez względu na to co zaszło w Kalifornii między nimi, Faye wyglądała teraz o wiele lepiej niż podczas ostatnich lat. To nie była kwestia jedynie włosów. Grace wiedziała, że to akurat jest tylko powierzchowną zmianą.

Ale Faye naprawdę wyglądała inaczej, może nie na zadowoloną - Grace wiedziała, że jej przyjaciółka nie potrafi być zadowolona, gdy Amber jest daleko od niej - ale wydawała się dziwnie spokojniejsza, mniej spięta, tak jakby zdjęto z jej ramion jakiś wielki ciężar.

- Wszystkim w biurze cię brakowało - zmieniła temat. - Osobiście i zawodowo. Little Island nie radzi sobie, gdy jesteś nieobecna. Lepiej, żebyś w najbliższym czasie nie brała żadnego urlopu - rzekła, przekomarzając się.

- W żadnym wypadku. Choć tak się zastanawiam, czy nie wziąć sobie wolnego września, by odwiedzić Amber.

Nie rozmawiała jeszcze o tym z Amber, nie mając pewności, jak jej córka zareagowałaby na wiadomość, że matka zamierza przylecieć do LA i spędzić tam cały miesiąc. Faye zrozumiała jedno: jeśli Mahomet nie chciał przyjść do góry, wtedy góra musi się udać do Mahometa.

- Wrzesień może być - odparła spokojnie Grace. - Jesteś wolna w porze lunchu? Mamy dużo spraw do obgadania. Neil doprowadzał mnie do szaleństwa, Philippę także. Wiesz, jaki on jest, kiedy się angażuje w sprawy agencji.

Faye rzeczywiście wiedziała. Mąż Grace, Neil, nie należał do tych, którzy zarządzanie ludźmi mają we krwi. Potrafił wszcząć kłótnię w pokoju, w którym oprócz niego nie było nikogo.

- Oczywiście, że jestem wolna.

Kiedy Grace sobie poszła, Faye usiadła i rozejrzała się po swoim gabinecie, myśląc, jakie to dziwne, że to miejsce pozostało zupełnie takie samo, gdy tymczasem w niej tak wiele się zmieniło. Jej biurko wyglądało dokładnie tak jak w dniu, gdy je opuściła, telefon i zszywacz leżały idealnie równo na jego brzegu, nawet sprzątaczkę wiedziały, jak je ustawiać, ponieważ pani Reid na to nalegała.

Boże, co za chorobliwa pedanteria, pomyślała Faye. Wyciągnęła rękę i przesunęła telefon, zszywacz i lampkę. Proszę bardzo, odrobina chaosu, kropla nieprzewidywalności. Prawdopodobnie tak właśnie było lepiej. Nie wiedziała, co zrobi dalej z własnym życiem - ono także było nieprzewidywalne, ale po głębszym namyśle uznała, że może być całkiem ekscytujące.

Amber rozejrzała się po swym nowym domu: maleńkiej kawalerce w zachodniej części Hollywood i skrzywiła się. W porównaniu z hotelem - gdzie po wyprowadzce z apartamentu Karla mieszkała w jednym z najtańszych pokoi - nieszczerze czemu się było przyglądać. I z całą pewnością przydałoby się poważne sprzątnięcie. Możliwe, że sprawdziłby się słynny roztwór jej matki. W każdym razie mieszkanie było umeblowane i mieściło się w raczej bezpiecznym budynku

z drzwiami antywłamaniowymi, domofonem, no i było na drugim piętrze, a nie na parterze.

Pod numerem 2F znajdował się także aneks kuchenny, balkon wielkości dużej tacy z widokiem na należący do sąsiedniego bloku basen i mała łazienka z prysznicem. Przeprowadzka nie trwała długo. Amber musiała zabrać jedynie całkiem sporo ciuchów, trochę fajnych przyborów toaletowych z hotelu i to by było tyle. Przygotowała listę wszystkich potrzebnych jej rzeczy, takich jak jedzenie, środki czystości, proszek do prania, jakiś kwiatek w doniczce do rozweselenia tego miejsca, po czym udała się na poszukiwanie sklepu.

To Syd pomógł jej znaleźć mieszkanie, kiedy mu powiedziała, że odchodzi od Karla.

- Nie możesz...

- Odejść? - zapytała Amber. - Syd, wiesz, że muszę. Nie mogę bez końca trzymać się Karla, skoro on mnie nie chce. Mam swoją dumę, wiesz?

- Wiem - odparł.

Syd porozmawiał więc z Michaeliem Levinem o Amber i poprosił, by pomógł znaleźć jej pracę i jakieś zakwaterowanie.

Karl natomiast nie uczynił absolutnie nic.

Prawie w ogóle się do niej nie odzywał od tamtego ranka, dzień po wizycie jej mamy.

Wrócił do apartamentu jak zwykle rano i zobaczył, że Amber pakuje swoje rzeczy.

- Odchodzisz - powiedział beznamiętnie.

- Nie mam po co zostać - wzruszyła ramionami, nie przerywając pakowania.

- Co zrobisz?

- Jest jeden róg ulicy na Sunset Boulevard akurat dla mnie - odparła sarkastycznie. - Skoro ty traktowałeś mnie nawet gorzej niż prostytutkę, równie dobrze mogę iść na całego i zarabiać na tym pieniądze. Przy odrobinie szczęścia

Richard Gere dostrzeże tę Pretty Woman i uratuje ją, choć zapomniałam - ty już mnie przecież uratowałeś przed moim nudnym życiem. Nikt nie jest aż takim szczęściarzem, by coś takiego przytrafiło mu się dwa razy.

- Amber, nie mów w taki sposób. Nie tak się miało to wszystko potoczyć, ale się stało i już. Muszę myśleć o zespole...

- Ty myślisz o Karlu - odparowała Amber. - Jak zwykle. Numer jeden. Nikt inny się nie liczy. Przydawałam ci się, gdy byłam twoją muzą, ale gdy tylko pojawiła się kolejna muza, ja przeszłam do historii. Mam nadzieję, że ktoś powie Venetii, że dość szybko zmieniasz dziewczyny. Choć ona pewnie zagrzeje miejsce dłużej niż ja. Bardziej może ci się przydać.

- To nie jest tak. Nie bądź rozgoryczona, Amber. Miałaś niezłą zabawę. Nikt cię nie zmuszał, byś tu przyjechała.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Tyto zrobiłeś.

- Przystawiłem ci do głowy pistolet i zmusiłem do wejścia do samolotu na dublińskim lotnisku? Nie. Więc daruj sobie te gadki w stylu „ty mi kazałeś, Karl!”. Jasne?

Rozmowa z nim pozbawiona była sensu.

- Masz rację, Karl. To wszystko moja wina. Powinnam być mądrzejsza. Na przyszłość będę - odparła.

W szybkim tempie kończyły się pieniądze, które dostała od matki, i od kilku dni pracowała jako recepcjonistka w salonie fryzjerskim w pobliżu Beverley Center, choć przypuszczała, że jej całe zarobki wynoszą mniej niż napiwki niektórych stylistów od bogatych klientek. Ale miała przynajmniej pracę. Personel zachowywał się przyjacielsko, a Syd starał się utrzymywać z nią codzienny kontakt, zapraszając na imprezy i występy, by czuła, że prowadzi w LA jakieś życie towarzyskie. Dal jej także trochę pieniędzy.

- Nie mogę tego wziąć! - powiedziała. - To pieniądze zespołu.

- Byłaś częścią zespołu, Amber - odparł ze smutkiem Syd. - Źle się czuję z powodu tego, jak potraktował cię Karl. Znam go od dawna, powinienem był cię ostrzec. Sądziłem, że z tobą jest inaczej, ponieważ różnisz się od jego wcześniejszych dziewczyn, jesteś mądra.

- To już coś - uśmiechnęła się.

- Powiedziałem mu, żeby nie zmuszał cię do wyjazdu z Irlandii, dopóki nie zdasz egzaminów, ale znasz Karla, jak się na coś uprze, to nic mu nie przemówi do rozsądku.

- Powiedziałeś mu tak?

- Egzaminy są ważne - mruknął.

- Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego - odparła Amber. - Ale i tak bym cię nie posłuchała, no nie?

Jamesa nie było już od tygodnia i Christie, która wcześniej uważała, że jej ukochane psy to najlepsze towarzystwo na świecie, przekonała się, że uwielbienie Tilly i Rocket nie znaczy tyle samo, gdy w pobliżu nie ma Jamesa. Podczas całego małżeńskiego życia tak mało czasu spędzili osobno. Jamesowi zdarzało się pojechać na parę dni na ryby, a ona wyjechała kilka razy z Aną, ale gdyby zsumować wszystko razem, nie byłoby tego więcej niż kilka miesięcy na trzydzieści pięć lat. Nie powiedziała nikomu o tym, co się stało, za bardzo się wstydziła i krępowała.

Shane i Ethan nadal o niczym nie wiedzieli, za co była nieskończenie wdzięczna. Przynajmniej James nie zdecydował się zniszczyć jej do końca, mówiąc ich synom o tym, że zdradziła go z innym mężczyzną. Ale Christie wiedziała, że jeśli nie wróci już do domu, chłopcy pewnego dnia i tak będą się o tym musieli dowiedzieć. Która ewentualność napawała ją większym przerażeniem - że James do niej nie wróci czy też że Ethan i Shane dowiedzą się o Careyu Wolenskim?

Pewnego dnia niespodziewanie zajrzała Ana, jak zwykle uśmiechnięta, z masą nowinek na temat tego, co słyhać u niej i u Ricka.

Christie przytulała ją dłużej, niż to było konieczne, czując znajome wyrzuty sumienia z powodu tego, że zdradziła własną siostrę. Gdyby Ana się kiedyś dowiedziała... Christie zbladła na samą myśl o tym. Straciła męża, proszę, niech nie traci także siostry.

Powoływanie się na to, że James zbyt dużo pracował i ją ignorował, nie było wystarczającym usprawiedliwieniem tego, co zrobiła Anie.

- Rick mówi, że powinniśmy trochę zacisnąć pasa - powiedziała Ana, kiedy szły ulicą w stronę kawiarni. Jej siostra szalała na punkcie tutejszych babeczek cytrynowych. - Dom jest duży, ogród także, ale ma charakter. Nie w takim stopniu jak wasz, ale jednak ma. Nie mam ochoty przeprowadzać się do miejsca pozbawionego charakteru, nawet jeśli mielibyśmy dzięki temu sporo zaoszczędzić.

Christie zamówiła kawę i ciasto, choć w ustach miała tak sucho, że równie dobrze mogła jeść popiół.

- No i co, uczyniłaś coś więcej w kwestii spotkania się z Careyem Wolenskim? - zapytała wreszcie.

Ana obdarzyła ją szerokim uśmiechem, który przypominał Christie o tym, jaka jej siostra była jako dziecko: z jasnymi włosami uczesanymi w warkoczyki i z dołeczkami w obu policzkach.

- Nie - przyznała. - Tak naprawdę to było tylko pobożne życzenie. Skoro niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia, gdy się ze sobą spotykaliśmy, to o czym byśmy rozmawiali teraz, kiedy minęło trzydzieści lat? Widziałam w gazetach jego zdjęcie. Wygląda, jakby miał ze sto lat, wiesz? Pewnie już zawsze czuje się coś do osób, które cię porzuciły. - Ana ugryzła babeczkę i zamyśliła się. - A on udzielił mi naprawdę świetnej rady.

- Co ci powiedział? - zapytała lekko Christie.

- Że powinnam przestać umawiać się z mężczyznami podobnymi do mego ojca, twardymi, despotycznymi, i poszukać

sobie przyzwoitego, miłego faceta, który mnie doceni. - Ana uśmiechnęła się promiennie. - Trafił w samo sedno. Zresztą ty mi mówiłaś to samo. Ale oboje mieliście rację. W niedługim czasie znalazłam Ricka, który okazał się miłością mojego życia i nadal nią jest. A przecież nie ma wielu ludzi w moim wieku, którzy mogą to powiedzieć, prawda? No cóż - dodała Ana - z wyjątkiem rzecz jasna ciebie i Jamesa.

Jako że nie miała z kim rozmawiać w domu, a szkoła była zamknięta z powodu wakacji, Christie uczyniła jedyne, co była w stanie zrobić w zaistniałych okolicznościach. Rozstawiła sztalugi na tarasie, gdzie pergola dawała jej cień, i zabrała się za malowanie. Wcześniej zaplanowała sobie, że najpierw namaluje jeden ze swych botanicznych obrazków, irysy i orchidee, które zawsze uwielbiała rysować, ale dzisiaj nie mogła się na nich skoncentrować. Być może potrafiła to robić tylko wtedy, gdy była szczęśliwa. Poddała się więc i zaczęła malować coś innego.

Malowanie było dla niej niczym terapia: czyniąc to, myślała o błędach, które przywiodły ją do tego miejsca.

Ją i Careya połączył dwudniowy romans. Dwa dni czystej, radosnej rozkoszy, kiedy kochali się na otomanie, a potem przytulali do siebie i rozmawiali, Carey zaś palił papierosy bez filtra, które uwielbiał, a których Christie nie znosiła.

Czuła się, jakby była we śnie, takim, w którym nic nie jest w stanie skrzywdzić jej ani nikogo innego. Cudownym śnie, z którego obudzi się z przyjemnymi wspomnieniami i bez poczucia winy.

- Gdybym był twoim mężem, zastanawiałbym się, gdzie się podziewasz całymi dniami - wymruczał.

- Mój mąż w ogóle nie zauważył, że codziennie gdzieś wychodzę - odparła z goryczą. - Jest tak, jakbym dla niego nie istniała. Obecnie interesuje go tylko praca. Ja jestem jedynie osobą, która się opiekuje jego dziećmi i codziennie gotuje obiad.

- Dlatego właśnie to zrobiłaś? By się na nim odegrać? - zapytał Carey niczym naukowiec sondujący szczura podczas eksperymentu.

- Nie - odparła Christie. - Nie dlatego. Ostatnimi czasy w ogóle mnie nie zauważa, ale ty tak. Dlatego właśnie pragnęłam być z tobą... - Wypowiedzenie na głos tych słów uczyniło je nieprzekonującymi. Jej mąż był zajęty, więc go zdradziła.

Chodziło o coś więcej, prawda?

- Musimy porozmawiać - rzekł Carey. - W przyszłym miesiącu wyjeżdżam do Londynu. Otrzymałem tam poważne zlecenie, mogę się stać dzięki temu bogaty. Christie, jedź ze mną. Zabierz swoich chłopców. Ich też mogę kochać. Kocham ich matkę.

Rozmowa o przyszłości doprowadziła do tego, że sen Christie rozpadł się na kawałki. Przyszłość. Życie bez Jamesa, życie polegające na przekazywaniu sobie dzieci tam i z powrotem. Gniew, ból, zdrada. Ana ją znienawidzi. James znienawidzi ją jeszcze bardziej.

Sen zakończył się i czuła, jak jej duszę żelazną obręczą ścisła poczucie winy.

- Nie, Carey - powiedziała, wstając. Była naga, a jej ubrania leżały na podłodze, tam gdzie je rzuciła, zerwawszy z siebie w ogniu pożądania. - Nie mogę. To był błąd. Muszę iść. Nie mogę się już z tobą spotykać, przepraszam, ale tak właśnie musi być.

Buty, gdzie są jej buty? Nie mogła ich nigdzie dostrzec z powodu łez.

- Nie mówisz poważnie? - zapytał ostro, zrywając się z otomany i chwytając ją za ramiona. - Musisz jechać ze mną. Jesteśmy sobie przeznaczeni, wiesz o tym. To nie jest tylko żaloszny seks pomiędzy malarzem i jego modelką, ale to prawdziwa miłość, prawdziwa namiętność. Jeszcze nigdy nie czułem czegoś takiego do żadnej kobiety - oświadczył niemal ze zdumieniem. - Nie możesz odejść.

- Mogę - odparła dziko Christie. - Muszę. Zbyt wiele bym straciła, utraciłabym wszystkich ludzi, których kocham, gdybym pojechała z tobą. Przepraszam. - Znalazła buty, włożyła je, zarzuciła płaszcz na ramiona i ruszyła w stronę drzwi. Spojrzała na niego po raz ostatni: stał tam, tak bardzo przystojny, zaś na jego twarzy malowało się zdumienie i ból. - Przepraszam - powtórzyła.

- Jeszcze do mnie wrócisz - warknął.

- Nie wrócę.

Kiedy Christie wyrzuciła z głowy wszystkie kłębiące się w niej myśli, malowała szybko i z zapamiętaniem.

Tydzień po odejściu Jamesa stała na dworze, kończąc malować swój obraz, kiedy usłyszała w korytarzu kroki przemierzające się w stronę kuchni. Psy, których w żadnym wypadku nie dało się nazwać obronnymi, zerwały się z miejsc i szczekając radośnie, pobiegły do domu. Usłyszała męski głos, głos Jamesa. Wyobrażała sobie, jak schyla się, drapie uszy Tilly, głaszcze miękki brzusek Rocket. Ale Christie nie ruszyła się z miejsca. Może wcale nie chciał jej widzieć, może zjawił się po to, by zabrać więcej rzeczy.

- Christie? - rozległ się jego głos.

- Jestem w ogrodzie! - odkrzyknęła, nie wiedząc, czego się spodziewać. Odłożyła pędzel i usiadła na krześle. Pomyślała, że może lepiej, żeby siedziała. James zbliżył się do niej, po czym zawahał. Dzieliły ich sztalugi.

- Co u ciebie? - zapytała drżącym głosem ze wzrokiem przyklejonym do jego twarzy. Wyglądał blado i na zmęczonego.

James odpowiedział spokojnym spojrzeniem i Christie żałowała, że nie wie, co się dzieje w jego duszy. Proszę, modliła się, proszę.

- Dużo myślałem - odezwał się.

- Ja też - odparła szybko.

- Myślałem o naszym życiu wtedy. Jak dużo pracowałem, jak ty dużo pracowałaś. Musiało ci być trudno: ja byłem taki zajęty, a ty miałaś na głowie dzieci i pracę, i cały dom. W ogóle nie mieliśmy dla siebie czasu.

Christie pokiwała energicznie głową. Nie powiedział: „Żegnaj, przyjechałem zabrać swoje rzeczy”. Istniała jakaś nadzieja.

- Nie wiem, czy uda mi się kiedykolwiek zapomnieć o tym, co wydarzyło się między tobą a nim. - Ponownie nie wymienił imienia Careya i Christie poczuła, jak jej nadzieja słabnie. - Ale - kontynuował James - mógłbym spróbować.

- Mógłbyś spróbować? - zapytała Christie. - Spróbować zapomnieć? Spróbować jeszcze raz?

Skinął głową.

- Kocham cię, Christie. Jesteś całym moim życiem, zawsze byłaś, odkąd cię tylko poznałem. To właśnie boli, ta myśl, że był czas, kiedy ja nie byłem całym twoim życiem. Myśl, że żyliśmy w kłamstwie.

- Ależ nie - wtrąciła błagalnie Christie. - To się działo tylko przez krótki czas, było głupie, a potem się skończyło. Nie zmieniło to naszej historii, nie niweczy tego, co mieliśmy, naszej miłości, naszych dzieci, naszego wspólnego życia.

- Wiem o tym. Jednakże wcale mi nie jest przez to łatwiej. Wciąż sobie wyobrażałem ciebie i jego... - urwał. - Nie mogę znieść tych myśli, Christie. A kiedy zostawiłaś na wierzchu te obrazki, bym je zobaczył, byłem taki zagniewany i zraniony. Byłem w stanie myśleć jedynie o tym, że próbujesz mi pokazać, jak bardzo cię kochał, ponieważ potrafił cię namalować. Ja nie rozumiem sztuki, to twój świat, a ja nigdy nie byłem jego częścią. Ale czułem się fatalnie, ponieważ nigdy nie próbowałem zrozumieć tego świata, a jednocześnie byłem wściekły za to, że miałaś jego, że miałaś inne życie.

Mówił tak szczerze, a jego słowa tak bardzo rozdzierały serce, że Christie marzyła tylko o tym, by wstać i go przytu-

lić. Ale nie mogła. Musiała mu pozwolić skończyć mówić. To było jego prawo. Ona uczyniła to, co uznała za właściwe, teraz nadeszła jego kolej.

- Kiedy pokazałaś mi obrazki, tak bardzo mnie zabolalo - kontynuował - i sądziłem, że uczyniłaś to z konkretnego powodu: że chcesz znowu z nim być. Kiedy powiedziałaś, że tak nie jest, że on jest umierający i że chciał się z tobą spotkać po raz ostatni, chyba ci nie uwierzyłem. Wciąż myślałem, że próbujesz mnie zranić.

- Nigdy nie chciałam cię zranić, nie celowo - powiedziała. - Choć rzeczywiście cię zraniłam, nie chciałam tego.

- Nie pojechałem na ryby - rzekł. - Wziąłem w pracy wolne, by móc w spokoju pomyśleć, i zrozumiałem, że nie mogę pozwolić, by zniszczyła nas przeszłość. Jesteśmy na to zbyt silni. Jesteś uczciwą osobą i dlatego mi powiedziałaś, teraz to wiem. Mogłaś pozostawić mnie w niewiedzy i nigdy bym się nie dowiedział, a pewnego dnia, może za sto lat, ktoś dodałby dwa do dwóch. Zidentyfikowano by cię jako Mroczną Panią, a ja byłbym tym głupcem, rogowcem, mężem, który o niczym nie wiedział. Nie chcę być człowiekiem, który o niczym nie wiedział, nie dlatego się z tobą ożeniłem. Nie mogę powiedzieć, bym się cieszył, że mi powiedziałaś, ale skoro to zrobiłaś, nie zakończy to naszego małżeństwa.

- Och, James - rzekła Christie i podbiegła do niego. Otworzył ramiona, a ona wpadła w nie, pozwalając mu się przytulić.

- Dziękuję ci - zaszlochała. - Dziękuję. Nie mogłam do ciebie zadzwonić ani próbować się kontaktować, wiedziałam, że musisz pobyć sam. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić, ani trzydzieści lat temu, ani tydzień temu, wiesz o tym. Nie chcę po prostu więcej żadnych sekretów między nami. Przez całe życie bałam się, że to się wyda i zniszczy to, co mamy. Nie umiałam tak dłużej żyć.

Tulił ją mocno, nic nie mówiąc, głaszcząc po głowie, schowanej na jego ramieniu.

- Tęskniłem za tobą - rzekł. - Dlatego właśnie wróciłem. Myślałem o życiu bez ciebie, o tym, jak to by było, gdybym był sam. Musielibyśmy sprzedać ten dom, podzielić się pieniędzmi i oboje bylibyśmy nieszczęśliwi z powodu mojej dumy, z powodu czegoś, co miało miejsce przed trzydziestu laty. I nie, nie chciałem tego zrobić. Carey Wolensky już raz prawie mi cię odebrał, nie miałem zamiaru pozwolić, by uczynił to ponownie.

Christie stała w jego objęciach i składała modły dziękczynne temu, kto nad nimi czuwał. Stali tak przez jakiś czas, aż psy zmęczyły się węszaniem wokół ich nóg, położyły się i zapadły w sen. Miło było tak stać i pozwalać się przytulać mężczyźnie, którego kochała najbardziej na świecie.

- Co malujesz? - zapytał w końcu James. Christie odsunęła się i otarła dłonią oczy.

- Zaczęłam malować kwiaty - powiedziała, pociągając nosem, po czym sięgnęła do kieszeni swetra po chusteczkę. Wytarła oczy i wydmuchała nos. - Ale nie mogłam się na niczym skoncentrować, wciąż na ciebie czekając. A potem znalazłam to stare zdjęcie i zrozumiałam, że to właśnie powinnam malować.

Zaprowadziła go od drugiej strony do sztalug i zatrzymała się. James wpatrywał się w obraz. W swoim własnym stylu skopiowała stare rodzinne zdjęcie, zrobione, gdy chłopcy byli mali. Shane i Ethan siedzieli na kanapie, a za nimi, opierając się o oparcie kanapy, stali James i Christie, obejmując się. To było piękne rodzinne zdjęcie, zbyt długo ukrywane w albumie. Idealnie udało jej się uchwycić radość na ich twarzach.

- To portret rodzinny - rzekł James.

- Ponieważ to właśnie moja rodzina jest dla mnie ważna - odparła Christie. - Ty jesteś dla mnie ważny.

Objął ramieniem jej talię i uściskał.

- Wiem - powiedział.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jesień bardzo się ociągała z przyjściem na Summer Street. Biegająca łagodnym łukiem ulica była zacisznym miejscem i kiedy nadszedł wrzesień, liście na klonach rosnących wzdłuż chodników były tylko lekko zabarwione delikatnym odcieniem złota. Natomiast japoński klon przed domem Uny Maguire przybrał zdumiewającą, szkarłatną barwę, przyciągając pełne podziwu spojrzenia przechodniów. Delikatne białe róże Christie Devlin codziennie gubiły płatki, z wyjątkiem kremowych pnących róż, wspinających się po ścianie i wypuszczających pędy wokół wiecznie otwartej furtki. One nadal kwitły, wypełniając powietrze mocnym różanym zapachem. A ludzie opowiadali sobie o babim lecie.

Ale pomimo dobrej pogody skończyło się letnie lenistwo, siedzenie przy grillu i opalanie się przed domem. Na całej ulicy dawało się wyczuć atmosferę pracy i nowego początku. Wakacje się skończyły i rozpoczął się nowy rok szkolny.

Pod numerem trzydziestym drugim Christie Devlin szykowała się do rozpoczęcia kolejnego roku szkolnego, swego ostatniego, jak postanowiła niedawno.

- Jesteś pewna, że chcesz tego? - zapytał ją James w wieczór poprzedzający początek szkoły. - Nie rób tego z mojego powodu.

- Jestem gotowa, by odejść na emeryturę - odparła Christie. - Pomyśl o tych wszystkich miejscach, jakie możemy zobaczyć, o rzeczach, które możemy razem robić.

Choć James mógł popracować jeszcze dwa lata, postanowił przejść na wcześniejszą emeryturę. Uczyni to następane gołata, gdy Christie także przestanie pracować. Zdążyli już zgromadzić kolekcję broszur o długich zagranicznych wakacjach dla miłośników przygód. Christie miała szczególną ochotę na podróż wokół Indii, choć Ethan i Shane zaniepokoiili się nieco, gdy zobaczyli broszurę.

- Miesiąc? - zapytał Shane, otwierając ją na stronie z cennikiem. - Za taką cenę raczej nie będziecie mieszkać w pałacach dawnych maharadzów - rzekł z powątpiewaniem. - A co z jedzeniem? A jeśli jedno z was się rozchoruje?

James i Christie popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Jeśli się rozchorujemy, to się rozchorujemy! - oświadczył pogodnie James. - Zabierzemy ze sobą mnóstwo lekarstw, by się zabezpieczyć na wszelkie możliwe sposoby. Jesteśmy dorośli, wiecie? - dodał. - Jeszcze nie jesteśmy gotowi na dom spokojnej starości.

- Nie to miałem na myśli - zaprotestował Shane.

- Ale dlaczego teraz? - zapytał Ethan. - Dlaczego przed laty nie jeździliście na tego rodzaju wakacje? Mogliście przecież zrobić sobie trochę wolnego.

Christie i James wymienili kolejne spojrzenie, zupełnie prywatne.

- Teraz jest czas dla nas - rzekła Christie. - Wy jesteście dorośli, macie własne życie, własne rodziny, czas, byśmy mogli się zachowywać egoistycznie.

- No tak, a jeśli będziemy was potrzebować przy dziecku i w ogóle? - zapytał Shane, brzmiąc przez chwilę jak dziecko, a nie jak dorosły mężczyzna, żonaty i oczekujący pierwszego potomka.

- Maleństwu nic się nie stanie - powiedziała Christie i wiedziała, że mówi prawdę. Zobaczyła w przyszłości zdrowego chłopca, który możliwe, że będzie miał jeszcze dwóch braci. - Obiecujemy, że po powrocie będziemy się dwa razy tyle zajmować wnukami - dodała. - Zawsze możecie napisać do nas mail, mamy konto na hotmailu.

- Nie wiem - powiedział żartobliwie Ethan - co się dzieje z dzisiejszymi rodzicami: są szaleni i chcą podróżować po świecie, nie przejmując się niczym innym.

Cała rodzina roześmiała się na te słowa.

- Masz rację - rzekł James. - To tak, jakbyśmy przeżywali drugie dzieciństwo.

Pod numerem czterdziestym ósmym Una Maguire znowu mogła chodzić bez kul i zapisała się na jogę.

- Gibkość jest kluczem do dbania o siebie - mówiła każdemu, kto tylko chciał jej słuchać. - Gdybym przed laty ćwiczyła jogę, kto wie, może w ogóle nie złamałabym nogi. Twój ojciec i ja założyliśmy się o pozycję kwiatu lotosu. Ja powiedziałam, że zrobię ją do Bożego Narodzenia, on twierdzi, że nigdy. Mam zamiar wygrać od ciebie tę dychę, Dennis.

Maggie roześmiała się. Cudownie było widzieć mamę w tak dobrej formie. Una Maguire to naprawdę silna osoba. Bez względu na to co przynosiło jej życie, ze wszystkim dawała sobie radę. Maggie przestała się zadrećzać w kwestii tego, że ona tak bardzo się różni od matki, i zaczęła doceniać swoją inność.

Tak naprawdę to nieco bardziej przypominała ojca. Cicha i nieśmiała, ale z wystarczającą ilością siły i ognia swej matki, jeśli zachodziła taka potrzeba. Przekonali się o tym na własnej skórze deweloperzy próbujący zrównać z ziemią pawilon na Summer Street.

Sezon wakacyjny oznaczał, że zarówno plan zburzenia pawilonu, jak i kampania, by go uratować, utknęły w mar-

twym punkcie. Ale to, że żaden buldożer nie pojawił się w parku pod osłoną nocy i nie rozwalił pawilonu na kawałki, zawdzięczano pracy Maggie. Udzieliła tak wielu wywiadów do gazet i stacji radiowych na temat pawilonu, że była w stanie recytować swoje argumenty przez sen. I wyglądało na to, że gazety lubią pokazywać także jej zdjęcie.

- Ten pawilon może i popada w ruinę, i potrzebny jest majątek, by go odrestaurować, ale to piękny budynek - rzekł Ivan, patrząc na zdjęcie, które wszystkim najbardziej się podobało, kolorowe zdjęcie Maggie i jej mamy, siedzących na schodkach przed pawilonem: dwa olśniewające rudzielce uśmiechające się do aparatu na tle plakatów „Ratujmy Nasz Pawilon”. - Ale z pewnością pomaga mu to, że na zdjęciu znajdują się dwie piękne kobiety - kontynuował Ivan.

- Właśnie coś w tym rodzaju powiedziała by Shona - przekomarzała się z nim Maggie, ale nie zaprzeczyła jego słowom. Dziesięć razy na dzień mówił jej, że jest piękna, i tak właśnie uważał. Co więcej, Maggie zaczynała doceniać własną wartość. Kiedy nie było nikogo w pobliżu, przyglądała się uważnie zdjęciu w gazecie, próbując zachować obiektywizm w kwestii własnej twarzy, i dotarło do niej w końcu, że ludzie nie okłamywali jej, mówiąc, że jest piękna.

Nie sądziła, by nadszedł dzień, gdy sama to powie z pełnym przekonaniem. Zawsze będzie się w niej czaić odrobina wątpliwości - wątpliwości, które czyniły Maggie tak uroczą i bezbronną. Ale z każdym dniem stawała się coraz silniejsza i pewniejsza siebie. Stała się nieco odważniejsza, jeśli chodzi o ubiór, i właśnie kupiła sobie kilka nowych bikini na wakacje, na które ona i Ivan wybierali się w listopadzie. Zaplanowali sobie wycieczkę po Chorwacji, a potem tydzień w Dubrowniku, gdzie będą łączyć poznawanie kultury z wylegiwaniem się na plaży.

Wyjazd na wakacje z Ivanem nie był jedynym doniosłym wydarzeniem w życiu Maggie. Poprosił ją, by z nim za-

mieszkała. Prawdę mówiąc, poprosił ją, by za niego wyszła, ale ona odparła, że jest zdecydowanie za wcześnie, by o tym myśleć.

- To cudowny pomysł i czuję się zaszczycona, że mnie o to poprosiłeś - powiedziała, siedząc mu na kolanach i obejmując za szyję. - Nie chcę się po prostu donikąd spieszyć, Ivan.

- To nie byłoby spieszenie się - odparł. - Ale w porządku, rozumiem. Nie będę naciskał.

- Dziękuję ci za to - odparła. - Wiesz przecież, że szaleję za tobą.

- Jak bardzo?

- Och, aż tak - powiedziała, nachylając się i całując go wygłodniałymi ustami.

Pod numerem osiemnastym Faye Reid uznała, że nie ma sensu trzymać oszczędności bez końca w banku i zatrudniła projektanta ogrodów.

- Tak bardzo lubię siedzieć w twoim ogrodzie - rzekła do Christie. - Jest w nim tak spokojnie i uroczo z tą pergolą i zapachem róż, i pomyślałam sobie, że po co się tak męczę, próbując sprawić, by ten mój mały kawałek trawy wyglądał atrakcyjnie. Nie wiem nic o roślinach i bez profesjonalnej pomocy zawsze skończyłoby się na trawniku, mnóstwie chwastów i kilku odpornych krzakach, które są w stanie znieść moje beznadziejne zdolności ogrodnicze.

- Wspomniałaś pomysł - stwierdziła Christie. - Potrzebna ci własna oaza spokoju.

Z pomocą Christie Faye opracowała szkic swego ogrodu i choć kwiaty i krzewy będą potrzebować dobrego roku, by się zadomowić, i tak było to już zupełnie inne miejsce. A na końcu ogrodu miała teraz stać niewielka szopa, w której mieścił się cały sprzęt ogrodniczy.

- Teraz musisz się trochę zajmować tym ogrodem - przekomarzała się z nią Christie. - Ale obiecuję, że ci pomogę.

Przed szopą znajdował się klomb z dużymi roślinami, które ją przysłaniały, dalej ścieżka biegnąca w kształcie litery S wzdłuż trawnika, wokół którego poumieszczane były klomby z kwiatami. Pomiedzy skałkami gromadziły się roślinki, piękne trawy rosły leniwie w klombie wypełnionym żwirem, zaś na samej górze stało kilka donic z ziołami. Bliżej domu znajdował się treliaz i pergola, u podstawy której posadzono kapryfolium i maleńkie róże, które dopiero miały się rozrosnąć. Znalazło się także miejsce na wyłożony terakotą taras ozdobiony nowymi meblami ogrodowymi.

- Idealne miejsce do odpoczynku - oceniła Christie, kiedy zobaczyła efekt końcowy. Usiadła z kieliszkiem wina, by podziwiać całość.

- Komu potrzebny wyjazd na wakacje w poszukiwaniu słońca? - dodała Maggie, siedząc na fotelu ogrodowym z zamkniętymi oczami i kieliszkiem wina w dłoni.

Kącik z tarasem ogrzewało wieczorne słońce.

- Uwielbiam ten ogród - rzekła z dumą Faye. - Nie rozumiem, dlaczego nie zrobiłam go już wiele lat temu, no ale zawsze oszczędzałam pieniądze, dla Amber.

Teraz przez cały czas rozmawiała z Maggie i Christie o Amber. Na początku trudno jej było wspominać o niej - bała się, że się zaraz rozpłacze. Amber nie wróciła do domu. I choć kanały komunikacji były otwarte na oścież, a Amber - która miała wreszcie własną amerykańską komórkę - dzwoniła często, ale zawsze rozmawiała krótko, Faye w głębi duszy ciągle dręczyło uczucie smutku i porażki. Ale musiała żyć dalej.

i nie chciała robić tego, siedząc i czekając na Amber.

To nie było fair wobec niej i nie fair wobec Amber, ponieważ pewnego dnia, gdy - oby tak było - jej córka rzeczywiście wróci do domu, nie będzie miała ochoty mieszkać z matką, która siedzi i niespokojnie obserwuje jej każdy ruch, przelewa na jej ramiona swe nadzieje, spodziewa się, że Amber będzie dla niej wszystkim. To nie było właściwe.

Uświadomienie sobie, że tak właśnie zachowywała się do tej pory, zaszokowało ją.

- Amber bardzo by się tutaj podobało - rzekła teraz do Christie i Maggie, patrząc na swój piękny ogród. - Zawsze się zastanawiała, dlaczego nie wydaję pieniędzy na różne rzeczy, a ja jej mówiłam, że jesteśmy splukane, że w pracy nie zarabiam zbyt wiele, a tak naprawdę oszczędzałam po prostu na jej przyszłość. Szaleńczo i obsesyjnie oszczędzałam, by mogła mieć wszystko, a nie widziałam, że nie tego pragnie.

Christie wyciągnęła rękę i ujęła delikatnie dłoń Faye.

- Pewnego dnia wróci do domu, jestem tego pewna.

- Mam nadzieję - powiedziała ze smutkiem Faye. - Mam nadzieję.

Półtora kilometra dalej Amber stała w niewielkim korku i jednym uchem słuchała taksówkarza zaznajamiającego ją ze wszystkim, co się wydarzyło od czasu jej wyjazdu. Był bardzo chętny do udzielania informacji i musiał często słuchać radia, ponieważ gdy tylko mu wspomniała, że nie było jej w Irlandii ponad trzy miesiące, zaczął opowiadać ze szczegółami o tym, co się wydarzyło w polityce.

- To straszne - mruzczała w przerwach Amber, ciesząc się, że trafiła na takiego gadatliwego kierowcę, ponieważ nie musiała przynajmniej myśleć o Summer Street i o tym, jakie czekają tam powitanie.

To jedyne, o czym myślała, odkąd postanowiła wrócić do domu. Czy mama przytuli ją tak jak tamtego dnia w hotelu w LA? A może będzie czuła, że Amber odepchnęła ją zbyt daleko, zostając w Stanach tak długo, i że czyniąc to, popsowała między nimi kontakty, których już nigdy nie da się naprawić?

Jeśli tak właśnie będzie, powie, że wróciła, ponieważ amerykański urząd imigracyjny jest bardzo surowy i w każdej chwili mogła zostać deportowana. Ale jeśli mama ją przytuli,

Amber wyzna jej prawdę: że tęskniła za nią bardziej, niż jest to w stanie wyrazić słowami.

Być może pewnego dnia zamieszka sama za granicą, daleko od wszystkich ludzi, którzy znaczą dla niej najwięcej, ale jeszcze nie teraz.

- Przemięło się z tobą rozmawiało - rzeki kierowca, wyrzucając ją i jej bagaż pod numerem osiemnastym. - Tylu młodych ludzi nie interesuje się tym, co się wokół nich dzieje. Powodzenia, skarbie.

- Dzięki - odparła Amber, dając mu napiwek. Przynajmniej miała teraz pieniądze. Nie wydała dużo ze

swych zarobków i ponownie nappełniła kopertę, którą dostała od matki. Zamierzała ją oddać. Reszta może zostać przeznaczona na wydatki domowe. Skoro miała powtarzać ostatnią klasę w szkole, by przystąpić do egzaminów, w takim razie miała zamiar dokładać się do wydatków ich gospodarstwa domowego.

Przydźwigała torby do drzwi i stanęła, nasłuchując. Zza domu dochodziły dźwięki muzyki i śmiech. Dom numer osiemnaście był narożny, więc miał z boku niewielkie przejście. Amber zostawiła torby i udała się z ciekawością na tył domu, otwierając na końcu furtkę i wchodząc do ogrodu, którego z całą pewnością nie poznawała.

Był taki ładny, pełen roślin i luków i... był tam też taras z fotelami ogrodowymi, a na nich siedziała jej mama, pani Devlin i jakaś piękna rudowłosa kobieta, która chyba była córką pani Maguire.

Żadna nie dostrzegła, jak się zbliża. Za bardzo zajęte były rozmową i śmianiem się, poza tym głośno grała muzyka, uwielbiana przez mamę Billie Holiday. Włosy mamy także były odmienione - krótkie i postrzępione, śliczne. Wyglądała na taką szczęśliwą, taką zadowoloną.

Amber poczuła, że w jej oczach wzbierają łzy. Wszystko się zmieniło. A jeśli mama nie chciała jej powrotu, a jeśli znalazła sobie innych ludzi, z którymi chciała być?

- Amber? - Faye wstała. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. To musiała być fatamorgana, ale przecież nie była: to naprawdę jej ukochana Amber stała skrzepowana z boku i przyglądała się. - Amber! - zawołała.

Maggie i Christie patrzyły, jak dwie kobiety ściskają się tak mocno, że chyba musiały coś sobie przy tym połamać.

- Mamo!

- Amber! - zawołały jednocześnie i obie szlochały, przytulały się i przepraszały się nawzajem.

Christie wstała.

- Chyba pójde do domu - wyszeptała do Maggie.

- Ja też.

Razem wymknęły się przez furtkę, zostawiając matkę i córkę w ich własnym świecie.

To był piękny wieczór. Słońce wisiało już nisko na niebie, zaś na horyzoncie widać było odrobinę ciemnego różu, przez co Summer Street pławiła się w różowawym blasku. Po drugiej stronie ulicy dzieci bawiły się w parku, właściciele psów przechadzali się powoli, a wokół ich nóg skakały radośnie ich pupile, zaś nastoletni chłopak i dziewczyna siedzieli na schodkach pawilonu i rozmawiali cicho, obejmując się ramionami.

Christie szła wolnym krokiem do domu, dziękując wszystkim gwiazdom na niebie, że mieszka w takim wyjątkowym miejscu.